

A promotional poster for the movie 'Brad Pitt' (likely 'The Assassination of Jesse James by the Coward Robert Ford'). The image features Brad Pitt in a dark suit, with his torso cut out to reveal a scene of a large, two-story house. In the foreground of the house scene, a man and two children are silhouetted against the house. The title 'BRAD PARKS' is written in large, bold, yellow letters across the top of the man's torso. Below the title, the tagline 'Rób, co każemy albo zabijemy twoje dzieci!' is written in white. At the bottom, the word 'SIEDŹ CICHOO' is written in large, bold, white letters.

# BRAD PARKS

Rób, co każemy  
albo zabijemy twoje dzieci!

SIEDŹ CICHOO

**B R A D  
P A R K S**

**SIEDŹ CICHÓ**

Przełożył Piotr Kaliński

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2017

*Mam cudowną żonę, która wiele lat temu kazała mi iść za głosem serca i od tamtej pory, po dziś dzień, robiła wszystko, żeby mi to umożliwić.*

*Niniejsza książka, szczególnie ta książka,  
jest dla niej.*

## Rozdział 1

Pierwszy cios, jaki przeciwko nam wyprowadzili, był tak drobny i ledwo zauważalny w natłoku zwykłych spraw, że w ogóle nie zwróciłem na niego uwagi.

Miał formę SMS-a od mojej żony, Alison, i wyświetlił mi się o 15.28 w środę:

Hej, zapomniałam ci powiedzieć, że dzieciaki mają dziś lekarza. Zaraz je odbieram.

O ile wywołał we mnie jakąkolwiek reakcję, to najwyżej delikatny zawód. W środy był Basen z Tata, cotygodniowy rytuał, nieprzypadkowo z wielkimi literami w nazwie. Bliźnięta i ja bierzemy w nim udział regularnie od jakichś trzech lat. Początki wyglądały katastrofalnie i więcej w nich było walki o to, by nie utonąć, niż pływania, ale później nasz środowy zwyczaj stał się dużo przyjemniejszy. Dzisiaj nasze sześciolatki, Sam i Emma, są już zagorzałymi pływakami.

Przez czterdzieści pięć minut, aż do momentu, kiedy jedno z nich zaczynało z zimna klekotać zębami, bawiliśmy się w najlepsze. Ochlapywaliśmy się, ścigaliśmy od jednego końca basenu do drugiego, wymyślaliśmy nasze własne gry wodne, na przykład ukochanego przez wszystkich Małego Hipcia. Prawdziwa, radosna zabawa z dziećmi jest jak balsam dla duszy, nawet jeśli jest się wiecznie obsadzonym w roli Mamy Hipopotamowej.

Cieszyłem się na środowe pływanie tak samo jak na wszystkie inne rytuały, które wypełniały nasz rodzinny wszechświat. Na przykład w piątki były gry planszowe, a w niedziele mieliśmy Dzień Naleśnika. W poniedziałki – Tańce w Czapkach, czyli dużo... tańca. W czapkach.

Może nie brzmi to jakoś supersexy; „Cosmopolitan” na pewno nie wrzuciłby na okładkę tematu: „Jak dać swojemu facetowi naleśniki, o jakich marzył”. Ale z biegiem lat uświadomiłem sobie, że dobra rutyna to podstawa szczęśliwej rodziny, szczęśliwego małżeństwa i szczęśliwego życia w ogóle.

Dlatego byłem niepokieszony, kiedy w to środowe popołudnie pozbawiono mnie przyjemności, jaką dawały mi nasze stałe wypadki na basen. Jedną z korzyści bycia sędzią jest spora doza kontroli nad własnym grafikiem. Moi podwładni wiedzą, że choćby w środę po południu miała miejsce cała fala nieludzkich przestępstw, czcigodny Scott A. Sampson o czwartej opuści swój gabinet, żeby odebrać dzieci ze szkoły i pojechać z nimi na basen YMCA.

Przyszło mi do głowy, żeby i tak iść popływać. Czterdziestoczworoletkowie o bladej cerze, prowadzący siedzący tryb życia, powinni korzystać z każdej okazji do ćwiczeń. Ale im dłużej o tym myślałem, tym bardziej nie na miejscu wydawało mi się przebywanie na pływalni bez Sama i Emmy, dlatego wróciłem do domu.

Od czterech lat mieszkamy w starym domu na dawnej farmie nad brzegiem rzeki York. Nazywamy go Zagrodą, takie już mamy twórcze podejście. Leży na wsi, w części stanu Wirginia określanej mianem Środkowego Półwyspu, a konkretnie w niemunicipalnej części hrabstwa Gloucester, jakieś trzy godziny drogi na południe od Waszyngtonu i z dala od jakiegokolwiek cywilizacji.

Nasza droga w to miejsce zaczęła się w stolicy, gdzie byłem głównym doradcą

wpływowego senatora. Kolejnym etapem był incydent – właściwie mogę go nazwać Incydem, pisany wielką literą – po którym wyładowałem w szpitalu, gdzie, jak to bywa, przemyślałem sobie dogłębnie swoje życiowe priorytety. Ostatnim przystankiem w tej podróży na wieś było przyznanie mi tytułu sędziego federalnego dla Dystryktu Wschodniego Wirginii, z siedzibą w Norfolk.

Nie do końca tak to sobie wyobrażałem, kiedy jako szóstoklasista brałem do ręki „Kwartalnik Kongresu”, ale też nie była to taka znowu polityczna emerytura. Pod względem intensywności pracy sędziowie federalni przypominają pływające po wodzie kaczkę: pod powierzchnią dzieje się więcej, niż się może wydawać.

Na pewno jednak wolałem tę ciężką pracę od odpoczynku w kostnicy, czym Incydent też bardzo łatwo mógł się zakończyć.

Biorąc to wszystko pod uwagę, pewnie powiedziałbym, że spadłem na cztery łapy. Miałem dwójkę zdrowych dzieci, kochającą żonę, wymagającą, ale satysfakcjonującą pracę, no i cały zestaw niezmiennych rodzinnych rytuałów.

A przynajmniej powiedziałbym tak do 17.52 tamtej środy.

Bo wtedy właśnie do domu wróciła Alison.

Bez dzieci.

Stałem w kuchni i kroilem owoce na szkolne śniadania dla bliźniaków na następny dzień.

Powrotowi do domu Alison towarzyszył zestaw tradycyjnych dźwięków: otwieranie drzwi, kładzenie torby na podłodze, przeglądanie listów. Codziennie od dziewiątej do wpół do szóstej pracuje z niepełnosprawnymi umysłowo dziećmi, z którymi nie poradziłyby sobie ich rejonowe szkoły. To do cna wyczerpująca praca, która mnie każdego dnia zwałałaby z nóg, ale ona zawsze wraca do domu w dobrym nastroju. Alison jest prawdziwym żywiołem.

Byliśmy ze sobą od drugiego roku studiów. Zakochałem się w niej, bo była piękna, a mimo to widziała coś urzekającego w tym, że byłem w stanie wymenić z imienia i nazwiska każdego z czterystu trzydziściorga pięciorga członków Kongresu, razem z nazwą stanu, z którego pochodził, i jego przynależnością partyjną. Kiedy ktoś taki jak ja znajduje kobietę taką jak ona, nie wypuszcza jej z rąk.

– Cześć, kochanie! – zawołałem.

– Hej, hej – odpowiedziała.

Od razu zdałem sobie sprawę, że nie słyszę bliźniąt. Sześciolatek to hałaśliwe zwierzę. Dwoje sześciolatek tym bardziej. Kiedy Sam i Emma wbiegają z dworu, zazwyczaj dudnią, pokrzykują i nucą. Tworzą swoją własną, przypadkową kakofonię.

Od zgiełku, jaki ze sobą przynoszą, bardziej kłuje w uszy tylko jego brak. Wysuszyłem dłonie, mokre po obieraniu jabłek, i poszedłem do przedpokoju, żeby sprawdzić, co się święci.

Alison stała tam, pochylona nad wyjętym z koperty rachunkiem.

– Gdzie dzieciaki? – zapytałem.

Podniosła znad kartki zdziwiony wzrok.

– Jak to? Przecież jest środa.

– No wiem, ale wysłałaś mi esemesa.

– Jakiego esemesa?

– O wizycie lekarskiej – powiedziałem i włożyłem rękę do kieszeni, żeby go przeczytać. – Mam go jeszcze.

Nie patrząc nawet na mój telefon, odparła:

– Nie wysyłałam ci żadnego esemesa o lekarzu.

Nagle poczułem, jakie to musi być uczucie, kiedy człowiek siedzi na plaży, z której nagle tajemniczo odpływa cała woda, jak to ma miejsce tuż przed tsunami. Po prostu nie sposób sobie wyobrazić tego, co nadciąga.

– Czekaj. Czyli nie odebrałaś ich ze szkoły? – spytała Alison.

– Nie.

– A nie są z Justyną?

Justina Kemal jest Turczynką, studentką, która mieszka w naszym domku dla gości i zamiast płacić nam czynsz, opiekuje się bliźniętami.

– Wątpię – powiedziałem. – Jest środa, więc...

Zadzwoił mój telefon.

– To pewnie ze szkoły – odgadła Alison. – Powiedz, że zaraz przyjadę. Chryste, Scott.

Sięgała już po kluczyki do miski przy drzwiach. Numer przychodzący był zastrzeżony. Nacisnąłem zieloną słuchawkę.

– Scott Sampson – powiedziałem.

– Witaj, panie sędzio – odezwał się czyjś niski, tubalny głos, którego nie dało się rozpoznać, bo brzmiał, jakby dobiegał przez gruby filtr. – Cieszysz się, że żona wróciła?

– Kto mówi? – zapytałem głupio.

– Pewnie się zastanawiacie, gdzie jest Sam i Emma – powiedział głos.

Przez moje ciało przebiegła fala zwierzęcych dreszczy. Serce zaczęło mi walić o żebra, a krew napłynęła do twarzy i zaszumiała w uszach.

– Gdzie? – zapytałem, znów niezbyt mądrze.

Alison zatrzymała się w drzwiach. Ja stałem napięty, jakbym się szykował do walki na pięści.

– Skavron – powiedział głos.

– Skavron – powtórzyłem. – I co?

*USA kontra Skavron* – tak brzmiała oficjalna nazwa sprawy sądowej, którą miałem rozpatrywać następnego dnia. Przygotowywałem się do niej od początku tygodnia.

– Jutro dostaniesz esemesem instrukcje co do werdyktu – usłyszałem. – Jeśli chcesz jeszcze kiedyś zobaczyć swoje dzieci, radzę się do tych poleceń zastosować.

– Jakie instrukcje? Co to ma...

– Nie pójdziesz na policję – ciągnął obcy głos. – Nie zgłosisz się do FBI ani do żadnych innych władz. Wasze dzieci przeżyją i zostaną wam zwrócone tylko pod warunkiem, że będziecie funkcjonować dalej, jakby nic się nie stało. Nic nie zrobicie, nic nie powiecie. Czy to jest jasne?

– Nie, zaczekaj. Nic nie rozumiem.

– W takim razie wyjaśnię. Przy najdrobniejszym podejrzeniu, że pisnęliście komuś

choćby słowo, zaczniemy odcinać palce. A jeśli podejrzenie zamieni się w pewność, przejdziemy do uszu i nosów.

– Okej, okej, rozumiem. Nie róbcie im krzywdy, błagam. Zrobię, co chcecie. Błagam, nie...

– Nikomu ani słowa – padło ostrzeżenie.  
Zaraz potem połączenie zostało zerwane.

## Rozdział 2

Drzwi były nadal otwarte. Alison patrzyła na mnie wielkimi oczami.

– Co się dzieje? – spytała. – Kto to był? Komu ma nie robić krzywdy?

Nie byłem w stanie od razu odpowiedzieć. Nie mogłem nawet nabrać powietrza do płuc.

– Scott, odezwij się.

– Dzieci... Ktoś je... – musiałem się zmusić do wypowiedzenia ostatniego słowa – ...porwał.

– Co?! – zawyła Alison.

– Jakiś głos... Ma mi powiedzieć, jaki wyrok mam wydać w sprawie, którą rozpatruję. Jeśli pójdziemy na policję, zaczną odcinać... – Mimowolnie zakryłem twarz dłońmi. Miałem przyspieszony oddech. – ...zaczną odcinać palce. Zabronił nam komukolwiek o tym mówić, bo inaczej...

Moje serce szalało. Czułem się, jakby na całym świecie nie było dość dużo tlenu, mimo że wciągałem powietrze łapczywymi haustami. Kłatkę piersiową miażdżyła mi czyjaś ciężka, niewidzialna dłoń.

O Chryste, pomyślałem. Chyba mam zawał.

Oddychać. Musiałem oddychać. Ale nie byłem w stanie napełnić płuc powietrzem, choć robiłem, co mogłem. Pociągnąłem za kołnierzyk, który był za ciasny. Nie, zaraz, to był krawat. Dusił mnie krawat.

Złapałem się drugą dłonią za szyję, żeby natychmiast zerwać wszystko, co tamowało dopływ krwi do mózgu. I właśnie wtedy zdałem sobie sprawę, że nie mam już na sobie krawata.

Moja twarz płonęła jak piec. Nagle zacząłem się obficie pocić. W stopach i na całej długości nóg czułem ostre ukłucia. Wiedziałem, że długo nie postoję. Alison krzyczała:

– Scott, co się dzieje?! Ktoś porwał Sama i Emmę?!

Z jakąś absurdalną obojętnością patrzyłem na pęczniejące żyły na jej szyi.

– Scott! – zawołała, chwyciła mnie za barki i zaczęła mną potrząsać. – Do cholery! Co się dzieje?!

Nie wiedziałem, co miałbym na to pytanie odpowiedzieć, ale Alison najwyraźniej oczekiwała ode mnie jakiejś reakcji, bo waliła mnie pięściami po piersi i wrzeszczała:

– Co się dzieje, do jasnej cholery?!

Po chwili wreszcie do mnie dotarło, że powinienem się osłonić przed jej ciosami. Gdy tylko uniosłem ręce, Alison padła na podłogę, objęła ramionami kolana i się rozplakała. W jej pojękiwaniach brzmiało coś jak „o Boże” albo „moje małe”. Albo i to, i to.

Schyliłem się, żeby ją podnieść – nie wiem, co by to miało dać – ale mi się nie udało. Za to sam upadłem, najpierw na jedno kolano, potem na drugie. Straciłem ostrość widzenia, miałem wrażenie, że za chwilę zemdleję. Wydałem z siebie przeciągły jęk.

Jakaś ledwo tłąca się część mojego mózgu podpowiadała mi, że jeśli mam teraz umrzeć, to lepiej, żebym leżał. Opadłem bezwładnie na bok i przetoczyłem się na plecy. Patrzyłem na sufit, ciężko dyszałem i czekałem, aż wszystko zniknie w ciemności.

Ale nic takiego się nie stało. Miałem wciąż rozpaloną twarz i mógłbym przysiąc,



że czubek głowy zaraz mi wybuchnie z gorąca. Powoli zdałem sobie sprawę, co to znaczy: do głowy napływało mi teraz za dużo krwi, nie za mało.

Nie miałem ataku serca. To był atak lęku.

Panika nie grozi śmiercią. Musiałem zmusić swoje ciało do działania, nawet jeśli nie miało na to najmniejszej ochoty. Sam i Emma nigdy w życiu nie potrzebowali swojego taty bardziej niż teraz.

Ta myśl pomogła mi podnieść się na ręce i kolana. Doczołgałem się tak do ściany, oparłem o nią i w końcu wstałem na równe nogi. Zamknąłem drzwi wejściowe – nie wiem, po co – i spojrzałem na podłogę, tam gdzie upuściłem telefon.

Podniosłem aparat i zacząłem przeglądać listę kontaktów. Nagle poczułem pragnienie przyjscia z pomocą dzieciom – tak silne, jak jeszcze kilka chwil wcześniej silna była moja potrzeba złapania oddechu.

– Co robisz? – zapytała Alison.

– Dzwonię do marshali.

Agencja US Marshals odpowiada za moje bezpieczeństwo, kiedy przebywam w budynku sądu. Poza jego murami ochrania mnie FBI. Nie miałem w telefonie numerów do FBI, ale był tam numer do zastępcy szefa marshali. On mógł wezwać właściwych agentów.

– Co? – zdziwiła się Alison.

– Dzwonię do...

Z niesamowitą szybkością Alison poderwała się na równe nogi i wytrąciła mi aparat z dłoni. Patrzyłem, jak upada w rogu przedpokoju.

– Czyś ty oszalał?! – krzyknęła.

– Czemu mi wytrą...

– Nie wierzę, że naprawdę chcesz do nich zadzwonić.

– Owszem.

– Wykluczone – powiedziała, podnosząc głos.

– Posłuchaj, musimy wezwać kogoś na pomoc. Potrzebni są nam ludzie wyszkoleni w kontaktach z porywaczami. Ktoś z FBI. Oni mają środki, o których my możemy tyl...

– Absolutnie wykluczone! – powtórzyła na wypadek, gdybym za pierwszym razem nie usłyszał. – Co ci powiedział ten człowiek? Jak tylko kogoś wezwiemy, zaczną im ucinać palce?

I uszy. I nosy.

– Oni też mają swoje środki – ciągnęła. – Na przykład technologię, dzięki której wysłali do ciebie fałszywego esemesa. Znają twój numer telefonu. Wiedzieli, że dzwonią tuż po moim powrocie do domu. Co chcesz zrobić? Sprawdzić ich, czy nie blefują? Nie blefują. Musimy założyć, że są gdzieś niedaleko – pokazała palcem na niewielki las między naszym domem a drogą – i że jak tylko zobaczą samochód, oznakowany czy nie, zaczną kroić. Nie chcę dostać pocztą kawałków ciał moich dzieci.

Zrobiło mi się niedobrze.

– Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby przez nas coś się... – powiedziała, ale nie była w stanie dokończyć myśli, a w każdym razie nie na głos. Zamiast tego dodała tylko:

– Wyhodowałam te palce, są moje.

Tym zdaniem zamknęła kwestię. Uważamy się z Alison za nowoczesną parę, która dzieli się po równo obowiązkami wychowawczymi, i rzeczywiście tak jest. Aż do momentu, kiedy się w czymś nie zgadzamy. Wtedy staje się jasne, że w głębi duszy jesteśmy staromodni i w sprawach związanych z dziećmi to Alison gra pierwsze skrzypce.

– No dobrze. To co, twoim zdaniem, powinniśmy zrobić? – zapytałem.

– Mówiłeś coś o jakimś Skavronie. To nazwisko oskarżonego, który ich interesuje?

– Tak.

– Kiedy masz rozprawę?

– Jutro.

– No to dasz im to, czego zażądają. Dokładnie to, czego chcą. Cokolwiek by to miało być. Jutro o tej porze będzie po wszystkim.

– Wydam werdykt, który im pasuje, a dzieci wrócą całe i zdrowe.

– Zgadza się.

– Wierzysz im, bo porywacze to tacy uczciwi ludzie?

Alison wykrzywiła twarz.

– Przepraszam – powiedziałem.

Odwróciła ode mnie wzrok.

Mogłem dalej próbować ją przekonać, ale przypomniałem sobie coś, co kiedyś mi powiedziano na temat FBI. W przypadkach porwań agentom nie stawia się zarzutów dyscyplinarnych, jeśli ofiara zginie. Taki finał sprawy uważa się za niepożądany, ale możliwy. Kariera agenta ucierpi tylko wówczas, kiedy porywaczom uda się uciec.

To oznaczało, że w tej chwili FBI i rodzina Sampsonów mieli zupełnie inne priorytety.

– Okej – powiedziałem. – Nikomu ani słowa.

### Rozdział 3

Jednopiętrowy drewniany dom zbudowany został przez człowieka, który cenił sobie w życiu przede wszystkim święty spokój. Budynek stał w hrabstwie o tak znikomej liczbie mieszkańców, że nie było tam ani jednego skrzyżowania z sygnalizacją świetlną. Dojeżdżało się do niego drogą, wzdłuż której stały dawno porzucone gospodarstwa wiejskie i zardzewiałe przyczepy. Teren dookoła był bagnisty, porośnięty gęstym sosnowym lasem z trującym bluszczem.

Oprócz linii elektrycznej miejsce to było połączone ze światem jedynie za pośrednictwem anteny satelitarnej, która ściągała z nieba sygnał telewizyjny i internet. Samochodem dostać się tam można było kiepską, bitą drogą z głębokimi koleinami. Teren ogrodzony był zardzewiałą siatką, na której w kilku miejscach wisiały duże tablice z napisem ZAKAZ WSTĘPU.

Może nie był to koniec świata, ale można było odnieść takie wrażenie.

Przed domem, na niewielkiej polance, która służyła za pętlę do zawracania dla samochodów, stała biała furgonetka z budą bez szyb. W kuchni przy okrągłym stole siedzieli dwaj mężczyźni. Obydwaj mieli niechlujne brody, wydatne nosy i oczy w kolorze mocnej kawy. Obaj byli barczyści i dobrze zbudowani. Na pierwszy rzut oka było widać, że są braćmi.

Starszy z nich był nieco wyższy. Czytał książkę z popękany grzbietem. Młodszy, trochę szerszy w pasie, bawił się iPadem: grał w grę, w której walczyło się o dominację w kosmosie.

Rozmawiając ze sobą, nie używali angielskiego.

– Powinieneś je nakarmić – odezwał się starszy.

– Po co? – odparł młodszy, nie odrywając wzroku od iPada.

– To dzieci. Dzieci muszą jeść.

– Niech głodują.

– Jak nie chcesz, żeby się stawiały, to je nakarm.

– Jak nie chcesz, żeby się stawiały, to zwiąż je sznurem.

– Szef zabronił.

Młodszy brat tylko stęknął. Starszy wrócił do książki. Nie ruszył się ani w stronę lodówki, ani do szafek. Młodszy zapalił papierosa i głęboko się zaciągnął, patrząc na ekran iPada.

Między nimi na stole leżał telefon internetowy, narzędzie niezbędne na takim odludziu. Kiedy zadzwonił, starszy brat odebrał i włączył głośnik, żeby obydwaj słyszeli rozmówcę.

– Tak? – powiedział po angielsku z wyraźnym akcentem.

– Zadzwoiłem do sędziego.

– I co?

– Dobrze mnie zrozumiał. Raczej nie będzie robił problemów, ale i tak będziecie go obserwować, okej?

– Jasne.

– Pierwsza dostawa dzisiaj wieczorem?

– Tak.

– Świetnie. Niech się cały czas ma na baczności.

– Tak jest.

Po zakończeniu rozmowy starszy brat odstawił telefon na środek stołu. Z torby leżącej przy nogach wyjął nóż myśliwski z ząbkowanym ostrzem i długą rękojeścią i podał go bratu.

– No dobra – powiedział. – Do roboty.

## Rozdział 4

Przez następną godzinę, kiedy koszmar coraz mocniej docierał do naszej świadomości, próbowaliśmy z Alison nawzajem się pocieszać, ale bez skutku. W końcu każde z nas poszło do swojego kąta, żeby pograć się we własnym piekle.

Alison usiadła na kanapie w salonie, okryła się kocem, wlepiła wzrok w ścianę i zatopiła się w bólu. Od czasu do czasu dobiegały mnie odgłosy jej cierpienia: gwałtowne wdechy, wstrząsające jej ciałem dreszcze i ciche pojękiwania.

Ja też miałem ogromną potrzebę zrobienia tego samego. Gdybym tylko zastanowił się trochę dłużej nad naszym nowym położeniem, nad tym, że fundamenty naszego życia zostały zburzone i zastąpione kompletną pustką, gdybym głębiej to rozważył, z pewnością znalazłbym sobie jakieś ustronne miejsce, w którym mógłbym upaść na ziemię i pozwolić się obezwładnić bezbrzeżnej rozpacz.

Jednak wciąż tliła się we mnie chęć zrobienia czegoś, co mogłoby pomóc moim dzieciom, bez względu na to, jak jałowe zdawały się wszystkie tego typu gesty. Nie przestawałem chodzić po domu jak opętany, ale w końcu usiadłem przy stole w kuchni, przy którym codziennie karmiliśmy nasze dzieci. Może wydawało mi się, że w ten sposób się do nich zbliżę. Odpychałem od siebie niepotrzebne i przerażające myśli i starałem się skupić na Skavronie. Ludzie, którzy porwali Sama i Emmę, musieli być z nim jakoś powiązani. Pozostawało tylko znaleźć ten związek.

Przed telefonem od porywaczy powiedziałbym, że w sprawie Skavrona nie było niczego szczególnego. Była wręcz pospolita. Orzeczenia w sprawach dotyczących narkotyków były zdecydowanie najczęstsze w całym federalnym systemie sądowym. Już ten fakt był dostatecznym dowodem na to, w jak spektakularną porażkę przerodziła się z czasem wojna z narkotykami. Ja sam mam do czynienia z co najmniej trzydziestoma takimi sprawami rocznie.

Moi podwładni przekazali mi akta Skavrona w poniedziałek. Rozmawiałem telefonicznie z kuratorem sądowym, który we wtorek sporządził wstępny raport. W środę większość dnia poświęciłem na lekturę jego sprawozdania, które było w gruncie rzeczy krótkim życiorysem oskarżonego.

Rayshaun Skavron urodził się w Danville, dość pechowym miasteczku w południowo-środkowej Wirginii. Ojciec dość szybko się zawiął, a matce odebrano prawo do opieki nad dzieckiem, kiedy Rayshaun miał sześć lat. Trafiła za kratki z zarzutami za narkotyki. Chłopca wychowywała ciotka. Pierwszy raz został aresztowany w wieku trzynastu lat, potem powtarzało się to jeszcze wiele razy. Narkotyki i broń, broń i narkotyki. Czasem swoje trzy grosze dorzucała drogówka. Przez resztę dzieciństwa notorycznie lądował w zakładach dla młodocianych przestępców, a później awansował na więźnia placówek stanowych.

Po jakimś czasie przeniósł się do Virginia Beach. Może chciał zacząć od nowa, a może szukał miejsca, w którym nie będzie dobrze znany każdemu policjantowi. Nastąpiły dwa lata bez aresztowania, ale potem przyszła główna wygrana. Korzystając z pomocy skruszonego świadka i członka rodziny, któremu znudziły się wyskoki Skavrona, policja przyskrzyniła Rayshauna w kryjówe z pięcioma kilogramami heroiny

i mniejszą ilością kokainy i cracku.

Trzeba mu oddać, że oszczędził wymiarowi sprawiedliwości kosztownego procesu. Poszedł na współpracę z władzami i przyznał się do winy.

Sprawa trafiła na wokandę sądu federalnego ze względu na ilość znalezionych przy nim narkotyków. Przyznanie się do winy było wprawdzie okolicznością łagodzącą, ale wytyczne dotyczące wyroków w sprawach związanych z handlem narkotykami były jednoznaczne: w świetle przeszłych dokonań i ostatniej wpadki oczywiste było, że Skavrona czeka długa odsiadka.

Chyba że ktoś postanowiłby ją uniemożliwić.

Ale kto? I dlaczego?

Moja wiedza o światku dilerów ograniczała się do tego, co widziałem na swojej sali sądowej. Ale Skavron nawet na pierwszy rzut oka wyglądał co najwyżej na gościa ze średniego szczebla hierarchii organizacji przestępczej. Według aktu oskarżenia, dostawał towar od kogoś określonego w raporcie mianem „NW1”, czyli Nieoskarżonego Wspólnika Numer 1. Miał kilku własnych klientów, ale głównie zajmował się pośrednictwem. Pakował narkotyki i przekazywał je innym dilerom albo narkomanom, którzy prowadzili sprzedaż detaliczną.

Materiały dowodowe zgromadzone podczas śledztwa świadczyły o tym, że nie było to specjalnie dochodowe zajęcie. Przed aresztowaniem Skavron mieszkał w ciasnym mieszkaniu, jeździł rozklekotanym chryslerem i chwycił się dorywczych fuch jako kucharz, ostatnio w domu opieki społecznej, gdzie zarabiał płacę minimalną. Policja zajęła w jego mieszkaniu jakąś marną gotówkę – o ile dobrze pamiętam, było to dwieście trzydzieści osiem dolarów. Nie miał konta w banku. Nie było go stać na obrońcę ani na wpłacenie kaucji.

Jakim cudem ktoś taki jak on znalazł środki, żeby zza krat zorganizować porwanie dzieci sędziego? Taka operacja wymagała kilku niezwykle skomplikowanych kroków. Po pierwsze, fałszywy SMS. Porywacze musieli dopilnować, żebym nie odebrał bliźniąt ze szkoły i nie zaczął ich szukać. Jakimś sposobem włamali się do systemu telefonii komórkowej i wysłali mi wiadomość, podszywając się pod Alison.

Następny krok, czyli samo porwanie, był jeszcze trudniejszy. Sam i Emma chodzili do pierwszej klasy w malutkiej szkole Middle Peninsula Montessori. Pierwszoklasistów, oprócz nich, było jeszcze tylko troje. Dwójka uczniów nie mogła zniknąć niepostrzeżenie.

Pracownicy szkoły nie pozwalali dzieciom wychodzić z obcymi ludźmi. Personel miał listy osób uprawnionych do odbierania uczniów po lekcjach. Na naszej liście była Justina i rodzina Alison: jej matka, dwie siostry i ich mężowie. Ale być może nawet te zabezpieczenia udało się komuś obejść.

To wraz z fałszywą wiadomością od Alison uświadomiło mi, że mieliśmy do czynienia z kimś wyjątkowo sprytnym, zdyscyplinowanym i dobrze zorganizowanym.

Żadna z tych cech nie pasowała do Rayshauna Skavrona, o jakim czytałem w raporcie kuratora. Musiał mu pomagać ktoś znacznie bystrzejszy niż on. Ale kto?

Najoczywistszą odpowiedzią był ów Nieoskarżony Wspólnik Numer 1. Mógł to być ktoś stojący na wyższym szczeblu tej samej organizacji. Ktoś, kto chciał zapewnić Skavronowi wolność, żeby ten nie zeznawał przeciwko niemu.

Sęk w tym, że „Nieoskarżony” mogło też oznaczać „nieznany”. Gdyby faktycznie toczyło się postępowanie przeciwko NW1, Skavron nie trafiłby do mojej sali sądowej. Prokuratura wzięłaby na warsztat najpierw NW1, a Skavronem zajęłaby się jakiś czas później. Oni zawsze w pierwszej kolejności oskarżają grubsze ryby.

Poza tym Skavron raczej nie wiedział nic o NW1. Właśnie dlatego kartele narkotykowe zatrudniają setki i tysiące takich pośredników jak Rayshaun. Handel detaliczny to ryzykowny biznes. Na ulicy praktycznie nie sposób odróżnić klienta od gliniarza w cywilu albo policyjnej wtyczki. Aresztowania są wkalkulowane w koszty prowadzenia działalności. Z tego powodu prawdziwi bossowie nigdy nie wchodzą w kontakt z konsumentami. Odgradzają się od nich i od ulicznego chaosu grubą warstwą ochronną, zbudowaną z ludzi takich jak Skavron.

Te pionki nie mają pojęcia o tym, co się dzieje na wyższych szczeblach. Wątpliwe, by Skavron wiedział choćby tyle, dla którego kartelu pracuje.

Prokuratorzy nie mieli szans dotrzeć głębiej. Z punktu widzenia ich śledztwa Skavron był ślepym zaułkiem.

Parę godzin później wciąż grzebałem w swoich myślach, kiedy do kuchni weszła Alison i głośno pociągnęła nosem. Miała czerwone obwódki wokół oczu.

Nie zatrzymała się przy stole, nawet nie zwróciła na mnie uwagi. Poszła prosto do jednej z szafek i wyjęła szklankę.

Nawet w skrajnym napięciu poruszała się z imponującą płynnością. Alison też miała czterdzieści cztery lata, ale nie było tego po niej widać. Jej ciało zachowało ten sam kształt, jaki miało, kiedy ją poznałem dwadzieścia kilka lat temu, a wyprostowana sylwetka nadal robiła wrażenie. Jej barki – może zabrzmiało to nieco dziwnie, ale moja żona ma wspaniałe barki – dzielnie opierały się grawitacji, nie oddając nawet kawałka pola.

Na jej głowie pojawiło się kilka siwych włosów, które jednak dobrze wkomponowały się w popielaty blond – jej naturalny kolor. Swojej własnej postępującej łysiny i zmarszczek jestem aż nadto świadom, ale Alison nie starzeje się ani trochę. A może po prostu tego nie zauważam. Miłość ma swoje metody.

Nie chcę jej stawiać na piedestale. Zdarza jej się obżerać czekoladą i chipsami, jednak dyscyplina w uprawianiu sportu i korzystny metabolizm pomagają jej uniknąć konsekwencji. W pracy ukradkiem popala papierosy i myśli, że o tym nie wiem. Do tego jest fatalnym kierowcą.

Nie twierdzą też, że nasze małżeństwo jest idealne, bo takie istnieją wyłącznie w wyobraźni autorów kart okolicznościowych i w fantazjach singli. Kłócimy się, owszem, aczkolwiek w naszym przypadku konflikty nie uzewnętrzniają się krzykiem, lecz wściekłym milczeniem. Zdarza się nam nawet przez kilka dni ze sobą nie rozmawiać i każde jest zbyt uparte, żeby przyznać się do błędu. Bywa, że w apogeum takich cichych dni pojawiają się w mojej głowie myśli o rozwodzie.

Jednak jedno z nas zawsze w końcu się łamie. I jeśli w czymś jesteśmy dobrzy, to w obracaniu takich sytuacji w żart. Mamy taki stały dowcip o tym, że Alison kiedyś w końcu wróci do Paula Dressera, jej chłopaka z liceum, który z każdym rokiem staje się w jej opowieściach coraz przystojniejszy, bardziej szarmancki i bogatszy. Jak już się pogodzimy, czasem usłyszę coś w stylu: „No dobra, prywatny odrzutowiec Paula i tak

stoi uziemiony na Malediwach, więc zostanę jeszcze trochę z tobą”.

Poza tym z całą pewnością mogę powiedzieć, że pierwszy płomień, ta iskra, która przed laty rozpałała moje uczucia do Alison, nadal się we mnie tli. Moja żona nie wierzy, kiedy jej to mówię, ale to prawda. Gdyby ktoś wyczyścił mi pamięć, a następnie pokazał Alison w pokoju pełnym kobiet, to znów właśnie ją zabrałbym do domu.

Więc przyznam, że mimo okoliczności patrzyłem na nią z podziwem, jak nalewała sobie wodę do szklanki. Robiłem to z przyzwyczajenia.

Obracając lekko głowę w moją stronę, zapytała:

– Napijesz się?

– Nie, dzięki.

Alison przyglądała się szklance w swojej dłoni.

– Jeszcze wczoraj wieczorem Emma stała dokładnie w tym miejscu – powiedziała smutnym głosem. – Tak się upierała, żeby pomóc mi zmywać naczynia, że przystawiłam jej taboret. Ja tylko wycierałam. Była taka dorosła.

Szklanka wysliznęła się jej z dłoni. Jeszcze zanim rozbiła się o zlew, Alison już płakała.

– Hej, hej – powiedziałem i szybko do niej podszedłem.

Nie chciała na mnie spojrzeć ani się wyprostować, więc stanąłem za jej plecami i mocno ją przytuliłem. Przez chwilę tkwiłem nieruchomo w tej niezdarnej pozycji, żeby tylko dać jej wsparcie.

– Nie mogę przestać o nich myśleć – odezwała się. – Zastanawiam się, gdzie teraz są, co robią. Czy stała się im jakaś krzywda. Czy się boją.

– Wiem, mam tak samo.

Jedną z niespodziewanych konsekwencji rodzicielstwa było w moim przypadku to, że gdzieś w pierwszym trymestrze ciąży Alison w moim mózgu rozwinął się dodatkowy obszar, odpowiedzialny wyłącznie za martwienie się o dzieci. Nawet jeśli cała reszta zajęta jest w danej chwili czymś zupełnie innym, ta nowa część i tak delikatnie sobie szumi.

Teraz buzowała.

– Chyba jestem w szoku – stwierdziła Alison. – Gdybym myślała o tym na trzeźwo, rozpadłabym się na kawałki.

– Rozumiem.

Chcąc utrzymać swoje ciało w stanie równowagi, brała tak głębokie wdechy, że cała się kołysała. Głaskałem ją po plecach, żeby ją ukoić.

– Jutro o tej porze będzie po wszystkim – powiedziałem. – Musimy się jakoś trzymać, wykonywać ich polecenia, i będzie okej.

– Wiem, wiem. Bez tego...

Nie dokończyła zdania, a ja nie wypuszczałem jej z rąk.

– Scott, jeśli je stracimy...

– Ćśś. Nie możemy tak myśleć. To nam nie pomoże.

– Wiem, ale...

– Ćśś – powtórzyłem, jakbym się bał, że samo wypowiedzenie tej myśli może ją urzeczywistnić.



Staliśmy w milczeniu, aż Alison znalazła w sobie siłę, żeby się ode mnie odepchnąć.

– Przepraszam – powiedziała.

– Daj spokój.

Chciała wrócić do zlewu i posprzątać rozbitą szklankę, ale zagroziłem jej drogę.

– Ja to zrobię. Serio. Nie przejmuj się.

– Okej. Chyba się położę.

– Słusznie.

– Czy to... Czy to będzie dziwne, jeśli pójdę do pokoju któregoś z nich?

– Ani trochę – odparłem.

Alison kiwnęła głową. Pocałowałem ją w mokry od łez policzek. Wyszła z kuchni bez słowa.

Wyjmując delikatnie ze zlewu rozbitą szklankę, czekałem, aż wzbierze we mnie furia. Myślałem, że ogarnie mnie nagła chęć zemsty na ludziach, którzy nam to zrobili, że pogrążę się w krwawych fantazjach.

Tymczasem biorąc do rąk potłuczone szkło, czułem tylko całkowitą bezsilność.

Jako sędzia nie przywykłem do takiego stanu. W naszej demokracji federalny wymiar sprawiedliwości to jedyna sfera, w której tolerujemy dyktaturę. Sędziowie są mianowani dożywotnio. Nie musimy się przejmować zdobywaniem głosów ani wkupywać w łaski wyborców. Posady może nas pozbawić tylko Kongres. W codziennej pracy nie jesteśmy kontrolowani przez przełożonych i odpowiadamy wyłącznie przed własnym sumieniem.

Niektórzy prawnicy nazywają sędziów cesarzami i nie jest to tylko żart. Faktycznie dysponujemy ogromną władzą. Owszem, niektóre z moich decyzji mogą zostać unieważnione przez sądy wyższej instancji. Jednak zadziwiająco często okazują się niepodważalne.

Kierując się głównie intuicją, regularnie wydaję wyroki, które określają bieg ludzkiego życia. Najzamożniejsi adwokaci w kraju kłaniają mi się w pas. Gigantyczne instytucje muszą stosować się do moich nakazów. Nawet najszlachetniejszych obywateli od wyładowania na mojej sali sądowej dzieli tylko jedna zła decyzja, po której będą błagać mnie o łaskę, a czasem dosłownie drzeć przede mną ze strachu.

Zdaję sobie sprawę, że tak ogromne poważanie wzbudza w ludziach nie moja osoba, lecz majestat pełnionej przeze mnie funkcji. Sam nie robię nic specjalnego, żeby wywołać u innych to uniżenie. Można by mnie nazwać niechętnym cesarzem. Nieustanne zabieganie o moje względy bywa dla mnie wręcz krępujące.

Ale jest częścią mojej pracy.

Czy tego chcę, czy nie, jestem ucieleśnieniem władzy.

Czy tego chcę, czy nie, mam w rękach ogromną władzę.

A przynajmniej kiedyś ją miałem.

## Rozdział 5

Okolo północy poszedłem do naszej sypialni i zacząłem nierówną walkę z bezsennością. Bardzo szybko skończyła się tym, że leżałem z otwartymi oczami, a ten mój dodatkowy obszar w mózgu – ten od dzieci – wirował na zwiększonych obrotach.

Myślałem o Samie. Odważnym, kochanym Samie. Alison i ja robiliśmy, co w naszej mocy, żeby wychowywać dzieci bez odwoływania się do stereotypów płciowych, ale Sam to jednak stuprocentowy chłopak. Każdego dnia po prostu musi spalić pewną ilość energii. A jeśli nie może? Biada meblom, ścianom i ludziom, którzy staną mu na drodze. Zdarza się, że kiedy przestajemy sobie radzić z jego łobuzerstwem, wysyłamy go za drzwi i każemy biegać wokół domu.

Potem pomyślałem o Emmie. Słodkiej, rozważnej Emmie. Ona też ma w sobie sporo energii, ale wyraża ją nie fizycznie, a emocjonalnie. Jest niesamowicie spostrzegawcza. Kiedy tylko zaczynamy z Alison głośniej rozmawiać – nawet jeśli się nie kłócimy, tylko o czymś donośnie rozprawiamy – prosi nas, żebyśmy się pogodzili. Szybko też zrozumiałem, że wszelkie reprimendy pod jej adresem muszę kierować delikatnie, zaczynając od zapewnień, że ją kocham i nigdy kochać nie przestanę. W przeciwnym razie nawet jedno krzywe spojrzenie rzucone w jej stronę kończy się płaczem i pryska nadzieja na zrozumienie.

Zastanawiałem się nad pytaniami Alison – Gdzie są nasze dzieci? Co robią? – i ułożyłem w głowie scenariusz, w którym były całe i zdrowe.

W tej fantazji ich porywacze wymyślili jakieś niewinne kłamstwo, żeby Sam i Emma myśleli, że biorą udział w zabawie. Nie karmili ich masłem orzechowym ani innymi orzechami (Emma miała na nie alergię), za to dawali naszym skarbowi wszystkie trzy składniki najwspanialszej diety każdego sześciolatka: pizzę, makaron i nuggetsy. No i oczywiście pozwalali im oglądać telewizję bez ograniczeń.

Maluchy wiedziały, że coś jest nie tak, ale nie działo się im nic złego. W końcu Sam miał Emmę, a Emma miała Sama. Pod pewnym względem bliźnięta zawsze sobie poradzą, o ile tylko są blisko siebie.

To był najlepszy z możliwych filmów.

Najgorszy starałem się ze wszystkich sił od siebie odpychać.

Czas szedł do przodu małymi krokami. Okolo drugiej w nocy do sypialni weszła Alison. Uchyliła kołdrę i wsunęła się pod nią. Leżeliśmy obok siebie, każde zatopione we własnej rozpaczy.

Dom był pogrążony w ciemności i jak zwykle wydawał swoje domowe odgłosy, ale pod nieobecność naszych dzieci wszystkie one brzmiały jakoś nie tak. To dla bliźnięt się tu przeprowadziliśmy. Wiedzieliśmy, że pokochają rzekę, jej biały, piaszczysty i lekko wznoszący się brzeg, i że latem będą mogły się chronić przed słońcem w cieniu tysiąca drzew, które rosły na naszej ogromnej posesji. To rozległe dawne gospodarstwo aż prosiło się o to, żeby zappełnić je milionem wspomnień. Alison często mówiła, jakie to cudowne, że zapewniamy naszym szkrabom dzieciństwo tak różne od zwyczajnej, podmiejskiej egzystencji większości dzieciaków z zamożnych rodzin.

Ale tak naprawdę kupiliśmy ten dom głównie ze względu na Incydent. Wcześniej

byłem beztroskim optymistą, który wierzył, że ludzie są z gruntu dobrzy. Potem, stanąwszy twarzą w twarz z ludzkim potencjałem do czynienia zła, zapragnąłem wychować swoje dzieci w miejscu, w którym będę im mógł zapewnić maksymalne bezpieczeństwo. We wszystkich tych drzewach i akrach widziałem coś na kształt fortecy. Nasz ponadpółkilometrowy podjazd z bitej ziemi skutecznie oddalał nas od zagrożeń świata zewnętrznego.

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę z tego, jak bardzo się myliłem. Bezpieczeństwo było iluzją, wielkim kłamstwem, którym się karmiliśmy, żeby nie myśleć o ponurym stanie ludzkiej duszy. Umowa społeczna była bardziej zamkiem na piasku niż kamienną budowlą. W dowolnej chwili mógł go zdmuchnąć z powierzchni ziemi każdy, kto miał dostatecznie silne płuca.

Takie oto myśli krążyły bez chwili przerwy w mojej głowie, kiedy leżałem w łóżku, a noc nie chciała dobiec końca. Próbowałem przekierować uwagę na szczęśliwsze czasy, które jeszcze nas czekały. Wkrótce ten koszmar minie. Już niedługo. Musiałem w to wierzyć.

Moje ciało powoli wsiąkało w materac. Oddech Alison stał się bardziej miarowy i już myślałem, że za parę minut i mnie uda się zasnąć.

Ale właśnie wtedy zadzwonił dzwonek do drzwi.

Skoczyłem na równe nogi, zanim jeszcze melodia dzwonka wybrzmiała do ostatniej nuty. Alison usiadła na łóżku. Widziałem białka jej oczu, przebijające się dziko przez panującą w sypialni ciemność. Zegar pokazywał siedemnaście po trzeciej.

Półprzytomny, ruszyłem w kierunku drzwi sypialni.

– Czekaj, gdzie idziesz? – spytała Alison głośnym szeptem.

– Jak to gdzie? Może to nasze dzieci.

– Dzieci? Tak po prostu? Podeszły do drzwi i zadzwoniły?

– No to zastępca szeryfa z naszymi dziećmi.

Nie czekałem, aż Alison zajmie stanowisko w sporze. Poszedłem dalej i wyciągnąłem dłoń do klamki.

– Poczekaj – powiedziała, wyskakując z łóżka, i złapała mnie za przegub. – Nie sądzisz, że zastępca szeryfa najpierw by do nas zadzwonił? A jeśli to porywacze? I jeśli są uzbrojeni?

– Zostań tutaj – odparłem i wyrwałem jej swoją dłoń.

Mamy w domu pistolet, dziewięćmilimetrówkę smitha & wessona, który kupiliśmy, kiedy Alison była w ciąży, a mnie często nie było w domu. Mówiła wtedy pół żartem, pół serio, że jej matczyne hormony podpowiadają, że powinna mieć broń palną. Biada każdemu, kto spróbowałby zmierzyć się z moją żoną. Alison dorastała pod okiem żołnierza, który więz z córką najbardziej lubił budować na strzelnicy. Jeszcze jako dziecko zdobyła mnóstwo nagród w konkursach strzeleckich. Widząc, jak radzi sobie z nowym smithem & wessonem w dniu, w którym go kupiliśmy, nie miałem wątpliwości, że jej dawny talent ani trochę nie pokrył się kurzem.

Niestety, broń była teraz rozłożona na części. Połowę trzymaliśmy na strychu, a reszta leżała pod umywalką w naszej łazience. To ja tak zarządziłem po tym, kiedy przygotowując projekt ustawy, zapoznałem się ze statystykami dotyczącymi zgonów od

przypadkowych postrzałów z broni palnej. Liczby nie kłamały: sprawny pistolet w domu stanowił znacznie większe zagrożenie dla dzieci niż wszystko, co mogło na nie czyhać za drzwiami.

Tego dnia pierwszy raz pożałowałem swojej decyzji. Szybko sporządziłem w myślach listę potencjalnych narzędzi obrony: noże kuchenne, śrubokręty, pogrzebacz do kominka. W końcu zdecydowałem się na kij golfowy, który stał w szafie w przedpokoju.

W tamtej chwili nie dostrzegałem jeszcze, jak absurdalna była moja wiara, że ja, podtatusiały mężczyzna w średnim wieku uzbrojony w żelazną szóstkę, będę w stanie stawić czoła groźnym napastnikom. Nacisnąłem pstryczek zawiadujący światłem na werandzie i zakradłem się do salonu, żeby wyrzucić przez okno i zorientować się, z czym mam do czynienia.

Jak wiele wiejskich domów na Południu, nasz też ma obszerną werandę, która otacza go od frontu i z dwóch boków. Stoją na niej wiklinowe meble i wiszą karmniki dla ptaków, które dzieciaki pomalowały zeszłego lata, kiedy Justina dostała hopla na punkcie rękodzieła artystycznego. Dalej ciągnie się podwórko, na którym rosną magnolie i sosny. No i nasz długi podjazd.

Wyrzałem przez okno, ale niewiele udało mi się zobaczyć. Weranda i oświetlony fragment podwórka wyglądały na puste. Rosnące dalej drzewa i biegnąca za nimi droga były tylko domysłem w głębokim mroku.

Zacisnąłem dłoń mocniej na rękojeści kija i wróciłem pod drzwi, stare i ciężkie. Odpiąłem łańcuch i lekko je uchyliłem, chowając się za nimi na wypadek, gdyby ktoś chciał mnie zaskoczyć.

Niepotrzebnie. Nikt na mnie nie czekał. Słyszałem tylko skowyt półdzikich psów, które czasami włóczą się po tutejszym lesie.

Potem spojrzałem pod nogi i zobaczyłem pudło z kartonu, sięgające mi pod kolano. Od góry zamykał je pas srebrnej taśmy izolacyjnej.

Trąciłem pudło nogą, żeby ocenić jego wagę. Cokolwiek było w środku, zawartość ważyła niewiele więcej niż opakowanie. Przez chwilę nasłuchiwałem – Czego się spodziewałem? Tykającej bomby? – ale z wewnątrz nie dobiegały żadne dźwięki.

Dotarło do mnie, że zaczynam się zachowywać jak paranoik. Przecież byłem tym ludziom potrzebny żywy, przynajmniej do jutra po jedenastej, kiedy to usłyszą z moich ust pożądany werdykt. Upuściłem kij do golfa i otworzyłem pudło.

W środku leżały dwie plastikowe torebki kanapkowe wypełnione kosmykami włosów. A konkretnie kosmykami włosów moich dzieci. Te Sama były proste i rozjaśnione od słońca; Emma miała bardziej kręcone, też w kolorze blond, ale trochę ciemniejsze.

Mimowolnie położyłem dłoń na gardle – typowy gest sygnalizujący bezbronność. Sędzia przez całe swoje życie zawodowe zajmuje się głównie oceną dowodów rzeczowych. To, na co patrzyłem, w zupełności wystarczało, żebym uwierzył w realność naszego koszmaru. Musiałem złapać się framugi, bo aż się zachwiałem.

Kiedy już odzyskałem równowagę i zrobiłem kilka głębszych wdechów, zobaczyłem, że w pudle jest też koperta. Była mała, podobna do tych, które dołącza się

do bukietów. Otworzyłem ją i wyjąłem złożoną na pół kartkę papieru. Wiadomość była zapisana wielkimi literami.

CZCIGODNY SĘDZIO,

POSTĘPUJ ZGODNIE Z INSTRUKCJAMI ALBO NASTĘPNYM RAZEM  
OBETNIEMY WIĘCEJ NIŻ TYLKO WŁOSY.

ZNAJOMI RAYSHAUNA SKAVRONA

Jeszcze raz spojrzałem w ciemność otaczającą nasz dom. Nic się w niej nie zmieniło, ale kiedy mój wzrok wrócił do werandy, zauważyłem coś dziwnego w stropie tuż obok schodów.

Brakowało jednego z karmników.

## Rozdział 6

Sygnal dobiegający z czujnika ruchu był dość głośny, żeby wybudzić młodszego brata z drzemki na rozkładanym fotelu. Wstał, wziął do ręki karabin, który upadł na podłogę, i podszedł do okna.

Polanę przed domem rozświetliła para samochodowych reflektorów. Chwilę później światła zamrugały.

Znak, że wszystko w porządku. Młodszy brat odszedł od okna i rozbroił system alarmowy, stary, zainstalowany jeszcze przez oszołoma, który zbudował ten dom, i niepodłączony już do żadnej centrali. Ale wciąż wył bardzo głośno, kiedy tylko ktoś otworzył okno albo drzwi. Młodszy brat odwiesił karabin na haczyk w ścianie, gdzie było jego miejsce, po czym usiadł przy stole kuchennym i wziął do ręki iPada, akurat kiedy starszy wchodził do domu.

– Jak poszło? – zapytał młodszy.

– Dobrze – odparł jego brat i ponownie uzbroił system.

– Żadnych problemów z przesyłką?

– Żadnych. A tutaj?

– W miarę spokojnie. Chłopak narzekał, że chce jeść. Nakarmiłem go, żeby się zamknął.

– Mówiłem ci, że najedzone będą spokojniejsze. Co im dałeś?

– Kanapki z masłem orzechowym i dżemem. Powiedziałaś, że to ulubione żarcie amerykańskich dzieci.

– I zjadły?

– On tak. Jego siostra nawet ich nie tknęła.

– Zje, jak zgłodnieje.

Młodszy brat skinął w stronę jednej z sypialni.

– Chłopiec dużo płacze. Ciągłe woła, że chce do mamy i taty. Coraz bardziej mnie wkurza.

– Czyli już wiemy.

– Co?

– Którego z nich się pozbyć.

## Rozdział 7

Do rana nie było już snu, tylko sterta rozkopanej pościeli.

O świcie słońce weszło nad Gloucester w stanie Wirginia, okrutne w swojej nieświadomości dwóch zbolałych istnień, które oświetlało. Alison wstała już wcześniej. Słyszałem ją pod prysznicem i możliwe, że lekko przysnąłem, ukołyszany dźwiękiem płynącej wody.

Kiedy się obudziłem, była znów w sypialni i się ubierała.

– Idziesz do pracy? – spytałem.

– Nie, co ty. Już dzwoniłam, że mnie nie będzie. Jadę do szkoły.

Wsparłem się na łokciach.

– Mieliśmy nic nikomu nie mówić.

– Pamiętam. Ale muszę zadać im kilka pytań. Całą noc o tym myślałam. Bo co, ktoś po prostu przyjechał i zabrał nasze dzieci? Muszę to zrozumieć. A przynajmniej spróbować. Inaczej zwariuję. Zresztą na pewno będą się zastanawiali, dlaczego dzieci nie ma w szkole. Musimy im coś powiedzieć.

– Pojadę z tobą.

Zsunąłem nogi z łóżka.

– Wolalabym nie. Jesteś sędzią, niektórych to bardzo mocno krępuje.

– W takim razie ty będziesz mówiła – odparłem. – Ale chcę usłyszeć ich odpowiedzi.

– Nie wiem... – zaczęła, ale się powstrzymała. – Okej.

Uzyskawszy jej zgodę, ja też zmusiłem się do kąpieli. Kiedy tylko się ubrałem, szybko wyszliśmy z domu. Bez bliźniąt było w nim nieznośnie cicho.

Pojechaliśmy dwoma samochodami i piętnaście minut później parkowaliśmy przed Middle Peninsula Montessori. Gloucester nie było specjalnie zamożnym hrabstwem, co dawało się wyraźnie dostrzec, patrząc na szkołę Sama i Emmy. Był to niewielki, stalowy budynek stojący na skraju żwirowego parkingu. Zewnętrzne mury pokryte były malowidłami uczniów. Zawsze uważałem, że nadawały szkole wygląd radosnego, ciepłego miejsca, przepełnionego miłością i nauką raję, do którego posyłałem codziennie swoje dzieci.

Dzisiaj wydały mi się groteskowe.

Było kilka minut po ósmej, lekcje miały się zacząć za niecałe pół godziny.

– Pamiętaj, że to ja mówię – przypomniała mi Alison, kiedy do niej dołączyłem.

– Jasne – odparłem.

Minęliśmy parking, zgrzytając stopami na żwirze. Drzwi były zamknięte na klucz, zgodnie z regulaminem szkoły, więc Alison nacisnęła guzik dzwonka.

Po chwili zjawiła się Suzanne Fridley. Panna Suzanne, jak ją tu wszyscy nazywali, była jedną z tych ponadnaturalnie opanowanych osób, które wydawały się wręcz stworzone do pracy w środowisku szkolnym. Miała godne podziwu podejście do dzieci.

– O, dzień dobry, pani Sampson, panie sędzio – powiedziała, otwierając drzwi.

– Proszę wejść. Czemu zawdzięczamy tę miłą wizytę?

Staliśmy w niewielkim holu, który służył też za bibliotekę. Spojrzałem na Alison,

żeby dać jasno do zrozumienia, kto będzie grał pierwsze skrzypce.

– To pewnie dziwnie zabrzmie – powiedziała – ale kto wczoraj odebrał bliźnięta ze szkoły?

Panna Suzanne wcale się nie zdziwiła, wzięła tylko do ręki podkładkę z klipsem, która leżała na małym stoliku przy wejściu. Na doczepionej do niej kartce zapisywane były wszystkie wyjścia dzieci ze szkoły. Odwróciła kartkę i zmarszczyła brwi.

– Jak to? Pani je odebrała.

Odwróciła podkładkę, żeby Alison sama zobaczyła. I faktycznie: Sam i Emma zostały odebrane o 15.57 przez „mamę”. Tak zostało to odnotowane we właściwej kolumnie, a niżej widniał podpis pracownika szkoły.

Gdybym był na miejscu Alison, pewnie opadłaby mi szczęka, ale ona powiedziała tylko:

– To podpis Pam, prawda?

– Tak.

– Jest dzisiaj w szkole? – spytała Alison.

– Chwileczkę.

Panna Suzanne weszła spokojnym krokiem do sąsiedniego pokoju i piętnaście sekund później zjawiała się w towarzystwie Pam, starszej kobiety w typie dobrej babci, która pracowała jako asystentka nauczycieli.

– Państwo Sampson pytają o wczorajszy koniec lekcji – powiedziała Panna Suzanne. – Pamiętasz, komu wydawałaś bliźnięta?

– Tak – odparła szybko Pam.

– Komu?

– Pani Sampson – powiedziała staruszka, patrząc na Alison, która oblała się rumieńcem.

Postanowiłem interweniować.

– Zaszło jakieś nieporozumienie. Ktoś odebrał wczoraj nasze dzieci i nie wiemy kto. Wiem, że to dziwnie zabrzmie, ale czy jest pani pewna, że to była moja żona?

Pam spojrzała na mnie, potem przeniosła wzrok na Alison.

– No... tak. Tak mi się zdaje – powiedziała. – Miała pani... czapkę z daszkiem i okulary słoneczne, zgadza się?

Alison nie nosiła czapki z daszkiem od czasu studiów.

– Widziała pani jej twarz? – zapytałem.

– Nie. Tylko... tył głowy. Miała włosy zebrane w kucyk.

– Mówiła coś?

– Nie wydaje mi się. Nie.

Wtedy już byłem pewien, że to nie była Alison, która zawsze ma coś miłego do powiedzenia. Jakaś inna szczupła blondynka podszyła się pod moją żonę, dla niepoznaki używając czapki i okularów słonecznych.

– A samochód się zgadzał? – zapytałem.

– Tak, oczywiście – odparła Pam i spojrzała na Pannę Suzanne, jakby wzrokiem szukała u niej ratunku.

Ta powiedziała wreszcie:



– W zeszłym roku zainstalowaliśmy kamerę. Jeśli chcecie, możemy obejrzeć nagranie z wczoraj.

– To świetny pomysł – rzuciłem.

– Chodźcie za mną.

Weszliśmy za nią do ciasnego pokoju, znajdującego się tuż przy wejściu do szkoły. Usiadła przed monitorem komputerowym, na którym pojawił się aktualny obraz z kamery. Obiektyw skierowany był na drzwi wejściowe, ale w kadrze mieścił się też fragment parkingu.

– Muszę tylko przewinąć – powiedziała Panna Suzanne.

Kliknęła kilka razy i zegar w prawym górnym rogu ekranu zaczął się cofać. Poranek zmienił się w noc, potem we wczorajszy zmrok i wreszcie w coraz bardziej słoneczne popołudnie.

Wkrótce kadr wypełnił korowód cofających się samochodów. Nie widziałem niczego wartego odnotowania, ale Alison w którymś momencie zawołała:

– Jest!

– Okej – powiedziała Panna Suzanne.

Puściła nagranie z normalną prędkością. Zegar w rogu pokazywał 15:55:06. Przez następne siedemdziesiąt dwie sekundy nic się nie działo, ale o 15:56:18 od lewej strony w kadr wjechała szara honda odyssey, która po chwili zaparkowała.

My mamy szarego minivana Hondy. Kupiliśmy go kilka lat temu z drugiej ręki, żeby Justina miała czym odbierać dzieci ze szkoły.

Nie byłem pewien, czy ta szara honda odyssey była naszą szarą hondą odyssey, ale wydawała się identyczna. Nie dało się odczytać numerów na tablicy rejestracyjnej, bo na ekranie widać było tylko prawy bok auta. Ale rozpoznałem naklejkę z nazwą szkoły z prawej strony tylnej szyby, czyli dokładnie w tym miejscu, w którym nakleiliśmy swoją.

To był albo nasz samochód – skradziony z naszego podjazdu i może później zwrócony – albo jego doskonała kopia.

Kobieta za kierownicą miała okulary słoneczne i różową czapkę, spod której wystawał jasny kucyk. Patrzyła prosto przed siebie. Mogła to być Alison, ale równie dobrze ktoś, kto się pod nią podszywał. Obraz był zbyt ziarnisty, żeby to stwierdzić.

O 15:57:13 w kadrze pojawiła się Pam i w tej samej chwili otworzyły się boczne drzwi minivana.

Musiałem stłumić jęk, widząc, jak moje dzieci, moje piękne bliźnięta, wsiadają do auta. Najpierw Sam, Emma za nim. Mało brakowało, a poprosiłbym Pannę Suzanne, żeby zatrzymała nagranie – tak bardzo chciałem dłużej je widzieć.

Jednak trzymałem język za zębami i w milczeniu patrzyłem, jak samochód wyjeżdża poza kadr. Spojrzałem na zegar. Pokazywał 15:59:45.

Dwie minuty i trzydzieści dwie sekundy – tyle czasu zajęło zrównanie naszego życia z ziemią.

– Puścić jeszcze raz? – spytała Panna Suzanne.

Jeszcze w trakcie oglądania nagrania Alison zakryła usta dłonią. Teraz ją opuściła, wyprostowała plecy i spróbowała nad sobą zapanować.

– Nie, nie trzeba – odpowiedziała. – Już i tak zajęliśmy wam dużo czasu.

– To żaden problem – zapewniła ją Panna Suzanne, chyba jeszcze bardziej zakłopotana niż wcześniej.

– Dzisiaj naszych dzieci nie będzie w szkole – powiedziała Alison.

– Nie? – zdziwiła się Suzanne.

– Oboje wczoraj dostali gorączki. Moja mama się nimi opiekuje.

– No to mam nadzieję, że szybko wyzdrowieją – odparła Suzanne.

– Dziękuję. Pójdziemy już.

Uciekliśmy na parking i dopiero tam Alison wybuchnęła płaczem, który od dawna w niej wzbierał. Podeszedłem do niej, żeby ją objąć, ale ona spojrzała na mnie wielkimi oczami.

– Nie zatrzymuj się – wycodziła przez zaciśnięte zęby. – Nie rób scen.

Przez cały czas stała zwrócona plecami do drzwi szkoły, więc nawet gdyby Panna Suzanne patrzyła na nas przez okno swojego gabinetu, niewiele by zobaczyła.

Zresztą nie miałyby to większego znaczenia. I tak daliśmy pokaz, do jakiego zdolni mogli być tylko ludzie, którzy postradali zmysły.

## Rozdział 8

Alison zadzwoniła do mnie niedługo po tym, jak wyjechaliśmy ze szkolnego parkingu.

– To nie byłam ja – powiedziała. – Nie odebrałam ich wczoraj.

– Wiem.

– Nie mogę uwierzyć, że tak po prostu wsiadły do samochodu z obcym człowiekiem. Naprawdę niczego nie zauważyły?

– Nie miały powodów do podejrzeń. Wszystko działa się tak samo jak zwykle.

– To jakiś obłąd. Już... – przerwała sobie głębokim wydechem. – Nie wiem, jak długo wytrzymam.

Miałem ten sam problem, ale to nie był dobry moment, żeby się do tego przyznawać. Jedną z niepisanych zasad rodzicielstwa jest to, że tylko jedno z dorosłych ma w danej chwili prawo zwariować.

– Wyobrażasz sobie, co muszą o nas teraz myśleć? – powiedziała Alison. – „Słuchajcie, kto odebrał nasze dzieci? Tacy z nas beznadziejni rodzice, że sami nie wiemy”. „Jak to kto? Ty, wariatko”.

– Fakt, pewnie wyszliśmy na stukniętych – przyznałem jej rację. – Ale jeśli mam być szczerzy, to nie jest to teraz nasz największy problem.

– Wiem – odparła cicho. – Wiem.

Właśnie skręciłem w lewo, żeby pojechać na południe drogą numer 17, czteropasmówką, wzdłuż której reklamowały się ordynarnie fast foody i hotele sieciowe, centra handlowe i banki, warsztaty samochodowe i stacje benzynowe, a wszystko to w niekończącej się pętli.

– No dobra, już cię nie trzymam – powiedziała Alison. – Odezwij się, jak tylko je odzyskasz, okej?

– Oczywiście. Nic się nie martw. Niedługo będzie po wszystkim.

Rozłączyliśmy się. Przejechałem rzekę York mostem Colemana i wjechałem na międzystanówkę numer 64. Kiedy zadzwonił mój telefon, pomyślałem, że to znów Alison, ale na ekranie wyświetliło się słowo FRANKLIN.

Przez trzynaście lat senator Blake Franklin był moim szefem. A właściwie kimś więcej. Był moim mentorem, pochlebcą, kibicem, dręczycielem, obiektem moich obsesji. Należał do tego wąskiego grona osób, które zawsze mogły mi powiedzieć, jak świetnie sobie radzę, dodając zarazem, że mógłbym sobie radzić jeszcze lepiej, a ja bezwarunkowo mu wierzyłem. Im wyżej piąłem się po szczeblach kariery i im większa odpowiedzialność spoczywała na moich barkach, tym więcej czasu spędzałem w jego biurze. Zazwyczaj zjawiałem się o szóstej rano, rzadko kiedy wychodziłem przed ósmą wieczorem, i było mi z tym dobrze. Ponad wszystko zależało mi na zdobyciu jego uznania.

A potem, jakieś pięć lat temu, nadszedł dzień Incydentu. Blake organizował konferencję prasową, na której zamierzał ogłosić założenia głośnego projektu legislacyjnego, który nazywaliśmy Ustawą o prawach i obowiązkach posiadaczy broni.

Było to, naszym zdaniem, bardzo rozsądne rozwiązanie odwołujące się do interesów obu stron sporu. Ustawa w bardzo mocnych słowach uznawała nienaruszalność

drugiej poprawki do konstytucji, dającej obywatelom prawo do posiadania broni palnej, i kodyfikowała ostatecznie postanowienia Sądu Najwyższego, co było poważnym ustępstwem na rzecz lobby posiadaczy broni. Zawierała też przepisy zakazujące ograniczania ilości broni przypadającej na jedną osobę; był to kolejny ukłon w stronę praworządnych obywateli, którzy chcieli po prostu żyć wolni od tyranii rządu. Ale z drugiej strony bardzo wzmacniała procedury weryfikacyjne i inne zdroworozsądkowe metody ograniczania dostępu do broni przestępcom, osobnikom stosującym przemoc wobec członków rodziny i osobom chorym umysłowo.

Pracowałem nad nią jak opętany, bo chciałem, żeby była doskonała i dzięki temu odporna na krytykę. Różne jej wersje krążyły po korytarzach Kapitolu i wszystko wskazywało na to, że cieszy się niezbędnym poparciem obu izb. Byłem dumny, że stoję ramię w ramię z Blakiem, kiedy ten przedstawiał publicznie główne założenia nowego prawa.

I właśnie wtedy jakiś wariat – czyli dokładnie ten typ, któremu chcieliśmy uniemożliwić dostęp do broni palnej – otworzył ogień.

Zanim policjanci go unieszkodliwili, zdążył oddać osiem strzałów. Blake'a jakimś cudem nie trafił ani razu. Siedem kul odbiło się od schodów budynku Senatu. Jedna uderzyła mnie w klatkę piersiową.

Lekarz powiedział mi później, że miałem niesamowity fart. Kula weszła w moje ciało pod kątem, odbiła się od żebra i wyleciała pod lewą pachą. Gdyby przeszła mnie na wprost, miałbym poważne kłopoty. Gdyby skręciła w prawo, na pewno bym nie przeżył.

Tymczasem zabrała mi tylko kawałek mięsa i jakiegokolwiek złudzenia o życiu wiecznym. Być może banałem jest stwierdzenie, że otarcie się o śmierć każe człowiekowi na nowo zweryfikować życiowe priorytety, ale w tym przypadku banał jest prawdą. Kula zamachowca zostawiła we mnie dużo więcej niż tylko blizny.

A na pewno przypomniała mi słowa mojego nieżyjącego już wtedy ojca, który mawiał, że jeszcze żaden człowiek na łożu śmierci nie żałował, że poświęcił za mało czasu na pracę. Bliźnięta właśnie skończyły roczek i w ostrym świetle szpitalnej sali zobaczyłem, że cały ten rok praktycznie przepłynął mi przez palce, bo pracowałem po czternaście godzin dziennie. Kula zamachowca mogła trafić mnie pod innym kątem i odebrać dzieciom ojca na zawsze, ale prawda była taka, że ja sam pozbawiałem ich kontaktu z drugim rodzicem na długo przed strzelaniną pod budynkiem Senatu.

Wiedziałem, że dopóki będę członkiem gabinetu senatora Franklina, nic się nie zmieni. Kiedy powiedziałem Alison, że rozważam odejście z pracy – a muszę dodać, że podjąłem tę decyzję, jeszcze zanim na dobre ocknąłem się z narkozy – rozplakała się z radości.

Dwa dni później, wciąż leżąc na szpitalnym łóżku, wręczyłem senatorowi swoją rezygnację na piśmie. Zachował się honorowo, w czym niewątpliwie sporą rolę odegrało poczucie winy, wiedział bowiem, że kula, która mnie trafiła, była przeznaczona dla niego. Pewnie pomógł też fakt, że Franklin był ojcem chrzestnym Emmy. Wyższa instancja podpowiadała mu, że tak będzie lepiej dla mnie i mojej rodziny.

Sędziostwo było zresztą jego pomysłem. Mniej więcej w tym samym czasie

zwolniło się miejsce w Norfolk, należącym do Dystryktu Wschodniego Wirginii. Byłem, mówiąc delikatnie, nietypowym kandydatem. Mało kto pamiętał, kiedy ostatni raz szeregowy pracownik gabinetu senatora został mianowany na sędziego federalnego. Od czasu stażu w Sądzie Apelacyjnym dla Czwartego Okręgu, który odbyłem, będąc świeżo po studiach, rzadko kiedy bywałem w jakimkolwiek sądzie. Ale ponieważ miałem w Senacie liczne kontakty, a dodatkowo po strzelaninie byłem obdarzony sporą dozą współczucia, moja kandydatura została zatwierdzona w głosowaniu, w którym osiemdziesięcioro ósmioro senatorów głosowało za i nikt nie oddał głosu przeciw.

Dwunastu przeciwników mianowania mnie sędzią nie odważyło się stawić w Kapitolu w dniu głosowania. Za to później robili, co mogli, żeby w zakulisowych grach storpedować ustawę, za którą niemal oddałem życie.

Od tamtej pory Blake i ja pozostawaliśmy w bliskich kontaktach. Wspólne doświadczenie zetknięcia się ze śmiercią związało nas ze sobą, jakbyśmy byli towarzyszami broni, którzy wrócili z wojny. Ale byliśmy też po prostu przyjaciółmi, lubiącymi rozmawiać o polityce i plotkować o życiu w Kapitolu.

Przez chwilę rozważałem możliwość, żeby nie odbierać telefonu, ale zbyt długo trwał w moim życiu czas, kiedy zignorowanie połączenia przychodzącego od senatora Franklina zwyczajnie nie wchodziło w grę, bym teraz mógł nie nacisnąć zielonej słuchawki; z tak głęboko zakorzenionymi przyzwyczajeniami niełatwo jest się rozstać.

– Czołem, Blake.

– Witam, panie sędzio – odpowiedział z delikatnym, południowym zaśpiewem, który od lat gwarantował mu tysiące głosów wyborców. – Nie przeszkadzam?

– Jadę samochodem. Co tam? – rzuciłem z wymuszonym luzem.

– Moi podwładni zafundowali mi właśnie wywiad z reporterem z „Wall Street Journal”.

– Na temat kampanii? – zapytałem, wiedząc, że Blake był w trakcie ostrej walki o reelekcję.

– Nie, mój drogi. Na temat ciebie. Podobno masz na wokandzie jakąś dużą sprawę.

Ledwo udało mi się utrzymać samochód na jezdni. „Wall Street Journal” interesuje się sprawą Skavrona? Czyżbym o czymś nie wiedział? Co takiego było w osobie Rayshauna Skavrona, że przyciągnęło uwagę jednej z najważniejszych gazet w Ameryce?

– Tak? – odparłem z rezerwą. – I co im powiedziałeś?

– No wiesz, to co zwykle: że w każde święta obdarowujesz znajomych dziecięcą pornografią, ale że ci to wybaczymy, bo zazwyczaj robisz to na haju heroinowym.

To był senator Franklin, którego większość wyborców nie miała szansy poznać. W normalnych okolicznościach wymyśliłbym równie sprośną ripostę, ale nie dzisiaj.

– Mam tylko nadzieję, że nie dowiedzą się o tych wszystkich łapówkach, które brałeś, bo... – Senator zamilkł, wyczuwając, że nie biorę udziału w zabawie. – Co tam? Wszystko w porządku? – zapytał.

Momentalnie zebrało mi się na płacz. Blake miał swój sposób na ludzi. Na tym między innymi polegał jego polityczny geniusz. Potrafił być prawdziwym despota, który od swoich podwładnych wymaga bezgranicznego oddania i maksymalnego wysiłku, aż do momentu, kiedy widział, że ktoś jest bliski wyczerpania. W takich chwilach zachodziła

w nim całkowita przemiana i nagle zachowywał się tak, jakby na niczym nie zależało mu bardziej niż na komforcie tej czy innej wyzutej z sił osoby.

I oczywiście zapragnąłem mu się wyżyć, jak to już wiele razy w życiu robiłem. Moi rodzice zmarli w rocznym odstępie, kiedy oboje mieli po sześćdziesiąt kilka lat, a ja byłem trzydziestoparolatkiem. Blake się mną wtedy zaopiekował i od tamtej pory właściwie zastępował mi ojca.

Udało mi się jednak opanować to silne pragnienie podzielenia się z nim naszymi problemami.

– Tak, tak. Przepraszam – odparłem. – Mam mały zamęt w głowie przez tę rozprawę.

– No cóż, powiedziałbym, że rozumiem, tyle że oczywiście nie rozumiem. Chyba nie dałbym rady w twoim fachu. Dużo łatwiej jest podejmować decyzje, kiedy się wie, że odpowiedzialność za ewentualną wpadkę rozłoży się na co najmniej pięćdziesiąt innych osób.

– Wielkie dzięki – powiedziałem i żeby zmienić temat, dodałem: – U was wszystko dobrze?

Rozgadał się przez chwilę o żonie i dzieciach (miał dwie córki, obydwie szczęśliwie wprowadzone w dorosłość). Ale zaraz potem skierował rozmowę z powrotem na swój wywiad dla „Wall Street Journal”, żeby mnie zapewnić, że powiedział dziennikarzowi wyłącznie dobre rzeczy na mój temat. Potem zapytał:

– A jak tam moja chrześnica?

Głos utknął mi w krtani, ale udało mi się wydusić z siebie:

– Wspaniale. Dziękuję.

– No dobra – rzucił na zakończenie. – Pozdrów Alison i bliźniaki.

## Rozdział 9

W dniu ogłaszania wyroku w moim biurze, które mieści się w zachodnim skrzydle czwartego piętra Sądu imienia Waltera E. Hoffmana, panuje zawsze charakterystyczna atmosfera.

Moi podwładni są cichsi, nastrój jest poważniejszy. Jest to zrozumiałe dla każdego, kto choć raz widział, jak wygląda więzienie federalne. Są to koszmarne instytucje, mające na celu odczłowieczenie przebywających w nich osób. A jeśli się spojrzy na nasz wskaźnik inkarceracji, który jest średnio siedem razy wyższy niż w innych krajach, wyższy nawet niż w Związku Radzieckim za Stalina, to trudno nie uznać, że coś jest nie tak ze społeczeństwem wysyłającym tak wielu swoich obywateli za kratki.

Jednak moja praca polega również na tym. Nie jest to mój ulubiony aspekt bycia sędzią i moi podwładni o tym wiedzą. W dni takie jak ten zazwyczaj dostaję od nich trochę więcej przestrzeni dla siebie.

Dlatego też, kiedy szedłem do naszej niewielkiej kuchni, żeby nalać sobie kawy, zdziwiłem się, gdy usłyszałem, że Jeremy Freeland woła mnie ze swojego pokoju.

– Panie sędzio, ma pan chwilę?

Jeremy był mężczyzną prawie czterdziestoletnim, przystojnym i zawsze nienagannie wypielęgnowanym, o włosach w kolorze piaskowego blond i błękitnych oczach. Biegał co najmniej trzydzieści kilometrów tygodniowo i był dzięki temu idealnie szczupły. Nosił garnitury szyte na miarę i kolorowe krawaty, które doskonale pasowały do reszty jego stroju.

Wszystko to, łącznie z jego lekko zniewieściałym usposobieniem i wiecznym statusem kawalera, kazało mi podejrzewać, że jest gejem, choć nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Pozew, który unieważnił zakaz małżeństw homoseksualnych w Wirginii, tak zwana sprawa Bostica, był rozpatrywany w naszym sądzie. Powiedziałem wtedy Jeremy'emu, że moim zdaniem sędzia wydał sprawiedliwy wyrok, który był od dawna wyczekiwany tryumfem w walce o prawa obywatelskie w Ameryce. Jeremy odpowiedział zupełnie beznamietną analizą czternastej poprawki do konstytucji.

Oficjalnie w moim gabinecie pełnił obowiązki „sekretarza sądu”, ale to pierwsze słowo było w jego przypadku mylące. Jeremy był adwokatem, którego wieloletnie doświadczenie nie raz ratowało mnie przed utratą twarzy. Wiele zasad rządzących pracą sądu federalnego ma charakter nieformalny. Są one owocem rozwijającej się przez dekady powszechnej praktyki sądowej i kiedy odchodziłem z Senatu, większości z nich nie pamiętałem. Jeremy był moją tajną bronią i często to dzięki niemu robiłem na ludziach wrażenie dużo bardziej obeznanego w procedurach, niż w rzeczywistości byłem.

Wcześniej pracował dla sędziego Sądu Apelacyjnego dla Czwartego Okręgu, a kiedy ten przeszedł na emeryturę, zgodził się wrócić na niższy szczebel sądu dystryktowego, bo widział ciekawe wyzwanie w pracy dla nowicjusza, który nie poradziłby sobie bez jego pomocy. Robił dla mnie kwerendy, organizował pracę młodszych asystentów, pisał niektóre z co bardziej rutynowych werdyktów i doradzał przy tych bardziej złożonych. Wielokrotnie mu mówiłem, że jest najlepszym sekretarzem w historii Dystryktu Wschodniego Wirginii, i wcale nie przesadzałem.

Stanąłem w progu jego pokoju, o który Jeremy dbał z takim samym pietyzmem jak o swój wygląd. Rośliny doniczkowe traktował jak zwierzęta domowe, a prawdziwe zwierzęta – dwie rybki o imionach Thurgood i Marshall, na cześć jego ulubionego sędziego Sądu Najwyższego – traktował jak własne dzieci.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedział – ale powinien sędzia wiedzieć, że dziś rano dzwonił reporter z „New York Timesa”. Powiedziałem mu, że nie zamierza sędzia komentować sprawy, mimo to zapytał, czy może porozmawiać nieoficjalnie. Odmówiłem mu, ale chciałem tylko, żeby sędzia o tym wiedział.

Najpierw „Journal”, teraz „Times”? Najwyraźniej było w *Skavronie* coś, o czym nie wiedziałem.

– Słusznie – odparłem. – Dziękuję.

– Dzwonił też niejaki Steve Politi z portalu PulsMinus.com. To jakiś blog finansowy prowadzony przez tego Politiego. Puls, nie plus, niby że śledzą sytuację na rynkach. Zajrzałem tam i z tego, co się zorientowałem, to najwięcej tam plotek i insynuacji. Taki trochę brukowiec dla finansistów. Facet twierdzi, że ma ponad dwa miliony unikalnych kliknięć w miesiącu.

Ale co go obchodził Skavron?

– Okej. Nie będziemy komentować – powiedziałem.

– Oczywiście.

Przez chwilę patrzyłem na stojący na jego biurku monitor wyświetlający obraz z kamery zainstalowanej na korytarzu. Przypadkowy gość nie byłby w stanie tego zauważyć, ale gmach naszego sądu, wybudowany w czasach Wielkiego Kryzysu i sprawiający wrażenie nietkniętego od tamtych lat, był w rzeczywistości naszpikowany kamerami. Dzięki nim sędziowie mieli doskonały podgląd wszystkich korytarzy w budynku. Dzięki temu, jeśli ktoś chciał do nas wejść, nie mógł tego zrobić, nie zostawszy uprzednio dokładnie zlustrowany od stóp do głów. Monitor stał u Jeremy’ego, bo moja sekretarka Joan Smith nie chciała go mieć na swoim biurku.

W tym konkretnym momencie – jak zresztą przez większość czasu – korytarz był pusty. Ale i tak gapiłem się w monitor. W mojej głowie też było pusto.

Podziękowałem Jeremy’emu pod nosem i poszedłem po kawę, po czym wróciłem do swojego gabinetu i spróbowałem zrobić to, co zwykle robiłem przed wydaniem wyroku: punkt po punkcie przejrzeć jeszcze raz akta sprawy i kolejny raz upewnić się co do słuszności kary, jaką zamierzałem wymierzyć.

Ale tego ranka nie potrafiłem się skupić. Gapiłem się na szczerbaty budynkami horyzont centrum Norfolk, co było moim nawykiem, ilekroć się nad czymś zastanawiałem. Tyle że tego dnia byłem w stanie myśleć tylko o moich dzieciach.

Odsunąłem od siebie przykre obrazy i skoncentrowałem się na czymś przyjemniejszym: porannym rytuale, jaki Sam i Emma wypracowali sobie w ostatnich miesiącach. Sam wstawał jako pierwszy, ale nigdy nie schodził na dół bez siostry. Bawił się w swoim pokoju i czekał, aż Emma go zawoła.

Był to dla niego sygnał, że może wejść do jej sypialni. Zazwyczaj trochę się przytulali – dawniej spali w jednej kołyszce, więc przywykli do bliskości – dopóki Emma nie oznajmiła, że jest gotowa zejść, a wtedy Sam, który był od swojej siostry wyższy



o kilka centymetrów i o jakieś pięć kilo cięższy, brał Emmę na plecy i schodził na czworaka do salonu na parterze.

Było to takie urocze, że musieliśmy z Alison powstrzymać się przed paniem z zachwytu. Czasem zostawialiśmy w łóżku trochę dłużej, żeby słuchać ich rozmów, albo skradaliśmy się do drzwi naszej sypialni i stamtąd ich podglądaliśmy.

Właśnie upajałem się tym wspomnieniem, kiedy zawibrowała moja komórka. Wyjąłem aparat z kieszeni i zobaczyłem na ekranie imię Alison.

– Cześć – powiedziałem.

– Justina ma perukę.

– Słucham?

– Justina ma blond perukę – powtórzyła, podkreślając dwa ostatnie słowa, jakby ich znaczenie było oczywiste. – Znalazłam ją w domu gościnnym. W jej szafie.

– Czekaj, nie rozumiem. Justina ma w szafie perukę. I co w związku z tym?

– Po co jej blond peruka?

Justina była brunetką. Innych szczegółów jej wyglądu celowo starałem się nie zauważać. Jeśli jest się żonatym mężczyzną w średnim wieku i mieszka się niemalże pod jednym dachem ze studentką, najlepiej jest nie zwracać na nią większej uwagi.

– Nie mam pojęcia – powiedziałem. – A ty myślisz, że...

– Założyła ją, żeby się pode mnie podszyć przy odbieraniu dzieci ze szkoły? Tak.

Zastanowiłem się, na ile faktycznie mogłaby w ten sposób kogoś oszukać. Od szyi w dół Justina była bez wątpienia podobna do mojej żony. Są mniej więcej tego samego wzrostu i mają podobną, smukłą sylwetkę. Justina pochodziła z kraju leżącego na granicy dwóch kontynentów, ale jej uroda miała zdecydowanie więcej akcentów europejskich niż azjatyckich. Czy peruka, czapka i ciemne okulary mogły wystarczyć, żeby Pam wzięła ją za Alison przez te parę sekund, kiedy drzwi hondy były otwarte?

– Ale zaraz, po co miałyby udawać ciebie? – zapytałem. – Przecież jest na liście. Odbiera Sama i Emmę częściej niż ty i ja razem wzięci.

– Tak, ale wiedziała, że musiałyby się podpisać, i gdybyśmy zobaczyli jej nazwisko przy wczorajszej rozpisce, podejrzenie padłoby na nią.

– No dobra, i co dalej? Dlaczego Justina miałyby pomagać dilerowi, którego prawie na pewno nigdy nie widziała na oczy?

– Nie możesz być tego pewien. Tak naprawdę jej nie znamy, nie wiemy, co robi i z kim się zadaje, kiedy nie opiekuje się dziećmi.

– W sumie racja.

– Przyszły mi do głowy dwa scenariusze – powiedziała Alison. – Pierwszy: jest narkomanką i tak poznała tego... bandziora.

Błyskawicznie przebiegłem w myślach przez wszystkie swoje kontakty z Justiną. Nic w nich nie wydało mi się podejrzane, ale na sali sądowej widziałem nieraz, jak przebiegli potrafią być narkomani.

– Drugi, bardziej prawdopodobny scenariusz jest taki – ciągnęła Alison – że ktoś ją zmusił do współpracy. Nie wiem, może grożąc jej albo jej rodzicom. Nie myślałam o tym aż tak szczegółowo. Ale zastanów się, kto inny ma kluczyki od hondy?

Wstałem i podszedłem do okna. Rodzice Justiny mieszkali w Turcji, ale

międzynarodowe kartele narkotykowe mają długie macki. Ktoś, komu zależało na Skavronie, mógł się do nich dobrać.

– Okej, to co chcesz zrobić? – spytałem.

– Wysłałam jej esemesa, że nie musi dzisiaj odbierać dzieci. Pomyślałam, że się tym zajmiemy, jak już odzyskamy Sama i Emmę. Tymczasem przejrzę resztę jej rzeczy, może znajdę coś jeszcze. Jakąś gotówkę albo prochy.

– Dobra. Dawaj znać, jakby co.

Rozłączyliśmy się. Wróciłem do biurka i pomyślałem o Justinie, która kochała bliźnięta i od dwóch lat była integralną częścią naszej rodziny. Nie byłem jeszcze gotów skazać jej za porwanie wyłącznie na podstawie jednej peruki w szafie.

Ale niczego nie zamierzałem wykluczać.

## Rozdział 10

Budynek był stary, ceglany i doskonale pasował do potrzeb braci.

Według danych urzędu miejskiego w Norfolk nie miał statusu opuszczonego. Ale nie był też zajęty. Z jego okien rozciągał się idealny widok na budynek Sądu imienia Waltera E. Hoffmana i to liczyło się najbardziej.

Młodszy z braci znalazł to miejsce tydzień wcześniej. Od strony ulicy stalowe kraty osłaniały okna i drzwi wejściowe przed włóczęgami i dzikimi lokatorami. Ale dostępu do tylnych drzwi, do których można się było dostać boczną alejką, broniła tylko siatka z bramą zamkniętą na kłódkę. W trakcie tej pierwszej wizyty zerwał kłódkę i wymienił ją na nową.

Więc teraz mógł wejść do środka, używając własnego klucza.

Wniósł aktówkę i płócienną torbę na piąte piętro, które już wcześniej ocenił jako znajdujące się na idealnej wysokości. Wyjął z torby statyw i rozłożył go.

Potem otworzył walizkę, w której trzymał lunetę teleskopową. Zainstalował ją na statywie i nakierował na okna sali sądowej czcigodnego Scotta Sampsona. Urządzenie miało rewelacyjną rozdzielczość. Mężczyzna już wcześniej długo ćwiczył dostrajanie ostrości i teraz był w tym ekspertem. Widział napięcie rysujące się na twarzach członków rodziny oskarżonego, kiedy wchodzili na rozprawę.

Uśmiechnął się. Oni nie byli częścią planu. Nie mieli pojęcia, co ich czeka.

Wyjął z kieszeni komórkę i wybrał numer do brata.

– Jestem na miejscu – powiedział.

– Dobrze – padła odpowiedź. – Pierwszy esemes idzie za kwadrans.

– Doskonale. Będę obserwował.

## Rozdział 11

Przez resztę poranka patrzyłem na godzinową wskazówkę wiszącego na ścianie zegara, jak sunęła o ciężale w kierunku jedenastej.

Trzymałem telefon na biurku, żeby przypadkiem nie przegapić instrukcji od porywaczy. Zakładałem, że każą mi uwolnić Skavrona, co w tym przypadku oznaczałoby skazanie go na czas już spędzony w areszcie, czyli dwa miesiące i trzy dni. Jakies piętnaście lat mniej, niż powinien dostać zgodnie z wytycznymi orzekania w tego typu sprawach.

Oczywiście możliwe są odstępstwa od tych wytycznych, które uważałem, podobnie jak wielu innych sędziów, za wyjątkowo uciążliwe, ale są one bardzo precyzyjnie określone: oskarżony nie może być recydywistą, łagodnego wyroku nie można wydać za przestępstwo popełnione z bronią w ręku, nie wolno też traktować pobłażliwie osób stojących wysoko w hierarchii zorganizowanych grup przestępczych.

Innymi słowy, oskarżony mający szansę na krótszy wyrok nie mógł się nazywać Skavron.

Oczywiście ja i tak mogłem zrobić, co chciałem. W końcu cesarz ma swoje prawa. Mój werdykt z pewnością zostałby zaskarżony przez prokuraturę i następnie unieważniony przez Sąd Apelacyjny w Richmond. Przy okazji wydano by nowy nakaz aresztowania Skavrona, który jednak, jak się domyślam, do tego czasu dałby już nogę z pomocą ludzi koordynujących całą tę operację.

Oczywiście wypuszczenie go na wolność było sprzeczne ze wszystkimi wartościami, którymi kierowałem się jako sędzia, a mimo to zrobiłbym to bez mrugnięcia okiem, żeby tylko uratować swoje dzieci.

O 10.55 wciąż nie miałem żadnych instrukcji, a tymczasem musiałem już iść na rozprawę. Wsunąłem telefon do kieszeni, włożyłem togę i wszedłem do mojej prywatnej łazienki, żeby jeszcze ostatni raz spojrzeć w lustro, jak to mam w zwyczaju przed udaniem się na salę sądową.

I właśnie to robiłem – konkretnie, patrzyłem na worki pod oczami – kiedy poczułem wibrację na udzie.

Szybkim ruchem wyjąłem komórkę z kieszeni. Zobaczyłem, że mam wiadomość z numeru, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Zaczynał się od 900; to musieli być porywacze. Otwierając ją, czułem, że mam skrócony oddech.

Musiałem ją przeczytać trzy razy, żeby mieć pewność, że zrozumiałem.

Niech Skavron gnije. Daj mu dwa dożywocia. Kolejne, nie równoległe.

Więc o to im chodziło? Nie o wyciągnięcie Skavrona z więzienia, ale o zamknięcie go w nim na zawsze? Kto na tym skorzysta?

Ewidentnie miałem do czynienia z kimś, komu Skavron mocno zaszedł za skórę. Ale nie zdążyłem nawet na dobre się wgryźć w swoje podejrzenia, kiedy przyszedł kolejny SMS.

Dla potwierdzenia, że dostałeś wiadomość i zamierzasz wykonać polecenie, wejdź na salę sądową z przedziałkiem po drugiej stronie.

Przeszedł mi po plecach lodowaty dreszcz. Nedorzecznosc tego polecenia uderzyła mnie mocniej niż jego treść. Ktoś musiał mnie obserwować. I to z bliska, bo jak inaczej miałby dostrzec tak subtelną zmianę w moim wyglądzie?

Jeszcze jedna wiadomość:

Miej telefon przy sobie, to nie koniec instrukcji.

Czekałem, aż pojawi się coś jeszcze, ale wyglądało na to, że na razie przerwali. Odpisałem:

Oczywiście zrobię, jak chcecie. Ale dlaczego? Czemu dwa dożywocia?

Kilka sekund później dostałem SMS-a z informacją, że wysłałem wiadomość na numer stacjonarny i że za trzydzieści dziewięć centów mogła ona zostać odtworzona jako komunikat teks...

Włożyłem telefon z powrotem do kieszeni. Nie było już czasu na doszukiwanie się sensu w tej serii rozkazów. Moi podwładni, a przede wszystkim ludzie, którzy zapełnili ławy mojej sali sądowej, czekali, aż się wreszcie pojawię.

I musiałem tam wejść z włosami zaczesanymi w lewo. Odkąd pamiętam, miałem przedziałek po lewej stronie i czesałem się na prawo. Czy oni o tym wiedzieli? Może próbowali jak najbardziej zaburzyć moje poczucie bezpieczeństwa.

Jeśli faktycznie taki był ich zamysł, to dopięli swego. Zmoczyłem włosy, kilka razy przeczesalem je grzebieniem, po czym oceniłem efekt w lustrze.

To ciągle byłem ja, ale wyglądałem jak swój sobowtór.

– Chryste – jęknąłem pod nosem.

Ostatni raz potrząsnąłem jeszcze wilgotną głową, wyszedłem z łazienki i wmaszerowałem do recepcji, gdzie czekali już na mnie moi pracownicy.

– Wszyscy gotowi? – zapytałem, siląc się na zrównoważony ton.

– Jean Ann właśnie zadzwoniła – powiedziała Joan Smith.

Jean Ann Sanford pomagała prowadzić moje biuro. To do niej należało dopilnowanie, by wszyscy na czas zajęli swoje miejsca. Wtedy dzwoniła do nas i mówiła, że można zaczynać.

Jeremy Freeland bacznie mi się przyglądał. Znał mnie od dawna, więc wiedział, że coś jest ze mną nie tak, nawet jeśli nie był pewien co.

– Panie sędzio, wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak – odparłem.

W końcu jego wzrok spoczął na mojej głowie.

– Co się stało z...

W ostatniej chwili się powstrzymał. Przypomniał sobie, że rolą sekretarza sądowego nie jest komentowanie fryzury sędziego.

– Nic mi nie jest – powtórzyłem, tym razem bardziej stanowczo.

– Na pewno? Bo...

– Chodźmy – przerwałem mu.

Oficer straży sądowej towarzyszył mi w drodze przez korytarz, potem przytrzymał

mi drzwi, a jeden z moich asystentów wypowiedział odwieczną formułkę:

– Proszę wstać! Sąd idzie.

Za progiem zobaczyłem to samo co zwykle. W przeciwieństwie do kilku większych pomieszczeń na parterze, tych z wysokimi sufitami, w których panowała niemalże nabożna atmosfera, na mojej sali sądowej było intymniej. Stało tutaj sześć rzędów ław dla obserwatorów, które dzisiaj świeciły pustkami. Zajęty był jedynie jeden rząd, w którym zasiedli sami czarnoskórzy, prawdopodobnie rodzina i przyjaciele Rayshauna Skavrona. Po drugiej stronie środkowego przejścia siedziała biała para w średnim wieku. Oboje byli elegancko ubrani, ale wyglądali na zmęczonych życiem.

W ławie przed nimi swoje miejsca zajęli prawnicy. Oskarżyciel po mojej lewej, obrońca po prawej.

Z kolei po prawej stronie od obrońcy siedział Rayshaun Skavron. Był niskim, pulchnym mężczyzną o okrągłej głowie i twarzy, która nikomu nie zapadłaby w pamięć. Miał na sobie pomarańczowy kombinezon Więzienia Rejonowego Western Tidewater. Ręce i szyję pokrywały mu tatuaże.

Nie różnił się specjalnie od innych oskarżonych, którzy stawali przed moim obliczem. Był pokonany, odarty z dumy, przygotowany na to, co przyniesie mu los.

Obok niego siedzieli dwaj mężczyźni w wiatrówkach US Marshals Service, którzy przyprowadzili go na salę. Przede mną swoje miejsca zajęli Jean Ann i sprawozdawca sądowy. Asystent, który właśnie skończył zwoływać rozprawę, usiadł jak zwykle po mojej prawej.

To byli wszyscy. Czy któraś z tych osób obserwowała moje ruchy i w jakiś sposób przekazywała je dalej? Może to ktoś z moich podwładnych? Czyżby ktoś szpiegował mnie przez cienkie szpary w drzwiach z tyłu? A może porywacze znaleźli sposób na to, żeby podglądać rozprawę przez okna?

Wiedziałem tylko tyle, że gdzieś niedaleko były osoby wmieszane w porwanie moich dzieci i zmuszenie mnie szantażem do wydania wyroku, na mocy którego Rayshaun Skavron miał trafić za kraty do końca swych dni.

I ciągle nie mogłem zrozumieć, po co ktoś miałby podejmować w jego sprawie aż taki wysiłek.

Chciałem, żeby proces potoczył się możliwie najszybciej, więc błyskawicznie wypowiedziałem wszystkie formułki, które muszą się znaleźć w zapisie rozprawy, a które po czterech latach powtarzania znałem na pamięć. Raz po raz wracałem myślami do telefonu. W normalnych okolicznościach nie wniósłbym go na salę sądową.

To nie koniec instrukcji? Co to mogło znaczyć?

Kontynuując swoją mowę, ukradkiem wsunąłem dłoń pod togę i wyjąłem telefon z kieszeni. Trzymałem go pod stołem, na udzie, żeby nie przegapić wibracji.

Wreszcie skinąłem w stronę prokuratora Willa Hubbarda, który znał moją salę sądową jak własną kieszeń. Wyglądał jak człowiek przegrywający na punkty walkę z nudą.

– Dziękuję, wysoki sądzie – powiedział i wstał. – Wiem, że czytał pan opinię kuratora, więc nie ma sensu powtarzać wszystkich szczegółów. Chciałbym zaznaczyć, że podczas aresztowania pan Skavron zaprzeczył, jakoby znalezione przy nim narkotyki

należały do niego, ale trzeba mu oddać, że jakieś dwadzieścia minut później zmienił zdanie i od tamtej pory konsekwentnie przyznawał się do winy. Współpracował z wymiarem sprawiedliwości i mimo że współpraca ta nie doprowadziła do dalszych aresztowań, należy ją wziąć pod uwagę. Wyraził też chęć ukończenia zaocznego kursu licealnego, co pozwala mieć nadzieję, że przynajmniej rozważy prowadzenie w przyszłości bardziej praworządnego życia. – Hubbard zrobił przerwę na nabranie oddechu, po czym kontynuował: – Takie są dwie okoliczności łagodzące. Tyle samo jest okoliczności obciążających. Pierwsza jest taka, że narkotyki i broń palną przechowywał w mieszkaniu należącym do kuzynki, która ma trójkę dzieci w wieku poniżej dziesięciu lat. Naturalnie bardzo nią wstrząsnął fakt, że pan Skavron skaził jej domostwo w tak niecny sposób. Pierwotnie zamierzaliśmy dołączyć do aktu oskarżenia zarzut narażenia nieletnich na niebezpieczeństwo, ale zrezygnowaliśmy z tego, kiedy pan Skavron przyznał się do winy.

Po tych słowach Hubbard odwrócił się i pokazał na mężczyznę w średnim wieku, którego zauważyłem, wchodząc na salę. Człowiek ten miał ciemne włosy, wąski nos i długą głowę. Kobieta siedząca obok niego, najprawdopodobniej jego żona, miała włosy ufarbowane na blond i ułożone we fryzurę, która robiła wrażenie kosztownej.

Mężczyzna wstał, a Hubbard ciągnął swój wywód:

– Drugą okolicznością obciążającą, wysoki sędzie, jest fakt, iż oskarżony wprowadził do obrotu wyjątkowo niebezpieczną partię heroiny. Zwróciła ona uwagę policji, ponieważ odnotowano kilka przypadków przedawkowania wśród studentów Norfolk Academy, którzy zażyli zanieczyszczony narkotyk; jeden przypadek skończył się śmiercią. DEA przeprowadziła analizę, która wykryła fentanyl w badanej próbce. Zanieczyszczona tym związkami heroina jest znacznie bardziej szkodliwa niż w stanie czystym.

Mężczyzna stał teraz przy drewnianym płotku dzielącym galerię dla odwiedzających i resztę sali. Miał na sobie jasnoszary garnitur. Spod rękawów marynarki wystawały złote spinki.

– Wysoki sędzie, poszkodowanych w związku z tym zostało kilka rodzin, ale jedną spotkała szczególna tragedia – powiedział Hubbard. – Sądzę, że powinien wysoki sąd poznać ich historię przed wydaniem wyroku. Chciałbym prosić Thomasa Byrda o zabranie głosu.

Z prawą ręką uniesioną ku niebu Thomas Byrd złożył przysięgę, że będzie mówić prawdę i tylko prawdę, którą zakończył słowami: „Tak mi dopomóż Bóg”.

Usiadł na podium dla świadków, wyjął z kieszeni okulary i założył ja na czubek nosa. W drżącej dłoni trzymał kartkę papieru.

– Wysoki sędzie, nazywam się Thomas Byrd. Urodziłem się i wychowałem w Norfolk. Nasza rodzina prowadzi sieć sklepów ze sprzętem AGD i kilka restauracji. Mój syn miał na imię Dylan.

Miał. Nie ma chyba nic gorszego, niż słyszeć rodzica mówiącego o swoim dziecku w czasie przeszłym.

Z kieszeni marynarki wyjął zdjęcie i wyciągnął rękę tak, żebym mógł je zobaczyć. Był to szkolny portret młodego chłopaka. Kształtem głowy i nosa przypominał swojego

ojca.

– Dylan był dobrym chłopcem. Wiem, że mówiąc to, wychodzę na naiwnego ojca, ale on naprawdę nie sprawiał nam nigdy najmniejszych problemów. Norfolk Academy to bardzo wymagająca szkoła, o czym wysoki sąd z pewnością wie, a Dylan miał na świadectwie same piątki i czwórki z plusem. Należał do Narodowego Towarzystwa Honorowego i grał w drużynie bejsbolowej. Minionego lata sam znalazł sobie pracę jako malarz domowy. Mógł się zatrudnić w jednym ze sklepów albo którejś z rodzinnych restauracji, gdzie na pewno by go przyjęli, ale on wolał być niezależny, a ja bardzo to szanowałem. Przez całe lato ciężko pracował i pod koniec wakacji kupił sobie używanego pikapa. Był z niego dumny, zresztą wszyscy byliśmy dumni. Myślę, że każdy to zrozumie. Wystarczy sobie wyobrazić siedemnastoletniego chłopaka z samochodem, który kupił za zarobione przez siebie pieniądze. – Thomas Byrd przełknął ślinę i znów spojrzał w notatki. – Wysoki sądzie, naprawdę nie wiem, co mojemu synowi strzeliło do głowy, kiedy zażywał te narkotyki. Nie był typem dzieciaka, który popalał trawkę i pił alkohol. Od kiedy był w podstawówce, rozmawialiśmy z nim o narkotykach, więc dobrze wiedział, jakie są niebezpieczne. Może próbował zrobić wrażenie na jakiejś dziewczynie, a może był ciekawy. Nie wiem. I nie chcę go usprawiedliwiać. Sam... sam to sobie zrobił. Nawet nie wiem, ile razy przez ostatnie trzy miesiące żałowałem, że nie zatrzymałem go tamtego wieczora w domu.

Żona Byrda wydała z siebie krótki jęk i natychmiast uciszyła się, przykładając sobie chusteczkę do ust.

– Ja i moja żona będziemy musieli pogodzić się z tym, co zrobił nasz syn – ciągnął Byrd. – Ale zupełnie nie umiemy się pogodzić z myślą, że człowiek, który sprzedał mu tę truciznę, będzie dalej cieszył się życiem, spotykał ze swoją rodziną i robił to wszystko, czego Dylan już nigdy nie będzie mógł robić. Pan Hubbard powiedział nam, że jeśli prokuratura nie pójdzie z nim na ugode, to zawsze będzie taka możliwość, że wyjdzie na wolność, a tego byśmy nie znieśli. Więc powiedzieliśmy: dobrze, niech już będzie ta ugoda. Pan Hubbard powiedział, że ten człowiek dostanie pewnie piętnaście lat, no i... Gorzka prawda jest taka, że za piętnaście lat mój syn nadal nie będzie żył. – Głos mu drżał. Bezskutecznie próbował zapanować nad swoją dolną wargą. – Wysoki sądzie, moja żona i ja... Wszyscy nam mówią, że musimy iść do przodu. Ale jak mamy to zrobić? Dylan był naszym jedynym dzieckiem, sensem naszego życia. Nie potrafię opisać, jak głęboko zraniła nas jego śmierć. I nie wiem wcale, czy fakt, że oskarżony pójdzie do więzienia na długie lata, przyniesie nam jakąkolwiek ulgę. Ale... Czy wie pan, panie sądzie, jak to jest pogrzebać własnego siedemnastoletniego syna? Nikomu tego nie życzę, nawet panu Skavronowi. Gdyby ktoś pozwolił mi zająć miejsce syna w tym drewnianym pudle, nie zastanawiałbym się ani przez chwilę. To takie... Nie wiem... Tęsknię za moim synem. Tak bardzo za nim tęsknię. Ból jest nieznośny i nieustający. Czy wysoki sąd może to sobie wyobrazić?

Na ogół nic bym nie powiedział. Zresztą nie wiem, czy wiedziałem, że się odezwę. Ale nagle usłyszałem swój własny, łamiący się głos.

– Tak – powiedziałem niewiele głośniejszym głosem. – Wyobrażam sobie.

Byrd spojrzał mi prosto w oczy.



– W takim razie nie wątpię, że wysoki sąd postąpi słusznie. Dla nas i dla Dylana. Dziękuję.

Byrd zszedł z podium dla świadków, w sali panowała absolutna cisza. Byłem wdzięczny, i to bardzo, za tę jedną korzyść, jaka miała wyniknąć z tego całego koszmaru: wiedziałem, że przyniosę choć odrobinę ulgi temu człowiekowi i jego zbolełej żonie, wydając wyrok dużo surowszy niż taki, jakiego mógł się spodziewać Hubbard i inni obecni na sali.

W tym momencie zawibrował mój telefon.

Hubbard wstał i zaczął dziękować Thomasowi Byrdowi, a ja zerknąłem na ekran komórki. Wiadomość znowu przyszła z numeru zaczynającego się od 900.

Zmiana planów. Skavron ma wyjść na wolność.

Dostałem zawrotu głowy, który trwał dobrych kilka sekund. Cała sala sądowa zdawała się unosić i opadać.

Telefon znowu zabrzączał:

UWOLNIJ GO!

I jeszcze raz:

UWOLNIJ SKAVRONA!

Upuściłem aparat na wyłożoną dywanem podłogę i położyłem obie dłonie na stole, żeby utrzymać równowagę. Bałem się, że zwymiotuję na lakierowany, wiśniowy blat.

Uwolnić Skavrona? Po tym, co właśnie usłyszałem? Jak mogłem to zrobić Thomasowi Byrdowi i jego żonie i zachować choć strzępy szacunku do siebie jako sędziego i człowieka?

A jednak nie miałem wyboru.

Nienawidziłem się za to, jak szybko doszedłem do tego egoistycznego wniosku, ale faktem było, że żaden mój wyrok w sprawie Skavrona nie był w stanie przywrócić Thomasowi Byrdowi jego syna.

Z drugiej strony moje dzieci nadal żyły. One były teraz najważniejsze. Wiedziałem, że wszyscy rodzice, łącznie z Byrdami, zrozumieliby moje zachowanie, gdybym tylko wyjaśnił im wszystkie okoliczności.

Tymczasem Hubbard wznowił swoją mowę:

– Częścią naszej ugody z obroną jest zmiana kwalifikacji czynu z Poziomu Trzydzieści Sześć na Trzydzieści Jeden, bez dodatkowych obostrzeń. Ze względu na przeszłe wykroczenia pan Skavron należy do piątej kategorii recydywy. Wytoczne co do wyroku mieszczą się w przedziale od stu sześćdziesięciu ośmiu do dwustu dziesięciu miesięcy pozbawienia wolności. Biorąc pod uwagę wszystko to, co przed chwilą usłyszeliśmy, oskarżenie wnosi o najwyższy wymiar kary. Dziękuję, wysoki sędzie.

Hubbard usiadł, a ja wciąż próbowałem odzyskać równowagę. Zamknij Skavrona. Uwolnij Skavrona. O co tym ludziom chodziło? I kto za tym stał? Miałem wrażenie, jakby kazano mi rozbić i rozbełtać jajko, a potem zamknąć je z powrotem w skorupce.

Alan Sutherlin, obrońca z urzędu, właśnie wstawał, spodziewając się, że zostanie

wywołany do głosu. Spojrzałem ciężko w jego stronę.

– Panie Sutherlin?

– Dziękuję, wysoki sędzie – zaczął. – W imieniu mojego klienta pragnę złożyć wyrazy współczucia na ręce państwa Byrdów. I dziękuję panu Byrdowi za jego poruszającą mowę.

Sutherlin przesuwiał jakieś kartki na swoim stole. Miałem nadzieję, że przyjdzie mi z pomocą i powie coś, co przynajmniej częściowo uzasadni tę kpinę z wymiaru sprawiedliwości, jaką miałem wkrótce popełnić.

Jednak już w pierwszych słowach głęboko mnie zawiódł.

– Właściwie nie mam nic do dodania ponad to, co zostało zawarte w raporcie kuratora – powiedział. – Wszyscy czytaliśmy o dzieciństwie oskarżonego. Na pewno nie miał w życiu najłatwiej. Owszem, dokonał kilku złych wyborów, z czego zdaje sobie sprawę. Ale bez trudu dostrzeżemy w jego przeszłości te liczne przypadki, kiedy miał mocno ograniczone pole działania. Nie muszę nikomu tłumaczyć, jak trudno jest byłemu więźniowi znaleźć pracę, a przeszłość oskarżonego zniechęciłaby nawet najbardziej wyrozumiałych pracodawców. A jednak oskarżony próbował. Co do okoliczności obciążających, o których mówił pan Hubbard, powiem tylko, że pistolet przechowywany przez oskarżonego w domu jego kuzynki nie był naładowany, więc nie stanowił zagrożenia dla dzieci. W kwestii fentanylu: nie ma dowodów, iż pan Skavron wiedział o tym, że heroina, którą posiadał, zawierała tę substancję. Oskarżony działał wyłącznie jako pośrednik. Jeśli zaś chodzi o przypadki przedawkowania, to dysponujemy zeznaniami studentów, w których przyznają oni, że nigdy wcześniej nie zażywali heroiny i chcieli spróbować. Aktywnie jej poszukiwali, więc nawet gdyby mój klient nie sprzedał im narkotyku, znaleźliby inne źródło.

„Znaleźliby inne źródło”. Przedstawić taki argument w sądzie to tak, jakby bronić mordercy twierdzeniem: „Ależ wysoki sędzie, przecież ofiara i tak prędzej czy później by umarła”.

Ale czego ja się spodziewałem? Sutherlin bronił człowieka, którego nie dało się obronić.

– Zatem biorąc pod uwagę przedstawione na tej sali fakty oraz wytyczne orzekania i pamiętając o współpracy oskarżonego z wymiarem sprawiedliwości, uważamy, że wyrok stu czterdziestu czterech miesięcy pozbawienia wolności byłby wyrokiem sprawiedliwym. Wprawdzie to mniej, niż zapisano w wytycznych, ale z drugiej strony dwanaście lat to bardzo dużo czasu. Panie Byrd, mogę pana zapewnić, że Federalna Służba Więzienna dopilnuje, by mój klient w okresie odosobnienia nie cieszył się beztróskim życiem. Będą to długie, ciężkie lata. Wiem też, że śmierć pańskiego syna będzie ciążyła oskarżonemu na sumieniu. Dziękuję, wysoki sędzie.

Miałem sucho w ustach, ale zdołałem powiedzieć:

– Dziękuję, panie Sutherlin. – Spojrzałem na oskarżonego. – Panie Skavron, czy jest coś jeszcze, co powinienem wziąć pod uwagę przed ogłoszeniem wyroku?

To była moja ostatnia szansa. W obliczu tylu dowodów wytoczonych przeciwko sobie Skavron nie mógł mieć wpływu na przebieg rozprawy, ale przynajmniej teraz dostał szansę, by pokazać swoją ludzką twarz.

Ale zamiast tego ten sukinsyn tylko spuścił głowę i wymamrotał:

– Chciałem tylko powiedzieć, że jest mi przykro za to, co zrobiłem. To nie było... Nie zrobiłem tego, żeby komuś wyrządzić krzywdę czy coś. No i chcę ten... zdać się na łaskę wysokiego sądu.

Czekałem na coś więcej, ale Skavron już skończył.

Ani trochę mi nie pomógł.

Spojrzałem na podłogę, gdzie leżał mój telefon. Wzięłem go do ręki w nadziei na odroczenie wyroku w postaci kolejnej wiadomości, która anulowałaby poprzednią. Dotknąłem palcem ekranu, ale ten wyświetlał tylko datę i godzinę. Nie dostałem nowego SMS-a. Byłem zdany na siebie.

Nadeszła chwila, na którą wszyscy czekali. Oczy zebranych na sali zwrócone były w moją stronę, kilkanaście par uszu nasłuchiwało, kiedy się odezwę.

Przez chwilę udawałem, że rozważam decyzję, wreszcie podniosłem głowę. Nie mogłem patrzeć na Skavrona, a tym bardziej na prokuratora. A już zupełnie nie byłem w stanie spojrzeć w oczy Byrdom. Więc mówiłem, gapiąc się w boazerię na najdalszej ścianie.

– Panie Skavron, po wzięciu pod uwagę wytycznych orzekania dla zachodzącej tu kwalifikacji czynu sąd jest gotowy wydać wyrok – powiedziałem i przełknąłem zbierającą się w moim gardle żółć. – Okazał pan podczas rozprawy szczerą skruchę za popełnione czyny. Wiemy też, że zamierza pan ukończyć zaoczny kurs licealny. Wierzę, że odnalazł pan w sobie pragnienie uczciwego życia. Poprosił pan o łaskę i ja pańską prośbę usłyszałem, ale chcę, żeby pan dobrze zrozumiał swoją sytuację: to pańska ostatnia szansa, panie Skavron. Jeśli ją pan zaprzepaści, osobiście dopilnuję, żeby następny sędzia wymierzył panu maksymalny wymiar kary z nawiązką. Sędziowie mają sporą dowolność w wydawaniu werdyktów i dzisiaj zamierzam – wiedząc, że to nietypowy krok – w pełni skorzystać z tego przywileju. Niniejszym skazuję pana na zaliczony już pobyt w więzieniu.

Na koniec chciałem powiedzieć, że agenci US Marshals zaprowadzą go z powrotem do więzienia, żeby tam dopełnić wszystkich formalności, ale mój wywód przerwały dobiegające z kilku stron okrzyki.

Pierwszy odezwał się rząd, w którym siedzieli bliscy Skavrona. Jedna ze starszych kobiet, pewnie ciotka, która go wychowywała, dziękowała głośno Jezusowi. Siedzący obok niej mężczyzna skoczył na równe nogi i wznosił obie ręce w tryumfalnym geście. Jakaś młodsza kobieta radośnie klaskała. Skavron obrócił głowę, żeby ich zobaczyć, więc widziałem tylko ćwiartkę jego parszywego uśmiechu.

– Wysoki sędzie – Hubbard próbował przekrzyczeć zgiełk – czy to...

Ale nie słyszałem go, bo Thomas Byrd po chwilowym oniemieniu odzyskał wreszcie głos. Ojciec ofiary stał i pokazywał mnie palcem.

– Co z ciebie za sędzia! – krzyczał. – Przecież on zabił mojego syna! To ścierwo zabiło mojego syna, a ty go wypuszczasz na wolność? Oszalałeś? Mój syn nie żyje. Nie żyje! Czy dla ciebie to coś znaczy?

Jego żona ciągnęła go za marynarkę, bezskutecznie próbując z powrotem posadzić na ławie. Miał niemalże fioletową twarz.

Strażnik sądowy też krzyczał, chcąc przywrócić spokój. Szukałem swojego młotka, żeby spróbować wszystkich uciszyć, ale nie mogłem go znaleźć.

Rozpętał się prawdziwy chaos. Nie byłem w stanie nawet na chwilę przerwać zgiełku, żeby doprowadzić tę farsę do końca.

I wtedy otworzyły się drzwi na tyłach sali. Pojawił się w nich jeden ze strażników pełniących służbę na parterze. Trzymał za rękę małego chłopca.

Mojego syna.

Skoczyłem na równe nogi. Na wpół świadom, że nie dopełniłem wszystkich formalności, rzuciłem niedbale coś na kształt:

– Zamykam rozprawę.

Mój zdziwiony asystent ogłosił koniec procesu, ale jego wołanie utonęło w powodzi innych krzyków, tymczasem ja już mijałem prawników i oskarżonego i jestem pewien, że żaden z nich nigdy w życiu nie widział sędziego poruszającego się w takim tempie. Nawet obcy z pracą sądu agenci US Marshals, którzy spędzali w tym gmachu prawie każdy dzień, tylko się na mnie gapili.

Gdy dotarłem do sięgającego pasa drewnianego płotku, niemalże staranowałem wahadłową bramkę i przebiegłem obok osłupiałego Thomasa Byrda, który wciąż coś pokrzykiwał i wymachiwał rękami. Dopadłem Sama, ukląknę przed nim i mocno przytuliłem.

– Kocham cię – powiedziałem bez namysłu. – Tak bardzo cię kocham.

Zatopiłem twarz w jego jedwabistych włosach i przycisnąłem do siebie tak gwałtownie, że pewnie go trochę przydusiłem. Po policzkach płynęły mi łzy. Wciągałem łapczywie jego słodki, chłopięcy zapach i masowałem delikatne plecy.

Potem wzięłem go na ręce i wyniosłem z hałaśliwej, pogrążonej w chaosie sali sądowej. Nie czułem się w niej bezpiecznie. Ponad wszystko chciałem zapewnić Samowi bezpieczeństwo.

Strażnik wyszedł za nami. Kiedy tylko znalazłem się na korytarzu, postawiłem Sama na ziemi.

– Chłopak najzwyczajniej w świecie wszedł po schodach od ulicy i powiedział, że chce się zobaczyć ze swoim tatą – odezwał się strażnik. – Nieźle nas wszystkich zaskoczył.

Sam był mocno zdziwiony. Nie rozumiał, dlaczego jego tatuś płacze. Zresztą pewnie w ogóle niewiele rozumiał z tego, co działo się z nim przez ostatnich dwadzieścia godzin.

– Nic ci nie jest, Sam? – zapytałem i ponownie ukląknę przed synem.

Obejrzałem go uważnie od stóp do głów, ale nie znalazłem żadnych siniaków, skaleczeń ani opuchnięć.

Sam nie wiedział, co powiedzieć. Stał tylko jak wbity w ziemię. Musiał się przestraszyć, widząc mnie w takim stanie. Dzieci są jak emocjonalne lustra, w których odbija się całe ich otoczenie.

Z myślą o nim spróbowałem pokazać po sobie spokój, którego jednak nie czułem nawet w najmniejszym stopniu.

– Jesteś z siostrą? – spytałem.

Ciągle nic nie mówił, więc chwyciłem go delikatnie za barki.

– Sam, brachu, gdzie jest Emma?

Nagle na jego twarzy pojawił się bolesny, nic nierozumiejący wyraz, a z ust padły słowa:

– Jest ciągle z tymi panami.

– Jakimi pan...

Sam wyciągnął z kieszeni małą kopertę. Była identyczna jak ta, którą znalazłem w pudle na werandzie. Ktoś napisał na niej: SĘDZIA SAMPSON.

– Kazali ci to dać – powiedział Sam.

Wziąłem ją od niego i wyjąłem ze środka złożoną na pół kartkę. Otworzyłem ją i przeczytałem:

**TO TWOJA NAGRODA ZA WYKONANIE ROZKAZU. TAK TRZYMAJ, JEŚLI CHCESZ ZOBACZYĆ JESZCZE SWOJĄ CÓRKĘ. NIEDŁUGO ZNOWU SIĘ ODEZWIEMY. I PAMIĘTAJ: NIKOMU ANI SŁOWA.**

– Nic panu nie jest, panie sędzio? – zapytał strażnik.

– Nie, nie. Wszystko w porządku – odparłem i wstałem. Wziąłem Sama za rękę.

– Zabiorę go do siebie. Bardzo dziękuję, że go pan tu przyprowadził. Jest... Chyba zgubił swoją mamę, ale już wszystko dobrze. Dziękuję.

– Jasne. Nie ma za co – powiedział z uśmiechem i pomachał ręką, po czym odszedł do swoich obowiązków.

Wziąłem Sama na rękę i zaniósłem z powrotem do swojego biura. Powoli docierała do mnie prawda: ta rozprawa była tylko sprawdzianem mojego posłuszeństwa. Porywaczom wcale nie zależało na Rayshaunie Skavronie.

A zatem musiało im chodzić o jedną z ponad czterystu innych spraw na mojej wokandzie. I nie miałem najmniejszego pojęcia, o którą.

## Rozdział 12

Nie chciałem odpowiadać na pytania podwładnych – o to, dlaczego wypuściłem na wolność handlarza narkotyków i czemu Sam odwiedził ojca w pracy – więc szybko się stamtąd zmyłem, rzucając na odchodne jakieś szybkie przeprosiny i niby-wyjaśnienia, które najprawdopodobniej jeszcze mocniej rozbudziły ich ciekawość.

Ze szczegółowym wypytywaniem Sama poczekałem, aż dotrzemy do domu. Alison na pewno chciała usłyszeć wszystko, co miał do powiedzenia, i wolałem, żeby nie musiał przechodzić przez to dwa razy.

Kiedy dojechaliśmy, czekała już na nas na werandzie. Kiedy tylko mój samochód wyłonił się z lasu i wjechał na polankę przed domem, zerwała się z fotela i pobiegła w naszą stronę. W drodze z sądu zadzwoniłem do niej i uprzedziłem, że odzyskaliśmy tylko jedno z bliźniąt. Otwierając drzwi samochodu, prawie oderwała klamkę.

– Sammy, synku – powiedziała.

Wyciągnęła go z fotelika i mocno przytuliła. Widziałem, że przeżywa te same słodko-gorzkie uczucia co ja. Kontakt fizyczny z jednym z dzieci tylko nam uzmysławiał, jak koszmarnie tęskniliśmy za tym drugim.

W końcu weszliśmy z Samem do środka i posadziliśmy go na kanapie w salonie. Alison usiadła obok niego i słabiutko się uśmiechnęła. Myślałem, że pozwolimy mu odpocząć i zaaklimatyzować się w domu, zanim zasypimy go gradem pytań, ale Alison miała najwyraźniej inny zamiar.

– Sammy, kochanie, chcemy z tatą porozmawiać z tobą o tym, co się z wami działo – powiedziała.

Zanim na dobre zaczęła, postanowiłem się wtrącić. Jako sędzia wiedziałem, że świadkom łatwiej jest się otworzyć, jeśli są odprężeni.

– Ale najpierw musimy ci powiedzieć jedną rzecz. – Spojrzałem szybko na Alison i znów na Sama. – Pewnie zauważyłeś, że mama i tata są trochę zmartwieni, ale to nie dlatego, że jesteśmy na ciebie źli. Bardzo, bardzo się cieszymy, że wróciłeś do domu. I nie dostaniesz żadnej kary, okej?

Sam kiwnął głową dwa razy. Na jego buzi rysował się dogłębny smutek.

– To nie była twoja wina – zapewniłem go. – Nie zrobiłeś nic złego. Rozumiesz to, prawda?

Znów przytaknął.

– Hej, szefie, a zaczniesz coś mówić?

– Tak – pisnął cichutko.

– Super. Zadamy ci kilka pytań, a ty spróbujesz na nie odpowiedzieć, dobra?

– To bardzo ważne dla Emmy – dodała Alison.

Niepotrzebnie. Chłopak już i tak był pod dużą presją.

– Ale nic się nie stanie, jak czegoś nie będziesz wiedział – uspokoiłem go i spróbowałem się uśmiechnąć. – Powiesz nam tyle, ile dasz radę. Zacznijmy od wczorajszego dnia po szkole. Co się stało? Przyjechała honda i was zabrała, tak?

– Tak – odparł.

– Zauważyłeś coś dziwnego?

- Tak, *Transformersy*.
- Gdzie? Na siedzeniu?
- Nie, w telewizorze.

To był istotny szczegół, bo po pierwsze, *Transformers* są w naszym domu zakazani (za dużo przemocy), a po drugie, telewizor w samochodzie włączamy tylko w dłuższych trasach. Porywacze musieli uznać, zresztą słusznie, że będzie to dobry sposób na odwrócenie uwagi bliźniąt od tego, kto siedział za kółkiem.

- A kto kierował? – zapytała Alison.

Ewidentnie była to kwestia, która szczególnie ją frapowała.

Kiedy Sam na nią spojrział, z jego oczu biła najczystsza, dziecięca niewinność.

- Ty kierowałaś.

– Nie, kochanie. To nie byłem ja – odparła momentalnie. – Ktoś się przebrał za mamusię.

Na co on powiedział tylko:

- Aha.

– Możliwe, że to była Justina – ciągnęła Alison. – Myślisz, że to mogła być Justina?

Od razu pokręcił głową.

- Nie, nie.

Alison zmarszczyła brwi. Miałem wrażenie, że w tej sprawie dalej już nie zajdziemy, więc zmieniłem temat:

– I co się działo później? Jak już ruszyliście.

– Jechaliśmy dużą trasą – tak Sam nazywał drogę numer 17 – ale potem skręciliśmy w małą drogę.

– Którą małą drogę? – spytała Alison.

– Nie wiem. Ale nie naszą. Powiedziałem: „Gdzie jedziemy?”. Ale nie odpowiedziałas.

– Skarbie, to nie była mama. Pamiętasz?

– Aha – powtórzył.

Nie chciałem wałkować tej kwestii, więc zapytałem:

– I co się działo, jak już skręciliście?

– Honda stanęła. I przyszli ci panowie, i kazali nam wsiadać do furgonetki.

– Powiedz mi o tych panach – poprosiłem delikatnie.

Zaczął się wiercić. Miał w oczach strach. Do tego momentu zwyczajnie relacjonował trochę dziwną podróż ze szkoły do domu, ale teraz doszedł do mniej przyjemnej części swojej historii.

Znów nie wiedział, co powiedzieć. Patrzył tylko to na mnie, to na mamę. Alison posadziła go sobie na kolanach i objęła obiema rękami.

– Kochanie, wiemy, że nie chcesz o tym mówić, ale to dla nas bardzo ważne, wiesz? Spróbujesz sobie przypomnieć?

Sam chciał zrobić swojej mamie przyjemność, a w dodatku znalazł się teraz w najbezpieczniejszym miejscu na Ziemi, więc powiedział:

– Byli bardzo źli. Nie lubię ich.

– Zrobili ci krzywdę? – spytałem.

Nie odpowiedział.

– Co jest, skarbie? – Alison przytuliła go jeszcze mocniej. – Nie bój się. Możesz nam wszystko powiedzieć. Nawet jak to jest coś bardzo złego. Pamiętasz, co mówił tata? Nikt się na ciebie nie pogniewa.

Wtedy Sam spojrzał mi prosto w oczy.

– Jeden miał nóż. I mi go pokazał. Bardzo duży nóż.

Teraz to ja i Alison nie wiedzieliśmy, co powiedzieć.

– Obciął mi włosy – ciągnął Sam. – I powiedział, że następnym razem poderżnie mi gardło. Powiedział, że lubi podrzynać ludziom gardła.

Cieszyłem się, że Sam nie widzi swojej mamy. Alison była blada jak kreda.

Nie chciałem, żeby myślał dłużej o nożu, więc zapytałem:

– Jak wyglądali ci dwaj panowie?

– Mieli drapiące twarze. – Tak Sam i Emma mówili na ludzi z brodą. – Bardzo drapiące. I dziwnie mówili.

– Jak to „dziwnie”? – spytałem. – W obcym języku?

– Tak. Dużo takiego ghhhh i gaaaaa – odparł gardłowym głosem.

– A mówili czasem po angielsku? – drążyłem.

– Tak, ale to też było dziwne.

– Bo mieli akcent?

– Tak – odparł.

– Taki jak Justina? – wtrąciła Alison.

– Nie wiem. Chyba nie.

Niewiele nam to mówiło. Trudno spodziewać się po sześciolatku, żeby trafnie rozpoznawał pochodzenie czyjegoś akcentu. Tak naprawdę dowiedzieliśmy się tylko tyle, że dwaj brodaci cudzoziemcy uzbrojeni w noże załadowali nasze dzieci do furgonetki.

Jakby to wszystko nie było już dostatecznie przerażające, porywacze jeszcze pokazali dzieciom swoje twarze. Ich brawura świadczyła o tym, że nie zakładali możliwości wpadki. Uważali swój plan za doskonały.

– Opowiedz nam o tej furgonetce – poprosiłem Sama.

– No, była większa od hondy. Trochę jak ciężarówka. Ale taka prawdziwa ciężarówka. Kazali nam wejść do tyłu. Nie było foteli i siedzieliśmy na podłodze.

– A było coś widać? Miała szyby z tyłu? – spytała Alison.

Sam pokręcił głową.

– I zaczęła jechać – powiedział. – Przepraszam, mamie, ale nie zapiąłem pasów, bo ich nie było.

– Nic nie szkodzi, Sammy.

– Jak długo jechaliście? – odezwałem się z nadzieją, że uda nam się ustalić, jak daleko byli przetrzymywani.

– Nie wiem – odparł Sam.

Był za mały, żeby precyzyjnie określić upływ czasu.

– Dłużej niż program w telewizorze czy krócej? – zapytała Alison.

– Tak samo – powiedział Sam.

Czyli jakieś pół godziny, a to oznaczało, że porywacze mogli zabrać nasze dzieci



w dowolne miejsce oddalone o mniej więcej trzydzieści kilometrów od naszego domu. Moglibyśmy przez resztę życia jeździć od domu do domu, a i tak nie znaleźlibyśmy miejsca, w którym przetrzymywana była Emma.

– I co było dalej? – spytała Alison.

– Furgonetka jechała i jechała. A potem ci panowie nas chwycili. Po prostu. Chwycili nas. Byli bardzo niemili.

Sam zilustrował to palcami, zwijając je jak szpony drapieżnego ptaka.

– Czyli wyciągnęli was z furgonetki, tak? – powiedziałem.

– Tak. I zaprowadzili do domu.

– Jak wyglądało to miejsce?

– Najwięcej było drzew. Dużo drzew. Takich dużych.

Dzieci przetrzymywane w środku gęstego lasu. Zaczynało to przypominać baśń braci Grimm.

– I potem gdzie was zabrali?

– Do takiego pokoju.

– Jak tam było? – spytałem.

– Ciasno. A w oknach były pudełka. – Domyśliłem się, że były zasłonięte tekturą.

– I był telewizor, w którym leciał *SpongeBob* i *Dora*. Spytałem, czy mogę być w tym samym pokoju co Emma, ale powiedzieli, że nie.

– Próbowalesz otworzyć drzwi? – zapytałem.

– Były zamknięte na klucz – odparł Sam.

– I co się działo potem?

– Mówiłem im, że jestem głodny. A oni na to, żebym się zamknął. Mamusiu, przepraszam. Wiem, że to brzydkie słowo, ale oni to mówili.

– Nic nie szkodzi, kochanie – powiedziała Alison i pogłaskała go po udzie.

– Więc zacząłem płakać. Bardzo mi się chciało jeść. W końcu jeden dał mi jeść.

– Czym was nakarmili? – spytała Alison.

– Kanapkami z masłem orzechowym i dżemem.

Spojrzeliliśmy po sobie z niepokojem w oczach. Ostatni raz, kiedy Emma zjadła masło orzechowe, spuchły jej oczy i szyja i musieliśmy ją zawieźć do szpitala. Od tamtej pory trzymamy w domu wstrzykiwacze z adrenaliną. Porywacze pewnie nie byli aż tak przezorni.

– I Emma też dostała taką kanapkę? – spytałem.

– Nie wiem – powiedział Sam.

Mówił, że potem jeszcze długo płakał, aż któryś z panów z drapiącą twarzą na niego nakrzyczał i kazał mu iść spać. Pytaliśmy go na różne sposoby, czy brodaci mężczyźni zrobili mu jakąś krzywdę, na przykład dotykając go w niewłaściwy sposób, ale konsekwentnie odpowiadał, że nie.

Zakończył swoją opowieść, mówiąc, że nazajutrz porywacze wyciągnęli jego i Emmę z pokojów i zapakowali z powrotem do furgonetki. Jechali „przez chwilę”, po czym auto się zatrzymało. Kiedy boczne drzwi się rozsunęły, stojący przy nich mężczyzna kazał mu wbiec po schodach sądu i powiedzieć, że chce zobaczyć swojego tatę, co też zrobił.

Próbowaliśmy wyciągnąć od niego więcej szczegółów, ale w jego małej główce nie zmieściło się już nic ponad to, co nam powiedział. Na koniec Alison spytała Sama, czy teraz on chciałby nas o coś zapytać.

– Tak – potwierdził. – Kiedy Emma wróci?

Spojrzeliliśmy po sobie z rozpaczą w oczach.

– Nie wiemy – powiedziałem. – Trudno powiedzieć.

Sam miał niesamowicie ekspresyjne czoło, które zjeżdżało mu całe co najmniej o pół centymetra za każdym razem, gdy coś go trapiło. Kiedy był malutki, nazywałem tę jego minę „marsikiem”. Pojawiała się na jego buzi, ilekroć dręczyły go gazy albo kolka, a także przed każdą awanturą.

I właśnie teraz marsik wrócił.

– Ale... – zaczął. – Przecież...

Alison szybko zmieniła temat.

– Sammy, skarbie, może wybierzesz sobie jakiś program na Netfliksie. Tata i ja musimy porozmawiać. Może potem wszyscy sobie w coś zagramy.

– Dobrze, ale zaczekaj – powiedział Sam i pobiegł na górę.

Po chwili wrócił, ściskając w rękach swojego ulubionego pluszowego misia. Dzieci przez pierwszych kilka lat życia zbierają mnóstwo zabawek, ale nikt nie umie przewidzieć, która z nich zostanie uznana za ukochanego członka rodziny. W przypadku naszych bliźniąt wybór padł na dwa pluszowe misie, które dostały od mojej ciotki, dawnej hippiski z Kolorado.

Musiało być coś w rozmiarze, kształcie i miękkości pluszaków, że Sam i Emma pokochały je już jako sześciomiesięczne bobasy. Od tamtej pory misie stały się absolutnie niezastąpionymi towarzyszami obu bliźniąt. Nie dało się bez nich wyjechać w żadną dłuższą podróż. To właśnie one pomagały naszym szkrabom zasnąć.

Po sześciu latach misie były już mocno wytarte i każdy z nich miał za sobą kilka zabiegów chirurgicznych. Obydwa też nasiąkły taką dawką zasmarkanej miłości, jaką tylko Sam i Emma potrafili im dać. Emma nazywała swojego pluszowego przyjaciela Misiem Samem, a Sam swojego Misiem Emmą.

Sam pojawił się właśnie w naszym salonie z Misiem Emmą.

– Jestem gotowy – obwieścił.

Alison wybiegła z pokoju, żeby nie zdążył zobaczyć jej łez.

Posadziłem Sama z Misiem Emmą przed telewizorem i wyszedłem do drugiego pokoju, z którego mogliśmy go obserwować – żadne z nas nie chciało go tracić z oczu – ale on nie mógł nas słyszeć. Alison czekała już na mnie na kanapie.

– Wszystko w porządku? – spytałem, siadając obok niej.

– Tak. Trochę mnie zaskoczył tym pluszakiem. Już nie miałam siły udawać. Ale nic mi nie jest.

– Na pewno?

– Tak.

– Okej – powiedziałem cicho. – To o czym chciałaś ze mną rozmawiać?

Chwyciła mnie za obie dłonie.

– Chcę powiedzieć o wszystkim mojej rodzinie.

Alison i jej dwie siostry spędziły dzieciństwo na przemieszczaniu się z jednej bazy wojskowej do innej, od Korei po Niemcy i przez całą Amerykę. Ostatnim przystankiem ich ojca był Fort Eustis w Newport News. Wade Powell przeszedł na emeryturę w stopniu pułkownika, a sześć miesięcy później zmarł na raka, zanim zdążył postanowić ze swoją żoną, Giną, co będą robić dalej. Matka Alison w końcu zdecydowała, że zostanie w Wirginii.

Stopniowo osiadła tu reszta jej rodziny. Pierwsza przeprowadziła się Jenny, średnia siostra, z mężem Jasonem. Po nich Karen, starsza siostra, z mężem Markiem i czwórką dzieci. Nasza gromadka była ostatnia.

Kochałem rodzinę Alison, tym bardziej że moja była bardzo nieliczna. Rodzice nie żyli, a rodzeństwa nie miałem. Po kraju porzrucani byli wujkowie, ciotki i kuzynostwo, z którymi rozmawiałem może dwa razy do roku, nie częściej. Dołączyłem więc do plemienia Powellów.

– Chcesz powiedzieć swojej rodzinie – powtórzyłem jej słowa, żeby zagrać na zwłokę i obmyślić odpowiedź, która byłaby choć trochę bardziej wyszukana niż „to fatalny pomysł”.

– Nie mamy pojęcia, jak długo to będzie trwało – powiedziała Alison. – Nie wiesz nawet, o którą sprawę chodzi tym ludziom. Zanoszą się na dłuższą przeprawę. Co będzie, jeśli to jeden z tych procesów, które się wloką całymi latami?

– My się takimi nie zajmujemy – odparłem zgodnie z prawdą.

Dystrykt Wschodni Wirginii znany był w kręgach prawniczych jako „turbowokanda”. Szczyciliśmy się tym, że nasze rozprawy toczyły się bez zbędnej zwłoki.

– No dobra, to nie latami, ale miesiącami. Nie ma szans, żebyśmy ukryli to przed moją rodziną dłużej niż przez tydzień. W sobotę mamy być na urodzinach Timmy’ego. A w następny weekend moja mama chciała się zobaczyć ze wszystkimi wnukami. I tak dalej. Więc co mamy robić? Powtarzać w kółko, że Emma ma grypę? Nie odbierać telefonu i nie otwierać drzwi? Przecież wiesz, że oni czasem wpadają bez zapowiedzi.

Uścisnęła lekko moją dłoń.

– Posłuchaj. To nie byłby telefon na policję – ciągnęła. – A w szkole powiemy, że przez jakiś czas sami będziemy uczyć nasze dzieci. Już i tak uważają nas za stukniętych. Ale rodzinie musimy powiedzieć.

Jej oczy znów zapełniły się łzami i Alison rzuciła nagle:

– Po prostu ich potrzebuję. Rozumiesz?

Ale ja byłem tak mocno przekonany do swoich racji, że już kręciłem głową.

– Ali, nie możemy tego zrobić. Po prostu nie. Musimy utrzymywać pozory normalności. Wiem, że to nie będzie łatwe, ale z każdym poszerzeniem grona wtajemniczonych gwałtownie wzrośnie prawdopodobieństwo, że ktoś się wygada.

– Moja rodzina nie...

– Ryzyko jest zbyt duże! – Podniosłem głos, ale szybko się opanowałem i dodałem szeptem: – Posłuchaj, ktoś może zupełnie nieświadomie coś palnąć i za chwilę jedna głupia uwaga zacznie żyć własnym życiem, aż wreszcie ktoś w sądzie nabierze podejrzeń. Wtedy zostaną odsunięty od rozstrzygania spraw. Nikt nie pozwoliłby szantażowanemu sędziemu wydawać wyroków. A wtedy stracę jakąkolwiek wartość dla porywaczy.

Odczekałem chwilę, aż Alison zrozumie sens ostatniego zdania. Na koniec powiedziałem:

– W tym samym momencie Emma przestanie im być potrzebna. Stanie się kimś, kto mógłby zeznawać przeciwko nim, gdyby zostali złapani.

Więc zabiliby ją bez zastanowienia. Na szczęście tego ostatniego zdania nie musiałem wypowiadać. Alison pojęła to w mig.

– Poczekajmy przynajmniej kilka dni – dodałem. – Jutro albo pojutrze dostanę pewnie kolejne polecenia od porywaczy. Możliwe, że chodzi im o sprawę, która trafi do mnie za dwa tygodnie. Tyle czasu chyba damy radę wytrzymać, co?

Wydawało mi się, że kiwnęła głową na zgodę. Na więcej nie miałem co liczyć. Nic nie mówiąc, Alison wstała z kanapy i poszła na górę. Słyszałem, jak pociąga nosem.

Może nie powinienem był sprzeciwiać się jej tak stanowczo. Może trzeba było wziąć pod uwagę jej potrzeby emocjonalne. Ale byłem sędzią dostatecznie długo, żeby znać podstawową różnicę między moją dawną a obecną pracą. Dobry prawodawca musi być gotowy do zmiany zdania i szukania kompromisu z ludźmi o różnych poglądach.

Sędzia, podjąwszy raz decyzję, musi się jej trzymać.

## Rozdział 13

Sam i ja siedzieliśmy na kanapie i kończyliśmy oglądać drugą porcję programów z Netfliksa. Alison była na górze i próbowała dojść do siebie.

A przynajmniej wydawało mi się, że to robi, aż do chwili, kiedy usłyszałem głośne łup, łup, łup dobiegające z tyłu domu.

Nie musiałem wstawać, żeby wiedzieć, co się dzieje. Alison rąbała drewno.

Zaczęła to praktykować niedługo po tym, jak się tutaj wprowadziliśmy. Na początku myślałem – dość głupio, jak to facet – że w ten sposób zapełnia sobie dziurę po siłowni, na którą chodziła regularnie, kiedy mieszkaliśmy na północy stanu, a przy okazji robi coś pożytecznego. Mamy u siebie trzy kominki i nic tak nie przegania chłodu hulającego po kiepsko ocieplonym domu na wsi jak dobrze rozpalony ogień. Wpadłem nawet na idiotyczny pomysł kupienia łuparki do drewna.

I właśnie wtedy dowiedziałem się, że wcale nie chodzi o drewno. Ani o ćwiczenie mięśni. To była jej forma terapii. Odkąd się tu osiedliliśmy, przywykłem już do tego, że ilekroć Alison miała jakiś twardy orzech do zgryzienia, zawsze chwyciła za siekiere.

Teraz robiła to samo, chociaż w naszym aktualnym położeniu musiałaby wyrąbać chyba cały las, żeby jej terapia podziałała.

Sam momentalnie się ożywił, słysząc odgłosy rąbania. Chwilę później już się uwalniał z moich objęć.

– Mogę porąbać drewno z mamą? – zapytał.

Kiedy Sam mówił o „rąbaniu drewna z mamą”, miał na myśli czekanie, aż Alison zrobi sobie przerwę, a on będzie mógł w tym czasie przenieść przepołowione pieńki na stertę kilkanaście kroków dalej. Jeśli brzmi to jak wyzysk nieletnich, to zapewniam, że Sam czerpie z tego zajęcia najczystsza frajdę.

Rozważyłem szybko wszystkie za i przeciw – czy powinienem wypuszczać Sama na dwór, wiedząc, że jesteśmy obserwowani przez porywaczy? Czy Alison powinna być teraz sama z siekiere? – i zdecydowałem, że dobrze mu zrobi jakieś znane i lubiane zajęcie. Nie mogliśmy bez końca trzymać go w izolacji.

– Jasne – powiedziałem. – Tylko włóż rękawice.

Poszedłem za nim na podwórko za domem, gdzie Alison kasowała jeden za drugim sosnowe pniaki. Przez lata nabrała w tym podziwu godnej wprawy. Patrzyłem oczarowany, jak przepoławia, a potem ćwiartuje na szczapy kolejne polano.

Za każdym razem, kiedy odkładała siekiere, żeby złapać oddech, Sam szybko do niej podbiegał, chwycił jedną szczapę i zanosił ją na stertę. Zazwyczaj udawało mu się zrobić dwa, trzy kursy, zanim jego matka wróciła do rąbania.

Było to coś, co najczęściej robili tylko we dwoje. W tym czasie ja i Emma graliśmy w jakąś grę, szykowaliśmy kolację albo czytaliśmy książkę. Taki podział obowiązków był w naszej rodzinie niepisana zasada, której wszyscy przestrzegali. Alison i Sam byli ludźmi czynu. Emma i ja woleliśmy domowe zacisze.

A dzisiaj? Dziwnie było stać i patrzeć, jak moja żona i syn pracują. Nie bardzo wiedziałem, co ze sobą zrobić, więc się do nich przyłączyłem. Postanowiłem pomóc Samowi w układaniu sterty poćwiartowanych polan, ale szybko stało się jasne, że tylko

burzę ich wspólny rytm. Ciągłe na siebie wpadaliśmy, a ponieważ jestem dużo większy od Sama, Alison musiała dłużej czekać, aż usunę się jej z drogi.

Mimo to nie przerywaliśmy. Każde z nas starało się dopasować do nowych warunków, w których z kwartetu nagle staliśmy się triem.

Wkrótce wszyscy troje mieliśmy twarze czerwone od wysiłku. Udało nam się w końcu dobrze zsynchronizować ruchy. Każde z nas było tak skupione na znalezieniu właściwych kroków w tym nowym, trzyosobowym tańcu, że z początku nie zauważyliśmy przybycia gościa.

Zobaczyłem ją, dopiero kiedy wyszła zza rogu domu.

– Hej. Co robicie? – zapytała Karen, najstarsza siostra Alison.

Patrzyła na nas ze zdziwieniem, zwłaszcza na mnie. Wciąż miałem na sobie spodnie od garnituru, brogisy i białą koszulę. Nie wyglądałem jak drwal.

Wszyscy przerwaliśmy pracę i tylko się na nią gapiliśmy. Trzymała w ręce nylonową torbę wielokrotnego użytku, którą teraz uniosła w górę.

– Byłam właśnie w Matce Ziemi, żeby odebrać nasze zamówienie – powiedziała.

– Mieli tyle jabłek, że dali mi trochę ekstra. Pomyślałam, że się z wami podzielę.

Matka Ziemia to tutejsze gospodarstwo ekologiczne. Karen była zarejestrowana w ich bazie klientów, więc co tydzień miała dostęp do najświeższych produktów. Często przywoziła nam to, co dostawała w nadmiarze.

Patrzyła teraz na Sama.

– A ty nie w szkole?

– Nie było lekcji – zaimprovizowała Alison. – Dzień Nauczyciela.

– Aha. – Karen kiwnęła głową i rozejrzała się po ogródku. – Gdzie jest Emma?

Alison zastygła, ja też nie wiedziałem, co zrobić. Nie przychodziła mi do głowy żadna odpowiedź, która nie pociągnęłaby za sobą kolejnych pytań. Gdybym powiedział, że Emma bawi się w domu, Karen chciałaby się z nią przywitać. Gdybym skłamał, że zachorowała, Karen poszłaby ją pocieszyć.

Wreszcie Sam, któremu nie zdążyliśmy powiedzieć, że ma nikomu nie mówić o tym, co się stało, palnął:

– Jest z tymi panami.

Tym samym doprowadził do tego, że cztery godziny później odbyło się nadzwyczajne spotkanie rodzinne. Zwołaliśmy je pod jasno postawionym warunkiem, że wszystko, co zostanie na nim powiedziane, pozostanie w naszym gronie.

Przez resztę dnia kilka razy łapałem się na myśli, że wizyta Karen nie była przypadkowa i że Alison musiała do niej zadzwonić z prośbą, by przyjechała i swoimi pytaniami zmusiła nas do wyjawienia prawdy.

A może Alison miała rację i po prostu nie dało się utrzymać czegoś takiego w tajemnicy przed jej rodziną? Bez względu na to, czy Karen zjawiała się u nas przypadkiem, czy w wyniku małego buntu ze strony Alison, tak czy siak przyspieszyła tylko coś, co wydawało się nieuniknione. Powellowie byli zbyt mocno zżyci ze sobą, żeby mieć przed sobą takie tajemnice.

Ponieważ ja nie miałem rodzeństwa, ich rodzina zawsze mnie fascynowała. Trzy kobiety urodzone w ciągu trzydziestu pięciu miesięcy, wychowywane niemalże jak

trojaczki i do dzisiaj pielęgnujące bliską, choć dość skomplikowaną relację.

Nadal bowiem żywe były ślady dawnych zazdrości o to, kto i kiedy coś dostał, komu było łatwiej, a komu ciężiej, kto i w jakim wieku cieszył się większą swobodą. Być może w dorosłym życiu te drobne pretensje przybierają mniej infantylne kształty, ale w głębi duszy jednak każdy pamięta, kto ma ile punktów i kto prowadzi w klasyfikacji rodzicielskiej pobłażliwości. Wszyscy wciąż pamiętali, że Jenny wcześniej mogła sobie przekłuć uszy, Alison pojechała ze szkolną orkiestrą na wycieczkę do Anglii, a Karen dostała rodzinny samochód, kiedy wyjeżdżała na studia.

Pod wieloma względami relacje między siostrami należą do najsurowszych. Tak jak rodzice, siostry też doskonale znają wszystkie swoje słabostki i wady, ale nie mając bezgranicznych zasobów rodzicielskiej miłości i umiejętności wybaczenia, traktują się wzajemnie z dużo mniejszą wyrozumiałością, niż czynili to oni.

Zdarza się, że siostry Powell są bliskie skoczenia sobie do gardeł. Oczywiście tylko do czasu, kiedy jedna z nich wpada w tarapaty albo grozi jej niebezpieczeństwo z zewnątrz – w takim przypadku tworzą razem nierozzerwalny front.

Wewnętrznie skłócone, zewnętrznie zjednoczone – oto definicja siostrzanej bliskości jak świat długi i szeroki.

Dzieci hałasowały na górze, a my zebraliśmy się w salonie na parterze. Matka Alison, Gina, siedziała w fotelu. Z całą pewnością wiedziała, że stało się coś złego, mimo to nosiła się z niewzruszoną gracją. Pewnie tylko w ten sposób miała dawniej szansę przeżyć długie lata u boku żołnierza.

Obie siostry Alison siedziały na kanapie, stylizowanej na angielski barok i niezbyt wygodnej dla dwóch osób.

Starsza z nich, Karen Lowe (nosiła nazwisko męża), była do Alison podobna tylko z budowy ciała i koloru włosów i oczu. Klasyczna pierworodna: niezwykle samodzielna, lubiła dominować i szukała konfrontacji. Poza tym była niesamowicie uzdolniona. Po śmierci Wade'a to ona przejęła rolę głowy rodu. Od tamtej pory w swoich obydwu rodzinach decydowała praktycznie o wszystkim. Była pełnoetatową matką, która po przyjściu na świat drugiego dziecka odeszła z pracy w HR. Rodziła swoją czwórkę dzieci w dwuletnich odstępach, zgodnie z planem. Najmłodsze miało teraz sześć lat, a urodziło się osiem dni po naszych bliźniętach. Odkąd wszystkie jej małe weszły w wiek szkolny, Karen mówiła o powrocie do pracy, ale jak dotąd kończyło się na słowach.

Średnia siostra, Jennifer – ona nie zmieniła nazwiska – różniła się wyglądem od Alison. Miała ciemniejszą cerę, bardziej krągłe policzki, była też niższa. Za to obie miały podobne charaktery i były dla siebie najlepszymi przyjaciółkami. W rodzinie Powellów Jenny pełniła funkcję rozjemczyni, co wiązało się również z tym, że zbyt łatwo godziła się na rzeczy, które były nie do przyjęcia, tolerując je tak długo, aż wybuchała nagromadzonym gniewem. Podobnie jak Alison wybrała taki zawód, w którym mogła pomagać ludziom. Pracowała jako pielęgniarka w izbie przyjęć pobliskiego szpitala. W przeciwieństwie do ukochanej siostry nie miała dzieci. To dawało jej status „fajnej ciotki”, tej, która zawsze miała czas i energię dla swoich siostrzeńców i siostrzenic.

Z tego, co udało mi się dowiedzieć o ich dzieciństwie, Karen od najmłodszych lat lubiła brać byka za rogi i celowała najwyżej, jak tylko mogła. W połowie szkolnych

klubów, do których należała, była albo wiceprezesem, albo skarbnikiem. W liceum zakwalifikowała się do grona półfinalistów programu stypendialnego National Merit i skończyła szkołę z jedną z najwyższych średnich ocen. Potem była Jenny, której zupełnie nie interesowało kreowanie imponującego CV, za to wołała na każdym etapie życia gromadzić wokół siebie oddanych przyjaciół. Alison bacznie przyglądała się obu siostram i postanowiła pójść w ślady Karen. Nawet ją przebiła, bo w szkolnych klubach była prezesem, w National Merit znalazła się wśród finalistów, a liceum skończyła z najwyższą średnią.

Przez lata niewiele się zmieniło. Alison pozostała Złotym Dzieckiem, była z całej trójki najładniejsza i zawsze robiła wszystko najlepiej. Jenny była Królową Serc, sympatyczną, wesołą kobietą, do której ludzie lgnęli. A Karen pełniła funkcję Szefowej, która za zgodą pozostałych dwóch trzymała ster.

Wszystkie trzy miały mężów, choć nigdy do końca nie ustaliłem, jaki był nasz status w organizacji zwanej Siostry Powell. W najlepszym razie graliśmy drugoplanowe role.

Mężem Karen był Mark Lowe, mądry, cichy informatyk, który nie miał nic przeciwko temu, by żona kierowała jego życiem. Można powiedzieć, że Mark miał predyspozycje genetyczne do spędzania ogromnych ilości czasu w zamkniętych pomieszczeniach: był rudy – tak rudy, że w dzieciństwie jego włosy były wręcz pomarańczowe – i blady, więc nawet przed koszeniem trawy w ogródku dosłownie kąpał się w kremie z filtrem przeciwsłonecznym. Stanowił idealne ucieleśnienie stereotypu komputerowego geeka: był ostatnim, którego koledzy wybierali do swoich drużyn sportowych, i pierwszym, do którego dzwonili, kiedy ich bezprzewodowy router odmawiał posłuszeństwa.

Jennifer wyszła za Jasona Bundrena, człowieka będącego dokładnym przeciwieństwem Marka Lowe'a. Jason był typem hałaśliwego osiłka, który ochoczo wcielał się w rolę pomocnego zięcia, ilekroć Gina potrzebowała przenieść coś ciężkiego. Pracował jako handlowiec; ostatnio zajmował się dostawami systemów kanalizacyjnych i instalacji oczyszczania ścieków dla samorządów lokalnych i wojska. Bezdzielnosć zamknęła go w czymś na kształt wiecznego chłopięctwa. Jego życie obracało się wokół samochodów, futbolu i broni palnej. Z Jennifer poznali się na strzelnicy.

Zebrawszy całą rodzinę przed sobą, Alison stanęła plecami do kominka. Napięcie widoczne na jej twarzy było dla zebranych równie oczywiste, co osobliwość tego nagłego spotkania. Wszyscy ucichli, kiedy tylko zaczęła mówić.

Na początek ustaliła najważniejsze zasady. Nie wolno im absolutnie nikomu powtórzyć ani słowa z tego, co tu usłyszą. Nie mogą podejmować żadnych kroków, nawet takich, które wydadzą im się niewinne i pomocne. Mają uszanować naszą decyzję o tym, że sami się wszystkim zajmujemy. Teraz chodziło wyłącznie o to, żeby słuchali.

– Czy to jest dla was do zaakceptowania?

Kiedy zobaczyła potakujące kiwnięcia głów, wszystko im powiedziała.

Pierwsza rozplakała się Gina, a zaraz po niej Jenny i Karen. Alison do samego końca zachowała spokój. Gdy skończyła mówić, matka i siostry przytuliły ją do siebie i obsypały pocieszającymi słowami. Widziałem, że Alison czerpie z ich wsparcia dużo



siły.

Karen, która o wszystkim dowiedziała się cztery godziny wcześniej, jako pierwsza z całej czwórki wyrwała się z uścisku i przeszła do kolejnego etapu.

– To jaki macie plan? Co zamierzacie zrobić?

Mówiąc to, patrzyła na mnie.

– Właśnie o to chodzi, że nic nie zrobimy – powiedziałem, umyślnie używając liczby mnogiej. – Będziemy wypełniać polecenia, milczeć i modlić się, żeby cały ten koszmar szybko się skończył.

– Przecież nawet nie wiecie, na czym im tak zależy – zauważyła.

– To bez znaczenia. Jak tylko się ze mną skontaktują i powiedzą, jakiego żądają wyroku, taki właśnie wydam. Nie mamy żadnej karty przetargowej.

Karen przeżuwała to, co powiedziałem. Niemal dosłownie. Jej szczęki zauważalnie zaciskały się i rozluźniały. Zdawało się, że cała rodzina wstrzymała oddech.

– Nie możemy siedzieć z założonymi rękami – odezwała się znowu Karen. – Emma nas potrzebuje.

– Karen – przerwała jej ostro Alison. – Obiecałaś.

– No dobrze, spokojnie. Nie mówię, że mamy dzwonić na policję. Tylko głośno myśleć. Czy jest jakikolwiek sposób na to, żeby zainicjować kontakt z tymi ludźmi? Możecie z nimi rozmawiać?

– Nie – odparłem, kręcąc głową. – Esemesy zostały tak przetworzone, żeby ukryć nadawcę. Telefony były z zastrzeżonego numeru.

– Ale operator na pewno mógłby się dowiedzieć, do kogo ten numer należy. Oni tam mają...

– Nie bez nakazu sądowego – wtrąciłem. – A nie mogę wydać takiego nakazu bez angażowania prokuratury.

Karen była nieugięta. Patrzyła teraz na Marka.

– Masz znajomych, którzy mogliby się włamać do komputerów operatora i wykraść takie dane?

Mark wyglądał na nieco przerażonego.

– Nie zajmuję się takimi rzeczami – powiedział spokojnym tonem. – Nawet bym nie wiedział, gdzie...

– Dobra, nieważne – uciszyła go. – Po prostu rozważam nasze możliwości. A może byśmy poddali Sama hipnozie? Podobno dobry hipnotyzer potrafi wydobyć z ludzi wspomnienia, o których nawet nie mają pojęcia.

Rzuciłem Alison błagalne spojrzenie.

– Przepytałismy Sama tak drobiazgowo, jak tylko się dało – powiedziałem. – Nawet gdyby podał nam precyzyjny rysopis obu tych mężczyzn, to co mielibyśmy z tym zrobić? Przecież nie rozwiesimy plakatów na poczcie.

– Okej, okej. Ja tylko rzucam pomysły – odparła Karen i znów spojrzała na mnie.

– Musimy przejrzeć po kolei wszystkie sprawy na twojej wokandzie. Założę się, że jeśli poważnie się do tego przyłożymy, to znajdziemy tę, o którą im chodzi.

– Tych spraw jest kilkaset. Nie sądzę...

– Musi być kilka takich, w których komuś ewidentnie zależy na takim, a nie innym

werdykcie.

– To jest sąd federalny, Karen. W każdej sprawie komuś chodzi o jakiś werdykt. Nikt nie idzie do sądu po to, żeby przegrać.

– A przynajmniej próbowałaś szukać?

– Nie – odparłem, ze wszystkich sił starając się nie stracić równowagi. – Zastanów się. Nawet jeśli udałoby mi się zawęzić poszukiwania do trzech, czterech spraw... Moim zdaniem to niemożliwe, a nawet jeśli, to zajęłoby to co najmniej dwa miesiące. Ale dobra, na razie to odłożmy. Powiedzmy, że się uda. To jak miałyby wyglądać mój następny krok? Mam podejść do każdego z oskarżonych i powodów i zapytać: „Przepraszam, czy aby nie szantażuje mnie pan, przetrzymując moją córkę?”

– Daruj sobie ten sarkazm. – Karen się najeżyła.

Moja teściowa postanowiła interweniować.

– Karen, kochanie, już i tak jest im ciężko...

– Wiem, wiem – powiedziała Karen. – Jeśli nie chcecie nic robić, to wasz wybór. Obietnica jest obietnicą. Ale gdyby to było moje dziecko, to nie wiem, jak mogłabym nie zareagować.

Prędzej czy później musiało do tego dojść: despotyczna Karen rzuciła mi wyzwanie, żebym zachował się jak przystało na mężczyznę.

Ale nie zamierzałem łykać jej przynęty. Nie miałem nic do zyskania.

Niedługo potem nasza rodzinna narada dobiegła końca i część jej uczestników rozjechała się do swoich domów.

Jennifer miała tej nocy dyżur w szpitalu, więc ona i Jason ruszyli jako pierwsi. Gina mówiła pod nosem, że nie chce kierować po ciemku, więc wyszła niedługo po nich.

Zostaliśmy z Karen, Markiem i ich zgrają dzieci. Cieszyłem się, że u nas były. Sam potrzebował teraz towarzystwa kuzynów. Przynajmniej przez chwilę mógł nie myśleć o siostrze.

Kiedy przyszła pora kolacji, zamówiliśmy pizzę dla dzieci, a Alison z Karen poszły do kuchni ugotować coś dla naszej czwórki. Karen pokonała początkowy opór Alison i namówiła ją na otwarcie butelki wina.

Czułem, że chcą spędzić czas tylko we dwie, więc zaprosiłem Marka na werandę z tyłu domu. Mój szwagier był porządnym gościem, cieszyłem się, że mogę z nim porozmawiać. Karen miała w nim oddanego męża, a dzieci – troskliwego ojca. Był zrównoważonym, przyzwoitym facetem, na którym można było polegać w dowolnej sprawie. Na pewno wolałem go od zdziecinniałego paramilitarysty, za którego wyszła Jenny.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, wrześnie słońce właśnie zaczynało zachodzić. Zabarwiało przeciwległy brzeg rzeki York i sprawiało, że włosy Marka wyglądały, jakby płonęły.

– Wiem, że to idiotyczne pytanie – zagaił, siadając na krześle – ale jak się masz?

Tylko pokręciłem głową. Wiedziałem, że ma dobre intencje, ale mojego nastroju nie dało się ubrać w słowa.

– Nawet sobie nie wyobrażam, jak się musisz czuć – ciągnął Mark. – To jakiś koszmar i nawet to słowo wydaje się niedopowiedzeniem.

Mark z natury nie był zbyt rozmowny. W grupie trzech żon i trzech mężów rzadko kiedy się odzywał. Było dla mnie jasne, że bardzo się stara wyciągnąć do mnie dłoń.

Ale ja po prostu nie miałem siły na rozmowę, którą chciał ze mną przeprowadzić.

– Wiesz co? Przepraszam cię – powiedziałem – ale jak tylko o tym myślę, to zaczynam wariować. Możemy zmienić temat?

– No jasne. Jezu, wybacz. Chciałem tylko...

– Daj spokój, nie ma problemu. Serio. Po prostu odwróć czymś moją uwagę.

– Poszukałem w myślach bezpiecznego tematu, ale nie znalazłem nic sensownego, więc po prostu zapytałem: – Jak w robocie?

Mark ochoczo rozpoczął monolog o swoich zmaganiach z cyfrową materią. Jego praca polegała na optymalizacji sieci komputerowej w firmie inwestycyjnej Whipple Alliance. Zdaje się, że był w tym naprawdę dobry. Nie rozumiałem wszystkich szczegółów, ale ze słów Marka wynikało, że zdarzały się takie sytuacje, w których traderzy, włącznie z prezesem Andym Whipple'em, mogli zarabiać o pół centa więcej na każdej transakcji, jeśli tylko udałoby się przyspieszyć operację o parę nanosekund. Miało to znaczenie dla firmy, która przeprowadzała kilka milionów transakcji rocznie.

Mark pracował dawniej dla Whipple Alliance w Nowym Jorku. Przeprowadzka do Wirginii była konsekwencją serii niezwiązanych ze sobą wydarzeń. Po pierwsze, Karen postanowiła zająć się domem i dziećmi, co oznaczało, że musiała im wystarczyć jedna pensja, a to w Nowym Jorku jest bardzo trudne. Później zmarł Wade Powell i Karen zaczęła przebąkiwać coś o zamieszkaniu bliżej jej owdowiałej matki. Mark przekonał przełożonych, że będzie w stanie wykonywać swoją pracę na odległość.

Kiedy pięć lat temu sami się tu osiedliliśmy, pod wieloma względami podążaliśmy szlakiem, który oni dla nas wyznaczyli. Urodziły się nam dzieci. Wróciliśmy do domu, żeby tu je wychować, a dla dzieci żołnierza „dom” oznacza ostatnie miejsce, w którym stacjonował ich ojciec.

Mark mówił, a wokół nas zapadał zmrok. Dołączyły do nas nasze żony i po ich rozkołysanym kroku zorientowałem się, że dokończyły pierwszą butelkę wina i otworzyły drugą. Ewidentnie zaskoczyły tym swoje puste żołądki.

Niektórzy z psychologów uzależnień, z którymi kontaktowałem stojących przede mną oskarżonych, powiedzieliby, że to niebezpieczne zachowanie: odurzanie się w obliczu niemożności poradzenia sobie z rzeczywistością. Ale mogłem to zrozumieć. Rzeczywistość w tym momencie była naprawdę do dupy.

– Co tam u was? – zapytała Alison.

– Właśnie zanudzałem Scotta opowieściami o pracy – odparł Mark.

– A jakże – parsknęła Karen z sarkazmem i siadając, wylała trochę wina z kieliszka. – Powiedziałeś mu, że Gary i Ranjit przypisują sobie wszystkie twoje zasługi? – Spojrzała na mnie i ciągnęła: – Zaczęli się już z niego śmiać, że powinni mu płacić prowizję za każdą pochwałę od szefa.

– To tylko głupie żarty – wtrącił Mark.

Karen go zignorowała.

– Te dwa dupki siedzą w Nowym Jorku i jak tylko Mark zrobi coś dla firmy, idą do prezesa i mówią: „Kojarzysz to nowe ulepszenie, dzięki któremu zarobiłeś miliony

dolarów? Tak, tak, to my”. A tak naprawdę to zawsze robota Marka, tylko że on akurat nic nie mówi.

Mark odchrząknął.

– Nikt im nie wierzy. Prawda jest zawarta w kodzie. Można zobaczyć, co jest zapisane w każdym...

– Chryste! Myślisz, że ci debile znają się na programowaniu? – warknęła Karen.

– Wiesz, na czym się zna Andy Whipple? Andy Whipple zna się na zarabianiu grubej kasy i posuwaniu striptizerek. Oszukujesz się, jeśli myślisz, że wie o twoim wysiłku.

– Andy jest dużo bardziej zorientowany niż...

– To czemu nie chcesz go poprosić o podwyżkę? – przerwała mu kolejny raz.

– Może choć raz byś o siebie zawalczył, co? Scott cię nauczy. Sędziowie muszą być asertywni, prawda?

Karen wreszcie przerwała swoją tyradę. Alison odchrząknęła i rzuciła mi porozumiewawcze spojrzenie: „Proszę cię, zrób coś”.

Wstałem i zaproponowałem ugodę:

– Chodźmy jeść.

## Rozdział 14

Trzydziestoczerocalowy monitor rzucał niebieskawe światło na ścianę sypialni.

– Przewiń dalej wstecz – powiedział starszy brat. – Chcę zobaczyć, kiedy przyjechał ten samochód.

Młodszy przytaknął i wystukał coś na klawiaturze komputera. Na ekranie były wyświetlone trzy kadry: obraz w jednym z nich zaczął się cofać. Widać na nim było nie jeden samochód, lecz dwa, a potem trzy.

– Powinieneś uważać. – Starszy brat skarcił młodszego. – Cały czas grasz w gry. Nie jesteśmy tu dla zabawy.

Młodszy nie odpowiedział. Nie miał ochoty na kolejny wykład.

– Jest – rzucił starszy. – Puść od tego momentu.

Młodszy nacisnął przycisk „play”. Na ekranie widać było wiejski dom z panoramiczną werandą. Wszystkie trzy kadry dawały obraz ukazujący front i boki budynku. Środkowa kamera obejmowała trzydzieści metrów trawnika i podjazd z bitej ziemi. Dwie kamery boczne, wychylone maksymalnie w kierunku tylnego ogródka, umożliwiały podgląd reszty działki aż po krawędź lasu.

Obiektywy kamer były tak małe, że nawet wiewiórki wdrapujące się na drzewa, na których urządzenia były zawieszane, nie byłyby w stanie ich zauważyć. Trzy skrzynki nadawcze, wysyłające sygnał do sieci internetowej, były ukryte nieopodal.

Bracia patrzyli na trzy samochody, które zajechały przed dom Sampsonów w przeciągu jakichś dwudziestu minut. Z pierwszego auta wysiadła kobieta, na oko siedemdziesięcioletnia. Potem przyjechała para w średnim wieku, a na koniec sześciuosobowa rodzina.

– Przyspiesz – powiedział starszy z braci. – Chcę zobaczyć, kiedy odjechały pierwsze dwa.

Młodszy brat wykonał polecenie. Przez chwilę niewiele się zmieniało w wyświetlanym kadrze, jedynie słońce obniżało się nad linią horyzontu. Wreszcie z domu wyszła para w średnim wieku, a niedługo po nich starsza kobieta. Kiedy tempo odtwarzania obrazu wróciło do normalnego poziomu, sześciuosobowa rodzina była wciąż w środku.

– Myślisz, że powinniśmy zadzwonić? – zapytał młodszy brat.

Zamiast odpowiedzieć, starszy poszedł do kuchni i wziął ze stołu telefon internetowy. Włączył głośnik, wybrał numer i czekał.

– Mam nadzieję, że to ważne – rozległo się w słuchawce. – Jestem na spotkaniu.

– Sędzia ma gości.

– Jakich gości?

– Trzy samochody. W sumie dziewięć osób. Niektórzy już odjechali.

Osoba po drugiej stronie momentalnie się ożywiła.

– Policja?

– Nie sądzę. Wyglądają na cywili.

– Okej. Ale i tak powinniśmy wysłać komunikat. Niech wiedzą, że to niedopuszczalne.

- Jasne. Co pan ma na myśli?
- Po prostu przypomnij im, czym ryzykują.

## Rozdział 15

Zmywałem właśnie ostatnie naczynia po kolacji, kiedy do kuchni weszła Alison. Jej siostra z mężem i dziećmi już pojechali. Alison usypiała Sama. Dzięki jedzeniu zdołała solidnie wytrzeźwieć.

– Jak poszło? – spytałem.

– Ciężko – powiedziała, westchnęła i stanęła po drugiej stronie kuchennej wyspy. Usiadła na wysokim taborecie.

– Jak ciężko?

– Pewnie mogło być gorzej. Płakał, że Emma nie może mu powiedzieć dobranoc. Rozmawialiśmy o tym, jak za nią tęsknimy i że się o nią boimy. Potem masowałem mu plecy. Po pięciu minutach zasnął jak kamień. Na szczęście był zmęczony. Kuzyni nieźle go przegonili.

– Ale wiesz, że nie będzie ich tu miał co wieczór?

– Wiem, wiem – odparła.

Zabrałem się do wycierania szklanej miski i wyrzuciłem z siebie pytanie, które pełzło od dłuższego czasu na wierzch mojej świadomości:

– Po tym wszystkim, co przeszedł, chyba powinniśmy go wysłać do terapeuty, nie uważasz?

– Też o tym myślałam. Tylko nie wiem, jak by to miało wyglądać. Bo przecież nie będzie mógł powiedzieć prawdy. A okłamywanie terapeuty mija się z celem.

– A czy terapeutów nie obowiązuje tajemnica lekarska?

– Nie, jeśli zagrożone jest życie dziecka. Sprawdziłam to. Takie rzeczy muszą zgłaszać.

Miska była już sucha, więc ją odstawiłem.

– Czytałam też o stresie pourazowym u dzieci – dodała Alison.

– I co?

– Nie ma żadnego testu, który by to wykrył. Oglądałam kilka stron i wygląda na to, że niektóre dzieci to mają, inne nie, i nie wiadomo, od czego to zależy. Musimy go bacznie obserwować i dawać mu dużo miłości i wsparcia. Jak będzie coś mówił, trzeba będzie go słuchać i powtarzać, że to nie jego wina.

– Innymi słowy mamy go pocieszać, mimo że sami potrzebujemy pocieszenia.

– Mniej więcej. Pisali tam też, że...

Przerwały jej światła samochodu padające na drzewa za oknem kuchni. To, że na ich widok momentalnie przerwaliśmy rozmowę, najlepiej świadczyło o naszym przewrażliwieniu.

– Czy to Justina? – spytała Alison.

– Pewnie tak.

Alison wstała i podeszła szybko do drzwi wejściowych, żeby lepiej się przyjrzeć. Zrobiłem to samo.

Patrzyliśmy przez okna w salonie, jak samochód Justyny, stara toyota, staje na miejscu obok hondy odyssey, obok domku gościnnego.

– Pójdę z nią porozmawiać – powiedziała Alison.

– Nie wiem, czy to takie...

Ale ona już wyszła z pokoju, a po chwili była już przed domem. Szła tak szybko, że ledwo ją dogoniłem.

– Alison, poczekaj. Obgadajmy to najpierw.

Była już w połowie drogi do domku gościnnego. Stawiała zdecydowane kroki na ścieżce z bitej ziemi. W oddali zaskomlały psy naszych sąsiadów.

– Zostań z Samem – powiedziała, ciężko dysząc.

– Samowi nic nie grozi. Widać stąd nasze drzwi. Jaki masz plan?

– Już powiedziałam. Chcę z nią porozmawiać.

– To nie jest dobry moment. Minęła już dziesiąta. A ty trochę...

...Wypiłaś. Ale nie wypowiedziałem tego na głos.

– Możesz wracać do domu, jeśli chcesz – przerwała mi Alison.

Kiedy wreszcie się z nią zrównałem, zobaczyłem, że trzyma w dłoni perukę. Musiała ją chwycić, wychodząc z domu. Stałem jej na drodze.

– Alison, proszę cię. Poczekaj sekundę.

W końcu się zatrzymała, a ja zdążyłem powiedzieć:

– Nie możesz tak po prostu tam wmaszerować i oskarżyć ją o porwanie naszych dzieci tylko dlatego, że znalazłaś w jej rzeczach perukę.

– Ja na pewno nie kierowałam tą hondą.

– Co nie znaczy, że to na pewno była Justina – powiedziałem. – Nie twierdzę, że jest niewinna, ale zastanów się nad tym przez chwilę. Opiekuje się naszymi dziećmi już dwa lata. Kocha je jak swoje własne. Musimy mieć więcej dowodów.

– Niby czemu? Bo jest atrakcyjna i masz ochotę ją przelecieć?

Tak mnie tym zaskoczyła, że nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Alison...

– Przecież widzę, jak się na nią gapisz – rzuciła i posłała mi świdrujące spojrzenie.

– To nie fair. Nigdy się na nią...

– I widzę, jak ona się gapi na ciebie. Jak trzepocze rzęsami. Na kilometr widać, że ma kompleks tatusia, i ty jesteś jej ukochanym tatą, którego chce...

– Teraz już bredzisz.

– Tak? To ciekawe. Jak zaczynała u nas pracować, studiowała medycynę. Teraz studiuje prawo.

– Studenci ciągle zmieniają kierunki.

– Ciągłe cię wypytuje o jakieś prawne zagwozдки.

– I to znaczy, że chce się ze mną przespać? Wybacz, ale to...

– No to powiedz mi wprost. Powiedz, że nie chcesz jej przelecieć.

– Naprawdę o tym rozmawiamy? – rzuciłem z niedowierzaniem. – Nie zamierzam się bronić przed...

– Bo wiesz, że nie masz jak się bronić. Wiesz...

– Okej. Nie chcę jej przelecieć. Nie chcę jej przelecieć, bo kocham swoją żonę i nie mam zamiaru wykorzystywać dziewczyny, która mogłaby być moją córką.

– To dlaczego ją bronisz?

– Nie bronię jej. Próbuję ci tylko wytłumaczyć, że nie powinniśmy rzucać oskarżeń,



jeśli nie wiemy...

– Czego ci jeszcze potrzeba? Nagrania wideo? A nie, czekaj. Ona już jest nagrana – powiedziała Alison i zaczęła wyliczać na palcach: – Więc mamy ją na filmie. Do tego dochodzi fakt, że oprócz nas tylko ona ma kluczyki od hondy. Do tego porywacze mówią z obcym akcentem.

– Który może pochodzić z dowolnego kraju.

– Chodzi mi o to, że mamy dość poszlak, żeby podejrzewać Justinę. A już na pewno wszystko to by wystarczyło, żeby uzyskać nakaz przeszukania jej domu, panie sędzio. Gdybyś nie myślał kutasem, już dawno byś to dostrzegł.

Już miałem zaprzeczyć, ale się powstrzymałem. Równie dobrze mógłbym dyskutować z drzewem w lesie. Nie miałem pojęcia, że Alison podejrzewa mnie o jakieś nieczne intencje wobec Justiny ani że żywi do niej tak silną urazę. Kiedy razem spędzały czas z dziećmi, świetnie się ze sobą dogadywały. Zdarzało się też, że po ułożeniu bliźniąt do snu Justina siadała w kuchni z kubkiem herbaty i rozmawiała długo z Alison. Miałem wrażenie, że moja żona zastępuje jej matkę, która mieszkała po drugiej stronie kuli ziemskiej. Aż do dzisiaj nawet bym nie pomyślał, że jest między nimi jakiś zgrzyt.

Ale faktem jest, że kiedy ktoś porywa twoje dzieci, wychodzą na jaw najróżniejsze skrywane głęboko uczucia.

– Dobrze, chodźmy z nią porozmawiać – powiedziałem. – Ale ani mi się waży mówić jej, że ktoś porwał Sama i Emmę. Jeśli przyjdzie jej do głowy zadzwonić na policję...

– Na pewno nie zadzwoni. Ale okej, nic nie powiem.

Po tych słowach ruszyła przed siebie jak taran.

Alison weszła na ganek po schodach z pustaków, otworzyła rozklekotane drzwi siatkowe i uderzyła kilka razy pięścią w główne drzwi.

W normalnych okolicznościach nigdy nie zawracaliśmy głowy Justinie w jej czasie wolnym. Zawsze mogła do nas przyjść, żeby porozmawiać z Alison o życiu albo ze mną o prawie, ale my nie nachodziliśmy jej bez uprzedzenia.

Po jakichś dziesięciu sekundach Justina stanęła w progu. Na jej twarzy malowało się zdziwienie.

– Cześć, co tam? – spytała.

Jej akcent był już ledwo słyszalny. Po czterech latach w Stanach – dwóch na studiach, a wcześniej dwóch w szkole z internatem – opanowała już wszystkie amerykańskie kolokwializmy.

Alison miała przyklejony do ust sztuczny uśmiech.

– Chcieliśmy pogadać – powiedziała.

Justina zrobiła krok w tył i otworzyła szerzej drzwi, żebyśmy mogli wejść.

– Jasne, zapraszam.

Ciemne włosy miała zebrane w kucyk. Ubrana była w ciasny T-shirt i jeszcze bardziej obcisłe džinsy; odwróciłem wzrok z nadzieją, że Alison to dostrzeże. Zamiast patrzeć na Justinę, rozejrzałem się dookoła. Nic się tu nie zmieniło. Na stole w części jadalnej leżała sterta podręczników. Na kanapie panował umiarkowany nieład, zauważyłem na niej kilka koców i poduszek o różnych wzorach. W kuchni i sypialni było

ciemno.

– O czym chcecie porozmawiać? – zapytała Justina.

– Miałam nadzieję, że mi to wytłumaczysz – powiedziała Alison i pokazała jej perukę.

Zwinięta w jej garści wyglądała jak potrącony przez samochód pekińczyk. Justina ewidentnie nie wiedziała, o co chodzi.

– Co to jest? – spytała.

– Poznajesz? – powiedziała Alison.

Ciągle uciekałem wzrokiem od Justiny, ale kątem oka zobaczyłem, że zerka na mnie, jakby szukała we mnie wsparcia.

Nie zamierzałem jej pomagać. Alison miała dość powodów do zmartwień, nie chciałem robić niczego, co mogłoby wzbudzić w niej dodatkowe podejrzenia wobec mnie. Musiałem opowiedzieć się jasno po jej stronie.

– Nie – odparła po chwili Justina.

– Przecież to twoje, prawda?

Posłałem szybkie spojrzenie w stronę Justiny. Wyglądała na mocno zdezorientowaną.

– Yyy... Możliwe. Czy to peruka?

– Tak. Miałaś ją na sobie wczoraj, kiedy odbierałaś dzieci ze szkoły?

– Wczoraj? – zdziwiła się Justina. – Przecież wczoraj była środa. W środy to sędzia je odbiera.

Znow patrzyła na mnie błagalnie, ale sędzia nie był głupi. Włączenie się w ich wymianę zdań nie dałoby mi żadnej korzyści.

– Justina, ktoś inny je odebrał i nie był to sędzia. Ani ja. Ktoś przyjechał po nie naszą hondą. Oprócz nas tylko ty masz kluczyki.

– Ale ja nie... – Justina zawiesiła głos.

– Co: „nie”? Nie masz kluczyków?

– Mam. Tam wiszą.

Justina pokazała na haczyk na ścianie przy drzwiach. Trzymaliśmy kluczyki tam, żeby łatwo je było znaleźć, gdyby któreś z nas potrzebowało wziąć auto. Był do nich doczepiony mosiężny brelok wielkości pięści, którego nie dało się włożyć do kieszeni. Dzięki temu ostatnia osoba korzystająca z hondy zawsze odwieszała je na miejsce.

– Czyli mówisz, że ich wczoraj nie odbierałaś? – zapytała Alison.

– Nie. Wczoraj miałam zajęcia. A dzisiaj wysłałaś mi esemesa, że też mam ich nie odbierać. Co się dzieje? Wszystko w porządku?

– Myślę, że dobrze wiesz – rzuciła Alison z tłumioną furią w głosie.

W końcu odważyłem się spojrzeć dłużej na Justinę. Jej twarz była jak skamieniała.

– Powiedz prawdę – nakazała Alison, nie odrywając od niej wzroku.

– Z konsekwencjami poradzimy sobie później. Teraz najważniejsze są dzieci. Ktoś ci zapłacił, żebyś je odebrała? Grozili tobie lub twojej rodzinie?

– O czym wy mówicie?

Alison stała wyprostowana jak strzała. Wzięła głęboki wdech i zrobiła jeszcze dłuższy wydech.

– Wybacz – odezwała się wreszcie – ale nie mam wyboru. Zwalniam cię. Po weekendzie ma cię tu nie być.

– Ale... Ja nie mam gdzie...

– Wynajmiesz sobie mieszkanie bliżej uczelni. Na pewno jest mnóstwo ofert. U nas nie możesz dłużej mieszkać.

– Nie, proszę. Nawet się nie... – urwała, po czym spojrzała na mnie.

Niepotrzebnie. Nie mogłem złagodzić wyroku Alison.

– Panie sędzio, nie może pan...?

– Przykro mi – powiedziałem z precyzyjnie odmierzoną stanowczością.

Później, kiedy już pogasiliśmy światła i położyliśmy się do łóżka, fizycznie dzieliło nas kilkanaście centymetrów, ale wydawało się, jakbyśmy leżeli tysiąc kilometrów od siebie.

Alison głęboko odetchnęła, jakby chciała coś powiedzieć. Powstrzymała się, ale chwilę później w końcu to z siebie wyrzuciła:

– Przepraszam za Justinę.

Nie byłem pewien, za co właściwie mnie przeprosza: za oskarżenie mnie o nieczyste myśli czy za wyrzucenie dziewczyny z naszego domu. Ale nie zamierzałem odtrącać jej dobrowolnej skruchy, więc powiedziałem:

– Nie ma sprawy.

– Jeśli się co do niej mylę, to jestem okropna. Wiem o tym. Ale coś mi mówi, że mam rację. I nie mogę pozwolić, żeby mieszkała tak blisko nas, jeśli uważam, że to ona porwała nasze dzieci.

– Nie ma sprawy – powtórzyłem.

– Jak to wszystko się skończy, zawsze będziemy mogli ją znów zatrudnić.

– Wątpię, żeby chciała wrócić.

– Myślisz, że się mylę?

– Sam nie wiem, co myśleć – odparłem szczerze.

Po kilku chwilach ciszy Alison powiedziała:

– Jutro jeszcze raz tam pójde, jak będzie na uczelni, i znajdę coś z jej odciskami palców i DNA.

– Dobry pomysł – odparłem, co tak naprawdę oznaczało, że nie zaszkodzi spróbować.

Tymczasem uruchomiła się klimatyzacja i wpuściła do sypialni chłodne powietrze. Podciągnąłem kołdrę pod szyję.

– Przepraszam za te... podejrzenia, że chcesz się z nią przespać.

– Dzięki – powiedziałem niepewnie.

Obróciła się twarzą do mnie i w jednej chwili zasypała ten wielokilometrowy kanion, który jeszcze przed chwilą nas dzielił. Szybko i mocno pocałowała mnie w usta.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Scott. Mam szczęście, że cię znalazłam. Nawet jeśli od tego wszystkiego zaczynam wariować, to nie znaczy, że cię nie kocham.

– Ja ciebie też kocham. Nie zapominaj o tym.

Wsunąłem rękę pod jej bok, a ona położyła głowę na mojej piersi. Mocno ją do siebie przytuliłem i nagle zdałem sobie sprawę, jak bardzo potrzebny mi był kontakt

z bliską osobą. Ciepło bijące od Alison przypomniało mi, że nie jestem w tym wszystkim sam. Nasza bliskość była pierwszą rzeczą od dobrych trzydziestu godzin, która nie była koszmarem, więc pozwoliłem tej chwili trwać.

I wtedy zadzwonił dzwonek do drzwi.

Moje ciało zareagowało błyskawicznie. Odepchnąłem od siebie Alison, skoczyłem na równe nogi i pobiegłem do sypialni Emmy, której okno wychodzi na podwórze. Wyrząłem na dwór.

Panowała całkowita ciemność. Rozejrzałem się po trawniku przed domem w poszukiwaniu jakiegoś ruchu, ale niczego nie zauważyłem.

Alison dołączyła do mnie akurat, kiedy wychodziłem z pokoju.

– Co tam jest? – zapytała.

– Nic – odpowiedziałem i minąłem ją, wychodząc na korytarz. – W każdym razie nic, co da się zobaczyć. Ale na wszelki wypadek idź do pokoju Sama, zamknij drzwi na klucz i nie wychodź, dopóki nie powiem.

Słyszałem jej kroki, kiedy biegła do Sama. Zszedłem szybko po schodach i już nie traciłem czasu na wyglądanie przez okno salonu. Od razu zsunąłem łańcuch z drzwi i szeroko je otworzyłem.

W pierwszej chwili spojrzałem prosto przed siebie. Podwórko wyglądało tak samo jak zawsze. Magnolie. Trawnik. Podjazd. Wszystko po staremu.

A potem przeniósłem wzrok pod nogi. Przed drzwiami stało kolejne tekturowe pudło, takie samo jak poprzednie, oklejone od góry srebrną taśmą. Oderwałem ją i zajrzałem do środka.

Wziąłem gwałtowny wdech.

Na dnie leżały włosy. Kręcone, dziecięce pukle.

Loki Emmy.

Odruchowo zakryłem usta dłonią. Ogolili ją na łyso. Jak mogli tak obnażyć moją najśłodsza córeczkę! Pewnie musieli ją mocno trzymać. Byłem pewien, że krzyczała i płakała.

Cały się trząsałem, kiedy brałem do rąk białą kopertę, w której znalazłem kartkę z wiadomością zapisaną znanymi mi już wielkimi literami.

**MIELIŚCIE DZIŚ ZA DUŻO GOŚCI. KONIEC Z PRZYJĘCIAMI. NIE MAMY JUŻ ŻADNYCH WŁOSÓW DO OBCINANIA.**

Zrobiłem kilka kroków w przód, stanąłem na krawędzi werandy i znów wyrząłem w mrok. Między naszym domem a drogą było z tysiąc miejsc, w których ktoś mógł się przed nami kryć. Nie mieliśmy też zbyt wielu sąsiadów, którzy mogliby się zainteresować jakimiś dziwnymi osobami kręcącymi się po okolicy. Odwróciłem się, żeby wrócić do środka.

I wtedy zauważyłem, że zniknął kolejny karmnik dla ptaków.

## Rozdział 16

Jakimś cudem udało mi się zasnąć. Moje ciało przekroczyło granicę wyczerpania, za którą przestało mnie pytać o zgodę.

Nazajutrz, kiedy otworzyłem wreszcie oczy, Alison nie było już w łóżku, a w całym domu unosił się zapach śniadania. Kawa. Boczek. Naleśniki w piątek, dwa dni przed kalendarzowym Dniem Naleśnika.

Zebrałem wszystkie siły, żeby zgarnąć z łóżka swoje wciąż przemęczone, obolałe ciało, i doczłapałem się do okna. Mamy w sypialni bardzo szeroki parapet, który Alison przerobiła na przytulny kącik z poduszkami, skąd rozpościera się widok na rzekę. W miejscu, w którym mieszkamy, czyli na północnym brzegu rzeki, tuż przy jej ujściu do zatoki Chesapeake, York ma prawie dwa kilometry szerokości. Południowy brzeg jest stąd widoczny, ale mało wyraźny, co daje uroczy efekt. Zazwyczaj uwielbiałem ten widok.

Dzisiaj wydał mi się wręcz niesmaczny. Podobne wrażenie zrobiło na mnie słońce, świecące na nas z bezchmurnego nieba. Nic nie powinno być tak piękne w dniu, w którym wszystko inne tak bardzo się zgadzało.

Oderwałem się od okna i poszedłem do łazienki. Wziąłem prysznic. Bardzo długi. Ogoliłem się. Niedbale. Ubrałem. Bez przekonania. Tak naprawdę chciałem tylko wrócić do łóżka i zwinąć się w kłębek. Każdy mój ruch był walką z bezwładem.

Trzeci dzień tragedii rodzinnej to dziwny czas. Pierwszego dnia człowiek doznaje wstrząsu. Dzień drugi to jeden wielki sztab kryzysowy. Trzeciego dnia świat nadal leży w gruzach, ale zaczynasz rozumieć, że mimo to życie toczy się dalej, czy tego chcesz, czy nie.

Alison, jak zwykle, zrozumiała to szybciej niż ja. Kiedy zszedłem na dół, ona uwijała się w kuchni i kończyła już zmywać pierwszą partię naczyń.

– Zostawiłam ci trochę jedzenia – powiedziała i skinęła w stronę kuchenki, gdzie czekał na mnie talerz zawinięty w aluminiową folię.

– Dzięki – odpowiedziałem, ale się nie ruszyłem.

– Zjedz – rozkazała Alison. – Potrzebujesz energii.

Spojrzała na mnie i rzuciła mi wymuszony uśmiech spod swoich ciemnych oczu. Jej siła mnie zadziwiła. Kiedy ja się nad sobą użalałem, ona parła do przodu. Dla mnie. Dla Sama. Dla Emmy.

Oczywiście, z nas dwojga to ona zawsze była silniejsza. Gdyby obedrzeć mnie z wszystkich cienkich warstw fałszywego hartu ducha i brawury, okazałoby się, że mało we mnie treści, a więcej cukru i dmuchanego ryżu. Tymczasem Alison to była mocna dawka żołnierskiej owsianki.

Ciągle pamiętałem moment, kiedy pierwszy raz ją zobaczyłem. Oboje byliśmy na drugim roku studiów. Szła pewnym krokiem przed budynkiem samorządu studenckiego, pełna młodzieńczej energii, wyprostowana, z jasnymi włosami spływającymi po plecach. W jej ruchach była jakaś sportowa elegancja. Słońce, które zachodziło dokładnie za nią, idealnie ją oświetlało. Wyglądało to tak, jakby cały Układ Słoneczny dążył do tego, żebyśmy się spotkali. Przez moją głowę przebiegła jedna, prosta myśl: o rety, co to za

dziewczyna?

Z nietypową dla siebie odwagą podszedłem do niej i zapytałem, jakie ma plany na wieczór. Nie wyobrażałem sobie, że miałbym spędzić choćby jedną minutę bez niej w moim życiu.

Byłem pewien, że już wtedy doceniałem w pełni jej urodę, ale prawda jest taka, że nie miałem pojęcia, z jakim pięknem będzie mi dane obcować. Czasem sam się dziwię, że mając dwadzieścia jeden lat i będąc w gruncie rzeczy dość głupawym studencikiem, który mało co rozumiał z życia, miałem na tyle rozumu w głowie, żeby zakochać się w tak niesamowitej kobiecie.

– Jesteś naprawdę wspaniała, wiesz? – powiedziałem, patrząc, jak wkłada naczynia do zmywarki.

– Mhm – odparła, nie przerywając.

– Mówię serio.

Chciałem powiedzieć coś więcej, wyrazić swoją wdzięczność za to, że ją mam, podziękować za jej nieprawdopodobną siłę i ofiarność. Wytłumaczyć, że mam na myśli cały nasz związek i wszystko, czego razem doświadczyliśmy: od gorączkowych dni w pierwszych latach pracy zawodowej, z wykradanymi z kalendarza weekendami na seks i kino, jeszcze zanim urodziły się bliźnięta; przez niektóre z tych nieznośnie długich dni, kiedy Sam i Emma byli niemowlętami i myśleliśmy, że oboje tego nie przeżyjemy; wreszcie po dzisiejszy dzień i tę ostatnią próbę. Ale nie umiałem znaleźć właściwych słów i rozsypać swoich chaotycznych myśli. Zwłaszcza że Alison nie odrywała się od wykonywanej czynności.

– Zjrzę do Sama – powiedziałem. – Zjem później.

– Mhm – mruknęła pod nosem, a ja wyszedłem z kuchni.

Część nieprzespanej nocy minęła mi na zastanawianiu się nad tym, jak sobie radzi nasz syn. Byłem ciekaw, jak wygląda jego poranek bez Emmy. Czy czekał, aż siostra go zawoła, i w końcu uświadomił sobie, że przecież jej nie ma?

Znalazłem go w salonie. Inscenizował jakiś bardzo skomplikowany wyścig samochodowy, imitował dźwięki silników i komentował na żywo. Wszystkiego uważnie słuchał Miś Emma, który siedział na poręczy kanapy.

– Jak leci, szefie?

– Okej – powiedział Sam.

– Dobrze spałeś? – zapytałem, bo bezsenność to jeden z objawów stresu pourazowego.

– Tak – odparł.

Jak jego matka, on też na mnie nie spojrzał. Przez chwilę patrzyłem, jak się bawi. Wyglądał na zadowolonego.

– Kocham cię, Sammy.

– Ja ciebie też.

Uznałem, że nic więcej od niego nie wyciągnę, więc wróciłem do kuchni i usiadłem z talerzem, który przygotowała dla mnie Alison.

– Dzwoniłam już do pracy – oznajmiła, wycierając blat. – Ktoś musi zostać z Samem, ale ty oczywiście nie możesz. Wzięłam dłuższy urlop. Nie mogę codziennie

mówić im, że jestem chora. Muszą sobie jakoś zaplanować pracę.

– Okej.

– Zadzwoiłam też do szkoły i powiedziałam, że bliźniaki są przeziębione. To powinno wystarczyć przynajmniej przez weekend. W poniedziałek powiem im, że postanowiliśmy przez jakiś czas uczyć dzieci w domu. Każda inna wymówka mogłaby wzbudzić podejrzenia, a Sama bez Emmy raczej do szkoły nie pošlemy.

– Zgoda – powiedziałem.

– Szukałam w internecie i znalazłam laboratorium w Williamsburgu, które przeprowadzi dla nas analizę odcisków palców. Za dodatkową opłatą zrobią to ekspresowo i dostaniemy wyniki za trzy tygodnie. Dam im trochę rzeczy Justiny, żeby porównali je z tym, co było w pudle – to znaczy z kopertą i czymś, co nie wzbudzi podejrzeń. Może to strata czasu, ale będę miała wrażenie, że coś robię.

Posłała mi słaby uśmiezek i wtedy zrozumiałem, jak bardzo jest wyczerpana. Cały jej wysiłek – wstanie z łóżka, zrobienie śniadania, szukanie laboratorium, uparty bieg pod wiatr – bynajmniej nie był możliwy dzięki jakimś jej niewyczerpanym zasobom naturalnej energii. Prawda była taka, że Alison ledwo powłóczyła nogami.

– O której się dzisiaj obudziłaś? – spytałem.

– Prawie nie spałam – powiedziała takim tonem, jakby to nie miało większego znaczenia. – Na tych stronach o dziecięcym stresie pourazowym pisali, że bardzo ważne jest, by w miarę możliwości prowadzić normalne życie. Wręcz powinniśmy wysłać Sama do szkoły, ale skoro to jest wykluczone, to przynajmniej trzeba mu zapewnić rozrywkę. Zabierać go na wycieczki, jeździć z nim rowerem, takie rzeczy. Pomyślałam, że dzisiaj pojedę z nim do Muzeum Życia.

Muzeum Życia w Newport News miało wystarczająco dużo zwierząt, żeby zająć Sama na parę godzin, a przy tym nie było na tyle duże, żeby poczuł się zmęczony.

– Dobry pomysł.

– Karen i Jenny pojedą z nami.

– Świetnie.

Cieszyłem się, że Jenny ma w szpitalu nieregularne dyżury, a Karen nie pracuje zawodowo, bo wiedziałem, że towarzystwo dorosłych dobrze Alison robi. Zresztą Sam też uwielbiał być rozpieszczany przez mamę i ciotki.

– Pójdę się wyszykować – powiedziała Alison. – Widzimy się wieczorem.

Podeszła do mnie, pocałowała w policzek i pobiegła na górę.

Wgryzłem się wreszcie w naleśniki, a żeby zająć czymś myśli, skupiłem się na telefonie: przeglądałem e-maile, które przyszły do mnie od momentu mojego tajemniczego zniknięcia po rozprawie Skavrona.

Zignorowałem kilka nieistotnych wiadomości i skupiłem się na jednej, która prawie krzyczała, żebym zwrócił na nią uwagę. Nadawcą był John E. Byers, dla znajomych „Jeb”. Jeb Byers był prezesem Sądu Apelacyjnego dla Czwartego Okręgu w Richmond. Sędziowie federalni nie mają szefów, ale gdybyśmy ich mieli, Jeb byłby szefem mojego szefa.

Z tego, co o nim wiedziałem, Byers pochodził z jednej z tych starych wirginijskich rodzin, których przedstawiciele prawie bez wyjątku robili wspaniałe kariery w służbie

publicznej, dochodowym biznesie albo na kierowniczych stanowiskach renomowanych szkół, a ci nieliczni, którym się to nie udało, mieli przynajmniej dość dobrego smaku, żeby usunąć się po cichu w cień i zatopić swój wstyd w alkoholu.

Spotkaliśmy się kilka razy. Prawie nigdy nie pisał do mnie e-maili.

Ten dzisiejszy miał krótki temat: „Rozmowa”. Jeszcze zanim go otworzyłem, miałem złe przeczucie.

„Panie sędzio”, zaczął Byers. „Musimy porozmawiać o procesie *USA kontra Skavron*. Najlepiej jeszcze dzisiaj. Czy zechciałby pan zaproponować kilka możliwych terminów?”. Na dole widniał podpis: „Jeb”.

Poczułem ukłucie lęku. Sędziowie na ogół nie inicjują rozmów na temat cudzych wyroków, nawet tych najbardziej niedorzecznych. Owszem, zdawałem sobie sprawę z tego, że najprawdopodobniej to właśnie sędzia Byers stanie na czele trzyosobowej komisji, która cofnie moją decyzję w sprawie Skavrona, ale nie sądziłem, że będzie chciał się ze mną w tej sprawie konsultować.

Był tylko jeden powód, dla którego mógłby życzyć sobie tej rozmowy, i miał on związek z przyjętą w 1980 roku Ustawą o niezdolności do postępowania sądowego. Zgodnie z zawartymi w niej zapisami, w których określone zostały procedury postępowania wobec nie w pełni zdolnych do orzekania sędziów, wszelkie skargi dotyczące przekroczenia obowiązków przez sędziego były kierowane do prezesa sądu okręgowego.

Większość tego typu skarg składana była przez samych skazanych, których wyobraźnię ograniczał wyłącznie czas, jaki mieli na wymyślenie fałszywych powodów swojego niezadowolenia. Czasem też były pisane przez prawników, rozczarowanych taką czy inną decyzją sędziego prowadzącego rozprawę. Prezes sądu zazwyczaj odrzucał je w takim tempie, że składanie ich było w gruncie rzeczy stratą czasu.

Ale jeśli uznał, że ze skargi może wyniknąć jakiś dym, pod którym, co gorsza, buchną i płomienie, zdarzało się, że wszczynał postępowanie wyjaśniające. To ostatnie zaczynało się najczęściej od telefonu do sędziego, którego decyzję zaskarżono; miał on wówczas okazję przedstawić swoje racje.

Była to tak naprawdę sformalizowana uprzejmość, ukłon w stronę starej, dobrej tradycji, zgodnie z którą sądy same porządkowały swoje własne sprawy.

Ale był to też pierwszy krok na drodze do usunięcia sędziego z urzędu.



## Rozdział 17

Czterdzieści minut, jakie zajęło mi dojechanie do Norfolk, spędziłem na powtarzaniu w głowie wszystkich wariantów czekającej mnie rozmowy z Byersem.

W żadnym z nich nie przebiegła ona dla mnie pomyślnie. Z którejkolwiek strony by patrzeć na sprawę Skavrona, facet powinien był już ścielić swoją pryczę i szykować się mentalnie na długi pobyt za kratkami. Jego wina nie budziła najmniejszych wątpliwości, przynajmniej od momentu, kiedy się do niej przyznał. Wszystko przemawiało przeciwko niemu: ilość znalezionych przy nim narkotyków, jego bogata kryminalna przeszłość, jak również inne okoliczności, które mogły mieć wpływ na wymiar zasądzonej mu kary. Jego własny obrońca wnioskował o dwanaście lat więzienia.

Ilekoć wyobrażałem sobie Byersa pytającego o powody mojej decyzji, by puścić wolno takiego pasożyta, w moich myślach niezmiennie pojawiał się obraz mnie samego, plotącego trzy po trzy. Co z pewnością skłoniłoby Jeba do wyciągnięcia wniosku, który już i tak i on, i inni na pewno na mój temat wyciągnęli – że zostałem przekupiony.

No bo jak inaczej wyjaśnić wyrok, na mocy którego diler narkotykowy, po uprzednim przyznaniu się do winy, wychodzi na wolność?

W moim przypadku możliwe było tylko jedno alternatywne wytłumaczenie: prawda. Ale o niej nie mogłem z Byersem rozmawiać, bo groziło to katastrofalnymi konsekwencjami.

Nie byłem nawet o krok bliżej rozwiązania tego problemu, kiedy dotarłem do budynku Sądu imienia Waltera E. Hoffmana, imponującego, szarego gmachu z wapienia, górującego nad okolicą jak wielki pomnik wzniesiony na cześć potęgi administracji rządowej. Wchodząc do środka, ze wszystkich sił starałem się zachowywać normalnie. W tym celu próbowałem sobie przypomnieć, jak wyglądałem w czasach, kiedy nie byłem podejrzewany o korupcję i kiedy oczywiście dla mnie było, że wieczorny posiłek zjem w domu w towarzystwie córki.

Jako gwiazdy tej niewielkiej galaktyki, którą jest sąd federalny, funkcjonujemy – my, sędziowie – pod stałą kontrolą, aczkolwiek rzadko kiedy przybiera ona formę bezpośredniego nadzoru. Większość pracowników z odpowiednio długim stażem nabywa z biegiem czasu wiedzę odpowiadającą co najmniej dwuletnim studiom prawniczym, więc każdy ma tutaj swoją opinię na temat sędziowskich orzeczeń i kiedy jakiś sędzia wyda kontrowersyjny wyrok, w całym gmachu aż wrze.

Sęk w tym, że nikt nie śmie powiedzieć nawet słowa takiemu sędziemu. Mnóstwo jest za to krzywych spojrzeń i szeptów za plecami. Sędziowie są obiektem plotek, których zagęszczenie upodabnia czasem nasz budynek do stołówki w podstawówce.

Miałem nadzieję, że przynajmniej część z tych nowych pogłosek będzie stawiać mnie w pozytywnym świetle. Zawsze starałem się być dla wszystkich miły, a nie wszyscy sędziowie mogliby to o sobie powiedzieć. Niektórzy moi koledzy po fachu zachowują się jak primabaleriny. Sprawiają wrażenie, jakby uważali swój zawód za ważniejszy od innych, a swą kłującą w oczy wyniosłość noszą z niemal taką samą powagą, z jaką przywdziewają swoje togi.

Nigdy tego nie rozumiałem. Dla mnie wszyscy – i ci zamiatający podłogi, i ci

wydający orzeczenia – stanowiliśmy tryby jednej wielkiej maszyny zwanej sprawiedliwością. Każdy z nas był integralną częścią sprawnie działającego systemu.

Poza tym wszyscy byliśmy równi wobec prawa i zawsze uważałem, że sędzia powinien o tym pamiętać, wykonując nawet najbanalniejsze czynności.

Dobrze byłoby, na przykład, żeby uśmiechał się do ludzi. I zwracał się do nich po imieniu. I wiedział na ich temat tyle samo, ile oni wiedzieli o nim.

Ja wiem, że Ben Gardner, niezwykle miły funkcjonariusz straży sądowej, który już dobre pół tysiąclecia pełnił służbę przy wejściu dla pracowników, jest wiernym kibicem drużyny futbolowej Uniwersytetu Alabamy. Wiem, że Hector Ruiz, tryskający energią dozorca, który sprząta na naszym piętrze, jest dumny jak paw ze swojej córki studiującej prawo. Wiem, że Tikka Jones, zatrudniona w kancelarii, lubi, jak się ją chwali za fryzurę, bo spędza długie godziny w swoim lokalnym salonie piękności na przedłużaniu włosów albo zaplataniu warkoczy.

Czy te wszystkie znajomości, jakkolwiek płytkie by były, będą teraz miały znaczenie? Czy którykolwiek z tych osób się za mną wstawi? Czy odwróci się do mnie plecami, jak cała reszta?

Nawet przejście przez drzwi i udawanie, że jestem w dobrym nastroju, sprawiało mi ogromną trudność. Po pierwszym „dzień dobry”, rzuconym Benowi Gardnerowi, miałem ochotę obrócić się na pięcie i wrócić do domu. Czułem się, jakbym tym fałszywym optymizmem i gadką o obrońcach Alabamy zdradzał Emmę. Ale jakoś udało mi się utrzymać tę fasadę przez całą drogę od bramek, przez windy, aż po drzwi mojego biura.

Moja najbliższa ekipa liczyła zaledwie pięć osób. Ich obowiązki są ze sobą ściśle powiązane, dzięki czemu w naszym zespole panuje spora jednomyślność. Czasem wręcz wygląda to tak, jakbyśmy byli ławicą śledzi – zbiorowiskiem jednostek działających jak jeden organizm.

Zazwyczaj wszyscy oni poruszali się z doskonałą płynnością, ale byłem pewien, że dzisiaj będą wytrąceni z równowagi. Ja, z racji pełnionych obowiązków, byłem chroniony przed nawałnicą plotek, więc to na nich spadał cały ciężar wszystkich sensacyjnych pogłosek i pytań, od jakich budynek sądu huczał już pewnie od rana.

Otwierając drzwi, wziąłem głęboki wdech i podniosłem dzielnie głowę. Chciałem, żeby moi podwładni widzieli bijącą ode mnie pewnością siebie i obojętność wobec szalejących dookoła pomówień.

– Dzień dobry wszystkim. – Kiwnięcie głową i uśmiech. – Ja mam się dobrze, a jak tam u was? – Uśmiech i kiwnięcie głową. – Dajcie mi dwadzieścia minut. Muszę wykonać jeden telefon.

Dotarłem do drzwi swojego gabinetu i zamknąłem je za sobą. Postawiłem aktówkę na podłodze, powiesiłem marynarkę i zdjąłem słuchawkę z aparatu, żeby wyglądało na to, że z kimś rozmawiam.

Wreszcie opadłem na krzesło i zatopiłem twarz w dłoniach.

Kiedy znów podniosłem głowę, mój wzrok padł na oprawione zdjęcie, które dwa lata temu zrobiliśmy bliźniętom w parku rozrywki Busch Gardens. Miały wtedy po cztery lata i cały zestaw nowych umiejętności: samodzielne ubieranie się, robienie siku bez

przypominania, mówienie pełnymi zdaniami i tak dalej. Dzięki temu mogliśmy się w pełni cieszyć tym, jakie z nich były najśłodsze na świecie osobki. Pogoda była fantastyczna. Wszyscy mieliśmy świetne nastroje. Przejazdźki kolejką, lody, Kraina Smoków – nie mogliśmy się tym wszystkim nacieszyć.

Zdjęcie na moim biurku było zrobione na karuzeli. Uchwyciłem Sama i Emmę, akurat kiedy zataczali pełne koło. Kadr wyszedł doskonale. Sam pojawił się w nim tuż przed Emmą, czyli tak jak w chwili narodzin. Ich buzie wyrażały najczystsza, dziecięcą radość. Malutkimi dłońmi trzymali się krzesłek i dzielnie walczyli z siłą odśrodkową.

Kilka kręconych kosmyków Emmy pofrunęło mocno w bok, jakby one też dały się ponieść zabawie. Sam miał szeroko otwarte oczy i buzię.

Przyjrzałem się uważnie Emmie i zauważyłem coś, co nigdy wcześniej nie wpadło mi w oko. Nie patrzyła gdzieś w dal, lecz prosto na Sama. Cieszyła się, bo on się cieszył. To oczywiście powszechne u bliźniąt. Kiedy jedno się śmieje, drugie mimowolnie się dołącza.

Ale teraz tak nie było.

Teraz Emma siedziała uwięziona w ciasnym pokoju, ogolona na łyso i pozbawiona towarzystwa swojego brata. Nie miała się z kim śmiać, nikt nie mógł dodać jej otuchy. Trzymali ją w zamknięciu ludzie, dla których była jedynie kartą przetargową.

Była samiuteńka.

Oderwałem wzrok od fotografii i schowałem ją do szuflady. Nie mogłem już na nią patrzeć. Po wizycie w mojej prywatnej łazience, gdzie zmoczyłem twarz zimną wodą, wróciłem do biurka i odłożyłem słuchawkę na miejsce. Musiałem w końcu stawić czoła rzeczywistości, mimo że nie miałem na to najmniejszej ochoty.

Wtedy zdałem sobie sprawę, że przyszedł do mnie SMS. Nadawca znów użył numeru zaczynającego się od 900:

Ciekawy artykuł w dzisiejszym „Journalu”, nie uważasz?

## Rozdział 18

Zdażyłem już zapomnieć, że ktoś z „New York Timesa” dzwonił do mojego biura, a dziennikarz z „Wall Street Journal” prosił senatora Franklina o komentarz w mojej sprawie.

Włączyłem komputer i wrzuciłem do Google’a hasło „sędzia Sampson Wall Street Journal”. Pierwszy na liście wyników był link do artykułu pod tytułem *Sektor farmaceutyczny patrzy na sąd w Wirginii*.

Tekst dotyczył pozwu o naruszenie patentu, *Palgraff kontra ApotheGen*. Nazwisko powoda nic mi nie mówiło, ale pozwana firma była jedną z największych w kraju. Jej produktyapełniały domowe apteczki w co drugim domu w Ameryce.

„Journal” określił *Palgraffa* mianem „jak dotąd mało znanej sprawy, założonej po cichu w Dystrykcie Wschodnim Wirginii, która ma jednak szansę stać się największym pozwem patentowym w historii USA”.

„Mało znana” było niedomówieniem. Nie miałem pojęcia, że mam taką sprawę na swojej wokandzie. Większość tego typu sporów trafiała na moje biurko dopiero wtedy, kiedy miałem wydać jakieś wstępne orzeczenie na temat materiałów dowodowych, a w najgorszym razie w dniu, w którym strony sporu pierwszy raz spotykały się w moim biurze. O ile było mi wiadomo, w tej sprawie nie zaszła jeszcze żadna z tych okoliczności.

W mojej głowie kręcił się już taki wir myśli: – Spór patentowy? To wszystko przez głupi spór patentowy? – że musiałem się zmusić do wzięcia głębszego oddechu, inaczej nie byłbym w stanie przeczytać artykułu. Szybko się zorientowałem, że spór między *Palgraffem* a *ApotheGenem* dotyczył nowej generacji statyn, leków obniżających poziom cholesterolu i stosowanych przez blisko dwadzieścia pięć milionów Amerykanów, która to liczba miała wkrótce znacznie wzrosnąć wraz ze starzeniem się pokolenia wyżu demograficznego. Statyny obniżają zdolność organizmu do wytwarzania cholesterolu LDL, zwanego złym cholesterolem, dzięki czemu umożliwiają nieznaczny wzrost poziomu HDL, czyli jego lepszej odmiany.

Przyszłość statyn opierała się na tak zwanych inhibitorach PCSK9. Naukowcy odkryli, że pechowcy z niebezpiecznie wysokim stężeniem cholesterolu we krwi – czyli ludzie, którzy mimo dobrego ogólnego stanu zdrowia często przechodzili swój pierwszy atak serca między trzydziestką a pięćdziesiątką – mieli nadmiar białka PCSK9.

Z drugiej strony niewielki odsetek ludzi rodził się ze szwankującym albo poważnie uszkodzonym genem PCSK9, a tym samym w ich organizmie w ogóle nie występowało to białko lub było go bardzo mało. Stwierdzono u nich szokująco niski poziom LDL, bardzo rzadko też przechodzili ataki serca, i dotyczyło to nawet tych, u których obecne były inne czynniki ryzyka, jak palenie, cukrzyca czy otyłość.

Wniosek był oczywisty: gdyby udało się opracować metodę usuwania lub ograniczania białka PCSK9 w organizmie, mogłaby ona posłużyć do drastycznego obniżenia poziomu LDL, co niemal do zera zmniejszyłoby prawdopodobieństwo wystąpienia chorób serca, największego zabójcy w Ameryce.

Odkrycie to zapoczątkowało gorączkowy wyścig między firmami farmaceutycznymi, które inwestowały grube miliony w badania i wyposażenie swoich

fabryk, tak aby były gotowe uruchomić produkcję, gdy tylko w laboratorium zabrzmiałoby głośnie „Eureka!”.

Firma ApotheGen twierdziła, że wygrała ten wyścig, rejestrując lek o nazwie prevalia. Znajdował się on obecnie w ostatniej fazie testów klinicznych. Przewidywano, że w ciągu kilku miesięcy Agencja Żywności i Leków wyda zgodę na wprowadzenie go do obrotu.

„Wall Street Journal” nazwał prewalię „nowym wcieleniem lipitoru, najlepiej sprzedającego się lekarstwa w historii, z przychodami rzędu 125 miliardów dolarów do 2011 roku, kiedy to wygasła ochrona patentowa”. Podobnie jak to było w przypadku lipitoru, spodziewano się, że prevalia też stanie się niezbędnym lekiem dla milionów Amerykanów, którzy będą ją zażywać codziennie do końca życia. Przy dobrze sformułowanych dokumentach patentowych ApotheGen mógł się spodziewać co najmniej dwudziestu lat zbijania fortuny na legalnym monopolu.

„Po wygaśnięciu ochrony patentowej statyn ostatniej generacji rynek ten stał się dla dużych firm farmaceutycznych praktycznie martwy, gdyż substancje te zaczęły być produkowane jako tanie leki, prawie niegenerujące zysków”, pisał „Journal”. „Dzięki prewalii ApotheGen mógł jedną tabletką nie tylko ocucić rynek statyn, ale zarazem zdominować go na kilkadziesiąt lat”.

Prezes firmy, Barnaby Roberts, był przekonany, że tak właśnie się stanie. „Ten pozew jest całkowicie nieuzasadniony i zamierzamy się bronić za pomocą wszystkich dostępnych narzędzi prawnych”, powiedział dziennikowi „Wall Street Journal”, po czym dodał: „Powód jest zwykłym marzycielem i naciągaczem. Nie pozwolimy, żeby bujna wyobraźnia jednego człowieka powstrzymała nas przed wprowadzeniem tego życiodajnego leku na rynek”.

Jedyna wzmianka o mnie znajdowała się na końcu artykułu. Autor pisał o mojej pracy w gabinecie senatora Blake’a Franklina i, rzecz jasna, o Incydencie. Zauważył też, że przez cztery lata na stanowisku sędziego ani razu nie miałem do czynienia ze sprawą o podobnym kalibrze.

„Scott Sampson jest wybitnym sędzią, który nie raz dowiódł swojej bezstronności”, cytował Blake’a autor artykułu. „Nie mam wątpliwości, że werdykt będzie sprawiedliwy i wyważony”.

Przypomniałem sobie swoją wczorajszą rozmowę z Blakiem. Kiedy zapytał mnie o „jakąś dużą sprawę”, uznałem, że chodzi mu o *Skavrona*. On pewnie zakładał, że wiem, co ma na myśli.

Było to zresztą słuszne założenie. Gdybym zgodził się na plan Karen, żeby przejrzeć wszystkie sprawy na wokandzie i spróbować znaleźć tę, która dawała którejs ze stron powód do zastosowania wobec mnie szantażu, trudno byłoby przeoczyć *Palgraffa*.

Po przeczytaniu artykułu w „Wall Street Journal” wszedłem na PulsMinus.com, stronę, której założyciel dzwonił do mojego biura. Według Jeremy’ego była ona internetowym odpowiednikiem wulgarnego brukowca.

Nie zawiodłem się. Steve Politi zatytułował swój artykuł następująco: *ApotheGen kontra Palgraff. Sędzia pod wrażeniem argumentów pozywającego*.

Nagłówek był jak cios w twarz. Pod wrażeniem? Jak to możliwe? Przecież jeszcze

kilka minut temu nawet nie wiedziałem o istnieniu tego pozwu.

Dalej przeczytałem, że „według źródła zbliżonego do sędziego Scotta” byłem ponoć „gotowy wydać orzeczenie korzystne dla Palgraffa” oraz że naciskałem na ApotheGen, proponując zawarcie ugody „w związku z niemal stuprocentową szansą powoda na wygranie procesu”.

To rzekome „źródło” mogło być tylko wytworem wyobraźni Politiego. Jeszcze przed pięcioma minutami nie miałem pojęcia o tym, kim jest Palgraff, więc oczywiście było, że nie mogłem podjąć decyzji o przyznaniu mu racji w jego sporze z firmą ApotheGen.

Zaczęło mnie palić w żołądku. Zakląłem, patrząc na ekran komputera. Zrozumiałem, że od tej pory będę uważnie obserwowany, ponieważ z informacji podanych na stronie PulsMinus.com wynikało, że mam w swoim najbliższym gronie niełojalnego pracownika i dzielę się z nim informacjami, o których nikt nie powinien wiedzieć. I to wszystko w momencie, kiedy już i tak byłem obiektem wzmożonego zainteresowania po wyroku w sprawie Skavrona.

Ale to nie było wszystko. Na samym końcu artykułu widniała aktualizacja, a raczej „AKTUALIZACJA!!!”.

„Po tych informacjach akcje ApotheGenu lecą ostro w dół. Firma zaczęła dzień na poziomie 92,72 dolara, a teraz spada o 6,44 dolara. To siedem procent, drogie dzieci! Gratulacje dla wszystkich szortujących!”.

Politi nie wyjaśnił dokładnego mechanizmu tego nagłego spadku ceny. Jak w przypadku wszystkich akcji, tak i tu liczyły się głównie oczekiwania rynku. Wycena ApotheGenu oparta była na założeniu, że prewalia zawojuje rynek. Teraz analitycy martwili się, że firma będzie zmuszona podzielić się zarobkiem. Wkurzało mnie, że historie wyssane z palca przez Politiego powodowały realne zawirowania na giełdzie.

Byłem wściekły, że przedstawił mnie w tak fałszywym świetle, a jednocześnie wiedziałem, że nic na to nie poradzę bez ściągania dodatkowej uwagi na siebie i jego żalostnego bloga. Wyłączyłem monitor ze złością, jakbym miał nadzieję, że mój gniew dosięgnie Politiego mimo dzielącej nas odległości.

Przez parę minut siedziałem bez ruchu, pogrążony w nienawiści do tego pismaka. W końcu wypuściłem powietrze, które wstrzymywałem w płucach, i znów włączyłem monitor. Wściekanie się na stronę internetową nie przybliżało mnie do odzyskania córki.

Poza tym miałem do sprawdzenia jeszcze jeden, dużo bardziej znaczący artykuł. Otworzyłem wyszukiwarkę Google i wpisałem: „sędzia Scott Sampson New York Times”.

Podczas gdy tekst w „Wall Street Journal” skupiał się na finansowych aspektach sporu Palgraffa z ApotheGenem, „Times” szukał pierwiastka ludzkiego i określał sprawę jako współczesną odsłonę walki Dawida z Goliatem.

O Goliacie wiedziałem już sporo. Za Dawida w artykule „Times’a” robił Denny Palgraff, niezależny chemik jeżdżący starym kombi, które samodzielnie przerobił tak, by spalało olej roślinny. Sam zresztą zbierał to paliwo, jeżdżąc po restauracjach w miasteczku w środkowej Pensylwanii, w którym mieszkał. Denny był cudownym dzieckiem i swój pierwszy patent zarejestrował w wieku trzynastu lat. College ukończył

jako siedemnastolatek, a przed dwudziestymi pierwszymi urodzinami miał już tytuł doktora.

Pracował potem w działach badawczo-rozwojowych kilku firm farmaceutycznych, ale drażniły go panujące w nich korporacyjne obyczaje, więc postanowił szukać szczęścia na własną rękę. Wybudował domowe laboratorium, w którym mógł sprawdzać swoje obrazoburcze hipotezy, nie musząc się przejmować ingerencją ze strony przełożonych. Kiedy uważał, że zbliża się do przełomowego odkrycia, nierzadko pracował trzydzieści godzin na dobę.

Wszystko, co wymyślał, rejestrował w urzędzie patentowym, a potem nakłaniał firmy farmaceutyczne, żeby wykorzystywały jego pomysły w produktach sprzedawanych na rynku masowym.

Jak dotąd jego największym sukcesem było opracowanie enzymu stosowanego przy produkcji hipoalergicznego pokarmu dla niemowląt. Ta kura przestała znosić złote jaja dwa lata temu, kiedy licencjobiorca przerzucił się na inny enzym.

Ale szukając kolejnego strzału w dziesiątkę, Palgraff zdał sobie sprawę, że już jakiś czas temu dokopał się do żyły złota. Sześć lat wcześniej eksperymentował w swoim laboratorium z białkiem PCSK9. Podejrzał, że może ono być jednym z czynników powodujących cukrzycę, więc spreparował inhibitor PCSK9 i szybko go opatentował. Ponieważ okazało się, że mylił się co do wpływu tego białka na cukrzycę, zapomniał o swoim wynalazku do czasu, aż w mediach pojawiły się informacje o wyścigu wielkich firm farmaceutycznych po nową generację statyn.

Teoretycznie Palgraff mógł już wtedy ogłosić się zwycięzcą, tyle że jego inhibitor nie był atrakcyjny z rynkowego punktu widzenia. Palgraff nie miał pojęcia, jak go wytwarzać na masową skalę, poza tym w jego wersji substancja musiała być wprowadzana bezpośrednio do krwiobiegu pacjenta. Dysponował więc wyłącznie patentem, który stwierdzał, że on jako pierwszy opracował inhibitor białka PCSK9. Palgraff czekał zatem tylko na właściwy moment, żeby pozwać pierwszą firmę, która rozpoczęłaby testy kliniczne z wyprodukowanym przez siebie inhibitorem.

Według prawa patentowego nie jest ważne, jaki cel ci przyświecał, kiedy opracowywałeś swój wynalazek. Jeżeli stworzyłeś coś, co w twoim mniemaniu jest siatką na motyle, a ktoś inny chce to sprzedawać wędkarzom, to i tak musi wykupić od ciebie licencję. Kiedy ApotheGen rozpoczął trzecią fazę testów klinicznych swego preparatu, będącą ostatnim etapem badań przed wystąpieniem do Agencji Żywności i Leków o zgodę na wprowadzenie leku do obrotu, Palgraff złożył pozew.

W połowie artykułu w „New York Timesie” zamieszczono zdjęcie Denny’ego Palgraffa, patrzącego w dal przez okągłe lenonki. Długie szare włosy miał zebrane w kucyk, a broda sięgała mu aż do klatki piersiowej, pod którą wyrastał obfity brzuch.

Autor tekstu nie przeprowadził z nim wywiadu. Jedyne cytaty pochodziły od Rolanda Hemansa, adwokata z firmy Cranston & Hemans w Chesapeake. Była to istniejąca od około pięćdziesięciu lat kancelaria adwokacka specjalizująca się w prawie patentowym. Ze względu na szybki tryb prowadzenia rozpraw w naszym sądzie, większość swoich pozwów składała w Dystrykcie Wschodnim Wirginii. Pozywający w sprawach patentowych z zasady lubili dochodzić swoich praw bez zbędnej zwłoki.

„Cieszymy się, że odkrycie dokonane przez pana Palgraffa pomoże milionom ludzi odsunąć od siebie zagrożenie chorobami serca”, mówił Hemans. „Ale ApotheGen nie może wprowadzić swojego leku na rynek, ignorując niewygodny dla siebie fakt, że to nasz klient wynalazł go jako pierwszy”.

Prezes ApotheGenu też nie udzielił „Timesowi” wywiadu. W artykule zacytowany został tylko komunikat rzecznika prasowego firmy: „ApotheGen kategorycznie zaprzecza twierdzeniom o naruszeniu patentu i zamierza się stanowczo bronić przed tym pomówieniem. Ugoda jest wykluczona”.

Były to ostatnie słowa artykułu. Zatrzymałem na nich wzrok i trawiłem w myślach ich znaczenie.

Ugoda jest wykluczona.

To dlatego ktoś uciekł się do desperackiego kroku i porwał moje dzieci: po prostu nie widział innego sposobu na osiągnięcie pożądanego przez niego rezultatu.

Nagle uderzył mnie potężnymi falami zrozumienia ogrom mojego problemu. Miałem do czynienia z bezprecedensową sprawą, w której stawką były miliardy dolarów, nie mówiąc już o przyszłości walki z chorobami serca. Najprawdopodobniej miałem już nigdy nie zobaczyć na swojej wokandzie sprawy o rozleglejszych konsekwencjach, zarówno osobistych, jak i zawodowych.

Teraz wiedziałem, że każdy mój krok będzie relacjonowany przez niezliczone redakcje, których doniesienia śledzić będzie cały kraj. Cały świat.

Ta gigantyczna widownia będzie oczekiwała ode mnie bezstronności i przytomności umysłu. Miałem być odzianym w toę ucieleśnieniem autorytetu władzy. Czcigodny sędzia, niewzruszony w obronie sprawiedliwości.

Tyle że nie miałem żadnej władzy. Porywacze udowodnili już swoją absolutną kontrolę nad moim życiem, nawet w tak błahych sprawach jak przedziałek na głowie. Gdyby kazali mi wejść nago na salę sądową, musiałbym to zrobić. Byłem kukiełką, którą czyjaś ukryta ręka sterowała, pociągając za niewidzialne sznurki.

Najdrobniejsze nieposłuszeństwo oznaczało śmierć mojej córki.

Rozmiary stojącego przede mną wyzwania na chwilę mnie sparaliżowały i mogłem tylko siedzieć bez ruchu z założonymi rękami. Zresztą wątpiełem, czy byłbym w stanie się podnieść z krzesła, bo nogi miałem z waty.

Spróbowałem sobie przypomnieć medytację, której nauczyłem się lata temu na kursie jogi, ale mdłości utrudniały mi skupienie się na oddechu, a umysł, który teoretycznie miałem oczyścić, był jak ruchliwe skrzyżowanie w godzinie szczytu – beznadziejnie zatkany przez niezliczone myśli próbujące się przebić na powierzchnię, wszystkie naraz.

Gdybym pozwolił sobie na myśli o Emmie – na przykład o tym, w o ile lepszym położeniu byłem ja niż ona, bez względu na to, co teraz przeżywałem – sądzę, że kompletnie bym się rozsypał.

Postanowiłem skupić się na Alison.

Wyobraziłem ją sobie, jak rąbie drewno i z każdym zamachem doświadcza oczyszczenia. Pomyślałem o tym, jaka była silna dziś rano, o wysiłku, jaki podejmowała w imieniu naszej rodziny, o tym, że nie składała broni. Na pewno przepełniało ją to samo



zwątpienie i ten sam strach, które mnie odbierały wolę życia, a mimo to nie traciła zapachu.

Mój wzrok powędrował do innego zdjęcia na biurku, mojej ulubionej fotografii z dnia naszego ślubu. Alison nie pozowała na niej z bukietem kwiatów, lecz siedziała przed lustrem i szykowała się do ceremonii. Fotograf stał za jej plecami, ale widocznie ktoś musiał ją zawołać, bo odwróciła głowę. Aparat uchwycił bezpośrednio jeden jej profil, drugi odbijał się w lustrze. Na obu widać było malującą się na jej twarzy nadzieję i optymizm. Tu i teraz, w pierwszym dniu reszty jej życia, przyszłość zdawała się wspaniała i bezkresna.

Kobieta na tym zdjęciu mogła zdobyć każdy szczyt, zatem i mężczyzna, którego wybrała na męża, mógł zrobić to samo.

Zmusiłem swoje ręce do ruchu. Zamknąłem przeglądarkę i otworzyłem program do obsługi wokandy, żeby dowiedzieć się o sprawie *Palgraff kontra ApotheGen* wszystkiego, o czym nie było mowy w dwóch dużych, poważanych gazetach i jednym szmatławym blogu.

Na poniedziałek wyznaczony był termin konferencji przedprocesowej w przedmiocie normy 16B. Nareszcie jakaś dobra wiadomość. Oznaczało to, że sprawa była bardziej zaawansowana, niż sądziłem.

Konferencję 16B poprzedza kilka kroków prawnych, ale żaden z nich nie odbywa się pod moim nadzorem. Dlatego zresztą do tej pory nic nie wiedziałem o tej sprawie. Naturalnie pozew został złożony przez Palgraffa. Następnie swojej odpowiedzi udzielił ApotheGen. Potem prawnicy obu stron spotkali się na konferencji przedprocesowej dotyczącej normy 26F. Wówczas zaczęli ustalać szczegółowo, co jest przedmiotem pozwu (zazwyczaj wszystko) i w jakich sprawach strony się ze sobą zgadzają (na ogół w żadnej). Wtedy też umówili się co do zakresu materiałów, jakie sobie nawzajem udostępnią w ramach postępowania dowodowego: jakie dokumenty i pliki komputerowe przekażą drugiej stronie, kogo wezwą na świadka i tym podobne.

Potem następowała konferencja 16B, podczas której ustalano terminy rozpraw. Dopracowanie tych szczegółów zlecałem najczęściej Jeremy'emu Freelandowi i Jean Ann Sanford. Duże sprawy patentowe zazwyczaj trwały rok, nawet na naszej ekspresowej wokandzie.

Robiło mi się niedobrze na samą myśl, że Emma miałaby tak długo cierpieć rozłąkę z rodziną.

Miałem ręce jak z ołowiu, kiedy przeglądałem treść pozwu, a potem odpowiedzi ApotheGenu. Wiedziałem już, dokąd zmierza ta sprawa. Tego typu spory patentowe bardzo często zasadały się na tak zwanej rozprawie Markmana.

Termin pochodził od przełomowej decyzji Sądu Najwyższego z połowy lat dziewięćdziesiątych w sprawie *Markman kontra Westview Instruments*. Sąd miał orzec, czy zasięg patentu był kwestią prawną, czy obiektywnym faktem. To ważne rozróżnienie, bo w amerykańskim systemie prawnym przysięgli orzekają w kwestii stanu faktycznego (czy oskarżony zabił ofiarę?), a sędziowie wyrokują o aspekcie prawnym (czy zabicie ofiary było przestępstwem?).

W przypadku Markmana Sąd Najwyższy uznał patenty za przepisy prawa gwarantujące wynalazcom prawo do wyłącznej sprzedaży swoich produktów przez dany

okres. Oznaczało to, że do sędziów należała interpretacja, co dokładnie jest przedmiotem ochrony patentowej. Każda ze stron próbuje zatem przekonać sąd do takiej, a nie innej interpretacji pewnych założeń teoretycznych. W gruncie rzeczy adwokaci stron uczą sędziego podstaw danej dziedziny.

Jego decyzja, zwana „orzeczeniem Markmana”, ma ogromny wpływ na dalszy przebieg pozwu, nierzadko zresztą jest jego zwińczeniem. Jeśli faworyzuje powoda, dochodzi do ugody. Żaden obrońca nie pozwoliłby swojemu pozwanemu klientowi wejść w takich okolicznościach na salę sądową. Byłaby to pewna droga do srogiej porażki.

Z drugiej strony, jeżeli orzeczenie Markmana jest po myśli pozwanego, powód często wycofuje pozew, gdyż zdaje sobie sprawę z czekającego go bardzo kosztownego i najprawdopodobniej przegranego procesu sądowego.

Dla mnie i dla Emmy plusem było to, że rozprawa Markmana miała się odbyć na wczesnym etapie sprawy, na wiele dni przed wyznaczoną datą procesu.

Wiedziałem wreszcie, gdzie przebiegają linie frontu. Obydwie strony były przekonane do swoich racji. Obie w swoim mniemaniu dysponowały przekonującymi argumentami. Obie rozpaczliwie chciały zwerbować mnie do swojej armii i jedna z nich sięgnęła w tym celu po drastyczne metody.

Ale która?

Nietrudno było sobie wyobrazić wielką firmę farmaceutyczną w roli czarnego charakteru tej historii. W koncernie tak wielkim jak ApotheGen pracowało mnóstwo ludzi, poczynając od prezesa, którym zależało na sukcesie nowego produktu.

Wróciłem do komputera i po kilku stuknięciach w klawiaturę patrzyłem na artykuł w Wikipedii dotyczący Barnaby’ego Robertsa. Pochodził z Anglii i mógł się pochwalić dyplomami Oksfordu i Cambridge. Z zamieszczonego na stronie zdjęcia spoglądał starszy pan z bielusińkimi włosami, obcięty w stylu angielskiego chłopczyka, którym kiedyś był. ApotheGenem kierował od dwudziestu lat, co plasowało go w gronie najdłuższej piastujących swoje stanowisko prezesów z listy Fortune 500.

Nie wyglądał na porywacza, ale też na pewno nie utrzymałby się na swoim stanowisku tak długo, gdyby nie potrafił przewidywać problemów i aktywnie ich rozwiązywać. W sytuacji giełdowego spadku mogłem sobie wyobrazić któregoś z większych akcjonariuszy, jak dzwoni do Robertsa z pytaniem: „Co pan zamierza na to poradzić?”. Na co on odparłby: „Bez obaw, mam wszystko pod kontrolą”.

A potem skontaktowałby się ze swoim zaufanym cynglem, tym, który zorganizował porwanie moich dzieci, by się upewnić, że wszystko idzie zgodnie z planem.

Dużo trudniej było przypisać takie intencje Denny’emu Palgraffowi, brodatemu naukowcowi, który krążył od restauracji do restauracji, siedząc w swoim napędzanym olejem roślinnym kombiaku.

Ale już jego adwokatowi? Większość członków palestry pojawiających się na mojej sali sądowej było ludźmi honoru, więc nie kupowałem automatycznie stereotypu bezwzględniego prawnika, ale też nie miałem wątpliwości, że taki typ człowieka naprawdę istnieje. Jedna trzecia wielomiliardowej fortuny, jaka czekała na adwokata zwycięskiej strony takiej sprawy, skusiłaby niejednego.

Nie znałem Rolanda Hemansa, nigdy nie spotkaliśmy się w mojej sali rozpraw, więc znów odpaliłem przeglądarkę. Nie miał swojego wpisu w Wikipedii, ale znalazłem artykuł o nim w tygodniku „Virginia Lawyers Weekly”. Do tekstu dołączone były dwa zdjęcia.

Na jednym z nich Hemans wypełniał framugę drzwi do swojego gabinetu. Był prawdziwym gigantem, musiał mierzyć co najmniej dwa metry wzrostu. Miał hebanową skórę, gęste czarne brwi i wielką łysą głowę. Podwinięte rękawy koszuli odsłaniały żylaste przedramiona. Był samcem alfa w najczystszej postaci. Patrzył z góry w obiektyw, jakby aparat miał się stać jego kolejną ofiarą.

Na drugim zdjęciu obejmował żonę, która krągłością dorównywała jego muskulaturze.

Z artykułu dowiedziałem się, że w latach osiemdziesiątych Hemans grał w koszykówkę w zespole Uniwersytetu Wirginii i dostał nawet ofertę gry w profesjonalnym klubie z Europy, którą jednak odrzucił na rzecz studiów prawniczych. Sportową pasję przekierował wówczas na golf i podobno kiedyś dzieliło go tylko parę uderzeń od zakwalifikowania się do turnieju US Open.

Jako prawnik od dawna specjalizował się w prawie patentowym i znany był z tego, że podejmował się skomplikowanych, wysoce technicznych spraw, które potrafił przetłumaczyć sędziom i przysięgłym na ludzki język.

„Jako koszykarz miałem szczęście do genialnych trenerów”, wyznał autorowi artykułu. „Tak naprawdę byli moimi nauczycielami. Umieli wyjaśnić swoje koncepcje w zrozumiały sposób, dzięki czemu zawodnicy wiedzieli doskonale, co mają robić. Rozprawa w sądzie to bardzo podobna rzecz. Jestem trochę trenerem dla przysięgłych. Chcę, żeby podążali moim tokiem rozumowania”.

Było też kilka informacji osobistych. Oprócz żony Hemans miał dwójkę nastoletnich dzieci. Mieszkał w Newport News. W wakacje polował albo łowił ryby. Artykuł był jednak głównie kroniką jego licznych sukcesów na sali sądowej. Kilka lat temu stanowe Stowarzyszenie Czarnoskórych Adwokatów Wirginii przyznało mu tytuł Adwokata Roku.

Ciekawe jednak, że choć artykuł był niezwykle pochlebny, między wierszami czuć było, że Roland Hemans pragnie czegoś więcej. Grał w kosza na uczelni, ale nie był dość dobry, żeby się dostać do NBA. W golfa bił wszystkich w lokalnym klubie, ale zawodowcy zawsze pokonywali go o dobrych kilka uderzeń. Nawet jego zwycięstwa procesowe miały w sobie jakiś niedosyt.

I teraz, po wielu latach ciężkiej pracy, Hemans ustawił celownik na wielką wygraną, dzięki której miał wreszcie awansować do najwyższej ligi.

Czy ktoś taki jak on szedłby w tej sytuacji po trupach?

Jak najbardziej.

Bez wątpienia.

Zamierzałem mieć oko na Barnaby’ego Robertsa, ale czułem, że to Roland Hemans pociąga za sznurki.

## Rozdział 19

Chciałem dowiedzieć się o nim więcej, ale z sąsiedniego pokoju zawołała mnie Joan Smith.

– Tak?

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale dzwoni sędzia Buyers z Richmond. Pyta, czy może sędzia z nim teraz porozmawiać.

Mój niepokój nagle wzrósł. Nie zdążyłem wymyślić żadnego pretekstu dla mojego skandalicznego wyroku w sprawie Skavrona.

Jednak nie mogłem go dłużej zbywać. Wysłał mi e-mail, a teraz dzwonił, bo nie dostał odpowiedzi. I nie zamierzał się poddawać. Ja też bym żądał kontaktu z podwładnym, gdybym uważał, że bierze łapówki.

Wróciło osłabienie, które czułem wcześniej. Tyle że tym razem nie zaatakowało moich nóg, ale całe ciało. Nawet słuchawka telefonu wydawała się ciężka.

– Panie sędzio, jest pan tam?

– Tak, tak. Oczywiście. Połącz mnie – odparłem.

– Dobrze. Sekundkę.

Joan Smith się rozłączyła, a ja czekałem na Byersa. Niemal cała moja wiedza na jego temat pochodziła z plotek i Google'a. Miał za sobą karierę prokuratora federalnego, a obecnie cieszył się opinią sędziego z misją, który głęboko wierzył w nienaruszalność majestatu sędziowskiego i zaciekle walczył o niezależność wymiaru sprawiedliwości. Jako zagorzały wróg ustawowych progów w orzekaniu wyroków, złożył słynne już zeznania przed podkomisją Kongresu, w których twierdził, że sędziowie są traktowani jak „automaty do wydawania kar”. Był inteligentny, bezpośredni i cieszył się szacunkiem na wszystkich korytarzach federalnego systemu sądowego.

– Witam, sędzio Sampson. Dziękuję, że zgodził się pan ze mną porozmawiać – powiedział tonem prawdziwego dżentelmena z Południa.

– Cała przyjemność po mojej stronie, sędzio Byers – odparłem, starając się napełnić swój głos spokojem, którego tak dramatycznie mi brakowało. – W czym mogę pomóc?

– Wczoraj wysłałem panu e-mail. Nie wiem, czy miał pan okazję...

– Tak, widziałem. Właśnie zamierzałem do pana dzwonić.

– O, dziękuję. Miałem nadzieję, że... – zaczął, ale po chwili zmienił kurs. – Niech mnie pan dobrze zrozumie. Ja sobie doskonale zdaję sprawę, że sędzia ma często swoje własne powody, żeby wydać taki czy inny wyrok, i że tych powodów nie zrozumie osoba niemająca... dostępu do informacji, do których my mamy dostęp. Więc pomyślałem, że może mi sędzia naświetli jego tok rozumowania w sprawie tego Skavrona.

Złoty człowiek. Byers miał takie poważanie dla idei sędziowskiej niezależności, że nie był w stanie wprost zakwestionować mojej decyzji.

– Oczywiście – powiedziałem. – Czy mogę zapytać, czemu akurat ten werdykt pana zainteresował?

Jeśli wyszedłem tym pytaniem na najeżonego, to dlatego, że byłem najeżony.

– Ależ naturalnie. Ponoć czyjś ojciec złożył zeznania na pańskiej rozprawie. Ojciec, którego...

– Thomas Byrd – wtrąciłem. Wystąpienie tego człowieka trudno byłoby mi zapomnieć.

– Właśnie. Thomas Byrd. No więc okazuje się, że pan Byrd ma nie lada znajomości w Norfolk Academy. Zasiada w radzie powierników. I zdaje się, że jego syn...

– Dylan.

– Tak jest. Dylan. Zdaje się, że ów Dylan był popularnym uczniem i wśród chłopców, z którymi się przyjaźnił, jest syn Michaela Jacobsa.

Prawie wypuściłem słuchawkę z ręki. Nie trzeba było mi tłumaczyć powagi sytuacji. Michael Jacobs był republikańskim kongresmenem z Drugiego Okręgu Wirginii. Należał do nowego pokolenia zadziornych, bezkompromisowych polityków, którzy przejęli w ostatnim czasie kontrolę nad Izbą. Doszedł do stopnia sierżanta w U.S. Marines, a po zakończeniu służby wojskowej osiedlił się w Wirginii i dorobił małej fortuny jako właściciel niewielkiej sieci myjni samochodowych. Całym sercem wspierał wojsko i weteranów, czym zjednywał sobie sporo sympatii w trudnym okręgu ze sporym odsetkiem aktywnych i byłych żołnierzy. Wizerunku everymana dopełniała ogolona na tyso głowa i zwyczaj podróżowania na spotkania wyborcze harleyem.

– Grali razem w drużynie bejsbolowej i ich ojcowie też się przyjaźnili – powiedział Byers. – Pański werdykt mocno rozgniewał Thomasa Byrda i ten zadzwonił do kongresmena Jacobsa, a on niezwłocznie zawiadomił swojego dobrego znajomego, kongresmena Keeseego.

Jeszcze bardziej się w sobie zapadłem. Neal Keesee, też republikanin, przewodniczył Komisji Sprawiedliwości w Izbie Reprezentantów. Amerykańska konstytucja przewiduje kilka mechanizmów kontroli nad wymiarem sprawiedliwości. Funkcja pełniona przez Keeseego była jednym z tych najsilniejszych. Wszystkie rekomendacje dotyczące usuwania sędziów z ich stanowisk przechodziły przez jego biurko.

– Na koniec Keesee zadzwonił do mnie, żeby dopilnować, by sprawa nie umknęła mojej uwadze – ciągnął Byers. – Rzecz jasna nie chcę, by pan lub ktokolwiek inny odniósł wrażenie, jakoby polityczny wymiar zaistniałej sytuacji miał na mnie jakikolwiek wpływ.

– Oczywiście – przytaknąłem, choć obaj wiedzieliśmy, że to kłamstwo.

– Chcę też zaznaczyć, że to zaledwie wstępne zapytanie – dodał tonem, który zdradzał, że za rogiem czai się coś znacznie mniej wstępnego. – To jednak nie zmienia faktu, iż na pierwszy rzut oka cała sprawa wydaje się... Proszę mi wybaczyć. Powinienem raczej powiedzieć, że jakieś wyjaśnienia mogłyby pomóc nam wszystkim zrozumieć, co tu właściwie miało miejsce. Liczyłem na to, że podzieli się pan ze mną swoim punktem widzenia.

– No tak – odparłem, by dać sobie chwilę na przyswojenie nowych informacji.

Jacobs i Keesee byli potężnymi wrogami. A Byers stanowił teraz moją pierwszą linię obrony. Zgodnie ze wspomnianą Ustawą o niezdolności do postępowania sądowego prezes sądu sam decyduje, czy w odpowiedzi na skargę powołać specjalną komisję śledczą, czyli hiszpańską inkwizycję w wykonaniu grupy sędziów. Komisja przekazuje swoją rekomendację do Krajowej Rady Sądowniczej, również złożonej z sędziów, a ta głosuje nad wnioskiem o przekazaniu jej Kongresowi.

Prezes może też odrzucić skargę, co dla mnie było oczywiście wymarzoną rozwiązaniem. Musiałem tylko wymyślić dobrą wymówkę, wysnuć taką opowieść, która przekona Byersa.

– Zdaję sobie sprawę z tego, że było to nietypowe orzeczenie – powiedziałem, bo na samym wstępie chciałem mu udowodnić, że nie postradałem zmysłów. – Nie jest to coś, co zamierzam często powtarzać. Nie sądzę, bym kiedykolwiek w przeszłości aż tak mocno oddalił się od wytycznych. Więc rozumiem, dlaczego mój wyrok ściągnął na siebie uwagę wielu osób. A ty, Jeb, ile już lat jesteś sędzią?

Być może posunąłem się za daleko, zwracając się do niego per „Jeb”, ale musiałem pokazać, że jesteśmy kumplami. I że robimy w tym samym fachu.

– W październiku miną zdaje się dwadzieścia dwa.

– I przez te dwadzieścia dwa lata zdarzyło ci się zrobić coś pod wpływem silnego przeczucia? Jakiejś głębokiej intuicji co do czyjegoś charakteru?

– Oczywiście.

– W takim razie zrozumiesz, co mnie wczoraj spotkało. Dla kogoś z zewnątrz pewnie nie miało to sensu, ale ja... Patrzyłem na tego człowieka... – Nie wypowiedziałem nazwiska Skavrona, żeby Byers nie pomyślał, że działam pod wpływem silnych emocji. – I naprawdę poruszyła mnie jego szczerość. Powiedział kilka rzeczy, które...

Przerwałem, bo zdałem sobie sprawę, że Byers może zajrzeć do zapisu rozprawy i na własne oczy zobaczyć, jak żalonym bełkotem popisał się Skavron.

– Zresztą nie chodzi o to, co powiedział, ale jak – ciągnąłem. – Było w nim coś... Nie wiem, nie umiem tego wyjaśnić. Usłyszałem w jego głosie jakąś prawdziwą nutę, Jeb. Poczułem, że jeśli tylko dostanie jeszcze jedną szansę, to...

Nawet w moich uszach zaczynało to brzmieć nieprzekonująco. Musiałem szybko znaleźć lepszą śpiewkę.

– Słuchaj, wiem, że facet miał już w życiu sporo szans, ale nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że coś w jego zachowaniu przypominało mi... Po prostu był podobny do kogoś, kogo znałem wiele lat temu. Tamtemu człowiekowi też dałem drugą szansę i wiem, że dobrze z niej skorzystał.

– Któż to taki? – zapytał Byers.

– Mniejsza z tym.

– Czyżby? To właśnie jedna z tych rzeczy, których ludzie nie wiedzą o naszej pracy. Wszystkim się wydaje, że nie jesteśmy ludźmi, a tymczasem nasze decyzje są często podyktowane jak najbardziej ludzką intuicją.

Byers ewidentnie połknął haczyk. Praktycznie czułem, jak pochyla się nad aparatem. To był moment, żeby wystrzelić ze wszystkich dział. *Nikt nie rozumie, jak ciężka bywa ta robota, Jeb. My, sędziowie, jesteśmy ludźmi, nie automatami.*

– Stara historia. Pracowałem z pewnym młodym człowiekiem. To było jeszcze za czasów mojego stażu u senatora Franklina, ale przed strzelaniną – zacząłem od odwołania się do mojej tragicznej przeszłości, o której Byers z pewnością dobrze wiedział. – Senator zachęcał nas, żebyśmy się angażowali w życie lokalnej społeczności. Ja zgłosiłem się jako mentor do Klubu Chłopców i Dziewcząt. Poznali mnie tam z jednym chłopakiem...

– Jak się nazywał? – spytał Byers.

Zatkało mnie. Otworzyłem teczkę leżącą na rogu mojego biurka. Zawierała jakiś pozew zbiorowy. Wśród powodów wymieniony był niejaki „Acton, Keith”.

– Keith – powiedziałem.

Drugi na liście był „Bloomenthal, Rodney”.

– Keith Bloom – dodałem. – Świetny sportowiec, grał w futbol, ale pochodził z Anacostii, gdzie młodzi ludzie dorastają w ciężkich warunkach. Narobił sobie kłopotów z policją, a miał osiemnaście lat, więc nie kwalifikował się już jako młodociany. Dużo rozmawialiśmy o tym, co się stało, i wiem, że Keith rozumiał wagę swoich czynów. Przekonałem go, żeby przyznał się do wszystkiego przed sędzią. Dla wszystkich było jasne, że życie Keitha znalazło się w krytycznym momencie. I ten sędzia okazał mu sporo łaski, mimo że wytyczne nakazywały większą surowość. Później Keith dostał się do college’u dzięki stypendium dla futbolistów. Teraz uczy matematyki w liceum i trenuje licealną drużynę futbolową. Zmienia życie dzieciaków takich jak on. Robi dużo dobrego. Jestem pewien, że gdyby wtedy trafił do więzienia...

– Nauczyłyby się zupełnie innych rzeczy niż w college’u – dokończył moją myśl Byers.

– Dokładnie tak. Ale tamten sędzia nie zobaczył na swojej sali zwykłego czarnoskórego chłopaka z problemami. Zobaczył człowieka o ogromnym potencjale. I Keith odplacił mu za jego zaufanie z nawiązką. Myślę, że nieczęsto jest mi dane spotykać na mojej sali sądowej takich jak on. Ale wczoraj dostrzegłem coś wyjątkowego w tym oskarżonym. Była z nim cała jego rodzina. Kiedy go aresztowano, miał stałą pracę. Odniosłem wrażenie, że jeśli dam mu jeszcze jedną szansę, to odplaci mi za to tak samo, jak to zrobił Keith.

– Zatem była to kwestia sumienia?

– Tak. Do tego bardzo osobista.

Byers był wyraźnie poruszony moją opowieścią. Ewidentnie udało mi się dotknąć kilku jego słabych punktów. Na koniec rozmowy wyraził swoją aprobatę – mogłem być spokojny, że na razie nie podejmie przeciwko mnie drastycznych kroków.

Pożegnaliśmy się, a ja zastanowiłem się nad moją nową sytuacją.

Możliwe było, że prezes sądu okręgowego, przekonany co do moich intencji, przez jakiś czas będzie mnie chronił, aż w końcu Michael Jacobs i Neal Keesee znudzą się tą sprawą i poszukają sobie innej rozrywki. Jeśli tak, to właśnie uniknąłem egzekucji i wyglądało na to, że pozostanę sędzią wystarczająco długo, by wydać wyrok ratujący życie Emmy.

Nie mogłem jednak wykluczyć, że Byers wkrótce pozna prawdę o Bloomie.

W takim przypadku pluton egzekucyjny niebawem poczęstuje mnie serią między oczy.

Nie zdążyłem nawet dojść do łazienki. Po prostu postawiłem przed sobą kosz na śmieci i wymiotowałem, dopóki całkiem nie opróżniłem żołądka.

## Rozdział 20

Jakieś pół godziny później, gdy już posprzątałem po moim gwałtownym oczyszczeniu i usunąłem z ust kwaśny posmak, znowu siedziałem na swoim krześle, bezwładny i osłabiony, kiedy ktoś zapukał cicho do drzwi.

Nie mogła to być Joan Smith, ona pukała dużo mocniej. Oprócz niej tylko jedna osoba z całej ekipy pozwalała sobie na przeszkadzanie mi, gdy siedziałem za zamkniętymi drzwiami. Więc zawołałem:

– Wejdz, Jeremy!

Jeremy Freeland miał na twarzy tajemniczy uśmiech.

– Przepraszam, że zawracam sędziemu głowę – powiedział. – Ale tyle się ostatnio działo, że chciałem sprawdzić, jak się pan trzyma.

– Dzięki – odparłem. Miałem nadzieję, że w powietrzu nie unosi się zapach moich wymiocin. – Proszę, usiądź.

Jeremy zajął miejsce po drugiej stronie biurka, założył nogę na nogę i zaplótł dłonie na kolanie.

– Słyszałem, że dzwonił sędzia Byers.

Rzucił to w typowy dla siebie, niezobowiązujący sposób. Pewnie połączył fakty – kontrowersyjny werdykt plus telefon od prezesa sądu równa się dywanik – i chciał sprawdzić, czy coś zostało z jego szefa.

– Mieliśmy miłą pogawędkę – powiedziałem i żeby zaspokoić nieco jego ciekawość, dodałem: – Oczywiście chciał mnie wypytać o werdykt w sprawie Skavrona. Rozmawialiśmy o tym, jak to na ogół kierujemy się wytycznymi, ale od czasu do czasu słuchamy głębokiej intuicji, która potrafi nas samych mocno zaskoczyć. Dla mnie to właśnie była tego typu sytuacja.

Widziałem, że Jeremy chce mnie zapytać o to, czemu tak postąpiłem, ale dobre maniery mu na to nie pozwalały. Cieszyłem się, że nie muszę powtarzać opowieści o Bloomie. Im więcej ludzi byłoby wciągniętych w to kłamstwo, tym szybciej by się wydało.

Jeremy postanowił skupić się na większym problemie.

– I myśli pan, że Byers to zrozumiał? – spytał.

W wolnym tłumaczeniu: już po problemie czy mam rozsyłać CV?

– Nie jest żółtodziobem. Sam miał w swojej karierze kilku Skavronów.

– To dobrze – odetchnął Jeremy. – Z innej beczki: widział pan te artykuły o Palgraffie, prawda?

Przytaknąłem.

– I wpis Politiego też?

– O, Chryste – powiedziałem i wywróciłem oczami.

– Aha, czyli to niepr...

– Jeremy, proszę cię, nie mów mi, że wzięłeś to na serio.

– Nie no, wiedziałem, że pan sędzia z nim nie rozmawiał, ale pomyślałem, że może coś... się panu wymknęło przy innych ludziach, albo...

Jeśli mój własny sekretarz sądził, że wpis na PulsMinus.com mógł być oparty na



prawdziwych informacjach, to co sobie myśleli wszyscy inni?

– Nic z tych rzeczy – oznajmiłem stanowczo. – Wszystko, co ten człowiek wypisuje, powstaje w jego głowie. Dopiero dzisiaj rano dowiedziałem się o istnieniu tego pozwu.

– A, no właśnie. Przepraszam, że sędziego nie uprzedziłem. Widziałem tę sprawę na wokandzie, ale nie podejrzewałem, że jest taka ważna. Inaczej bym...

Uniosłem dłoń, żeby go powstrzymać.

– Nie twoja wina. I tak byłeś jeden krok przede mną. Ja w ogóle nie wiedziałem, na co się zanosi.

– Człowiek patrzy na pozew patentowy, widzi nazwiska „Cranston” i „Hemans” i myśli sobie: E, dzień jak co dzień. Gdybym wiedział, że chodzi o Rolanda Hemansa, pewnie przyjrzałbym się bliżej.

Gdy wypowiedział to nazwisko pierwszy raz, od razu mnie to zaintrygowało. Wyczułem szansę na dowiedzenie się czegoś więcej, więc spytałem:

– Spotkałeś się już z Hemansem?

– Kilka lat temu wniósł jakąś apelację w Richmond. Zamierzałem zajrzeć dziś do archiwum, żeby przypomnieć sobie szczegóły. To było jakieś sześć, osiem lat temu.

– Jaki ci się wydał?

– W porządku.

– Widziałem jego zdjęcie w „Virginia Lawyers Weekly”. Wygląda na giganta.

– Tak, tak. Niski nie jest.

– I co jeszcze? Próbuję się zorientować, z kim będę miał do czynienia.

Jeremy westchnął.

– Trochę czasu już minęło... Myślę, że dość agresywnie dąży do celu, aczkolwiek to można by powiedzieć o każdym prawniku procesowym. No i widać, że lubi używać mediów jako narzędzia. Ale to pan już pewnie sam zdążył zauważyć.

– Fakt – przyznałem i na chwilę zamilkłem, bo nie wiedziałem, jak sformułować pytanie, które chciałem zadać najbardziej. Po chwili namysłu powiedziałem: – Z tego, co o nim wiesz, myślisz, że byłby w stanie... złamać zasady etyczne, żeby wygrać sprawę w sądzie?

Jeremy rozważał moje słowa z napiętą twarzą.

– Nie wiem – odparł. – Na pewno zrobi absolutnie wszystko, co mieści się w granicach prawa, ale jest na tyle inteligentny, że nigdy ich nie przekracza. Chodzi sędziemu o coś konkretnego?

– Nie, nie. Po prostu...

Powstrzymałem się, widząc, że Jeremy zagryza dolną wargę. Był to jego nerwowy tik.

– Co jest? – spytałem. – Coś cię gnębi?

Teraz już prawie ją odgryzał.

– Czy możemy przez chwilę porozmawiać zupełnie szczerze? Nie jak sędzia z sekretarzem, ale jak Scott z Jeremym?

– Oczywiście.

Spojrzał na sufit, potem spuścił wzrok i wreszcie wyrzucił z siebie:

– Chciałbym, żeby się pan wycofał z tej sprawy.

Tak mnie tym zaskoczył, że przez chwilę nie wiedziałem, co powiedzieć. Jeremy nigdy wcześniej nie prosił o wykluczenie go z jakiejś rozprawy ani też nie komentował mojego udziału w którymkolwiek procesie. Do wszystkich – tych większych, mniejszych i tych, które trudno było przypisać do konkretnej kategorii – podchodził z takim samym entuzjazmem.

Zapytałem tylko:

– Dlaczego?

– Po prostu mam co do niej złe przeczucia.

Ja też. Nawet nie miał pojęcia jak bardzo.

– Możesz powiedzieć coś więcej?

– Niespecjalnie.

– Ale czy chodzi ci o konflikt interesów? – Nie poddawałem się. – Czy bardziej o treść samego pozwu...

– Nie, nie.

– O rozgłos medialny?

– No, w sumie trochę tak. Jakoś... coś mi tu nie pasuje. Zwłaszcza po werdykcie w sprawie Skavrona i telefonie od sędziego Byersa. Chodzą słuchy, że ten sukinsyn Michael Jacobs napuścił na pana Neala Keeseego. Czy to prawda?

Nie było sensu temu zaprzeczać.

– Tak. Ale jak już mówiłem, myślę, że Byers stanie po mojej stronie. Więc nie masz się czym przejmować.

– I tak uważam, że przydałoby się nam trochę mniej uwagi mediów, a nie więcej. Może poczekajmy, aż ucichnie sprawa Skavrona, zanim weźmiemy się za coś większego. Gdyby się pan sędzia wycofał z *Palgraffa*, nikt by się nie dziwił. Mógłby pan powiedzieć, że nie czuł się kompetentny, żeby rozsądzać tak skomplikowane kwestie naukowe. W poniedziałek jest norma szesnasta. To ostatnia szansa, żeby zrezygnować. Potem będzie już za późno.

Opadłem plecami na oparcie krzesła i bacznie mu się przyjrzałem. Była to naprawdę dziwna prośba. Sekretarze nie zwykli prosić sędziów, by ci wycofali się z tej czy innej sprawy tylko dlatego, że przeszkadza im nadmierne zainteresowanie mediów.

Wbił we mnie swój błękitny wzrok i dodał:

– Bardzo proszę. To dla mnie bardzo ważne.

– Dobrze, zastanowię się – skłamałem.

– Dziękuję.

Uśmiechnąłem się do niego, kiedy wstawał. Znowu poczułem w sobie pustkę. Przez ostatnie cztery lata zawsze mogłem liczyć na Jeremy'ego, a teraz nie mogłem spełnić jego prośby ani nawet powiedzieć mu szczerze, dlaczego jest to niemożliwe.

Jeremy wyszedł, a ja zacząłem pisać e-mail, w którym mówiłem mu, jak bardzo go szanuję i jak cenię sobie naszą współpracę, ale jednocześnie tłumaczyłem, że nie mogę wykręcić się od swojego zawodowego obowiązku. Ustawiłem czas wysłania wiadomości na następny dzień o 8.37 rano.

Dzięki temu przynajmniej będzie wyglądało na to, że wziąłem sobie jego słowa do

serca.

Pół godziny później znów usłyszałem pukanie do drzwi. Tym razem mogła to być tylko Joan Smith.

Pani Smith była do bólu pedantyczna i nigdy w życiu nie trafiła na bluzkę, której nie umiałaby zapiąć pod samą szyję. Mąż zostawił ją wiele lat temu, na długo zanim zaczęła dla mnie pracować. Jej dzieci dorosły i mieszkały w innych miastach. Kiedy pytałem ją, jak jej minął weekend, najczęściej opowiadała o niedzielnym kazaniu. Jeśli miała dobry nastrój, nuciła pod nosem melodię religijnej pieśni, którą śpiewała ze swoim chórem podczas mszy.

Była moją sekretarką od dnia zaprzysiężenia mnie na sędziego, mimo to ani razu nie zwróciła się do mnie po imieniu, choć wielokrotnie ją do tego zachęcałem. W jej mniemaniu musiałem mieć na imię „Sędzia”. Z czasem przestałem ją nakłaniać do bardziej nieformalnych kontaktów, ale odwzajemniłem się pięknym za nadobne: uznałem, że jeśli ja mam być „sędzią Sampsonem”, to ona będzie „panią Smith”.

Zawołałem więc:

– Proszę, niech pani wejdzie, pani Smith.

– Chciałam tylko powiedzieć, że w sprawie Palgraffa wpłynął nowy wniosek. Chodzi o zabezpieczenie powództwa.

Na samo nazwisko Palgraffa coś mną wstrząsnęło, ale postarałem się tego po sobie nie pokazać.

– Dziękuję – odparłem.

– Mam je wydrukować?

– Nie, przeczytam w komputerze. Ale dzięki.

Wyszła bez słowa i zamknęła za sobą drzwi.

Ponieważ wniosek został złożony w trybie natychmiastowym, musiałem na niego odpowiedzieć w ciągu kilku godzin. W pierwszym odruchu chciałem zadzwonić do Jeremy’ego, bo w takich sprawach zawsze się z nim konsultowałem. Ale tym razem nie mogłem poprosić go o pomoc. Z pewnością uznałby to za kolejny powód, dla którego według niego powinienem przekazać tę sprawę innemu sędziemu.

Musiałem więc sam zastanowić się nad znaczeniem wniosku w kontekście całego pozwu i nad tym, co zdradzał on na temat strategii obranej przez powoda.

Moment wpłynięcia wniosku był co najmniej dziwny. Hemans mógł przecież wnieść o zabezpieczenie powództwa jednocześnie ze złożeniem pozwu.

Zamiast tego postanowił czekać. Może zamierzał w ten sposób wywrzeć presję na ApotheGenie, żeby tamci poszli na ugodę. Jego pierwszym ruchem był pozew. Drugim – przeciek informacji do prasy. A teraz wystrzelił kolejną salwę: wniosek o zabezpieczenie roszczeń. Gdyby został przyjęty, sytuacja ApotheGenu na giełdzie błyskawicznie by się pogorszyła, a Barnaby Roberts jeszcze bardziej dałby się we znaki akcjonariuszom.

To wszystko wskazywałoby na to, że Hemans nie był porywaczem. Po co przecie ku ugodzie, jeśli miało się sędziego na pasku?

Nie rozumiałem też, dlaczego ApotheGen sam jeszcze nie wyszedł z propozycją ugody. Czy nie lepiej byłoby pomachać Palgraffowi przed nosem pięćdziesięcioma

milionami i mieć wszystko z głowy? Dla firmy z listy Fortune 100 taka kwota była ledwie odpisem z trzeciego kwartału, o którym do świąt wszyscy by zapomnieli.

A jednak nic takiego się nie stało. Może dlatego, że kilka osób z najwyższego kierownictwa firmy wiedziało, że mają sędziego w garści?

Przeglądając dokument, zdałem sobie sprawę, że Barnaby Roberts sam, być może bezwiednie, podał Hemansowi na tacy mocne argumenty. Wniosek zawierał fragment wypowiedzi prezesa ApotheGenu dla „Wall Street Journal”: „Nie pozwolimy, żeby bujna wyobraźnia jednego człowieka powstrzymała nas przed wprowadzeniem tego życiodajnego leku na rynek”.

Stwierdzenie to posłużyło za podstawę do sformułowania wniosku o zabezpieczenie roszczeń. Pozwany przyznawał bowiem otwarcie, że zamierzał dalej naruszać patent zarejestrowany przez powoda.

Przyjmując taki wniosek, sędzia daje do zrozumienia, że pozew ma teoretyczną szansę na pozytywne rozpatrzenie. Jest to rodzaj sugestii dla obu stron, iż skarga wniesiona przez powoda nie jest bezpodstawna.

Właśnie zabierałem się do przejrzenia wszystkich dokumentów sprawy, żeby ocenić zasadność pozwu Palgraffa, ale nagle się powstrzymałem. To prawda – jako sędzia miałem obowiązek rozpatrzyć sprawę na mojej wokandzie.

Ale dużo ważniejsze były moje obowiązki jako ojca.

Przyjęcie wniosku Hemansa byłoby błędem. Skoro nie wiedziałem, która ze stron przetrzymywała Emmę, musiałem trzymać się podstawowego założenia, że opowiedzenie się w tym przypadku po stronie powoda skłoniłoby ApotheGen do ugody, co z kolei odebrałoby jakiegokolwiek znaczenie sędziemu, a tym samym jego dziecku.

Nie było sensu dłużej się nad tym zastanawiać. Uspokojony i pewny tego, co robię, zacząłem formułować decyzję o odrzuceniu wniosku Rolanda Hemansa.

Już prawie kończyłem, kiedy zawibrował mój telefon. Dostałem kolejną wiadomość wysłaną z numeru rozpoczynającego się od 900:

Przyjmij wniosek o zabezpieczenie roszczeń dokładnie o 15.00 albo ktoś dostanie nożem w oko.

## Rozdział 21

Młodszy z braci przez kilka godzin nie mógł przekroczyć dwudziestego ósmego poziomu. Teraz, przebiwszy się wreszcie do poziomu dwudziestego dziewiątego, był całkowicie pochłonięty walką z nowym przeciwnikiem.

Niedługo po lunchu starszy wszedł do kuchni, wziął się pod boki i spojrzał na brata z grymasem niezadowolenia na twarzy.

– Nie sądzisz, że podejrzenie tam cicho? – spytał.

– Pewnie śpi – mruknął młodszy.

– Kiedy ostatni raz ją widziałeś?

– Może z godzinę temu – skłamał. Od paru godzin nie odrywał się od konsoli.

– Płakała trochę, ale w końcu przestała.

Starszy spojrzał na drzwi do sypialni małej.

– Powinniśmy do niej zajrzeć – powiedział.

Żaden z mężczyzn się nie ruszył.

Wreszcie starszy z nich pokręcił głową i podszedł do drzwi pokoju Emmy. Odblokował zamek, który wcześniej przełożył na drugą stronę – chodziło nie o to, żeby nikt nie mógł wejść do środka, lecz o to, żeby nikt stamtąd nie wyszedł – i otworzył drzwi.

W pokoju było ciemno, jak zwykle. Nie widział dziewczynki, ale wiedział, że nie mogła uciec. Miała tylko dwie drogi wyjścia: przez zamknięte drzwi albo zamalowane okno. Zresztą nawet gdyby udało jej się je otworzyć, uruchomiłaby alarm.

Po chwili coś usłyszał. Jakiś cichy świst. Dobiegał z za łóżka.

Włączył latarkę w komórcie i przemierzył pokój trzema krokami. Mała leżała na podłodze. Jej buzię pokrywały czerwone plamy, a oczu nie było widać spod opuchlizny.

Zawołał brata, który do niego dołączył, i teraz obydwaj przyglądali się dziecku.

– Co jej zrobiłeś? – zapytał starszy.

– Nic. To pewnie przez to – odparł młodszy i pokazał na kanapkę z masłem orzechowym, która leżała na komodzie, nadgryziona. Dodał niepotrzebnie: – Pewnie jest uczulona.

Starszy brat pochylił się nad dziewczynką i wsłuchał się w jej charczący, wyraźnie wysilony oddech.

– Trzeba wezwać lekarza – powiedział młodszy.

– Wykluczone.

– A co, jeśli...

– Jak przeżyje, to przeżyje.

– A jak nie?

– Niczego to nie zmieni. Nadal będziemy mogli udowodnić, że żyje.

Młodszy wyraźnie nie rozumiał, więc jego brat dodał:

– Palce można obciąć też martwemu dziecku.

## Rozdział 22

Coraz trudniej było mi trzeźwo myśleć, a najnowsza instrukcja jeszcze bardziej mnie zdezorientowała. Ktokolwiek przetrzymał moją córkę, wiedział już, że werdykt będzie wydany po jego myśli, więc po co mu była decyzja o zabezpieczeniu powództwa? Po co ingerować w proces przed orzeczeniem Markmana?

Pisząc nową odpowiedź na wniosek Hemansa, miałem wrażenie, jakby moja głowa nie była do końca przymocowana do karku. Skończyłem godzinę przed terminem jej ogłoszenia i poczułem silną potrzebę stanięcia na twardym gruncie, dotknięcia czegoś, co było bardziej realne od tego prawnego ping-ponga, w który grałem sam ze sobą. Zadzwoiłem do Alison.

– Cześć – powiedziała stłumionym głosem, z czego wywnioskowałem, że jest w miejscu publicznym.

– Cześć. Chciałem tylko zapytać, co u ciebie.

– Dobrze – odparła, ale szybko się poprawiła: – Sam wiesz.

– Oj, tak.

– Jesteśmy w Muzeum Życia.

– Jak Sam sobie radzi?

– Nieźle – powiedziała.

– To dobrze. Dasz go na chwilę?

– Wiesz co? Nawet nie wiem, gdzie teraz jest.

– Jak to ni...

– Spokojnie – dodała szybko. – Jest z Jenny i Karen. Ja poszłam do kawiarni przy wejściu. Kupuję kawę.

– A, okej. Przepraszam.

– Nie szkodzi. Wszystko jest w porządku.

– Możesz rozmawiać?

– Tak. A co?

Nie wiedziała jeszcze o pozwie *Palgraff kontra ApotheGen*. Więc przez następny kwadrans relacjonowałem jej sytuację. Słuchała uważnie i zadawała pytania, ale tylko na niektóre mogłem jej odpowiedzieć. Ewidentnie nie chciała się rozstać ze swoimi podejrzeniami względem Justiny, ale zarazem dopuszczała możliwość, że Roland Hemans też był podejrzanym.

Na koniec powiedziałem jej o wniosku Hemansa, ale pominąłem szczegół o wbiciu noża w oko. Wystarczyło, że jedno z nas musiało żyć z tą wizją.

– I ogłosisz decyzję o trzeciej? – spytała Alison.

– Tak. Już ją napisałem. Od teraz będę już tylko patrzył na zegar.

– Weszła jakaś grupa mam – powiedziała ściszym głosem. – Muszę kończyć.

– Okej. Kocham cię.

Trochę głośniej i z fałszywą wesołością rzuciła na koniec rozmowy:

– Ja ciebie też. Do zobaczenia wieczorem.

Potem już tylko sprawdzałem czas, a kiedy zegarek w moim telefonie przeskoczył z 14:59 na 15:00, odesłałem wniosek do kancelarii.

Niecały kwadrans później pani Smith poinformowała mnie, że dzwoni Steve Politi z PulsMinus.com. Powiedziałem oczywiście, że nie zamierzam z nim rozmawiać. Ale przed wyjściem z sądu zajrzałem na jego stronę, żeby sprawdzić, co rzekomo sędzę na temat pozwu Palgraffa.

Nie zdziwiłem się, widząc wyróżniony tytuł: *Sędzia nokautuje ApoG w pozwie patentowym*.

„Jako pierwsi informowaliśmy o tym, że sędzia w głośnym pozwie Palgraff kontra ApotheGen wyraźnie zawziął się na pozwanego”, brzmiało zdanie otwierające artykuł. „Teraz możemy to udowodnić. Sędzia sądu obwodowego Scott Sampson zaakceptował wniosek Palgraffa o wstępne zabezpieczenie roszczeń. To już kolejne ustępstwo na rzecz powoda, które może kosztować ApotheGen miliardy dolarów. Dobrze widzicie: miliardy. Tak jest, kochani. Radzimy sprzedawać!”.

Steve Politi znowu oskarżał mnie o przychylność dla Palgraffa, chociaż ja sam nie wiedziałem, komu powinienem sprzyjać.

Przyszło mi do głowy, że Politi faktycznie mógł mieć jakiegoś informatora w moim najbliższym kręgu, kogoś, kto wmawiał mu, że jest moim powiernikiem. Tylko kto to mógł być?

Jeremy? Niemożliwe. Jeremy chciał, żebym wycofał się z tej sprawy.

Pani Smith? Nie wiedziałem, co miałyby na tym zyskać.

Może ktoś z moich asystentów? To również wydawało mi się mało prawdopodobne. Jaki dziennikarz uwierzyłby asystentowi twierdzącemu, że wie, co się dzieje w głowie sędziego?

Na koniec znów doszedłem do wniosku, że Politi wszystko wyssał z palca, i kolejny raz oburzyłem się nie tylko jego jaskrawymi kłamstwami na mój temat, ale i faktem, że cały świat zdawał się w nie wierzyć.

Aktualizacja jego tekstu tylko to potwierdziła: akcje ApotheGenu straciły kolejne trzy dolary i siedemdziesiąt centów. W sumie ich cena spadła już o ponad dwanaście dolarów z najwyższego poziomu od pięćdziesięciu dwóch tygodni, jaki zanotowały tuż przed tym, gdy pozew Palgraffa ujrzał światło dzienne.

Pod tekstem Politiego było pięćset siedemdziesiąt osiem komentarzy. Przeczytałem tylko kilka pierwszych. Ich autorzy dziękowali mi za szybkie i dociekliwe doniesienia, to znów chwalili się, że sprzedali swoje akcje przed spadkiem albo mieli kontrakty na szortowanie, których wartość rosła z dnia na dzień.

Wyłączyłem monitor komputera i zakląłem pod nosem na Politiego i jego czytelników. Wyglądało to, jakby karmili się cudzym nieszczęściem. Na każdego inwestora zbijającego zyski dzięki tym fałszywym rewelacjom przypadał ktoś, kogo niesprawiedliwie pozbawiano pieniędzy.

Wychodząc z biura, rzuciłem coś na pożegnanie pani Smith, a przy wyjściu z budynku darowałem sobie niezobowiązującą gadkę o futbolu z Benem Gardnerem. Wsiadłem do samochodu i ruszyłem w stronę domu.

Wyjechałem właśnie z tunelu pod Hampton Roads i wciąż ślimaczyłem się w korku na międzystanowej sześćdziesiątceczwórce, kiedy zadzwonił mój telefon. Przestraszyłem się, ale ulżyło mi, kiedy na ekranie wyświetliło się nazwisko FRANKLIN.

- Witam, panie senatorze – powiedziałem.
- Witam, panie sędzio – odparł. – Nie przeszkadzam aby w działaniu wymiaru sprawiedliwości?
- Ciągłe się nie godzę na prowadzenie rozpraw na autostradzie, więc nie.
- To dobrze, to dobrze. Niezłe zamieszanie z tym tekstem w „Journal”, co?
- Tak. Dziękuję za cytat.
- Nie ma za co. Chciałem im powiedzieć, że w wolnym czasie lubisz bić dzieci z sierocińca, ale postanowiłem to przemilczeć.
- Miły gest.
- Czyli ten pozew ma szanse, tak?
- Nie wiem – odpowiedziałem lakonicznie.

Wiedziałem, że Blake chce niewinnie pogadać, ale nie mogłem ujawniać nikomu szczegółów sprawy. Nawet czcigodnemu senatorowi Franklinowi.

- No, ale przyjąłeś wniosek Hemansa, nie? Właśnie podał to Bloomberg.
- Owszem – powiedziałem tylko, bo nic więcej nie przyszło mi do głowy.
- Barnaby Roberts musi mieć dzisiaj niezłe zatwardzenie.
- Znasz go?
- Trochę. Parę razy zeznawał przed HELP-em.

HELP<sup>1</sup>, czyli senacka Komisja Zdrowia, Edukacji, Pracy i Emerytur, której Blake był członkiem. Miała dość szeroki zakres obowiązków, ale właśnie dlatego zawsze lubiłem dla niej pracować.

- Jakie masz o nim zdanie? – spytałem.
- To prezes firmy, oni wszyscy są tacy sami. Megaloman, który oskubie cię do ostatniego centa, poklepując przy tym po ramieniu i szeroko się uśmiechając.
- Przyjąłem.
- Wcześniej o tym nie wiedziałem, ale w niedzielę po południu mam spotkanie ze sponsorami w Newport News. Będzie mi miło, jak wpadniecie z Alison.

W naszym położeniu Alison na pewno nie zniosłaby publicznego przyjęcia, ale ja musiałem udawać, że wszystko jest po staremu, więc spytałem:

- Tak? A ile będę musiał wyłożyć?

Blake głośno się zaśmiał.

- Aż tak źle ze mną nie jest – odparł. – Ale jeśli moja tak zwana partia nie zacznie się dokładać, to kto wie.

Jako prawdziwy centrysta Blake zupełnie nie pasował do obecnego klimatu politycznego, którego krajobraz był naznaczony przez partyjne okopy. Swoją karierę zaczynał jako uczestnik reaganowskiej rewolucji, a kiedy uznał, że Partia Republikańska odeszła od umiarkowanych korzeni, przeniósł się do demokratów. Efekt był taki, że republikanie uważali go za zdrajcę, a demokraci nie chcieli mu zaufać. Nigdy więc nie cieszył się ich pełnym poparciem.

Mimo to udało mu się dwukrotnie wygrać bój o reelekcję. Pomogło mu w tym doświadczenie z obu stron politycznego frontu. Niewielu było senatorów, z którymi nie wymieniłby się przysługami. Nauczył się wykuwać takie porozumienia, dzięki którym w Waszyngtonie zachodziły prawdziwe zmiany. Miał też niespotykany dar do



prowadzenia bezpośredniej kampanii. Nikt nie dorównywał mu w spontanicznych kontaktach z wyborcami.

Ale teraz, ubiegając się o czwartą kadencję, stanął twarzą w twarz z polityczną piłą tarczową. Jego rywalem był zamożny przedsiębiorca o głęboko konserwatywnych poglądach, który ożywił prawicowy elektorat, a zarazem zjednał sobie umiarkowanych wyborców obietnicami poprawy sytuacji na rynku pracy. Przeciwnik z nieograniczonymi zasobami finansowymi i dominujące w całym kraju nastroje antyestablishmentowe oznaczały, że Blake miał przed sobą pojedynek życia.

– Niech twoja sekretarka prześle mi szczegóły i zobaczę, co da się zrobić. Nie mam pojęcia, co Alison planowała na ten weekend, ale na pewno chętnie by się z tobą zobaczyła.

Pierwsza część tej wypowiedzi była prawdziwa. Druga nie. Alison nigdy nie przepadała za Blakiem, ani przed, ani po Incydencie. Odkąd nie spędzałem już całych dni, pracując dla niego, jej niechęć nieco zelżała, ale czasem dawne urazy ciężko jest zaleczyć.

– Dobrze – powiedział. – No to do usłyszenia. Bądź grzeczny.

– Ty też – rzuciłem na koniec.

Na podjeździe przed domem nie było samochodu Alison. Dochodziła piąta. Pewnie wciągnęło ich Muzeum Życia.

Jedyną osobą na naszej dwudziestoakrowej działce – a w każdym razie jedyną, jaką widziałem – była Justina. Mijając domek gościnny, zobaczyłem ją, jak niesie pudło do samochodu. Ciągle nie byłem pewien jej roli w porwaniu dzieci. Ale Alison miała rację przynajmniej w jednym: tak długo, jak Justina była jedną z podejrzanych, nie mogliśmy pozwolić, żeby mieszkała obok nas.

Zaparkowałem i od razu poszedłem do naszej sypialni, gdzie przebrałem się w dżinsy i starą flanelową koszulę. Potem zszedłem na dół, do barku, i nalałem sobie duży dżin z tonikiem.

Poszedłem ze szklanką w dłoni na tylną werandę, żeby stamtąd popatrzeć na rzekę. W normalnych warunkach byłby to czysty relaks: piątkowe popołudnie, drink w dłoni i tańczące na wodzie refleksy promieni zachodzącego słońca. Wiedziałem, że nie mam co liczyć na odprężenie, jakie zazwyczaj przyniosłby mi ten widok, ale miałem nadzieję, że uda mi się oderwać przynajmniej na chwilę od rzeczywistości.

Tymczasem opróżniłem szklankę, nie zaznając odrobiny ulgi. Więc wróciłem do środka po dolewkę. Tym razem z większą ilością dżinu.

Gdzieś w połowie drugiego drinka usłyszałem dzwonek do drzwi. Skoczyłem na równe nogi i ciężkimi krokami przeszedłem przez kuchnię do holu. Tego dnia niewiele jadłem – po torsjach nie miałem ochoty na lunch – więc alkohol uderzył mi prosto do głowy. Straciłem część kontroli nad własnymi ruchami i stałem się na tyle beztroski, że przed otwarciem drzwi nawet nie spojrzałem, kto za nimi stoi.

W progu stała Justina. Miała na sobie koszulkę na ramiączkach i obcisłe spodnie do jogi, czyli strój idealny do przeprowadzki. Wysiętek, z jakim nosiła pudła, pokrył jej skórę cienką warstwą potu.

– O, cześć – powiedziałem głosem ciężkim od alkoholu.

– Dzień dobry – odparła. – Chciałam tylko dać znać, że zaraz ruszam. – Mówiąc

to, weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. – No i oddać klucze – dodała.

Trzymała je w wyciągniętej dłoni, aż ich nie zabrałem.

– Kluczyki od hondy wiszą na haczyku – powiedziała.

– Dzięki.

– Czy pana żona i dzieci są w domu? – spytała.

Ucieszyłem się, że powiedziała „dzieci”. Oznaczało to, że nasze dziwne zachowanie z poprzedniego dnia nie wzbudziło w niej podejrzeń co do Emmy.

– Wyszli.

– Aha.

Może czekała, aż powiem coś więcej, ale ja milczałem.

– Tak czy siak – odezwała się znowu – pora się pożegnać.

– Mhm.

– Niech pan pozdrowi ode mnie Sama i Emmę.

Najwyraźniej szukała jakiegoś pozytywnego akcentu, którym mogłaby zakończyć tę wyjątkowo nieprzyjemną dla niej – o ile faktycznie była niewinna – sytuację. W końcu została zwolniona z pracy po dwóch latach i przy okazji straciła dach nad głową. Ale ja nie zamierzałem okazywać jej współczucia.

– Dziękuję za klucze – powiedziałem.

– Ja dziękuję za wszystko – odparła, a ja zobaczyłem, że jej oczy robią się wilgotne.

– Będę za wami tęskniła.

Zrobiła krok w moją stronę. Może mi się zdawało, ale chyba wygięła lekko plecy do tyłu, subtelnie – albo wcale nie tak subtelnie – wypinając piersi. Spod jej koszulki wysunął się kawałek stanika, czarnego i koronkowego. Nagle wszędzie czuć było jej słodki zapach. Czyżby spryskała się perfumami?

– Zawsze był pan dla mnie taki dobry – powiedziała.

Nim zdążyłem się zorientować, jej prawa dłoń spoczęła na moim lewym barku. W następnej chwili Justina zmniejszyła dzielący nas dystans. Drugą rękę zaczęła przesuwając w kierunku mojego prawego ramienia. Wspięła się lekko na palcach.

Naprawdę nie miałem pojęcia, co zamierzała. Mogła po prostu chcieć się przytulić na pożegnanie z osobą, z którą spędziła dwa lata, wspólnie opiekując się dwójką dzieci.

Albo próbowała mnie uwieść.

Jeśli to drugie, a byłem zbyt ubzdryngolony, żeby trafnie to ocenić, to nasuwało się pytanie: po co? Nie łudziłem się, że pięknej, dwudziestojednoletniej studentce mógł się podobać podtatusiały, czterdziestoczteroletni sędzia. Może chciała odzyskać pracę. A może chodziło o coś poważniejszego. Może zamierzała coś ukraść albo zainstalować podsłuch lub wypełnić jakieś inne polecenie porywaczy.

Nie miałem czasu się nad tym zastanawiać. Musiałem się wyplątać z tej sytuacji i tak też zrobiłem. Niezdarnie i nietrzeźwo. Starając się uniknąć kontaktu, zatoczyłem się do tyłu, ale ona nadal zbliżała się w moją stronę i w końcu na mnie wpadła. Mocno się zmieszałem.

– Okej – powiedziałem i delikatnie ją od siebie odepchnąłem. – Jeszcze raz dzięki za klucze.

Przesunąłem się w kierunku drzwi i otworzyłem je, żeby dać Justinie wyraźnie do

zrozumienia, czego od niej oczekuję. Akurat kiedy wyszedłem za nią na werandę, na podjeździe pojawił się samochód Alison, lincoln MKX. Patrzyłem na niego tępym wzrokiem, aż zatrzymał się przed domem. Potem zwróciłem się w stronę Justiny, żeby dalej ją odprowadzić.

Ale ona nie zamierzała się ruszyć. Czekala na Sama, który właśnie wyskoczył z auta.

– Cześć, *bebiszko!* – zawołała do niego, używając tureckiej ksywki, którą mu nadała. – Chodź do mnie na chwilę.

Otworzyła ramiona, a Sam – nasz najukochańszy Sam – już się szykował do rzucenia się w jej objęcia, ale Alison błyskawicznie wyskoczyła zza samochodu i zaczęła krzyczeć:

– Nie waż mi się go dotykać! Sam, idź do swojego pokoju. Już!

Sam stanął jak wryty. Nic nie rozumiał i patrzył zdezorientowany na obie kobiety, które były jego najbliższymi opiekunkami przez ostatnie dwa lata, okres dla sześciolatka oznaczający wieczność.

– Co ja mówię?! – warknęła na niego Alison.

Sam spuścił głowę i wbiegł do domu, mijając mnie na werandzie.

– Gdzie jest Emma? – zapytała Justina. – Chciałabym się z nią...

– Do widzenia – powiedziała stanowczo Alison. – Już czas na ciebie.

– Ale nie mogę...

– Do widzenia – powtórzyła Alison i rzuciła Justinie spojrzenie, które zmusiło ją do odwrotu.

Alison odprowadziła ją wzrokiem, trzymając się pod boki, a potem dołączyła do mnie na werandzie.

– Co ona robiła w naszym domu? – spytała.

– Przyniosła klucze.

Możliwe, że planowała coś więcej, ale nie zamierzałem dzielić się z Alison tą niepotwierdzoną teorią.

– I wpuściłeś ją?

– Tak. Zapukała.

Alison bacznie mi się przyglądała.

– Piłeś?

– Tak. Zrobiłem sobie dwa drinki po powrocie z pracy.

Nie odpowiedziała, ale przed wejściem do środka rzuciła mi spojrzenie ciężkie od dezaprobaty.

HELP – U.S. Senate Committee on Health, Education, Labor and Pensions (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

## Rozdział 23

Przez resztę dnia prawie nie rozmawialiśmy. Alison spała w pokoju gościnnym. Powiedziała, że nie chce mi przeszkadzać swoim przewracaniem się z boku na bok.

Obudziłem się tuż przed świtem, w samym środku budzącego lęk snu, w którym miałem za chwilę zeznawać przed senacką komisją, ale nie wiedziałem, na jaki temat. Próbowałem czytać gazetę, ale słowa znikwały mi sprzed oczu. Zwróciłem się o pomoc do siedzącego obok mnie kolegi. Okazało się, że to Jeremy, chociaż nie znaliśmy się jeszcze, kiedy pracowałem w Senacie. Mimo licznych próśb nie chciał mi powiedzieć, o co chodzi.

Senator zadawał mi pytania, ale nie widziałem jego twarzy. Zobaczyłem ją dopiero po tym, jak padły strzały. Wtedy zdałem sobie sprawę, że tym senatorem jest Blake Franklin i że to on do mnie strzela. A ja nie mogłem się uchylić. Moje ciało mnie nie słuchało. Więc przyjmowałem w siebie kule, jedną po drugiej. Nie byłem w stanie nawet krzyczeć. Patrzyłem tylko bezradnie, jak pociski rozrywają mój tułów na krwawe strzępy.

Nie pierwszy raz miałem podobny sen, ale ten był gorszy od poprzednich, w których zamachowiec pozostawał anonimowy. Nigdy wcześniej nie był nim Blake.

Zazwyczaj budziłem się z takiego snu z ulgą, lecz dzisiaj otwierając oczy, wróciłem do rzeczywistości tak koszmarnej, że moja podświadomość nie mogła się jej równać. Lęk ogarniał mnie falami, które przybierały na sile z każdym uderzeniem serca. Nie ma Emmy, nie ma Emmy, nie ma Emmy...

Mimo wczesnej pory nawet nie próbowałem z powrotem zasypiać. Równie dobrze mógłbym się położyć na rozgrzanych węglach. Poza tym przed zaśnięciem podjąłem pewną decyzję: uznałem, że nie mogę siedzieć beczynnie, kiedy ktoś więzi moją córkę. Musiałem coś zrobić, a najsensowniejsze wydało mi się zdobycie jak najwięcej informacji na temat Rolanda Hemansa.

Włożyłem te same ubrania, które miałem na sobie dzień wcześniej, i starą czapkę z daszkiem. Na kartce zostawiłem Alison wiadomość, że wyszedłem sprawdzić jakiś trop, po czym wsiadłem do mojego buicka enclave, którym poruszałem się na co dzień. Mapa Google'a pokazała mi drogę do domu Hemansa, którego adres znalazłem w bazie LexisNexis.

Niedługo potem zjechałem z autostrady i znalazłem się w jego dzielnicy. Mieszkał w dużym pudłowym domu z dachem o różnych dziwnych załamaniach i elewacją licowaną kamieniem, co zapewne miało sprawić, że nie będzie wyglądał tandetnie, ale dawało odwrotny efekt. Podjazd kończył się rondem, przy którym stał kosz do koszykówki.

Posesja znajdowała się na płaskim, nadbrzeżnym terenie, więc nawet zatrzymawszy samochód w większej odległości, miałem na nią dobry widok. Często słyszałem na sali sądowej opowieści agentów FBI o obserwacjach prowadzonych całymi dniami, nawet tygodniami, więc naciągnąłem czapkę nisko na czoło i przygotowałem się na długie godziny beczynności.

Tymczasem nie minęło nawet trzydzieści minut, kiedy pojawił się Hemans we własnej osobie. Był dokładnie takim wielkoludem, na jakiego wyglądał na zdjęciach.

Przerzucona przez ramię torba z kijami golfowymi wydawała się mała w porównaniu z jego ogromnymi plecami. Poruszał się z wdzięczną lekkością sportowca i wciąż miał atletyczną sylwetkę. Z artykułu, który przeczytałem o nim w czasopiśmie, dowiedziałem się, że ma pięćdziesiąt lat, ale kiedy przeszedł obok kosza, odniosłem wrażenie, że gdyby miał teraz w rękach piłkę, bez trudu zrobiłby efektowny wsad.

Wrzucił torbę z kijami na tylne siedzenie złotego SUV-a lexusa z indywidualnymi tablicami rejestracyjnymi z napisem PTNTLAW (od „patent law”<sup>1</sup>).

Może jechał na sobotnią rundkę golfa.

A może planował spotkanie z dwoma brodatymi mężczyznami, którzy uprowadzili moje dzieci.

Chwilę później wyjeżdżał tyłem z podjazdu. Schyliłem się, kiedy jego samochód mijał mój. Kiedy był już prawie poza zasięgiem wzroku, ruszyłem za nim. W końcu wjechał na autostradę numer 64 w kierunku Norfolk. Po drodze było kilka pól golfowych i jeszcze więcej miejsc nadających się do tego, by ukryć porwane dziecko.

Trzymałem się trzy, cztery auta za nim. Po trzydziestu minutach zjechał z autostrady międzystanowej na Tidewater Drive.

Był to jeden ze zjazdów prowadzących do Norfolk. Żaden ze mnie ekspert od tutejszych terenów golfowych, ale nic mi nie było wiadomo, żeby w okolicy były jakieś pola. Nie było tu też lasów, a Sam twierdził, że przetrzymywano ich w lesie.

Mimo to dalej go śledziłem i razem z nim dotarłem do osiedla o nazwie Ghent. Tam Hemans zwolnił i wjechał na teren otwartego centrum handlowego.

Nie chciałem wzbudzać podejrzeń, zatrzymując się na tym samym parkingu, więc stanąłem nieco dalej. Wykręciłem tułów i wyjrzałem przez tylną szybę akurat w momencie, kiedy wysiadł ze swojego SUV-a i wszedł do kwaciarni.

Pięć minut później wyszedł z białym, papierowym pakunkiem, z którego wystawało kilka kwiatów. Wsiadł z powrotem do auta i ruszył dalej.

Wkrótce jechaliśmy przez okolicę pełną starych domów; niektóre z nich były oznakowane jako obiekty historyczne. Ulice były tu węższe. Kilka przecznic dalej lexus znów zwolnił i w końcu skręcił w zjazd wiodący do Kensington Mews, dużego, ogrodzonego osiedla przy Princess Ann Road.

Przejechałem obok bramy, nie skręcając w ślad za SUV-em. Nie wiedziałem, jak mógłbym minąć strażnika. Hemans nie miał tego problemu. Opuścił szybę samochodu, powiedział kilka słów i brama się otworzyła.

Wzdłuż ogrodzenia ciągnął się parking, więc zająłem pośpiesznie jedno z wolnych miejsc, zgasiłem silnik i wysiadłem z auta na czas, żeby zobaczyć, jak Hemans parkuje i też wysiada, trzymając w dłoni bukiet kwiatów.

Z pewnością nie więził tu mojej córki. Ale i tak byłem ciekaw, co się dzieje. Hemans oddalał się od swojego wozu, długimi krokami szybko pokonał dystans do najbliższego budynku i zniknął za rogiem.

Pobiegłem ulicą, żeby zobaczyć, dokąd idzie, ale zasłaniały go rośliny i inne budynki. Wróciłem do samochodu, z którego mogłem przynajmniej mieć oko na lexusa Hemansa.

Miałem teraz trochę czasu, więc postanowiłem przeanalizować to, czego byłem

świadkiem. Facet powiedział swojej żonie, że jedzie pograć w golfa, po czym pojechał w miejsce, które nie było polem golfowym, a po drodze zatrzymał się w kwiaciarni. Zaniósł bukiet do czyjegoś mieszkania.

Nietrudno było wywnioskować, że Roland Hemans ma romans.

W samym tym fakcie nie było nic szokującego. Wielu mężczyzn zdradza swoje żony, a od Hemansa wręcz była wyjątkowo silna energia seksualna.

Ale kryło się w tym coś więcej, coś, czego nie byłem do końca pewien i co bardzo mozolnie docierało do mojej świadomości.

Kensington Mews brzmiało znajomo. Słyszałem tę nazwę w rozmowach w moim biurze. Ktoś z moich podwładnych na pewno tu mieszkał. Byłem niemal pewien, że tym kimś była Joan Smith, moja bogobojna, rozwiedziona sekretarka.

Czy Roland Hemans mógł zdradzać swoją żonę z panią Smith?

Patent law (ang.) – prawo patentowe (przyp. tłum.) [\[wróć\]](#)

## Rozdział 24

Dziewczynka ledwo przeżyła noc.

Młodszemu z braci było to obojętne, ale starszy nie był pewien, jak ich pracodawca zareagowałby na przypadkową śmierć więźnia, więc na wszelki wypadek pojechał do miasta i kupił antyhistaminę w płynie, którą udało mu się małą napić.

Teraz liczył na spokojny poranek, ale jego nadzieja umarła kwadrans po dziesiątej, kiedy zadzwonił telefon satelitarny.

– Tak? – spytał starszy brat.

– Sędzia się wymknął – powiedział jego pracodawca.

– Jak to?

– Wczesnym rankiem wyszedł z domu. Nie widziałeś?

– Wyglądało, jakby pojechał za jakimiś sprawunkami. Nie sądziłem, że to coś ważnego.

– No to ci mówię, że to coś ważnego – rzucił głos w słuchawce. – Ma wrócić do domu.

– A co? Myślisz, że pojechał na policję?

– Nie, nie. Ale kobieta chce, żeby wrócił.

Nie po raz pierwszy jego pracodawca wspomniał o „kobiecie”, z którą współpracował. Kobieta chciała tego, kobieta chciała tamtego. Kobieta stała za tym, że nie wolno im było związać dziewczynki, mimo że bardzo by im to ułatwiło życie. Starszego z braci zaczynały wkurzać jej żądania.

– Czy ja pracuję dla niej, czy dla ciebie? – spytał.

– Po prostu ściągnij sędziego do domu. Już.

## Rozdział 25

Plan był taki, żeby poczekać; a nuż się okaże, że Kensington Mews jest tylko pierwszym przystankiem Hemansa tego dnia. Ale cała moja detektywistyczna przygoda dobiegła końca, gdy dostałem SMS-a od Alison:

Muszę ci coś powiedzieć, ale koniecznie w cztery oczy. Możesz przyjechać do domu?

„Muszę ci coś powiedzieć”. Bardziej tajemniczo się nie dało. Tak czy inaczej, tutaj już raczej nic ciekawego mnie nie czekało. A jeśli naprawdę mnie potrzebowała...

Odpisałem: Jestem w Norfolk. Już jadę.

Rzuciłem ostatnie spojrzenie w stronę miejsca, w którym odbywały się właśnie romantyczne uniesienia, i uruchomiłem silnik. Zawróciłem i ruszyłem w kierunku Zagrody.

Czterdzieści minut później jechałem już naszym podjazdem, wznecając chmurę kurzu, która zasłoniła obraz w lusterku. Sam leżał na trawniku przed domem i podpierał głowę chudziutką ręką.

Kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że kawałkiem gałęzi kopie dziurę, usypując obok kupkę ziemi. Jego buzię wykrzywiaił zmartwiony grymas.

Przed porwaniem powiedziałbym, że Sam jest grzecznym i zrównoważonym dzieckiem. Był jak silnik, który potrzebował odpowiedniej mieszanki paliwowej, by wesoło pracować. Zamiast oleju, benzyny i tlenu jego mieszanka składała się z jedzenia, snu i Emmy.

Siostra stanowiła konieczny warunek jego szczęścia. Od przyjścia na świat byli praktycznie nierozłączni. Aż do zeszłego czwartku ani razu nie zdarzyło się, żeby spędzili noc w różnych miejscach.

Pozbawiony kontaktu z Emmą, Sam nie wiedział, co ze sobą robić.

– Cześć, brachu. Co słychać?

– Nic – odparł posępnie.

– Myślisz o Emmie, prawda?

– Tak – powiedział i spuścił wzrok.

– A co byście robili, gdyby tu była?

– Pewnie byśmy grali w żołędzie.

Żołędzie były skomplikowaną grą barterową, której zasad nigdy w pełni nie rozumiałem. Mimo to zaproponowałem, że z nim zagram.

– Nie – odparł. – Bez Emmy się nie da. Nie wiesz, jak się gra.

Tu mnie zagiął.

– A chcesz się powłóczyć? – zapytałem.

„Włóceniem się” Sam nazywał spacerowanie po lesie albo po naszej posiadłości. Wymyślił dla tej czynności taką nazwę, bo chodziliśmy zwykle bez celu, szukaliśmy przewróconych drzew, wysuszonych strumyków i zwierząt albo przynajmniej śladów po zwierzętach.

Było to jego ulubione zajęcie, ale teraz powiedział tylko:



– E, nie.

Przypomniały mi się słowa Alison o tym, że powinniśmy mu zapewniać jak najwięcej przyjemności.

– No dobrze. Pójdę porozmawiać przez chwilę z mamą, a ty pomyśl, co możemy razem porobić, okej?

– Okej.

Zostawiłem Sama z jego dziurą w ziemi i wszedłem do domu. Nie chciałem wołać Alison, więc spokojnie zacząłem jej szukać. Znalazłem ją w przedsionku, z którego patrzyła przez okno na Sama. Ścisłała w dłoniach różową sukienkę, którą musiała właśnie wyjąć z pralki. Emma ją uwielbiała i nie chciała jej oddać potrzebującym, mimo że już od jakiegoś czasu była na nią za krótka i ledwo zakrywała jej małą pupę.

Na jej widok nawiedziła mnie koszmarne wizja, w której stajemy się z Alison jedną z tych tragicznych par żyjących w ciągłym niedowierzaniu i traktujących pokój swojego zaginionego dziecka jak nietykalną świątynię, jakbyśmy w każdej chwili spodziewali się je odzyskać. Tymczasem wszyscy nasi znajomi chodzą wokół nas na palcach i boją się powiedzieć prawdę, że nasza córka do nas nie wróci i musimy iść do przodu, ale też nie rozumieją, że my już tak naprawdę nie istniejemy, że nasze ciała uparcie powtarzają codzienne czynności, choć w środku już od dawna jesteśmy martwi.

Patrzyłem ciągle na sukienkę w jej dłoni, kiedy Alison na mnie spojrzała.

– Cześć – powiedziała i powiesiła sukienkę na suszarce.

– Cześć – odparłem.

Alison zaczęła wyjmować z pralki kolejne ubrania.

– Chciałaś mi coś powiedzieć?

– Jak to?

– Wysłałaś mi esemesa, że masz mi coś do powiedzenia.

Natychmiast przerwała wieszanie prania.

– Nie wysyłałam ci żadnego esemesa.

Prawie wyjąłem telefon z kieszeni, żeby pokazać jej tę wiadomość, ale oczywiście nie miało to sensu.

– Co w nim było? – spytała Alison.

– Tylko tyle, że chcesz mi coś powiedzieć w cztery oczy, więc prosisz, żebym przyjechał do domu.

– Nie, to na pewno nie ode mnie.

– Czyli to oni musieli go wysłać – stwierdziłem. Nie musiałem tłumaczyć, kim są owi „oni”. – Pytanie tylko, po co?

Zanim odpowiedziała, nagle mnie olśniło.

– Chryste, pewnie wiedzieli, że obserwuję Hemansa. I chcieli mi przeszkodzić.

– Jak to obserwowałeś Hemansa? To jest ten trop, o którym mi napisałeś?

Zrelacjonowałem jej mój poranek, na co tylko wykrzywiła twarz.

– No co? – zapytałem.

– Nie wiem. To na pewno dobry pomysł, żeby kogoś śledzić? Nie jesteś wyszkolonym detektywem. Co, jeśli cię namierzili?

– Byłem ostrożny.

– Niepotrzebnie ryzykowałeś. Mogli cię zauważyć i ukarać Emmę.  
– Masz rację – zgodziłem się. – Nie będę tego ciągnął. Po prostu nie mogłem dłużej siedzieć beczynnienie.

– Rozumiem cię. Naprawdę. Pamiętasz to laboratorium w Williamsburgu?

– Tak. I co?

– Powiedzieli, że badanie DNA byłoby stratą czasu, ale może uda im się zdjąć odciski palców z przedmiotów, które były w pudłach od porywaczy. Dla porównania dałam im dwie rzeczy z domku Justyny: breloczek od kluczyków od hondy i toster. Będą jeszcze potrzebowali naszych odcisków, żeby móc nas wykluczyć. W kuchni są zestawy. Kupiłam je po drodze z muzeum.

Nagle głośno westchnęła.

– Co jest? – zapytałem.

– Nic, myślałam o dzisiejszym dniu. Karen i Jenny były takie... Jasne, wiem, że chciały odwrócić moją uwagę od Emmy i zachowywać się normalnie, ale Jenny narzekała na swój grafik w pracy, bo nie ma w swoim idealnym życiu żadnych innych problemów. A Karen nawijała o tym, o czym zawsze gada: jak to ciągle nie spłacili swojego domu, że Mark nie ma odwagi poprosić o podwyżkę, ile się zmieniło w systemie świadczeń i nikt już nie chce jej zatrudnić po takim długim urlopie macierzyńskim, jaki to świat jest niesprawiedliwy dla matek z dziećmi i tak dalej. No i okej, wiem, dlaczego mnie tak zagadywały, ale i tak cały czas myślałam: Serio? Naprawdę będziecie mi teraz wmawiać, że to wszystko ma jakiegokolwiek znaczenie? Mi jest ciężko oddychać i najchętniej schowałabym się w jakiejś ciemnej norze, tyle że nie mogę, bo mam syna i staram się, żeby nie zwariował i...

Alison przerwała, a po chwili parsknęła z niesmakiem.

– Karen zadzwoniła rano i mnie przeprosiła, bo chyba zrozumiała, że obie były trochę za mało wrażliwe. Ale i tak, wiesz.

– No tak – powiedziałem, a ona powiesiła kolejną sukienkę na suszarce. – Mam nadzieję, że przynajmniej Sam dobrze się bawił.

– Oj tak. A właśnie, zanim zapomnę. Karen powiedziała coś dzisiaj rano i chciałam zapytać cię o zdanie.

– No?

– Skoro dostaliśmy już dwie wieczorne przesyłki, można się spodziewać, że niedługo dostaniemy trzecią.

– I co?

– Karen twierdzi, że powinniśmy obserwować dom. Może uda się złapać kogoś z nich, jak podrzuca paczkę, i wyciągnąć od niego informacje, gdzie jest Emma. Zaproponowała, że ona, Jenny i Jason będą pełnić wachty.

– Jak to? Chcą siedzieć na werandzie ze strzelbą?

– Może nie aż tak ewidentnie. Ale tak, coś w tym stylu. Jak myślisz?

Oparłem się o framugę i zastanowiłem nad ewentualnymi wadami takiego rozwiązania. Nic nie przychodziło mi do głowy.

– Okej, może to i dobry pomysł.

– Też tak myślę – powiedziała Alison. – Zdaje się, że planują zacząć już dzisiaj.

- Świetnie – odparłem.
- To co, zrobisz teraz te odciski palców? Chciałabym mieć to już z głowy.
- Pewnie.
- Przeczytaj uważnie instrukcję. Mamy tylko po jednym zestawie.

Zostawiłem odciski wszystkich dziesięciu palców w wyznaczonych rubrykach i wyszedłem na dwór. Sam zasypywał ziemią dziurę, którą wcześniej wykopał. Kawalkiem gałęzi wyrównywał wierzch.

- Hej tam – powiedziałem. – Wymyśliłeś coś?
- Nie podnosząc wzroku, odparł:
- Możemy pójść na ryby.

Spojrzałem w stronę wody. Zbliżało się południe, a wraz z nim przypływ, i wiatr wzbudzał mocne fale. Wiedziałem, że w takich warunkach nic nie będzie brało. Równie dobrze moglibyśmy zarzucać wędki na trawniku przed domem.

Ale każdy, kto sądzi, że w łowieniu ryb z dzieckiem najważniejsze jest łowienie ryb, kompletnie nie rozumie tego sportu. Zwłaszcza w naszej sytuacji nie to było głównym celem.

- Świetny pomysł – stwierdziłem. – To chodźmy po sprzęt.

Sam szybko wstał i niedługo potem szliśmy już w pełnym wędkarskim ekwipunku nad wodę. Mamy krótkie molo, które jakimś cudem przeżyło wszystkie huragany i cyklony, jakie smagały je przez lata. Stojąc na jego końcu, można było łatwo zarzucić wędkę i, w lepszych warunkach niż obecne, łowić mikuny, kulbińce, kulbaki, a czasem nawet skorpeny.

Odciałem kawałek kalmara i Sam natychmiast go chwycił. Było to nasze wielkie osiągnięcie tego lata. On i Emma potrafili już bez mojej pomocy zakładać przynętę i zarzucać wędkę. Moczył żyłkę, zanim się zorientowałem.

Potem już tylko czekaliśmy. Z czasem Sam nabrał cierpliwości i nie sprawdzał przy każdym najlżejszym szarpnięciu, czy ma coś na haczyku.

- Co dzisiaj robiłeś? – zapytałem.

Wzruszył ramionami.

- Nic – odparł.
- Oglądałeś telewizję?
- Tak.
- Co zjadłeś na śniadanie?
- Francuskie tosty.

Nie odrywał wzroku od wody. Wiatr mierzwił mu włosy.

- A jak było w muzeum?
- Fajnie.
- Widziałeś rekiny?

W Muzeum Życia w Wirginii jest zbiornik ze słoną wodą, a w nim kilka gatunków małych rekinów. Sam potrafi je oglądać bez przerwy przez pół godziny, czyli wieczność w życiu sześciolatka. Alison zawsze udaje, że się ich boi, na co Sam zapewnia ją, że nie ma się czego bać, bo rekiny pływają za grubym szkłem.

- Tak.

– Powiedziałeś mamie, żeby się nie bała?

Na co on, z typową szczerością małego chłopca, wystrzełił:

– Mamy tam nie było.

– Bo poszła po kawę, tak? – spytałem.

– Nie. Nie było jej z nami. Tylko ciocia Karen i ciocia Jenny mnie zabrały.

– Czyli mama w ogóle nie pojechała do muzeum?

– Mhm – przytaknął z ulgą, że wreszcie zrozumiałem.

– To gdzie była?

– Miała jakąś sprawę.

– Jaką sprawę?

Wzruszył ramionami i odbąknął, że nie wie.

– Jesteś pewien? Naprawdę mamy tam nie było?

– Naprawdę.

Znów spojrzałem przed siebie, na rzekę i luźną żyłkę mojej wędki. Ale nie myślałem o łowieniu ryb.

## Rozdział 26

Przez resztę popołudnia i cały wieczór odtwarzałem w myślach wszystkie rozmowy, jakie odbyłem z Alison na temat wycieczki do Muzeum Życia.

Pierwsza miała miejsce przy śniadaniu, dzień wcześniej. Powiedziała wtedy: „Pomyślałam, że dzisiaj pojedę z nim do Muzeum Życia”. Owszem, wspomniała o swoich siostrach, ale one miały jej towarzyszyć, a nie ją zastąpić.

Potem była rozmowa telefoniczna, którą Alison odbyła, rzekomo siedząc w kawiarni muzeum.

No i dzisiaj rano, kiedy sama zaczęła skarżyć się na zachowanie swoich sióstr w trakcie zwiedzania.

Nie mówiła o żadnych sprawunkach ani o jakimkolwiek rozdzielaniu się z Samem. Możliwe, że zwyczajnie to przeoczyła. Gotów byłem zrzucić to zaniedbanie na karb stresu, w jakim ostatnio żyliśmy, i tego, że mieliśmy ważniejsze tematy do omówienia.

Ale i tak byłem ciekaw, co takiego robiła przez ten czas. Co było tak ważne, że Alison zostawiła Sama ze swymi siostrami, mimo że wiedziała, w jakim jest stanie?

Szukałem okazji, żeby spytać ją o to bez robienia wielkiej afery, i udało mi się znaleźć odpowiedni moment krótko po kolacji. Sam siedział w dużym pokoju, bo pozwoliliśmy mu obejrzeć przed kąpielą jeszcze jeden film. Ja i Alison byliśmy w kuchni i zmywaliśmy.

– Sam opowiadał mi trochę o muzeum, jak poszliśmy na ryby – zacząłem.

– Tak?

– Mówił, że długo oglądał rekiny.

– Jak zwykle.

Nie wiedziałem, jak to odebrać, bo „jak zwykle” można było powiedzieć, nawet jeśli się tam nie było. Musiałem przeć dalej.

– Kazał ci się nie bać? – spytałem.

– Nie pamiętam.

Mówiła prawdę czy celowo unikała konkretnej odpowiedzi?

– A możesz sobie przypomnieć?

– Po co?

Alison przestała wycierać patelnię, żeby na mnie spojrzeć.

– Sama mówiłaś o stresie pourazowym i że powinniśmy go obserwować, więc przyszło mi do głowy, że jeśli kazał ci się nie bać, jak to zwykle robi, to może znaczyć, że jakoś sobie radzi i nadal jest w stanie uspokoić swoją matkę, zamiast koncentrować się na zagrożeniu. Rozumiesz?

– No tak.

– Więc jak, powiedział ci, żebyś się nie bała? Spróbuj sobie przypomnieć. To ważne. Zastanów się.

Jej oczy powędrowały do góry i w prawo. Według psychologa z FBI, którego wykład słyszałem na jednej z konferencji sędowniczych, jest to klasyczny znak, że ktoś kłamie.

Po chwili potwierdziła:

– Tak, chyba to powiedział. „Nie bój się, mamó. Reki są po drugiej stronie szyby”.

– Na pewno właśnie tak to ujął?

Do góry i w prawo.

– Tak.

Przytaknąłem, jakby to mnie zadowalało, po czym wróciłem szybko do zmywania, żeby Alison nie zobaczyła rozpacz na mojej twarzy. Musiałem się stamtąd wydostać, znaleźć się jak najdalej od niej. Coś we mnie właśnie umarło.

Dałem mojej żonie szansę na wytłumaczenie się, stworzyłem warunki, w których mogła powiedzieć prawdę, tymczasem ona nie tyle udawała głupią, próbując skosztować jakiegoś drobnego przeinaczenia, ile wbiła zęby w wielkie kłamstwo, a potem ze smakiem je połknęła.

Jak miałem to rozumieć? Czy kiedykolwiek mnie okłamała przez te dwadzieścia pięć lat, które razem spędziliśmy?

Pewnie, że tak. Z papierosami. Kiedy mieliśmy po dwadzieścia kilka lat, Alison paliła. Nie paczkę dziennie czy coś w tym stylu, ale zawsze sięgała po papierosy, gdy wychodziliśmy do barów – to było jeszcze przed wprowadzeniem zakazu palenia w zamkniętych pomieszczeniach – na imprezach, gdzie inni też palili, i od czasu do czasu, kiedy coś ją stresowało.

Odkąd zaczęliśmy się starać o dziecko, podobno rzuciła palenie z dnia na dzień. Wydawało mi się, że wytrzymała w swoim postanowieniu, do czasu, kiedy jakieś trzy lata temu postanowiłem zaskoczyć ją w pracy i zaprosić na lunch z okazji naszej rocznicy. Kiedy wjechałem na parking, zobaczyłem ją w miejscu wyznaczonym dla palaczy, jak wydmuchuje wielką chmurę dymu. Na widok mojego samochodu błyskawicznie zgasła papierosa i uciekła do środka. Trzy minuty później przywitała mnie w lobby. Pachniała mydłem i pastą do zębów.

Parę miesięcy później byłem w szkole na zbiórce pieniędzy i znalazłem w jej biurku prawie pełną paczkę papierosów. Zgniotłem róg pudełka i jakieś dziesięć dni później znalazłem wymówkę, żeby znów znaleźć się u Alison w pracy pod jej nieobecność. W szufladzie znalazłem tę samą paczkę. Oznaczało to, że Alison paliła jednego papierosa dziennie, prawdopodobnie w porze lunchu.

Przez ostatnie trzy lata było kilka przypadków, kiedy wyczułem zapach dymu w jej oddechu albo na jej ubraniu. Nigdy nic jej nie powiedziałem, bo wydawało mi się, że to drobnostka. Każdy ma prawo do swoich tajemnic, prawda?

Ale tym razem zacząłem się zastanawiać: czy dlatego, że przez tyle lat upiekło się jej małe kłamstwo, teraz uznała, że może sobie pozwolić na większe?

Udałem, że zaczyna mnie boleć głowa i muszę się położyć, bo chciałem jak najszybciej wyjść z kuchni.

Dla dobra moich dzieci i swojego musiałem wziąć się w garść i dobrze to wszystko przemyśleć. Ale nie jako mąż. Mężowie są zbyt podatni na emocje, które uniemożliwiają im wyciągnięcie logicznych wniosków.

Musiałem podejść do mojej sytuacji jak sędzieja.

Wyobraziłem sobie, że przed moim sądem staje człowiek oskarżony o porwanie,

przeciwko któremu zebrano dowody podobne do tych, jakie ja miałem teraz przeciwko Alison. Przyjąłem założenie, że jest to proces bez ławy przysięgłych, a oskarżony zdał się na werdykt sędziego. Jak by przebiegła tego typu sprawa?

Świadek prokuratury numer 1: Pam, bardzo wiarygodna starsza pani zatrudniona w szkole Montessori, niemająca motywacji do składania fałszywych zeznań, twierdzi, że dzieci odebrała Alison. Nie były to zeznania osoby obcej. Pam знаła Alison bardzo dobrze i do jej obowiązków należało upewnienie się, kto siedział za kierownicą. Była nawet w stanie opisać szczegóły, takie jak czapka i okulary przeciwsłoneczne.

Świadek prokuratury numer 2: mały chłopiec, mimo widocznych oznak zdenerwowania, również zeznał, że samochodem kierowała jego matka. Owszem, w krzyżowym ogniu pytań ze strony obrońców świadek przyznał, że patrzył głównie na ekran telewizora, ale i tak...

Materiał dowodowy numer 1: zapis wideo pokazujący samochód identyczny jak ten, którego używa oskarżona. Dzieci wsiadają do środka dokładnie o godzinie wskazanej przez Pam. Za kierownicą widać kobietę podobną do Alison.

Materiał dowodowy numer 2: transkrypcja wiadomości SMS wysłanych z telefonu oskarżonej do ojca porwanych dzieci. W pierwszej oskarżona pisze, że odbierze dzieci ze szkoły. W innej nakłania ojca, żeby wrócił do domu, zamiast śledzić potencjalnego porywacza.

Obrońca robił, co mógł, żeby wykluczyć transkrypcję tych wiadomości z materiałów dowodowych. Powoływał się przy tym na brak pewności, jakoby faktycznie pochodziły z telefonu oskarżonej. Prokurator odparł, że brak też pewności, jakoby nie pochodziły one z jej telefonu.

Każdy sędzia musiałby zaakceptować dowód numer 2 i pozwolić oskarżonej zeznać, że nigdy tych wiadomości nie wysłała. Robiła to zresztą dość przekonująco.

Inne fragmenty jej zeznań były już bardziej problematyczne. Na przykład nalegała – nalegała! – żeby nie zgłaszać porwania policji. Czy nie jest aby tak, że kontaktu z wymiarem sprawiedliwości unikają zazwyczaj winni?

Po drugie, została przyłapana na kłamstwie w sprawie wizyty w Muzeum Życia. Prokurator nie musiał nawet drążyć tej kwestii, bo każdy sędzia doskonale wie, że świadek, który kłamie w jednej sprawie, często okazuje się nieszczerzy w wielu innych.

Pozostawało też pytanie, co faktycznie robiła w tym czasie. Może spotkała się ze swoimi współnikami w zbrodni. Albo odwiedziła córkę.

To prawda, że oskarżona próbowała zbadać odciski palców i zorganizować straż wokół domu. Ale wszystko to zaczynało przypominać zawiłą strategię obronną w stylu O.J. Simpsona: nie spoczniemy, aż nie złapiemy prawdziwego zabójcy! Oczywiście straż nikogo by nie złapała, a badanie odcisków palców nie dałoby żadnych rezultatów.

Obrona nie miała nic więcej do dodania. Miałem wszystkie dane, które mogły mi pomóc w orzeczeniu. Więc ku jakiemu werdyktowi się skłaniałem?

Moja konkluzja była absurdalna, ale żadna inna nie przychodziła mi do głowy. Czy Alison rzeczywiście miała coś wspólnego z tym porwaniem?

Mój wewnętrzny rozemocjonowany mąż krzyczał: „Nie! To niemożliwe! Żadna matka, a tym bardziej taka matka jak Alison, nie wystawiłaby swoich dzieci na taką

traumę. One je urodziła, a potem wychowywała od niemowląt po małe dzieci, którymi są dzisiaj. Kochała je absolutnie bezinteresowną miłością!”.

Zresztą jaki mogłaby mieć powód? Bo chciała, żeby Denny Palgraff zachował prawa do swojego patentu? Bo zależało jej na dobru akcjonariuszy ApotheGenu? Żaden motyw nie trzymał się kupy.

A co myślał mój wewnętrzny logiczny sędzia?

Sędzia wiedział, że prokuratura nie musi udowadniać motywu. Sędzia spojrzalby na dwóch świadków, zapis wideo i wiadomości SMS, po czym stwierdziłby, że wszystkie one prowadzą do jednego wniosku.

Sędzia skazałby Alison i tej samej nocy spałby bardzo spokojnym snem.



## Rozdział 27

Nie umiałem oddzielić męża – ani ojca – od sędziego, wobec czego tej nocy prawie nie spałem.

Sporo było w tym zwykłej fizycznej męki. Skręcało mnie w żołądku, nie mogłem złapać oddechu, przeszywał mnie do szpiku kości ból wywołany stresem, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyłem. Dostatecznie nieznośne było myślenie przez ostatnie cztery dni o obcych ludziach porywających moje dzieci. Świadomość, że mogłem zostać aż tak zdradzony przez osobę, z którą dzieliłem życie – moją partnerkę, bratnią duszę, matkę moich dwojga dzieci – zgotowała mi piekło, którego istnienia nawet nie podejrzewałem.

O ile faktycznie tak było, bo ciągle nie mogłem w to do końca uwierzyć. Noc się ślimaczyła, a ja powtarzałem w myślach każdą rozmowę i każde zdanie, jakie padło między mną a Alison w ciągu minionego tygodnia, miesiąca, roku. Szukałem jakiegoś tropu, który poprowadziłby mnie w dowolnym kierunku. Bezskutecznie.

Były chwile, kiedy tylko na nią patrzyłem, tłumiąc w sobie impuls, by nagle nią potrząsnąć i kazać się wytłumaczyć ze wszystkich kłamstw. Ale wiedziałem, że to zły pomysł. Jeśli rzeczywiście była winna, usłyszałbym tylko kolejne konfabulacje. A jeśli nie, to takim oskarżeniem zniszczyłbym podstawy naszego związku i wyrządził nieodwracalne szkody. Pewne granice można przekroczyć tylko w jedną stronę.

W środku nocy wstałem z łóżka. Wmówiłem sobie, że choćby była nie wiadomo jak ostrożna, to i tak musiała zostawić jakiś ślad swoich niecnych poczynań.

Pierwszy przystanek: jej telefon. Sprawdziłem SMS-y, ale nie znalazłem w nich niczego podejrzanego. Potem zajrzałem do listy połączeń przychodzących i wychodzących. Większość oznaczona była jako „Karen komórka” albo „Mama dom”, albo „Praca”. Znalazłem tylko dwa numery spoza książki kontaktów. Wrzuciłem je do Google’a i okazało się, że jeden należy do gabinetu lekarskiego w Gloucester, a drugi to kontakt do laboratorium kryminalnego w Williamsburgu. Czyli wszystko w normie. Skrzynka e-mailowa też była czysta.

Oczywiście Alison mogła usunąć niewygodne dane. Niewykluczone też, że do kontaktu z porwaczami używała innego aparatu.

Potem przejrzałem jej torebkę. Myślałem, że znajdę jakiś podejrzaną paragon, notatkę na kawałku papieru czy coś w tym stylu. Ale niczego takiego w niej nie było.

Musiałem się zastanowić. Gdzie Alison byłaby najmniej ostrożna, gdzie nie myślałaby o zacieraniu śladów? Poszedłem do biurka z laptopem i zalogowałem się do naszego konta w systemie elektronicznego myta, żeby sprawdzić, czy zarejestrowały się w nim jakieś wyjątkowo częste przejazdy mostami lub tunelami w naszej okolicy. Nic nie rzuciło mi się w oczy.

Ale skoro siedziałem już przy komputerze, wszedłem na jej konto na Facebooku. Alison używa naprzemiennie trzech haseł, więc nietrudno było się zalogować.

Przejrzałem szybko wszystkie wpisy z ostatnich sześciu miesięcy. Były to głównie jakieś notki o bliźniętach albo zdjęcia rodzinne. Potem sprawdziłem listę znajomych, żeby zobaczyć, czy jest na niej ktoś, kogo nie znam. Znow wszystko w porządku. Wreszcie zajrzałem do wiadomości.

Na samej górze było kilka zupełnie niewinnych, ale z datą sprzed miesiąca widniała wiadomość od Paula Dressera, ukochanego Alison z czasów liceum.

Pisał, żeby poinformować o zmianie numeru telefonu. Podał jej nowy numer i zasugerował, że minęło już zbyt dużo czasu od ich ostatniego spotkania, więc powinni nadrobić zaległości, zwłaszcza że ma jej coś ważnego do zakomunikowania.

Odpowiedź Alison: „Jasne. Zadzwonię jutro”.

Musiałem zdławić w sobie nagły i z pewnością nieuzasadniony przypływ zazdrości. Owszem, Paul Dresser był chłopakiem Alison w czasach szkolnych, jej pierwszą miłością. Spędzili razem dwa intensywne lata, kiedy ich ojcowie stacjonowali w Fort Bliss pod El Paso. Ale kiedy skończyli liceum, jej ojca przeniesiono do innej jednostki, a potem to samo spotkało Paula. Więc nie tylko wyjeżdżali na studia do różnych uczelni, ale nie mogliby się widywać nawet w przerwach między semestrami. Zamiast próbować sił w związku na odległość, postanowili się rozstać. Alison powiedziała mi kiedyś, że smutek towarzyszył jej przez cały pierwszy rok studiów.

Ale to było ćwierć wieku temu. Moja zazdrość była niedorzeczna.

Mimo to wszedłem na profil Paula. Na początek zajrzałem do galerii zdjęć. Nigdy go nie poznałem, ale nie dało się zaprzeczyć, że był z niego przystojny facet. Przewyższał mnie o głowę, miał szerokie barki i podbródek gwiazdy filmowej. Zdjęcie Paula na plaży – z prostym podpisem „Tahiti!” – pokazywało jego kształtną sylwetkę i imponująco płaski brzuch. Na innym jeździł na nartach w Aspen, jeszcze inne przedstawiało go podczas wspinaczki górskiej w Szwajcarii. Jego życie wyglądało jak wieczne wakacje.

Przypomniały mi się wszystkie żarty Alison na jego temat. Lubiła mówić, że Paul podpłył pod nasz dom swoim jachtem i zgarnie ją na pokład, na zawsze zamykając monotony rozdział w jej życiu, albo że Paul kupowałby jej biżuterię i samochody, albo że Paul zabierałby ją na wspaniałe wycieczki po świecie. We wszystkich tych dowcipach przewijał się stały wątek: Alison, która przy mnie tylko czeka, aż Paul po nią wróci.

Bo to były dowcipy, prawda?

Na żadnym ze zdjęć nie widać było żony ani dzieci, więc wszedłem w zakładkę „Informacje”, żeby się dowiedzieć, czy jest w związku.

Nie był. W statusie związku miał wpisane „Wolny”.

Jako miejsce zamieszkania podał Alexandrię w Wirginii, co mnie trochę zaniepokoiło. Obieżyświat Paul mieszkał niedaleko od nas.

Ale było w sekcji „Informacje” coś dużo groźniejszego, coś, od czego przebiegł mnie lodowaty dreszcz. Zakładka „Praca i wykształcenie”.

Paul Dresser pracował dla firmy farmaceutycznej o nazwie ApotheGen Pharmaceuticals.

Mimo obolałej głowy, trzęsących się rąk i bijącego mocno serca nietrudno było mi teraz połączyć fakty w scenariusz, który nawet jeśli nie brzmiał prawdopodobnie, to z pewnością był możliwy. Koszmarnie możliwy.

Od razu wyobraziłem sobie Paula, jak siedzi na spotkaniu poświęconym pozwowi Palgraffa – bo o czym mogliby teraz rozmawiać na spotkaniach w ApotheGenie? – i dowiaduje się, że sędzią w najważniejszej rozprawie sądowej w historii firmy jest mąż jego byłej dziewczyny.

Prawdopodobnie podzielił się tym faktem z przełożonymi, którzy nakazali mu skontaktowanie się z Alison. Pewnie uznali, że Paul – przystojny, wymuskany Paul Dresser z hollywoodzkim podbródkiem – będzie w stanie rozpalić dawny płomień i że firma na tym skorzysta. A przynajmniej mógłby spróbować się czegoś dowiedzieć.

Może właśnie od tego się zaczęło. Kontakt był wymówką, żeby zbliżyć się do mnie, ale jak już do niego doszło, obudziły się w nich dawne uczucia. Kiedyś już ich do siebie ciągnęło. Pierwsza miłość często zostaje w człowieku na długie lata. Wiem, co mówię: moją pierwszą miłością była Alison.

Nietrudno było sobie wyobrazić, że Paul znów ulega jej urokowi. Alison była piękniejsza w wieku czterdziestu czterech lat niż jako osiemnastolatka, chociażby dzięki korzystnym genom, które pozwoliły jej starzeć się lepiej od jej rówieśniczek.

Ale czy Alison miałyby jeszcze dzisiaj słabość do Paula? Całkiem możliwe, że nigdy w pełni o nim nie zapomniała. Na zawsze pozostał jej niezrealizowanym planem, mężczyzną, którego zabrał jej zbieg okoliczności. A teraz ta para kochanków poszkodowanych przez los znów się do siebie zbliżyła.

Czyżby porwanie naszych dzieci nie tylko gwarantowało Paulowi ogromne korzyści zawodowe, ale stanowiło też pierwszy etap planu, w którym on i Alison z dziećmi uciekają gdzieś we czwórkę i zaczynają nowe życie? Życie, którego pierwszym aktem miał być mój werdykt, a drugim jakiś wygodny sposób na usunięcie mnie ze sceny?

Przedziwne było zastanawianie się nad podobnym scenariuszem. A z drugiej strony wydawał się on taki prozaiczny. Nie tak dawno czytałem o Kościele w New Jersey, którego diakoni dostali zakaz zakładania kont na Facebooku, bo ich pastor miał dość pomagania małżeństwom doprowadzonym na skraj rozpadu po romansach zawiązywanych przez ludzi odnajdujących się po latach na portalach społecznościowych.

Spróbowałem się uspokoić, w końcu wszystko to były tylko przypuszczenia, oparte na jednej wiadomości z Facebooka, rozmowie telefonicznej, która po niej nastąpiła (choć w telefonie nie było po niej śladu, ale Alison mogła użyć naszego telefonu stacjonarnego albo aparatu na kartę), i na fakcie, że Paul pracował w ApotheGenie.

Godzina szperania w internecie nie rozwiązała moich wątpliwości, ale też ich nie wzmocniła. Paul Dresser faktycznie był zatrudniony przez ApotheGen, prawdopodobnie pracował w dziale sprzedaży i marketingu. Ale ani w firmowej witrynie internetowej, ani na jego profilu w LinkedIn, ani na stronie stowarzyszenia zawodowego, do którego należał, nie znalazłem informacji, jakie dokładnie stanowisko zajmował ani jaki był zakres jego obowiązków.

To jednak były mało istotne szczegóły. Podstawowe pytanie – i to był ten najostrejszy, niemal globalny konflikt, jaki rozgrywał się w mojej głowie – brzmiało: czy Alison była w stanie posunąć się do czegoś takiego?

Jeszcze do niedawna mógłbym ze spokojem powiedzieć, że wprawdzie nie wiem zbyt wiele, ale z pewnością wiem, kim jest moja żona. Wokół niej kręciła się cała moja osobista teoria poznania. Byliśmy ze sobą dwadzieścia pięć lat, całe dorosłe życie. Już nawet nie pamiętałem siebie jako kawalera.

Po Incydencie, kiedy kula zamachowca rozszarpała mnie na tak wiele różnych sposobów, jedną z moich pierwszych myśli po odzyskaniu przytomności było to, że

jedynym źródłem nieprzerwanego dobra w moim życiu była Alison. Od studiów licencjackich po prawnicze, przez staż w sądzie apelacyjnym po pracoholizm, który niemal całkowicie mnie pochłoniął, kiedy pracowałem dla senatora Franklina, dostawałem od niej tylko miłość.

Nawet wtedy, kiedy na nią nie zasługiwałem. Albo kiedy jej nie rozumiałem. Musiałem się pogodzić z tym, że jej uczucie jest jak prędkość światła – matematyczna stała w moim wszechświecie.

Jak teraz miałem odtworzyć porządek w kosmosie, w którym możliwa była aż tak parszywa zdrada?

Wracało do mnie coś, co powiedział mi kiedyś mój rozwiedziony przyjaciel. Mówił o wstrząsającym momencie, kiedy jego małżeństwo rozpadało się na drobne kawałki wzajemnych oskarżeń i nienawiści, w którym nagle zrozumiał, że jego żona była dla niego w gruncie rzeczy obcym człowiekiem. Jej obecne zachowanie stało się dlań czymś tak niezrozumiałym w kontekście tego wszystkiego, co wydawało mu się, że wcześniej wiedział, iż osoba, którą kiedyś znał, po prostu dla niego umarła.

Czy właśnie to teraz działo się ze mną?

Okrutna ironia całej tej sytuacji polegała na tym, że osoba, z którą najbardziej chciałem o tym porozmawiać – Alison – była dla mnie niedostępna. Dopóki nie byłem co do niej pewny, nie mogłem jej powiedzieć ani słowa. Tak długo, jak ją podejrzewałem, kontakt z nią był praktycznie wykluczony.

Mogłem ją tylko obserwować. I gorąco się modlić, żeby okazała się niewinna.

## Rozdział 28

Nazajutrz Alison wyszła z dwiema propozycjami, które momentalnie wydały mi się podejrzane.

Najpierw zapytała, czy może pójść do kościoła. Beze mnie.

To pierwsze mnie nie zdziwiło, ale drugie owszem. Głównym powodem, dla którego po przeprowadzce do Gloucester zaczęliśmy chodzić do kościoła, był aspekt rodzinny wspólnego uczęszczania na msze. Nie zamierzaliśmy wmuszać religii naszym dzieciom – uznaliśmy, że to ich sprawa, co będą robić w dorosłym życiu – ale chcieliśmy im przynajmniej pokazać, że taka droga istnieje. I robiliśmy to zawsze całą czwórką.

Alison wyjaśniła, że chce iść sama, bo nie możemy się tam pojawić we troje, skoro tworzymy czteroosobową rodzinę. Będąc na mszy beze mnie, mogła powiedzieć, że jestem trochę chory, a jej samej nie chciało się ciągnąć ze sobą dwójki dzieci.

Poza tym, dodała, odczuwała potrzebę długiej modlitwy.

A potem przedstawiła mi drugą część swojego planu: miałem pójść na imprezę Blake'a.

Okazało się, że jego sekretarka wysłała e-maile ze szczegółami przyjęcia do nas obojga. Jak można się było spodziewać, Alison nie miała najmniejszej ochoty brać udziału w zbiórce funduszy dla senatora, ale uważała, że dla mnie będzie to dobra okazja, żeby oderwać myśli od bieżących spraw i uciec na chwilę od domowego i zawodowego stresu.

– Spotkaj się z Blakiem, baw się dobrze i staraj się nikomu nie wygadać – powiedziała, jakby to było możliwe.

Nie podobał mi się jej pomysł, ale zgodziłem się pójść, głównie dlatego, że nie wiedziałem, jak miałbym wyrazić swoje obiekcje. Tymczasem moje podejrzania wobec Alison tylko przybrały na sile.

Czy jej chęć pójścia do kościoła miała czysto duchowe podłoże?

Czy może była jedynie wymówką, żeby wymknąć się z domu i zobaczyć z Paulem i Emmą?

Przez resztę poranka to zajmowałem się Samem, to ciągnąłem swoje śledztwo, w którym jednak nie posunąłem się ani o krok dalej.

W którymś momencie, podczas gdy robiłem Samowi śniadanie, włączyłem mały telewizor w kuchni. Nastawiony był na CNN, gdzie Andy Whipple – przełożony szefa przełożonego mojego szwagra – udzielał wywiadu na temat swojej działalności charytatywnej. Z tego, co mówił Mark, wynikało, że Whipple stał się gwiazdą w świecie finansów po tym, jak przewidział rzeź 2008 roku i we właściwym czasie wycofał z rynku wszystkie swoje aktywa, żeby przechować je w rajach podatkowych. Kiedy inni upadali, największy fundusz należący do Whipple Alliance zanotował niebywałą, dwudziestoosmioprocentową stopę zwrotu, co tylko wzmocniło jego status finansowego celebryty.

Jak na rzekomego czarodzieja rynków finansowych wyglądał dość niepozornie. Był drobnym mężczyzną o krągłych biodrach, postępującej łysinie (pozostałe włosy ciął na jeża) i co najmniej jednym zbędnym podbródku.

Przekazał niedawno dwadzieścia pięć milionów dolarów na rzecz organizacji

wspierającej młodzież z ubogich miast, za co otrzymywał teraz gorące pochwały od gospodarza programu. Patrzyłem na jego poruszające się usta, ale nie docierało do mnie, co mówił. Poniosły mnie fantazje na temat jego fortuny. Gdybym miał dwadzieścia pięć milionów, to czy byłbym w stanie wykupić się z moich obecnych tarapatów? Czy pieniądze pomogłyby mi odzyskać Emmę?

Tym tropem doszedłem do myśli, że Mark mógłby skontaktować mnie z Whipple'em, który udzieliłby mi pożyczki. Gdyby tylko zapewniła mi ona powrót Emmy, z radością bym ją spłacał do końca życia.

A może nawet dwadzieścia pięć milionów by nie wystarczyło? Może nawet Whipple ze swoją fortuną okazałby się równie bezsilny jak ja z całym wymiarem sprawiedliwości po mojej stronie. Czyżby naprawdę istniały w życiu rzeczy, których nie są w stanie dać człowiekowi nawet władza i pieniądze?

Po powrocie Alison z kościoła mieliśmy czas tylko na szybki raport w sprawie Sama – co zjadł, co razem robiliśmy i jaki miał nastrój – bo musiałem się przygotować na przyjęcie u Blake'a.

Impreza nazwana „Niedziela z senatorem: intymne popołudnie z Blakiem Fanklinem” organizowana była w klubie żeglarskim w Newport News. Blake może i był teraz demokratą, ale pieniądze na kampanię zbierał jak rasowy republikanin.

Przy wejściu dostałem plaketkę z napisem „Sędzia Sampson”. Wiedziałem, że był to przejaw szacunku ze strony podwładnych senatora, ale gdybym miał w kieszeni korektor, tobym go użył. Na sali sądowej akceptowałem tytuł sędziego, ale poza nią wolałem być Scottem.

Nawet jak na „intymne popołudnie” goście byli nieliczni, co mogło oznaczać, że wejściówki kosztowały więcej, niż myślałem. Tysiąc dolarów za osobę? Pięć tysięcy? Pewnie lepiej, żebym nie wiedział. Nawet gdy byłem konsultantem politycznym w gabinecie Blake'a, nigdy nie zapuszczałem się w szemrane zakątki kampanijnych finansów.

Kiedy wszedłem na salę bankietową, spostrzegłem senatora pogrążonego w żywej rozmowie z parą potencjalnych darczyńców. Blake miał szeroką klatkę piersiową i mierzył ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Jego wspaniałe włosy, mimo że już całkowicie siwe, wciąż były gęste i faliste. Stanowiły ozdobę dużej głowy z twarzą o wyrazistych rysach, które sugerowały wyjątkową osobowość jej posiadacza i sprawiały, że senator wyglądał rewelacyjnie w telewizji.

Blake miał niewyczerpane zasoby energii, dzięki którym zaszedł w życiu naprawdę daleko. Wychowywał się w rodzinie robotniczej jako syn stocznio-wca i gospodyni domowej. Za pieniądze wydębione od kilku bogatych znajomych ukończył studia i założył własną firmę deweloperską. Podczas wielkich inwestycji w latach osiemdziesiątych, kiedy Hampton Roads kwitło dzięki wydatkom na obronę, dorobił się małej fortuny. Zdążył wycofać się z rynku tuż przed końcem zimnej wojny i pęknięciem bańki nieruchomościowej.

Zaangażował się w politykę, bo zależało mu na tym, żeby jego osobista ścieżka od pucybuta do milionera pozostała dostępna dla następnego pokolenia. Urzekł tym podejściem zarówno republikanów, jak i demokratów.

Tymczasem zabrał się do uwodzenia nielicznej grupki starszych mężczyzn, którzy przywodzili mi na myśl bardzo drogą i niezwykle kruchą porcelanę. W początkach naszej wspólnej pracy uważałem, że jego aksamitna gadka jest sztuczna, a przynajmniej lekko afektowana. Zakładałem, że stosuje ją jako technikę, ponieważ rozumie, że polityka, jak i życie w ogóle, polega przede wszystkim na budowaniu relacji, więc warto w nie inwestować.

Z czasem zrozumiałem, że w jego postawie było znacznie mniej wyrachowania. On po prostu lubił bezpośredni kontakt, opowiadanie anegdot, poznawanie ludzi i spotkania ze starymi przyjaciółmi. Okazywał przy tym prawdziwy entuzjazm.

Jakąś minutę po tym, jak wszedłem na salę, zbliżył się do mnie kelner z tacą pełną wysokich kieliszków z szampanem. Spojrzał na mnie wyczekująco, jakby uważał, że powinienem być się ucieszyć na jego widok. W tym momencie zdałem sobie sprawę, że przychodząc tu, popełniłem wielki błąd. Szampan? Niby jak miałem pić szampana, kiedy ktoś przetrzymywał moją Emmę? I kiedy mogła za tym stać moja żona? W głębi duszy pragnąłem tylko wykopać dla siebie dziurę w ziemi i umrzeć.

Na samą myśl o zabawie robiło mi się niedobrze. Miałem ochotę wytrącić mu tę cholerną tacę z rąk.

Kelner uśmiechnął się do mnie. Wiedziałem, że powinienem odwdzińczyć się tym samym. Dookoła mnie wszyscy się uśmiechali. Ale ja nie mogłem.

Musiałem się stamtąd wydostać. I to już.

– Nie, dziękuję – powiedziałem i odwróciłem się w kierunku drzwi.

Dokładnie w tej samej chwili Blake podszedł do mnie od drugiej strony. Zgarnął z tacy kieliszek, po czym jednym płynnym ruchem włożył mi go w dłoń i objął mnie ramieniem.

– Dobrze cię widzieć, dobrze cię widzieć – powiedział. – Dziękuję, że przyszedłeś. Gdzieś nieopodal trzasnęła migawka aparatu.

– Moja chrześnica nie rozrabia?

Puścił mnie, a ja, wiedząc, że fotograf ciągle się przy nas czai, zmusiłem się do uśmiechu.

– Nie więcej niż zwykle – odparłem.

Aparat pstryknął jeszcze kilka razy. Blake nie zwracał na to uwagi, ale ja byłem spięty.

– Świetnie, świetnie – powiedział i znów mnie do siebie przyciągnął. – Muszę zadbać o gości, ale nigdzie nie idź. Musimy potem pogadać, okej? Zjemy razem kolację czy coś.

Po tych słowach zniknął. Patrzyłem na swój kieliszek z szampanem. Kierowany niejasnym impulsem, wypłem go duszkiem i poczułem, jak pali mi przełyk. Pokazałem kelnerowi, że mam ochotę na kolejny.

Może Alison miała rację. Może powinienem spróbować się odprężyć. Od tygodnia odstawiałem szopkę w pracy, więc mogłem to zrobić też na przyjęciu Blake'a.

Wciąż nie potrafiłem się zmusić do rozmów, ale wypłem drugi, a potem trzeci kieliszek szampana. Kiedy ogłoszono, że senator wystąpi z krótkim przemówieniem, byłem już mocno zaczerwieniony na twarzy. Zatoczyłem się do najbliższego krzesła

akurat w momencie, kiedy Blake zaczynał okrojona wersję swojego monologu *Wierzę w Amerykę*, który słyszałem już wiele razy, choć zawsze w nieco innej formie. Jego tekst świetnie trafiał do zebranych. Logiczne było, że jeśli zapłacili po kilka tysięcy za popołudnie w towarzystwie senatora, to oni też wierzyli w Amerykę.

Potem Blake mówił trochę o bieżącej kampanii i o wadze każdego głosu. W ostatnich kilku wyborach stanowych Wirginia skłaniała się ku demokratom, ale ich przewaga była niewielka. Najnowsze sondaże pokazywały, że Blake jest w tyle, choć o tym oczywiście nie wspomniał.

Pod koniec przemówienia pozdrowił gospodarzy i kilku innych lokalnych działaczy, którzy pomogli mu zorganizować to przyjęcie. Nie zwracałem większej uwagi na to, co mówi, dopóki nie usłyszałem swojego nazwiska.

– ...który przez wiele lat był członkiem mojego gabinetu i zaliczał się do najlepszych umysłów w Waszyngtonie. Nie macie pojęcia, ile razy wyszedłem dzięki niemu na bystrzejszego, niż jestem – powiedział Blake, wzbudzając serdeczny śmiech gości. – Od jakiegoś czasu służy ojczyźnie jako sędzia federalny w Dystrykcie Wschodnim Wirginii. Niektórzy z was mogli przeczytać o nim w niedawnych artykułach w „Washington Journal” i „New York Timesie” traktujących o pozwie przeciwko ApotheGenowi, więc dzisiaj jest już prawdziwym celebrytą. Panie sędzio, prosimy o ukłon.

Nie bardzo wiedziałem, jaką rolę mam grać w tej szopce, ale pomachałem do zgromadzonych, mocno zakłopotany całą tą sytuacją.

– Dziękuję. A teraz, skoro już wiecie, o kim mowa, to ci z was, którzy stracili forszę na akcjach ApotheGenu, wiedzą też, do kogo się przymilać, żeby ją odzyskać.

Wypowiedział tę kwestię z szerokim uśmiechem na twarzy, a zebrani wybuchnęli śmiechem jak na znak dany im przez reżysera. Zaśmiałem się z nimi, żeby nie wyjść na gbura, ale w środku cały buzowałem.

Nie miał prawa stawiać mnie na świeczniku. I jak śmiał choćby żartem sugerować, że jestem podatny na czyjeś sugestie i skłonny zmienić zdanie pod wpływem rozmowy na przyjęciu? Ta niby niewinna aluzja zakrawała na oszczerstwo.

Owszem, moja reakcja wynikała po części ze świadomości, iż nie byłem jako sędzia aż tak niewzruszony, jak mi się zdawało, że jestem, ale uciekłem stamtąd przy pierwszej okazji, jaka się nadarzyła.

Senator musiał sobie poszukać innego kompana do kolacji.



## Rozdział 29

Starszy z braci trzymał w dłoni kawałek papieru, a drugą ręką przekręcił klamkę w drzwiach do pokoju dziewczynki.

Zamek wydał ciche brzdęknięcie i mężczyzna wszedł do środka. Nie zauważył jej od razu, lecz dopiero kiedy wystawiła głowę zza łóżka.

– Co ty tam robisz? – spytał.

Dziewczynka wstała.

– Nic – powiedziała szybko.

Podszedł do niej i bacznie się jej przyjrzał. Dzieci nie umiały kłamać. Ta mała coś knuła, ale nie wiedział co.

– Pokaż ręce – rozkazał.

Wystawiła otwarte dłonie, pokazując, że są puste. Starszy brat zmrużył brwi. Wciąż jej nie wierzył.

Znowu pożałował, że nie mogli jej przykuć łańcuchem do łóżka albo unieruchomić w jakiś inny sposób. Wtedy nie musieliby się przejmować tym, co robi pod ich nieobecność.

No, ale ta kobieta – kimkolwiek była – wydała jasne polecenia.

Nieważne. Miał teraz zadanie do wykonania. Złapał małą za rękę i zaciągnął do łazienki. Zmrużyła oczy od światła. Podał jej kartkę papieru.

– Trzymaj to – powiedział.

– Czemu?

– Trzymaj i już.

– Co to jest? – spytała.

– Przestań gadać.

Wyjął z kieszeni telefon komórkowy i uruchomił aparat fotograficzny. Spojrzał na dziewczynkę.

– Nie, nie tak. – Odwrócił kartkę. – Tą stroną do mnie.

Mała zrobiła, jak kazał. Ale teraz zaczęła się przyglądać temu, co trzymała w dłoniach.

– Nie, nie patrz na to. Patrz na mnie. – Nie posłuchała go, więc dodał: – Żebyś nie musiał cię zbić. Dostaniesz klapsa, jeśli nie spojrzysz w moją stronę.

Ich pracodawca zabronił bić dzieci. Kobieta podobno nalegała na ten warunek.

Ale jej tu nie było. Starszy brat zamierzał zrobić, co będzie musiał.

– No już – warknął.

W końcu podniosła wzrok.

– Dobrze – powiedział. – A teraz spójrz na aparat.

Gdy tylko uznał, że mała ma na buzi dostatecznie zagubioną minę, zaczął robić zdjęcia.

## Rozdział 30

Wchodząc do domu, byłem jeszcze wściekły na Franklina i zamierzałem przez resztę dnia ignorować Alison, a przynajmniej unikać bliższego z nią kontaktu, ale kiedy minąłem ją w holu, poczułem jakiś zapach.

Dym papierosowy.

Ledwo wyczuwalny, ale niewątpliwie był to dym z papierosa.

– Poczekaj – powiedziałem do Alison, która szła już do kuchni, gdzie gotowała makaron dla Sama, a dla nas piekła kurczaka.

– Tak? – odwróciła się do mnie, ale została w miejscu.

Podszedłem do niej, aż stałem praktycznie nad nią. Wciągnąłem przez nos tyle powietrza, ile dałem radę.

– Co jest? – zapytała i zrobiła dwa kroki do tyłu.

– Paliałś?

– Nie – odparła nieprzekonująco.

– To dlaczego czuć od ciebie dym?

Powąchała jeden rękaw, potem drugi.

– Nie wiem – powiedziała. – Byliśmy z Samem w sklepie. Przy wejściu minęłam faceta z papierosem. Może...

Znów się do niej zbliżyłem. Staliśmy teraz w kuchni i zapachy jedzenia zdominowały słabą woń, którą wyczułem w korytarzu.

– Daj mi powąchać rękę – powiedziałem.

Alison zawsze trzymała papierosy w prawej dłoni.

– Co?

– No daj. Chcę ją powąchać.

– Nie ma mowy – rzuciła i zasłoniła dłoń lewą ręką.

– Jeśli nie paliałś, to niczego nie czuję.

– Scott, przestań się wygłupiać.

– Czyli zaprzeczasz, tak? Twierdzisz, że nie paliałś?

– Tak, zaprz...

– Bo rzuciłaś przed zajściem w ciążę. Zgadza się?

– Przestań – powiedziała. – Dziwnie się zachowujesz. Dlaczego w ogóle o tym rozmawiamy?

– Bo wiem, co poczułem.

– A co, jesteś teraz moim ojcem?

– Po prostu przyznaj, że paliałś. Jesteś dorosła. Możesz palić, jeśli chcesz. Tylko czemu to ukrywasz?

– Niczego nie... Co za bezsens – zaprotestowała, po czym ostentacyjnie odwróciła się do mnie plecami i wróciła do gotowania.

– Wiem, co poczułem – powiedziałem jeszcze raz.

Zignorowała to, ale postanowiłem już nie ciągnąć tej komedii. Jej reakcja mówiła wszystko. Wyparcie i odbicie piłki.

Wiedziałem, że to nie ma większego znaczenia. Jeśli w trudnym okresie moja żona

chciała wrócić do mało szkodliwego zwyczaju palenia jednego papierosa dziennie, żeby znaleźć przynajmniej kilka sekund spokoju, to miała do tego prawo.

Ale czy musiała mnie okłamywać?

Była to kolejna rzecz, od której kręciło mi się w głowie, kiedy w końcu poszedłem do łóżka. Położyłem się wcześniej, bo chciałem się dobrze wyspać i być wypoczęty w trakcie planowanej na następny dzień konferencji przedprocesowej.

Ale nie mogłem zasnąć. Wracałem myślami do tamtej paczki papierosów w biurze, stawał mi przed oczami obraz Alison przed budynkiem, wydmuchującej dym.

W kryminologii znana jest teoria rozbitych okien, która mówi, że jeśli policja przymyka oko na drobne wykroczenia, na przykład wandalizm, rośnie poczucie bezkarności, za którym idzie wzrost liczby poważnych przestępstw.

Gdybym wtedy powiedział Alison, że wiem o jej popalaniu, to czy dzisiaj miałbym na głowie problem z Paulem Dresserem?

A może Paul Dresser stał się żywiołem nie do zatrzymania w tej samej chwili, w której zjawiał się na nowo w jej życiu? Czyżbym od początku był dla Alison tylko nagrodą pocieszenia? Przypominałem sobie teraz wszystkie rozmowy z naszych wspólnych lat, kiedy o nim wspominała. Nawet jeśli robiła to żartobliwie, to i tak jasne było, że zajmował w jej myślach sporo miejsca jak na faceta, którego nie widziała od liceum.

Po paru godzinach takich rozmyślań i przewracania się z boku na bok miałem dosyć nieustającego bólu, jaki temu towarzyszył. Poszedłem do łazienki i znalazłem proszki nasenne, które mi przepisano po Incydencie. W tamtym okresie jedna tabletki zazwyczaj wystarczała, kiedy ból w klatce piersiowej albo pod pachą uniemożliwiał mi zaśnięcie. Proszki były oczywiście od dawna przeterminowane.

Ale to mi nie przeszkadzało. Połknąłem trzy.

Nawet się nie zorientowałem, kiedy zasnąłem. Nie zauważyłem też, że jakiś czas później dołączyła do mnie Alison.

Wiem tylko, co mnie obudziło.

Głuchy trzask wystrzału z broni palnej.

Kiedy wyskakiwałem z łóżka, huk odbijał się jeszcze echem od pobliskich drzew.

– Co to było? – spytała Alison, siadając na łóżku.

Ja już szedłem szybkimi krokami do drzwi sypialni. Byłem oszołomiony od tabletek, ale pełen zapachu.

– Tylko nie wychodź na dwór! – krzyknęła Alison. – Na litość boską...

– Idź do Sama. Pewnie się przestraszył.

Nie czekałem na jej odpowiedź. Zbiegłem po schodach, włączyłem światło na werandzie i otworzyłem drzwi, ubrany tylko w spodnie od piżamy i T-shirt. Chciałem zobaczyć intruza, zanim ucieknie.

Tymczasem intruz stał na krawędzi werandy. Zamarłem. Już raz w życiu znalazłem się na celowniku. Powtórka nie była mi potrzebna.

Ale człowiek z bronią nie patrzył w moją stronę. Skierował strzelbę w stronę czegoś znajdującego się na podwórku i trzymał palce na spuście. Miał na głowie coś, co wyglądało na uprząż z goglami noktowizyjnymi; soczewki gogli były skierowane w górę.

Ubrany był od stóp do głów w strój maskujący, a jego twarz pokrywała czarna farba.

Mimo gogli i pomalowanej twarzy rozpoznałem Jasona, mojego szwagra. Jeden z nocnych stróżów Karen pełnił swoją wartę.

– Jason, co się tu...

Urwałem, usłyszawszy jęk. Dobiegł tuż zza schodów. Podeszedłem na skraj werandy. Na wąskim pasie trawy i igieł sosnowych, jakieś dwadzieścia pięć metrów od domu, leżał mężczyzna. Był młody. I cherlawy. Trzymał się za nogę i ciskał wszystkimi przekleństwami, jakie tylko znał.

– Napastnik może być uzbrojony – powiedział do mnie Jason. – Nie ruszaj się, dopóki nie ocenię stopnia zagrożenia.

Patrzyłem na tego chłopaka, jak wił się na ziemi i co chwila walił w nią otwartą dłonią, i sam niemalże poczułem ukłucie pod pachą. Nigdy nie zapomnę bólu w pierwszej chwili po postrzale. Nie da się go opisać.

Jest paraliżujący. Rzeczywistość w niczym nie przypomina filmów, w których podziurawiony wieloma pociskami bohater nie przestaje walczyć. Kiedy trafia cię kula, myślisz tylko o rozdartym ciele, które piecze jak oblane wrzątkiem, o tym, że dałbyś wszystko, byle tylko już tego nie czuć, i o tym, że jeśli rana jest aż tak bolesna, to musi być śmiertelna. Ani przez sekundę nie zastanawiasz się nad zadaniem ciosu przeciwnikowi.

– Wpakuję mu drugą w łeb, jak będzie trzeba – obwieścił głośno Jason.

Między wiązki przekleństw dzieciak zdołał wpleść desperacki apel:

– Człowieku, błagam. Przysięgam, że nie jestem uzbrojony.

Łapczywie chwycił powietrze w płuca i mocno je wypuszczał. Jason podeszedł bliżej i mierząc mu w głowę, rozkazał:

– Pokaż ręce, śmieciu. No już!

Chłopak oderwał obie dłonie od rany i podniósł je do góry. Mocno się trzęsły.

– Wyżej – powiedział Jason.

Podeszedł jeszcze bliżej i z całej siły kopnął leżącego w odsłonięty tułów ciężkim, czarnym butem, prawdopodobnie wzmocnionym metalem.

Tamten zawył i zgiął się w pół, osłaniając się zdrową nogą. Tę postrzeloną cały czas trzymał wyprostowaną. Jęczał błagalnie:

– Jezu, proszę, już nie. To tak boli...

Jason przestał mierzyć do niego ze strzelby, ale podniósł ją teraz na wysokość klatki piersiowej, jakby chciał zadać nią cios. W nogę albo głowę chłopaka.

– Jason, przestań! – krzyknąłem. – Wystarczy.

Podbiegłem do nich i sam zawyłem z bólu, nadepnąwszy bosą stopą na szyszkę. Zwolniłem, dopiero kiedy zobaczyłem, że Jason powoli opuszcza broń. Wsunął dłoń pod kamizelkę – czy była kuloodporna? – pomyślałem, że wyciągnie pistolet, żeby dobić rannego, ale on wyjął tylko latarkę. Włączył ją i poświecił na swoją zdobycz.

Chłopak miał dwadzieścia parę lat. Jeśli nie mniej. Na podbródku hodował kępkę włosów. Ubrany był w koszulkę bez rękawów, która odsłaniała kilka tatuaży. Jeden z nich, sporych rozmiarów, wyglądał jak Mała Syrenka z filmu Disneya, tyle że bez łusek. Jego obwisłą skórę pokrywały pryszczki. Na swojej sali sądowej widziałem niejednego

narkomana uzależnionego od metamfetaminy; ten dzieciak był do nich podobny. Na pewno nie wyglądał na genialnego porywacza.

Zmrużył oczy i odwrócił wzrok, bo Jason świecił mu prosto w twarz.

– Co tu robisz, gnoju? – zapytał mój szwagier.

– Poczekaj, ja to załatwię – powiedziałem i położyłem mu dłoń na ramieniu. Potem, trochę wbrew sobie i głównie po to, żeby go uspokoić, dodałem: – Dziękuję. Spocznij.

Ukląknęłam przy intruzie. Jego dzinsy zabarwiły się od krwi. Kula trafiła go w udo i zrobiła zaskakująco mały otwór. Nie mogłem znaleźć rany wylotowej z drugiej strony. Ciężko było stwierdzić, jak mocno krwawił.

– Jak się nazywasz? – spytałem.

– Bobby – powiedział szybko. – Bobby Rowe.

– No dobra, Bobby Rowe. Wy tłumacz mi, proszę, co robisz na moim terenie?

– Jakiś facet dał mi pięćset dolców, żebym położył kopertę na pana werandzie.

Przysięgam.

Koperta. To musiała być przesyłka od porywaczy.

– I gdzie ją masz?

– Nie wiem. Pewnie ją upuściłem, jak ten... – tutaj wyraził się niepochlebnie o moim szwagrze – ...mnie postrzelił.

Jason najeżył się i napiął tak, jakby chciał jeszcze raz go kopnąć.

– Spokojnie – powiedziałem do niego. – Daj mi chwilę na znalezienie tej koperty.

Poszukiwania nic nie dały. Jason dalej świecił latarką, czym trochę mnie oślepił, więc ciężko mi było cokolwiek wypatrzyć w trawie dookoła nas.

– Dobrze, na razie zapomnijmy o kopercie – postanowiłem. – Powiedziałeś, że jakiś facet dał ci pięć stów. Jaki facet?

– Nie wiem. Nie jest stąd. Mówił jak jakiś, nie wiem... Rusek czy coś. Miał brodę.

Zagraniczny akcent. Broda. Chyba opisywał jednego z mężczyzn z drapiącymi twarzami z opowieści Sama.

Bobby stęknął i znowu złapał się za nogę.

– Może powinniśmy wezwać pogotowie? – odezwał się Jason.

Już miałem podać mu całą listę powodów, dla których było to wykluczone – sanitariusze wezwaliby kogoś z biura szeryfa, lekarze pogotowia mieliby obowiązek zgłoszenia rany postrzałowej na policję – kiedy Bobby zaskamlał:

– Nie, nie, błagam. Jak mój kurator się dowie, to wrócę do pierdła. Mam pięć lat w zawiasach. Nie mogę tam wrócić. Nigdy w życiu. Nic mi nie będzie.

Położył dłoń na przestrzelonej nodze i zacisnął powieki.

– To może chociaż zatrzymamy krwotok? – zapytałem Jasona. – Nie chcę, żeby ten dzieciak umarł na moim trawniku.

– Nie użyłem pocisków grzybujących – odparł. – Rdzeń jest połączony z płaszczem.

– Czyli?

– Czyli kula pewnie przeszła na wylot.

Jason powiedział to lekkim tonem człowieka, który nigdy nie był postrzelony i sądzi, że pociski przeszywające ciało na wylot nie sprawiają bólu.

Spojrzałem na Bobby'ego i jego falującą klatkę piersiową.

– Jason, idź do pokoju gospodarczego. Nad pralką znajdziesz stare prześcieradła. Powinny być czyste. Rozedrzyj je na pasy. Jeśli Alison o coś zapyta, powiedz, żeby pilnowała Sama.

Jason, jak zawsze chętny do wykonania rozkazu, odszedł w stronę domu.

– No dobrze – powiedziałem i dla dodania sobie otuchy zapewniłem Bobby'ego:

– Nic ci nie będzie.

Chłopak przytaknął i zamknął oczy. Jason zabrał ze sobą latarkę, więc oświetlały nas tylko lampy z werandy. Powoli odzyskiwałem zdolność widzenia w ciemności, ale nadal nie mogłem znaleźć koperty. Uznałem, że poszukam jej nad ranem.

– Opowiedz mi wszystko jeszcze raz – powiedziałem. – Zaczynij od samego początku. Jakiś mężczyzna z brodą i obco brzmiącym akcentem chciał, żebyś zostawił mi kopertę na werandzie.

– Tak. Wychodziłem z Walmarta, a on do mnie podszedł i pyta, czy chcę zarobić tysiąc dolców.

– Tysiąc? Mówiłeś o pięciuset.

– Pięćset za zostawienie koperty i drugie pięćset, jeśli wrócę z karmnikiem.

– Zacisnął zęby i chwycił się za nogę. – Powiedział, że macie ich pełno na werandzie.

To wyjaśniało sprawę dwóch brakujących karmników. Musieli je zgarnąć poprzedni kurierzy. Porywacze najwyraźniej dobrze się zapoznali z wyglądem zewnętrznym naszego domu. Powrót kuriera z karmnikiem był dla nich dowodem dostarczenia przesyłki.

– Czyli miałeś zabrać karmnik i spotkać się z tym człowiekiem... gdzie? Z powrotem pod Walmartem?

– Tak – odparł Bobby. – Miał tam na mnie czekać.

Jasne. Gdybym był porywaczem, na pewno siedziałbym na parkingu przed sklepem i czekał, aż jakiś dwudziestoletni ćpun dostarczy mi karmnik dla ptaków, za który będę musiał mu zapłacić.

Zero szans. Związałbym stamtąd od razu po przekazaniu koperty, bo mój wspólnik i tak obserwuje dom, więc będzie wiedział, czy przesyłka dotarła do celu.

– Jak chcesz, możesz tam wrócić – powiedziałem – ale jestem pewien, że to strata czasu. Tego gościa już dawno tam nie ma.

Tymczasem Jason pojawił się z prześcieradłem.

– No dobra! – zawołałem w jego stronę. – Zróbmy to. Podnieś mu nogę.

Bobby jęknął.

– Zamknij się – warknął Jason. – Porwanie to nie zabawa. Powinieneś być...

– Co? Jesteście porywaczami?

– Nie. To nie... Nieważne, pilnuj swoich spraw.

Byłem wściekły na Jasona, że tyle wypaplał. Właśnie takie bezmyślne gadanie mogło się skończyć tragedią.

Posłałem mu srogie spojrzenie i rzuciłem:

– Cicho bądź.

Zabraliśmy się do roboty i po paru chwilach noga była owinięta tak mocno, że

widać było tylko małą plamkę krwi na drugiej warstwie opaski z prześcieradła. Podwieźliśmy Bobby'ego w miejsce, gdzie zaparkował samochód, i patrzyliśmy, jak odjeżdża.

Zwolniłem Jasona z posterunku i wszedłem do środka. Alison spała na łóżku Sama. Leżeli wtuleni w siebie, a on dodatkowo w najbezpieczniejszych na świecie objęciach swojej Misia Mamy.

Widząc ich tak, pomyślałem, że Alison absolutnie – ABSOLUTNIE – nie mogła mieć nic wspólnego z porwaniem. Bez względu na papierosy i Paula Dressera.

Wróciłem wreszcie do naszej sypialni, położyłem się na pościeli i zamknąłem oczy. Miałem nadzieję, że gdy spłynie ze mnie adrenalina, proszki znów zaczną działać.

Byłem jednak zbyt pobudzony. W końcu poddałem się i zszedłem na dół, do kuchni. Zaparzyłem kawę i czekałem na wschód słońca. Zgasłem wszystkie światła w domu i na zewnątrz, żeby moje źrenice mogły się w pełni rozszerzyć.

W połowie drugiego kubka kawy odniosłem wrażenie, że ciemność za oknem nie jest już całkowita i powoli zastępuje ją rozmazana szarość. Świt był coraz bliżej. Dokończyłem kawę w kilku uważnych łykach i wyszedłem na zewnątrz.

Nie minęło wiele czasu, a znalazłem to, czego szukałem. Jakieś sześć metrów od miejsca, w którym Bobby Rowe wykrwawiał się na mój trawnik, leżała cienka, brązowa koperta, którą przyjechał mi dostarczyć.

Nie była opisana jak poprzednie przesyłki i było w niej coś sztywnego, może kawałek tektury.

Zaniósłem ją z powrotem do kuchni, włączyłem światło i otworzyłem. Włożona do środka tektura służyła za podkładkę dla papieru fotograficznego, który wyjąłem.

Było na nim zdjęcie Emmy. Nie miała włosów, została ostrzyżona na języka. Przez to jej głowa, a właściwie całe jej ciało wydały się malutkie, prawie zawstydzone. Miała opuszczone barki i zrezygnowaną minę. W prawej dłoni trzymała wydrukowany na kartce tekst:

**NORMA 16B? RUSZ SPRAWY DO PRZODU, TATUSIU. STAWKĄ JEST MOJE ŻYCIE.**

Oparłem się bezwładnie o blat kuchenny. W oczach Emmy malowały się wszystkie jej uczucia. Nawet przelotne spojrzenie na bijący z nich strach, zagubienie i ból było trudne do zniesienia. Ukryłem twarz w zgięciu ramienia i zapłakałem. Dopiero po kilku minutach zmusiłem się, by jeszcze raz zerknąć na zdjęcie. Miałem nadzieję, że znajdę na nim coś, co pomoże mi odgadnąć, gdzie ją przetrzymują.

Ale nie było żadnych wskazówek. Sfotografowali Emmę na tle beżowej ściany z gipsu, która mogła być w sąsiednim domu albo w dowolnym innym miejscu na południowej półkuli.

Znów spojrzałem na pełną smutku buzię mojej córki. Umiała czytać już w przedszkolu. Nie miałem wątpliwości, że wiedziała, co jest napisane na tej kartce.

Nie wiedziałem, jak jej sześcioletni umysł zrozumie zawartą w tekście groźbę, ale sposób, w jaki patrzyła w obiektyw, i jej usta zagięte w podkówkę mówiły mi, że doskonale pojęła wysłany mi komunikat.

Wszyscy prędzej czy później zdajemy sobie sprawę, że życie jest darem, który

nikomu nie jest dany na zawsze, choć tego rodzaju odkryć większość z nas dokonuje dopiero jakiś czas po siódmych urodzinach.

Miałem ochotę przytulić jej zdjęcie, ale zarazem wrzeszczeć z furją na jego bezdusność. Chciałem pocieszyć Emmę, że tatuś na pewno ją uratuje, pozbawić okrutny świat kolców, żeby już nie czuła ich bolesnego klucia. Chciałem zrobić to, co robią tatusiowie na całym świecie: sprawić, żeby wszystko było dobrze.

„Rusz sprawy do przodu, tatusiu”. Oczywiście mogłem to zrobić. Ale dlaczego właśnie na tym zależało jej porywaczom? Faktem jest, że w sprawach patentowych pośpiech na ogół faworyzował powodów. Właśnie dlatego tak wiele z nich lądowało na naszej ekspresowej wokandzie.

Ale jeśli za porwaniem stał Roland Hemans albo ktoś inny po stronie Palgraffa, to po co byłby mu jeszcze jeden as w rękawie? Najważniejszego asa już miał – w pełni posłusznego sędziego.

Może po prostu nie chcieli tego niepotrzebnie przeciągać, bo wiedzieli, że z każdym dniem rośnie ryzyko: Emma mogła uciec, ktoś mógł wpaść na ich trop.

Jeśli patrzeć na to przez pryzmat pojedynczego dnia, to szanse na jakieś poważne komplikacje nie były duże, ale wraz z upływem czasu rosło prawdopodobieństwo, że coś pójdzie nie tak. Pewnie dlatego zależało im na rychłym zakończeniu procesu. Przynajmniej pod tym jednym względem nasze interesy były podobne.

Ja jednak znacznie bardziej niż oni chciałem mieć to już za sobą.



## Rozdział 31

Kiedy jakiś czas później brałem prysznic, ubierałem się i szykowałem do wyjścia do pracy, wszystkie te czynności wykonywałem półprzytomnie.

Wcześniej Alison zażądała pełnej relacji z nocnych wydarzeń. Potem pokazałem jej zdjęcie. Buzowała od gniewu, zupełnie jak ja, a jej mała zapaść wyglądała na tak spontaniczną i instynktowną, że musiała być prawdziwa. Żadna aktorka nie potrafiłaby tak przekonująco wprawić swojego ciała w drgawki i wściekle zacisnąć pięści.

Czy może dawałem sobą manipulować? Jeśli wiedziała, że dostanę to zdjęcie, bo to ona je do mnie wysłała, mogła wyćwiczyć swoją reakcję.

Dojeżdżając do budynku sądu, wciąż biłem się z tymi myślami i nie umiałem się zdecydować.

Jedyną osobą obecną w moim biurze była Joan Smith. Krzątała się po pokojach z konewką i podlewała nasze kwiaty doniczkowe.

Po sobotniej wizycie w Kensington Mews widziałem panią Smith w nieco innym świetle. Czy ta kobieta, ubrana w spódnicę do połowy łydki, najpospolitsze na świecie czółenka i sweter faktycznie mogła być obiektem pożądania Rolanda Hemansa? Czy może jedyną jej wartością był dostęp do sędziego, który miał prowadzić najważniejszy proces w swojej dotychczasowej karierze? Czyżby przekazywała mu, celowo lub bezwiednie, informacje, które pomogły porywaczom?

– Dzień dobry, sędzio – powiedziała, wylewając kilka ostatnich kropli na fikusa.

– Widziałam dziś pańskie zdjęcie w gazecie.

– Tak? – zdziwiłem się.

– Leży na pańskim biurku.

W prawym górnym rogu jednej ze stron działu wiadomości lokalnych dziennika „Daily Press” widniała fotografia, na której stałem z Blakiem Franklinem. Rozmawialiśmy, Blake mnie obejmował, a ja trzymałem w dłoni kieliszek szampana, co mnie teraz lekko zmierziło. Wyglądaliśmy obaj jak członkowie jakiegoś elitarnego towarzystwa wzajemnej adoracji. Utrzymywanie kontaktów z politykami to jedno, ale zażyłość to już co innego.

Zdjęcie było jednym z trzech zamieszczonych pod tytułem: *Senator Franklin szuka funduszy w Newport News*. Pod spodem nie było artykułu, tylko opis fotografii.

– Dziękuję – powiedziałem. Przez chwilę zbierałem myśli, w końcu zadałem niezobowiązujące pytanie: – Jak pani minął weekend, pani Smith?

– Miło, dziękuję – odparła i skończywszy podlewanie, usiadła za swoim biurkiem.

– Pastor czyta Mateusza.

Czekałem, ale nic już nie dodała.

– Miała pani jakichś gości albo... robiła coś pani na mieście? – spytałem.

Podniosła wzrok, bo właśnie przekroczyłem granicę naszych zwyczajowych poniedziałkowych rozmów.

– W niedzielę byłam na kolacji u siostry – powiedziała.

– O. I jak było?

– Znakomicie. – Kolejna lakoniczna odpowiedź.

– Mieszka pani w Kensington Mews, prawda?

– Zgadza się.

Teraz już patrzyła na mnie bardzo dziwnie, ale udawałem, że tego nie widzę.

– To pewnie doskonale miejsce do urządzania przyjęć – parłem dalej.

– Racja.

Było jasne, że z własnej woli niczego nie zdradzi. Jeżeli Joan Smith utrzymywała za moimi plecami bliską relację z Rolandem Hemansem, to z pewnością wiedziała, że jest to co najmniej wątpliwe z punktu widzenia etyki zawodowej. Postanowiłem drażnić temat tak długo, aż w jej kamiennym wyrazie twarzy pojawi się jakieś pęknięcie.

– Pani Smith, czy zna pani może adwokata Rolanda Hemansa?

Odpowiedziała bez wahania:

– Nie sędzę.

– Reprezentuje powoda w *Palgraffie*.

– Aha.

Znów nie doczekałem się niczego więcej. Nic też nie pękło. Pani Smith nie zamierzała niczego ujawniać.

– No dobrze, pora zabrać się do pracy – powiedziałem w końcu.

– Mhm – potwierdziła Joan.

Kiedy zamykałem za sobą drzwi gabinetu, ona już nuciła melodię niedzielnego psalmu.

Jakieś dwadzieścia minut później szedłem po kawę do naszej małej kuchni i zobaczyłem, że Jeremy Freeland siedzi w swoim pokoju.

Zatrzymałem się i zapukałem lekko we framugę jego drzwi. W piątek, a właściwie w sobotę o 8.37 rano wysłałem mu e-mail, w którym odrzuciłem jego prośbę o przekazanie *Palgraffa* innemu sędziemu, i chciałem sprawdzić, czy nie ma do mnie żalu. Nie poradziłbym sobie ze sprawą takich rozmiarów, gdyby mój sekretarz był do mnie zrażony.

– Czołem – powiedziałem. – Masz chwilę?

– Tak, tak. Oczywiście.

Miał lekko zarumienioną twarz, z czego wnioskowałem, że przed pracą długo biegał. Zamknąłem za sobą drzwi.

– Przepraszam, że przeszkadzam.

– Ależ skąd – uspokoił mnie. – Sam właśnie się do sędziego wybierałem.

Odsunąłem sobie jedno z krzeseł przy jego biurku i spojrzałem na ekran z obrazem z kamery przemysłowej; miał on pewną dziwną właściwość: trudno było oderwać od niego wzrok, nawet jeśli kadr był zupełnie pusty.

Odchrząknąłem i powiedziałem:

– A propos sobotniego mejla...

– Ja chciałbym pierwszy – przerwał mi Jeremy. – Myślałem o tym w piątek wieczorem i w sobotę rano, i jeszcze zanim dostałem pańską wiadomość, zdałem sobie sprawę, że moja prośba była niedorzeczna. Właśnie miałem to panu napisać, kiedy przyszedł ten mejl.

– Jesteś pewien?

– Tak. Jakoś, nie wiem... Czasem czuję się jak ci dwaj. – Jeremy pokazał na Thurgooda i Marshalla, którzy za jego plecami zataczali leniwe kręgi. – Jakbyśmy całe życie spędzali w akwarium. Siedzimy w tym biurze, odseparowani od świata, wydajemy swoje orzeczenia i nie mamy pojęcia, co ludzie sobie myślą. Na sali sądowej nie ma okienka na komentarze. Aż któregoś dnia pojawia się taka sprawa jak *Skavron* i nagle doskonale wiemy, co ludzie myślą, bo wszyscy o nas mówią za naszymi plecami. Przykro mi to mówić, ale to prawda. – Przerwał na chwilę, westchnął i ciągnął dalej: – Potem dochodzi jeszcze taki *Palgraff*, który nie będzie schodził z pierwszych stron gazet, i nasze akwarium stało się jakby ciaśniejsze. I chyba mi to trochę zamieszało w głowie. To tyle.

– Okej – odparłem. – Rozumiem.

I faktycznie, trochę go rozumiałem. Cała sytuacja była dość interesująca, ale nie miałem już siły, by się nad tym zastanawiać.

W tym momencie musiałem się skupić na konferencji przedprocesowej. Zazwyczaj sędzia nie bierze udziału w tych spotkaniach. Co jakiś czas może na chwilę zajrzeć, ale szczegóły pozostawia w gestii swoich podwładnych. Po nocnej przesyłce wiedziałem jednak, że w tym przypadku powinienem być obecny od początku do końca.

– Jesteśmy gotowi na dzisiaj? – spytałem.

– Tak mi się wydaje. Jean Ann zarezerwowała nam salę dwieście czternaście, czyli konferencyjną na pierwszym piętrze, ale nie wiem, czy wystarczy krzesel.

– Dlaczego?

– A widział sędzia listę prawników, którzy się zapisali na konferencję? Nie śmiałem jej drukować. Trzeba by wyciąć pół lasu, żeby starczyło papieru.

Nie zaskoczyło mnie to. Pozwani dysponujący nieograniczonymi zasobami finansowymi, tacy jak ApotheGen, rzucali na front tylu prawników, ilu tylko się dało. I słusznie. Większy zespół na ogół oznaczał lepsze przygotowanie do procesu. A lepiej przygotowani na ogół wygrywają. Bogaci rozdają karty we wszystkich sferach życia, a szczególnie dobrze widać to na sali sądowej.

– Jeszcze nie patrzyłem. Ilu mamy?

– Po stronie powoda jest Roland Hemans i dwóch wspólników. Pozwany zatrudnia bezpośrednio Vernona Willardsa, ale zespołowi przewodzi Clarence Worth. Jest starszym wspólnikiem w Leslie, Jennings & Rowley z Nowego Jorku.

O ile dobrze pamiętałem, Leslie, Jennings & Rowley była piątą albo szóstą największą kancelarią adwokacką w Ameryce.

– Kto jeszcze? – zapytałem.

– Clarence Worth wchodzi w skład sześciuosobowego zespołu LJR. Oprócz nich jest jeszcze trzech z Graham, Fallon & Farley z Waszyngtonu. Zakładam, że przez nich będzie przechodziło wszystko, co się wiąże z Agencją Żywności i Leków. Do spraw patentowych zatrudnili firmę McDowell-Waters, to daje pewnie kolejnych czterech. Do tego jeszcze dwóch z Edgeton, Alpert & Sopko.

Ta ostatnia była lokalną kancelarią z Norfolk. Domyślałem się, że do jej obowiązków będzie należało częste uśmiechanie się i przymilanie do moich podwładnych. Została zatrudniona z konieczności: po stronie ApotheGenu musiał być ktoś z licencją do występowania przed sądem federalnym w Wirginii. Ponadto pozwani

liczyli na to, że lokalna firma przynajmniej częściowo wytrąci powodowi z rąk przewagę wynikającą z gry na własnym boisku.

W sumie więc spodziewałem się czternastu adwokatów, nie licząc prawników zatrudnionych na etacie w ApotheGenie. Przy obecnych stawkach oznaczało to łącznie jakieś dziesięć tysięcy dolarów za godzinę. Rolanda Hemansa i jego dwóch wspólników czekał nie lada pojedynek.

Kolejny powód, dla którego mógłbyście chcieć poszukać innego sposobu na zapewnienie sobie korzystnego wyroku.

– No to niezłe zbiegowisko – zauważyłem. – Co zamierzacie z nimi zrobić?

– Nie mogliśmy ich zamknąć w tej sali i zasugerować, że wyjdą dopiero wtedy, kiedy osiągną porozumienie?

Jeremy oczywiście żartował, ale znałem sędziów, którzy naprawdę robili podobne rzeczy. Ja oczywiście nie mogłem sobie na to pozwolić.

– Pewnie nie – odparłem. – A jak idzie postępowanie dowodowe?

– Hemans najchętniej zebrałyby zeznania od wszystkich ludzi na Ziemi. Będzie przesłuchiwał siedemnastu naukowców, a do tego szefa pionu w ApotheGenie, dyrektora finansowego firmy i samego prezesa Barnaby’ego Robertsa. Zażądał też całej masy dokumentów, notatek i tym podobnych rzeczy. Worth pewnie będzie chciał mu to uniemożliwić, ale większość trzeba będzie Hemansowi udostępnić.

– No dobrze. A jaki plan działań chcecie im zaproponować?

– Sześć miesięcy na postępowanie dowodowe, choć Worth raczej wniesie o więcej.

Więc pewnie damy im osiem. I dwa miesiące później zwołalibyśmy Markmana.

Dziesięć miesięcy bez Emmy. Nie do pomyślenia.

Mimo to powiedziałem:

– Okej. No to wszystko jasne.

– Zajrzy pan do nas?

– Tak. Przyjdę się przywitać.

A następnie przewrócić całą sprawę do góry nogami.

## Rozdział 32

W godzinę po rozpoczęciu ustaleń zapukałem lekko do drzwi sali 214. Uznałem, że przez ten czas sprawy będą już na zaawansowanym etapie.

Jean Ann otworzyła, ja zerknąłem do środka i zdążyłem rozejrzeć się po sali, zanim obecni zorientowali się, że przyszedłem. Po obu stronach długiego stołu konferencyjnego stało szesnaście krzeseł, po osiem na każdą stronę. Strona pozwana musiała stawić się pierwsza, bo adwokaci ApotheGenu zajęli miejsca od strony okien. Zastosowali prosty psychologiczny trik, za sprawą którego osoby mające otwartą przestrzeń za plecami sprawiają wrażenie potężniejszych niż ludzie siedzący tyłem do ściany.

Wszystkie krzesła należące do strony pozwanej były zajęte, a za siedzącymi na nich adwokatami stało kolejnych osiem albo dziewięć osób. Cieszyłem się, że nie było mnie przy negocjacjach, w których decydowało się, kto będzie siedział, a kto stał.

Po stronie powoda zobaczyłem Rolanda Hemansa, jego dwóch wspólników i Denny'ego Palgraffa. Wyglądaliby żałośnie, gdyby Hemans nie był górującym nad wszystkimi gigantem. W dodatku podkreślił swoją fizyczną dominację, rozkładając papiery dookoła siebie i zajmując w sumie trzy miejsca przy stole. „New York Times” porównał ten proces do starcia Dawida z Goliatem. Może i słusznie, ale Hemans i tak był całkiem imponującym Dawidem.

Gdy tylko przekroczyłem próg, ustały wszystkie rozmowy. Obecni wstali i ucieszyli się na mój widok. Obcowanie z lizusostwem jest nieodłączną częścią profesji sędziego.

Powitania były serią zbyt szerokich uśmiechów i wymuszonego rechotu. Hemans przygarbił się i użył całej długości swojej masywnej ręki, żeby zachować odpowiedni dystans. Nie chciał się nade mną pochylać. Wiedział, jak działał na ludzi jego wzrost i kolor skóry, i nie zamierzał onieśmielać drobnego, białego sędziego.

Po stronie obrony ceremonię powitalną rozpoczął Clarence Worth z Leslie, Jennings & Rowley. Był szczupłym, białoskórym mężczyzną, miał nieco ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i robił wrażenie człowieka o wysokiej kulturze osobistej.

Po nim przedstawił mi się Vernon Willards, etatowy prawnik ApotheGenu. Nazwiska, które usłyszałem po nim, zlały mi się w jedno, z wyjątkiem Paula Dressera. Zdawałem sobie sprawę, że niektórzy z obecnych nie musieli brać udziału w dzisiejszym spotkaniu. Wielu z nich przyjechało z Nowego Jorku, Waszyngtonu i innych miejsc tylko po to, żeby uścisnąć moją dłoń.

Było to głupie, ale z ich punktu widzenia między innymi na tym właśnie polegała cała gra. Zresztą za wszystko płacił ApotheGen. Zrobiłem pełne kółko dookoła stołu, aż dotarłem do ostatniej osoby: dystyngowanego, siwego dżentelmena, którego twarz wydała mi się znajoma.

– Bardzo miło pana poznać, panie sędzio. Nazywam się Barnaby Roberts – powiedział prezes ApotheGenu z nieskazitelnym akcentem brytyjskich wyższych sfer.

Jego obecność była dla mnie jasnym komunikatem, jak ważny jest pozew Palgraffa dla ApotheGenu, skoro sam prezes gotów był rzucić wszystko i zjawić się na spotkaniu, które w gruncie rzeczy służyło tylko ustaleniu terminarza.

Jedynym człowiekiem na sali, który nie próbował wkupić się w moje łaski, był Palgraff. Podając mi rękę, wypiął klatkę piersiową i uniósł głowę. Robił, co mógł, żeby dać mi do zrozumienia, jak daleko mi do jego poziomu intelektualnego. No bo czy ja zarejestrowałem swój pierwszy patent w wieku trzynastu lat? Czy jako dwudziestojednolatek byłem już magistrem? Nie. Tak długo, jak w sali 214 przebywał genialny Denny Palgraff, pozostali obecni mogli co najwyżej ubiegać się o tytuł drugiego umysłu przy stole.

– Proszę, niech wszyscy usiądą – powiedziałem i każdy, kto miał przydzielone krzesło, zrobił z niego użytek. Sam, wciąż stojąc, dodałem: – Czy pan Freeland dobrze się wami zaopiekował?

Jeremy się rozpromienił. Wszyscy się uśmiechnęli.

– To doskonale. A jak nam idą rozmowy o ugodzie? Jakież postępy? – zapytałem, bo taka była rola sędziego w podobnych okolicznościach.

Jak przystało na samca alfa, Hemans natychmiast skorzystał z okazji do zabrania głosu.

– Wysoki sędzie – powiedział – daliśmy pozwanym okazję do zaproponowania warunków ugody. Nie byli zainteresowani.

– Wysoki sędzie – odezwał się Worth z irytacją w głosie. – Powód zażądał pięćdziesięciu procent zysków ze sprzedaży prevalii przez czas obowiązywania patentu albo jednorazowego zadośćuczynienia w wysokości pięćdziesięciu miliardów dolarów. Nie bardzo wiemy, jak rozmawiać z kimś, kto zachowuje się tak irracjonalnie.

– Irracjonalnie? – huknął Hemans. – Chcecie wziąć patent mojego klienta i...

– Dziękuję, panie Hemans – powiedziałem, na co on momentalnie zamilkł. – Wygląda na to, że z ugodą nie będzie łatwo. Gdzie jesteśmy w sprawie postępowania dowodowego?

Udawałem, że słucham, jak obie strony wzajemnie się przekrzykują i wyklócają o szczegóły. Z grubsza chodziło o to, że – według Wortha – siedemnastu naukowców to przesada. Jego zdaniem wystarczyłoby dziesięciu. Opierał się też przed wydaniem wielu dokumentów i e-maili, których żądał Hemans. Twierdził, że grozi to ujawnieniem zbyt dużej ilości tajnych informacji handlowych ApotheGenu. Odczekałem, aż powiedzą, co mieli do powiedzenia, po czym zapytałem o propozycje terminów, co wywołało kolejną rundę bezsensownych sporów.

– Okej, okej – powiedziałem, dając do zrozumienia, że zaczynam tracić cierpliwość. Tak zresztą było. – Jak widać, szanse na jakiegokolwiek porozumienie są niewielkie.

Zmierzyłem ich wzrokiem jak grono nieposłusznych wagarowiczów.

– Panie i panowie, zdaję sobie sprawę z wagi pozwu i stawki, o którą toczy się gra – powiedziałem. – Mógłbym odesłać wasze wszystkie spory do referendarza sądowego, ale zaoszczędzę nam wszystkim sporo czasu i kosztów i powiem wprost, czego od was oczekuję.

Zauważyłem pochylające się do przodu sylwetki prawników, ciągnąłem więc:

– Po pierwsze, w sprawie postępowania dowodowego, zgadzam się z panem Worthem, iż siedemnastu świadków to drobna przesada. Ucinam ich liczbę do dziesięciu.

Panie Hemans, proszę zdecydować, którzy są dla was najważniejsi.

Na twarzy Wortha pojawił się tryumfalny uśmiezek, któremu jednak nie pozwoliłem rozkwitnąć.

– Uważam jednak, że wszystkie wnioski powoda o udostępnienie dokumentów i e-maili są uzasadnione. Zapewniam, że dobrze je zabezpieczymy. Konkurencja nie będzie miała do nich wglądu. Co do dyskrecji pana Hemansa nie mam najmniejszych wątpliwości. Z kolei pan Palgraff podpisze bardzo ostro sformułowane zobowiązanie do zachowania tajemnicy. Czy to jest do przyjęcia?

Żadna ze stron nie ośmieliłaby się wyrazić sprzeciwu. Jak dotąd moje salomonowe rozstrzygnięcia w niczym nie odbiegały od standardowych praktyk sędziowskich. Ale to nie był koniec.

– Teraz w kwestii terminarza. Jak z pewnością wszyscy wiecie, w piątek przyjąłem wniosek o wstępne zabezpieczenie roszczeń. Biorąc pod uwagę publiczne wypowiedzi pana Robertsa, jakoby jego firma zamierzała wprowadzić prewalię na rynek bez względu na potencjalne naruszenie praw patentowych, uznałem, że nie mam wyboru.

Roberts oblał się rumieńcem. Ja mówiłem dalej:

– Jednakowoż martwi mnie możliwość opóźnienia wprowadzenia na rynek leku, który ma szansę zapobiec milionom przedwczesnych zgonów. Prawo nakazuje mi w podobnych sytuacjach brać pod uwagę dobro ogółu i w tym przypadku interes publiczny jest jasny. Nie pozwolę, by mój sąd stał na drodze tak ważnego wynalazku farmaceutycznego dłużej, niż to absolutnie konieczne. Zatem licząc od dzisiaj, macie dwa tygodnie na dokończenie postępowania dowodowego. Rozprawa Markmana odbędzie się w pierwszy piątek po tym terminie.

I tym samym w cywilizowany świat prawnych procedur wrzuciłem granat zaczepny. Jednemu z prawników z Graham, Fallon & Farley opadła szczeka. Inny, zdaje się z McDowell-Waters, wydał z siebie głuche stęknienie, jakby dostał pięścią w brzuch.

Pierwszy doszedł do siebie stary wyga Worth, choć i tak wyglądał niepewnie.

– Ale... jak to... Wysoki sędzie, z całym szacunkiem, mówi pan o wykonaniu rocznej pracy w niecałe trzy tygodnie?

– Zgadza się – odparłem spokojnym tonem. – Radziłbym więc zabrać się do roboty.

– Ale nawet nie wiem, jak...

– Przestań się jękać – warknął Barnaby Roberts, po czym wstał i pokazał na mnie palcem. – To oburzające. Niecałe trzy tygodnie na przygotowanie tak skomplikowanej sprawy? Czy pan sobie stroi żarty? Nie można tak robić!

Worth podjął się trudnego zadania uspokojenia swojego klienta.

– Panie Roberts, wszystko będzie dobrze. Gdyby mógł pan...

– Bzdura. To absolutnie nie do przyjęcia! Na pewno są przepisy, które tego zabraniają. Zgłosimy sprzeciw. Jeszcze dzisiaj.

– Panie Roberts, tu nie ma miejsca na apelację – rzucił Worth przez zaciśnięte zęby.

– To jakieś kpiny – powiedział Roberts, dźgając mnie palcem z drugiego końca stołu. – Za kogo pan się ma? Co to za sąd kapturowy?

– Barnaby, zamknij się! – krzyknął Worth i spojrzał w moją stronę. – Wysoki sędzie, proszę wybaczyć mojemu klientowi. Oczywiście, ma pan rację. I zastosujemy się

do pańskich wskazań, o ile pan Hemans zobowiąże się do tego samego.

– Pan Hemans sobie poradzi – odparł wielki adwokat, nawet nie próbując stłumić uśmiešku.

– Doskonale – powiedziałem. – To chyba wszystko.

Porywaczom zależało na czasie? Zrobiłem, co mogłem. Z nawiązką.

Kiedy wychodziłem z sali, wszyscy milczeli. Gdy tylko zamknąłem za sobą drzwi, zaczęli krzyczeć.



## Rozdział 33

Na resztę dnia zakopałem się w papierkowej robocie. Sądy federalne generują dokumenty z prędkością dźwięku, ale akurat dzisiaj pomogło mi to uniknąć rozmów z ludźmi.

Po południu wróciłem na emocjonalne pole minowe, jakim stał się mój dom. Odbyłem krótką rozmowę z Alison, żeby się dowiedzieć, jak minął jej dzień z Samem. Z jej punktu widzenia mogło to przypominać wywiad lekarski, bo pytałem, jak ona się czuje, jak czuje się Sam i jak spędzili razem czas, ale kiedy tylko zniknęła mi z oczu, poszedłem pogadać z Samem, żeby zweryfikować jej relację. Przynajmniej w kwestii planu dnia ich zeznania były ze sobą zgodne.

Po milczącej i pełnej napięcia kolacji, przy stole z pustym miejscem, na które nie miałem odwagi spojrzeć, zasnąłem przed telewizorem. Nie doczekałem nawet, aż Sam położy się do łóżka – byłem zbyt zmęczony po kilku nocach przerywanego snu albo wręcz bezsenności.

W pewnym momencie obudziłem się i przeniósłem do sypialni dla gości. Nazajutrz nie rozmawialiśmy o tym z Alison.

Jechałem do pracy, spodziewając się spokojnego dnia, ale nadzieja ta pierzchła, gdy tylko w moim polu widzenia pojawił się gmach Sądu imienia Waltera E. Hoffmana.

Wzdłuż krawężnika przed głównym wejściem ustawił się sznur wozów transmisyjnych z logo lokalnych oddziałów stacji ABC, CBS, NBC i Fox. Na chodniku instalowały się ekipy kamerzystów. Ewidentnie nie był to dzień jak co dzień.

Skręciłem na parking dla sędziów mieszczący się za rogiem budynku. Wysiadłem szybko z samochodu. Byłem zaniepokojony, choć właściwie nie wiedziałem, czy mam ku temu powód.

- Co się tam dzieje? – zapytałem Bena Gardnera, mijając stanowisko ochrony.
- Konferencja prasowa – odparł Ben.
- Kto ją zwołał?
- Nasz czcigodny kongresmen Jacobs.

Moje ciało odruchowo zeszytywniało. Gardner marudził, że nikt ich nie uprzedził, przez co brakowało im ludzi do ogarnięcia zamętu przed budynkiem sądu.

- Wiadomo, czego ma dotyczyć? – spytałem, siląc się na niezobowiązujący ton.
- Kto go tam wie? Może brakowało mu blasku fleszy? Wie sędzia, jacy są politycy. Słyszałem tylko, że ma się zacząć o dziewiątej. Mam nadzieję, że potrwa do dziewiątej dwie.

Spróbowałem się uśmiechnąć, ale wyglądało to pewnie bardziej na grymas niezadowolenia niż na uśmiech. Ruszyłem szybko schodami na górę. Na ścianie w naszej kuchni mieliśmy zamontowany mały telewizor. Przełączałem kanały, aż znalazłem CBS, gdzie właśnie nadawano poranny serwis informacyjny.

Była dopiero za kwadrans dziewiąta. Rudowłosa prezenterka mówiła o wyżu barycznym. Wyjąłem telefon i przeszukałem Google'a, wpisując w wyszukiwarce frazę: „sędzia Scott Sampson kongresmen Michael Jacobs”. Nie znalazłem żadnego aktualnego linku.

O pełnej godzinie CBS uruchomiło bezpośrednią relację sprzed budynku sądu. Niedługo potem na ekranie pojawiła się łysa, jajowata głowa Michaela Jacobsa. Stał z nachmurzoną miną za przenośnym podium zasłoniętym przez mikrofony z nazwami stacji. Krótkie rękawy jego koszulki polo odsłaniały przedramiona ozdobione tatuażami, jakie nosili żołnierze marines. Doradcy pewnie kazali mu pokazywać je przy każdej okazji z myślą o mieszkających w jego okręgu wyborczym byłych i obecnych wojskowych.

– Dzień dobry. Dziękuję wszystkim za przybycie – powiedział burkliwym głosem sierżanta prowadzącego musztrę. – W miniony czwartek na tutejszej sali sądowej doszło do kpiny z prawa. Wieloletni handlarz narkotyków Rayshaun Skavron, który przyznał się do winy i powinien trafić do więzienia na co najmniej piętnaście lat, został wypuszczony na wolność. Nie mówimy tu o pospolitym dilerze, ale o prawdziwym zagrożeniu dla lokalnej społeczności, pasożycie, którego pogarda dla prawa doprowadziła do śmierci wspaniałego młodego człowieka, Dylana Byrda.

Na ekranie momentalnie pojawiło się zdjęcie Dylana. Skręciło mnie w żołądku na wspomnienie słów jego ojca: „Tak bardzo za nim tęsknię. Ból jest nieznośny i nieustający. Czy wysoki sąd może to sobie wyobrazić?”.

Ale byłem też zniesmaczony postawą Jacobsa i jego żądnych krwi podwładnych. Ewidentnie rozesłali to zdjęcie do wszystkich stacji telewizyjnych, które zgodziły się pokazać je dopiero w trakcie konferencji prasowej. Miałem do czynienia z perfekcyjnie wyreżyserowanym wydarzeniem politycznym, pokazującym urzędnika państwowego walczącego o sprawiedliwość dla jednego ze swych wyborców, skrzywdzonego przez oderwanego od rzeczywistości, nieodpowiedzialnego sędziego federalnego. Operacja była starannie zaplanowana i przeprowadzona tak, aby w maksymalnym stopniu wykorzystać drzemiący w tej sytuacji potencjał do wpłynięcia na szykujący się do wyborów elektorat. Kongresmen Jacobs przedstawił właśnie silne argumenty za tym, żeby utrzymać go na stanowisku.

Rozpoznałem wszystkie te triki, bo wielokrotnie widziałem je, stojąc po drugiej stronie barykady.

– Sędzia, który wydał ten werdykt, nazywa się Scott Sampson – ciągnął Jacobs, a twarz Dylana zastąpił na ekranie mój oficjalny portret. – Podatnicy zatrudnili go po to, żeby zamykał ludzi pokroju Rayshauna Skavrona w więzieniu. Tymczasem sędzia Sampson wypuścił go z powrotem na drogę do naszych osiedli i naszych szkół, gdzie Skavron będzie mógł dalej wyrządzać szkodę naszym dzieciom i innym bezbronnym obywatelom.

Kamera pokazała front budynku sądu, ale tym razem w szerszym ujęciu niż wcześniej. Thomas Byrd, zboląły ojciec, stał w strategicznym miejscu tuż za prawym barkiem Jacobsa.

Kongresmen zatoczył ręką szeroki łuk.

– Nie mam pojęcia, dlaczego sędzia Sampson zdecydował się na taki krok. Musicie zapytać go osobiście. Z pewnością warto jest przyjrzeć się sprawie, w której wysoki rangą członek kartelu narkotykowego zostaje wypuszczony na wolność. Chyba wszyscy wiemy, jak działa wymiar sprawiedliwości w Meksyku. Ze swojej strony kategorycznie sprzeciwiam się importowaniu meksykańskich standardów tutaj, do Stanów

Zjednoczonych Ameryki.

Zacisnąłem pięści. Jacobs zasugerował właśnie wszem wobec, że jestem skorumpowany, ale zrobił to w tak ogólnych słowach, żebym nie mógł oskarżyć go o pomówienie. Do tego udało mu się awansować Rayshauna Skavrona z ulicznego śmiecia na drugie wcielenie narkotykowego bossa El Chapo.

Na koniec swojej tyrady na mój temat Jacobs dokonał prezentacji Thomasa Byrda. Ojciec ofiary Skavrona przedstawił nieco bardziej wygładzoną wersję swoich słów z sali sądowej, trochę mniejszy nacisk kładąc na winę swojego syna, a więcej uwagi poświęcając swemu oburzeniu z powodu mojej decyzji; nawet jeśli przekaz stał się przez to mniej emocjonalny, to tylko w niewielkim stopniu. Jego ból był nadal szczery.

W trakcie trwania konferencji zadzwoniła do mnie Alison, której ktoś musiał zwrócić uwagę na to, co się działo. Wyłączyłem dźwięk w telefonie i odczekałem, aż odezwie się poczta głosowa.

Pod koniec swojej wypowiedzi Byrd się rozpląkał, ale wcześniej zdążył wyrzucić z siebie co najmniej pięć doskonałych, ociekających emocjami sloganów, których obecność we wszystkich serwisach informacyjnych przez resztę dnia była gwarantowana. Jacobs zręcznie podał mu chusteczkę, co samo w sobie było mistrzowskim zagranem scenicznym, które kamerzyści ochoczo uwiecznili. Na koniec przytulił go i poklepał po plecach.

Wróciwszy na podium, Jacobs przeszedł do kulminacji.

– Biuro prokuratora zapewniło mnie, że podejmie wszelkie dostępne kroki prawne, żeby odwołać się od tego skandalicznego wyroku i zamknąć oskarżonego w więzieniu, gdzie jego miejsce – powiedział. – Ale to nie wszystko. Nie możemy pozwolić, by sędzia, który wydał ów werdykt, nadal zasiadał w sądzie. Zaniósłem już swoją skargę do właściwego organu, ale prezes sądu okręgowego powiedział mi, że orzeczenie było, cytuję: „sprawą sumienia sędziego Sampsona”, i że w związku z tym nie zamierza on podejmować wobec niego kroków dyscyplinarnych.

Po tych słowach Jacobs uniósł wysoko brwi, jakby chciał powiedzieć: nie do wiary, co? Nagle całą moją wdzięczność wobec Jeba Byersa za to, że stanął w mojej obronie, zastąpiła ślepa nienawiść do kongresmena.

– Nie mam zatem wyboru i niniejszym zwracam się z publicznym apelem do sędziego Sampsona, aby podał się do dymisji. Jeśli tego nie zrobi, wezwę mojego przyjaciela, kongresmena Neala Keeseego, przewodniczącego Komisji Sprawiedliwości, do rozpoczęcia procedury usunięcia sędziego ze stanowiska. – Pozwolił wybrzmieć ostatnim słowom, po czym dodał: – Pan Byrd i ja odpowiemy teraz na państwa pytania.

Wyłączyłem telewizor, bo miałem już dość spektaklu Michaela Jacobsa. W pewnym sensie nie martwiły mnie ani jego słowa, ani nic, co był mi w stanie zrobić w krótkiej perspektywie czasowej. Procedura impeachmentu mogłaby się zacząć najwcześniej za kilka miesięcy.

Miałem bardziej palący problem. Wiedziałem, że cała horda dziennikarzy zacznie patrzeć mi na ręce i pytać, dlaczego sędzia Scott Sampson wydał tak niezrozumiały werdykt.

Gdyby poznali prawdę, moja kariera byłaby uratowana.

Dla mojej córki oznaczałoby to wyrok śmierci.

Pierwszy telefon z prośbą o komentarz pani Smith odebrała dwadzieścia minut później. Powiedziałem jej, że nie chcę z nikim rozmawiać. Z czasem napływały kolejne.

Konferencja prasowa dobiegła końca. Przez okno widziałem, że kilka ekip telewizyjnych ustawia się na chodniku przy parkingu dla sędziów. Wiedziałem doskonale, na jakie ujęcie zamierzali polować: ja, wychodzący z pracy, ze skruszonym i przerażonym wyrazem twarzy, a wokół mnie chmara dziennikarzy, którzy chcą usłyszeć „moją wersję wydarzeń”.

Nie zamierzałem dać im tej satysfakcji. Mogłem ich wszystkich przeczekać. W razie potrzeby mogłem zostać w budynku sądu nawet przez pół nocy.

Nie mogłem natomiast wymigać się od rozmowy telefonicznej z Jebem Byersem, który zadzwonił niedługo po konferencji. Nie zdążyłem nawet zarejestrować swojego przyspieszonego tętna, kiedy w słuchawce zabrzmiał głos prezesa sądu.

Nie tracił czasu na uprzejmości i od razu zapytał:

– Widziałeś spektakl przed twoim sądem, prawda?

– Niestety tak.

– Chciałbym móc powiedzieć, że byłem zaskoczony, ale tak nie było.

W poniedziałek rozmawiałem z Keeseem i zapewniłem go, że nie sądzę, by za twoim werdyktem kryło się coś podejrzanego. Keesee dał mi do zrozumienia, że jego zdaniem Jacobs nie ustąpi.

– I jak widać, miał rację – odparłem i dodałem: – Dziękuję za kredyt zaufania, Jeb. Naprawdę go doceniam.

– Nie ma za co. Muszę przyznać, że nie rozumiem twojej decyzji, ale będę zaciekle bronił twojej niezależności. Nie pozwolę, by któryś z moich sędziów padł ofiarą nagonki, szczególnie ze strony trzeciorzędnego prawnika, który chce tylko wywołać kontrowersję i zaistnieć w telewizji.

– Amen.

– Ale musisz wiedzieć – dodał, przybierając poważniejszy ton – że dziennikarze będą mocno węszyć.

Na to nie musiał mnie wyczulać.

– Nie wątpię – odparłem.

– Radziłbym ci wydać oficjalne oświadczenie. Sprawa jest już w sferze publicznej. Jeśli tego rodzaju wystąpienie nie spotka się z reakcją, wymiar sprawiedliwości zostanie postawiony w niekorzystnym świetle. Nie lubię, jak ludzie szargają nasze imię. Nie lubię, kiedy ludzie oskarżają nas, że chowamy się za sędziowskim immunitetem.

Kręciłem głową, mimo że Jeb nie mógł tego widzieć.

– Z całym szacunkiem, to chyba nie jest najlepszy pomysł. Jeszcze kiedy pracowałem dla senatora Franklina, miałem czasem do czynienia z mediami i wiem, że dziennikarze są jak pasożyty: im dłużej się je karmi, tym bardziej stają się nienasycone. Trzeba je zagłodzić, wtedy się znudzą i dadzą sobie spokój. To jedyna skuteczna metoda.

– Rozumiem twój punkt widzenia i w normalnych okolicznościach pewnie bym się z tobą zgodził, ale w tej sytuacji uważam, że powinieneś wyjść do nich z otwartą przyłbicą. Ojciec nauczył mnie wiele lat temu, że jedyna rzecz, jaką rozumie tępy osiłek,

to przemoc. Moim zdaniem musisz wydać oświadczenie, w którym odniesiesz się do sprawy Keitha Blooma.

Rozmowa pędziła ku katastrofie. Oświadczenie o Bloomie dałoby początek medialnemu śledztwu, którego bym nie przeżył. Z łatwością wyobraziłem sobie grupę dziennikarzy próbujących przeprowadzić wywiad z nieistniejącym trenerem szkolnej drużyny futbolowej. Ile czasu zajęłoby im odkrycie, że uganiają się za wytworem mojej wyobraźni?

Musiałem wybić Byersowi z głowy tę strategię i niestety był na to tylko jeden sposób: kolejne kłamstwa i zanurzenie się po uszy w już i tak mocno cuchnącym bagnie.

– Słuchaj, Jeb. Nie mogę tego zrobić Keithowi. Ma swoją karierę, rodzinę i społeczność, której służy, i pewnie wolałby, żeby ci wszyscy ludzie o jego przeszłości dowiedzieli się na jego warunkach.

Byers nie odpowiedział od razu, więc dodałem:

– To nie jest jego bitwa, tylko moja. Nie powinienem go w nią wciągać.

– Masz z nim kontakt?

– Nie, już od dawna.

– Może spróbowałbyś się do niego odezwać i uprzedzić o tym, co zamierzasz zrobić? – zaproponował Byers. – Pewnie pozwoliłby ci ujawnić jego historię. Założę się, że i tak opowiada o swoich młodzieńczych błędach chłopakom, których wziął pod swoje skrzydła. Myślę, że będzie dumny z tego, że wasza wspólna historia tak cię zainspirowała i że inni też mogą z niej skorzystać.

– No nie wiem, Jeb. Dla mnie to jednak poważne naruszenie jego prywatności. Znając Keitha – musiałem się zmusić do wypowiedzenia następujących słów – poczuje się zobowiązany do tego, żeby mi pomóc w ramach rewanżu za to, co zrobiłem, kiedy był nastolatkiem. A to nie byłoby w porządku.

– Mam znajomego w „Richmond Times-Dispatch”. Jest bardzo dobry, zawsze obiektywny. Mógłbym podsunąć mu nazwisko Blooma nieoficjalnie, żeby sam go odszukał.

Na linii zrobiło się cicho, a ja próbowałem opanować rodzącą się we mnie panikę. Dziennikarz z gazety w Richmond nie był rozwiązaniem mojego problemu, ale uosobieniem największych obaw.

Byers czekał na moją odpowiedź.

– To mi wygląda na zastępowanie sądu gazetą. Wolę przeczekać cały ten zamęt. Jeśli Kongres ustanowi specjalnego prokuratora do zbadania mojego werdyktu, niech tak będzie. Niczego nie znajdzie. Nie mam miliona dolarów na tajnym koncie w raju podatkowym.

Znowu cisza. Odniosłem wrażenie, że jestem bliski wygranej. I wtedy Byers wystrzelił:

– Myślisz, że powinieneś w tym czasie rozpatrywać sprawy?

Jako naczelny sędzia okręgu, Byers przewodniczył Komisji Sędziowskiej, która mogła wydać nakaz natychmiastowego odebrania mi wszystkich spraw na mojej wokandzie. Owszem, odbywało się to na drodze głosowania, ale Byers miał ogromny wpływ na decyzje komisji.

W momencie, w którym *Palgraff* zostałby przypisany innemu sędziemu...

Robiłem, co mogłem, żeby mój głos nie zdradził dudnienia w klatce piersiowej.

– Rozumiem twoje obawy, ale to by wyglądało na przyznanie się do winy. Nie chcę się poddawać Jacobsowi. Daję ci słowo, że całe to zamieszanie nie będzie miało wpływu na moją pracę.

Byers przez chwilę trawił moje słowa, po czym odparł:

– Dobrze. Zobaczymy, jak to się dalej rozwinie.

– To dobry plan.

– Zostańmy w kontakcie – dodał.

– Oczywiście. Dzięki za wszystko, Jeb.

Odłożyłem słuchawkę i zatopiłem twarz w dłoniach.

## Rozdział 34

Historia kongresmena na harleyu, próbującego odwołać sędziego, który padł kiedyś ofiarą zamachowca, była tak smakowitym medialnym kąskiem, że wszyscy chcieli jej skosztować.

Godziny mijały, a ja patrzyłem z przerażeniem, jak cytaty z wystąpień Jacobsa i Byrda rozprzestrzeniają się po telewizyjnych serwisach i stronach internetowych z prędkością soczystego skandalu. Znajomi ze studiów i Senatu, ludzie, z którymi od lat nie miałem żadnego kontaktu, teraz pisali do mnie e-maile i SMS-y. Jedni chcieli mnie podnieść na duchu i zapewnić o swoim wsparciu, inni pytali, jak mają reagować na pytania dziennikarzy. Senator Franklin dzwonił dwa razy.

Wszystko to trafiało na moją pocztę głosową. Nawet telefon od Alison. Zwłaszcza telefon od Alison.

Ale nie mogłem bez końca jej unikać. Za piątym czy szóstym razem w końcu odebrałem.

– Cześć – powiedziałem.

– Chryste, gdzie się podziewałeś? Czemu nie odbierasz telefonu? – zapytała piskliwym tonem.

– Byłem trochę zajęty – odparłem, może nieco zbyt oschle.

– Rozumiem, że widziałeś to... to...

– Konferencję prasową?

– Tak. O ile można to tak nazwać. Czy ten palant może tak po prostu stanąć przed kamerami i oskarżyć cię o... o...

– O korupcję? Najwyraźniej może. Jeśli się nad tym dobrze zastanowić, to jestem skorumpowany. Tylko z innych powodów, niż mu się wydaje.

– Ale czy... Naprawdę mogą cię odwołać?

– Słuchaj, zajmij się Samem. Poradzę sobie.

W tle usłyszałem nasz telefon stacjonarny.

– To pewnie kolejny dziennikarz – powiedziała Alison. – Nie przestają tu wydzwaniać. Myślałam, że nasz numer jest zastrzeżony.

– Media mają swoje sposoby.

– A adres? Zaczną nas nachodzić w domu?

– Nie sądzę. Najwyżej mogą znaleźć numer naszej skrytki pocztowej.

Po Incydencie i rozpoczęciu pracy w sądzie podjąłem kroki, z pomocą znajomego w Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego, w celu utajnienia naszego adresu domowego. Teraz miałem nadzieję, że były skuteczne. Trudno było przewidzieć reakcję porywaczy na sznur wozów transmisyjnych zajeżdżających przed nasz dom.

– Co mam zrobić, jeśli jednak ktoś się tu zjawi? – spytała Alison.

– Powiedz, że weszli na prywatny teren, i każ im spadać.

– A mógłbyś przyjechać? Czułabym się bezpieczniej.

– Mam teraz za dużo pracy – powiedziałem i wyjrzałem za okno. – Poza tym jakiś dziennikarz mógłby zacząć mnie śledzić. A może pojedź do mamy? Albo do Karen. Spakuj trochę rzeczy i wyjedź na dobę. Albo na kilka dni.

W cudzym domu znaleźliby się poza zasięgiem mediów, a ja nie musiałbym z nią rozmawiać. Poza tym w obecności rodziny Alison nie mogłaby się spotykać z Paulem Dresserem. Ani Gina, ani Karen raczej nie zgodziłyby się jej kryć.

– Może to i dobry... Cześć, kochanie – powiedziała Alison z nagłym ciepłem w głosie. – Właśnie rozmawiam z tatą.

Do pokoju musiał wejść Sam. Słyszałem jego głos, ale dochodziły do mnie tylko słowa Alison.

– Nie, nie. Wszystko w porządku.

Znów powiedział coś niewyraźnego.

– Jesteś kochany. A może zejdź na dół i włącz sobie jeszcze jeden film? Jak tylko skończę z tatą, zrobię ci hot doga.

Milczała chwilę, pewnie czekając, aż Sam wyjdzie z pokoju, i powiedziała szeptem:

– Oznajmił, że wyglądam na zdenerwowaną, i spytał, czy wszystko w porządku.

– Kocha swoją mamę – odparłem i na samą myśl o tym mocno się wzruszyłem.

W całym tym chaosie i mimo strachu, jaki musiał czuć, Sam ciągle troszczył się o swoją matkę.

Alison ciągnęła ściszonego głosem:

– Scott, ja tu wariuję. Co będzie, jak któryś z tych dziennikarzy dowie się, dlaczego faktycznie wydałeś ten wyrok?

– Nikt się nie dowie. Tylko porywacze o tym wiedzą, a oni raczej nie planują konferencji prasowej.

– A jeśli ktoś pojedzie do naszej szkoły i dowie się, że nasze dzieci przestały przychodzić na lekcje? Albo któraś z moich sióstr, przyparta do muru, zacznie cię bronić?

– Chryste. Musisz im powiedzieć, że nie wolno im z nikim rozmawiać. To absolutnie konieczne, jeśli...

– Wiem, wiem. Chodzi mi o to, że może się wydarzyć sto różnych rzeczy. Mam wrażenie, że powoli tracimy kontrolę.

Dopiero teraz to pomyślałaś? Miałem ochotę to wykrzyknąć, ale nic by to nie dało. Przyszła pora na brutalną szczerłość.

– Słuchaj. Wiem, że powinienem dać ci teraz wsparcie i czymś cię uspokoić, ale prawda jest taka, że nie mam czym. Masz rację. Sytuacja wymyka się spod kontroli, ale od początku nie mieliśmy zbyt wiele do powiedzenia. Nic nie m...

Chciałem powiedzieć, że nie możemy nic na to poradzić, kiedy uderzyła mnie myśl: czy Alison wpadła w panikę, że tracimy kontrolę, bo wcześniej to ona kontrolowała sytuację? Czyżby pojawiło się ryzyko wpadki, którego z Paulem nie przewidzieli? Dokończyłem zdanie, zmieniając podmiot.

– Nic nie mogę na to poradzić.

– No tak. Wiem. Dobra, zabiorę Sama do mamy. Zostaniemy tam na noc. Może jutro też.

– Dobry pomysł – odparłem. – Zadzwoń później.

– Okej. Kocham cię.

Wzięłem głęboki wdech i przypomniałem sobie, że wciąż dysponuję tylko



niepotwierdzoną teorią o roli mojej żony w porwaniu dzieci, więc powiedziałem:

– Ja ciebie też.

Jedna po drugiej ekipy telewizyjne pakowały sprzęt i odjeżdżały. Niektóre zwinęły się ledwie kwadrans po porze lunchu, inne czekały, aż wyjdę po całym dniu pracy. Ostatnie zniknęły po zachodzie słońca.

Odczekałem jeszcze godzinę, ale i tak szedłem do auta szybkim krokiem, spodziewając się w każdej chwili ataku mikrofonów i lamp błyskowych.

Nic takiego się nie stało. Wracając do domu, zadzwoniłem do Alison. Chciała, żebym zjadł z nimi kolację u jej mamy, ale odmówiłem. Powiedziałem, że wolę zachować przed porywaczami pozory normalności.

Przez dwie minuty rozmawiałem z Samem, dłużej nie dało się go utrzymać przy telefonie. Resztę drogi do domu i cały wieczór spędziłem w samotnym przygnębieniu.

Nazajutrz, przejeżdżając obok parkingu dla sędziów, zerknąłem szybko, czy nie czają się tam na mnie dziennikarze, ale nikogo nie było. Miałem nadzieję, że oznaczało to koniec afery z moim udziałem.

W biurze powiedziałem Joan Smith, że mam sporo lektur do nadrobienia i nie chcę, żeby mi przeszkadzano, chyba że chodziłoby o coś ważnego. Położyłem się na kanapie w moim gabinecie i wyjąłem z kieszeni telefon. Wydawało mi się, że spędzenie kilku minut na przeglądaniu zdjęć Emmy dobrze mi zrobi.

Chwilę potem cicho łkałem. Mój mózg nie dał się złapać na sztuczkę, na którą próbowałem go nabrać. Owszem, dziewczynka na zdjęciach była szczęśliwa, uśmiechnięta i bezpieczna. Ale ta sama dziewczynka w rzeczywistości żyła w strachu, samotności i śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Nie dawał mi spokoju fakt, że nic w tej sprawie nie robię.

Wprawdzie nadal dręczyły mnie obrazy Alison spoczywającej w objęciach Paula Dressera na plaży w Saint-Tropez, ale racjonalnie myśląca część mojego mózgu podsuwała mi Rolanda Hemansa jako bardziej prawdopodobnego podejrzanego.

ApotheGen i tak prędzej czy później wprowadziłby prevalię na rynek i Dresserowi nie groziła utrata pracy, bez względu na to, czy Denny Palgraff otrzyma zadośćuczynienie, czy nie. W przypadku wygranej firma zarobiłaby więcej, to fakt, ale tak czy siak mogła się spodziewać zysków i solidnej pozycji na giełdzie.

Dla Hemansa i Palgraffa gra toczyła się o wszystko.

Palgraff nie wyglądał mi na sprawcę, zwłaszcza odkąd poznałem go osobiście. Jego arogancja dawała mu pewność, że wygra proces tylko dlatego, że racja jest po jego stronie. W dodatku na pewno zależało mu na tym, żeby sprawa trafiła na salę sądową, bo oprócz pieniędzy liczył na publiczne potwierdzenie swego geniuszu i uznanie za zasługi w odkryciu inhibitora PCSK9, które zmieniło podejście do leczenia chorób serca na całym świecie.

Dla Hemansa to wszystko było bez znaczenia. Wiedział, że staje do walki przeciwko niemożliwej do pokonania prawniczej armadzie, więc jedynym sposobem na zagwarantowanie sobie wypłaty życia było skorumpowanie sędziego.

Śledzenie go mogło doprowadzić do katastrofy. Wiedział już, jak wyglądam. Po wtorkowej burzy medialnej co drugi mieszkaniec Hampton Roads wiedział, jak

wyglądam. Nie mogłem się wychylać. Poza tym, jak słusznie zauważyła Alison, nie byłem wyszkolony w sztuce detektywistycznej.

Zupełnie nie mogłem zrozumieć, dlaczego tyle czasu zajęło mi wpadnięcie na pomysł, że przecież mogłem zatrudnić zawodowego detektywa.

## Rozdział 35

Nazywał się Herbert Thrift i prowadził firmę Herbert Thrift i Wspólnicy.

Wybrałem ją z książki telefonicznej nie dlatego, że w ogłoszeniu Thrift chwalił się dwudziestopięcioletnim doświadczeniem w Biurze Szeryfa Hrabstwa Gloucester, ani nie dlatego, że obiecywał rozsądne stawki. Przemówił do mnie fakt, iż ze wszystkich przymiotników użytych do opisania firmy słowo „dyskretni” wydrukowane było największymi literami.

Pierwszy wolny termin na spotkanie miał w czwartek o dwunastej. Jego biuro mieściło się przy Northampton Boulevard, jakieś dziesięć minut drogi od gmachu sądu, w jednym z kilku nieco podupadłych kolonialnych budynków górujących nad okolicą zdominowaną przez domy jednorodzinne.

Wchodząc po schodach do głównego wejścia, odniosłem wrażenie, że na piętrze zapewne wciąż znajdują się pokoje mieszkalne. Była to nie tylko siedziba agencji Herbert Thrift i Wspólnicy, ale i prywatny dom Herberta Thrifta.

Drzwi zabrzęczały i wszedłem do holu. Usłyszałem męski głos dobiegający z któregoś z pokoiów:

– Proszę wejść. Jestem tutaj.

Tak też zrobiłem i chwilę później ścisnąłem dłoń szczupłego, siwiejącego, około pięćdziesięcioletniego mężczyzny w okularach, który, sądząc po zapachu jego ubrań, do dziś nie pogodził się z zakazem palenia w miejscach publicznych.

– Herb Thrift – przedstawił się łagodnym, trochę wysokim tonem.

– Carter Ross – powiedziałem.

Użyłem nazwiska z książki, którą lubię.

– Proszę usiąść. W czym mogę panu pomóc, panie Ross?

– Od razu powiem, że nie nazywam się Carter Ross. Czy to dla pana problem?

Gdyby powiedział, że tak, wyszedłbym i znalazł innego detektywa, zanim on dokończyłby papierosa. Ale Thrift nie zareagował.

– Bez różnicy – odparł. – Wielu moich klientów rozpoczyna współpracę w podobny sposób. Większość w końcu zaczyna mi ufać, kiedy tylko staje się dla nich jasne, jak poważnie traktuję ich prywatność. O ile tylko zapłaci mi pan z góry, może pan używać dowolnego nazwiska.

Mówił szybko, z jego głosu biła pewność siebie i kompetencja. Poczuliśmy, że dokonałem właściwego wyboru.

– Jasne, rozumiem – powiedziałem.

– No więc w czym mogę panu pomóc, panie Jak Panu Wygodniej?

– Chciałbym, żeby śledził pan adwokata Rolanda Hemansa. Zna go pan?

Herbert pokręcił głową.

– Pracowałem dla wielu adwokatów, ale dla niego nie.

Nie zdziwiło mnie to. Prawnicy patentowi rzadko kiedy korzystają z usług detektywów.

– Ma pan jego zdjęcie? – zapytał Thrift.

– Znajdzie go pan w internecie. Google wypłuje artykuł w tygodniku branżowym.

Jest tam fotografia.

Thrift zaczął stukać w klawiaturę.

– Dlaczego chce go pan śledzić?

– A czy mogę tego nie zdradzać?

– Oczywiście – odparł. – Czasem po prostu lepiej jest wiedzieć, co się robi. Na przykład jeśli podejrzewa go pan o sypianie z pańską żoną, a on nagle...

– Nie chodzi o niewierność. Chociaż... Jestem prawie pewien, że Hemans zdradza swoją żonę, ale nie z moją. Jego życie seksualne mnie nie interesuje.

– No dobrze. Czyli chce pan... – W tym momencie na ekranie jego komputera musiał wyświetlić się artykuł ze zdjęciem, bo Thrift przerwał i zawołał: – O rety! Trochę mu się urosło.

– Na oko ma jakieś dwa metry – powiedziałem.

– No to nie będę miał wymówki, jak go zgubię – zażartował Thrift i szeroko się uśmiechnął, ale ja pozostałem niewzruszony. – Jak intensywnie mam go śledzić? – zapytał.

– A da pan radę przez całą dobę?

– Oczywiście. Jeśli faktycznie pan tego chce. Ale od razu panu powiem, że szkoda pieniędzy. Większość ludzi nie...

– Nie martwię się o pieniądze – zapewniłem go. – Bardziej mnie interesuje to, czy zrobi pan to tak, żeby Hemans się nie zorientował.

– Na tym polega moja praca.

– Mówię serio. Nie jestem w stanie panu wytłumaczyć, dlaczego i jak bardzo to dla mnie ważne, żeby Hemans pana nie namierzył. Nie może się dowiedzieć, że ktoś go obserwuje.

– Rozumiem.

– I da pan radę śledzić go przez całą dobę?

– Tak jest. Nie mam żony, więc nikt na mnie nie czeka wieczorem z kolacją. Większość pracy wykonuję sam. Na noc pewnie wynajmę podwykonawców.

– Mowa o wspólnikach z nazwy pańskiej agencji?

– Zgadza się. Mam tylko kilku, ale im ufam. Są naprawdę dobrzy.

Usiadł wygodniej i skrzyżował nogi, opierając kostkę na kolanie. Na stopach miał mocno wysłużone mokasyny z wieloma kilometrami na liczniku.

– No dobrze, to jak to działa? – spytałem.

– Płaci mi pan z góry za ustaloną ilość pracy. Potem pan jest szefem i decyduje, co dalej. Od siebie proszę tylko o podpisanie standardowego oświadczenia, w którym zrzeka się pan prawa do zwrotu pieniędzy i akceptuje warunki współpracy.

– Nie ma sprawy. I co się dzieje potem?

– Jeśli zauważę jakieś konkretne zachowanie albo jeśli obiekt spotyka się z konkretną osobą, mogę się z panem skontaktować od razu. A jeśli zależy panu na bardziej ogólnej obserwacji, to na koniec pracy sporządzam raport. Dowie się pan z niego, jakie miejsca odwiedził obiekt, co tam robił i z kim się spotkał. Naturalnie będę też robił zdjęcia, ale tutaj są już pewne ograniczenia. Jeśli obiekt wejdzie do domu albo biura, sfotografuję tylko to, co uchwyci mój teleobiektyw.

– I będzie pan w stanie śledzić jego samochód, tak? Jeśli okaże się, że jeździ często w jakieś jedno miejsce – na przykład do domu, w którym jest więziona Emma, pomyślałem – to da mi pan o tym znać?

– Na tym to polega.

– Doskonale. Kiedy może pan zacząć?

– W każdej chwili.

Spodobała mi się ta odpowiedź.

– Ile to kosztuje?

– Moja stawka to siedemdziesiąt pięć za godzinę plus wydatki. Jeśli naprawdę chce pan obserwacji całodobowej, to będzie tysiąc osiemset za dzień.

Pewnie myślał, że się zniechęcę i zacznę wycofywać, ale ja odparłem:

– Świetnie. Jest czwartek, godzina – spojrzałem na zegarek – dwunasta trzynaście. Jeśli o mnie chodzi, to płacę od momentu, kiedy przekroczyłem pański próg. Co pan powie na spotkanie w poniedziałek o tej samej porze?

Miałbym dane o Rolandzie Hemansie z dwóch dni roboczych i całego weekendu. Sądziłem, że to wystarczy, żeby go przyłapać.

– Okej – powiedział Thrift.

– Czyli cztery dni całodobowej obserwacji, co daje razem...

Zrobiłem pauzę, żeby policzyć, ale on zrobił to za mnie:

– Siedem tysięcy dwieście.

– Zgadza się. Siedem tysięcy dwieście. Mogę zapłacić gotówką?

Thrift się uśmiechnął.

– Skoro nie podaje mi pan swojego prawdziwego nazwiska, to nie mamy wyboru.

– I bardzo dobrze – powiedziałem. – Skoczę tylko do banku. Będę za pół godziny.

Okazało się, że potrzebowałem mniej, bo znalazłem oddział mojego banku zaledwie pięć minut drogi od biura Thrifta. Na rachunku bieżącym trzymaliśmy jakieś piętnaście tysięcy, więc dwadzieścia minut później wróciłem z siedemdziesięcioma dwoma nowiutkimi banknotami studolarowymi. Plik był zaskakująco cienki.

Herbert Thrift dał mi do podpisania umowę, jednostronicowy dokument, którego „Carter Ross” nawet nie przeczytał.

Potem ja mu zapłaciłem. Być może wyrzuciłem pieniądze w błoto, ale zarazem miałem wrażenie, że robię coś dla Emmy, a dzięki temu poczułem znów jej bliskość.

To wrażenie było warte każdych pieniędzy.

Wracałem właśnie do centrum Norfolk, spowalniany resztkami wczesnopopołudniowych korków, kiedy zadzwonił mój telefon.

Wyświetlacz pokazał mi imię Alison. Rozmawialiśmy raz we wtorek wieczorem, kiedy zadzwoniłem powiedzieć jej, że spędzę noc w domu, i raz w środę po południu – Alison chciała mi dać znać, że zostanie u mamy jeszcze jedną dobę. Obydwie rozmowy były krótkie.

– Cześć – powiedziałem.

– Cześć. Jesteś sam? Masz chwilę?

Stała na dworze, niedaleko jezdni. Mówiła głośno, żeby przebić się przez szum ulicy.

– Tak, właśnie kończę przerwę na lunch – powiedziałem, co z technicznego punktu widzenia było prawdą.

– Wróciliśmy z Samem do domu. Za framugę była zatknęta wizytówka jakiegoś gliniarza.

– Gliniarza? – powtórzyłem.

– Detektywa z biura szeryfa w Gloucester. Napisał na odwrocie: „Proszę o telefon”.

– Chryste – odparłem, bo nic sensownego nie przyszło mi do głowy.

– Co się dzieje?

– Nie mam pojęcia.

I naprawdę nie miałem. Czyżby kongresmen Jacobs przekonał kogoś, że należy mnie aresztować? Może chodziło o to, że mój szwagier postrzelił kogoś przed naszym domem? A może miało to związek z Emmą? Trudno było się domyślić, tyle się ostatnio działo.

– Możesz do niego zadzwonić? – spytała Alison. – To twój rewir, nie mój.

– Jasne – odparłem.

Zjechałem na pobocze, żeby zanotować numer Harolda Curry’ego, detektywa w stopniu sierżanta z Biura Szeryfa Hrabstwa Gloucester. Na koniec Alison powiedziała, że wraca do swojej matki.

Nie musiała mówić na głos tego, o czym oboje myśleliśmy. Instrukcje od porywaczy były jasne: nic nie robić, z nikim nie rozmawiać.

W dodatku wiedzieliśmy, że jesteśmy obserwowani.

Co ci ludzie sobie pomyśleli na widok detektywa Harolda Curry’ego zatykającego swoją wizytówkę za framugę naszych drzwi? Nawet jeśli przyjechał nieoznakowanym wozem i ubrany był po cywilnemu, to i tak go zobaczyli i pewnie zorientowali się, kim jest. Policjanci nie są zbyt subtelni.

Wybrałem numer Curry’ego i po dwóch sygnałach usłyszałem jego głos.

– Sierżant Curry – powiedział szybko.

– Halo, tu sędzia Scott Sampson. Zostawił pan u mnie wizytówkę? – Nie zahałem się użyć słowa „sędzia”. Uznałem, że od razu zagram mocną kartą.

– Ach, tak. Witam, panie sędzio. Dziękuję, że pan dzwoni.

– Nie ma za co. W czym mogę panu pomóc?

– Jest pan w domu? Mógłbym wpaść na dziesięć, piętnaście minut?

– Nie – odparłem. – Jestem w pracy. Moja żona powiedziała mi o pańskiej wizytówce.

– Aha, rozumiem. W takim razie czy moglibyśmy się spotkać dziś wieczorem?

– A o co chodzi?

– Prawdopodobnie o nic. Po prostu sprawdzam pewien trop.

– Jaki trop?

– Wolałbym powiedzieć panu osobiście – urwał Curry. – Szybko sobie wszystko wyjaśnimy. Znajdzie pan dla mnie dziesięć minut po pracy?

– Mamy już plany na wieczór.

– To może jutro rano? Zaczynam zmianę o szóstej. Mógłbym podjechać, zanim

wyjdzie pan do pracy.

– To kiepski pomysł – powiedziałem. – O co chodzi, proszę mi powiedzieć.

Curry na chwilę zamilkł.

– Obawiam się, że muszę przeszukać pański dom.

– A to niby z jakiej racji?

Usłyszałem westchnięcie.

– Nie mogę powiedzieć.

– W takim razie ja nie mogę pana wpuścić do domu.

– Panie sędzio, bardzo mi przykro, naprawdę. Ale byłoby mi dużo łatwiej, gdybym mógł liczyć na pańską współpracę.

– Nie może pan na nią liczyć.

Znów zapadła cisza.

– Jeśli będzie trzeba, zdobędę nakaz.

Nawet jako sędzia federalny byłem bezradny wobec nakazu przeszukania domu. Szeryfowi do wszczęcia postępowania wystarczały uzasadnione podstawy, a te definiowano jako racjonalne przesłanki, by sądzić, że mogło dojść do przestępstwa. To wyjątkowo nisko zawieszona poprzeczka. Sam naprawdę uważa, że raz do roku Święty Mikołaj wchodzi do nas przez komin. Funkcjonariusze biura szeryfa bywają równie naiwni.

– Wygląda na to, że nie mamy o czym dłużej rozmawiać – rzuciłem i zakończyłem połączenie.

Znów ruszyłem w drogę i zadzwoniłem do pani Smith. Powiedziałem jej, że czuję nadchodzące przeziębienie, w związku z czym nie wrócę już do biura.

Nie miałem wątpliwości, że Curry dostanie nakaz. Musiałem wrócić do domu i nadać komunikat do porywaczy, zanim sierżant się tam pojawi.

Jechałem dużo szybciej, niż pozwalały przepisy, i w myślach układałem wymówki o kryzysowej sytuacji w sądzie, na wypadek gdybym został zatrzymany przez policję. Po dotarciu na miejsce od razu poszedłem do szafy, w której trzymaliśmy przybory do rysowania. Szybko znalazłem dwie najpotrzebniejsze rzeczy: kilka dużych arkuszy papieru plakatowego i gruby, czarny flamaster. Taki, którego linię widać z dużej odległości.

Na jednym arkuszu napisałem: Z NIKIM NIE ROZMAWIALIŚMY. Na drugim: NAKAZ SĄDOWY. NIE MIAŁEM WYBORU.

Możliwe, że nie miało to znaczenia, ale chciałem dać porywaczom jasno do zrozumienia, że wizyta sierżanta Curry'ego była nieproszona. Zrobiłem jeszcze trzy egzemplarze tego samego komunikatu i zawiesiłem je wszystkie z czterech stron domu.

Potem poszedłem przed dom, żeby sprawdzić, czy nie ma tam jakichś dowodów rzeczowych, które powinienem ukryć.

Trzy dni po tym, jak Bobby Rowe wykrwawiał się na moim trawniku, nie było po tym zdarzeniu najmniejszego śladu. Żadnych plam czy odcisków na iglastej ściółce. Wreszcie usiadłem na werandzie i z rosnącym niepokojem czekałem na policję.

Myślałem o Emmie. I o jej palcach.

## Rozdział 36

Starszy z braci zauważył coś dziwnego, kiedy spojrzął na ekran w drodze do łazienki. Teraz stał tuż przed monitorem i wpatrywał się w piksele, ale wciąż nie był pewien, na co patrzy.

Od frontu pojawiły się na domu sędziego dwa prostokątne arkusze papieru. Obraz z innych kamer pokazywał podobne dekoracje na pozostałych ścianach.

Był to pierwszy godny odnotowania fakt od poniedziałku, kiedy szwagier sędziego postrzelił chłopaka, który miał dostarczyć kopertę. Ale tamto zdarzenie było przynajmniej możliwe do przewidzenia, bo już dwie noce wcześniej bracia widzieli, że ktoś pilnuje nocą terenu wokół domu.

Ale to było zaskakujące.

– Ej, chodź tutaj! – zawołał starszy brat.

Młodszy przyszedł z kuchni i stanął w progu.

– Co jest?

– Spójrz – powiedział starszy i pokazał na ekran. – Widzisz, co tam jest napisane?

Młodszy brat usiadł i nacisnął przycisk ze znaczkiem, który wyglądał jak lupa.

Kamera wykonała zbliżenie na arkusze papieru.

– „Z nikim nie rozmawialiśmy. Nakaz sądowy. Nie miałem wyboru” – przeczytał po angielsku, po czym znów przeszedł na swój ojczysty język. – Co to znaczy?

– Nie wiem. Coś się musiało stać. Możesz przewinąć do tyłu?

– Który kadr?

– Wszystkie trzy.

Młodszy brat przewijał obraz, aż na ekranie pojawił się lincoln SUV z kobietą za kierownicą.

– Zatrzymaj – powiedział starszy z braci.

Patrzyli, jak kobieta wysiada z auta i wchodzi na werandę z dwiema torbami przerzuconymi przez ramię. Za nią szedł chłopiec, który do niedawna był ich więźniem. Kiedy podeszła do drzwi, wyjęła ze szpary kawałek papieru i przeczytała zapisaną na nim wiadomość. Natychmiast zawróciła do samochodu i odjechała.

– Przewiń dalej – powiedział starszy brat. – Chcę zobaczyć, kto zostawił ten liścik.

Po chwili na monitorze pojawił się kolejny samochód.

– Okej, puść od tego momentu – powiedział starszy. – Pokaż środkowy kadr.

Samochód miał dwie rury wydechowe. To oznaczało policję. Wsiadł z niego łysy, czarnoskóry mężczyzna. Miał na sobie marynarkę i luźne spodnie z kantem. Nie było widać odznaki, ale obaj bracia potrafili rozpoznać detektywa.

Mężczyzna podeszedł do drzwi i użył dzwonka. Nikt mu nie otworzył, więc powoli obszedł dom dookoła, zaglądając do okien. Wreszcie wrócił na werandę, wyjął z kieszeni wizytówkę i coś na niej napisał.

– Co myślisz? – zapytał starszy brat.

– Nie wiem. Dzwonimy?

– Nie mamy wyboru – odparł starszy i podniósł słuchawkę telefonu stacjonarnego. Kiedy skończył relacjonować wydarzenia sprzed domu sędziego, głos stwierdził



stanowczo:

- To wymaga reakcji.
- Jakiej?
- Na pewno coś wymyślicie.
- A co z kobietą? Zabroniła nam krzywdzić dziewczynkę.
- Kobietą się nie przejmujcie – powiedział głos. – Ja się nią zajmę. Róbcie, co trzeba.

## Rozdział 37

Wystawiłem plansze na godzinę. Uznałem, że przez ten czas porywacze zdążą odczytać moją wiadomość.

Potem je zdjąłem, bo nie chciałem, żeby detektyw nabrał podejrzeń.

Jakąś godzinę później, około wpół do piątej, usłyszałem odgłos zbliżającego się samochodu.

Auta były dwa: radiowóz kierowany przez umundurowanego, napakowanego policjanta z twarzą dziecka, który mógł mieć najwyżej dwadzieścia parę lat, i nieoznakowany ford taurus z czarnoskórym kierowcą z ogoloną głową. Domyśliłem się, że to sierżant Curry.

Kiedy mężczyźni wysiedli ze swoich samochodów, zszedłem po schodkach werandy, żeby ich przywitać. Nie był to bynajmniej przyjazny gest. Chciałem, żeby jak najszybciej zniknęli z mojej posesji.

– Macie nakaz? – spytałem Curry'ego.

Sięgnął na przedni fotel i podał mi kopertę.

Nakaz rewizji musi bardzo precyzyjnie określać, czego służby szukają i które miejsca mają prawo sprawdzić. W przeciwnym razie obrońcy umieją przekonać sędziów takich jak ja, że dowody zebrane w trakcie niechlujnego przeszukania powinny zostać wykluczone z rozprawy. Czwarta poprawka do konstytucji, która chroni obywateli przed bezprawnymi rewizjami i zajęciami mienia, liczy sobie zaledwie pięćdziesiąt cztery słowa i mieści się na serwetce, ale komentarze prawne, które jej dotyczą, mogłyby zapełnić lotniskowiec.

Nakaz, który właśnie trzymałem w rękach, był sporządzony dość starannie. Dawał detektywowi prawo przeszukania „głównego budynku wraz z innymi zabudowaniami, tymczasowymi bądź stałymi, zamkniętymi bądź otwartymi” na moim terenie, który został w dokumencie zdefiniowany nie adresem, ale wymiarami działki podanymi przez rzeczoznawcę.

Zaskoczył mnie natomiast cel przeszukania.

– „Dowody porwania”? – zapytałem. – Podejrzewacie, że kogoś porwałem?

– Gdyby tylko pozwolił nam sędzia przeszukać dom i mieć to już za sobą – powiedział Curry tonem, w którym słychać było przede wszystkim zmęczenie.

– Proszę bardzo – odparłem ze świadomością, że nie mam wyboru.

Zaprowadziłem ich po schodach na werandę i otworzyłem drzwi. Curry wszedł pierwszy, napakowany chłopak za nim.

Detektyw rozejrzał się pobieżnie po pokojach na parterze, po czym zszedł do piwnicy i spędził tam ponad minutę. Kiedy wszedł z powrotem na górę, zapytał:

– Jest tu strych?

Zaprowadziłem go do miejsca, gdzie zwiisał sznurek służący do ściągania rozkładanej drabiny.

– Może pan wejść – powiedziałem.

Wdrapał się do połowy schodów, wetknął głowę przez właz, rozejrzał się i po chwili zszedł.

– Dobrze, to wszystko – stwierdził. – Przepraszam za kłopot.

Kompletnie mnie tym zaskoczył.

– Czy może mi pan powiedzieć, o co chodzi?

– Zna sędziego niejakiego Davida Montgomery’ego? Davida J. Montgomery’ego?

– spytał Curry.

– Nie.

– Na pewno by go pan poznał. Ma na ręce tatuaż, z którego jest bardzo dumny.

Pólnaga syrena.

Udałem, że nie wiem, o kim mowa. Ja Davida Montgomery’ego znałem jako Bobby’ego Rowe’a. Chłopak podał mi fałszywe nazwisko.

– Nigdy w życiu nie słyszałem o Davidzie Montgomerym – powiedziałem zgodnie z prawdą.

– Tak też przypuszczałem – przyznał Curry. – David jest jednym z naszych stałych klientów. Wisi mu nad głową kilka zarzutów, z których rozpaczliwie próbuje się wywinąć. Z tego, co mi wiadomo, to na początku tygodnia opowiedział swojemu kuratorowi jakąś niestworzoną historię o dwóch mężczyznach mieszkających pod tym adresem, którzy rzekomo kogoś porwali. Zdaje się, że liczył na układ z prokuratorem. Domyślałem się, że był na ostrym haju.

Przypomniałem sobie, jak Bobby Rowe pytał nas, czy jesteśmy porywaczami, po tym, jak Jason bezmyślnie się wygadał.

– Narkotyki to tutaj prawdziwa zaraza – powiedziałem, siląc się na sędziowski ton.

– Kurator miał obowiązek nam to zgłosić, a my nie mieliśmy wyboru, musieliśmy to sprawdzić na wypadek, gdyby mówił prawdę. Ale nikt tak naprawdę nie sądził... Jak już mówiłem, rutynowo sprawdzamy takie tropy. Jeszcze raz: bardzo mi przykro, że zwracałem panu głowę.

– Nie ma problemu – skłamałem.

Zaprowadziłem ich z powrotem przed dom. Miałem nadzieję, że porywacze tego wszystkiego nie widzieli; prawdę mówiąc, modliłem się o to.

Kiedy policjanci odjeżdżali, przypomniało mi się zdarzenie z udziałem Sammy’ego sprzed kilku lat. Wydarzyło się to zaledwie kilka miesięcy po jego pierwszych urodzinach. Był na tym szalonym etapie rozwoju, kiedy szedł przez życie jak burza i nie zwracał najmniejszej uwagi na czyhające zagrożenia. Pilnowanie jego samego było dla nas wyczerpujące, a przecież miał jeszcze siostrę.

Któregoś dnia przyszli oboje do naszej sypialni. Pewnie nie zwracałem na nich należytej uwagi. Bawili się grzecznie przy drzwiach, ale w pewnym momencie Emma przytrzasnęła nimi dłoń braciszka. Sam w panice szarpnął gwałtownie ręką i paznokieć palca wskazującego został między drzwiami a framugą.

W jakiejś mierze zdawałem sobie sprawę, że powinienem być spokojny, opanowany, dojrzały i niewzruszony. Gdyby to był mój palec, to pewnie głośno bym zaklął, nakleił plaster i szybko o wszystkim zapomniał.

Ale na widok krwi mojego synka wpadłem w panikę. Musiałem zadzwonić do sąsiadki i poprosić, żeby do nas przyszła i opatrzyła Samowi ranę. Zrozumiałem wtedy coś, co prędzej czy później pojmuje większość rodziców: krzywda, która dzieje się

twojemu dziecku, jest dużo trudniejsza do zniesienia niż nawet najgorszy uraz, jakiego doznaje się samemu.

Myślałem o tym teraz, patrząc na swoją dłoń, którą otwierałem, zaciskałem w pięść i znów rozluźniałem.

Zanim kompletnie się rozkleiłem, zadzwoniłem do Alison, aby jej powiedzieć, że może już wrócić do domu. Nie odebrała, więc wybrałem numer stacjonarny do Giny.

Słuchawkę podniosła Karen i oficjalnym tonem oznajmiła:

– Dom państwa Powellów.

– Cześć, Karen. Tu Scott. Co tam robisz?

– Przywiozłam dzieci, żeby mogły się pobawić z Samem po szkole.

– Wszystko w porządku?

– Zdemolowały kuchnię, więc wypuściliśmy je na dwór, żeby oszczędzić resztę domu.

– Czyli doskonale popołudnie u babci – stwierdziłem. – Podasz mi Alison?

– Alison śpi – odparła przeproszającym tonem. – Padała na twarz, jak tu przyjechała, więc wysłaliśmy ją na prycze.

„Na prycze”. Alison zawsze powtarzała, że nie tyle urodziła się w rodzinie Powellów, ile została do niej zwerbowana.

– Mam ją obudzić? – spytała Karen.

– Nie, nie. Jak wstanie, powiedz jej, że dzwoniłem i że wszystko jest w porządku.

Mogą wracać, jak tylko będą chcieli.

Karen prawdopodobnie odsunęła słuchawkę od ucha, bo usłyszałem jej stłumiony głos:

– To Scott.

Domyśliłem się, że to Gina pyta, kto dzwoni. W końcu Karen wróciła na linię i zapytała:

– O co chodziło z tą wizytówką?

– O nic. Powiedz jej, że ten policjant był u nas w cywilnym ubraniu. Zbierał pieniądze na Stowarzyszenie Policjantów.

– Czy to prawda? – spytała.

– Nie do końca. Ale nie chcę, żeby się niepotrzebnie martwiła.

– Jason powiedział mi o tym dzieciaku z kopertą. To o niego chodziło?

– Tak. W pewnym sensie. Przyjechali przeszukać dom. Już sobie poszli, ale...

– Ale teraz się boisz, że dostaniecie kolejną przesyłkę?

– Właśnie. I jeśli naprawdę się wkurzyli, to możliwe, że będą chcieli ją dostarczyć osobiście, bez pomocy kuriera. Może powinnaś postawić więcej osób na straży?

– Dobry pomysł. Dzięki.

– Możliwe, że nic nie zrobią...

– Ale możliwe, że zrobią – wtrąciła. – Nie martw się. Załatwię to.

## Rozdział 38

Mimo drzemki Alison miała jeszcze podkrążone oczy, kiedy tego wieczora wróciła z Samem do domu.

Nie widzieliśmy się od wtorku rano. Wyglądała na zmęczoną. Bardziej niż ostatnio. Poza tym zauważyłem, że jej bluzka była dużo luźniejsza niż jeszcze do niedawna. Nosiła ją włożoną w spodnie i w pasie też zdawała się węższa niż zwykle. Mocno schudła. Jedzenie przestało być dla niej ważne.

O ile było mi wiadomo, drewna też ostatnio nie rąbała. Ostatni raz chyba po powrocie Sama. Moja niestrudzona żona wreszcie straciła energię.

Weszła do kuchni, gdzie robiłem sałatkę, i wtuliła się we mnie. Nigdy dotąd nie czułem tak wyraźnie jej kości.

Ten namacalny efekt trawiącego ją stresu – a spokojnie mogę powiedzieć, że ze zgryzoty nikła w oczach – był dla mnie mocnym argumentem za tym, że nie miała nic wspólnego z porwaniem Emmy. Nie da się oszukać własnego ciała.

– Cześć – powiedziałem. – Jak było u mamy?

– Dobrze. Martwi się o nas, ale było miło.

– A jak Sam sobie radzi?

– Chyba nieźle. Z kuzynami albo u babci zawsze jest lepiej. Tutaj może tylko tęsknić za Emmą. Tam przynajmniej można go zająć czymś innym. Dzieciaki są w tym świetne. A jak jesteśmy tylko we trójkę, mama wymyśla różne gry.

– To dobrze. Wypałaś się?

Oderwała się ode mnie i ziewnęła.

– Chyba jestem jeszcze bardziej zmęczona.

Spojrzałem na krojoną marchewkę i nagle opuściły mnie wszystkie siły. Wiedziałem jednak, że muszę dostarczyć swojej żonie jakichś kalorii, więc powiedziałem:

– Może zamówimy chińszczyznę? Nie chce mi się gotować.

– Mi też – odparła zmęczonym głosem.

– Super. Zadzwońę po drodze – rzuciłem, wychodząc z kuchni.

– Nie, ja pojadę. Ty pobądź z Samem. Tęskni za tobą.

– Dobry pomysł – powiedziałem, bo też mi go brakowało.

Niedługo potem Alison wyszła. Ja posprzątałem po swojej niedoszłej sałatce i poszedłem do salonu, gdzie Sam budował skomplikowany system ramp dla swoich samochodzików Hot Wheels.

– Czołem, brachu – powiedziałem. – Przytulisz tatę?

Sam objął mnie i nawet przez tę krótką chwilę, zanim mi się wyrwał, dobrze było znów mieć go blisko siebie.

– Pościgamy się? – zapytał.

– Jasne.

– Dobra, tylko dokończę tor.

Zabrał się za jedną, wyjątkowo groźnie wyglądającą pętlę. Całą uwagę skupił na łączeniu pomarańczowych kawałków toru. Przez chwilę tylko na niego patrzyłem, oczarowany pewnością jego ruchów.

Wiedziałem, że mamy tylko chwilę dla siebie, więc od razu przeszedłem do swojego rutynowego śledztwa.

– Jak ci minął dzień? – spytałem.

– Dobrze – odparł, choć nie musiało to wcale znaczyć, że naprawdę tak uważał. Po prostu miał tendencję do udzielania możliwie najkrótszych odpowiedzi.

– Co robiliście?

– Pojechaliśmy do McDonalda – powiedział, nie odrywając wzroku od budowanego toru.

– Tego przy supermarkecie?

– Tak.

– I potem do babci?

– Tak.

– Fajnie było?

– Grałem z babcią w uno. Potem przyjechali kuzyni i bawiliśmy się na dworze.

– A, tak. Ciocia Karen mi mówiła – powiedziałem. – To dobrze, że pozwoliliście mamie spać.

Ciągle patrząc na swój tor, Sam odparł:

– Mama nie spała.

– Nie? – Poczulem znajomy niepokój. – To co robiła, jak się bawiliście?

– Nie było jej.

Znów to samo.

Udałem, że nic się nie dzieje, że nie nadstawiam uszu i że nie odżywają we mnie te same wątpliwości dotyczące Alison, które przed chwilą skutecznie w sobie stłumiłem.

– A dokąd pojechała?

– Nie wiem – powiedział Sam i zamontował ostatni fragment toru. – Ścigamy się?

– Tak, za sekundkę. Czyli mama nie była z tobą u babci?

– Była. Ale potem wyszła.

– Dokąd?

– Nie wiem.

– A jak długo jej nie było?

– Nie wiem. Trochę.

– Godzinę?

– Może.

– Dwie godziny?

– Może tak. Nie wiem.

Pokiwałem głową. Nie przychodziło mi na myśl nic, o co jeszcze mógłbym go spytać. Moja żona kolejny raz zniknęła w środku dnia, a kiedy miała okazję mi o tym powiedzieć, nie zaprzeczyła, że położyła się spać u swojej mamy.

Przed domem trzasnęły drzwi samochodu. Alison wróciła, więc musiałem szybko zakończyć przepytывanie Sama, chociaż i tak nie miałem więcej pytań.

– Tato, możemy już się pościgać?

– Jasne.

– Wybierz auto. Ja będę czerwony. Czerwony jest superszybki.

Alison zawołała, że wróciła. Kiedy ustawiałem żółty samochód na torze, nagle zrozumiałem coś jeszcze. Karen kryła siostrę, a Gina to słyszała.

Czyli Alison znowu się wymknęła – żeby spotkać się z Paulem? Żeby odwiedzić Emmę? – a jej rodzina brała w tym udział.

Jadłem chińszczyznę, ale nie czułem jej smaku. Siedziałem naprzeciwko żony, ale nawet na nią nie spojrziałem.

Kilka razy spróbowała nawiązać ze mną kontakt, ale jej słowa nie przebijały się przez zgiełk panujący w mojej głowie. Wreszcie dała za wygraną i skupiła się na jedzeniu, przesuając je widelcem po talerzu. Stukot sztućców o naczynia był jedynym dźwiękiem, jaki nam towarzyszył.

Nie byłem w stanie pogodzić dwóch obrazów Alison: tej, którą widziałem i dotykałem własnymi rękami, i tej, która funkcjonowała poza moim polem widzenia. Ta druga była jakąś ledwo dostrzegalną, ciemną sylwetką pojawiającą się i znikającą w mglistej oddali. Jedynym obiektywem, przez który udawało mi się ją uchwycić, był sześciolatek chłopiec, który ledwo rozumiał to, co widział.

Wydawała mi się przez to bardziej obca niż kiedykolwiek. Mniejsza o to, czy rzeczywiście była zamieszana w zniknięcie Emmy i jaką rolę odegrała w tym jej rodzina – to wszystko prawdopodobnie było tylko serią domysłów. Natomiast zupełnie realny był wpływ owych domysłów i ciszy, jaka przez nie między nami nastąpiła, na nasze małżeństwo. W czasie, kiedy powinniśmy byli dawać sobie nawzajem wsparcie, my się od siebie oddalaliśmy.

Może i powinienem był z nią o tym porozmawiać, poszukać takiego sposobu, który nie wymagałby bezpośredniej słownej konfrontacji będącej skutkiem jej ostatniego kłamstwa, ale głowa pękała mi ze strachu przed tym, czego mógłbym się podczas takiej rozmowy dowiedzieć. Łykana garściami aspiryna zupełnie mi nie pomagała.

Kiedy Sam już spał, położyłem się na naszym łóżku z egzemplarzem „National Geographic”. Miałem nadzieję, że zdjęcia egzotycznych miejsc przeniosą mnie na bezpieczną odległość. Alison, która nie miała pojęcia, co ją czeka, poszła do łazienki i wzięła długi, odprężający prysznic.

Potem długo suszyła włosy. Często to robiła: siadała na podłodze i owiewała głowę strumieniem gorącego powietrza, wyciszając myśli w jednostajnym szumie urządzenia. Była to jej wersja medytacji.

Kiedy wyszła z łazienki, miała na sobie tylko ręcznik. Podeszła do łóżka od mojej strony i położyła mi dłoń na udzie.

– Cześć – powiedziała.

Podniosłem wzrok znad czasopisma.

– Nie chciałbyś... – zaczęła i przesunęła dłoń wzdłuż mojego boku.

Dałem radę tylko niezobowiązująco stęknąć. Seks był ostatnią rzeczą, na jaką miałem ochotę.

– Jakoś... Nie wiem, potrzebuję cię. Chcę cię poczuć – odezwała się cicho. – Tęsknię za tobą. Prawie nie rozmawiamy. I okej, rozumiem. Trudno to wszystko ubrać w słowa. Ale ja wciąż potrzebuję kontaktu. Nawet jeśli miałyby trwać tylko chwilę.

Przez dwadzieścia pięć lat ani razu nie zdarzyło mi się odrzucić jej awansów. Niby

czemu miałbym to robić? Kochałem ją, uwielbiałem każdy centymetr jej ciała. Zawsze uważałem, że pary, które regularnie ze sobą rozmawiają, śmieją się i uprawiają seks, nie muszą się martwić rozwodem. Dwie pierwsze czynności ostatnio legły u nas w gruzach, więc może powinniśmy zadbać przynajmniej o tę trzecią?

Ale nie mogłem się zmusić, nie po tych wszystkich kłamstwach. Bałem się, że seks stanie się tylko kolejną zasłoną dymną, sposobem na uśpienie mojej czujności. Poza tym wiedziałem, że gdzieś za oknem krąży Jason, Karen albo Jenny. A zaledwie kilka godzin temu w naszej sypialni stał detektyw z biura szeryfa. Do tego Paul Dresser nawiedzał moje sny, a Emma przeżywała swój najgorszy koszmar.

– Przepraszam – powiedziałem. – Jakoś nie jestem w stanie.

Na chwilę odwróciła wzrok, a kiedy znów na mnie spojrzała, miała załzawione oczy.

– A mogę się koło ciebie położyć? Tylko na trochę.

Nie mogłem jej odmówić. Przesunąłem się i Alison się we mnie wtuliła.

– Przytulisz mnie? – zapytała jeszcze cichszym głosem.

Objąłem ją i poczułem, że cała się trzęsie. Płakała, ale bezgłośnie. Wiedziałem, że ja też powinienem płakać.

Gdybym tylko wierzył, że jej smutek jest prawdziwy.



## Rozdział 39

Kiedy nabrałem pewności, że Alison śpi, nakryłem ją kołdrą i ostrożnie wstałem z łóżka.

Poszedłem do pokoju gościnnego, ale nie zdjąłem narzuty, bo nie widziałem sensu w brudzeniu pościeli, skoro i tak nie spodziewałem się zasnąć. Leżałem w ciemnościach i czekałem na huk wystrzału za oknem.

Jakąś godzinę później usłyszałem, że mój telefon wibruje na szafce nocnej. Wziąłem aparat do ręki i odblokowałem ekran.

Dostałem SMS-a. Od Alison. A raczej od „Alison”, bo prawdziwa Alison spała w pokoju obok.

Wiadomość była krótka: NIE GADAJ Z POLICJĄ. Załączony był do niej plik video.

Z bijącym mocno sercem nacisnąłem „play”. Dobrych dwadzieścia sekund czekałem, aż film się załaduje.

W końcu zaczął się odtwarzać. Ekran był kompletnie czarny, jakby ktoś zasłonił obiektyw.

Słysząc było tylko piskliwe pojękiwanie, choć mocno stłumione. Trochę jak stęknienia zranionego zwierzęcia.

W pewnej chwili dźwięk gwałtownie przybrał na sile. W tym zbolełym głosie brzmiał ludzki ton. Dlatego wiedziałem, że to nie zwierzę. To była Emma. I bardzo cierpiała.

Przybliżyłem twarz do ekranu, ale wciąż nic nie widziałem. Słyszałem tylko okropny głos mojej córki jęczącej z bólu.

Z bólu i może ze strachu. Był to taki dźwięk, jakiego nie chce się słyszeć z ust żadnego dziecka, tym bardziej własnego.

W moich żyłach szalała adrenalina, z trudem utrzymałem telefon w dłoni. Mój oddech stał się krótki i płytki. Wiedziałem, że nadchodzi kolejny atak paniki. Robiłem, co mogłem, żeby do niego nie dopuścić.

– Boże, błagam, pomóż jej – jęknąłem cicho. – Chryste.

Krzyk Emmy na chwilę ucichł, za to znów dało się słyszeć stłumione stęknienia. Co się z nią działo? I kto jej to robił?

Zbliżała się następna runda. Szloch Emmy przybierał na sile, jakby spodziewała się czegoś strasznego. Rozpoznałem w jej jękach błaganie: „Nie, nie, nie”.

Potem nastąpił kolejny pisk. Był tak ostry, że na chwilę przeciążył głośnik mojego telefonu.

I wtedy nagle pojawił się obraz. Natychmiast pożałowałem, że ekran nie pozostał czarny.

Kamera pokazywała Emmę w zbliżeniu, leżącą na brudnej podłodze z linoleum, w pomieszczeniu, które wyglądało na łazienkę. Miała skrępowane ręce i nogi. Nie widziałem jej kostek i dłoni, bo były za plecami, ale nie miałem wątpliwości, że związano ją mocno, bo jej małe ciało wygięło się w łuk. Była całkiem mokra i miała na sobie tylko majtki. Trzęsła się z zimna i nerwowo drgała.

Miała zakrwawioną twarz; czerwone smugi widać też było na podłodze, obok jej ogolonej głowy. Ewidentnie miała gdzieś na buzi krwawiącą ranę, ale nie byłem w stanie dostrzec, gdzie dokładnie.

Strużka krwi sączyła się też z jej ust, jakby Emma ugryzła się w język. Ale nawet nie to było najgorsze. Nie do zniesienia był widok jej oczu, szeroko otwartych i przepelnionych strachem. Patrząc na nie, sam miałem ochotę wrzeszczeć.

Wreszcie film się urwał.

Licznik na dole ekranu pokazywał, że całość trwała trzydzieści osiem sekund.

Przez te trzydzieści osiem sekund postarzałem się o sto lat.

Następne kilka godzin rozmyło się we mgle bezsilnej rozpacz. Nie umiałem już nawet udawać, że moje myśli układają się w logiczny ciąg. Nie obejrzałem filmu drugi raz, bo na pewno straciłbym wszelki kontakt z rzeczywistością. Ale fragmenty nagrania ciągle stawały mi przed oczami.

Około drugiej w nocy poszedłem do swojego gabinetu i uruchomiłem laptopa. Potrzebowałem zapełnić głowę innymi obrazami, więc zacząłem przeglądać stare zdjęcia rodzinne. Emma w Halloween, przebrana za księżniczkę Disneya (a jakże). Emma na plaży, cała w rzeczonym mule. Emma piekąca z mamą muffiny. Emma w sukience wielkanocnej, robiąca śmieszne miny do aparatu tuż przed wyjściem do kościoła. Emma przed Kapitołem podczas rodzinnej wycieczki do Waszyngtonu.

Znalazłem też film z ostatniej zimy. Na początku nagrania Emma ma tyle warstw ubrań pod kurtką, że ręce odstają jej od tułowia. Na głowę ma naciągniętą wełnianą czapkę w kształcie kociej głowy. Leży twarzą do góry na cienkiej warstwie śniegu, który ledwo przykrywa najdłuższe źdźbła trawy.

– Co robisz? – pytam z za kamery.

Zamiast odpowiedzieć, Emma zaczyna wymachiwać rękami i nogami.

– Jestem aniołkiem! Jestem aniołkiem! – woła śpiewnym, niewinnym głosem.

– To prawda. Jesteś moim aniołkiem – mówię.

Na te słowa Emma przestaje się ruszać.

– Naprawdę? – pyta.

– Emmo Grace Sampson, zawsze będziesz moim aniołkiem – zapewniam ją, na co ona wraca do rozgarniania śniegu, teraz z szerokim uśmiechem na twarzy.

Odtworzyłem film drugi raz, potem trzeci. Oglądałem go przez łyzy. Po powrocie do pokoju gościnnego miałem nadzieję, że uda mi się zatrzymać te szczęśliwe kadry na wierzchu moich skołowanych myśli, ale się nie udało. Wciąż wracał do mnie obraz Emmy leżącej na podłodze łazienki. Był jak nieustępliwa, napierająca wroga armia.

Pod jego wpływem obudziły się we mnie wszystkie emocje, które tworzyły mój nowy krajobraz wewnętrzny. Po rozpacz nadeszła paraliżująca bezsilność, a tę zaraz zastąpiła furia, potem rozdzierający ból, nienawiść, lęk, znowu wściekłość, a po niej... Nawet nie wiem, czy istnieje słowo, które jest w stanie opisać, jak to jest widzieć i czuć tortury własnego dziecka, ale nie móc zrobić nic, by je powstrzymać.

Leżałem w ciemnościach i patrzyłem przez okno na granatowe, bezgwiazdne niebo, które powoli ustępowało błękitnawej szarości świtu. Niedługo potem pomarańczowy wschód słońca obwieścił mi, że pora wstać i zacząć kolejny dzień

udawania, że moja dusza nie płonie żywym ogniem.

## Rozdział 40

W trakcie moich przygotowań do wyjścia do pracy, które polegały głównie na picciu zwiększonych ilości kawy na pusty żołądek, Alison wyraźnie starała się nie wchodzić mi w drogę.

W nocy zastanawiałem się, czy ten potworny film z Emmą nie wykluczał ostatecznie udziału Alison w porwaniu, bo absolutnie nie mieściło mi się w głowie, żeby mogła pozwolić na takie torturowanie własnego dziecka.

Dopuszczałem jednak możliwość, że film został spreparowany. Ani razu nie widać było bowiem na nim akumulatora czy jakiegokolwiek innego przyrządu, którym aplikowano Emmie to, co wyglądało na elektrowstrząsy. Możliwe, że całe nagranie było w rzeczywistości wyszukaną, komputerową sztuczką. A może wmawiałem to sobie, żeby ukoić nerwy. Tak czy inaczej, nic się nie zmieniło w kwestii potencjalnej winy mojej żony. Nadal nie mogłem być niczego pewien.

Wiedziałem tylko, że nie powiem jej o najnowszej wiadomości od porywaczy. Wystarczyło, że jedno z nas o niej wiedziało.

Wreszcie zmusiłem się do wyjścia z domu i po przedarciu się przez zakorkowany tunel pod Hampton Roads zjawiłem się z małym opóźnieniem w biurze.

Pani Smith już tam była, wymuskana jak zwykle. Pomyślałem o Herbercie Thrifcie i jego teleobiektywie. Ciekaw byłem, czy udało mu się już nakryć moją sekretarkę na jej tajnej randce z Rolandem Hemanssem.

– Dzień dobry, pani Smith – powiedziałem.

– Dzień dobry, panie sędzio. Jak się pan czuje?

Dostrzegła, że nie przespałem nocy? Aż tak się to rzucało w oczy? Po chwili przypomniałem sobie, że dzień wcześniej skłamałem o przeziębieniu.

– Dużo lepiej. Dziękuję – odpowiedziałem, choć pewnie wcale nie wyglądałem zdrowo. – Wczoraj wszystko się udało?

– Jak najbardziej. Powrót do normalności. Tylko kilka telefonów od dziennikarzy.

– Może w końcu zrozumieli, że brak komentarza oznacza brak komentarza.

– Ale dzisiaj rano był jeszcze jeden telefon – powiedziała pani Smith. – Od tego człowieka, który nie przestaje dzwonić. Steve’a Politiego z PulsMinus.

– Jemu może pani powiedzieć to samo.

– Tak zrobiłam. Ale pomyślałam, że powinien sędzia wiedzieć.

– Dziękuję.

I wtedy wypowiedziała zdanie, które mnie obudziło.

– Wpłynął wniosek w sprawie Palgraffa.

– Aha – skwitowałem, choć cisnęło mi się na usta: co znowu?

– Wydrukowałam go. Leży na pańskim biurku.

Jeszcze raz jej podziękowałem i kiedy tylko zamknąłem za sobą drzwi gabinetu, podbiegłem do biurka. Dokument leżał na samym środku. Wniosek został złożony przez Rolanda Hemansa w imieniu Denny’ego Palgraffa. Prawie się udusiłem własną śliną, kiedy przeczytałem nagłówek: „Wniosek o wykluczenie”.

Roland Hemans chciał mnie wykluczyć z procesu.

Głównym powodem jego skargi było twierdzenie, że występuje w moim przypadku konflikt interesów, ponieważ ApotheGen Pharmaceuticals należy do największych finansowych darczyńców senatora Blake'a Franklina. A Franklin był nie tylko moim „dawnym pracodawcą i bliskim współpracownikiem”, jak pisał Hemans w jednym z podpunktów, ale też „ojcem chrzestnym dzieci Sampsona”.

Skąd Roland Hemans się o tym dowiedział? Nie była to wiedza powszechnie dostępna, a gazety nie pisały o tym po Incydencie. Nikt nawet słowem o tym nie wspomniał w trakcie moich przesłuchań przed komisją senacką, a w tych postępowaniach ludzie odkopują dosłownie wszystko.

Czytałem dalej. Według Hemansa ApotheGen wsparł Franklina „kwotą przekraczającą 2,1 miliona dolarów, nie tylko w formie bezpośrednich wpłat na konto komitetu reelekcyjnego, ale też za pośrednictwem niezależnej politycznej organizacji kierowanej przez prezesa ApotheGenu, Barnaby'ego Robertsa”.

Sam Barnaby Roberts przekazał na kampanię Blake'a Franklina „ponad 150 000 dolarów, czyli maksymalną kwotę prywatnej dotacji dopuszczaną przez prawo”.

Mówiąc prościej, Blake Franklin był opłacony i kontrolowany przez ApotheGen. A to z kolei oznaczało, że ja też chodziłem na ich pasku.

Jednym z dowodów, na które powoływał się w swoim wniosku Hemans, była kserokopia artykułu prasowego ze zdjęciem z niedawnego przyjęcia, na którym stoję z tym idiotycznym kieliszkiem szampana, a Blake obejmuje mnie ramieniem. Wyglądałem jak jego przydupas.

Ale moją uwagę przykuł inny dowód podany przez Hemansa w uzasadnieniu wniosku. Było to zdjęcie ze wspólnego posiłku Blake'a i Barnaby'ego Robertsa. A jeszcze ciekawszy był towarzyszący mu podpis, pochodzący z depeszy Associated Press. Fotografia miała zaledwie trzy tygodnie. Została zrobiona trzy piątki temu.

Pozew Palgraffa był już wtedy złożony, a sprawa wpisana na moją wokandę, choć ja sam wówczas jeszcze o tym nie wiedziałem. Jeremy Freeland i pozostali moi podwładni już nad nią pracowali. Z całą pewnością Roberts też zwrócił na nią uwagę. Zastanawiałem się teraz, czy już wtedy wiedział o moich związkach z Blakiem.

Rozmawiali o pozwie? Czy Blake obiecał podjąć subtelne (albo niekoniecznie subtelne) kroki w celu zapewnienia werdyktu korzystnego dla ApotheGenu? Cokolwiek by mówić o roli, jaką odgrywają duże pieniądze w naszej polityce, to nie ulegało wątpliwości, że za dwa miliony dolarów z okładem można było kupić w Waszyngtonie całkiem sporo.

A więc Blake i Roberts spotkali się na wspólny posiłek. A półtora tygodnia później ktoś porwał moje dzieci.

Nie mógł to być Blake. On za bardzo je kochał. Był ojcem chrzestnym Emmy. Nigdy w życiu nie wyrządziłby jej krzywdy.

Ale mógł wyjawić Barnaby'emu Robertsowi jakieś fakty na temat mojej rodziny: gdzie mieszkamy, do której szkoły chodzą Sam i Emma, jak wygląda nasz dzień. Czy mój mentor mógł mnie tak zdradzić?

Ta myśl była jedną z przyczyn uczucia, że sztywnieje mi żuchwa. Innym było nagłe olśnienie: Roland Hemans nie miał nic wspólnego ze zniknięciem Emmy. Nie wnosiłby

przecież o wykluczenie sędziego, nad którym miał pełną kontrolę.

Z tego samego powodu podejrzanym nie mógł być Denny Palgraff. Musiał to być ktoś z ApotheGenu. Na przykład Barnaby Roberts. Albo Paul Dresser.

Problem w tym, co znów przepełniło mnie poczuciem bezsilności, że kompletnie nie miałem pojęcia, co z tym fantem począć.

Paradoks wniosku o wykluczenie sędziego polega na tym, że trzeba go w pierwszej kolejności złożyć na ręce tej osoby, którą chce się odsunąć od postępowania. Osoby, która rozpatrzyła już wstępnie dany pozew i stwierdziła, że nadaje się na arbitra. W celu uniknięcia podejrzeń o niestosowność sędziowie proszą czasem swoich kolegów po fachu, żeby rozpatrzyli taki wniosek za nich.

Mając to na uwadze, zadałem sobie pytanie: gdyby we wniosku Hemansa opisany był jakiś inny sędzia, to jaką decyzję bym podjął?

Nie zastanawiałbym się nad tym nawet chwilę. Kazałbym przekazać sprawę komuś innemu.

W moim przypadku ta opcja nie wchodziła w grę.

Oczywiście musiałem odpowiedzieć na wniosek Hemansa. Wiedziałem, że czekali na to wszyscy adwokaci wymienieni z nazwiska na pierwszej stronie. Czekali, i to ze wstrzymanym oddechem, bo wszyscy mieli nadzieję na zwolnienie narzuconego przeze mnie tempa. Podniosłem słuchawkę telefonu, wstukałem numer wewnętrzny Jeremy'ego i poprosiłem go, żeby do mnie zajrzał.

Dwie minuty później siedział naprzeciwko mnie. Nie musiałem go pytać, czy czytał najnowszy wniosek w sprawie Palgraffa. Jeremy, już wchodząc do mojego gabinetu, nerwowo zagryzał wargę.

– Chciałbym jeszcze dzisiaj wydać decyzję w sprawie wniosku o wykluczenie – powiedziałem.

– Jasne. Lepiej jak najszybciej mieć to wszystko z głowy.

– Nie – zaprzeczyłem stanowczo. – Zamierzam go odrzucić.

Po tych słowach Jeremy Freeland, mój zawsze lojalny sekretarz, który przez cztery lata naszej wspólnej pracy nie podał w wątpliwość nawet jednego z moich werdyktów, zapytał:

– Na pewno?

– Tak, Jeremy.

– Panie sędzio, z całym szacunkiem, ale wydaje mi się, że nie ma pan wyboru. Musi się pan wyłączyć z tego procesu. To jedyna słuszna decyzja. Wszystko to razem z oskarżeniami Jacobsa to już za wiele. Zwłaszcza że sędzia Byers już i tak...

– Co z Byersem?

Jeremy przestał zagryzać wargę.

– Krążą różne plotki – powiedział łagodnym tonem. – Podobno Byers uważa, że dopóki nie wiadomo, co z impeachmentem, nie powinien sędzia rozpatrywać żadnych spraw. To Byers rozdaje karty. Komisja Sędziowska opowie się po jego stronie. To jest dobry moment na pokazanie mu, że jest pan rozsądny. A co by zrobił każdy rozsądny sędzia w tej sytuacji? Odsunąłby się od tej sprawy. Nie twierdzę, że to, co Hemans napisał we wniosku, to prawda, ale powinien się sędzia zastanowić nad tym, jak to będzie

wyglądało.

Patrzyłem bez słowa na jego starannie skrojony garnitur i idealny węzeł krawata. Zazdrościłem mu jego niefrasobliwości, a może byłem na niego zły za tę bez troskę. Dla niego to wszystko było takie teoretyczne. Ot, kolejna chłodna decyzja, mająca realny wpływ wyłącznie na to, o czym plotkują asystenci na innych piętrach.

Nienawidziłem go za to. Nie rozumiał nawet jednej setnej stawki, o jaką grałem.

– Panie sędzio, proszę – ciągnął. – Nie mógłby pan przynajmniej... Nie wiem, zaczekać z decyzją do poniedziałku? Zapytać innych sędziów o zdanie?

– Po co? – warknąłem. – Bo w zeszłym tygodniu prosiłeś mnie o to samo, o co dzisiaj wniósł Hemans, ale ci odmówiłem? I przez to ciągle chodzisz ze spiętym tyłkiem?

Jeremy'emu opadła szczęka.

– Słuchaj, wbrew temu, co ty albo Roland Hemans myślicie na mój temat, ja nie mam problemu z pozwem Palgraffa. ApotheGen dawał pieniądze mojemu byłemu szefowi. I co z tego? To nie ma najmniejszego wpływu na moją zdolność do wydania sprawiedliwego wyroku. I jeśli będzie trzeba, to z chęcią wyjaśnię to sędziemu Byersowi. A teraz proszę cię o przygotowanie decyzji o odrzuceniu wniosku. Zrobisz to czy nie?

– Panie sędzio, ja tylko...

– Zejdź mi z oczu.

Był zbyt oszołomiony, żeby się ruszyć.

– No już, wynoś się – warknąłem. – Mam dużo pracy.

Bez słowa wstał i wyszedł, lekko zamykając za sobą drzwi.

## Rozdział 41

Czułem bijącą z mojej twarzy furję. Półprzytomnie wyjąłem z kieszeni telefon komórkowy i wybrałem numer do Blake'a Franklina.

– O, witam pana sędziego. Nawet miałem do ciebie dzisiaj dzwonić, żeby zapytać, jak się rozwija romans z twoją nową dziewczyną, kongresmenem Jacobsem.

– Nie obchodzi mnie Jacobs – powiedziałem oschle. – Właśnie patrzę na skargę złożoną przez Palgraffa. Jego adwokat pisze, że ApotheGen i Barnaby Roberts od lat finansują twoje kampanie. Czy to prawda?

– To możliwe – odparł Blake.

– Możliwe?

– Okej, pewne. Czemu tak cię to dziwi? Dostaję pieniądze od ApotheGenu i prawdopodobnie wszystkich większych firm farmaceutycznych w kraju. Zasiadam w końcu w HELP-ie. Wiesz, co oznacza ta pierwsza litera? Zdrowie<sup>1</sup>. Nie patrzyłeś nigdy na moją listę darczyńców?

– Nigdy się tym nie zajmowałem.

– No więc tak, na pewno dostawałem pieniądze od ApotheGenu.

– Kilka milionów – uściśliłem.

– Nie wiem, czy aż tak dużo, ale to wszystko są informacje jawne. Możesz sprawdzić, jak chcesz. Co cię ugryzło?

– Blake, zlituj się. ApotheGen jest pozwanym w najgłośniejszej sprawie, jaka kiedykolwiek trafiła na moją wokandę. Chyba nie od rzeczy było mi powiedzieć, że to jeden z twoich największych darczyńców, o ile nie największy, nie uważasz?

Blake przez chwilę milczał.

– Może to głupio zabrzmiało, ale niby czemu?

– Czemu? Nie sądzisz, że stawia mnie to w dwuznacznym świetle?

– Przecież już dla mnie nie pracujesz. Od czterech, pięciu lat. Czy w świetle prawa nie jesteś już ode mnie w pełni niezależny?

– Nieważne. To ty mnie mianowałeś na sędziego. I zapraszasz mnie na swoje bankiety. Jesteś ojcem chrzestnym Emmy. Moim przyjacielem. Wszyscy to wiedzą. Nie jesteś w Waszyngtonie od wczoraj. Dobrze wiesz, że samo podejrzenie o konflikt interesów jest tak samo szkodliwe jak faktyczny konflikt.

– A tam. Gadasz jak pismak.

– Nie wygłupiaj się, Blake. Dzwonisz do mnie, wypytujesz o sprawę. Jak tylko przyjąłem wniosek o zabezpieczenie roszczeń, od razu zaczęłaś wyciągać ze mnie jakieś szczegóły. Do Barnaby'ego Roberta zadzwoniłeś od razu po rozmowie ze mną czy odczekałeś parę minut z przyzwoitości?

– Co ty mi tu insynuujesz? Nie podoba mi się...

– Niczego nie insynuuję. Mówię to wprost. Od lat chodzisz na pasku Roberta i teraz on się tobą wysługuje.

– Zaraz, chwila. Trochę się zagalopowałeś. Biorę pieniądze od Barnaby'ego Roberta i ApotheGenu, bo nie mam wyboru. Tak wygląda polityka. Naprawdę trzeba ci to tłumaczyć? Ale gdybym miał choć cień podejrzenia, że czegoś ode mnie oczekują,



kazałbym im się tą kasą wypchać. Dobrze o tym wiesz. Tak długo dla mnie pracowałeś, myśląc, że można mnie przekupić?

– Sam już nie wiem, dla kogo pracowałem.

– No to pozwól, że ci to wyjaśnię. Nie chodzę na niczym pasku i wypraszam sobie...

– Spotkałeś się z Robertsem w restauracji trzy tygodnie temu czy nie?

Blake zamilkł. Słyszałem w słuchawce jego oddech.

Po chwili nieco ściszym głosem powiedział:

– Tak. Trzy tygodnie temu. Miesiąc temu. Coś w tym stylu. Skąd... Jak się o tym dowiedziałeś?

– Ktoś z Associated Press cyknął wam fotkę. Adwokat Palgraffa dołączył ją do wniosku o odsunięcie mnie od sprawy.

Po drugiej stronie linii znów zapadła cisza, więc dodałem:

– W zeszłym tygodniu spytałem cię o Roberta i powiedziałaś, że nie znasz go dobrze.

– Bo nie znam. Chryste, Scott. To było wspólne śniadanie, nie seks.

– Rozmawialiście o sprawie? – spytałem.

Blake nie odpowiedział.

– Albo o mnie?

Ciągle milczał.

W końcu się odezwał:

– Nie twoja sprawa. Ale i tak ci powiem. Nie rozmawialiśmy ani o sprawie, ani o tobie. Chodziło o regulacje prawne i była to absolutnie przyzwoita, legalna dyskusja, którą moglibyśmy odbyć przed całą redakcją „Washington Post” albo Federalną Komisją Wyborczą. Może o tym nie wiesz, ale pierwsza poprawka do konstytucji gwarantuje obywatelom prawo wnoszenia do rządu petycji o rozpatrzenie zażaleń.

– Jednym bardziej niż innym – odparłem.

– No czego ty nie powiesz. To już wszystko? Bo mam ważniejsze rzeczy do robienia niż słuchanie oskarżeń o... W sumie nawet nie wiem, o co ty mnie oskarżasz.

– Tak, to wszystko.

– Świetnie – powiedział i szybko się rozłączył.

Health (ang.) (przyp. red.). [\[wróć\]](#)

## Rozdział 42

Pod koniec dnia, który wieńczył koszmarne długi tydzień, mój gniew ustąpił miejsca zwykłemu zmęczeniu.

Wychodząc z biura, odsłuchałem nagrany na pocztę głosową wiadomość od Alison, która mówiła, że Karen zaprosiła nas do siebie na kolację i że tam się spotkamy.

– Ale nie musisz tam być. Możemy się zobaczyć wieczorem w domu – powiedziała na koniec.

W jej głosie brzmiał łagodny, wręcz ostrożny ton, jakby Alison chodziła wokół mnie na palcach. Kusiło mnie, żeby przyjąć jej propozycję, choćby dlatego, że nie miałem ochoty na samotny wieczór pełen skomplikowanych kalkulacji: jaką rolę w spisku odgrywała jej rodzina? Czy za spojrzeniem Karen albo gestem Marka kryło się coś więcej?

Przeważało to, iż uznałem, że mam dług wdzięczności wobec Karen i reszty jej nocnej straży. Bez względu na moją paranoję i nieufność, należała im się informacja, że wprawdzie minionej nocy nie dostaliśmy nowej paczki od porywaczy, ale przyszła do nas przesyłka wirtualna. Zagrożenie wcale nie zmalało, a wręcz wzrosło.

Poza tym tęskniłem za Samem.

Ruszyłem z pracy w stronę rezydencji Lowe'ów, mieszczącej się na osiedlu pełnym niemal identycznych willi, z których każda miała prawie czterysta metrów kwadratowych powierzchni. Dom Lowe'ów zawsze wydawał mi się za duży. Gdziekolwiek spojrzeć, rozciągały się w nim całe połacie nieużywanych i niczym niezastawionych dywanów. Rok temu zepsuła się im pompa ciepła i ta, którą musieli zainstalować na jej miejsce, była tak ogromna, że nie było ich na nią stać. Pieniądze pożyczyci od nas.

Oczywiście miało to też swoje dobre strony, choćby taką, że przynajmniej jeden z domów w naszej rodzinie miał tak obszerne wnętrza. Wszyscy mogli się w nich swobodnie rozmieścić, co czasem ratowało nas przed skoczeniem sobie do gardeł w trakcie świątecznych wizyt.

Zastałem nasze dzieci przed domem. Biegały na złamanie karku bez widocznego celu. Udało mi się na kilka sekund złapać zlanego potem Sama, który szybko mnie przytulił i popędził dalej.

Nie pukałem do drzwi, po prostu wszedłem do środka i poszedłem za zapachem karmelizowanej cebuli aż do kuchni, gdzie wszystkie cztery kobiety rodu Powellów – Gina, Karen, Jennifer i Alison – krzątały się w fartuchach, szykując najróżniejsze pyszności.

– Cześć – powiedziała na mój widok Alison. Podeszła do mnie i dała mi całusa na powitanie. – Wyglądasz na zmęczonego – dodała, głaszcząc mnie z tyłu głowy.

– To by się zgadzało.

– Chcesz się zdrzemnąć przed kolacją?

– Nie, potem byłoby jeszcze gorzej.

– Okej – powiedziała. – Wynegocjowałyśmy z chłopakami układ: „my gotujemy, wy sprzątacie”, więc znajdziesz ich na werandzie. Chcesz wziąć piwo i do nich dołączyć?

– Chętnie – odparłem, ale na widok pustej butelki po winie wpadłem na inny

pomysł. Lowe'owie mieli w pokoju gospodarczym stojak na wina, wysoki od podłogi aż po sufit. – Albo wiesz co? Chyba wolę wino – powiedziałem. – Karen, pomożesz mi wybrać jakąś butelkę?

– Weź, którą chcesz – zaproponowała Karen.

– Nie chcę brać niczego drogiego – zaprotestowałem. – Wiesz, że nie jestem smakoszem. Tylko by się zmarnowało.

Wreszcie na mnie spojrzała, dzięki czemu mogłem rzucić jej wymowne spojrzenie.

– Dobra, poczekaj – zgodziła się i wytarła dłonie w ścierkę.

Poszła za mną do pokoju gospodarczego. Ściszone głosem opowiedziałem jej o nagraniu z Emmą. Spytała, czy może je zobaczyć, na co odparłem, że będzie tego żałować, ale ona nalegała.

Otworzyłem plik wideo i podałem jej telefon, a sam wyszedłem z pokoju i zamknąłem za sobą drzwi. Nie chciałem jeszcze raz przeżywać tego bólu.

Po obejrzeniu filmu Karen dołączyła do mnie. Wyraźnie zbladła.

– Już wiesz, dlaczego nie chciałem ci go pokazać – powiedziałem.

Kręciła głową i wciągała powietrze przez zaciśnięte zęby.

– Sukinsyny – zaklęła. – Gdybym tylko dorwała ich w swoje ręce...

Patrzyła gdzieś w pustą przestrzeń, z jej oczu biła żądza zemsty.

W końcu spojrzała na mnie.

– Słuchaj, wiem, że nie pytasz mnie tutaj o zdanie i że zgodziliśmy się na wasze warunki, ale czy możesz przynajmniej rozważyć pójście z tym do FBI?

– Zwariowałaś? Nie ma mowy. Co by to dało?

– Nie sądzisz, że mogliby przesłać tę wiadomość z filmem? To nie jest zwykły e-mail, ale spory plik, dużo danych do przesłania. Założę się, że mogliby namierzyć adres IP i stację bazową, i to by wystarczyło, żeby...

– Nie – uciałem. – To nie są amatorzy. Na pewno zatarli ślady. Adres IP bardzo łatwo ukryć. Goście od pornografii dziecięcej ciągle to robią. Nie możemy tak ryzykować. To, co obejrzałaś, to była odpowiedź na dziesięciminutową wizytę policji. W dodatku dałem im jasno do zrozumienia, że nie miałem z nią nic wspólnego. Nawet nie chcę myśleć, co by zrobili, gdyby się dowiedzieli, że rozmawialiśmy z FBI. Wiemy na pewno, że obserwują nasz dom. Prawdopodobnie śledzą każdy mój ruch, nawet w pracy. Nie, nie ma mowy.

– Okej. Tylko mówię. Gdyby to była moja córka...

– Ale nie jest. Już ustaliliśmy z Alison, jak będziemy postępować – uciałem dyskusję, powołując się na wyższą instancję, którą była jej siostra. – Mówię ci o tym tylko dlatego, że powinnaś o tym wiedzieć ze względu na waszą... nocną działalność. Musisz uszanować naszą decyzję. Proszę cię.

Spojrzałem na nią błagalnie, a ona odgarnęła z twarzy kosmyk włosów. Tym gestem bardzo przypominała Alison.

W końcu jej twarz nieco złagodniała. Skóra pod jej oczami była luźna i obwisła. Tak bardzo skupiłem się na własnym wyczerpaniu, że nie dostrzegałem go u innych, a tymczasem zarywanie co trzeciej nocy i pilnowanie naszego domu ewidentnie odbierało jej siły.

– Dobra – powiedziała w końcu. – Nie zgadzam się z tobą, ale niech tak będzie.  
Zabrała z regału pierwszą lepszą butelkę i wróciliśmy do kuchni.

Chwilę później dołączyłem do innych mężów, którzy siedzieli na werandzie, sączyli piwo i patrzyli na las wyrastający na tyłach posesji. Mark trzymał nogi na poręczy. Jason miał lekko zapadnięte barki. On pewnie też był zmęczony.

– Czołem, panowie – rzuciłem na powitanie.

– Cześć – odparł Mark i skinął swoją rudą głową.

– Nie obraż się, ale wyglądasz fatalnie – zauważył Jason.

– I tak się czuję.

Zasunąłem za sobą drzwi. Popijałem wino i słuchałem ich rozmowy. Wyczułem, że właśnie zmienili temat, żeby nie psuć mi nastroju. W przypadku Jasona oznaczało to kompletowanie na głos swojej wymarzonej drużyny futbolowej. Przerwał, gdy znów otworzyły się drzwi na werandę.

Alison wciąż miała na sobie fartuch. Zmierzała szybkim krokiem w moją stronę, patrząc na mnie z furią w oczach. Jenny była tuż za nią i bezskutecznie próbowała ją zatrzymać. Dalej szły Gina i Karen. One też starały się ją pohamować, ale nie mogły nadażyć.

Alison pokazała na mnie palcem i wrzasnęła:

– Ty sukinsynu!

Po tych słowach kobieta, którą kochałem i która większość swoich nocy na Ziemi spędziła u mojego boku, rzuciła się na mnie z rękami. Nie bardzo wiedziałem, co robić, więc tylko uniosłem ramiona, żeby osłonić twarz.

– To dlatego nie chciałeś się ze mną kochać?! – krzyknęła, nie przestając mnie tłuc.

– Bo zmęczyłeś się dmuchaniem swojej dziewczyny?

Wcześniej biła mnie otwartymi dłońmi, ale teraz zacisnęła je w pięści, które gradem ciosów spadały na moje barki i plecy. Wreszcie po kilku sekundach Ginie i Jenny udało się odciągnąć ją ode mnie.

– Co ty wygadujesz? – zapytałem.

Alison ciągle patrzyła na mnie wściekłym wzrokiem. Była teraz powstrzymywana przez matkę i siostrę, ale cały czas próbowała im się wyrwać. Gdyby nie one, zaatakowałyby mnie z całym impetem swojego pięćdziesięciokilowego ciała.

– Powiedz mu, Jenny – rozkazała siostrze. – Powiedz to, co mi powiedziałaś.

Wszyscy spojrzeli na Jenny, która nagle przybrała speszony wyraz twarzy.

– Mówiłam tylko, że widziałam Justinę w centrum handlowym i że miała na sobie ładną kurtkę.

– Ładną skórzaną kurtkę – poprawiła ją Alison, jakby materiał miał tu kluczowe znaczenie. – To na nią wydałeś nasze pieniądze? Na skórzaną kurtkę? Czy może na kurtkę i mieszkanie? A może w bonusie jeszcze ci obciąża codziennie po pracy?

Teraz wszystkie oczy zwróciły się w moją stronę.

– Kochanie, nie mam pojęcia, o czym...

– Ty podły kłamco! – przerwała mi. – Masz mnie za idiotkę? Wmówiłam sobie, że powinnam ci zaufać i że w końcu mi to pewnie wyjaśnisz. Ale teraz już wiem, na co ci były te pieniądze.

– Jakie pie...

– Poszłam dzisiaj do bankomatu. Taki z ciebie geniusz. Ty na serio myślałeś, że nie zauważę wyczyszczonego konta, że będziesz mógł podjąć ponad siedem tysięcy, a ja się nie zorientuję? Nie mogłeś przynajmniej ukryć jakoś swoich wydatków na tę dziwkę? Na przykład ukraść forszę z funduszu stypendialnego naszych dzieci czy coś w tym stylu?

– Alison...

– Chryste, jak mogłam tego nie widzieć? Tyle lat miałeś ją pod samym nosem, aż ci tego nie spieszyłam. Ale nawet wtedy nie mogłeś przestać się z nią spotykać, co? Nie, nie. Musiałeś się...

– Zamknij się i posłuchaj! – wrzasnąłem. – Z nikim cię nie zdradzam. Wynająłem prywatnego detektywa.

Tym wreszcie ją uciszyłem. Wciąż trzymała ręce w górze, jakby szykowała się do wyprowadzenia kolejnych ciosów, ale już nie próbowała wyrwać się swojej matce i siostrze, żeby się do mnie dobrać.

Mówiłem dalej:

– Pamiętasz, jak w zeszłą sobotę śledziłem Rolanda Hemansa, adwokata Palgraffa? Powiedziałaś, że to głupie, i miałaś rację. Więc wynająłem detektywa, żeby robił to za mnie. Nazywa się Herb Thrift. Ma agencję Herbert Thrift i Wspólnicy. Znajdziesz go w książce telefonicznej. Możesz zadzwonić, jeśli chcesz. Powiedz, że jesteś żoną Cartera Rossa, bo tak mu się przedstawiłem.

Alison opuściła ręce.

– Aha.

Wszyscy stali w milczeniu i patrzyli, jak powoli schodzi z niej całe napięcie.

– Dobra, puść mnie – powiedziała do matki, która pozwoliła jej do mnie podejść.

Alison położyła mi rękę na ramieniu i przeprosiła.

– Nic nie szkodzi – odparłem i przytuliliśmy się do siebie.

– Już nie ogarniam – westchnęła. – Kompletnie nie ogarniam.

Doskonale ją rozumiałem.

Tego wieczora, niedługo po naszym powrocie do domu, moje ciało wreszcie odmówiło posłuszeństwa. Ledwo pamiętam moment, kiedy zapadałem w głęboki sen. Nic mi się nie śniło. Nad ranem nie byłem w stanie wstać z łóżka. Każda próba kończyła się ponownym zaśnięciem.

Kiedy wreszcie się podniosłem, było po dziewiątej. W kuchni czekały na mnie zimne grzanki i smażony boczek. Alison zostawiła liścik, w którym napisała, że poszli z Samem powłóczyć się po lesie.

To była dobra okazja, żeby zadzwonić do Herberta Thrifta. Nie było sensu marnować jego czasu i naszych pieniędzy na śledzenie Rolanda Hemansa.

Po trzech sygnałach usłyszałem głos detektywa:

– Tak, słucham?

– Dzień dobry, tu Carter Ross.

– Witam, panie Ross.

– Jak idzie?

– Dobrze. Właśnie wszedłem na teren osiedla.

– Kensington Mews? – zapytałem.

– Tak jest.

Przynajmniej nie dało się odmówić Hemansowi i Joan Smith konsekwencji.

– Jak się pan dostał do środka? – spytałem.

– Proszę mi trochę zaufać. To mój zawód.

Stanęły mi przed oczami jego wysłużone czarne mokasyny.

– No tak – powiedziałem. – Ma pan rację. Ale choć nie wątpię, że dobrze się pan bawi, to dzwonię, żeby odwołać to zlecenie.

– Nie ma problemu. Mogę zapytać dlaczego?

– Okazało się, że... byłem w błędzie.

– Rozumiem.

– O ile dobrze liczę, to pracował pan czterdzieści osiem godzin. To daje razem trzy tysiące sześćset dolarów. Mogę wpaść do pańskiego biura w poniedziałek i odebrać resztę?

– Przykro mi, panie Ross, ale podpisał pan umowę, która nie przewiduje zwrotu pieniędzy. Pamięta pan?

Nie pamiętałem.

– Ach, tak. Zgadza się.

– Czy mimo wszystko chce pan otrzymać raport?

– No, chyba tak – odparłem.

Skoro za niego zapłaciłem, nie było sensu rezygnować.

– Jak mogę go panu dostarczyć?

– Założę konto na Gmailu i wyślę panu wiadomość. Wystarczy, że pan na nią odpowie.

– Dobrze – zgodził się. – Jeszcze raz przepraszam za ten brak refundacji. Czasem tak bywa.

– Nic nie szkodzi. Widziałem, co podpisuję.

A właściwie to Carter Ross widział, ale nie był to dobry moment na dzielenie włosa na czworo.

– Jeśli chce pan, żebym przez następne dwa dni śledził kogoś innego, to chętnie to dla pana zrobię.

Nie byłem pewien, czy mówi serio, czy tylko mnie w ten sposób zbywa, ale nie zastanawiałem się nad tym zbyt długo i postanowiłem skorzystać z jego propozycji. Pewnie moment, w którym Roland Hemans złożył swój ostatni wniosek, powinien był rozwiązać moje wątpliwości na jego temat, ale dopiero teraz zrozumiałem, że kazałem Thriftowi śledzić niewłaściwą osobę.

Przyszła pora wskazać mu ciekawszy trop.

– To by mi odpowiadało. Mówi pan serio?

– W końcu za to mi pan zapłacił.

– Dobrze. Tej osoby nie musiałby pan śledzić całą dobę. Wystarczy dziesięć godzin dziennie. Dajmy na to: od ósmej rano do szóstej po południu. Może pan zacząć w poniedziałek.

– Nie ma sprawy.

– Wyślę panu e-mail ze zdjęciem i adresem – powiedziałem. – Obiekt nazywa się Alison Sampson.

## Rozdział 43

Młodszy z braci wszedł już na poziom czterdziesty drugi i cierpliwie masakrował kolejnego przeciwnika. Starszy był... Gdzieś sobie poszedł. Młodszy nawet nie pytał.

W popielniczce obok tlił się papieros. Właśnie wziął go do ust i mocno się zaciągnął, kiedy powietrze wypełnił rozdzierający pisk.

Wstał tak gwałtownie, że przewrócił krzesło. Wiedział, że to system alarmowy, ale dlaczego się uruchomił?

Z miejsca, w którym stał, widział zarówno główne, jak i boczne drzwi. Obydwa wejścia były zamknięte. Jego wzrok powędrował ku drzwiom do pokoju małej, a połączenia nerwowe w mózgu wreszcie podsunęły mu odpowiedź.

Dziewczynka próbowała uciec.

Wpadł do jej sypialni i zobaczył, że mała stoi na baczność, zwrócona plecami do ściany, zastygła ze strachu. Szafka nocna stała teraz pod oknem, które było lekko uchylone. Musiała zeskoczyć, gdy tylko usłyszała alarm.

– Ej, ej! – warknął. – Co ty wyprawiasz?

Dziewczynka usunęła się przed nim w róg pokoju.

– Nie rób tego – powiedział.

Spojrzał na okno. Wydawało mu się wcześniej, że było zamalowane i szczelnie pokryte zaschniętą farbą, ale teraz, kiedy przyjrzał się mu bliżej, wokół ramy zobaczył pęknięcia. Mała musiała znaleźć kawałek metalu i zeskrobać farbę.

Teraz musiał poszukać jakiejś sklejki i zabić nią okno od zewnątrz. Oddalało go to od wejścia na poziom czterdziesty trzeci.

– Niegrzeczna gówniara – powiedział. – Teraz zobaczysz, co się robi z niegrzecznymi gówniarami.

Złapał ją za przegub, wyjął papierosa z ust i przypalił jej rękę po wewnętrznej stronie.



## Rozdział 44

Do końca tygodnia świadomość tego, co wprawilem w ruch, utrudniała mi kontakt z Alison. Ciężko mi było spojrzeć jej w oczy.

Jakaś część mnie miała wyrzuty sumienia, no bo kto nasyła prywatnego detektywa na własną żonę? Czy faktycznie było ze mną aż tak źle?

Ale z drugiej strony byłem głęboko przekonany, że podjąłem słuszną decyzję. Przynajmniej niebawem miałem się wreszcie dowiedzieć, co się dzieje.

Alison szukała okazji do nawiązania ze mną kontaktu, ale wszystkie jej próby konsekwentnie odrzucałem, a całą uwagę skupiłem na Samie, który zdawał się w końcu przyzwyczajać do braku Emmy. Wymyślił gry, w które mógł się bawić sam, i nie chodził już bez przerwy z nosem spuszczonej na kwintę.

Jednak marsik nie przestawał gościć na jego buzi, często też okazywał swoją tęsknotę za Emmą. Zdarzało się, że rozmawiał z Misiem Emmą, jakby pluszak był jego siostrą. Innym razem robił coś – albo ostentacyjnie tego nie robił – co sprawiłoby Emmie przyjemność. No i był też ten niedzielny poranek, kiedy smażyłem naleśniki i spytałem go, czy chce jednego w kształcie litery S.

Co on na to?

– Tato, a mógłbyś zrobić kilka E?

Podawałem mu je z wielką gulą w gardle.

Nie licząc tych drobnych kryzysów, trzeba powiedzieć, że następne dwa dni przeżyliśmy dość dobrze. Nim się obejrzałem, znów patrzyłem na Joan Smith powtarzającą swój poniedziałkowy rytuał, w którym od kilku dni widziałem już czystą farsę.

– Jak weekend, pani Smith? – zapytałem, wchodząc do biura.

– Bardzo dobrze. Kończyliśmy Mateusza.

Uśmiechnąłem się i odparłem:

– Cieszę się.

Potem wszedłem do swojego gabinetu, żeby przejrzeć informacje, które pewnego dnia, kiedy już sprawa ApotheGenu przycichnie, miały doprowadzić do jej dyskretnej dymisji. Założyłem wcześniej skrzynkę pocztową na nazwisko Carter Ross i w sobotę wysłałem wiadomość do Herberta Thrifta. Teraz czekała już na mnie jego odpowiedź.

Szanowny Panie Ross/Sampson,

Załączam raport dotyczący poprzedniego obiektu obserwacji. Jeśli się Pan zgodzi, uznam tę sprawę za zamkniętą. Dokonałem wstępnych oględzin domu nowego obiektu. Choć może powinienem powiedzieć: Pańskiego domu. Jeśli w przyszłości będzie Pan chciał podać prywatnemu detektywowi fałszywe nazwisko, radzę nie jechać do jego biura własnym samochodem. Skoro już jednak wiem, że nowym obiektem obserwacji ma być Pańska żona, niniejszym proszę o zgodę na wejście na Wasz teren. Dom stoi daleko od drogi i w ten sposób łatwiej mi będzie śledzić jej ruchy.

Dziękuję za decyzję o dalszej współpracy.

Z poważaniem,

Herbert Thrift

Prywatny detektyw

Thrift i Wspólnicy

Przez parę minut bębniłem palcami w biurko, ale w końcu uznałem, że nie ma nic złego w tym, że Thrift zna moją prawdziwą tożsamość, o ile faktycznie był tak dyskretny, jak twierdził w ogłoszeniu. Napisałem mu krótką odpowiedź, w której wyraziłem zgodę, by wszedł na mój teren, zarazem ostrzegając, by nie dał się przyłapać mojej żonie. Potem otworzyłem dołączony do jego e-maila plik PDF.

Dokument otwierało szczegółowe zestawienie wszystkich ruchów Rolanda Hemansa, określanego w raporcie mianem „obiekta”. Każdy wpis zaczynał się od godziny i był dość nudny, czego zresztą można się było spodziewać.

9.17 – Obiekt zjawia się w biurze przy West Brambleton 214.

12.33 – Obiekt opuszcza biuro przy West Brambleton 214 i idzie pieszo do restauracji Subway.

12.41 – Obiekt opuszcza restaurację Subway i wraca do biura przy West Brambleton 214.

Szybko się znudziłem tą bezbarwną narracją i przeszedłem od razu do zdjęć. Pokazywały Rolanda Hemansa wsiadającego i wysiadającego z auta albo wchodzącego i wychodzącego z domu i biura.

W piątek jedynym odstępstwem od tej rutyny była podróż do hotelu Marriott w centrum Norfolk, gdzie kancelaria Leslie, Jennings & Rowley zorganizowała swój sztab. Ściągała do niego naukowców z całego kraju, co było zagranie nietypowym, bo zazwyczaj to adwokaci podróżowali do świadków, a nie na odwrót. Ale był to jedyny sposób na to, żeby zebrać wszystkie zeznania przed wyznaczoną przeze mnie datą.

Na zdjęciach z piątku nie było nic interesującego, ale sobotnie wyglądały dużo ciekawiej. Hemans wyszedł rano z domu, zatrzymał się w kwiaciarni, a potem wjechał na teren Kensington Mews.

Dokładnie to samo zrobił tydzień wcześniej. Kliknąłem na następną fotografię, pokazującą Hemansa parkującego auto. Na następnej wysiadał z samochodu z bukietem kwiatów w dłoni.

Herbert Thrift był dużo bliżej niż ja i dostawszy się na teren osiedla, robił zdjęcia

z doskonałej pozycji. Dzięki temu widziałem dokładnie, co działo się później.

W następnym kadrze Hemans szedł pod arkadami budynku, a chwilę później stał przed drzwiami jednego z mieszkań.

Potem ktoś otworzył drzwi.

I nie była to Joan Smith.

W progu stał Jeremy Freeland.

Następne zdjęcie było kulminacją całej serii. Pokazywało Jeremy'ego w objęciach Hemansa.

Potem, jakby dla rozwiania wszelkich wątpliwości, pocałowali się i weszli do środka.

To był ostatni kadr. Wróciłem do pisemnego sprawozdania. Hemans przyjechał do Kensington Mews o 8.12. Potem widniał wpis: „9.17 – Klient dzwoni i odwołuje obserwację obiektu”.

Więcej informacji nie potrzebowałem. Roland Hemans rzeczywiście miał romans z członkiem mojego zespołu, tyle że z innym, niż myślałem.

Pewnie dobrych pięć minut gapiłem się na zdjęcie i zastanawiałem nad tym, jak mogłem się aż tak pomylić. Na pewno błędnie oceniłem Hemansa. Dałem się nabrać na stereotyp, który wiąże męskość z heteroseksualizmem.

Z drugiej strony po prostu nie miałem pojęcia, że Jeremy mieszka w Kensington Mews. Kiedy zaczął dla mnie pracować, byłem pewien, że dojeżdża do biura skądinąd. W którymś momencie musiał się przeprowadzić. Może słyszał, jak Joan Smith wychwalała swoje osiedle.

Przeglądając jeszcze raz zdjęcia otrzymane od Thrifta, zaczynałem lepiej rozumieć niektóre rzeczy, na przykład prośbę Jeremy'ego, żebym odsunął się od *Palgraffa*. Wiedział, że nie może brać udziału w sprawie, w której jednym z adwokatów był jego kochanek, ale też nie mógł mi wyjawić, że ma romans z Hemansem. Domyślałem się, że Roland Hemans, mąż i ojciec, Adwokat Roku Stowarzyszenia Czarnoskórych Adwokatów, skrywał swój homoseksualizm na tyle głęboko, by za wszelką cenę uniknąć zdemaskowania.

W osobie Jeremy'ego znalazł ostrożnego, dyskretnego kochanka, którego w pełni zadowalały ich sobotnie schadzki. Prawdopodobnie spotykali się od dłuższego czasu. Jeremy mówił mi, że kiedy poznał Hemansa? Było to w trakcie jakiejś sprawy rozpatrywanej przez sąd apelacyjny, zanim Freeland zatrudnił się u mnie, czyli co najmniej cztery lata temu. Zdaje się, że on sam mówił coś o sześciu, ośmiu latach.

Przez ten czas ich romans przerodził się pewnie w coś na kształt małżeństwa.

Przypomniał mi się dzień, kiedy Jeremy wszedł niepewnie do mojego gabinetu, żeby poprosić mnie o rezygnację z rozpatrywania pozwu. Przez całą rozmowę nerwowo zagryzał wargę. Od momentu, w którym *Palgraff* trafił na naszą wokandę, wiedział, że jakoś musi go stamtąd usunąć. Ale pewnie myślał, że będzie miał więcej czasu.

Nagle całą sprawę rozdmuchały media i nie dało się już zrobić tego po cichu. Kiedy tylko stało się jasne, że nie zamierzam dobrowolnie zrezygnować z prowadzenia sprawy *Palgraffa*, wymyślili obaj, że Hemans złoży formalny wniosek o odsunięcie mnie. Większość informacji zawartych w uzasadnieniu pochodziła od Jeremy'ego. To stąd

Hemans wiedział, że senator Franklin jest ojcem chrzestnym Emmy.

Kiedy wniosek trafił na moje biurko, spodziewali się, że go przyjmę, a Hemans nie będzie się musiał martwić, że jego ewentualna wygrana w sądzie zostanie unieważniona w przypadku, gdyby jego związek z moim sekretarzem ujrzał światło dzienne. A jeśli w przyszłości postanowiliby żyć otwarcie jako para, Jeremy'emu nie groziłaby utrata pracy.

Ich plan był solidny, tyle że trafiło na sędziego, który za żadne skarby nie zamierzał oddawać tej sprawy innemu.

Teraz musiałem się zastanowić, co powinienem zrobić z tą nowo zdobytą wiedzą, z faktami, których nie mogłem się „odwiedzić”, i ze zdjęciami, których nie mogłem „odzobaczyć”. Gdybym postępował według wytycznych spisanych w dowolnym kodeksie etycznym, wezwałbym Jeremy'ego do swojego biura i z miejsca zwolnił go z pracy.

Ale nie etyka, a Emma była teraz moim najwyższym priorytetem.

Nawet gdyby Jeremy przyjął swoją dymisję i odszedł bez robienia afery, i tak ściągnąłby na siebie uwagę, której nie potrzebowałem teraz ani ze strony kongresmena Jacobsa, ani Jeba Byersa, ani tym bardziej mediów. Nie chciałem też ryzykować, że powód jego zwolnienia wyjdzie na jaw. To również doprowadziłoby do odsunięcia mnie od sprawy.

Zatem decyzja była prosta; zamierzałem zająć się tym po rozprawie Markmana. Tymczasem musiałem jakoś uporać się z bieżącym problemem. Nie mogłem dłużej biernie patrzeć, jak Hemans próbuje odsunąć mnie od sprawy.

Monitor mojego komputera wciąż wyświetlał ostatnią stronę raportu Herberta Thrifta – tę, która zawierała dwa najbardziej kompromitujące zdjęcia. Kliknąłem na ikonkę drukarki i wybrałem w telefonie numer wewnętrzny do pokoju Jeremy'ego.

Minutę później siedział już w moim gabinecie. Bez słowa wyjąłem kartkę z drukarki i podałem mu ją przez biurko.

– Spójrz na to, proszę.

Twarz Jeremy'ego, zazwyczaj bardzo symetryczna, na moment mocno się wykrzywiła. Dość szybko jednak doszedł do siebie. Ukrywał swój sekret już sześć, może osiem lat. Być może od dawna spodziewał się, że w końcu wpadnie.

– Skąd pan to ma? – zapytał cicho. – Sam pan zrobił te zdjęcia?

– Nie.

– A kto?

– Nie twoja sprawa – odparłem.

– Ale jak to...

– Teraz musisz wiedzieć tylko jedno: od tej pory nie chcę słyszeć o jakichkolwiek próbach odsunięcia mnie od tej sprawy. To samo masz powiedzieć swojemu chłopakowi.

Jeremy pochylił głowę i jeszcze raz obejrzał zdjęcia.

– Okej – powiedział.

– Możesz odejść.

Nie ruszył się, za to podniósł wzrok i spojrzał mi prosto w oczy.

– Dlaczego mnie pan nie zwalnia? – zapytał.

Na tyle mnie tym zaskoczył, że niewiele brakowało, a szczerze bym mu odpowiedział. W ostatniej chwili ugryzłem się w język i powiedziałem tylko:

– Idź już.

## Rozdział 45

W naszym dawnym życiu, które teraz wydawało mi się odległe jak epoka lodowcowa, poniedziałek oznaczałby cotygodniowe Tańce w Czapkach.

Urok tej zabawy krył się w jej prostocie. Mieliśmy w domu kosz pełen czapek. Przed włączeniem muzyki każdy wybierał dla siebie jedną z nich, albo kilka, jeśli miał tego dnia wyjątkowo głupawy nastrój. Potem puszczałyśmy piosenkę i zaczynałyśmy tańczyć w sposób, który najlepiej pasował do danego nakrycia głowy. Kiedy piosenka się kończyła, każdy sięgał po nową czapkę.

Odkąd wymyśliliśmy tę grę kilka lat temu, nie zdarzył nam się chyba ani jeden poniedziałek bez tańców. Tymczasem właśnie mijał drugi z rzędu poniedziałek, kiedy nikt nawet nie zbliżył się do kosza z czapkami. Tak samo jak nie przychodził nam do głowy Basen z Tatą. Zupełnie jakbyśmy mieli niepisaną umowę, że wszystkie rodzinne rytuały zostają zawieszane aż do powrotu Emmy.

Ten wieczór spędziliśmy więc podobnie jak wszystkie w ostatnim czasie. Alison i ja omijaliśmy się dużym łukiem i udawaliśmy, że jesteśmy czymś zajęci, a Sam oglądał telewizję w ilościach, jakie na ogół były u nas w domu zabronione. Kiedy doszliśmy do wniosku, że wchłonął już dostateczną porcję plazmy w wysokiej rozdzielczości, spędziliśmy trochę czasu we trójkę.

Właśnie skończyliśmy grać w statki. Alison była na górze i namawiała Sama, żeby poszedł spać. Ja stałem w kuchni i zmywałem naczynia, kiedy nagle rozległ się żalosny jęk.

Poznałem głos Sama. W erze przed porwaniem odczekałbym pewnie, aż Alison się tym zajmie, ale teraz rzuciłem gąbkę i garnek i błyskawicznie wbiegłem po schodach na górę.

– Co się dzieje? – zapytałem trochę za głośno, wchodząc do pokoju Sama.

Zastałem go tam z włosami wilgotnymi po kąpielu i w piżamie przyklejonej do wciąż trochę mokrego ciała. Stał na środku sypialni i łkał.

– Nie ma Misia Emmy – powiedziała Alison kojącym tonem.

Miś Sam i Miś Emma były tak ruchliwymi pluszakami, że przynajmniej dwa razy w tygodniu trzeba było przeszukiwać cały dom, żeby znaleźć jednego albo obydwa. Zdarzało się to tak często, że rzadko kiedy się tym przejmowaliśmy.

Ale nie dzisiaj. Tym razem zaginięcie Misia Emmy zdawało się czymś poważniejszym.

– No dobrze, nie ma powodu do paniki – powiedziałem, ale głos powędrował mi do góry. – Gdzie go ostatni raz widziałeś?

Między zduszone jęknięcia Samowi udało się wcisnąć zbolące:

– Nie... nie... nie wiem.

– Zastanów się. Gdzie się ostatni raz z nim bawiłeś?

Sam jeszcze bardziej się w sobie zapadł.

Alison powiedziała:

– Nie pamięta. Daj mu spokój.

– Ja tylko próbuję pomóc – rzuciłem zniecierpliwiony.

– Ale nie pomagasz. To nie jest przesłuchanie.

Wyrzuciłem dłonie w górę.

– Chciałem ustalić, gdzie może być ten cholerny miś. Wcale go nie przes...

Sam rozplakał się jeszcze mocniej. I nie była to jedna z tych dziecięcych, wykalkulowanych hysterii, ale najprawdziwsza, szczerza rozpacz. Ręce trzymał przyciśnięte do boków, a buzię wykrzywił mu paskudny grymas.

– J-j-ja tylko chcę M-m-m-misia Em-mę – zaskomlał.

– Powiedziała mi, że poszukamy go jutro. Jest już późno.

Sam zareagował na to kolejnym wybuchem. Do tej pory był niezwykle odważny i silny, może nawet zbyt silny, bo tłumiał buzujące w nim uczucia. Ale teraz ewidentnie miarka się przebrała. Czasem z dziećmi najwięcej można osiągnąć, skupiając się na najprostszym rozwiązaniu.

– Sam chce Misia Emmę – powiedziałem. – Trzeba go poszukać.

– Jutro.

Sam zawył, a ja odczułem to, jakby ktoś przeciągnął po mojej korze mózgowej żelaznymi grabiami.

– Nie – odparłem, bezskutecznie siląc się na opanowany ton. – Poszukamy. Go. Teraz.

– Scott, to nie jest...

– Pomożesz nam czy nie? – spytałem i zajrzałem pod łóżko.

Potem sprawdziłem za komodą, gdzie Miś Emma lubił się chować. Podniosłem kołdrę Sama, bo czasem się w nią zawijała, a później przegrzebałem stertę innych pluszaków w rogu pokoju (Miś Emma nieraz właśnie tam udawał nieobecnego).

Alison tylko się na mnie gapiała. Sam stał nieruchomo i dalej rozpaczał.

– No chodź, Sammy – powiedziałem i klęknąłem przy nim, żeby chwycić go za jego chudziutkie barki. – Pomóż tacie. Gdzie ostatni raz się nim bawiłeś? Na pewno pamiętasz.

Jeszcze kilka razy zachłysnął się powietrzem i wreszcie odparł:

– Może w dużym po-po-pokoju.

Pobiegłem na dół, ledwo dotykając stopami schodów. Salon był zawałony zabawkami, samochodzikami i klockami. Zazwyczaj kazaliśmy Emmie i Samowi po sobie sprzątać, ale ostatnio byliśmy trochę mniej wymagający.

Rozejrzałem się szybko po najoczywistszych miejscach, po czym zajrzałem pod meble. Uniosłem stolik, sofę i fotel. Potem rozgrzebałem poduszki kanapowe.

Następny był kosz z czapkami. Zdziwiłem się, że wcześniej na to nie wpadłem. Samowi tak zależało na tańcach, że nawet na nas nie czekał i jedną rundkę odbył z Misiem Emmą. Byłem pewien, że znajdę go pod fezem albo wetkniętego w wełnianą czapkę.

Wyrzuciłem z kosza po kolei wszystkie nakrycia głowy, aż dotarłem do dna. Znowu pudło.

Rośliny w rogu pokoju. Może Emma ukryła się w tej domowej dżungli. Odsunąłem wszystkie donice, ale zamiast znaleźć zgubę, tylko zabrudziłem parkiet ciemnobrązową wodą.

Potem skupiłem się na naszym domowym centrum rozrywkowym. Było tam całe

mnóstwo zakamarków i szczelin między telewizorem, dekoderm, głośnikami, routerem bezprzewodowym i modemem. W każdym z tych zakątków bez problemu mógłby się zmieścić pluszowy miś i zamierzałem dokładnie sprawdzić każdy centymetr sześcienny.

Porażka nie wchodziła w grę. Miś Emma musiał gdzieś leżeć. Nie mógł zniknąć z powierzchni ziemi.

Mocno się zgrzałem, przeszukując tyle miejsc w tak szybkim tempie, ale nie przejmowałem się tym. Byłem już przy dużym kredensie, na którym trzymaliśmy gry planszowe. Sam musiał zostawić tu swoją maskotkę, kiedy brał pudełko z okrętami.

Pociągnąłem za uchwyt drzwiczek i uwolniłem lawinę gier: „Trouble”, „Chińczyk”, „Pędzące Żółwie”, „Monopol”. Niektóre pudełka spadły na podłogę, uderzając bokiem, i wyleciały z nich kości, klepsydry, pionki i karty. Nic mnie to nie obchodziło. Liczył się tylko Miś Emma.

Ale nie było go w kredensie. Ani w żadnej z szuflad. Każdą z nich przejrzałem co do milimetra.

Mój wzrok powędrował do półek z książkami, wbudowanych w ściany. Sam czasami podrzucał swoje pluszowe misie. Możliwe, że Emma wylądowała za którąś z książek.

Zaczynając od lewego górnego rogu, obiema rękami zdejmowałem całe rzędy i ustawiałem je w stertach na podłodze. Przy każdej następnej partii mówiłem sobie, że to tutaj, na pewno tu się ukrywa, jeszcze kilka książek i zobaczę jej przyszyty uśmiezek. Wyobrażałem sobie nie tylko ten sukces, ale też satysfakcję z przyniesienia zabawki mojemu zapłakanemu synowi. Już prawie widziałem, jak jego łyzy wysychają, a na ich miejsce pojawia się wdzięczny uśmiech.

Zdażyłem przenieść kilkaset tomów, kiedy w progu stanęła Alison.

– Możesz przestać – powiedziała cicho. – Sam śpi od dwudziestu minut. Podrapałam go po plecach i zasnął jak zabity. Po prostu był zmęczony. Poszukamy Emmy jutro rano.

Nie zatrzymałem się. Miałem zadanie do wykonania.

– Ten miś nie jest twoją córką – powiedziała Alison. – To nie będzie to samo, co odnalezienie Emmy.

Pod moimi stopami leżał kolejny rząd książek.

– Scott. Rozejrzyj się po tym pokoju. Zatrzymaj się na chwilę. Spójrz.

Złapała mnie delikatnie za przegub, żebym nie zdażył zgarnąć z półki kolejnych książek. Tym gestem momentalnie wybudziła mnie z transu. W tej samej chwili doznałem tego rzadkiego doświadczenia, kiedy człowiek oddziela się od swojego ciała i jest w stanie przyjrzeć się samemu sobie.

Zobaczyłem przygarbionego, łysiejącego, pogrążonego w rozpacz mężczyznę w średnim wieku. Był zlany potem, a jego koszula wysunęła się ze spodni. Pokój, w którym stał, był kompletnie zdewastowany, jak po wizycie włamywaczy. Jego żona patrzyła na niego ze strachem w oczach, bo ujrzała, że jej mąż odchodzi od zmysłów.

Usiadłem ciężko na podłodze i oparłem się o puste półki. Otaczały mnie sterty książek. Alison ukucnęła obok i poklepała mnie po ramieniu.

– Już dobrze.



– Przepraszam – powiedziałem.

– Już dobrze – powtórzyła.

Chyba chciała się do mnie zbliżyć, ale nie było to łatwe, bo otaczały mnie książki, więc tylko pogłaskała moje udo.

I nagle puściły mi wszystkie hamulce. W jednej chwili zacząłem szlochać, całym ciałem. Mięśnie mojego brzucha mocno się skurczyły, barki gwałtownie zadrżały, a ja na to pozwoliłem. Zresztą nie miałem siły dłużej się powstrzymywać. Przez cały dzień udawałem zrównoważonego i już nie mogłem wytrzymać.

Alison przesunęła stertę książek i uklękła obok mnie. Objęła mnie oburącz i próbowała łagodnie uciszyć. Kobieta, którą od rana śledził wynajęty przeze mnie prywatny detektyw, matkowała mi teraz z tą samą czułością, z jaką przed chwilą usypiała swoje dziecko.

Kiedy już odzyskałem minimalną kontrolę nad swoim brzuchem i barkami, przyciągnęła mnie bliżej i pozwoliła wypłakać się w swoją bluzkę.

Jej chłopaki miały ciężki wieczór.

Nazajutrz znaleźliśmy Misia Emmę na krześle przy stole kuchennym.

Dokładnie tam, gdzie Sam go zostawił.

## Rozdział 46

Z początkiem środy, co w jego przypadku oznaczało późny poranek, młodszy z braci jak zwykle przejrzał najpierw nagranie z minionej nocy.

Wtorkowy wieczór wyglądał tak jak poprzednie. Od czasu do czasu na ekranie pojawiała się osoba, która akurat pełniła straż, czyli mężczyzna albo któraś z dwóch kobiet. Ale poza tym cisza i spokój. Dokładnie jak w poniedziałek. I jak od ponad tygodnia.

Upewnił się, że wszystkie kamery mają ustawioną poprawną ostrość, żeby uchwycić kolejny dzień rutynowej nudy, kiedy w kadrze pojawiło się coś nowego.

Była to sylwetka mężczyzny czającego się na skraju lasu za domem sędziego. Stał na tyle daleko, że trudno było dostrzec cokolwiek ponad to, że ma siwe włosy, pali papierosa i chowa się za drzewem, żeby nie dało się go zobaczyć z frontowych drzwi.

– Ej!, ej! – zawołał. – Chodź tutaj. Musisz coś zobaczyć.

Jego brat natychmiast był obok.

– Spójrz na ten kadr – powiedział młodszy.

Starszy z braci pochylił się w stronę monitora i zapytał:

– Kto to?

– Nie wiem. Pierwszy raz go widzę.

– Co tam robi?

– Zdaje się, że obserwuje dom.

– Możesz zbliżyć?

– Jest za blisko krawędzi kadru. Jak zbliżę, to zupełnie zniknie. Myślisz, że to glina albo federalny? – zapytał młodszy z braci.

Starszy pokręcił głową.

– Jest sam. Federalni pracują parami.

– Nie wiesz tego. Może jego partner jest lepiej schowany.

Bracia przyglądali się uważnie człowiekowi, który obserwował dom. Wszyscy trzej zastygli w bezruchu.

– Dzwonimy? – zapytał młodszy.

– Nie. Za mało wiemy. Pójdź tam i sprawdź, o co chodzi.

Młodsze nie trzeba było prosić dwa razy. Miał już dosyć bezczynności.

## Rozdział 47

Po incydencie z Misiem Emmą odczekałem aż do środowego poranka, zanim zadzwoniłem do Herba Thrifta. Wymagało to ode mnie nieludzkiej cierpliwości. Przez cały wtorek, kiedy tylko znalazłem wolną chwilę, myślałem wyłącznie o jednym: co teraz robi Alison? Jakież to niespodzianki rejestruje mój detektyw na kliszy fotograficznej? Czy właśnie knują coś z Paulem Dresserem? Czy właśnie mija ostatni dzień naszego małżeństwa?

Ręce lekko mi się trzęsły, kiedy wybierałem numer do Thrifta, i nie przestały się trząść, gdy połączyłem się z jego pocztą głosową. Zostawiłem mu wiadomość, a potem zadzwoniłem na numer stacjonarny i ten sam komunikat nagrałem na sekretarkę w jego biurze.

Zostawiłem komórkę na biurku, żeby nie przeoczyć jego telefonu, i spróbowałem zmusić się do pracy. Nazajutrz czekało mnie ogłoszenie wyroku w innej sprawie narkotykowej, podobnej do *Skavrona*, która jednakże uszła uwadze porywaczy. Oni zresztą sprawdzili już moją lojalność.

Niedługo po mojej porannej rozmowie telefonicznej z kuratorem sądowym, który sporządził wstępny raport, do drzwi gabinetu zapukał Jeremy.

W tak ciasnym biurze jak nasze nie mogliśmy się bez końca nawzajem unikać, zwłaszcza że blisko ze sobą współpracowaliśmy. Ale przez dwa dni, które minęły od kłótni w sprawie Hemansa, prawie w ogóle nie rozmawialiśmy. Wymienialiśmy się tylko służbowymi e-mailami i mijając się na korytarzu, kiwaliśmy do siebie głowami.

Domyślałem się, że spróbuje albo oczyścić powietrze, albo doprowadzić do względnego odprężenia w naszych stosunkach. Dłużej nie mogliśmy tak pracować.

– Wejdz, Jeremy – powiedziałem.

O dziwo, nie zauważyłem w jego zachowaniu ani odrobiny pojednawczości. Przemierzył mój gabinet szybkim krokiem i stanął przed biurkiem.

– Właśnie odebrałem telefon z sali pełnej prawników – rzucił. – Denny Palgraff miał dzisiaj składać zeznania, ale się nie pojawił.

Moja głowa przechyliła się lekko na bok.

– Jak to się nie pojawił? Przecież jest powodem.

– Nie wiem, co powiedzieć. Miał wyznaczony termin na dziewiątą rano w Marriotcie, ale nie przyszedł. Dzwonili do niego, lecz nie odbierał. Pojechali do jego hotelu, ale tam też go nie było. Przepadł bez śladu.

– Ale... czemu?

Jeremy uniósł w górę otwarte dłonie.

– Niestrawność? Skąd mam wiedzieć?

Spojrzałem na zegarek w komputerze. Pokazywał dwunastą osiem. Wyobraziłem sobie duszną salę konferencyjną, w której tłum prawników spiera się, co zrobić, i w końcu decyduje, że jeśli Palgraff nie pojawi się do południa, to zadzwonią do mnie, bo a nuż sędzia Sampson wpadnie na jakiś pomysł.

Wyznaczony przeze mnie, niedorzeczny termin zakończenia postępowania dowodowego przypadał na następny wtorek, czyli został niecały tydzień. Widziałem ich

plan działań – był napięty, bez miejsca na opóźnienia. A nie mogli zamknąć postępowania bez słowa – albo dwunastu tysięcy słów – ze strony Palgraffa.

Zakląłem na głos.

– Czekają na linii – odezwał się Jeremy. – Powiedziałem im, że zapytam sędziego. Co robimy?

– Niech dalej próbują go namierzyć. Może się wystraszył i czai się w jakiejś kawiarni. Jak go nie znajdą, o piątej chcę tu zobaczyć Hemansa i Wortha.

Pokazałem na dwa krzesła przed moim biurkiem.

– Okej – odparł Jeremy. – Załatwione.

Tego popołudnia patrzyłem na zegar ścienny w moim gabinecie kilkaset razy. Za mój niepokój w dużej mierze odpowiadało zniknięcie powoda i opóźnienia, jakie w związku z tym groziły procesowi. Resztę wywoływał brak kontaktu z detektywem.

Nawet oglądanie zdjęć Emmy w telefonie nie było w stanie mnie uspokoić, a to dlatego, że na wielu z nich była też Alison. I za każdym razem, kiedy patrzyłem na jej twarz, zadawałem sobie pytanie: czy już wtedy coś planowała? Czy aparat fotograficzny potrafi uchwycić czające się w czyimś sercu zło?

Tylko Herb Thrift znał tę odpowiedź. Łatwo byłoby sobie wytłumaczyć, że nie odebrał moich wiadomości, bo był zajęty śledzeniem mojej żony. Tyle że nieodzowną częścią jego pracy była bezczynność. W momentach zastoju notoryczne sprawdzanie wiadomości stanowiło niemal rozrywkę.

Zadzwoiłem jeszcze kilka razy, na komórkę i stacjonarny. Thrift wciąż nie odbierał.

A może potwierdził moje najgorsze przeczucia i nie miał serca powiedzieć mi, że Alison stoi za porwaniem moich dzieci? Może nie dzwonił, bo podejrzewał, że tak było, ale nie chciał jej oskarżać, nie mając jednoznacznych dowodów. Niepewność zżerała resztki mojego zdrowia psychicznego.

Parę minut przed piątą, kiedy słyszałem już za drzwiami głosy schodzących się adwokatów, wciąż nie miałem żadnej wiadomości od Thrifta. Wywołane tym uprzednio zdziwienie teraz ustąpiło miejsca oburzeniu. Jak mógł mnie tak zostawić bez wieści? Czyżby nie zdawał sobie sprawy, że człowiek nasyłający detektywa na własną żonę będzie przez cały czas śledztwa odchodził od zmysłów?

Zrobiłem, co mogłem, żeby odsunąć od siebie te myśli i skupić się na rozwiązaniu bieżącego problemu. Z recepcji dobiegał głos pani Smith, która czyniła honory gospodyni, proponując gościom wodę i kawę. Podejrzewałem, że każdy z nich wolałby coś mocniejszego.

Przyszło ich trzech: Hemans i Worth, których wezwałem, i Vernon Willards, etatowy adwokat ApotheGenu.

Zaprosiłem ich do swojego gabinetu. Weszli w towarzystwie Jeremy'ego. Witając się, wszyscy mieliśmy ponure miny, odpowiednie do okazji. Niewygodnie byłoby siedzieć w pięć osób przy biurku, więc zaprosiłem ich do niewielkiego stołu konferencyjnego ustawionego przy oknie.

– No dobrze, przejdźmy od razu do sedna – zaproponowałem. – Czy ktoś może mi zrelacjonować dzisiejszy dzień?

Worth zaplótł swoje smukłe palce i skinął na swojego rywala.

– To twój klient. Opowiadaj.

Hemans wyprostował plecy. Nawet siedząc, przerastał wszystkich o pół głowy.

– Krótko mówiąc – zaczął dźwięcznym basem – mój klient miał się stawić na zeznania dziś o dziewiątej, ale nie przyszedł.

– Czy miał pan jakiegokolwiek sygnały, że tak się może stać? – spytałem. – Był zdenerwowany?

– Panie sędzio, wolałbym nie omawiać stanu psychicznego mojego klienta w obecności...

– Daj spokój, Hemans – przerwałem mu. – Nie jesteśmy na sali sądowej, rozmawiamy nieoficjalnie. Odpowiedz na pytanie.

Hemans aż odrzuciło. Poza budynkiem sądu pewnie nie zdarzyło mu się nigdy, by ktokolwiek tak mu się postawił. Ale prawda była taka, że w tych czterech ścianach to ja byłem ponaddwumetrowym samcem alfa.

– No tak, był trochę spięty – powiedział Hemans. – Czy to dziwne? Jest naukowcem, nie prawnikiem. Nigdy wcześniej nie składał zeznań. Nie brał udziału w procesie sądowym. A obrona ma po swojej stronie ilu ludzi? Pięćdziesięciu dwóch?

– Mniej – wtrącił Worth.

– Wie sędzia, co mam na myśli. Tak, powiedziałbym, że był zaniepokojony. W ogóle dziwny z niego gość, ale nic nie wskazywało na to, że ma zamiar zwiać.

Westchnąłem z niezadowoleniem. Sędziowie czasami wyolbrzymiają swoje zniecierpliwienie, żeby zmusić notorycznie powolny wymiar sprawiedliwości do szybszych działań. Tym razem jednak moja irytacja nie była udawana.

– Okej, czyli nie pojawił się na swoim zeznaniu i zakładam, że nie odbiera telefonu – stwierdziłem. – Mam nadzieję, że pańscy ludzie go szukają.

– Wysłałem współpracę do motelu, w którym mieszkał. Motel 6, przy autostradzie. Nie stać nas na Marriotta jak obronę. Pomyślałem, że zasnął albo zepsuł mu się samochód. Ale nie było tam ani jego, ani jego auta.

– Tego na olej roślinny? – spytałem.

– Zgadza się.

– Dobra. Co potem?

– Moja współpracownica do mnie zadzwoniła, żeby złożyć raport. Wtedy poinformowałem Wortha, co się dzieje, a on był na tyle miły, że zaproponował pomoc w odszukaniu Palgraffa.

– Uznałem, że jako pracownik wymiaru sprawiedliwości mam taki obowiązek – odezwał się Worth, wyraźnie zadowolony z punktów, które w swoim mniemaniu właśnie ugrał. – Rozesłaliśmy po całym mieście około dwudziestu osób. Razem z – tu spojrzął na Hemansa – pięcioma, może sześcioma pracownikami z kancelarii Hemansa... Sądziłem, że tak liczna ekipa bez trudu odnajdzie Palgraffa. Ale teraz podejrzewamy, że wyjechał z miasta.

Musiałem się z nim zgodzić. Dwadzieścia kilka osób nie powinno mieć problemu ze znalezieniem grubego, brodatego naukowca w lenonkach, jeżdżącego rozklekotanym kombi na olej roślinny.

Spojrzałem na Hemansa.

– Czyli w tym momencie nie masz absolutnie żadnego pojęcia, gdzie się podziewa twój klient, tak?

– Zgadza się – odparł Hemans i lekko się zapadł w swoim krześle.

Pozwoliłem jego słowom przez chwilę wybrzmieć, a sam skupiłem się na ugaszeniu tłącej się we mnie złości. Gdybym odnalazł Denny'ego Palgraffa, odebrałbym od niego zeznania. Ale najpierw bym go udusił.

Ciszę przerwał Vernon Willards.

– Wysoki sędzie, w zaistniałych okolicznościach uważam, że należy odroczyć termin zakończenia postępowania dowodowego. W rzeczy samej chcielibyśmy wręcz całkowitego unieważnienia pierwotnego planu i...

– Panie... Willards, dobrze mówię? – przerwałem mu.

Przytaknął posłusznie. Jego też miałem ochotę udusić.

– Nie przypominam sobie, że bym pana dzisiaj zapraszał czy pytał o pańskie zdanie. Ale skoro już je pan wygłosił, pozwoli pan, że pozbawię go złudzeń: nie będzie żadnego odroczenia. Na wyrok w tej sprawie czekają miliony ludzi, których życie zależy od wprowadzenia leku na rynek. Rozumiemy się?

– Tak jest – odparł Willards.

– Co do pana, panie Hemans, postawię sprawę jasno: dam panu czterdzieści osiem godzin na znalezienie swojego klienta i odebranie od niego zeznań. W przeciwnym razie skażę was obu za obrazę sądu. Albo Palgraff, albo pan spędzi weekend w więzieniu.

– Panie sędzio, jakim cudem mam...

– Chyba że mam pana skazać już teraz. US Marshals mogą zorganizować panu nocleg jeszcze dzisiaj. Jeśli sędzi pan, że Motel 6 jest gorszy od Marriotta, to powinien pan odwiedzić więzienie regionalne w Hampton Roads.

Było to z mojej strony jaskrawe przekroczenie uprawnień i nienawidziłem siebie za to zachowanie, ale nie zamierzałem się teraz wycofywać. Hemans musiał to wyczuć, bo powiedział tylko:

– Nie, dziękuję, panie sędzio. Znajdę swojego klienta.

– Doskonale – odparłem. – Wygląda na to, że wszyscy mamy co robić. Do dzieła, panowie.

Trzej prawnicy wstali z krzeseł i ruszyli w stronę drzwi. Jeremy, który przez całe spotkanie nie odezwał się nawet słowem, siedział w milczeniu, aż wszyscy wyszli.

– Co? – spytałem.

Nie mogłem spojrzeć mu w oczy, za to on nie spuszczał wzroku.

– Mógłbym zadać sędziemu to samo pytanie.

– W interesie publicznym jest jak najszybsze doprowadzenie tego procesu do końca.

– Tak, wiem.

Zmęczyło mnie jego świdrujące spojrzenie, więc wstałem od stołu i wróciłem do biurka, gdzie udałem, że przeglądam coś ważnego na komputerze. Po ataku gniewu zostało mi lekkie rozedrganie.

Jeremy w końcu też wstał i podszedł bliżej.

– Panie sędzio, co się dzieje? – zapytał. – Poważnie. To wszystko zupełnie do pana nie pasuje. Jest środa. Dlaczego nie jest pan na basenie z dziećmi?

Zjąłem się telefonem, na którym wyświetliłem zdjęcie Emmy z minionego lata. Stała na naszej małej plaży ubrana w nowy kostium kąpielowy i pozowała jak mała miss, uśmiechając się od ucha do ucha. Pamiętam, że kiedy robiłem to zdjęcie, myślałem: gdzie dziewczynki w jej wieku uczą się tak pozować? Obserwując dorosłe kobiety? Czy po prostu naśladowują księżniczki z filmów Disneya? A może mają to w genach?

– Panie sędzio. Może mógłbym jakoś pomóc?

– Idź już – powiedziałem pod nosem.

Potem wstałem i poszedłem do swojej prywatnej łazienki. Poczekałem tam, aż Jeremy wyjdzie.

## Rozdział 48

Nie miałem powodu zostawać dłużej w biurze, ale i tak siedziałem przy swoim biurku jeszcze pół godziny. Udawałem, że przygotowuję się do jutrzejszego ogłoszenia wyroku.

W końcu przyznałem się przed samym sobą, że gram na zwłokę, i zrozumiałem, dlaczego to robię. Chciałem pojechać do Herberta Thrifta i dowiedzieć się, czemu mój detektyw nie odbiera telefonu. Nie zniósłbym kolejnej doby domyślania się, co takiego zobaczył.

Alison spodziewała się mnie w domu, ale ja się tam nie wybierałem, więc zadzwoniłem na nasz numer stacjonarny.

– Halo?

– Cześć, to ja.

– Cześć – powiedziała.

Jej głos zabrzmiał nerwowo. W tle słychać było dźwięki kreskówki dobiegające z telewizora.

– Utknąłem w pracy. Mamy mały kryzys.

– Kiedy go rozwiążesz? – spytała.

– Nie wiem.

– Bo bardzo byś mi się tu przydał.

– Wszystko w porządku?

– Poczekaj – powiedziała i po chwili dźwięki kreskówki stopniowo ucichły.

– Słyszałam dzisiaj strzał. Naprawdę blisko. Jestem pewna, że na naszej działce. Boję się wypuścić Sama na dwór. Sama też boję się wyjść.

– To pewnie myśliwi.

– Były dwa strzały – ciągnęła, nie zważając na moje słowa. – Jakies pięć sekund odstępu.

– Jeden strzał na powalenie zwierzęcia, drugi na dobiecie.

– Przecież postawiliśmy znaki „Zakaz polowania”.

Telefon do straży leśnej nie wchodził w grę.

– Słuchaj, nie wiem, co ci powiedzieć. Przyjadę, jak tylko będę mógł. Muszę coś dokończyć. Przepraszam.

W odpowiedzi Alison po prostu się rozłączyła.

Była za dwadzieścia siódma. Herb Thrift zakończył obserwację Alison o szóstej. Jeśli od nas udał się bezpośrednio do domu, to powinien być na miejscu za kwadrans siódma.

Zebrałem swoje rzeczy i niedługo potem sunąłem swoim buickiem w stronę agencji Thrifta. Dziesięć minut później zjechałem z Northampton Boulevard na niewielki parking dla klientów przy jego starym, podniszczonym domu. Wszedłem po schodach na werandę i zadzwoniłem do drzwi trzy razy, ale nikt mi nie otworzył.

Gdzie on się podziewał? Dlaczego mnie unikał? Głośno zakląłem i poszedłem na tył domu. Jeśli Herbert Thrift był u siebie, zamierzałem go znaleźć.

Na końcu podjazdu znajdował się stary garaż. Zajrzałem do środka przez pękniętą



szybę. Stał w nim niewielki pikap.

Czyli Thrift był w domu? Czy on w ogóle śledził moją żonę? Znów przekląłem pod nosem.

Z tyłu domu było drugie wejście. Do drzwi prowadziło kilka schodków. Wszedłem po nich ciężkimi, głośnymi krokami i zapukałem. Ze środka dobiegały jakieś dźwięki. Telewizor albo radio. Zapukałem jeszcze raz, tym razem mocniej.

– Panie Thrift?! – zawołałem, stojąc z pięściami przyciśniętymi do boków.

Cisza.

Teraz już uderzyłem w drzwi.

– Panie Thrift, zaczyna mnie pan denerwować! – krzyknąłem ze złością. – Zapłaciłem panu gotówką.

Z sąsiedniego domu wyjrzała siwa kobiecina i przez chwilę mi się przyglądała.

– Niech pani pilnuje swoich spraw – warknąłem na nią.

Momentalnie się wycofała, a ja dalej waliłem w drzwi i próbowałem wywołać Thrifta.

Wściekłym krokiem wróciłem do samochodu, otworzyłem aktówkę i wyrwałem kartkę z notesu. Napisałem na niej szybko: „Panie Thrift, PROSZĘ O TELEFON”. Podkreśliłem wszystko trzema liniami, podpisałem się i zostawiłem swój numer.

Podszedłem znów do tylnego wejścia i wetknąłem liścik w drzwi tuż nad klamką, gdzie nie można go było przeoczyć. Potem odjechałem, gotując się z oburzenia.

## Rozdział 49

Był późny wieczór, kiedy starszy z braci zobaczył na podjeździe światła samochodu.

Nie zamrugały dwa razy na umówiony znak, że wszystko w porządku, ale ewidentnie była to furgonetka z młodszym bratem za kierownicą. I nie wyglądało na to, żeby cokolwiek poszło nie tak.

Starszy brat rozbroił system alarmowy i czekał niecierpliwie przy drzwiach, aż młodszy wreszcie wejdzie do środka.

– Gdzieś ty się szlajał? – spytał go. – Nie było cię cały dzień.

Młodszy brat trzymał w dłoni duże plastikowe pudełko na jedzenie i lekko się uśmiechał.

– Miałeś zadzwonić – strofował go starszy. – Martwiłem się.

– Wszystko okej – odparł tamten i uśmiechnął się nieco szerzej.

– Dlaczego cuchniesz whisky?

– Bo byłem w barze.

– Co? Pojebało cię?

– Mam dosyć tej nory. Ty ciągle sobie gdzieś jeździsz, a ja się tu kiszę.

– Dostajemy kupę forsy – skarcił go brat. – To powinno ci wystarczyć.

– Chciałem tylko trochę poświętować.

– Głupie ryzyko. Ktoś mógł cię rozpoznać.

Młodszy z braci tylko się zaśmiał.

– Myślisz, że te wieśniaki wchodzą na stronę Interpolu i przeglądają zdjęcia ściganych?

Starszy wykrzywił twarz.

– Dobra, nieważne. Co się tam działo? Kim był ten człowiek w lesie?

– Już nie jest problemem.

– Jak to?

Młodszy podał mu plastikowe pudełko. Starszy brat otworzył pokrywkę i natychmiast ją zamknął.

– Chryste – jęknął.

Młodszy znów się uśmiechnął i włożył pojemnik do lodówki.

## Rozdział 50

Mijało piątkowe popołudnie, a dwie rzeczy wciąż się nie wydarzyły.

Po pierwsze, Herbert Thrift do mnie nie zadzwonił, mimo że zostawiłem mu jeszcze kilka wiadomości z prośbą o kontakt. Po drugie, Roland Hemans nie znalazł Denny'ego Palgraffa.

Drugi fakt miał, zgodnie z moją groźbą, skutkować uwięzieniem adwokata powoda na weekend, ale kiedy Jeremy Freeland błagał mnie, żebym dał jego kochankowi więcej czasu, ustąpiłem. Patrząc na sprawę z praktycznego punktu widzenia, Hemansowi trudno byłoby namierzyć swojego klienta zza czteroipółmetrowego ogrodzenia zwieńczonego drutem kolczastym.

Co do Herberta Thrifta, to wyglądało na to, że mój detektyw wyruszył w nieznane. Może to i dobrze. Przez cały tydzień subtelnie przepytywałem Sama i nie zauważyłem rozbieżności między jego relacjami z minionych dni a tym, co słyszałem od Alison. Nie było żadnych niewyjaśnionych nieobecności, żadnych podejrzanych spotkań z ciotkami, żadnych zmyślonych drzemek. Moje ciągłe węszenie w jej profilu na Facebooku też nie przyniosło większych rewelacji.

Moją ostatnią czynnością sądową w tym tygodniu, ustaloną na drugą po południu, było posiedzenie w przedmiocie odwołania zwolnienia warunkowego. Oznaczało to, że przestępca, który został warunkowo wypuszczony z więzienia, zrobił coś, czego nie powinien był robić – a najczęściej kilka takich rzeczy – w związku z czym prokuratura naciskała na jego ponowne uwięzienie. Można by to nazwać rutynową czynnością, tyle że na ogół nie ma nic rutynowego w sprawach, w których stawką jest czyjaś wolność.

Oskarżony był łysy, biały, mocno sterany życiem – hardy typ, jakich widziałem u siebie już wielu. Miał prywatnego obrońcę, ubranego w tani garnitur debutanta na mojej sali sądowej.

Prokuratorem był znów Will Hubbard. Kiedy zarządzano ciszę – a był to moment, w którym prokuratorzy zazwyczaj stawali na baczność, w pozie wyrażającej szacunek dla urzędowej ceremonii – on zwiesił głowę i ostentacyjnie nie patrzył w moją stronę. Wołałem nie wiedzieć, co powiedział Jebowi Byersowi o moim wyroku w sprawie Skavrona.

Otworzyłem postępowanie w kilku słowach, po czym oddałem głos Hubbardowi, który wciąż unikał mojego wzroku, kiedy mówił:

– Dziękuję, wysoki sędzie.

Następnie odczytał listę zarzutów wobec oskarżonego. Obejmowała ona dwukrotny pozytywny wynik badań na obecność narkotyków we krwi i odmowę poddania się trzeciemu testowi, ponadto przebywanie w towarzystwie osób, z którymi zabroniono mu się spotykać. Wystarczyło to, żeby z kilku różnych paragrafów wysłać go z powrotem za kratki.

Hubbard oczywiście musiał udowodnić winę oskarżonego, więc zaprosił kuratorkę na podest dla świadków. Jej zeznania były rutynowe i złożone z formułek, które ona mówiła, a ja słyszałem już wiele razy. Sposób, w jaki odgarniała włosy z twarzy, przypominał mi trochę Alison i ni stąd, ni zowąd przyszedł mi na myśl aromatyzowany

susz kwiatowy.

W mijającym tygodniu we wszystkich łazienkach naszego domu pojawiły się nagle woreczki wypełnione suszonymi kwiatami i inne akcesoria zapachowe. Zdziwiło mnie to, bo Alison nigdy nie przejawiała zainteresowania potpourri.

Ale w czwartek wieczorem, krótko po kolacji, poszedłem do łazienki na parterze, gdzie spod zapachu lilii i cynamonu przebiła się do moich nozdrzy inna, dużo mniej przyjemna woń.

Wymiociny. Nieustanny lęk poczynał sobie tak bezlitośnie z jej żołądkiem, że nie była w stanie utrzymać jedzenia. Rozejrzałem się uważniej i odkryłem odświeżacz powietrza w spreju, kolejny produkt, którego nigdy wcześniej nie kupowaliśmy.

Zresztą wystarczyło spojrzeć na Alison, żeby zauważyć, jak wiele kosztuje ją ten koszmar. Jeszcze bardziej schudła i miała niemal permanentnie zapadnięte oczy. Dziewczęcą lekkość, z jaką dawniej się poruszała, zastąpiła krucha niepewność. Można było odnieść wrażenie, że Alison z dnia na dzień się zestarzała.

Tego nie dało się udawać, prawda? Aż tak skrajne oznaki stresu chyba nie pojawiłyby się u osoby, która tak naprawdę wiedziała, że jej córce nic nie grozi, że jest karmiona zdrowym jedzeniem, chroniona przed orzeszkami ziemnymi i groźnymi ludźmi uzbrojonymi w noże.

Te pytania przebiegały przez moją głowę, tymczasem z zamyślenia wytrąciło mnie wołanie obrońcy:

– Sprzeciw! Nie widzę, jak te fakty mają się do rozpatrywanej tu sprawy.

Hubbard ripostował:

– Te fakty pokazują schemat niebezpiecznych zachowań oskarżonego.

– Naszym zdaniem dowodzą jedynie uprzedzenia po stronie prokuratury. Wszystko to daleko wykracza poza ramy niniejszego posiedzenia. W dodatku, kiedy już się podobne rzeczy wypowie, trudno jest je potem cofnąć. Na zawołanie mógłbym przytoczyć co najmniej trzy sprawy, które potwierdzają moje słowa: *Bennett, Brown* czy choćby *USA kontra Feller*.

Gapilem się na nich tępo, przyłapany na chwili nieuwagi. Rzuciłem spojrzenie protokolantce, w nadziei, że dostrzeże moje zagubienie i odczyta mi zeznania, które wywołały spór. Ale ona tylko patrzyła na mnie wyczekująco, czekając, aż się odezwę.

Bo to właśnie jako sędzia powinienem był w tej sytuacji uczynić.

Zrobiło mi się gorąco na twarzy; Jean Ann wyciągała szyję, żeby mnie zobaczyć. Oficer straży sądowej nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

Pierwszy odezwał się Hubbard:

– Wysoki sędzie, nie ma pan pojęcia, o czym rozmawiamy, prawda?

Wyrzucił ręce w górę w geście zniecierpliwienia. Żaden inny prawnik nie pozwoliłby sobie na taką demonstrację, ale Hubbard najwyraźniej czuł, że ma do tego prawo ze względu na niedawny epizod z naszym udziałem.

Fakt, że w tym przypadku jego niesubordynacja była uzasadniona, nie miał jednak najmniejszego znaczenia. Musiałem opanować sytuację, choćby tylko dla ratowania twarzy.

– Panie Hubbard, zdaje się, że się pan zapomniał – powiedziałem. – Będzie pan

traktował sąd z należyтым szacunkiem, rozumiemy się?

Uśmiechnął się szyderczo, ale odparł:

– Tak, wysoki sędzie.

– Świetnie. Sprzeciw podtrzymany. Proszę kontynuować.

Hubbard wykrzywił usta w złośliwym grymasie i choć udało mu się powstrzymać przed eskalacją napięcia, to wiedziałem, że w myślach formułował już skargę do Byersa: „Zachowanie sędziego Sampsona nie przystoi człowiekowi pełniącemu jego funkcję i szkodzi dobremu imieniu Dystryktu Wschodniego Wirginii...”.

Nie mógł wiedzieć, że sam byłem na siebie co najmniej dwa razy bardziej wściekły niż on. Jakkolwiek mało znacząca była dla mnie dzisiejsza rozprawa, w życiu oskarżonego stanowiła jeden z najważniejszych momentów. Wprawdzie był przestępcą, ale zasługiwał na profesjonalizm z mojej strony. On i cały wymiar sprawiedliwości, który poprzysiągłem godnie reprezentować.

Przypomniało mi się coś, co starszy ode mnie sędzia powiedział mi niedługo po mojej nominacji: „Nam nie mogą się zdarzać gorsze dni; ilekroć zasiadamy na sali sądowej, każdy nasz gest, każde słowo ma znaczenie”.

Wstyd i irytacja towarzyszyły mi do końca rozprawy, kiedy posyłałem oskarżonego z powrotem do więzienia, na co sobie zasłużył. Wróciłem do swojego gabinetu i zanim opadłem gniewnie na fotel, prawie zdarłem z siebie togę.

Na rogu mojego biurka leżał nowy stos dokumentów, które wymagały mojej uwagi. Na samym wierzchu zobaczyłem nieco pękatą kopertę z logo FedEx. Rzuciły mi się w oczy słowa „osobiste” i „poufne”.

Zmarszczyłem brwi i wziąłem przesyłkę do ręki. Od razu zauważyłem nazwisko nadawcy.

Rayshaun Skavron.

Były tam też adres i numer telefonu, na pewno fałszywe. Wiedziałem, że nie ma sensu badać koperty pod kątem odcisków palców czy innych, potencjalnie obiecujących tropów. Porywacze udowodnili już, że są bardzo ostrożni.

Otwierając przesyłkę, musiałem zdławić w sobie bardzo już znajome uczucie zbliżającego się ataku paniki.

I momentalnie mnie zemdliło.

Na dnie koperty, zamknięty w plastikowej torebce jak przekąska na lunch, leżał ludzki palec.

## Rozdział 51

Na szczęście nie był to palec Emmy. Ewidentnie należał do dorosłego.

Ale wszelka ulga, jaką przez resztę dnia dawała mi ta świadomość – po tym, jak już wyrzuciłem makabryczny prezent do kosza na śmieci przed budynkiem sądu – ostatecznie tonęła w odmętach skrajnego przerażenia. Przychodziły mi do głowy najróżniejsze scenariusze tego, w jakich okolicznościach ten palec został odcięty od czyjejś dłoni i wetknięty do koperty. I wszystkie były koszmarne.

Po powrocie do domu użyłem zestawu wymówek – zły dzień, ból głowy, niestrawność – żeby tylko nie musieć podtrzymywać pozorów ludzkich interakcji. Nie było mowy, żebym powiedział Alison o tym, co się stało. Moja wymiotująca żona nie potrzebowała kolejnych powodów do stresu.

Wieczorem podjąłem się beznadziejnej misji zaśnięcia. Jednak gdy tylko zamknąłem oczy, wpadłem w wir destrukcyjnych myśli i nie mogłem przestać się nad sobą użalać. Dlaczego to spotykało mnie? Przecież robiłem wszystko jak należy, a przynajmniej się starałem. Ciężko pracowałem, przestrzegałem zasad ruchu, dochowywałem wierności żonie, byłem dobrym ojcem. Czym sobie zasłużyłem na otrzymywanie pocztą ludzkich palców?

Tak się ucieszyłem nadejściem świtu, że wyskoczyłem z łóżka i zrobiłem śniadanie, żeby Sam i Alison mogli się wyspać.

Kiedy posprzątałem kuchnię, Sam zaproponował, żebyśmy poszli się powłóczyć po lesie, co uznałem za doskonały pomysł. Od jego poniedziałkowego załamania stałem się bardziej wyczulony na fakt, że choć nie zawsze to okazywał lub wprost wyrażał, to wciąż bardzo cierpiał z tęsknoty za siostrą. Dla jego dobra należało bezustannie podsuwać mu jakieś zajęcia.

Wyszliśmy z domu na rześki poranek, posrebrzony rosą. Do naszej części Wirginii jesień dociera późno i stopniowo. Dzisiejsza aura była pierwszą oznaką, że w tym roku znów zamierza nas odwiedzić.

Puściłem Sama przodem, by wyznaczał nam trasę, o ile w ogóle na naszych spacerach można było mówić o trasie. Szedłem kilka kroków za nim, żeby odgarniane przez niego gałęzie krzewów nie smagały mnie po twarzy.

Jak zwykle zachwycił się na głos tym, co widział. Uwielbiałem tę jego potrzebę dzielenia się swoimi odkryciami. Wyglądało to tak, jakby przeżywał kryzys egzystencjalny i bał się, że świat zewnętrzny nie stanie się realny, dopóki ja też go nie zobaczę. I stąd nieustający potok głośnych obserwacji:

– Tato, patrz: pająk! Tato, trzy drzewa i jeden korzeń! Tato, tropy jelenia!

Kiedy tak szliśmy przez gęsty las, cieszyłem się głównie jego szczebiotem i radością płynącą z życia pełnego wykrzykników. Nie zwracałem większej uwagi na treść, dopóki nie zawołał:

– Tato, zobacz, ile sępów!

Faktycznie, niewielkie stado łysych ptaków z zakrzywionymi dziobami zebrało się wokół jakiejś padliny.

– O rany! – powiedziałem, bo to właśnie chciał usłyszeć.

Sam się zatrzymał, a ja zrównałem się z nim i objąłem go ochronnym ramieniem. Staliśmy jakieś pięćdziesiąt metrów od grupy sępów, które delektowały się aż nadto obfitym śniadaniem.

Zakładałem, że jedzą martwego jelenia, bo było to w tych okolicach jedyne zwierzę na tyle duże, by zgromadzić wokół siebie stado padlinożerców. Nie dało się jednak wyraźnie dostrzec, czym się pożywiają. A przynajmniej nie od razu.

W pewnej chwili jeden z ptaków odskoczył na bok.

I wtedy spostrzegłem parę wysłużonych mokasynów.

Minęło może ćwierć sekundy, zanim stanąłem przed Samem, żeby zasłonić mu widok.

– No dobra, brachu – powiedziałem i wziąłem go na rękę. – Pora wracać.

On tylko zachichotał, myśląc, że się z nim przekomarzam dla żartu.

– Ale tatoooo.

– Mama zaraz się obudzi, a nie zostawiliśmy jej listu. Będzie się martwić.

– Przez Emmę?

– Jak to „przez Emmę”? – spytałem, mimo że doskonale wiedziałem, co miał na myśli.

– Od czasu Emmy – powiedział, jakby jego siostra była wydarzeniem historycznym

– mama się często bardzo denerwuje, jak mnie nie widzi.

– Tak, przez Emmę.

Szedłem powoli. Dodatkowy ciężar w postaci dwudziestoparokilowego Sama utrudniał mi marsz przez zarośla. Gdy tylko wyszliśmy z lasu, przerzuciłem go sobie przez ramię i resztę drogi do domu pokonałem szybkimi susami.

Po dotarciu do domu posadziłem go w salonie i powiedziałem, żeby pobawił się samochodzikami.

Alison stała w kuchni, jeszcze w piżamie, i parzyła sobie kawę. Poruszała się sztywno, jakby wciąż niedobudzona.

– Pilnuj, żeby Sam nie wyszedł z domu – powiedziałem, ciężko dysząc.

– Coś się stało?

– Nie. Po prostu miej na niego oko.

– Co się dzie...

– Alison – przerwałem jej i podszedłem na odległość szeptu. – W lesie leżą zwłoki.

Te dwa strzały, które wczoraj słyszałaś. Zabili kogoś.

– Boże – jęknęła i zakryła usta dłonią.

Odsunąłem się od niej i chciałem wyjść, ale chwyciła mnie za rękaw.

– Poczekaj. Czy to...? Poznałeś zwłoki?

– Nie – skłamałem.

– Boże – powtórzyła. – Myślisz, że to porywacze?

– To jedyne sensowne podejrzenie. Pewnie jakiś człowiek wszedł im w drogę, więc go...

Złożyłem dłoń w pistolet.

– Co zamierzasz?

– A jak myślisz? Muszę go zakopać.

– Ale...

– Co? Mam zadzwonić do biura szeryfa? Zjadą się tu radiowozy, koroner, lekarze sądowi. To będzie jak policyjny piknik. Tego chcesz?

Nie odpowiedziała.

– Pilnij Sama. Wrócę za godzinę, dwie.

Alison puściła mój rękaw. Wyszedłem tylnymi drzwiami i zahaczyłem o garaż, żeby wziąć szpadel. Wróciłem tą samą drogą do lasu i odnalazłem miejsce, w którym cały czas siedziała gromada sępów. Ruszyłem biegiem w ich stronę, wymachując szpadlem, aż się rozpierzchnęły.

Podszedłem do zwłok Herberta Thrifta. Rany zadane przez ptaki były powierzchowne. Większość obrażeń była dziełem zabójców.

Brakowało dużego kawałka czaszki, a w klatce piersiowej ofiary ział duży otwór wylotowy. To tłumaczyło dwa strzały, które słyszała Alison.

Ale to nie były jedyne rany. Ciało Thrifta zostało zmasakrowane. Brakowało palców u rąk (jeden z nich trafił do mnie w kopercie dzień wcześniej) i zębów, które zostały wybite. Zabójca dokonał prawdziwej rzezi, żeby utrudnić identyfikację zwłok.

Wszystko to składało się na makabryczny efekt. Jako sędzia widziałem wiele zdjęć z miejsc zbrodni, więc myślałem, że i z tym sobie poradzę. Myliłem się. Ukląkłem na jedno kolano i zwymiotowałem. Potem jeszcze raz, aż w końcu miałem tylko suche odruchy wymiotne.

Z prawnego punktu widzenia ta śmierć nie nastąpiła z mojej winy. Nie ja pociągnąłem za spust. Ale co z odpowiedzialnością moralną?

Zaprowadziłem Herberta Thrifta na rzeź, nie ostrzegając go, jakie grozi mu niebezpieczeństwo. Stał na drodze bezwzględny zabójcom, uzbrojony wyłącznie w aparat fotograficzny.

– Przepraszam – powiedziałem. Powtórzyłem to słowo kilka razy i spróbowałem wziąć się w garść. – Wybacz mi, Herb.

Mówiłem to do niego czy do drzew? A może do Boga, którego najwyraźniej doprowadziłem czymś do furii.

W końcu podniosłem się z ziemi dzięki tej samej sile, która od początku chroniła mnie przed całkowitą zapaścią. Emma. Jeśli ktokolwiek odnajdzie te zwłoki i wezwie policję, moja córka zapłaci za to straszłą cenę.

Znalazłem szpadel w miejscu, w którym go upuściłem, i zacząłem kopać jakieś trzy metry od zwłok Thrifta. W ten sposób nie musiałem na niego patrzeć, ale byłem w stanie bez większego trudu zaciągnąć jego ciało do dołu. Pracowałem odwrócony do niego plecami.

Szykując mu grób, odtworzyłem w głowie prawdopodobny ciąg zdarzeń, który doprowadził do jego śmierci.

Zacząło się od mojego pozwolenia wejścia na nasz teren. Sęk w tym, że już wcześniej ktoś tu wszedł bez mojej zgody. I ja o tym wiedziałem, ale z jakiegoś powodu nie przyszło mi to do głowy, kiedy prosiłem Herba, żeby śledził moją żonę.

Wyobraziłem sobie Thrifta, skrytego w zaroślach i obserwującego nasz dom przez teleobiektyw aparatu. I jego zaskoczenie na widok porywacza, albo obu porywaczy,



robiących to samo co on.

Herb rzucił się do ucieczki. Porywacz postrzelił go w plecy. Pewnie już ta rana była śmiertelna, ale zabójca wolał mieć pewność, stąd drugi strzał w głowę.

Potem zaciągnął martwe ciało w głąb lasu oddzielającego nasz dom od drogi.

Szybko zmasakrował zwłoki na wypadek, gdyby ktoś się na nie natknął, aczkolwiek liczył pewnie na to, że zajmą się nimi leśne stworzenia.

Kopałem tak długo, aż moje delikatne dłonie sędziego pokryły się bąblami, a ciało spływało potem. Kiedy uznałem, że już wystarczy, użyłem szpadla jako dźwigni, żeby przeturlać ciało Thrifta do dziury w ziemi. Wylądowało na dnie twarzą do dołu. Zasypałem je.

Potem przykryłem rozkopane miejsce suchymi liśćmi. Po Herbercie Thrifcie nie został żaden ślad.

Zanim wróciłem do domu, odmówiłem krótką modlitwę za jego duszę. A potem, samolubnie, za swoją.

## Rozdział 52

Przez weekend zajmowaliśmy się Samem na zmianę, co kilka godzin przekazując go sobie, ilekroć jedno z nas traciło siłę, by dalej udawać przed nim wewnętrzny spokój.

Oboje nosiliśmy w sobie mrok, który położył się ciężko na naszych już i tak zbolątych duszach. Śmierć była coraz bliżej.

Ilekroć zamykałem oczy, widziałem okaleczone ciało Herberta Thrifta. Czułem jego nadgniły zapach. Po powrocie z lasu wziąłem prysznic, a kilka godzin później jeszcze jeden, bo miałem wrażenie, że wciąż towarzyszy mi trupi swąd. Jakby kilka cząsteczek jego najgłębszej esencji wniknęło do moich nozdrzy i uparło się, żeby już tam zostać.

Alison była w jeszcze gorszym stanie, mimo że nie widziała filmu z torturami i nie miała pojęcia o uciętym palcu. Dla niej zwłoki obcego człowieka w lesie były pierwszym namacalnym dowodem na to, do jakiego okrucieństwa zdolni są porywacze Emmy. Snuła się po domu jeszcze bardziej apatycznie niż dotychczas. Cała energia i żywotność, jaka z niej tryskała na początku tego koszmaru, zniknęła bez śladu. Alison przestała rąbać drewno, nie wykazywała najmniejszej inicjatywy. Za każdym razem, kiedy przekazywała mi Sama, zapadała się w sobie, gdy tylko się upewniła, że jej nie zobaczy.

W sobotnią noc miałem gotyckie w stylu koszmary senne. Biegałem po naszym lesie ze szpadlem w ręce, przekonany, że Emma kryje się gdzieś w zaroślach. Był to nasz las, ale wyglądał nieco inaczej – złowrogo, obco.

W pierwszej części snu potykałem się o korzenie, zaczepiałem o gałęzie krzewów i wplątywałem się w grube i cierniste pnącza. Pojawiały się znikąd, żeby spowolnić moje szalone poszukiwania. W jednej chwili wiedziałem dokładnie, gdzie jestem, by zaraz potem całkiem się zagubić.

W drugiej części znalazłem Emmę, ale pogrzebaną żywcem. Słyszałem jej krzyk spod ziemi. Ilekroć próbowałem ją odkopać, szpadel się łamał. Później odzyskiwał pierwotny kształt, ale tylko do kolejnego wbicia w ziemię. Albo tylko mi się wydawało, że trzymam w rękach szpadel, a kiedy spoglądałem w dół, okazywało się, że to wąż ogrodowy. Wreszcie zacząłem wściekle kopać rękami, ale ziemia stała się nieprzenikniona, leśna gleba spieczona na beton. Wołanie Emmy cichło i wiedziałem, że kończy mi się czas.

Alison musiała mnie obudzić, bo oprócz krzyków drapałem palcami o materac.

Mój sen był tak realistyczny, że przez resztę dnia wielokrotnie do mnie wracał i wciąż we mnie żył – gdzieś w okolicach klatki piersiowej – kiedy w niedzielne popołudnie zadzwonił mój telefon komórkowy.

Nie poznałem numeru. Kierunkowy 917, czyli rejon Nowego Jorku. Mogłem wprawdzie nie odbierać, ale Sama przy mnie nie było, no i nie mogłem wykluczyć, że to któryś z porywaczy.

Przyłożyłem aparat do ucha i powiedziałem niepewnym głosem:

– Halo?

– Sędzia Sampson?

– Tak.

– Witam, panie sędzio. Steve Politi, PulsMinus.

Byłem tak zaskoczony, że zapomniałem języka w ustach. Tymczasem Politi dodał:

– Jesteśmy serwisem internetowym piszącym o rynku finansowym.

– Wiem, kim jesteście – wyrzuciłem z siebie wreszcie. – Od paru tygodni wydzwania pan do mojego biura. Skąd ma pan mój numer?

– Od mojego informatora – odparł, jakby chodziło o drobnostkę, jakby codziennie zdobywał prywatne dane sędziów federalnych.

Wynioskowałem z tego jedną ważną rzecz na temat jego źródła: było prawdziwe. Mój numer komórkowy nie jest tajemnicą państwową – można go znaleźć choćby na liście kontaktowej w szkole Sama i Emmy i w wewnętrznym zestawieniu pracowników sądu – ale nie jest łatwo dostępny dla byle kogo. Steve Politi znał kogoś z kręgu znanych mi osób.

– Wiem, że nie może sędzia komentować sprawy oficjalnie – powiedział. – Więc dzwonię niejako prywatnie. Zależy mi na krótkiej rozmowie.

– Wykluczone. Nie powinienem mieć z panem jakiegokolwiek kontaktu. Powinienem się rozłączyć i tyle.

– Owszem, ale nie zrobi pan tego, bo znam pański sekret.

Cały zeszytniałem. Wreszcie ziściło się to, czego się bałem od momentu, w którym Michael Jacobs zaczął nawijać ze swojego podium: że jakiś dziennikarz dowie się o Emmie i wszystko ujawni.

Ale potem zastanowiłem się nad tym nieco głębiej. Gdyby faktycznie tak miało się stać, to Politi nie byłby tym dziennikarzem. On pracował w Nowym Jorku i specjalizował się w plotkach krążących po Wall Street, a nie w prywatnych sprawach sędziów z Wirginii. To musiał być blef.

– Tak? Niby jaki? – zapytałem niepewnie.

– Moje źródło twierdzi, że sprawa jest już praktycznie zamknięta. Że już pan wie, jaki wyda werdykt.

Jasna cholera.

– To niedorzeczne – odparłem. – Kto jest tym źródłem?

– Nie mogę powiedzieć.

– Jak mogę zaprzeczyć temu twierdzeniu, skoro nie ujawni pan nawet jego pochodzenia?

– Czyli zaprzecza pan, jakoby decyzja została już podjęta?

– Niczemu... W ogóle nie ma tej rozmowy.

– Jasna sprawa – powiedział Politi. – Ale jedno pytanie. Ten wniosek o wykluczenie pana ze sprawy. O co w tym chodziło? Bo śledzę tę sprawę pilnie i wiem, że jest pan wymarzoną sędzią dla powoda. Czemu Roland Hemans miałby się pana pozbywać?

Po tych słowach nawet zachichotałem, mimo że cała sytuacja wcale nie była śmieszna. Politi mnie rozgrywał. A raczej ja dawałem się rozgrywać.

– Nie, nie ma mowy – rzuciłem. – Nie będę z panem rozmawiał.

– Owszem, będzie pan. Bo wiem o tej sprawie rzeczy, o których pan nie ma pojęcia. Takiego wyzwania nie umiałem zignorować. Zamachał mi przed oczami

haczykiem ze smakowitą, soczystą przynętą, a ja połknąłem ją bez wahania.

– Doprawdy? Co na przykład?

– Wie sędzia, że Denny Palgraff rozpoczął rozmowy z inną firmą farmaceutyczną o udzieleniu licencji na swój patent?

Nie wiedziałem. Nie wiedziałem o Palgraffie nic, nawet tego, gdzie teraz był. Czy to dlatego zniknął? Bo negocjował z innymi firmami?

– Tak, tak – ciągnął Politi. – Podobno tak się wkurzył na ApotheGen, a w szczególności na Barnaby’ego Robertsa, że zamierza zanieść swój patent do Mercka albo Pfizera. Otworzy licytację, do której ApotheGen nie zostanie nawet dopuszczony.

– Tak panu powiedział ten informator?

– A co? To nieprawda?

– Bez komentarza – powiedziałem, choć zgodnie z prawdą powinienem był przyznać, że nie mam pojęcia.

– Tak czy siak, po tej rozmowie publikuję to na stronie.

– Gratuluję – odparłem.

– No dobrze, teraz sędziego kolej. O co chodzi Hemansowi? Dlaczego chce się pana pozbyć?

– Odkładam słuchawkę.

– Znam pański sekret – powtórzył Politi.

– Nic pan nie wie.

Naprawdę w to wierzyłem. Gdyby Politi faktycznie znał moją tajemnicę, już dawno by ją ujawnił.

Mimo to zapisałem jego numer w telefonie. Ewidentnie wiedział o Palgraffie rzeczy, o których ja nie miałem pojęcia. Uznałem, że może mi się to przydać.

Ponieważ nie miałem w sobie za grosz zmysłu inwestora, nie rozumiałem od razu pełnego znaczenia słów Politiego. Dopiero w poniedziałek rano, jadąc do pracy, pojąłem sens tego, co mi wyjawiał. Słuchałem w aucie lokalnej stacji publicznego radia i nagle spiker zapowiedział audycję poświęconą ApotheGenowi.

– W następnej odsłonie: co się dzieje, kiedy gigant na rynku farmaceutycznym stawia wszystko na jeden lek, który następnie przejmują jego konkurenci? Porozmawiamy o konsekwencjach dzisiejszych doniesień dotyczących ApotheGenu.

Inny głos dodał:

– Trudno sobie wyobrazić gorszy rozwój wypadków. Dla ApotheGenu nie ma tu żadnych pozytywów.

Wyłączyłem radio, bo nie miałem ochoty słuchać kolejnych doniesień o tym, jak straszny jest los Barnaby’ego Robertsa. Miałem większe zmartwienia na głowie, chociażby zniknięcie Denny’ego Palgraffa.

Po dotarciu do biura rozejrzałem się za Jeremym, który jeszcze nie dojechał. Poprosiłem panią Smith, żeby przysłała go do mojego gabinetu, gdy tylko się pojawi. Czekaając na niego, nie miałem nic do zrobienia, więc wszedłem na PulsMinus.com, żeby na własne oczy zobaczyć artykuł, który wywołał taką panikę wśród finansistów.

Tekst był zwięzły i napisany uszczypliwym tonem. Autor chwalił się wyłącznym dostępem do źródła, które „już od momentu złożenia tego pozwu miało na jego temat

stuprocentowo trafne informacje”.

Na końcu widniało kilka „aktualizacji” pierwotnego artykułu.

Pierwsza informowała o planowanym wywiadzie ze Steve’em Politim na kanale Fox Business o 7.45.

Druga była linkiem do YouTube’a z wypowiedzią Politiego. Dotychczas sądziłem, że mam do czynienia z młodym, ambitnym chłopakiem, który tuż po ukończeniu studiów chciał sobie wyrobić markę w dziennikarskim światku, ale kadr przy linku pokazywał mężczyznę w średnim wieku, z okrągłą, łysą głową. Wyglądał jak podstarzały Charlie Brown.

Trzecia aktualizacja krzyczała: „PulsMinus w wiadomościach MSNBC!”.

Dołączone zdjęcie było zbliżeniem na pasek w wiadomościach MSNBC, na którym można było przeczytać: „PulsMinus donosi, że ApotheGen może stracić prawa do statyn nowej generacji”.

Ostatnia aktualizacja została opublikowana przed kilkoma minutami.

„Wall Street nie jest jeszcze pewne co do Mercka i Pfizera, ale ApoG poleciał na głowę i stracił 14,37 dolara przy gigantycznych obrotach! Dla tych, którzy pilnują kursu: to 27,84 dolara w dół wobec najwyższego notowania z ostatnich 52 tygodni, czyli spadek o 30 procent. Pod koniec dzisiejszej sesji można się jeszcze spodziewać podskoku martwego kota, ale tym z was, którzy nie planowali kurczowego trzymania akcji ApoG do następnego stulecia, radzimy biec do swoich maklerów albo logować się do kont internetowych! Kiedy nasze informacje się potwierdzą, będzie już tylko gorzej”.

Pod tekstem widniało dziewięćset trzydzieści pięć komentarzy; była to szokująca liczba, bo wiedziałem, że na każdego komentującego przypadał co najmniej tysiąc biernych czytelników. Ogromny zasięg jak na pojedynczy wpis.

Mogłem sobie wyobrazić atmosferę w siedzibie ApotheGenu, gdzie Barnaby Roberts odbierał pewnie telefon za telefonem od rozwścieczonych udziałowców gotowych wszcząć bunt. Czy zadzwonił już do Paula Dressera, żeby się upewnić, że wszystko jest nadal pod kontrolą?

Roberts nie miał szans utrzymać się na stanowisku, jeśli Palgraff wprowadziłby swoją groźbę w życie. Rada nadzorcza mogła się pogodzić z koniecznością dzielenia się kurą znoszącą złote jaja, ale nigdy nie wybaczyłaby prezesowi, gdyby ta kura trafiła do konkurencji.

Oczywiście taki scenariusz był możliwy tylko pod warunkiem, że Palgraff miał co sprzedawać. A to oznaczało, że sprawa *Palgraff kontra ApotheGen* stała się nagle dla obu stron walką na śmierć i życie.

Co to oznaczało dla Emmy? Już sam nie wiedziałem. Coraz trudniej było mi odróżnić sygnał radiowy od zwykłego szumu.

Teraz mogłem się skupić już tylko na tym, na co miałem jakikolwiek wpływ, czyli na rozprawie Markmana, zaplanowanej na piątek. Zakładałem, że tego dnia otrzymam instrukcje. Zamierzałem się do nich zastosować. Potem mieliśmy odzyskać naszą córkę.

Rozmarzyłem się na chwilę i wyobraziłem sobie Emmę biegnącą do mnie i wołającą: „tatusiu, tatusiu”, Alison znów uśmiechniętą i obsypującą córeczkę całusami, siebie uwolnionego od podejrzeń, że moja żona chce nas zniszczyć, Sama odzyskującego

swoją najbliższą przyjaciółkę i drugą połówkę, naszą rodzinę na nowo w komplecie, gotową na wyprawy piknikowe, tańce w czapkach i szczęśliwe chwile na basenie.

Kiedy Jeremy zapukał do moich drzwi, musiałem otrzeć łzy z twarzy. Szybko się otrząsałem i zawołałem, żeby wszedł.

Silił się na obojętny wyraz twarzy, udając, że się na mnie nie gniewa.

– Pytał sędziego o mnie – powiedział beznamiętnym tonem.

– Tak. Czy Palgraff odezwał się do Hemansa?

– Rozmawiali w sobotę. Jutro złożą zeznania.

– O, to dobra wiadomość.

Jeremy nie odpowiedział.

– Wiadomo, dlaczego zniknął? – spytałem. – Czy negocjował układ z Pfizerem albo inną firmą?

– Nie wiem.

Nie odrywałem od niego wzroku. Wyraźnie mi to nie wystarczało.

– Nie spytałeś?

– Spytałem – odparł Jeremy. – Roland powiedział, że im mniej będę wiedział, tym lepiej.

– Słusznie.

– Tak – westchnął. – Ostatnio gdzie nie spojrzeć, ktoś coś przede mną ukrywa.

Odwrócił się i wyszedł bez słowa.

## Rozdział 53

Krzyk wyrwał młodszego brata z przedpołudniowej drzemki.

Dobiegał z pokoju małej.

Starszego z braci nie było, pojechał na zakupy. Młodszy sam musiał sprawdzić, o co się rozchodzi. Wstał z fotela i podszedł do drzwi, ale nic nie słyszał. Już miał się odwrócić, kiedy dziewczynka znów krzyknęła.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Pająk!

– To go zabij.

– Nie mogę. Boję się.

– Zgnieć go przez papier toaletowy.

– Nie dosięgnę. Jest za wysoko.

Młodszy z braci wyrócił oczami. Przeprowadził szybką analizę sytuacji, żeby znaleźć rozwiązanie wymagające najmniejszej ilości wysiłku, i stwierdził, że lepiej będzie poświęcić trzydzieści sekund na zabicie pająka, niż przez następnych kilka godzin znosić wrzaski gówniary.

Przekręcił klamkę. Zamek dźwięcznie brzdęknął.

Mała zrobiła krok w tył i skuliła się w sobie. Odkąd przypalił ją papierosem, za każdym razem reagowała tak na jego widok. Żałował, że nie zrobił tego wcześniej. Wystraszona była łatwiejsza w obsłudze.

Zamknął za sobą drzwi, ale nie przekręcił zamka, bo wtedy sam nie mógłby wyjść.

– Gdzie jest? – zapytał.

– Tam – odparła i pokazała na łazienkę. – Nad sedesem.

Podszedł do drzwi łazienki i w rogu pod sufitem zobaczył małego pająka. Odwinął kawałek papieru toaletowego, stanął na muszli klozetowej i wycelował.

W chwili kiedy machnął ręką, usłyszał za plecami zgrzyt przekręcanej klamki. Zeskoczył z sedesu i wbiegł z powrotem do sypialni, która była teraz pusta.

– Ej! – zawołał. – Wracaj tutaj!

Wybiegł na korytarz, ale jej nie zobaczył. Zaklął pod nosem. Alarm był uzbrojony, mimo to syrena milczała, więc wiedział, że mała jest gdzieś w domu. Ale gdzie?

– Wracaj! – wrzasnął. – Wracaj albo pożałujesz!

## Rozdział 54

Po południu miałem się zająć niewymagającym szczególnego myślenia podpisywaniem dokumentów i odsyłaniem ich na następne szczeble sądowej administracji. Próbowałem się zatracić w pracy, ale skończyło się tym, że patrzyłem przez okno i bezskutecznie szukałem odpowiedzi na pytania, które wiązały mi ręce.

W mojej głowie panował już kompletny chaos. Wykluczyłem wszystkich po stronie powoda jako potencjalnych porywaczy, ale jeśli był to ktoś od ApotheGenu, to czemu po prostu nie kazał mi odrzucić pozwu i zamknąć całej sprawy jednym podpisem? Gdybym był Barnabym Robertsem i miał do mokrej roboty Paula Dressera, to czy pozwalałbym, żeby kurs akcji mojej firmy leciał na łeb na szyję?

Do tego wszystkiego dochodził ból związany z brakiem Emmy i nieustanny strach o to, co może się z nią dziać. Obydwa te uczucia, jeśli tylko pozwalałem im się rozwinąć, całkowicie mnie paraliżowały.

Nie mogłem więc powiedzieć, że pukanie do drzwi przeszkodziło mi w pracy. Nie rozpoznałem po odgłosie ani Jeremy'ego Freelanda, ani Joan Smith. Nic nie powiedziałem, ale drzwi i tak się uchyliły.

Wyłoniła się zza nich znajoma blond czupryna.

– Cześć, brachu! – ucieszyłem się.

Widząc, że może wejść, Sam zawołał:

– Tataaa!

Przebiegł przez całą długość gabinetu i rzucił się w moje wyczekujące ramiona, jakby nie widział mnie od kilku miesięcy. Niedoskonałe poczucie czasu u sześciolatków ma swoje dobre strony.

Delektowałem się jego uściskiem przez krótką chwilę, póki się ode mnie nie uwolnił.

– Dobrze cię widzieć – powiedziałem i lekko zmierzwiłem mu włosy.

Alison weszła za nim i zamknęła za sobą drzwi.

– Cześć – rzuciłem w jej stronę.

– Byliśmy w zoo i przed powrotem do domu uznaliśmy, że pobiegamy sobie po schodach.

W budynku sądu była stara klatka schodowa z marmurowymi stopniami i poręczami z aluminium. Sam, z sobie tylko znanych powodów, uwielbiał po nich biegać.

– Możemy? Możemy? – zapytał.

– No pewnie – zgodziłem się i ucieszyłem, że mam czym zająć myśli. – Chodźmy.

– Myślałam, że może pan Freeland go zabierze – Alison rzuciła mi nad głowę Sama porozumiewawcze spojrzenie. – Myślisz, że się zgodzi?

– Tak, tak! Tato, zapytasz go?

Jeremy pewnie nie był teraz w nastroju do wyświadczenia mi przysług. W dodatku mógłby zauważyć, że nagle mamy z Alison tylko jedno dziecko. Ale uznałem, że w razie czego dam radę jakoś to wytłumaczyć.

– Jasne, chodźmy z nim pogadać – powiedziałem.

Sam wziął mnie za rękę i zaciągnął do pokoju Jeremy'ego.



– Dzień dobry, panie Freeland! – pisnął uradowany, gdy tylko go zobaczył.  
– Kogo ja widzę – odpowiedział Jeremy, szczerze zaskoczony.  
– Emma jest u babci – wyjaśniłem, zanim Jeremy zdążyłby zapytać. – Sam chciał pobeiegać po schodach. Ale tylko z panem Freelandem. Co ty na to?

Uśmiech Sama był jak latarnia morska i Jeremy go odwzajemnił. Nie zamierzał wyładowywać na dziecku swojej frustracji moją osobą.

– Pewnie. Chodźmy.

Uśmiechnąłem się nieśmiało.

– Dziękuję, panie Freeland – powiedziałem.

Jeremy nie zareagował. Wychodząc, usłyszałem, jak Sam woła:

– Cześć, Thurgood. Thurgooooood.

Wróciłem do swojego gabinetu. Alison siedziała na krawędzi jednego z krzeseł stojących przed moim biurkiem.

– Co jest? – spytałem i też usiadłem.

– Dostałam wyniki z laboratorium.

– Laboratorium? – Nie wiedziałem, o czym mówi.

– W Williamsburgu. Odciski palców.

– A, tak. Już kojarzę.

– Miałaś rację, że na pudełkach i kopertach nie będzie odcisków.

– Przykro mi – powiedziałem.

– Ale znaleźli coś ciekawego na kluczykach.

– Na kluczykach?

– Od hondy. Pamiętasz, że dałam im je razem z tosterem, żeby zdjęli z nich odciski Justiny?

– Tak.

– Na tosterze bez problemu znaleźli jej odciski, ale na miedzianym breloku przy kluczykach były odciski dwóch osób. Jedne pasowały do Justiny, ale drugie nie były ani twoje, ani moje.

– To czyje?

– No właśnie. To musiała być osoba, która wzięła hondę. Ta, która zabrała dzieci ze szkoły. Sęk w tym, że to prywatne laboratorium, więc nie mają dostępu do policyjnej bazy danych.

– No tak.

– Ale US Marshals mają – powiedziała i wyjęła z torebki zawinięty w plastik miedziany breloczek. – Znasz tych ludzi. Na pewno ktoś może ci po cichu wyświadczyć przysługę.

Jak na sędziego przystało, odruchowo przedstawiłem kontrargument:

– Zdajesz sobie sprawę, że w tej bazie danych jest tylko sto milionów nazwisk? Czyli nie ma w niej dwóch trzecich Amerykanów.

– Ale przestępcy tam są – zauważyła Alison. – Przestępcy, pracownicy federalni i ludzie tacy jak ja, których ojcowie zebrali odciski palców wszystkich swoich dzieci.

Przez chwilę siedziałem w milczeniu i próbowałem znaleźć w jej planie jakiś słaby punkt. W końcu zdecydowałem, że ryzyko jest zdecydowanie mniejsze od potencjalnych

korzyści.

Może i nic z tego nie wyniknie, ale przy zachowaniu ostrożności nie szkodziło spróbować.

– Dobra – powiedziałem i schowałem torebkę z brelokiem do kieszeni spodni.

– Poproszę kogoś.

Kiedy Sam miał już dość biegania po schodach, odprowadziłem ich oboje do samochodu, który stał kilkadziesiąt metrów od wejścia do sądu. Żony sędziów nie miały przywilejów parkingowych.

Wróciłem do środka wejściem dla personelu, gdzie Ben Gardner pełnił jednoosobową wartę.

Właśnie na to liczyłem.

– Jak twoim chłopakom poszło przeciwko Starej Miss<sup>1</sup>? – zapytałem, kiedy wstał na mój widok.

– Zjedli ich na śniadanie – odparł. – Atak był nie do zatrzymania.

Dla naszej wygody Ben ustawił czułość wykrywacza metalu na najniższy poziom, przy którym alarm nie odezwałby się, nawet gdybym postanowił przynieść do pracy pół złomowiska.

Nie uruchomił go także duży kawałek miedzi w mojej kieszeni. Ale gdy tylko przeszedłem przez bramkę, odwróciłem się znów w jego stronę. Ben właśnie siadał, myśląc, że jak zwykle ruszyłem już w stronę swojego gabinetu.

– Ben, masz chwilę?

– Jasna sprawa. Co tam, sędzio? – zapytał i znowu wstał.

Był człowiekiem średniego wzrostu, o siwych włosach i przyjemnym uśmiechu. Granatowa marynarka pracownika straży sądowej tylko częściowo maskowała jego brzuch, okrągły jak kulka lodów. Wyglądał mi na właściciela małego sklepu z narzędziami. Kogoś, kto zawsze chętnie pomoże znaleźć właściwy wężyk do umywalki.

– Potrzebuję pomocy. I to niemałej. W dodatku jej częścią musi być dochowanie tajemnicy.

– Co ma pan na myśli? – zapytał.

– Wy ze straży sądowej macie znajomych w biurze US Marshals, prawda?

– No, tak.

– A oni mają dostęp do bazy danych FBI, tej z odciskami palców.

– Zgadza się.

Podaliśmy mu plastikową torebkę.

– Chciałbym wrzucić do systemu odciski z tego breloka. Jeden należy do młodej kobiety, Justiny Kemal. To studentka z Turcji, więc pewnie nie będzie jej w bazie danych. Ale nią się nie martwię. Chodzi o drugi odcisk. Może ich system coś wypluje.

– Dobra. To do jakiejś rozprawy czy...?

– Nie, nie. Nic z tych rzeczy. Sprawy osobiste. Zanieśliśmy to do prywatnego laboratorium, ale oni nie mają dostępu do danych FBI. Alison i ja... Zdaje się, że ktoś nas okrada. Ale chcemy mieć pewność, zanim podejmiemy jakiegokolwiek kroki.

Nawet nie musiałem kłamać.

Ben się uśmiechnął.

- Szkoda byłoby zwolnić sprzątaczkę, gdyby się okazało, że to nie ona?
  - Coś w tym stylu. Mógłbym pójść oficjalną ścieżką, ale zależy mi na dyskrecji. To nic strasznie ważnego, ale bardzo byś nam pomógł.
  - Jasne.
  - I skoro już ryzykuję, to powiem od razu: trzeba to zrobić na wczoraj.
  - Żona pogania?
  - Oj, tak – odparłem i rzuciłem mu uśmiech zgnębionego męża.
  - Nie ma problemu. Do końca tygodnia powinno być po sprawie.
  - To by było super. Dziękuję.
- Stara Miss (ang. Ole Miss) – potoczna nazwa Uniwersytetu Missisipi (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

## Rozdział 55

Wywrócili dom na lewą stronę. Starszy brat przyłączył się do poszukiwań – oczywiście najpierw zbeształ młodszego za głupotę – ale jemu też nie udało się znaleźć kryjówki, w której schowała się mała.

Sprawdzili we wszystkich możliwych zakamarkach, najpierw pobieżnie, potem bardziej systematycznie. Szafy. Sypialnie. Łazienki. Nawet kanały wentylacyjne, mimo że nie mieli pojęcia, jak mogłaby się do nich dostać. Potem powtórzyli cały proces, ale znów bez sukcesów.

Po jakimś czasie młodszy z braci miał już dosyć przekleństw starszego, więc sam zaczął przeklinać, ale to też nie pomogło.

Tymczasem zrobiło się ciemno i starszy wreszcie powiedział, że już dosyć. Dziewczynka prędzej czy później zgłodnieje i wyjdzie.

Musieli tylko dopilnować, żeby nie uciekła z domu. Obydwa wyjścia zastawili dmuchanymi materacami. Starszy brat usiadł przy głównych drzwiach, młodszy pełnił wartę przy bocznych. Spali w ubraniach.

I właśnie z takiego stanu, głośno chrapiących, wyrwało ich wycie syreny alarmowej. Młodszy brat skoczył na równe nogi i rozejrzał się w amoku, aż jego wzrok zaczepił się o jedyny ruchomy obiekt: górną część ciała dziewczynki tuż przed tym, jak zniknęła w oknie nad zlewem w kuchni.

– Ej! – krzyknął.

Pobiegł do okna, co nie było mądrym posunięciem, bo i tak by się nie przecisnął przez wąską framugę. Po chwili wybiegł przez boczne drzwi i włączył światło na zewnątrz akurat w momencie, kiedy mała dobiegła do skraju lasu.

## Rozdział 56

Ciekawe, jak niektóre zwroty zapadają nam w pamięć, zupełnie jakby znajdowały punkty zaczepienia w naszych mózgach.

Bywa, że początkowo nie widzimy ku temu konkretnego powodu, ale potem zaczynamy się zastanawiać, dlaczego ta czy inna sekwencja słów trzyma się nas dłużej niż inne.

Przez kolejną bezsenność noc w mojej głowie wybrzmiewało pytanie, które zadał mi Ben Gardner: „Żona pogania?”.

No więc?

Czy całe to zamieszanie wokół breloczka miało mnie zbić z tropu? Czy był to ze strony Alison kolejny taktyczny zabieg w stylu O.J. Simpsona i jego zakrwawionych rękawiczek? Czy to Paul Dresser szeptał jej na ucho, że trzeba mnie jeszcze przez jakiś czas powodzić za nos?

Następnego dnia rano, kiedy ciągle jeszcze męczyłem się z tymi myślami, Alison powiedziała przy śniadaniu coś, co wpadło mi do ucha pod dziwnym kątem. Zapytałem ją, jak zamierza spędzić dzień z Samem, na co odpowiedziała:

– Znowu ciocia Karen na ratunek. Ma znajomych, którzy prowadzą gospodarstwo organiczne. Zaprośli nas do siebie. Mają tam świnię, kozy, kury i bele siana. Sam będzie w niebie.

Rzuciłem jakąś zdawkową odpowiedź, że to super, ale myślałem tylko o tym, że niemal identycznie brzmiały ostatnie dwie wymówki, jakich użyła, żeby zostawić Sama rodzinie. Za każdym razem jej plan opierał się na jakiejś atrakcji dla małego. Było już muzeum, były zabawy, a teraz farma organiczna. Zawsze też ważną rolę odgrywały ciotki i babcia.

Czyżby miał to być kolejny dzień, kiedy Alison zamierzała odwiedzić Emmę albo spotkać się z Paulem?

Nie mogłem wynająć prywatnego detektywa, żeby rozwiał moje wątpliwości. Nie pozwalało mi na to sumienie. Nawet gdybym mu zakazał wstępu na nasz teren i ostrzegł, żeby na siebie uważał... Nie, to było wykluczone. Już i tak wiedziałem, że nigdy sobie nie wybaczę śmierci Thrifta. Gdyby taka tragedia spotkała następnego detektywa, zniósłbym to jeszcze gorzej.

Ale gdybym sam ją śledził? Tylko ten jeden raz.

Wtedy miałbym pewność.

Plan zaczął się krystalizować w mojej głowie, kiedy skończyłem jeść śniadanie i wiązałem krawat, szykując się do wyjścia. Wiedziałem, że mogę zerwać się z pracy, przynajmniej na pierwszych kilka godzin, kiedy to miała się rzekomo odbyć wycieczka na organiczną farmę. Sprawa Palgraffa nie wymagała mojej obecności, nie czekały mnie w związku z nią żadne pilne decyzje. Miałem wolną rękę.

Ucałowałem Alison i Sama na pożegnanie jak gdyby nigdy nic. Jednak kiedy wsiałem do samochodu, wybrałem numer do pani Smith i nagrałem jej wiadomość, że tego ranka mam do załatwienia kilka spraw poza sądem.

W pewnej chwili przypomniały mi się słowa Herberta Thrifta: „Jeśli w przyszłości

będzie pan chciał podać prywatnemu detektywowi fałszywe nazwisko, radzę nie jechać do jego biura własnym samochodem”.

Pomyślałem o tej widocznej z daleka landarze, jaką był mój buick enclave, i natychmiast skręciłem w stronę małej wypożyczalni samochodów, która mieściła się parę kilometrów od naszego domu.

Po kwadransie wypełniania formularzy i spisywania danych z karty kredytowej byłem z powrotem w trasie, tym razem za kierownicą zupełnie nierzucającego się w oczy chevroleta. Podziękowałem w duchu Thriftowi za jego naukę.

Zatrzymałem się na parkingu przed niewielkim centrum handlowym po południowo-zachodniej stronie skrzyżowania naszej drogi z drogą numer 17 i tam czekałem na pojawienie się Alison.

Za kwadrans dziesiąta zacząłem się martwić, że spędziłem w wypożyczalni za dużo czasu i przegapiłem wyjazd Alison i Sama. Przyszło mi nawet do głowy, żeby oddać auto i spróbować jeszcze raz innego dnia.

Jednak po chwili zobaczyłem samochód wyłaniający się zza zakrętu. Potrzebowałem paru sekund, żeby nabrać pewności, ale gdy tylko maska auta stała się lepiej widoczna, rozpoznałem lincolna Alison.

Zahamowała na czerwonym świetle i zatrzymała się może sześć metrów od miejsca, z którego ją obserwowałem, ale patrzyła prosto przed siebie. Kiedy mnie minęła, uruchomiłem silnik i ruszyłem za nią.

Skręciła w lewo – ja też. Kiedy włączyliśmy się do ruchu na siedemnastce, trzymałem się już trochę dalej. Za Walmartem, a potem szpitalem Waltera Reeda i skupiskiem otaczających go budynków zabudowania stopniowo rzędły i zwiększały się odległości między skrzyżowaniami z sygnalizacją świetlną. Wkrótce jechaliśmy już przez hrabstwo Middlesex, naszego północnego, nieco bardziej wiejskiego sąsiada. Zaczynałem się zastanawiać, jak długa droga przed nami.

Okazała się jednak całkiem krótka. Zza pikapa, który jechał między nami, zobaczyłem, że Alison włączyła prawy kierunkowskaz.

Od tego momentu śledzenie jej stało się trudniejsze. Trzymałem między nami większy dystans. Po kilku kilometrach lasów i terenów wiejskich droga się rozwidliła i Alison pojechała w lewo. Większość tych prowadzących na wschód zjazdów z siedemnastki kończyło się nad zatoką Chesapeake.

W końcu zobaczyłem, że lincoln zwalnia. Sam też zmniejszyłem prędkość, jadąc jakieś trzysta metrów za Alison.

Wreszcie ona skręciła w zwirowany podjazd po lewej, a ja pojechałem prosto, mijając szyld z napisem „Farma Organiczna Sweet Earth”.

Zdażyłem dostrzec kilka szklarni, kurnik, stodołę i stadko kóz. Tak, bez wątplenia przyjechali na farmę.

Kilkaset metrów dalej znalazłem dogodne miejsce do zawrócenia. Podjechałem kawałeczek w stronę gospodarstwa i zatrzymałem się na poboczu, skąd widać było wjazd na teren farmy.

Zacząłem prowadzić obserwację. Czas, jaki na nią poświęcę, powie mi wszystko, co chciałem wiedzieć. Jeśli Alison pojawi się znowu za trzy, cztery godziny – myślałem

– będzie to oznaczało, że mnie nie okłamała i faktycznie spędziła dzień z synem na farmie znajomych.

W przeciwnym wypadku będzie jasne, że coś knuje. Prosty układ.

Zanotowałem w pamięci godzinę wyświetlaną na elektronicznym zegarku w desce rozdzielczej. Była 10.04.

## Rozdział 57

Młodszy z braci był rozwścieczony do czerwoności.

Przecież widział dokładne miejsce, w którym mała zniknęła w zaroślach, więc był pewien, że bez trudu ją złapie dzięki dłuższym nogom.

Niecałą minutę później starszy brat wyłączył system alarmowy i zarządził ciszę. Było ciemno. Musieli użyć słuchu, żeby ją znaleźć.

Chwilę później młodszy usłyszał jakiś szelest dobiegający z... Skąd dokładnie? Trudno powiedzieć. Ale cokolwiek się tam poruszyło, było większe niż szop pracz i bardziej niezdarne niż jakiegokolwiek inne zwierzę. To musiała być ona.

Nadstawił uszu w tamtym kierunku, ale już nic więcej nie usłyszał. Najwyraźniej się gdzieś schowała.

Była jakaś trzecia w nocy.

Czekali do świtu. Wiedzieli, że są blisko i jeśli mała się poruszy, to ją usłyszą. Wołali ją, zachęcali na różne sposoby, żeby do nich wyszła. Obiecywali czekoladę, lody, zabawki. Potem przeszli do gróźb.

Po wschodzie słońca zaczęli jej szukać w bardziej zorganizowany sposób. Obliczyli dystans, jaki w minutę mogło pokonać biegnące szybko dziecko. Następnie podwoili tę odległość i w ten sposób ustalili obszar poszukiwań. Kiedy to nie przyniosło skutku, podwoili jego powierzchnię.

Nie znaleźli nawet śladu. Zupełnie jakby zapadła się pod ziemię.

Po kilku godzinach spotkali się w centralnym punkcie lasu.

– Chodzimy w kółko – powiedział starszy z braci. – Trzeba podejść do tego z głową. Zostań tutaj. Nie ruszaj się nawet na krok. Ona gdzieś tu jest.

– A ty dokąd?

– Jadę po sprzęt.

– Dlaczego ty?

Starszy brat rzucił mu zabójcze spojrzenie i odszedł.

Młodszy stał dłuższą chwilę w miejscu. Żałował, że nie ma przy sobie iPada, żeby zabić czas grą. A może zdążyłby wrócić po niego do domu? Chyba niczym to nie groziło.



## Rozdział 58

Dokładnie dwanaście minut później z wjazdu na farmę wyłonił się lincoln. Alison zatrzymała się na chwilę, żeby spojrzeć w lewo, po czym nacisnęła na gaz i odjechała, wzniesając chmurę ziemi i żwiru.

Ewidentnie się spieszyła.

Te dwanaście minut wystarczyło jej, żeby przedstawić Sama gospodarzom i przekazać go pod opiekę Karen. Potem szybko się zmyła. Czy zostały mi jakiegokolwiek wątpliwości?

– Och, Alison – westchnąłem.

Jadąc za nią z powrotem w stronę drogi numer 17, czułem jej zdradę w całym ciele, jakby ktoś przeciągał przez moje żyły drut kolczasty.

Jak mogła to zrobić Emmie, Samowi, nam wszystkim? W mojej głowie zaczęły się już rozgrywać sceny z procesu sądowego o porwanie. Dwukrotne porwanie. W rękach agresywnego prokuratora oznaczało to dożywocie.

Ale czy tego chciałem dla matki swoich dzieci? Żeby zamknięto ją w klatce na resztę życia? Czy Sam i Emma mieli pokonywać kolejne etapy życia – od utraty mleczaków po narodziny własnych dzieci – bez wsparcia ze strony kobiety, która ich urodziła?

W mojej głowie zagościło nieproszone wspomnienie. Miałem trzydzieści parę lat i zaraziłem się wyjątkowo ostrą grypą, która wtedy pustoszyła Waszyngton. Mimo to pracowałem, tyle że z domu. Pisałem jakiś projekt ustawy dla Blake’a, który uważałem za sprawę najwyższej wagi. Nafaszerowany paracetamolem i ibuprofenem, a do tego mocno zadufany w sobie, odbierałem telefony, pisałem e-maile i co jakiś czas biegałem do łazienki.

W środkowym akcie tego idiotycznego spektaklu Alison wróciła do domu i bez słowa wyjęła mi telefon z dłoni. Zabrała mi też laptopa i powiedziała:

– Masz prawo chorować, Scott. Senat nie daje nagród za stuprocentową frekwencję.

Ta jej uwaga zyskała z czasem status naszego rodzinnego żartu. Kiedy Alison zaszła w ciążę, byłem przy każdym badaniu prenatalnym i USG. Po ostatniej wizycie Alison wręczyła mi oprawiony dyplom z certyfikatem stuprocentowej frekwencji.

– To pierwszy, który naprawdę się liczy – powiedziała wtedy.

Taka właśnie była. Zawsze skupiona na tym, co naprawdę ważne. Wiedziała, że to rodzina, a nie romans z dawnym chłopakiem, stanowiła rdzeń życia.

Gdzie się podziała tamta Alison? I skąd w niej wiara, że coś takiego ujdzie jej płazem?

Wszystko to nie trzymało się kupy. Wciąż jeszcze próbowałem doszukać się w jej decyzjach jakiegoś sensu, kiedy naraz zdałem sobie sprawę z tego, że jej lincoln zwolnił. Właśnie wjechaliśmy do gęściej zabudowanej części Gloucester.

Alison zjechała na pas do skrętu w lewo, którym ruch kierowany był ku kompleksowi niskich, białych budynków należących do szpitala Waltera Reeda. Za nim stało kilka budowli wyglądających na przychodnię.

Nie pojechała w stronę głównego gmachu, ale skręciła w prawo. Według

drogowskazów mogła się kierować na parking dla personelu albo do punktu dostaw, albo do któregoś z kilku innych miejsc, których nazw nie byłem w stanie odczytać, bo tabliczki mignęły mi zbyt szybko przed oczami.

Kilkadziesiąt metrów dalej znów skręciła, tym razem w lewo. Droga przez chwilę opadała, żeby za zbiornikiem retencyjnym znów się wznieść. Po lewej stronie zobaczyłem budynek administracyjny.

Czyżby udało im się umieścić tutaj Emmę jako pacjentkę? Przedziwne. Byłem tak pochłonięty misją przyłapania żony na gorącym uczynku, tak skupiony na alternatywnej rzeczywistości, jaką dla niej stworzyłem, że nawet nie przyszły mi do głowy inne możliwości.

Zmieniło się to w chwili, w której Alison skręciła w prawo, w stronę innego budynku.

Widniał na nim szyld z napisem: „Onkologia”.

## Rozdział 59

Młodszy brat nie poszedł po iPada. Kusilo go, ale przypomniał sobie, że za pomyślnie zakończoną robotę mieli dostać bonus – sto tysięcy dolarów. Dominacja nad światem mogła poczekać.

Został w obrębie wyznaczonego obszaru. Kilka razy go obszedł na wypadek, gdyby się okazało, że wcześniej coś przeoczył, ale przeważnie siedział bez ruchu w nadziei, że cisza wywabi małą z kryjówki.

Dwie godziny później usłyszał silnik furgonetki. Kiedy starszy brat z niej wysiadł i spojrzał w jego stronę, młodszy tylko pokręcił głową.

– Nie ruszaj się – rozkazał starszy.

Młodszy odpowiedział mu obscenicznym gestem.

Starszy wszedł do domu i po chwili pojawił się znowu, z laptopem i narzędziówką. Następnie wyjął z furgonetki duże pudło i zaczął wertować instrukcję obsługi. Niedługo potem niewielki helikopter był gotowy do startu.

Dron. Młodszy brat mimowolnie się uśmiechnął. Dobry pomysł.

Starszy tymczasem skupił się na mniejszym pudle, na którym widniał napis „Kamera termowizyjna”.

Nie minęło wiele czasu i dron wzniósł się w powietrze, kilkadziesiąt metrów nad ziemię. Starszy brat patrzył w monitor laptopa. Po chwili go odłożył i ruszył prosto w kierunku młodszego. Jakies pięć metrów od niego zwolnił i zatrzymał się przy częściowo przewróconym drzewie, którego pień opierał się o drzewo obok pod kątem około dwudziestu stopni.

Zajrzał pod korzenie, w miejsce, gdzie pod pochylonym pniem znajdowała się ciasna nora. Młodszy brat przeszedł obok niej co najmniej trzydzieści razy, ale nawet nie przyszło mu do głowy, że ktokolwiek mógłby się tam zmieścić.

Starszy brat zamachnął się nogą i wściekle rozkopał zwal ziemi. Pochylił się i sięgnął pod pień drzewa.

– Mam cię! – zawołał tryumfalnie.

Nagrodą za jego wysiłek był pełen przerażenia, świdrujący krzyk.

## Rozdział 60

Alison znalazła miejsce parkingowe blisko wejścia. Nie zauważyła wynajętego chevroleta, który przyjechał tu jej śladem. Wsiadła z samochodu i ruszyła do głównego budynku.

Zaparkowałem jeden rząd dalej i patrzyłem, jak znika za drzwiami. Przez chwilę się zawahałem, ale w końcu poszedłem za nią. Wszystkie myśli o tym, że lepiej poczekać na parkingu i zobaczyć, jak sytuacja się rozwinie, opuściły mnie w jednej chwili.

Miałem już dosyć życia w rodzinie niszczonej tajemnicami.

Przechodząc przez próg, zobaczyłem Alison stojącą przy blacie w recepcji. Była odwrócona do mnie plecami i wpisywała swoje nazwisko na listę.

Jak wszyscy inni pacjenci.

Odłożyła długopis akurat w momencie, kiedy zamykały się za mną drzwi. Patrzyła w inną stronę, ale kątem oka musiała zauważyć zbliżającą się do niej znajomą sylwetkę, bo spojrzała na mnie i otworzyła szeroko oczy.

– Scott? – zdziwiła się.

W tej samej chwili jej ramiona, te ramiona, które tak bardzo kochałem, całkowicie się zapadły.

– Cześć – powiedziałem cicho.

Dzieliło nas jakieś półtora metra. Patrzyliśmy na siebie i każde z nas próbowało wyczuć, co myśli to drugie. Oboje widzieliśmy się w zupełnie innym świetle niż dotychczas. Twarz Alison wyrażała tłumione emocje. Moja żona nigdy nie robiła scen przy ludziach.

– Chcesz usiąść? – zapytałem.

– Okej.

Przeszliśmy do dużej, jasno oświetlonej poczekalni. Kobieta w peruce przeglądała „National Geographic”. Wychudzony mężczyzna patrzył w telefon. Miał twarz człowieka, który wytrzymał już dwanaście rund przeciwko Tysonowi i wiedział, że czekają go kolejne.

Gapiełem się na tych ludzi dłużej, niż wypadało. Gdzieś bardzo głęboko w nich skrywały się wiązki parszywych komórek, które próbowały wyssać z nich życie, a lekarze robili, co mogli, żeby te komórki unicestwić za pomocą narzędzi, jakie przyszłym pokoleniom wydadzą się nieludzkie: promieniowaniem, trucizną i skalpelami.

Taka była rzeczywistość chorych na raka. Nowotwór nie był tylko diagnozą, ale w pewnym sensie stylem życia. Ludzie nie tyle chorowali na raka, ile byli przez niego zawłaszczani.

I właśnie przed taką rzeczywistością stała teraz moja żona. Jakby brakowało jej zmartwień.

Moja żona miała raka. Wciąż nie docierał do mnie pełny sens tych słów. Alison najwyraźniej żyła z tą świadomością już od jakiegoś czasu. Dla mnie było to coś nowego.

Uzmysłowiłem sobie nagle wszystko to, co ostatnio działo się na moich oczach. Gwałtowna utrata wagi, wymioty, jej zmęczony wygląd. Wszystko to przypisywałem nerwom związanym ze zniknięciem Emmy.

Do tego te jej niewyjaśnione nieobecności, z których mój chory umysł utkał sekretne spotkania z naszą córką, wizyty u porywaczy i schadzki z kochankiem. Tymczasem były to wizyty lekarskie spowodowane chorobą, o której mi nie powiedziała.

Alison wybrała dwa krzesła w rogu poczekalni, gdzie mogliśmy usiąść z dala od innych pacjentów. Prawie dotykaliśmy się kolanami.

– Kiedy się dowiedziałas?

– Dzień po powrocie Sama brałam prysznic i wyczułam guzek.

– Chryste.

– No.

– Gdzie? – spytałem.

Pokazała na prawą pierś.

– Był twardy i miał dziwny kształt. Czyli wszystko to, na co każą uważać. Wiedziałam, że nie mogę go zignorować. Zwłaszcza biorąc pod uwagę historię taty. Tego samego dnia zadzwoniłam do lekarza.

Przypomniałem sobie, jaka była zaradna w piątkowy poranek, kiedy ja spałem. Zadzwoniła do szkoły, do pracy i do laboratorium w Williamsburgu. Telefon do kliniki musiał być gdzieś pomiędzy. Nawet go odkryłem, sprawdzając jej połączenia, ale uznałem, że to coś rutynowego.

– Miałam nadzieję, że to tylko cysta albo jakiś zatkany por – powiedziała. – Lekarz znalazł dla mnie termin jeszcze w tamto popołudnie i zbadał mnie mammografem. Wtedy się dowiedziałam, że to guz.

– Alison – odezwałem się tak łagodnie, jak tylko umiałem. – Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

– Chciałam to zrobić, jeszcze tamtego wieczora. Ale... Nie wiem. Jechałam do domu i pomyślałam, że to byłoby egoistyczne. Chciałam, żeby przynajmniej jedno z nas było skupione całkowicie na Emmie i nie musiało się przejmować tym... czymś. Uwierz mi, że bardzo chciałam ci powiedzieć. Były takie momenty, że potrzebowałam rozplakać się w twoich ramionach, ale wydawało mi się, że nie powinnam.

– Okej – odparłem.

Naprawdę ją rozumiałem. W dodatku sam pewnie postąpiłbym tak samo.

Alison uśmiechnęła się lekko.

– Dziękuję.

– Powiedziałaś rodzinie, tak? – spytałem, mimo że już znałem odpowiedź.

Wymyślili dla niej drzemkę, której nie było, i prawdopodobnie kryli ją przy kilku innych okazjach.

– Tak. Nie miałam wyjścia. Nie mogłam przyjeżdżać tutaj z Samem. Zaczęłyby zadawać pytania. Mama całkiem się rozkleiła, ale Karen jest wspaniała. Jak zwykle wzięła wszystko w swoje ręce. Pomogła mi z ubezpieczeniem i opiekowała się Samem podczas moich wizyt.

– Czyli on...

– Nie, coś ty. On już i tak ma pełno zmartwień. Choroba mamy to już by było za wiele. No, w każdym razie spotkałam się z onkolożką, czekaj... Nie w ostatni, ale w poprzedni czwartek. Nazywa się Laurie Lyckholm. Bardzo miła. Zbadała mnie, pobrała

krew i umówiła na biopsję. Miałam ją w środę.

Innymi słowy, kiedy ja w sądzie zamartwiałem się nieobecnością Denny'ego Palgraffa, Alison wbijano w pierś wielką igłę.

– Czyli... – To było pytanie, które od początku chciałem zadać i którego od początku unikałem. – Znamy wyniki?

Przytaknęła z poważnym wyrazem twarzy.

– Nazywa się rak przewodowy naciekający. Możesz go wygooglować, jak chcesz. Doktor Lyckholm mówi, że to najpowszechniejsza forma raka piersi.

– To znaczy, że jest... uleczalna, tak?

– Tak, tak, jasne. Dlatego tu dzisiaj jestem. Doktor Lyckholm chce zrobić tomografię, żebyśmy lepiej wiedziały, co się dzieje, zanim zaczniemy planować następne kroki.

– Ale rozumiem, że mówimy o operacji? Chemioterapii? Radioterapii? Żadnej z powyższych? Wszystkich powyższych?

– Jeszcze nie wiem – powiedziała Alison. – Doktor Lyckholm twierdzi, że to dobrze, że jestem względnie młoda i w dobrej kondycji. To poszerza pole działania. Ale na każde inne pytanie odpowiada zawsze, że musimy poczekać na wyniki tomografii.

– Okej. I cokolwiek na niej wyjdzie, powiesz mi od razu, tak? Koniec z tajemnicami?

Poklepała moją dłoń.

– Koniec z tajemnicami – potwierdziła.

– Nawet w drobnych sprawach, jak palenie papierosów?

Spuściła wzrok.

– Naprawdę rzuciłam, jak byłam w ciąży, i przez kilka lat nie paliłam – powiedziała. – Ale potem zaczęłam popalać w pracy. No i wygląda na to, że teraz za to płacę.

Głośno westchnęła.

– Przepraszam. Nie chciałem cię obwiniać.

– Daj spokój. Cieszę się, że tu jesteś. Jak się dowiedziałeś? Moja mama w końcu się złamała? Groziła mi tym przez jakiś czas.

– Nie.

Spojrzała na mnie pytająco.

– Nie gniewaj się na mnie – powiedziałem.

Nie miałem odwagi przyznać się do mojej wielkiej tajemnicy.

– Nie gniewać się za co?

– Śledziłem cię spod naszego domu. Wynająłem samochód, żebyś się nie zorientowała. Pojechałem za tobą na tę organiczną farmę, a potem tutaj.

– Dlaczego?

Nie było sensu dłużej tego przed nią ukrywać.

– Podejrzewałem, że masz coś wspólnego ze zniknięciem Emmy.

– Co?! – zapytała na tyle głośno, że kobieta z peruką spojrzała w naszą stronę.

Gdybyśmy nie byli w szpitalu, jestem pewien, że jej reakcja byłaby jeszcze ostrzejsza. Alison momentalnie się opanowała, ale jej szept był niemal wściekły.

– Jak to „coś wspólnego ze zniknięciem Emmy”? Scott, jak mogłeś tak myśleć?

– No... Najpierw Pam powiedziała, że to ty odebrałaś dzieci ze...

– To nie byłam ja, tylko...

– Wiem, wiem – przerwałem jej. – Mówię ci tylko, kiedy to się zaczęło. Potem była twoja wycieczka z Samem do muzeum. Zostawiłaś go tam, pewnie wtedy miałaś mammografię. Myślałaś, że Sam nie zauważy twojej nieobecności, bo będzie skupiony na rekinach, ale zauważył. I jak cię potem o to pytałem, to skłamałaś. I to kilka razy.

Znów spuściła wzrok i kiwnęła głową.

– Więc nabrałaś podejrzeń.

– Tak. Słuchaj, nie jestem z siebie dumny, ale mój umysł też nie działa ostatnio na pełnych obrotach. Wszedłem na twój profil na Facebooku. Wiem, że nie powinienem tak naruszać twojej prywatności, ale jakoś, nie wiem... Czuję, że mam do tego prawo. Bo mnie okłamałaś. No i znalazłem wiadomość od Paula Dressera, że ma ci coś do powiedzenia i żebyś do niego zadzwoniła.

Alison przechyliła głowę na bok.

– Chciał mi powiedzieć, że umarł nasz ukochany nauczyciel angielskiego. Ale czekaj... Niby co Paul mógł mieć z tym wszystkim wspólnego?

– Pracuje w ApotheGenie.

– No wiem, i co z tego?

– Myślałem tak: na pewno wiedział, że rozpatruję ten pozew, i wciągnął cię w swój plan porwania dzieci.

– I co potem? Że razem gdzieś uciekniemy? – Alison się zaśmiała. Pierwszy raz od jakichś stu lat. – Skarbie, Paul to klasyczny Piotruś Pan. Chłopiec, który nie chce dorosnąć. Jego całe życie to tylko szukanie przyjemności. Owszem, wyjeżdża sobie na wspaniałe wakacje, ale... Nie no, za każdym razem, jak mówiłam, że dam mu się porwać, to przecież żartowałam.

– Ale pracuje w ApotheGenie.

– Tak, jako przedstawiciel handlowy. Specjalizuje się w preparatach ginekologicznych. Jego zadaniem jest czarowanie lekarek, żeby wciskały pacjentkom produkty ApotheGenu. Na pewno jest w tym świetny, ale... Jezu, Scott. Tak mi głupio.

Zakryła usta dłonią i uśmiechnęła się, jakby podzielała moje zażenowanie.

– No, w każdym razie w ten czwartek, kiedy miałaś pierwsze spotkanie z doktor Lyckholm, zadzwoniłem do twojej mamy i rozmawiałem z Karen. Powiedziała mi, że śpisz. Potem wróciłaś do domu i powtórzyłaś to samo, ale jak spytałem Sama, to powiedział, że pojechałaś załatwiać jakieś sprawy.

– O kurczę, chłopak widzi więcej, niż mi się zdawało – odparła.

– To prawda. Więc jak dzisiaj rano wspomniałaś o farmie, byłem pewien, że znów planujesz się gdzieś wymknąć w pojedynkę. Dlatego cię śledziłem.

– No i masz – powiedziała i przypięła do twarzy odważny uśmiech.

– No i mam – powtórzyłem. – Przepraszam cię, że...

Alison pokręciła głową.

– Nie powinnam była tego ukrywać. Nie wiem, jak mogłam myśleć, że mi się to uda. Chociaż potajemnie liczyłam na to, że się dowiesz. Cieszę się, że mnie nakryłeś.

– Ja też – powiedziałem.

Dotknąłem obu jej dłoni. Były tak ciepłe, miękkie i żywe. Chciałem zatrzymać czas w tej chwili, kiedy była tylko trochę chora i sytuacja nie była jeszcze taka zła, jak mogła być. Te parszywe komórki już czyniły w niej swoje spustoszenie. A jeśli jedna z nich się odłączyła i zajęła kolejną część jej ciała? Co wtedy?

Nasuwało mi się tyle pytań, ale też nie chciałem się fiksować na technicznych aspektach leczenia – lekarzach, formularzach ubezpieczeniowych i opcjach terapeutycznych – które przesłaniały najważniejsze: moja żona toczyła walkę na śmierć i życie.

I wcale nie było przesądzone, że ją wygra.

– Alison, to co... Co to wszystko znaczy? – wydusiłem z siebie w nadziei na jakieś słowo pocieszenia, którego przecież nie mogłem od niej oczekiwać. – Wszystko będzie dobrze, prawda?

– Nie wiem – odparła szczerze.

Trawiłem w sobie jej odpowiedź, ale tylko przez chwilę. Radzenie sobie z kolejną niepewnością w naszym życiu zwyczajnie mnie przerastało.

– Mam wrażenie, że zbyt dużo mnie ominęło – powiedziałem. – Jak mogę pomóc?

– Martw się tylko o Emmę – odparła Alison. – Od piątku możesz się martwić o nas obie.

– Nie – zaprotestowałem. – Nie mogę dłużej nie martwić się o ciebie. Na to już za późno. Słuchaj, obiecuję ci, że nie przestanę myśleć o Emmie. Ale na pewno jest coś, co mogę zrobić, żeby ci jakoś ułatwić życie.

Alison zrobiła głęboki wydech.

– Och, Scott – powiedziała.

– Co?

– Po tylu latach ciągle tego nie rozumiesz.

Teraz była moja kolej na pytający wyraz twarzy.

– Pamiętasz dzień, w którym się poznaliśmy?

– Pewnie.

– Ale nie chodzi mi o tę bajkę, którą wszystkim opowiadasz: jak zobaczyłeś mnie na uczelni, jak słońce świeciło i anioły śpiewały. Mam na myśli tamten wieczór. Spytałeś mnie, co robię, a ja ci powiedziałam, że wybieram się na imprezę.

– A ja na to, że sam od dawna planuję na niej być. Co było kłamstwem.

– No wiem. Możliwe, że już wtedy wiedziałam. Ale poszłam i oczywiście już tam byłeś. Znajoma mówiła mi potem, że przyszedłeś półtorej godziny wcześniej.

Uśmiechnąłem się na to wspomnienie.

– Ale chodzi mi o to, że zjawiłeś się nie tylko tam. Byłeś na następnej imprezie, potem na kolejnej. Za każdym razem, kiedy coś obiecywałeś, doprowadzałeś to do końca. Nigdy wcześniej nie znałam takiego faceta. Ani Paul taki nie był, ani w ogóle nikt. Może to nie zabrzmiało zbyt romantycznie, ale zakochałam się w tobie, bo mogłam na tobie polegać. Pamiętaj, że z moim ojcem nic w naszym życiu nie było stałe. Ilekroć się do kogoś przywiązałam albo przyzwyczaiłam do jakiegoś miejsca, nagle się okazywało, że tatę znowu awansowali i trzeba było się przeprowadzać. W moim życiu nie było niczego,



na czym mogłabym polegać, dopóki ty się w nim nie zjawiłeś. Byłeś zawsze jak skała. I teraz pytasz, co możesz dla mnie zrobić? Po prostu bądź sobą. Bądź tą skałą. Zawsze mi to wystarczało.

Ścisnęła moją dłoń. Siedzieliśmy tak, trzymając się za ręce, aż podeszła do nas pielęgniarka. Lekarze czekali już na Alison.

– Do zobaczenia w domu – powiedziała.

– Nie, nie. Już i tak za dużo mnie ominęło. Przez ciebie straciłem szansę na dyplom za stuprocentową frekwencję.

Pochyliła się, żeby mnie pocałować.

– Zaraz wracam.

– Okej. Będę czekał – odparłem.

## Rozdział 61

Nazajutrz obudziłem się w stanie, który można określić tylko jako emocjonalny kac. Rzeczywistość wgrzywała zbyt dużą ilość danych na mój przeciążony twardy dysk. Nawet kolory za oknem się nie zgadzały, jakby świadomość choroby mojej żony nadała im przez noc delikatnie zmienione tony.

Pewnie powinna mi towarzyszyć ulga, że Alison jednak nie spiskuje za moimi plecami, a Paul Dresser nie planował mi jej zabrać i że bez względu na to, w jak fatalnym byliśmy położeniu, to przynajmniej byliśmy w nim we dwoje. Jednak tę drobną pociechę unieważniał ból wywołany przez nowo poznany fakt.

Dotychczas najważniejszy kryzys zdrowotny, z jakim musiała się zmierzyć nasza rodzina, miał miejsce w dniu, kiedy zostałem postrzelony. Całe zajście było hałaśliwe, krwawe i wstrząsające, ale tak naprawdę stały za nim chłodne zasady fizyki. W dodatku fizyki w najprostszym, newtonowskim wydaniu: kula obdarzona pędem uderzyła w moje ciało, przeniosła na nie całą swoją energię, dokonała spustoszenia w układzie mięśniowo-szkieletowym, a następnie pospiesznie wydostała się z niego z drugiej strony. Zanim się zorientowałem, że zostałem trafiony, szkody były już wyrządzone. Rekonwalescencja też była sprawą czysto mechaniczną. Wiedziałem doskonale, co się ze mną dzieje, i choć dręczył mnie ból, to czerpałem sporą satysfakcję z faktu, że najgorsze było już za mną.

Choroba Alison była bardziej przerażająca. Rak jest jak pocisk, który przeszywa ciało całymi miesiącami, często latami. Moment uderzenia jest tylko początkiem udreki. Żadne z nas nie miało pojęcia, jak poważne okażą się obrażenia.

W dodatku odpowiedzi na najbardziej palące pytania udzielane były w formie kompletnie niezrozumiałych terminów z zakresu fizyki kwantowej. Nic nie było pewne, istniały wyłącznie scenariusze o różnym stopniu prawdopodobieństwa, mieszczące się w przedziale od ledwo znośnych do całkiem niewyobrażalnych. Nie ma człowieka, który znalazłby pocieszenie w wykresach przedstawiających pięcio- i dziesięcioletnie współczynniki przeżycia.

Przed kompletnym załamaniem powstrzymała mnie surowa reprimenda udzielona przez Alison, która przypomniała mi, że obiecałem jej skupić się w pełni na zniknięciu Emmy.

Rozprawa miała się odbyć za dwa dni. Mój zespół był pochłonięty przygotowaniem do tego stopnia, że kiedy zjawiłem się w biurze o tej samej porze co zawsze, byłem tam jako ostatni.

Zająłem się pracą i gdy późnym rankiem pani Smith połączyła się z moim gabinetem, byłem pewien, że to znów dzwoni ktoś z obrony z pytaniem o zasady korzystania z pomocy wizualnych na sali sądowej lub w podobnej, zupełnie nieistotnej kwestii organizacyjnej.

Tymczasem Joan powiedziała:

– Panie sędzio, dzwoni kongresmen Keese. Chce pan rozmawiać?

Neal Keese. Sam dźwięk jego nazwiska podwyższył mi ciśnienie. Od konferencji prasowej Michaela Jacobsa minęły dwa tygodnie i sądziłem, kierowany naiwnością

wynikającą z desperacji, że sprawa w końcu ucichła.

– Oczywiście – odpowiedziałem. – Połącz go.

W okresie pracy dla Blake'a nie miałem kontaktu z Keeseem, ale wiedziałem, kim jest. Spośród naszych czterystu trzydzieścioro pięćorga ustawodawców niewielu dorównywało mu wiedzą o systemie politycznym Stanów Zjednoczonych. Keesee był wnikliwym, lubującym się w szczegółach technokratą, który potrafił cytować z pamięci sprawozdania Biura Budżetowego Kongresu. Jak sobie właśnie przypomniałem, w artykule opublikowanym przez „Washington Post” określono go kiedyś mianem bezwstydnego dziwaka, który uwielbiał kolejki elektryczne i był tak zagorzałym fanem *Star Treka*, że posługiwał się biegle językiem Klingonów. Ale ci, którzy lekceważyli go jako niegroźnego milczka, robili to na własne ryzyko.

Zdałem sobie sprawę, że czekając na połączenie, wstrzymuję oddech, więc powoli wypuściłem powietrze z płuc. Następnym dźwiękiem, jaki usłyszałem, był jego beznamiętny głos.

– Dzień dobry, panie sędzio.

– Witam szanownego kongresmena. W czym mogę panu pomóc?

– Wiem, że jest pan zajęty, i ja też mam sporo rzeczy na głowie, więc od razu przejdę do rzeczy. Wciąż mam pewien problem z pańskim werdyktem w sprawie Skavrona i chciałbym go rozwiązać jeszcze przed piątkiem. Wiem, że tego dnia będzie pan rozpatrywał ważną sprawę.

– Zgadza się – odparłem.

– Biorąc pod uwagę ograniczenia czasowe, uznałem, że najlepiej będzie zwrócić się do sędziego bezpośrednio. Na pewno pan zrozumie.

– Oczywiście – powiedziałem beztroskim tonem, jakby czoła nie zraszały mi już krople potu.

– Doskonale. Jak pan wie, kongresmen Jacobs dość głośno protestował przeciwko pańskiej decyzji w sprawie Skavrona. Zdawałem sobie sprawę, że jego entuzjazm był po części spowodowany nie tyle troską o rzekomą niesprawiedliwość, ile chęcią dotarcia do liczного grona widzów Fox News. Dlatego przed wciągnięciem w to Komisji Sprawiedliwości postanowiłem skontaktować się z pańskim przełożonym, sędzią Byersem, aby lepiej zrozumieć jego decyzję o nieingerowaniu w pański werdykt. Sędzia Byers opowiedział mi historię młodego człowieka, niejakiego Keitha Blooma.

Czekał na moją reakcję, więc rzuciłem krótkie:

– Rozumiem.

– Sędziego pańska historia głęboko poruszyła, ale ja chciałem poznać więcej szczegółów, których on, rzecz jasna, nie był w stanie mi podać. Poprosiłem więc jednego z moich podwładnych, żeby zdobył więcej informacji na temat Blooma. Wie pan, co takiego odkrył?

– Nie – powiedziałem, czując pętlę zaciskającą się wokół szyi.

– Nic. W archiwach wymiaru sprawiedliwości Dystryktu Kolumbii nie ma ani śladu po sprawie Keitha Blooma. Ani treści jego ugody, ani wyroku sądu, nawet jednej wzmianki na jego temat z okresu, w którym pracował sędzia dla senatora Franklina. Wiedzieliśmy, że akta sprawy nie są tajne, bo jak sam pan przyznał w rozmowie z sędzią

Byersem, pan Bloom jest już pełnoletni. Mój podwładny skontaktował się osobiście z Biurem Prokuratora Dystryktu Kolumbii. Oni też nie mieli żadnych informacji na temat Keitha Blooma.

– Hmm... – udałem zdziwionego.

Trzymałem dłoń na blacie biurka. Kiedy ją podniosłem, na jej miejscu została plama potu.

– Zatem teraz zwracam się do pana, panie sędzio. Czy ma pan numer telefonu albo adres e-mail do Blooma?

– Nie. Nie utrzymujemy już kontaktu. Chyba mówiłem o tym sędziemu Byersowi.

– Rozumiem. Ale na pewno wie pan coś, co może nam pomóc. Na przykład gdzie studiował. Albo w którym liceum pracuje i trenuje młodzież. Może pamięta pan imię i nazwisko członka rodziny, który pomógłby nam go odnaleźć? Zapewniam sędziemu, że te informacje nie trafią do mediów. Mnie nie interesuje obecność w programach informacyjnych. Chcę jedynie potwierdzić istnienie pana Blooma i podstawowe fakty na jego temat, które przedstawił pan sędziemu Byersowi.

Siedziałem nieruchomo, ze słuchawką przy uchu, i próbowałem wymyślić coś, co nie wpędziłoby mnie w jeszcze większe kłopoty. Bez skutku. Każde nowe kłamstwo zostałoby błyskawicznie odkryte. Keesee wgrzył się w tę sprawę po same dziaśła. Zresztą mój umysł nie działał na pełnych obrotach i nie byłby w stanie spreparować kolejnej wiarygodnej bajeczki.

– Nie jest pan w stanie podać mi szczegółowych informacji, bo Keith Bloom nie istnieje, mam rację?

Milczałem. Gdybym powiedział prawdę, *Palgraff* zostałby mi odebrany i przekazany innemu sędziemu jeszcze tego samego dnia. Miałem zatem wybór między pracą a córką. Decyzja nie była trudna.

Zapadła cisza, której nie zamierzałem przerywać. W moim położeniu słowa mogły mi tylko bardziej zaszkodzić.

– Panie sędzio, zdaje się, że są tylko dwa wyjścia – powiedział w końcu Keesee.

– Pierwsze jest takie, że złożę pan dymisję i być może wszystko to pójdzie w zapomnienie. Drugie to wszczęcie postępowania odwołującego pana ze stanowiska.

– Czy da mi pan kilka dni na zastanowienie? Udzielę panu odpowiedzi po weekendzie.

– Przykro mi, panie sędzio, ale w tych okolicznościach nie mogę pozwolić, żeby rozpatrywał pan pozew przeciwko ApotheGenowi. Stawką jest zaufanie społeczeństwa do wymiaru sprawiedliwości. Jeśli chce pan złożyć dymisję, co szczerze panu doradzam, to będę jej oczekiwał przed rozprawą.

– Nie mogę tego zrobić.

– Rozumiem. Informuję pana zatem, że zamierzam skontaktować się z sędzią Byersem, żeby zrelacjonować mu naszą rozmowę. Poproszę go o natychmiastowe zwołanie okręgowej Komisji Sędziowskiej. Decyzja oczywiście będzie należała do niego, ale zrobię co w mojej mocy, żeby wszystkie pańskie sprawy zostały panu niezwłocznie odebrane.

– Proszę, nie – powiedziałem nagle cichym głosem.

– Słucham?

– Powiedziałem: proszę mi tego nie robić. Proszę nie odbierać mi moich spraw.

– Obawiam się, że nie rozumiem.

– Obawiam się, że nie mogę tego panu wytłumaczyć. Ale muszę dalej rozpatrywać sprawy. To dla mnie... niezwykle istotne.

Słyszałem drżenie w swoim głosie. Myślę, że obaj z Keeseem byliśmy mną tak samo zażenowani.

Ale najwyraźniej w jego oczach nie zasługiwałem na litość.

– Przykro mi, panie sędzio – powiedział. – Nie dał mi pan wyboru.

Po tych słowach odłożyłem słuchawkę. Nie było już o czym rozmawiać, a ja doszedłem do punktu, w którym każde następne słowo mogło zostać użyte przeciwko mnie.

Nie potrzebowałem bujnej wyobraźni, żeby się domyślić, jakie kroki podejmie teraz Keese. Na pewno powie Jebowi Byersowi, że go okłamałem i w gruncie rzeczy zrobiłem z niego idiotę. Byers będzie wściekły, co zrozumiałe. Zareaguje błyskawicznie.

Komisja Sędziowska dla Czwartego Okręgu składała się z równej liczby sędziów sądów dystryktowych i apelacyjnych. Zebranie ich wszystkich na telekonferencję wymagało czasu, ale znając Byersa, mogłem się spodziewać, że już w czwartek będzie po sprawie.

Prawda była taka, że zostałem przyparty do ściany. Mogłem milczeć, a wtedy *Palgraff* zostałyby mi odebrany, co byłoby katastrofą. Ale gdybym powiedział Byersowi i Keeseemu prawdę, los Emmy znalazłby się w rękach agentów FBI, którzy nie wiedzieliby nawet, gdzie zacząć jej szukać. Musiałby się zdarzyć cud, żeby znaleźli ją, zanim porywacze dowiedzą się o odsunięciu mnie od sprawy.

Sytuacja była beznadziejna.

Nagle zapragnąłem się ze wszystkiego wypisać. Przestać być sędzią rozpatrującym ważne sprawy. Przestać być mężem żony chorującej na raka i ojcem nieobecnej córki.

I zrobiłbym to, gdybym tylko miał jakiekolwiek pole manewru. Bo bez względu na to, co Keese mi powiedział, nikt tak naprawdę nie dawał mi tej opcji do wyboru. Kiedy zostajesz rodzicem, zrzekasz się prawa do rezygnacji.

Gapilem się zatem na zegar ścienny, śledząc powolną wędrówkę sekundnika, aż zdałem sobie sprawę, że każdy jego ruch przybliża moją rodzinę do tragedii. Musiałem temu jakoś zaradzić.

Jeszcze zanim w ogóle pomyślałem, co właściwie robię i co powiem, moje palce wstukiwały już numer telefonu do jedynej osoby, który miał dość władzy, znajomości i środków, żeby wyciągnąć mnie z tarapatów.

Blake Franklin mógł nie odebrać – w końcu podczas naszej ostatniej rozmowy oskarżyłem go o chodzenie na pasku Barnaby'ego Robertsa – ale oprócz niego nie miałem do kogo się zwrócić.

Po czterech sygnałach, kiedy już myślałem, że usłyszę komunikat poczty głosowej, Blake odebrał.

– Halo – powiedział zdyszczonym głosem.

– Cześć, Blake. Tu Scott.

– Tak, wiem. Poczekaj.

Poczekalem. Blake przyložyl aparat do klatki piersiowej, ale i tak dobiegaly mnie jakies dziwne dzwieki, glownie pisk, który mógł, ale nie musiał być ludzki.

W końcu, cokolwiek to było, ucichło.

– Przepraszam. – Blake wrócił na linię. – Jestem w cholernym schronisku dla zwierząt. Mój szef kampanii uważa, że to będzie dobrze wyglądało. Obiecałem mu, że jak wyjdę stąd zapchlony, to wyleci na bruk. Co tam? Dzwonisz, żeby sprawdzić, czy aby nie obściskuję się z Barnabym na tylnym siedzeniu samochodu? Bo zapewniam cię, że on nie jest w moim typie.

– Nie. Słuchaj, à propos. Przepraszam, że cię...

– Daj spokój. Byłeś w stresie z powodu pozwu Palgraffa i przez tego durnia Jacobsa. Mnie stresują wybory. Miałeś kilka sensownych spostrzeżeń, a ja, zamiast wziąć głęboki wdech i spróbować cię uspokoić, tylko się najeżyłem. Zresztą wygląda na to, że adwokat powoda się wycofał, więc nie ma o czym mówić. Proponuję, żebyśmy obaj zapomnieli o całej sprawie.

Było to klasyczne ustępstwo w wykonaniu Blake'a Franklina, coraz rzadszy w naszej stolicy przykład racjonalnego kompromisu. Z radością na niego przystałem.

– No jasne – powiedziałem. – I dziękuję, że...

– Nie ma za co. Musimy się spotkać, pogadać. Ale teraz kilka szczeniaków nie może się doczekać, aż ktoś im zrobi zdjęcie z senatorem.

– Wiesz co? Mam sprawę, dosyć pilną.

– Tak? Co się dzieje?

Tak zwięźle, jak tylko umiałem, zrelacjonowałem mu moją rozmowę z Nealem Keeseem, a na koniec dałem do zrozumienia, że sytuacja wymaga podjęcia szybkich kroków.

– O cholera – rzucił, kiedy skończyłem. – Najpierw rozwalasz gniazdo pszczoł, a potem kopiesz niedźwiedzia, który przyszedł tam wykraść miód.

– Tak to mniej więcej wygląda.

– Ale pomóż mi zrozumieć. Jeśli nie puścisz Skavrona wolno ze względu na tego futbolistę, to dlaczego?

Wziąłem długi wdech.

– Blake, wiem, że to zabrzmi dziwnie, ale nie mogę ci powiedzieć.

– Nie możesz czy nie chcesz?

– Nie mogę. Powiem tylko, że to bardzo nietypowa, bardzo poważna sytuacja.

– Jak poważna?

– Życie i śmierć.

Po tych słowach słyszałem w słuchawce tylko oddech. Więc dodałem:

– I nie przesadzam. Chodzi o moją rodzinę. Ale naprawdę nie mogę powiedzieć więcej. Musisz mi zaufać.

Mimo że rozmawialiśmy przez telefon, domyślałem się, jak teraz wyglądał, rozważając moje słowa. Pewnie patrzył w dal i odgarniał dłonią swoje grube siwe włosy, jak to miał w zwyczaju, kiedy się nad czymś zastanawiał.

– Dobra – powiedział. – Co dokładnie mam zrobić?

- Zainterweniuj u Keeseego. Znasz go, prawda?
- Trochę. Poznałem go chyba na twoim zaprzysiężeniu, jakby ci jeszcze brakowało ironii do tego wszystkiego.
- Z tego, co się orientuję, to on jest centralnym problemem. Spróbuj go trochę spowolnić, żeby przynajmniej przez następny tydzień koło mnie nie węszył. Potem ci wszystko wyjaśnię. Jemu też. Powinno już być... Nie powiem, że po sprawie, ale przynajmniej mnie zrozumiecie.
- Zobaczą, co się da zrobić – powiedział Blake. I dodał tajemniczo: – Tyle jestem ci winien.

## Rozdział 62

Nawet wiedząc, że zakulisowa magia Blake'a działa na moją korzyść, przez resztę środy i czwartek wzdrygałem się z nerwów za każdym razem, kiedy dzwonił mój telefon.

To oznaczało nieustanny lęk, bo telefon dzwonił bez przerwy. Cały świat, nieświadomy mojego osobistego dramatu, pędził na złamanie karku ku rozprawie Markmana. „Wall Street Journal” już w czwartkowym numerze nazwał ją „rozprawą dziesięciolecia w branży farmaceutycznej i procesem stulecia dla ApotheGenu”. Autor artykułu nie omieszkiał wspomnieć o „komplikacji” w postaci sędziego, wokół którego „panowała atmosfera skandalu, rzucająca cień na całe postępowanie”.

Na PulsMinus.com Steve Politi kolejny raz powoływał się na swoje osławione „źródło” i powtarzał tezę, jakoby faworyzował powoda. Oznaczało to, że jego informator wiedział wprawdzie dość dużo, by dać Politiemu mój numer telefonu, ale poza tym karmił go swoimi własnymi wymysłami.

W „Aktualizacji” do wpisu Politi potwierdzał, że akcje ApotheGenu spadły o kolejne dwa dolary i siedemdziesiąt cztery centy. Całkowity spadek wynosił już ponad trzydzieści dolarów wobec szczytu z ostatnich pięćdziesięciu dwóch tygodni. Cena osiągnęła poziom notowany ostatnio podczas krachu w 2008 roku.

Tymczasem moi podwładni i cały personel sądu uwijali się jak w ukropie, przygotowując budynek Sądu imienia Waltera E. Hoffmana na nawałnicę. Asystenci zarezerwowali dodatkową salę sądową, na której ponadprogramowa publiczność mogła oglądać rozprawę na ekranie podłączonym do monitoringu. Funkcjonariusze straży sądowej przez pół godziny omawiali z nami procedury bezpieczeństwa.

Pojawiły się głosy o przeniesieniu rozprawy do jednej z większych sal piętro niżej, ale uciałem je w załączku. Zależało mi na tym, żeby cały proces odbył się w jak najlepiej znanym mi otoczeniu. Upierałem się też przy tym, by rozprawa trwała tylko jeden dzień. Najważniejszy był dla mnie czas.

Hemans był po mojej stronie, ale obrona wyraźnie się temu sprzeciwiała. Oprócz Clarence'a Wortha w zespole ApotheGenu pracowało jeszcze trzynastu adwokatów z kancelarii Leslie, Jennings & Rowley i trzech innych firm. Wszyscy oni koniecznie chcieli udowodnić, jak kluczowe były usługi, za które wystawiali ApotheGenowi astronomiczne faktury. Chcieli mieć więcej czasu na popisywanie się przede mną i, co ważniejsze, przed swoim klientem. Wszystko to prowadziło do męczących targów z prawnikami, którzy zaczęli tracić do mnie cierpliwość.

Człowiek, który zazwyczaj zajmował się tymi sprawami, czyli Jeremy, nie odzywał się ani słowem. Wycofał się w zacisze swojego gabinetu, ku niezadowoleniu reszty mojego zespołu. Wszyscy jednak byli albo zbyt uprzejmi, albo zbyt zdezorientowani, żeby robić z jego decyzji większą aferę. Po prostu przeczucali nawet najdrobniejsze decyzje na mnie.

Przełożyło się to na dwa wyjątkowo stresujące dni. Przetrwałem ten czas dzięki zastrzykowi energii pochodzącemu z jednego źródła – świadomości, że jeśli tylko uda mi się popychać ten niezdarny tabor do przodu, a Blake uniemożliwi jego wykojenie, to każda minuta przybliży mnie do odzyskania Emmy.



Pamiętam dokładnie moment, w którym ta energia wreszcie się wyczerpała. Był czwartkowy wieczór. Czytałem Samowi bajkę. Miałem go nią uspić, ale tym, który odpląnął jako pierwszy, byłem ja.

Jakieś dwie godziny później ze snu wyrwało mnie uderzenie pioruna, które wstrząsnęło naszym domem. Wczesnojesienna burza zaatakowała Środkowy Półwysep z niemal sejsmicznym przytupem.

Odzyskawszy przytomność, zorientowałem się, że leżę w łóżku Sama przy włączonym świetle. Obok moich ust utworzyła się plama śliny.

Sam najwyraźniej nic sobie nie robił z faktu, że jego ojciec zwał się obok niego. Leżał wciśnięty między mnie a ścianę. Podniosłem się ostrożnie, żeby go nie obudzić, i spojrzałem na jego śpiącą buzię.

Obserwowanie dzieci podczas snu jest jedną z największych przyjemności w życiu rodzica. Dałem sobie kilka chwil na delektowanie się jego spokojem. Miałem nadzieję, że choć trochę mi się udzieli.

Miał na sobie swoją ukochaną piżamę z Kapitanem Ameryką, którą dostał, gdy miał dwa lata, i z której już mocno wyrósł. Leżał z rozrzuconymi na boki rękami i otwartą buzią. Coś w jego twarzy przypominało mi, jak wyglądał zaraz po urodzeniu. Owszem, był teraz starszy i zaczynał mieć coraz wyraźniejsze rysy. Już prawie można było sobie wyobrazić dorosłego mężczyznę, którym się stanie. Wciąż jednak widać w nim było niemowlę.

Czy kiedyś z tego wyrośnie? A może każdy rodzic, bez względu na wiek swojego dziecka, potrafi dostrzec w nim ślad noworodka?

Kiedy przywieźliśmy bliźnięta ze szpitala do domu, oboje z Alison zakradaliśmy się do ich pokoju i patrzyliśmy, jak oddychają. Kierowała nami głównie rodzicielska paranoja – chcieliśmy się upewnić, że żyją – ale myślę, że chodziło nam też o nacieszenie się tym niewyobrażalnym cudem, który wspólnie stworzyliśmy.

Niesamowite było obserwowanie Sama w jego dojrzwaniu. Przecież jeszcze niedawno był ośmiotygodniowym maleństwem, którego serce, bijące w stereofonicznym duecie z serduszkami siostry, słyszałem z głośników. Pomyśleć, że teraz był już zdolny do wykonywania skomplikowanych operacji, a nawet tak prostych czynności jak włożenie za małej piżamy. Nie do wiary.

Mimowolnie pomyślałem też o Emmie. Co teraz robiła? Czy też spała i z jej ust sączyła się strużka śliny? W co była ubrana? W jakiej pozycji leżały jej rączki? Tęsknota za nią zaciskała się wokół mojej piersi. Pragnąłem widzieć też jej najśłodsza buzię, zachwycać się tym, jak wyrosła z niemowlęcia w dziewczynkę, i wyobrażać sobie kobietę, jaką się stanie.

Niedaleko nas błysnął piorun, a sekundę później zagrzmiało. Huk wyrwał mnie z zamyślenia. Podszedłem do ściany i zgasilem lampę. Nie chciałem, żeby Sam, gdyby się obudził, zobaczył swojego tatę we łzach. Potem wróciłem do jego łóżka, przykryłem go kołdrą i pocałowałem w policzek. Spał głęboko, gdy wychodziłem z sypialni.

Reszta domu była pogrążona w ciemności, z czego wywnioskowałem, że Alison też śpi. Skoro nie musiała już udawać zdrowej, codziennie kładła się wcześniej do łóżka. Potrzebowała odpoczynku.

Za oknami szalała burza i deszcz walił w ściany naszego domu. Drzewa tańczyły w nieregularnym rytmie podmuchów wiatru. Gdzieś nieopodal nasze stado dzikich psów wyło do nieba, jakby protestowały przeciwko ulewie.

Poszedłem na palcach do naszej sypialni. Zobaczyłem zarys sylwetki stojącej przy oknie, za którym rozgrywał się burzowy spektakl.

– Cześć – powiedziała Alison.

– O, cześć.

– Jak Sam?

– W porządku.

– Poprosił cię, żebyś z nim spał?

– Nie. Zasnąłem, czytając mu bajkę.

Alison cichutko się zaśmiała.

– Mogę dołączyć? – spytałem.

Przesunęła się, żeby zrobić mi miejsce. Stanęła plecami do mnie, a ja ją objąłem.

– Nieźle sobie radzi w całej tej sytuacji – powiedziała. – Zdarzają mu się napady...

Nie wiem, jak to nazwać. Melancholii? Wiem, że wtedy o niej myśli i za nią tęskni. Ale poza tym jest naprawdę dzielny.

– Myślisz, że to odporność czy dziecięca ignorancja?

– Może i to, i to – odparła.

Chciała coś dodać, ale właśnie wtedy kolejna błyskawica rozerwała niebo na pół i na chwilę rozjaśniła nasze podwórko, ławkę i rzekę.

Kiedy grzmot ucichł, zapytała:

– Jesteś gotowy na jutro?

– Na ile tylko to możliwe – powiedziałem.

– Nie mówię o procesie, ale o...

– O Emmie. Wiem.

Nie pierwszy raz poruszyła logistyczny aspekt odzyskania naszej córki. Dla obydwójga nas było jasne, że powrót Sama nie bez przyczyny odbył się w prosty sposób. Porywacze oddali nam syna, bo wciąż przetrzymywali Emmę i nadal potrzebowali mojej pomocy.

Teraz było inaczej. Zupełnie inaczej. W momencie wydania orzeczenia przestawałem być im potrzebny i to samo dotyczyło Emmy. W jednej chwili z zakładniczki stałaby się potencjalnym zagrożeniem, świadkiem, który mógłby ich zidentyfikować, gdyby kiedykolwiek wpadli w ręce policji. To oznaczało, że nie mogłem ogłosić wyroku, nie mając Emmy blisko siebie. Wiele razy już o tym rozmawialiśmy i myślałem, że Alison chce teraz do tego wrócić.

Tymczasem powiedziała:

– Będziemy mieć tylko jeden strzał.

– Wiem.

Odwróciła się w moją stronę i spojrzała na mnie w sposób, którego nie umiałbym wyrazić słowami. Nigdy w życiu nie widziałem w jej oczach takiej powagi.

– Ci ludzie nie dadzą nam tego, czego chcemy. Musimy im to zabrać. Musimy być gotowi na wszystko, żeby ją odzyskać.

Nie odpowiedziałem. Patrzyłem tylko przez okno na burzę z piorunami, jak rzuca się z furją na rzekę York, spienioną od jej wściekłych smagań.

– Na wszystko – powtórzyła Alison.

Tej nocy przespałem kilka rwanych godzin i około czwartej obudziłem się z pełnym pęcherzem. Kiedy wróciłem z łazienki, moje serce waliło już w takim tempie, jakby w klatce piersiowej wciąż wybrzmiewały mi wieczorne grzmoty.

Po piętnastu minutach leżenia i wmawiania sobie, że mimo to odpoczywam, wreszcie się poddałem i poszedłem na dół zaparzyć kawę.

Słońce zaczęło swoją nieubłaganą wspinaczkę po naszym wschodnim horyzoncie, a ja siedziałem na werandzie i myślałem o mojej rozmowie z Alison, o jej poważnym wyrazie twarzy, kiedy na mnie spojrzała. Oczywiście wiedziałem, co jest naszym ostatecznym celem. Niejasny pozostawał dla mnie tylko techniczny aspekt odzyskania Emmy.

Może na obszarze jurysdykcji innych sądów jest inaczej, ale w Dystrykcie Wschodnim Wirginii do dziś wydawaliśmy orzeczenia, przynajmniej w najważniejszych sprawach, w podobny sposób, w jaki robił to sam Walter E. Hoffman. Papierowy egzemplarz werdyktu, podpisany przez sędziego, zanoszony jest do kancelarii i przekazywany osobie prowadzącej akta sprawy.

Tam już dochodzi do głosu dwudziesty pierwszy wiek. Osoba prowadząca skanuje werdykt i wprowadza go do elektronicznej bazy. Adwokaci otrzymują kopie e-mailem, dziennikarze ściągają plik PDF i tak dalej.

Ale ten pierwszy krok, najważniejszy ze wszystkich, nadal jest w pełni analogowy. Spisywałem swój werdykt na papierze i w tym akcie kryła się cała moja władza. Musiałem trzymać swój atut w ręce do samego końca.

To było względnie proste. Potem sprawy się komplikowały. Porywacze z pewnością nie zamierzali zbliżyć się do budynku sądu, w którym roіło się od agentów federalnych. Spodziewałem się, że na przekazanie Emmy wyznaczą inne, neutralne miejsce.

A jednak dokument musiał zostać złożony w budynku sądu, a to był mój teren.

Od kilku tygodni roztrząsałem w myślach ten paradoks. Kolejny dzbanek kawy i jeszcze jeden wschód słońca nie przybliżyły mnie ani o krok do rozwiązania. W końcu dałem za wygraną i wszedłem do środka, żeby przygotować się do czekającego mnie dnia. Szybko sprawdziłem skrzynkę e-mailową, żeby się upewnić, czy aby nie znajdę w niej wiadomości od Jeba Byersa, że Komisja Sędziowska poleciła odsunięcie mnie od sprawy. Na szczęście byłem ciągle bezpieczny.

Pocałowałem Alison i Sama na pożegnanie, a chwilę później wsiadłem do buicka i ruszyłem do sądu.

Nie jestem człowiekiem, który wierzy w znaki od opatrności. Nigdy nie sądziłem, że ta czy inna piosenka leci w radiu po to, żebym usłyszał zawarty w niej komunikat. Tęcza jest dla mnie wyłącznie efektem wywołanym na niebie przez światło i krople wody i nawet gdybym chciał, nie umiałbym wyczytać niczego z fusów.

Ale ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłem przed wjechaniem na drogę do miasta, było krążące nad moją głową stado sępów. Prawdopodobnie tych samych, które karmiły się

wcześniej zwłokami Herberta Thrifta.

## Rozdział 63

Jedną z konsekwencji podjętej przez małą próby ucieczki było to, że młodszy brat całkowicie stracił autorytet.

Starszy z braci podejmował odtąd wszystkie decyzje i dotyczyło to też ostatniego zadania, które, jego zdaniem, zostało poprzednim razem spartaczone.

Więc młodszy brat nie miał specjalnie wyboru. Zaraz po śniadaniu wyszedł na dwór ze szpadlem w dłoni.

Miał na sobie długie spodnie i koszulę z długimi rękawami, rękawice i czapkę. Po wszystkim planowali wypad w jakieś słoneczne miejsce z plażami, tanim alkoholem i jeszcze tańszymi kobietami. Nie zamierzał przez pierwszy tydzień w raję drapać się po skórze poparzonej trującym bluszczem.

Powietrze miało świeży smak, jakby wczorajsza burza z piorunami zrestartowała świat. Wziął głęboki wdech. Niebo nad jego głową było przejrzyste, tylko kilka smug kondensacyjnych przecinało je postrzępionymi liniami.

Doszedł do sosny, która była jego punktem orientacyjnym, i zagłębił się w zarośla, nie bacząc na mokrą ściółkę. Szedł przez las na wschód, w kierunku wznoszącego się słońca, i uważnie liczył kroki.

Przy setnym zobaczył dwie kłody, które wcześniej tu położył jedną na drugiej. Trzymał kurs.

Po dwustu krokach znalazł drugi punkt orientacyjny – dwa młode drzewka, które wyrwał z korzeniami i ułożył na ziemi.

Po trzystu był już na miejscu. Zboczył zaledwie o parę metrów, co i tak było niezłym wynikiem w tym gęstym lesie.

Trzymając oburącz szpadel, zszedł do wykopanego dzień wcześniej dołu i zabrał się do roboty. Wczoraj dokopał się do wody, co w tej wilgotnej części świata nie zajęło dużo czasu, ale starszy brat kazał mu drążyć głębiej.

Pracował miarowo. Wyrzucając błotnistą ziemię przez ramię, dokopał się wreszcie na tyle głęboko, że korzenie drzew przestały stawiać opór szpadlowi. Dzień wcześniej doprowadzały go do furii.

Przestał kopać, gdy stał po kolana w wodzie. Tyle musiało wystarczyć. Wygrzebał się z dołu i ostatni raz spojrzął na swoje dzieło. Zadowolony z siebie wrócił do domu. Nie mógł się doczekać prysznic.

Jeśli jego starszy brat zechce zakopać tę gówniarę głębiej, będzie musiał sam chwycić za szpadel.

## Rozdział 64

Tego ranka przy wejściu dla personelu stało dwóch funkcjonariuszy straży sądowej. Jeden z nich był zwalistym typem, którego nie znałem zbyt dobrze, bo zazwyczaj pilnował sal sądu magistrackiego. Drugim był Ben Gardner. Przywitałem się najpierw z tym dużym, potem skinąłem na Bena.

– Witam pana sędziego – powiedział.

Przeszedłem przez wiecznie milczący wykrywacz metalu, zabrałem swoje rzeczy z podajnika urządzenia prześwietlającego i już myślałem, że ruszę w stronę windy, kiedy Ben znów się do mnie odezwał:

– Panie sędzio, odprowadzę pana do biura, jeśli mogę.

– Yyy... Jasne – odparłem, nieco zaskoczony.

– Na górze jest już sporo ludzi. Wolę dopilnować, żeby nic się panu nie stało.

Wszedł ze mną do windy. Kiedy zamknęły się za nami drzwi, odchrząknął.

– Wiem, że to będzie dla sędziego długi dzień – zaczął – ale chyba wkrótce będę miał dla pana odpowiedź w sprawie tych odcisków palców.

– Świetnie.

– Mój człowiek obiecał, że dzisiaj zajrzy do systemu. Jeśli coś wyskoczy, to około lunchu powinienem podać panu nazwisko.

– Bardzo dziękuję.

– Nie ma problemu – odparł.

Tymczasem winda zatrzymała się na trzecim piętrze. Myślałem, że słowa o tłumie ludzi zebranych przed salą były tylko wymówką, żeby znaleźć się ze mną sam na sam, ale Ben nie zmyślał. Jeszcze zanim drzwi się rozsunęły, usłyszałem panujący na korytarzu harmider.

A potem się otworzyły i poczułem się, jakbym wszedł w sam środek sekretnego przyjęcia, którego organizatorzy nie zorientowali się, że solenizant przybył na miejsce. Chyba ze sto osób mówiło jednocześnie, a ich głosy odbijały się od lastrikowej posadzki i sufitu.

Sprawały przedziwne wrażenie w miejscu, gdzie na ogół panowała cisza jak w mauzoleum. Na co dzień mało kto tu zaglądał, a dzisiaj kobiety w jedwabnych bluzkach i mężczyźni w garniturach szytych na miarę stali oparci o ściany albo zebrani w małe grupki na środku korytarza. Nie wolno im było używać telefonów komórkowych, więc nie mieli wyboru – musieli ze sobą rozmawiać.

Kilka osób było ubranych nieco gorzej, ale hałaśliwością dorównywały pozostałym. To musieli być dziennikarze.

– Pójdę przodem – powiedział Ben.

Przecierał nam szlak przez tłum, który w większości nie zwracał na mnie uwagi. Wyglądałem pewnie na zwykłego adwokata w garniaku, mimo że szedł przede mną oficer straży sądowej. Jednak kilka głów obróciło się w moją stronę, z czego wnioskowałem, że przynajmniej parę osób mnie rozpoznało.

Kim byli ci wszyscy ludzie? Obecność dziennikarzy mnie nie dziwiła, ale pozostali przypominali bardziej...

Bankierów.

No jasne.

Każda decyzja w sprawie ApotheGenu miała wpływ na cenę akcji. Nasz korytarz roił się od analityków i pracowników funduszy hedgingowych, których zadaniem było przewidywanie ruchów na giełdzie. Jeśli przewidywali, że akcje ApotheGenu pójdą w górę, korzystali z okazji i kupowali je bardzo tanio. Jeśli spodziewali się spadku, szortowali na potęgę.

Wszyscy oni kierowali się intuicją wspartą dostępnymi danymi, a moja sala sądowa z dnia na dzień stała się najlepszym źródłem informacji o najbliższej przyszłości ApotheGenu. Gdybym zmarszczył lekko brwi w reakcji na słowa powoda, akcje firmy zyskałyby pięćdziesiąt centów. Gdybym odrzucił sprzeciw obrony, papiery poleciałyby w dół o pięćdziesiąt centów. Albo dwanaście. Albo o dolara i czterdzieści centów. O ileś.

Krótko mówiąc, w ostatni piątek września na sali sądowej czcigodnego sędziego Scotta Sampsona można było zarobić sporo pieniędzy. Zupełnie jakby korytarz trzeciego piętra zamienił się w kasyno, w którym lada chwila miała się rozpocząć gra o najwyższą stawkę.

I nikt nie miał pojęcia, że karty są znaczone.

Zbliżała się dziewiąta rano i tłum gęstniał. Nadal nie było wieści od Jeba Byersa i Komisji Sędziowskiej, ale ten dywan mógł mi zostać wyrwany spod stóp nawet w ostatniej chwili.

Na pół godziny przed rozpoczęciem rozprawy poprosiłem asystentów, żeby otworzyli drzwi do obu sal. Chciałem dać ludziom czas na zajęcie miejsc.

Dwadzieścia minut później zacząłem rytualne przygotowania. Uczesalem się. Włożyłem togę. Zajrzałem do telefonu, czy porywacze aby nie przysłali mi instrukcji (nie przysłali), po czym schowałem aparat do kieszeni.

Pomimo zmęczenia, które od jakiegoś czasu towarzyszyło mi niemal na każdym kroku, miałem wrażenie, że poruszam się z werwą. Może jednak uda mi się to wszystko przetrwać, pomyślałem.

Niesiony tą nową wiarą wyszedłem z gabinetu. Zwykle w tym momencie spotkałbym Jeremy'ego, który ostatni raz zmierzyłby mnie wzrokiem i zaoferował parę słów otuchy. Tym razem nie było go w pobliżu.

– Jean Ann mówi, że wszyscy są na swoich miejscach – powiedziała pani Smith.

– Okej – odparłem. – Już czas.

Oficer straży sądowej zaprowadził mnie korytarzem, który przemierzyłem wcześniej kilkaset razy.

Potem otworzył drzwi do sali i sytuacja w jednej chwili przestała być normalna. Moja sala sądowa, zwykle pusta, dziś pękała w szwach. Zebranych w niej ludzi nie tylko słyszałem dzięki ich głośnym rozmowom, ale też czułem. Ich kolektywny oddech uderzył mnie ciepłą falą powietrza, gdy tylko przekroczyłem próg.

– Proszę wstać, sąd idzie! – zawołała moja asystentka i natychmiast musiała to wezwanie powtórzyć, bo mało kto ją usłyszał.

Tymczasem ja zmierzyłem zebranych wzrokiem. obrońcy zajęli lewą stronę sali (patrzac z mojej perspektywy), głównie po to, żeby zaanektować ławę przysięgłych na

potrzeby swojej licznej ekipy adwokatów. Po mojej prawej stał Roland Hemans, obok niego brodaty Denny Palgraff i dwaj wspólnicy z kancelarii Cranston & Hemans.

Za poręczą, przez sześć rzędów drewnianych ław ciągnęło się morze twarzy. Zobaczyłem Andy'ego Whipple'a, szefa mojego szwagra, geniusza inwestycyjnego, którego widziałem wcześniej w telewizji. Siedział z tyłu, tuż koło przejścia.

Dostrzegłem też okrągłą, łysą głowę Steve'a Politiego w trzecim rzędzie i Barnaby'ego Robertsa w pierwszym. Jego chłopięca, biała czupryna wystawała zza armii pracujących dla niego prawników.

Był tam też człowiek, którego się nie spodziewałem: Blake Franklin. Jego szerokie barki zajmowały sporo miejsca w ostatnim rzędzie. Musiałem widać na chwilę zawiesić na nim wzrok, bo się do mnie uśmiechnął.

A potem mrugnął.

Nie wiedziałem, czy chciał mi tym dodać otuchy, czy może było to bardziej optymistyczne mrugnięcie, które mówiło: cel osiągnięty. Tak czy inaczej, byłem mu wdzięczny za ten gest i za to, że Blake okazał mi wsparcie swoją obecnością.

Kiedy asystentka zakończyła swój apel do Boga o opiekę nad moim sądem, usiadłem na swoim miejscu. Pozostali zrobili to samo i po sali rozniosło się skrzypienie drewnianych ław.

Na początek wypowiedziałem wszystkie niezbędne formułki. Ze względu na sposób, w jaki prezentujemy się światu – toga, wielkie biurko, najwyższe miejsce w całej sali – ludziom często się wydaje, że nas sędziów nie dotyczą zwykle ludzkie problemy, że nie wiemy, co to stres. A tymczasem wiemy to bardzo dobrze. Zwłaszcza przy tak licznej publiczności i z tykającą bombą zegarową, jaką był telefon w mojej kieszeni. Mimo że ćwiczyłem wcześniej swoje kwestie, byłem spięty i mówiłem niepewnie.

Jakoś jednak udało mi się przebrnąć przez ten wprowadzający monolog i doprowadzić do mów otwierających, których długość poleciłem adwokatom ograniczyć do dwudziestu minut.

Następnie oddałem głos stronie powoda. Atmosfera na sali była gęsta od nerwowego wyczekiwania.

Rozprawa stulecia wreszcie się rozpoczęła.



## Rozdział 65

Roland Hemans górował nad resztą jak wieża. Ludzie siedzący w pierwszym rzędzie musieli wyginać karki, żeby spojrzeć mu w oczy.

Z nieodgadnionym wyrazem twarzy wszedł na podium stojące pomiędzy dwoma stołami. Otworzył skórzaną teczkę, przesunął kilka kartek i spojrzał w moją stronę.

– Dzień dobry, wysoki sędzie – powiedział swoim tubalnym głosem.

– Witam pana, panie Hemans.

Po tej wymianie grzeczności pochylił się nad notatkami i wyrecytował podstawowe fakty dotyczące sprawy. Denny Palgraff, pracując w pojedynkę w swoim domowym laboratorium, badał właściwości mało znanego białka o nazwie PCSK9. Podejrzał, że może ono odgrywać ważną rolę w rozwoju cukrzycy, a ponieważ wiedział, jakie spustoszenia potrafi wyrządzić owa choroba w organizmie człowieka, postanowił zsyntetyzować substancję, która zablokowałaby przyrost wspomnianego białka.

Następnie zrobił coś, co na jego miejscu zrobiłby każdy rozsądny naukowiec, a mianowicie złożył wniosek o zarejestrowanie patentu chroniącego jego prawa do otrzymanej substancji. Hemans przytoczył datę złożenia wniosku, po czym wymienił wszystkie kroki, które doprowadziły do jego przyjęcia. Ta część jego mowy była tak nużąca, że równie dobrze mógł ją odczytać bezpośrednio ze strony internetowej Amerykańskiego Urzędu Patentowego.

Wreszcie przeszedł do głównej części swej argumentacji, którą przedstawił w bardzo prosty sposób. Palgraff był, jego zdaniem, prawowitym właścicielem patentu na inhibitor białka PCSK9. ApotheGen próbował wprowadzić inhibitor białka PCSK9 na rynek i tym samym naruszał własność Palgraffa.

W tym momencie spodziewałem się, że Hemans zacznie ubarwiać swoją mowę: że przypomni mi o konieczności równego traktowania samotnych wynalazców i wielkich koncernów farmaceutycznych, a na koniec zagra na emocjach publiczności i dorzuci kilka zdań o Thomasie Edisonie i George’u Westinghousie. Wprawdzie nie była to jeszcze rozprawa przed ławą przysięgłych, ale Hemans miał wiele powodów do tego, żeby już teraz zagrać wszystkimi atutami.

Tymczasem on tylko podziękował i usiadł. Wykorzystał zaledwie połowę przydzielonego mu czasu.

Przez salę przebiegł szmer ściszonych rozmów. Wywód Hemansa był dość logiczny, ale najwyraźniej nie tylko mnie rozczarował beznamiętny sposób, w jaki go przedstawił. Sądziłem, że wygłosi najbardziej poruszającą mowę w swojej karierze, a usłyszałem sztywny, wyzuty z emocji monolog. Czyżby Hemans był aż tak pewny swoich argumentów, że nie widział potrzeby ubierania ich w porywające frazy? Możliwe. W sprawie rozpatrywanej przez zblazowanego sędziego, a nie naiwnych i łatwych do zmanipulowania przysięgłych, takie powściągliwe otwarcie mogło się okazać właściwą strategią.

– Dziękuję, panie Hemans – powiedziałem. – Panie Worth, może pan zabrać głos.

Główny obrońca podszedł do podium zwolnionego przed chwilą przez Hemansa. Szedł równym krokiem, bez pośpiechu.

Skrzyżował ręce za plecami. Nie miał notatek.

– Wysoki sędzie – zaczął. – Gdybym opracował patent na rower, zarejestrowany w urzędzie patentowym właśnie jako patent na rower, ale zawierający definicję mówiącą, iż rower ma cztery koła, silnik i ostrze do ścinania trawy, to czy istotnie miałbym patent na rower? Otóż nie. Byłby to bowiem patent na kosiarkę. Być może swoim porównaniem zbytnio upraszczam sprawę. Naukowy aspekt omawianego tu sporu jest dużo bardziej złożony. Dotyka zjawisk niewidocznych gołym okiem, rzeczy, które trudno nam pojąć na zdrowy rozum, takich jak łańcuchy aminokwasowe czy wiązania peptydowe. Dla laików, takich jak wysoki sąd czy ja, mogą się one wydawać nieistotne. Bo niby jaką różnicę w jednej, ogromnej molekuale mogą zrobić dwa atomy węgla? Tymczasem dla ludzi, którzy całe życie badają świat na poziomie atomów, jest to tak, jakbyśmy zapytali: co za różnica, że dodamy jeszcze dwa koła? Nasza argumentacja będzie miejscami wybitnie techniczna. Mam nadzieję, że wysoki sąd pamięta podstawy chemii ze szkoły. Ja musiałem je sobie odświeżyć. Ale słuchając tych wszystkich szczegółów z ust najlepszych specjalistów, musimy pamiętać, że zasadnicza kwestia jest tutaj dosyć prosta. Mamy bowiem do czynienia z człowiekiem, który twierdzi, że ma patent na rower, kiedy tymczasem opatentował kosiarkę.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Worth wypowiadał te słowa, zauważyłem, że Andy Whipple się odwraca i gestykułuje w kierunku ludzi przy drzwiach. Domyśliłem się, że są to instrukcje inwestycyjne. Ktoś pewnie wiedział, jak zinterpretować te znaki, wyszedł z sali i przez telefon przekazał polecenia dalej.

– Wiem, że wysoki sąd zastanawia się, jak to możliwe – ciągnął Worth. – Powód będzie nas wszystkich przekonywał o swoim wyjątkowym intelekcie, czemu trudno będzie mi zaprzeczyć. Denny Palgraff jest faktycznie wyjątkowo inteligentny. Ale nawet inteligentni ludzie popełniają błędy. Denny Palgraff sądził, że pracuje nad białkiem PCSK9. Gdyby podłączyć go do wykrywacza kłamstw i zapytać, czy wynalazł inhibitor białka PCSK9, powiedziała by, że tak, i zdałby test na medal. Ale zapewniam wysoki sąd, że powód nie pracował nad białkiem PCSK9. Bliźnięta jednojajowe mają ze sobą wiele wspólnego i bywa, że nie sposób ich od siebie odróżnić, a jednak faktem jest, że nie są jedną i tą samą osobą.

Kiedy Worth przeszedł do szczegółowego udowadniania, że to ApotheGen opracował inhibitor PCSK9, zerknąłem na drużynę przeciwną, żeby zorientować się, na ile groźnie brzmiało dla drugiej strony to bezlitosne ćwiartowanie ich głównej argumentacji.

Denny Palgraff gapił się przed siebie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, ale postawa jego adwokata była znacznie bardziej wymowna.

Roland Hemans kurczył się w oczach.

Oczywiście był to dopiero początek. Nieraz przewodziłem rozprawom, w których wyraźna dominacja jednej ze stron w początkowej fazie nie przekładała się na ich późniejszy przebieg. Worth nadal musiał w przekonujący sposób udowodnić prawdziwość swoich twierdzeń. Żaden sędzia nie opiera swoich decyzji wyłącznie na stopniu elokwencji tego czy innego adwokata.

Jednak kiedy Hemans wezwał Palgraffa na świadka, dla wszystkich było jasne, że

reputacja powoda wymaga szybkiej naprawy.

Hemans zaczął od serii łatwych pytań. Jego klient miał się przedstawić i podać swoje referencje naukowe. Palgraffa nie trzeba było namawiać do mówienia o wczesnych przejawach swego niezaprzecznego geniuszu. Z czasem Hemans nakierował swojego świadka na jego ostatnie odkrycie i Palgraff zrelacjonował krok po kroku, jak udało mu się opracować inhibitor.

Momentami potykał się o szczegóły, ale najczęściej mówił gładko i przekonująco. Kiedy skończył, wielka, niewidzialna wskazówka pokazująca wynik sądowej potyczki z powrotem przesunęła się bliżej środka.

Następnie na podium stanął Worth. Miał ze sobą kartkę i ołówek.

– Wysoki sędzie, czy mogę podejść do świadka? – zapytał.

– Oczywiście.

Worth stanął tuż przed Palgraffem i położył na jego pulpicie papier i ołówek.

– Panie Palgraff, czy zechciałby pan narysować biało, które jest opisane w pańskim patencie?

Hemans skoczył na równe nogi.

– Sprzeciw. To czysty teatr. Mój klient jest naukowcem, nie artystą.

– Wysoki sędzie. Nie zależy nam na walorach artystycznych – ripostował Worth.

– Jeśli powód nie jest w stanie sporządzić choćby schematycznego rysunku białła, nad którym pracował, to skąd mamy wiedzieć, że w ogóle rozumie swój wynalazek? Moja prośba dotyka samego sedna niniejszej rozprawy. Jeśli pan Palgraff chce, mogę mu pokazać kopię patentu. Może z niej skorzystać przy rysowaniu, nie mam nic przeciwko.

Skinieciem głowy wyraziłem zgodę.

– Oddalam sprzeciw. Doskonale zdaję sobie sprawę, że pan Palgraff nie jest tutaj ze względu na swój talent rysownika. Chodzi wyłącznie o szkic. Będziemy wyrozumieli w jego ocenie. Panie Worth, ostrzegam, że nie będę tolerował wybredności po stronie obrony.

– Ależ oczywiście, wysoki sędzie – powiedział obrońca.

Hemans usiadł, nie ukrywając zniesmaczenia.

– Panie Palgraff, czy potrzebny jest panu patent albo któraś z pańskich notatek? – zapytałem.

– Nie – odfuknął.

– Zatem proszę spełnić prośbę obrony.

Palgraff spojrzał na mnie z irytacją w oczach, ale w końcu pochylił się nad kartką papieru i zabrał się do szkicowania. Worth wrócił na podium i skinął na jedną ze swoich współpracownic, młodą kobietę w żakiecie skrojonym na miarę. Ta zaczęła rozpakowywać coś, co po chwili okazało się być sporych rozmiarów sztalugą.

Mijały minuty. Ciszę wypełniało skrzywienie ław, na których zniecierpliwieni widzowie szukali wygodnej pozycji, krzyżowali nogi, to znów je rozłączali. Ja tłumiełem w sobie impuls, żeby spojrzeć na rysunek Palgraffa.

Kiedy wreszcie skończył szkicować, wyciągnął rękę z kartką w stronę Wortha, ale obrońca nie ruszył się ze swojego miejsca.

– Proszę podać kartkę sędziemu – powiedział.

Palgraff odwrócił się do mnie. Do akcji wkroczył oficer straży i odebrał od niego rysunek, żeby mi go podać.

Przyjrzałem się mu, choć nie bardzo wiedziałem po co, bo absolutnie nic mi nie mówił. Widziałem tylko chaos liter i łączących je linii, pojedynczych i podwójnych. W końcu kiwnąłem głową i przez strażnika zwróciłem kartkę Palgraffowi.

– Doskonale, dziękuję – powiedział Worth i skinął na swoją współpracowniczkę.

Kobieta odsłoniła duży arkusz papieru przyklejonego do twardej, piankowej podkładki. Narysowany na nim wzór chemiczny oznaczony był jako „PCSK9”.

– Wysoki sąd usłyszy naszych naukowców, którzy zeznają, że to jest białko PCSK9 w naszym rozumieniu – powiedział Worth. – Niezależni eksperci potwierdzą, że niniejszy wzór strukturalny przedstawia prawidłowo rozrysowane białko PCSK9. W minionym tygodniu wysłaliśmy wysokiemu sądowi ten sam wzór jako „Dowód rzeczowy numer 58”.

– Tak, dziękuję – odparłem.

– Teraz, jeśli mogę zwrócić się do pana Palgraffa, chciałbym prosić, aby spojrzał pan na tę część wzoru, a konkretnie na elementy zgrupowane w tym obszarze. – Worth zwinnym ruchem skierował wskaźnik laserowy na lewy górny róg plakatu.

Palgraff stęknął niechętnie.

– Panie Palgraff, czy pański rysunek zawiera atom węgla znajdujący się dokładnie w tym miejscu?

Laserowa kropka zatrzymała się na niewinnie wyglądającej literze C. Palgraff zmrużył oczy. Na sali zapanowała taka cisza, że słyszałem jego oddech, a właściwie dyszenie. Świadek wiercił się na swoim krześle. Skórzane obicie cicho zaskrzypiało. Wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę. Nadeszła chwila prawdy.

– Panie Palgraff, czy na pańskim rysunku znajduje się w tym miejscu atom węgla? – zapytał ponownie Worth.

Palgraff przełknął ślinę i oblizał wargi.

– Nie – powiedział chrypliwym głosem.

Ledwie to słowo opuściło usta świadka, Whipple zaczął wymachiwać rękami. Kilku mężczyzn w garniturach, którzy najwyraźniej nie pomyśleli o wyznaczeniu kogoś na funkcję kuriera, rzuciło się gorączkowo w stronę drzwi. Ich nagły ruch pobudził kilku kolejnych do tego samego.

Wyglądało to trochę tak, jakby w różnych miejscach na sali zapalały się lampki. Jedna żarówka błysnęła też w mojej głowie. Palgraff miał jedną, tragiczną wadę charakteru. Tak bardzo był przekonany o swoim geniuszu i tak bardzo pogardliwy wobec innych, że nie dało się z nim przebywać. Był więc skazany na pracę w pojedynkę. Nie było nikogo, kto mógłby zwrócić mu uwagę na ten prosty błąd.

Więc parł dalej do przodu jak matematyk opętany chęcią udowodnienia skomplikowanego twierdzenia, ale niezdarzący sobie sprawy, że w pierwszym kroku popełnił błąd w mnożeniu, który kompletnie unieważniał jego dalszą pracę.

Nagle zrozumiałem, dlaczego w minionym tygodniu Palgraff zapadł się pod ziemię. Przygotowując się do zeznań, musiał przejrzeć „Dowód rzeczowy numer 58”. Odkrył swój błąd i wolał uciec z podkulonym ogonem, niż się z nim zmierzyć.

Prawdopodobnie powiedział Hemansowi, żeby wycofał pozew, ale adwokat ściągnął swojego klienta z powrotem do miasta, bo po pierwsze zagroziłem mu zarzutami obrazy sądu, a po drugie wciąż widział szansę na to, że ApotheGen rzuci im parę milionów na odchodne, żeby tylko się ich pozbyć. Nie byłby to pierwszy przypadek, kiedy przedłużające się negocjacje kończą się na schodach sądu.

Fakt, że nic takiego nie miało miejsca, tłumaczył postawę Hemansa i jego przygaszoną mowę otwierającą. Wiedział już, że przegrał. Ale i tak warto było stawić się w sądzie i doprowadzić sprawę do końca; niektóre ugody zawierane są podczas przerwy na lunch. W trakcie rozprawy mogło się wydarzyć coś korzystnego dla Palgraffa, co wyprowadziłoby z równowagi Barnaby'ego Robertsa i skłoniło go do załatwienia problemu gotówką. Jednak nawet ta nadzieja musiała Hemansa powoli opuszczać.

I chyba wszyscy zdawali sobie z tego sprawę. Exodus z tylnych ław mojej sali sądowej przypominał ucieczkę przerażonego tłumu. Ten świadek był już nie do odratowania. Sprawa dobiegła końca.

Rynki finansowe wiedziały już wszystko, co chciały wiedzieć: Denny Palgraff dostawał potężne lanie.

## Rozdział 66

Przesłuchanie, jakie Worth zafundował Palgraffowi, było prawniczym odpowiednikiem wycieczki do rzeźni.

Pod koniec byłem jeszcze bardziej skołowany w kwestii tego, kto przetrzymywał moją córkę. Hemans i Palgraff mieli słabe argumenty, a zatem silną motywację, żeby wygrać sprawę innymi metodami. Jednak w momencie, w którym złożyli wniosek o odsunięcie mnie od sprawy, przestali się liczyć jako podejrzani.

ApotheGen i jego pracownicy mieli jeszcze mniej powodów, by uciekać się do porwania dzieci sędziego. Po co podejmować takie kroki, jeśli miało się pewność zwycięstwa?

O 11.40, kiedy Palgraff mógł wreszcie uciec z fotela dla świadków, zarządziłem przerwę na lunch. Dla obserwujących rozprawę musiało to wyglądać na akt łaski.

Tymczasem ja kierowałem się przede wszystkim ciekawością, czy Ben Gardner ma dla mnie wyniki, które mi obiecał. Wróciłem do swojego gabinetu, zdjąłem tokę i wszedłem do biura akurat w momencie, w którym od strony korytarza wchodził do niego Blake Franklin.

– O proszę. Właśnie ciebie chciałem spotkać – rzucił swoim charakterystycznym, wesołkowanym tonem. – Masz chwilkę?

Oczywiście nie miałem dla niego czasu, ale tylko dzięki niemu nie zostałem jeszcze zwolniony z pracy, więc odparłem:

– Jasne. Wejdz.

Weszliśmy obaj do mojego gabinetu i kiedy zamknęły się za nami drzwi, powiedziałem:

– Zdaje się, że jestem ci winien podziękowania.

– Bez przesady.

– Siadaj, gdzie chcesz.

– Nie, nie. Naprawdę nie chcę ci zabierać czasu. Wiem, że masz co robić.

Przez chwilę stał bez słowa, jakoś dziwnie spięty. W wewnętrznej kieszeni jego marynarki odezwał się telefon.

– Zaczekaj, wyłączę to. Powiedziałem tym na dole, że muszę go mieć przy sobie ze względu na kwestie bezpieczeństwa krajowego.

Ściszył aparat i schował go z powrotem do kieszeni.

– Co tam? – spytałem. – Jak poszło z Keeseem? Opowiadaj.

– Nie wiem, od czego zacząć... Tak naprawdę nie powinienem ci o tym mówić, ale pewnie sam się w końcu dowiesz i wkurzysz na mnie po fakcie.

– Blake, o czym ty mówisz?

– Chciałem to załatwić po staremu. Wiesz, wywlec mu jakieś brudy i delikatnie go zaszantażować. Byłem pewien, że dorosły facet, który bawi się kolejkami elektrycznymi, ma sporo za uszami. Jakiegoś wietnamskiego chłopca czy coś w tym stylu. Ale okazało się, że jest czysty jak łza. Więc złożyłem mu propozycję nie do odrzucenia.

– Jaką?

– On daje ci spokój, a w zamian za to ja daję mu gwarancję, że jego partia

zdoładzie w listopadzie dodatkowe miejsce w Senacie.

– Ale jak miałbyś... – zacząłem, ale w jednej chwili pojąłem, co miał na myśli, choć nie mogłem w to uwierzyć. – Czekaj. Czyje miejsce w Senacie? Twoje?

– W poniedziałek ogłoszę, że z dumą służyłem mieszkańcom Wirginii, ale nie zamierzam ubiegać się o reelekcję.

W normalnych okolicznościach takie słowa z ust Blake'a Franklina musiałyby być żartem. Jego wisielczy humor kazał mu przewidywać koniec kariery co najmniej trzy razy w tygodniu.

Ale teraz nie żartował.

– Blake, nie możesz...

– Pewnie, że mogę. Powiedziałeś, że to sprawa życia i śmierci i że dotyczy twojej rodziny. Tak czy nie?

– Tak, ale...

– To mi wystarczy – uciął. – Miałem piękną serię. Trzy kadencje w dwóch partiach to więcej niż kariera. To cud. Tacy ludzie jak ja, którzy chcą rozwiązywać problemy i nie zakładają, że skoro dla republikanina niebo jest niebieskie, to dla demokracji musi być zielone, to już dinozaury. Powoli giniemy.

– Blake, przestań. To jakieś szaleństwo. Nie prosiłem, żebyś zdjął mi Keeseego z karku na zawsze. Chodziło o to, żeby go trochę spowolnić. W poniedziałek masz do niego zadzwonić i powiedzieć, że zmieniłeś zdanie. Wtedy już będę w stanie sam o siebie walczyć. Nie możesz... Dziękuję ci, ale nie możesz tak się dla mnie poświęcać.

– Mogę i powinienem.

Wyprostował palec i delikatnie dźgnął mnie w klatkę piersiową, w miejsce, gdzie już zawsze będę nosił bliznę po jednym szaleńcu i jego osobliwym podejściu do demokracji.

– Oj, daj spokój. Przez to? Blake, przecież ja nie skoczyłem przed ciebie, żeby cię osłonić. Uciekałem stamtąd jak wszyscy. To był głupi przypadek. Myślisz, że masz wobec mnie jakiś dług? Proszę cię. Zresztą nawet gdybyś był mi coś winien, to przecież ty załatwiłeś mi tę pracę. Od dawna jesteśmy kwita.

Blake pokręcił głową.

– Słuchaj, wiem, że to nie najlepszy moment – powiedział. – Ale na to chyba nigdy nie będzie dobrego momentu. A od dawna... Jedna rzecz leży mi na sercu od... Właściwie od tamtego dnia. I nawet teraz nie bardzo... Nie wiem, jak to powiedzieć.

Widok zawsze elokwentnego senatora Franklina, który potyka się o co drugie słowo, był tak nietypowy, że ze zdziwienia nie pomyślałem nawet, żeby mu przerwać.

– To nie był przypadek – wydusił z siebie w końcu. – Ta kula była dla ciebie.

– Co ty wygadujesz?

– Pamiętasz, jak szukaliśmy poparcia dla twojej ustawy o broni palnej?

– Oczywiście.

– Wiedziałem, że projekt nie ma szans, jeszcze zanim go ogłosiliśmy. Zostało mi w bardzo jasny sposób zakomunikowane, że ludzie sprzeciwiający się tym rozwiązaniom są gotowi zrobić wszystko, żeby tylko tę ustawę pogrzebać. Ale ja byłem taki uparty, że się nie przejąłem i opublikowałem tekst ustawy. Naprawdę myślałem, że kiedy ludzie

zobaczą, jaka... Jak rozsądnie ją sformułowaliśmy, jak doskonale ją przygotowałeś... Zakładałem, że zwykli ludzie staną za nią murem i politycy będą zmuszeni ją poprzeć.

– Blake, to nie znaczy, że jesteś odpowiedzialny za...

– W końcu odebrałem telefon – powiedział, nie zwracając na mnie uwagi. – Dokładnie na dzień przed konferencją prasową. Połączenie z budki telefonicznej. Nie wiem, skąd ten człowiek miał mój numer. Ale nie owijał w bawełnę. Wszyscy w Kapitolu wiedzieli, że to ty napisałeś tę ustawę, i ten człowiek powiedział, że jeśli ją ogłoszę publicznie, to on... On...

Blake przełknął ślinę i ciężko odetchnął.

– Zagroził, że cię zastrzeli. Był bardzo konkretny. Powiedział: „Zorganizujesz konferencję prasową, a twój przydupas Scott Sampson dostanie kulkę w serce”. Nie uwierzyłem mu i nie chciałem wyjść na faceta, którym można tak pomiatać. Wystarczy raz się poddać, żeby... Byłem zarozumiały i tyle. Głupia arogancja. Naprawdę nie sądziłem, że ktokolwiek się odważy zagrozić potężnemu Blake’owi Franklinowi czy komukolwiek z jego ekipy. Mogłem cię poprosić, żebyś nie przychodził na konferencję albo przynajmniej żebyś włożył kamizelkę kuloodporną. Mogłem ostrzec policję. Mogłem zrobić tysiąc innych rzeczy. Ale nie zrobiłem żadnej. Parłem ślepo do przodu i myślałem tylko o sobie, o swojej reputacji. A potem, jak ten szaleniec naprawdę to zrobił, to... Tak się wstydziłem, że mu to umożliwiłem. Nie byłem w stanie nikomu się do tego przyznać. Nawet tobie albo FBI. Bałem się, co sobie o mnie ludzie pomyślą.

– Blake, przecież to nie twoja...

– Daj mi skończyć, do licha – rzucił i szybko się uśmiechnął. – Wiem, że jesteś teraz sędzią i przywykłeś do przerywania zbyt długich wystąpień, ale ja jeszcze nie przestałem być senatorem, więc wiem co nieco o obstrukcji. – Przerwał i po chwili kontynuował: – Chcę ci powiedzieć, że jesteś dla mnie jak syn. Byłeś nim i do dziś jesteś. Wtedy nie zrobiłem bardzo prostej rzeczy, żeby cię ochronić przed śmiertelnym zagrożeniem. Dlatego teraz zamierzam zrobić coś, co nie jest dla mnie proste, żeby oddalić od ciebie to nowe zagrożenie. Nie dlatego, że jestem ci coś winien, ale po prostu tak wypada. I nie chcę słyszeć nawet słowa protestu. Chodź tutaj.

Otworzył ramiona i mocno mnie objął.

Jego słowa zmieniły bieg mojego życia, ale w jaki sposób? Tego jeszcze do końca nie rozumiałem. Teraz jeszcze nie wiedziałem, co czuję w związku z jego wyznaniem ani jak ono wpłynie na nasze relacje.

Póki co byłem pod ogromnym wrażeniem jego gotowości do zrzeczenia się stanowiska w najwyższej rangą instytucji prawodawczej w kraju. Dzięki niej szanse, że moja córka przeżyje, gwałtownie wzrosły. Miałem nadzieję, że pewnego dnia będę mógł jej opowiedzieć, jakiego miała anioła stróża za ojca chrzestnego.

– Blake, nawet nie wiem, od czego zacząć – wyjąkałem.

– To nie zaczynaj. Nie powiedziałem ci tego wszystkiego po to, żebyś się teraz mną zachwycał. Chciałem tylko oczyścić atmosferę. Dobra, wystarczy już tej starczej paplaniny. Nie będę ci dłużej przeszkadzał.

Poklepał mnie po ramieniu i zanim zdążyłem otworzyć usta, żeby jeszcze raz spróbować przemówić mu do rozumu, odwrócił się plecami do mnie i wyszedł.



Stałem tam dobrą minutę i wyobrażałem sobie świat, w którym Blake Franklin nie jest już moim senatorem.

Wreszcie się otrząsałem. Rozważania o szarym obywatelu Blake'u mogły poczekać. Teraz miałem do załatwienia sprawę odcisków palców.

Korytarz był prawie pusty i tylko mała grupka ludzi stała przy windzie, która miała ich zabrać na dół. Nie chciałem, żeby się na mnie gapili, poza tym wolałem spotkać się z Benem Gardnerem z dala od wścibskich oczu, dlatego poszedłem schodami.

W drodze na parter wyjąłem telefon z kieszeni, żeby sprawdzić, czy czegoś nie przeoczyłem. Wydawało mi się, że porywacze powinni już byli się ze mną skontaktować. Ile razy pisali do mnie w trakcie rozprawy Skavrona? Ich milczenie mocno mnie niepokoiło. Wprawdzie nienawidziłem dostawać od nich instrukcji, ale cisza była jeszcze gorsza.

Na dole otworzyłem drzwi na korytarz i od razu wpadłem na Bena Gardnera, który siedział na swoim stanowisku. Było pięć po dwunastej, akurat minął potok ludzi wychodzących na lunch. Ben był sam.

Na mój widok wstał.

– Witam, panie sędzio. Mam coś dla pana.

Podał mi miedziany brelok w plastikowej torebce. Potem z kieszeni wyjął złożoną kartkę papieru i przez chwilę trzymał ją w powietrzu.

– Może pan sędzia powiedzieć żonie, że odciski przeszły przez NGI. To najnowsze narzędzie FBI do analizy linii papilarnych. Następną generacją czegoś tam. Trafność dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć, dziewięć ileś tam dziewiątek. Mają w bazie ponad sto milionów nazwisk, przestępców i zwykłych obywateli. Miał pan rację, jednego zestawu odcisków nie udało się zidentyfikować. Ale drugi już tak.

Podał mi kartkę.

– Dziękuję, Ben. Bardzo nam pomogłeś – powiedziałem, biorąc ją od niego.

– Żaden problem. Pozdrowienia dla małżonki.

Dla zachowania pozorów obojętności rzuciłem mu uśmiech na pożegnanie, ale gdy tylko wyszedłem na parking, wyjąłem z kieszeni kartkę, którą mi dał.

Rozejrzałem się na obie strony, jakby ktokolwiek mógł wiedzieć, co trzymam w dłoni. Na ulicy nie było nikogo. Towarzystwa dotrzymywała mi tylko samotna mewa.

Kartka była złożona na pół. Rozłożyłem ją i zerknąłem na wydrukowane nazwisko.

I nagle zakręciło mi się w głowie. Musiałem się oprzeć o zaparkowany w pobliżu samochód, żeby nie stracić równowagi.

Istnieje taki rodzaj zdrady, do którego większość z nas zdążyła się przyzwyczaić, jakby nas odczulono. Sympatyczna wdowa, która otruła swoich trzech mężów. Lubiany przez wszystkich sąsiad okazuje się pedofilem. Wielebny Jim defrauduje datki na tacę.

Owszem, jesteśmy takimi przypadkami zaskoczeni, ale traktujemy je jako możliwe, ponieważ nie dotyczą najbliższego kręgu ludzi, z którymi współżyjemy, których od lat obserwujemy z bliska, których łaskawość manifestuje się w ich dobrych uczynkach, których intencje są dla nas niepodważalne, bo na najgłębszym poziomie czujemy, że są podobni do nas.

I wtedy przychodzi to. Dowód perfidii o takim rozmiarze, że trudno się ruszyć.

Przez dłuższą chwilę nie byłem w stanie oderwać się od subaru, które pomagało mi prosto stać.

Tej zdrady dopuściła się osoba, która trzymała Sama i Emmę na rękach tuż po tym, jak przyszli na świat. Osoba, która była na ich wszystkich urodzinach. Osoba, która w naszych testamentach została wskazana jako prawna opiekunka dla bliźniąt na wypadek, gdyby mnie i Alison spotkała przedwczesna śmierć.

Jeszcze raz przeczytałem to, co było zapisane na kartce. I znów nie mogłem uwierzyć.

Odciski palców na kluczykach od hondy należały do Karen Lowe.

## Rozdział 67

Poszedłem chwiejnym krokiem do swojego samochodu i ciężko w nim usiadłem. Karen. Siostra Alison. Moja szwagierka. Ciotka moich dzieci.

To była jakaś pomyłka czy...

Czy Karen faktycznie zaatakowała moją rodzinę?

Może istniały zupełnie niewinne powody, dla których na kluczykach naszego auta zostały odciski jej palców. Może w ostatnim czasie używała hondy bez mojej wiedzy? Może jechała nią z Alison i w którymś momencie dotknęła breloczka? A może potrzebowała pożyczyć auto?

Jeśli chodzi o mniej niewinne powody, to już tworzyłem w myślach prawdopodobne scenariusze. Karen wiedziała, że trzymamy kluczyki od hondy na haczyku przy drzwiach w domku gościnnym. Wiedziała, że nigdy go nie zamykamy na klucz, a środa to doskonały dzień, żeby zwędzić nam samochód na kilka godzin, bo oboje z Alison jesteśmy wtedy w pracy, a Justina na uczelni. Mogła wziąć auto i zwrócić je, zanim ktokolwiek by się zorientował, że go nie ma.

Odtworzyłem w myślach nagranie sprzed szkoły. Za kierownicą hondy siedziała szczupła kobieta z blond włosami zebranymi w kucyk przeciągnięty przez pasek czapki z daszkiem. Na pierwszy rzut oka wyglądała na Alison.

Ale równie dobrze mogła to być Karen. Miały taką samą cerę i niemalże identyczne figury. W młodości były czasem brane za bliźniaczki. Nawet dzisiaj trzeba było na nie patrzeć *en face*, żeby je odróżnić. Z profilu albo od tyłu wyglądały prawie tak samo, a właśnie z takiej pozycji widziała ją Pam i nasze dzieci, kiedy wybiegły ze szkoły.

A kiedy włączyła im kreskówki w samochodzie, to czy miały szansę cokolwiek zauważyć? Najwyraźniej nie. W każdym razie Sam się w niczym nie zorientował.

Oczywiście pozostawała jeszcze kwestia motywu. Jaki powód mogła mieć Karen, żeby porwać swojego siostrzeńca i siostrzenicę? Co takiego mogła zyskać?

Może jednak uda się wytłumaczyć te jej odciski palców w jakiś zupełnie niewinny sposób?

Już sam nie wiedziałem. Alison mogła mi pomóc. Nadal siedząc w aucie, wybrałem jej numer.

– Masz Emmę? – zapytała od razu.

– Nie, jeszcze nie. Mamy dopiero przerwę na lunch.

– Aha – odparła zmartwiona. – Jak idzie?

– Dobrze. Słuchaj, mam do ciebie ważne pytanie. Czy w dniach przed porwaniem dzieci Karen używała hondy?

– Karen? Niby po co Karen miałyby brać hondę?

– Odpowiedz. Pożyczała ją czy nie? A może ty z nią gdzieś jechałaś i dawałaś jej kluczyki?

– Nie. A co?

– Bo mam wyniki z FBI i jej odciski...

Alison zrobiła tak gwałtowny wdech, że aż przy tym jęknęła. Na wydechu mówiła tylko:

– Boże, nie. Nie. Nie. To niemożliwe.

Momentalnie utożsamiałem się z jej bólem. Moja piękna żona, już i tak dręczona przez nowotwór i pozbawiona córki, teraz musiała się zmierzyć z tą straszną informacją o własnej siostrze. Oddychała tak szybko, że bałem się, czy zaraz nie zemdleje.

– Przecież Karen jest... Nie, to nie mogła być ona – ciągnęła Alison. – To niemożliwe. Dlaczego miałyby to zrobić? Nie ma żadnej... Mówimy o Karen. Karen. Gdybyś ją widział, jak jej powiedziałam o mojej grudce. Od razu zaczęła działać. Jakby mój rak stał się jej pracą na pełny etat. Jesteś pewien, że to nie pomyłka? Wiem, że nasze odciski są w bazie danych przez tatę, ale...

– Przykro mi – uciałem.

– Ale jest szansa, że...

– Tak, ale bliska zeru. Na ponad dziewięćdziesiąt dziewięć procent to są jej odciski palców. FBI ma jakąś nową technologię.

– Chryste! – zawyła.

– Poczekaj, zastanówmy się przez chwilę. Może to nic nie znaczy. Może z jakiegoś prostego powodu miała w dłoni te kluczyki.

Ale Alison już składała wszystkie elementy w całość.

– To ona była na nagraniu ze szkoły – powiedziała. – To był tył jej głowy.

– Jest taka szansa.

– Muszę iść.

– Dokąd?

– Do Karen. Muszę ją o to zapytać.

– Ja też przyjadę – powiedziałem.

– Dobra. Jestem teraz u mamy. Zostawię tu Sama. Będę u Karen za pięć minut.

– Poczekaj na mnie.

Osiedle Lowe'ów było oddalone o jakieś piętnaście minut jazdy od budynku sądu. Kiedy dotarłem na miejsce, samochód Alison stał już przed bramą wjazdową.

Wysiadłem i podbiegłem do jej wozu. Otworzyła szybę. Miała jeszcze bardziej zapadniętą twarz niż przez ostatnich kilka dni.

– Dobrze się czujesz? – zapytałem i musiało to być najgłupsze pytanie, jakie padło z moich ust od dłuższego czasu.

Alison zamknęła oczy, pochyliła głowę i lekko nią pokręciła.

– Miejmy to już za sobą.

– Okej – powiedziałem. – Jak chcesz to zrobić?

– Myślę, że trzeba po prostu pokazać jej dowody i zobaczyć, czy powie prawdę.

– Myślisz, że się przyzna do porwania naszych dzieci?

– Po prostu jej to powiedzmy – odparła Alison. – Dlaczego Karen miałyby zrobić coś takiego? Własnej rodzinie. Nam. To się nie trzyma kupy.

– Wiem – powiedziałem.

Nagle zauważyłem metal wystający spod bluzy na fotelu pasażera.

– Wzięłaś pistolet?

– To był odruch. Chciałam być uzbrojona.

Doskonale ją rozumiałem.

– A tak w ogóle, dowiedziałas się czegoś od lekarki?

– Nie mogę o tym teraz myśleć. Chodźmy już.

Klepnąłem dłonią w drzwi jej auta i poszedłem do swojego. Jechałem za nią ostatnie trzysta metrów pod dom Lowe'ów. Zaparkowaliśmy przy krawężniku i weszliśmy na werandę.

Zazwyczaj wchodziliśmy do ich domu bez pukania. Tym razem Alison użyła dzwonka. Karen otworzyła drzwi ubrana w strój treningowy; zdziwiła się na nasz widok.

– Cześć – powiedziała. – Co się dzieje?

– Musimy porozmawiać – odparła chłodnym tonem Alison i ruszyła do salonu, zanim jej siostra zdążyła zareagować.

– Wszystko w porządku? – spytała Karen i poszła za nią.

Alison usiadła. Ja i Karen zrobiliśmy to samo.

– Chcę cię zapytać o naszego minivana – powiedziała Alison. – O hondę. Tę, której Justina używała do odbierania dzieci ze szkoły.

– Okej. Co chcesz wiedzieć?

– Jeździłaś nią ostatnio?

Karen nie zwlekała z odpowiedzią.

– Nie. Niby czemu miałabym nią jeździć?

– Zastanów się. Na pewno jej nie pożyczalas, żeby załatwić jakieś sprawunki czy coś?

Tym razem siostra Alison przeciągnęła usta na jedną stronę i zastanowiła się nad odpowiedzią.

– Niczego takiego nie pamiętam. Nie wiem, czy kiedykolwiek w niej siedziałam.

Więc wreszcie doczekaliśmy się kłamstwa. Fakt, że wypowiedziała je bez mrugnięcia, pokazał mi ciemną stronę jej charakteru, o której nie miałem pojęcia. Owszem, znałem siostrę mojej żony dość dobrze. Tak, potrafiła się rządzić, bez wątplenia była twardą sztuką, ale w gruncie rzeczy widziałem w niej prostolinijną córkę pułkownika, absolutnie niezdolną do wyrządzenia krzywdy drugiemu człowiekowi. Najwyraźniej nie wiedziałem o niej zbyt wiele.

Alison zerknęła w moją stronę.

– Scott, masz ten breloczek?

– Mam.

– Możesz go pokazać?

Wyjąłem breloczek z kieszeni, w której tworzył niewielkie wybrzuszenie. Położyłem go na stoliku przed sobą.

– Na tym breloczku wisiały kluczyki od hondy – powiedziała Alison. – Możesz nam wyjaśnić, co na nim robiły twoje odciski palców?

Karen spojrzała na siostrę, potem na mnie i znów na Alison.

W końcu się rozplakała.

Początkowo trudno ją było zrozumieć, bo wciągała gwałtownie powietrze, płakała i próbowała mówić – wszystko to naraz.

Pierwsze w miarę wyraźne zdanie brzmiało:

– To oni mi kazali.

– Poczekaj, poczekaj – powiedziałem. – Jacy oni?

– Ci ludzie.

– Co za ludzie?

– Nie wiem. Nigdy ich wcześniej nie widziałam. I nigdy nie chcę zobaczyć. Było ich dwóch. Mieli brody i mówili z obcym akcentem. Byli straszni. Boże, naprawdę przerażający. Nawet się nie przejmowali tym, że widzę ich twarze. Któregoś dnia przyszli do naszego domu i powiedzieli, że mam... – Karen przerwała, żeby nabrać powietrza w płuca. – Że mam odebrać Sama i Emmę. Kazali mi zabrać od was hondę i pojechać nią do szkoły. Widać było, że was obserwują, bo wszystko o was wiedzieli. Wiedzieli, że to Justina na ogół jeździ hondą, ale że w środę ma zajęcia. Dokładnie sobie to rozplanowali. Wszystko mi wyjaśnili: co mam robić i kiedy. Potem miałam się z nimi spotkać niedaleko szkoły. Powiedzieli, że zabiorą dzieci i od tego momentu już się nimi zajmą. Nie miałam wyboru.

– Nie miałaś wyboru? – warknęła Alison. – Jak to nie miałaś wyboru? O czym ty mówisz?

Miała zaciśnięte pięści. Na jej twarzy rysowała się furia, jakiej chyba nigdy u niej nie widziałem.

Do tej pory Karen otwierała serce, patrząc na mnie, ale teraz spojrzała na siostrę, wytarła policzki i pociągnęła nosem.

– Powiedzieli, że jak ich nie posłucham, to zabiją moją najlepszą przyjaciółkę.

– Co? Co ty wygadujesz?

– Ciebie, okej?! – krzyknęła Karen. – Powiedzieli, że cię zabiją. A wcześniej będą cię gwałcić, torturować i umrzesz w strasznym bólu. Pokazali mi twoje zdjęcia. W pracy, w domu, w sklepie. Zawsze wiedzieli, gdzie jesteś, i mówili, że mogą cię porwać w dowolnym momencie. Zaczęli mi opisywać wszystko, co by ci robili i już... To była najstraszniejsza rzecz, jaką w życiu słyszałam.

– Powinnaś była im na to pozwolić – powiedziała Alison.

– Czyś ty zwariowała? Ali, to nie był jakiś eksperyment psychologiczny, w którym musisz zepchnąć jednego człowieka z mostu, żeby ocalić pięć osób w Chinach. To się działo naprawdę. Oni by cię zabili. A powiedzieli, że jeśli zrobię, co mi każą, to dzieciom nic się nie stanie. Więc z jednej strony miałam twoją śmierć, a z drugiej to, że Sam i Emma trochę się wystraszą, ale na koniec wszystko będzie okej. Mieli je przez jakiś czas trzymać u siebie i wypuścić, jak już dostaną to, czego chcą.

– Powiedzieli, co to ma być? – spytałem.

Karen pokręciła głową.

– Domyśliłam się, że chodziło o jakiś szantaż. Powiedziałam im, że nie jesteście bogaci i że tylko marnują czas. Nawet mi nie przyszło do głowy, że może chodzić o którąś z twoich spraw. Dopiero potem się to okazało.

– Ci dwaj – ciągnąłem. – Opowiedz mi o nich.

Spodziewałem się tylko trochę lepszego opisu niż to, co już nam o nich powiedziała; w sumie dałoby nam to niewiele. Tymczasem Karen zrzuciła bombę atomową:

– Chcecie ich zobaczyć?

Alison rzuciła się w jej stronę, ale jej siostra mówiła dalej:

– Nagrałam ich telefonem. Jakość nie jest dobra. Nie chciałam, żeby zobaczyli, co robię, więc musiałam chować aparat. Dźwięk jest beznadziejny. Chyba zakryłam mikrofon palcem. Ale coś tam słyhać. Poczekajcie, pójdę po telefon.

Karen wstała i wyszła z pokoju, Alison zerknęła w moją stronę.

– Powinna była odmówić – powtórzyła.

Nie miałem na to odpowiedzi. Alison wbiła wzrok w stolik.

Chwilę później Karen wróciła i uklękła na podłodze przed nami.

– Jakość jest słaba – powiedziała jeszcze raz.

Wreszcie wcisnęła „play”. Oboje z Alison nachyliliśmy się do przodu, żeby lepiej widzieć ekran starego iPhone’a.

Najpierw zobaczyliśmy dach naszego minivana. Potem w kadrze pojawił się podbródek, nos i daszek czapki Karen. Wyglądało to jak *selfie* robione pod dziwnym kątem. W końcu Karen odwróciła aparat i na ekranie pojawiło się zbliżenie na popękana skórę wysłużonych foteli hondy. Zgodnie z zapowiedzią prawie nic nie było słyhać, tylko jakieś bliżej niesprecyzowane tarcie.

Karen ewidentnie trzymała aparat nisko, na kolanach albo przy boku. Ale powoli nabierała odwagi. Obraz się podnosił i przesuwiał, aż w kadrze pojawił się widok za szybą w oknie pasażera. Ciągnął się tam wąski pas trawy, a na końcu rosło kilka szczerbatych sosen.

– Zaraz będzie widać jednego z nich – powiedziała Karen.

I faktycznie, przez ekran mignęła męska sylwetka. Ciemne, gęste włosy. Ciemna, zmierzwiona broda. Biała skóra.

– Zatrzymaj! – zawołałem.

– Zaraz będzie wyraźniejszy – odparła Karen. – Cierpliwości.

Nagle za szybą pojawił się czubek głowy o jasnych włosach. Poczulem ukłucie w brzuchu, bo rozpoznałem swojego syna.

– To Sam – potwierdziła Karen. – Kazali im wyjść pojedynczo. Sam był pierwszy.

Alison zapytała:

– Wyciągali je siłą czy...

– To dzieci, Ali. Robią, co się im każe.

– Ale pytały cię, czy mogą?

– Ci dwaj zabronili mi się odzywać. Przez cały ten czas. Ani słowem. Chcieli, żeby dzieci do końca myślały, że to ty. Czekaj, teraz będzie go najlepiej widać.

Nacisnęła pauzę w momencie, w którym jeden z mężczyzn pojawił się za szybą. Oboje z Alison przyjrzeliliśmy mu się bliżej. Widać było głównie zarys jego sylwetki, ale ponieważ stał lekko obrócony w stronę auta, mogliśmy zobaczyć mniej więcej, jak wygląda. Gdybym musiał odgadnąć jego wiek, powiedziałbym, że miał trzydzieści kilka lat, choć z powodu brody trudno było to ocenić. Jedyne w miarę wyraźnymi elementami twarzy był nos, duży i zakrzywiony, i oczy w kolorze bardzo mocnej kawy, tak ciemnobrązowe, że niemal czarne. Prawie nie dało się odróżnić tęczówek od źrenic. Kojarzyły mi się z oczami rekina.

– Na własne potrzeby nazwałam go Aleksy – powiedziała Karen. – Nie używali

imion w mojej obecności.

Kiedy już naoglądaliśmy się zatrzymanego kadru, znów nacisnęła „play”.

– Emmy nie będzie widać, ale właśnie jakoś teraz ją wyprowadzają – komentowała na żywo Karen. – Na koniec ten, którego nazwałam Borys, wraca, żeby zamknąć drzwi minivana. To najlepszy kadr z jego twarzą.

Znów zatrzymała film. Tym razem nie była zadowolona z otrzymanego obrazu, więc przez chwilę przewijała to do tyłu, to znów do przodu, aż znalazła satysfakcjonujący kadr. Wtedy wcisnęła pauzę i podała nam telefon.

Borys był bardzo podobny do Aleksa. Był trochę niższy, nieco cięższy. Jego nos był może nieco bardziej zakrzywiony, ale oczy mieli takie same. Wyglądali jak bracia.

Karen puściła nagranie dalej. Kiedy Borys odszedł od samochodu, zaczęła filmować odważnie. Umieściła aparat tuż nad linią deski rozdzielczej i uchwyciła górną połowę białej furgonetki bez okien, auta, które opisywał Sam.

Dźwięk wrócił, ale nic nam nie dawał. Słyszeliśmy tylko ciężkie dyszenie Karen i przytłumiony odgłos silnika zza szyby. Kiedy furgonetka ruszyła, Karen uniosła telefon jeszcze wyżej, więc zobaczyliśmy cały samochód, aż po koła, ale był już teraz ledwie punkcikiem w oddali.

– Próbowałam zwolnić nagranie i zobaczyć, czy da się odczytać numer rejestracyjny, ale obraz był zbyt rozmazany – powiedziała Karen.

– To bez znaczenia – zauważyła Alison. – Furgonetka albo tablice na sto procent są kradzione.

Nagranie wkrótce dobiegło końca. Trwało niecałe dwie minuty. Obejrzeliśmy je jeszcze raz. Film pokazywał coś, co wyobrażałem sobie od kilku tygodni – moje dzieci porywane przez brodatych mężczyzn. Z jednej strony nie było w nim nic szokującego – po prostu dwójka dzieci wyskakująca z minivana. Ale oczy obu porywaczy były przerażające.

– Mówiłaś, że mówili z obcym akcentem – powiedziałem. – Jesteś w stanie jakoś precyzyjniej go namierzyć?

– Wydawało mi się... Nie wiem, mogę się mylić, ale brzmiali trochę jak Turcy. Mówili podobnie do Justyny.

Alison od razu spojrzała w moją stronę. Czyżby jej przeczucia okazały się słuszne i Justina faktycznie próbowała mnie uwieść? Tego dnia, kiedy Jenny widziała ją w centrum handlowym – czy to ona była śledzona przez Justinę?

Pierwszy raz pomyślałem, że wyrzucenie jej z domu było błędem, bo teraz moglibyśmy ją obserwować. A tymczasem się jej pozbyliśmy i praktycznie pozwoliliśmy jej uciec bez wzbudzania podejrzeń, jakie wywołałoby jej zniknięcie. Innymi słowy, poszliśmy jej na rękę.

Karen mówiła dalej:

– Miałam dużo czasu, żeby o tym myśleć, i moja teoria jest taka, że ci dwaj mają jakiś związek z Justyną. Wiedzieli wszystko to, co ona wie: gdzie są kluczyki od hondy i o której godzinie trzeba odebrać dzieci ze szkoły.

– Czemu nic nam nie powiedziałaś? – zapytała Alison. – Dwa dni później byłaś u nas w domu. Widziałas, jacy byliśmy zdruzgotani.



– Bo mi zabronili. Miałam nikomu nic nie mówić. Nawet Markowi. Powiedzieli, że dzieci wrócą do domu tylko pod warunkiem, że będę posłuszna. To były ich pierwsze i ostatnie słowa pod moim adresem: „Nikommu ani słowa. Nikomu ani słowa”.

## Rozdział 68

Kiedy stało się jasne, że Karen nic więcej nie wie, a Alison i tak zmusi ją do powtórzenia wszystkiego jeszcze trzy, cztery razy, schowałem miedziany breloczek do kieszeni i powiedziałem, że wychodzę.

Musiałem wznowić rozprawę, którą przerwałem do pierwszej po południu. Sędzia może się spóźnić na salę rozpraw o kwadrans, ale dłuższego opóźnienia wolałem uniknąć.

W drodze do sądu odtwarzałem w myślach nagranie wideo i słowa Karen. Pod wieloma względami całe jej wyznanie, jak również to, że po tylu dniach wreszcie poznaliśmy rolę Justiny w porwaniu, niewiele zmieniało w naszej sytuacji. Emma nadal była w rękach obcych ludzi, owych brodatych cudzoziemców. To wiedzieliśmy już wcześniej. Relacja Karen i jej film wypełniły tylko kilka luk, na przykład prawdopodobne pochodzenie porywaczy.

Potwierdziły też nasze podejrzenia, że byli oni doskonale przygotowani, świetnie zorganizowani i zdyscyplinowani. Działali wydajnie. Już sama obserwacja tego, jak chodzą, wiele mówiła o ich profesjonalizmie, poruszali się bowiem z precyzją i według jasno określonego planu. Nie marnowali nawet sekund.

No i te ich czarne oczy. Ludzie o takich oczach z pewnością byli zdolni odstrzelić Herbertowi Thriftowi tył głowy, zmasakrować jego ciało i wysłać mi pocztą jego palec. Ludzie o takich oczach byli gotowi zrobić wszystko, co tylko mogłem sobie wyobrazić, a nawet więcej.

Spróbowałem postawić się w sytuacji Karen, którą w jej własnym domu nawiedziła dwójka łotrów o tych rekinich oczach i grożąc zabiciem jej siostry, kazała jej porwać siostrzeńca i siostrzenicę. Jak bym postąpił na jej miejscu?

Pewnie dokładnie tak samo jak ona. Może powiedziałbym coś rodzicom. Nie, nie „może”. Na pewno. Z czysto egoistycznych pobudek wolałbym przy najbliższej okazji zrzucić z siebie ten ciężar.

Poza tym Karen zrobiła to samo, co zrobiłbym ja i każdy rozsądny człowiek postawiony przed wyborem między czymś nie do pomyślenia a czymś dużo, dużo gorszym. Zignorowanie ich rozkazów nie wchodziło w grę. Ludzie tacy jak oni, stawiający tego typu żądania, nie tolerują nieposłuszeństwa.

Ale uderzyło mnie w nich coś jeszcze. Obydwaj byli kompletnie wyzuci z emocji. Równie dobrze mogli łądować do swojej furgonetki kradzione komputery albo cegły. Ładunek nie robił im różnicy. Byli zawodowcami. Wykonywali zlecenie, nic więcej.

Pytanie, na które po trzech tygodniach tego koszmaru nadal nie miałem odpowiedzi, brzmiało: kto nimi dowodził?

Jakoś nie wierzyłem, żeby pracowali dla Justiny. Owszem, za jej pośrednictwem się do nas dobrali. Może nawet ich znała przed wyjazdem z Turcji. Ale to ktoś inny musiał pociągać za sznurki. Jej rodzice? Nigdy ich nie poznałem. Jej ojciec był podobno profesorem uniwersyteckim. Czy to była tylko przykrywka, a tak naprawdę miał związki z przestępczością zorganizowaną?

Zaraz potem przypomniałem sobie głos, który usłyszałem pierwszego dnia. Ten, którym mi obwieszczono, że moje dzieci zostały porwane i mam wykonywać polecenia.

Tamten głos, choć przefiltrowany i zniekształcony, z całą pewnością należał do Amerykanina.

To ta osoba mówiła Aleksemu, Borysowi, Justinie i wszystkim innym, co mają robić. A my z Alison nadal nie mieliśmy pojęcia, kim ten ktoś może być i co chce zyskać, porywając nasze dzieci.

Kiedy zatrzymywałem samochód na parkingu za budynkiem sądu, było osiem po pierwszej. Wejścia dla personelu nie pilnował Ben Gardner, więc kiwnąłem głową w stronę innego strażnika i przeszedłem przez wykrywacz metalu. Wjechałem pustą windą na również puste czwarte piętro. Widać było, że wszyscy, których obchodził jeszcze wynik sprawy, wcisnęli się z powrotem do obu sal i czekali na mój powrót.

Prawie wbiegłem do recepcji swojego biura, gdzie przywitało mnie wyczekujące spojrzenie pani Smith.

– Witam, panie sędzio – powiedziała.

– Pani Smith – odparłem i szedłem dalej w stronę gabinetu. Zatrzymały mnie jej słowa:

– Panie sędzio, przepraszam, ale jest dla pana przesyłka i wygląda na pilną.

Wstała i podała mi brązową kopertę. Zmrużyłem oczy i zobaczyłem na niej znajome wielkie litery.

ŚĘDZIA SCOTT SAMPSON

OSOBISTE I TAJNE

OTWORZYĆ NATYCHMIAST

– Dziękuję – powiedziałem.

Koperta była zamknięta spinaczem, ale niezaklejona. Wyjąłem ze środka cienki plik kartek. Na pierwszej naklejona była żółta karteczka, na której ktoś napisał:

DOSTARCZYSZ TO DO KANCELARII W PONIEDZIAŁEK RANO. ZARAZ POTEM TWOJA CÓRKA ZOSTANIE WYPUSZCZONA I PRZEWIEZIONA W BEZPIECZNE MIEJSCE. SZCZEGÓŁY PODAMY CI PÓŹNIEJ.

Spojrzałem na dokument pod spodem. Był to werdykt w sprawie. Przejrzałem go szybko, był dobrze napisany. Ewidentnie pomagał im ktoś z doświadczeniem prawniczym i dogłębną wiedzą na temat pozwu Palgraffa. Werdykt zawierał odniesienia do stwierdzonych podczas rozprawy faktów i faworyzował ApotheGen.

Zatem od początku chodziło o zwycięstwo ApotheGenu. Kompletnie nie miało to sensu. Jeśli za sznurki pociągał Barnaby Roberts albo ktoś inny z jego firmy, to dlaczego zmusili mnie do przyjęcia wniosku o zabezpieczenie roszczeń? Mogli sporządzić wniosek przeciwny i zmusić mnie do wzięcia ich strony. Zakończyliby cały ten koszmar w kilka

dni, oszczędzając udziałowcom utraty miliardów dolarów, a swojemu prezesowi przewlekłej choroby serca.

Na ostatniej stronie dokumentu brakowało tylko mojego podpisu.

– Kiedy to przyszło? – spytałem.

– Ktoś wsunął kopertę pod drzwi w przerwie na lunch – powiedziała pani Smith.

– Aha.

Delikatnie się uśmiechnąłem i był to prawdopodobnie mój pierwszy szczerzy uśmiech od miesiąca. Spotkało mnie niewiarygodne szczęście.

Miałem wrażenie, jakbym od czterdziestu kilometrów gonił tego samego lidera maratonu i zawsze był kilka kroków za nim, ale na ostatniej prostej facet, z którym od początku wyścigu przegrywałem, potknął się o rozwiązana sznurówkę i padł na twarz.

Porywacze wreszcie popełnili pierwszy błąd.

Dwie kamery filmujące wejście do mojego biura ukryte były w atrapach lamp wiszących pod sufitem, parę metrów na lewo i prawo od drzwi. Aż do tego dnia nie byłem pewien, jak dobrze te plastikowe klosze maskowały sprzęt.

Teraz mogłem ze spokojem stwierdzić, że robiły to bardzo skutecznie, bo osoba, która wsunęła kopertę pod moje drzwi, ani ich nie zauważyła, ani nawet przez chwilę się nie zastanowiła nad tym, że mogą one skrywać sprzęt rejestrujący obraz.

Nagrania trafiały bezpośrednio do komputera na biurku mojego sekretarza i były przechowywane na twardym dysku przez jakiś czas – tydzień, miesiąc? Na pewno dłużej niż godzinę.

Żeby się dowiedzieć, kto zostawił kopertę pod moimi drzwiami, musiałem tylko poprosić Jeremy'ego o odczytanie danych. Był w mojej ekipie jedyną osobą, która umiała to zrobić. Oczywiście mogłem znaleźć kogoś innego, ale i tak tylko on znał hasło dostępu.

A zatem był mi potrzebny, tyle że od dwóch tygodni odnosił się do mnie jeśli nie z otwartą niechęcią, to przynajmniej z dużą rezerwą, co właściwie mnie nie dziwiło.

Oficer straży sądowej wszedł do naszej recepcji, spodziewając się, że będę już w todzie i gotowy do wznowienia rozprawy. Zamiast tego usłyszał:

– Jeszcze pięć minut, dobrze?

– Oczywiście, panie sędzio – odparł.

– Zadzwoń do Jean Ann i dam jej znać.

Wsunąłem werdykt z powrotem do koperty i przeszedłem osiem kroków do pokoju Jeremy'ego. Zapukałem we framugę, na co odpowiedział zdziwionym spojrzeniem.

Miałem do wyboru tylko dwie możliwości: poprosić go o pomoc albo wydać mu polecenie. Szczerze mówiąc, nie miałem sił na kolejną konfrontację. Pora wyciągnąć rękę na zgodę. Chciałem czegoś więcej niż tylko niechętną pomocy. Potrzebowałem sojusznika.

– Cześć – powiedziałem. – Potrzebna mi twoja pomoc i wiem, że po tym, jak cię ostatnio traktowałem, nie mam prawa cię o nią prosić. Ale nie mam wyboru. Mogę wejść?

– To pana biuro – odparł chłodno.

Wszedłem do środka, zamknąłem za sobą drzwi i usiadłem.

– Po pierwsze, powinienem cię przeprosić za robienie ci zdjęć – zacząłem. – Nie miałem prawa w taki sposób naruszać twojej prywatności. Jestem ci też winien

wyjaśnienia za moje dziwne zachowanie w ostatnich tygodniach. Ale musisz mi przysiąc dyskrecję. Nie możesz nikomu powtórzyć tego, co ci powiem. Zgadzasz się?

– Oczywiście – potwierdził. – Daję słowo.

Przedstawiłem mu skróconą wersję. Kilka razy cicho jęknął, głównie jednak kiwał głową z poważnym wyrazem twarzy. Widziałem, jak jego logiczny umysł wypełnia luki w wydarzeniach minionego miesiąca. To, co wydawało mu się kompletnie niepojęte, teraz nabierało sensu.

– Cieszę się, że wreszcie mi sędzia powiedział – odezwał się, kiedy skończyłem.

– Oczywiście wiedziałem, że coś się dzieje. Chyba z dziesięć razy planowałem podać się do dymisji, ale czułem podskórnym, że coś jest bardzo nie tak.

– W takim razie dziękuję, że zostałeś. W imieniu Sama i Emmy.

– Nie ma za co. Później możemy się nad sobą porozczulić. A tymczasem powiedział sędzia, że potrzebuje mojej pomocy. O co chodzi?

Kilka stuknięć w klawiaturę później oglądaliśmy podzielony na dwie części obraz z kamery za drzwiami. Puściliśmy nagranie od 11.40, kiedy ogłosiłem przerwę w rozprawie. Przewijaliśmy do przodu na podglądzie.

Moje biuro mieściło się za salą sądową i za rogiem korytarza, na którym wszyscy się zbierali, więc kamery najczęściej nie miały czego rejestrować. Najpierw pokazały mnie wychodzącego do Karen, potem panią Smith, Jean Ann i resztę asystentów idących na lunch. Kobieta pracująca w jednej z sąsiednich sal sądowych przeszła obok, ale się nie zatrzymała.

Ale o 12.32 w korytarzu pojawiła się pojedyncza męska sylwetka. Obraz był przyspieszony ośmiokrotnie, więc za pierwszym razem nie było widać szczegółów, ale i tak było jasne, na co patrzymy. Mężczyzna w garniturze podszedł do moich drzwi, pochylił się i wsunął pod nie jasnobrazową kopertę, po czym szybko się oddalił.

– Jest koperta! – zawołał Jeremy. – Mamy go!

– Przeviń do tyłu – poprosiłem.

– Okej, sekunda.

Klikał myszką, aż wrócił do momentu, kiedy tajemniczy człowiek pojawił się w kadrze. Wtedy odtworzył nagranie z normalną szybkością.

Od razu wiedziałem, na co patrzę. I nie mogłem w to uwierzyć. Mężczyzna, który dostarczył mi kopertę, miał jaskrawe, rude włosy.

– Skurwysyn – powiedziałem.

– Co? – spytał Jeremy.

– To mój szwagier. Mark Lowe.

Nie mówiąc ani słowa więcej, wybiegłem z pokoju Jeremy'ego. Następnym zdarzeniem zarejestrowanym przez kamery byłem ja otwierający drzwi naszego biura i wyskakujący na korytarz. Nie wiem, czemu sądziłem, że Mark może tam jeszcze stać. Niby po co miałyby się kręcić w pobliżu miejsca zbrodni? Ale musiałem się upewnić.

Nie było go. Zajrzałem przez małe okno na salę sądową. Tam też go nie zobaczyłem. Widziałem tylko sześć rzędów ław zapełnionych ludźmi, którzy wyraźnie zaczynali się denerwować, a przed nimi dwa stoły prawników siedzących jak na szpilkach.

Była 13.19, nie mogłem dłużej przeciągać przerwy w rozprawie. Jeśli po podrzuceniu koperty Mark od razu uciekł, mógł być teraz nawet w Karolinie Północnej.

A ja musiałem dokończyć rozprawę. Nawet jeśli była zwykłą maskaradą, i tak musiałem poczekać z ogłoszeniem decyzji Marka, aż obie strony zaprezentują wszystkie argumenty.

Decyzja Marka. Decyzja Marka? Dziwnie to brzmiało. Mark nie był człowiekiem, który podejmował decyzje. On się do nich stosował. Zawsze był najcichszą osobą w pokoju, podczas naszych hałaśliwych spotkań rodzinnych rzadko kiedy się odzywał. Nie stawał na swoim ani w pracy, ani w domu. Nigdzie. Błady rudzielec Mark.

Miałem uwierzyć, że Justina i dwaj Turcy wykonywali jego polecenia? Nie miałem czasu na stworzenie choćby jednej wersji zdarzeń, w której taki układ trzymałby się kupy. Ale musiałem go znaleźć. Odwróciłem się na pięcie i wróciłem do biura.

– Jeszcze minuta – zawołałem do Joan Smith i oficera straży. I całej reszty moich podwładnych.

Wszedłem do swojego gabinetu i niechlujnie zarzuciłem na siebie togę, nawet nie patrząc w lustro. Wyjąłem z kieszeni telefon i wysłałem SMS-a do Alison:

Nie wiem dokładnie, co się dzieje, ale Mark jest w to zamieszany. Muszę wracać na rozprawę. Za godzinę przerwa. Bądź przed budynkiem.

Zanim go wysłałem, zastanowiłem się, czy nie powinienem dodać jeszcze dwóch słów. Wziąłem głęboki wdech i moje palce zdecydowały za mnie:

Weź pistolet.

## Rozdział 69

Kiedy spóźniony i skruszony sędzia zajął wreszcie swoje miejsce na sali, rozprawa wznowiła swój leniwy bieg.

Roland Hemans robił, co do niego należało, a Clarence Worth niemiłosiernie go punktował. Wołał „sprzeciw” przy każdym najdrobniejszym omsknięciu, drażnił każdą kwestię i ogólnie nie przepuszczał żadnej okazji, żeby podkopać rywala.

Ja byłem myślami gdzie indziej. Przede wszystkim zastanawiałem się, jakie zło wsączyło się w żyły Marka. Bo co innego wystawić na niebezpieczeństwo dzieci swojej szwagierki – w końcu nie były z nim spokrewnione, o ile brał pod uwagę takie darwinistyczne względy – ale Mark zagroził własnej żonie, nasyłając na nią Aleksego i Borysa, dwóch typów pozbawionych sumienia.

Jaki człowiek tak postępował? Co trzeba mieć w sercu, żeby postawić matkę swoich czworga – czworga! – dzieci na drodze dwóch ludzkich tajfunów?

Nie tylko myśli, moje oczy też wędrowały swoimi drogami. Andy Whipple siedział w ostatnim rzędzie. Nagle przyszło mi do głowy, że to Markowi dawał dzisiaj rano znaki ręką. No jasne! To pewnie miało być jego alibi, gdybyśmy na siebie wpadli: jestem tu z polecenia mojego szefa, przekazuję jego instrukcje traderom.

Co chwila zerkałem w jego stronę, żeby sprawdzić, czy wykonuje jakieś gesty, bo to by znaczyło, że Mark wrócił na swój posterunek za drzwiami. Ale gwiazdor rynku hedgingowego siedział nieruchomo.

Barnaby Roberts też wrócił na swoje miejsce tuż za prawnikami, aczkolwiek nie potrafił wysiedzieć w spokoju. Ilekroć Worth zamęczał Hemansa pytaniami – a działo się to często – Roberts wiercił się jak uczeń przed dzwonkiem na przerwę.

Blake Franklin do końca dawał mi milczące wsparcie.

Ale najmocniej moją uwagę przykuwał Steve Politi. Korespondent portalu PulsMinus siedział w dziwnym stuporze, z głową przechyloną na bok. Notes, w którym powinien był gorączkowo notować przebieg rozprawy, leżał zamknięty na jego kolanach. Nawet nie widziałem, czy Politi trzyma długopis.

Wyglądał przede wszystkim na człowieka pokonanego. Od samego początku wieszczył upadek ApotheGenu. Opowiadał swoją wersję zdarzeń w ogólnokrajowych kanałach telewizyjnych. Setki komentujących i tysiące odwiedzających jego stronę z pewnością przyczyniły się do sporych wpływów z reklam na jego blogu.

A teraz? Dla wszystkich z dostępem do internetu było jasne, że Politi dołączył do niechlubnego szeregu tych, którzy przewidywali zwycięstwo Deweya nad Trumanem<sup>1</sup>. Biedny Wiluś Kojot. Struś Pędziwiatr znów mu się wymusknął.

Jego reputacja legła w gruzach. Prowadzony przez niego blog stał się pośmiewiskiem. Podstawowe źródło utrzymania było bliskie wyschnięcia. Popularność w blogosferze jest jak chorągiewka na wietrze. Politi musiał wiedzieć, że gdy te miliony odwiedzających uznają jego stronę za niewiarygodną, po wpływach z reklam nie pozostanie nawet ślad.

A wszystko to dlatego, że jego informator – owo słynne, anonimowe źródło – bezczelnie go wymanewrował. Kto był tym informatorem? Mark? On mógł dać

Politiemu mój numer komórkowy. Mógł wykorzystać znajomość ze mną, żeby zmanipulować doniesienia PulsMinus na temat procesu. Czyżby Steve Politi był kolejną osobą, która nie doceniła dwulicowości Marka Lowe'a?

Chyba wiedziałem, jak to sprawdzić.

– Dziękuję, panie Hemans – powiedziałem, kiedy prawnik Palgraffa skończył przedstawiać swoje argumenty, a Worth szykował się do rozłożenia go na łopatki.

– Zarządzam piętnastominutową przerwę, po której głos zabierze obrona.

Po tych słowach spojrzałem prosto na Politiego.

– Proponuję, żeby wszyscy wyszli złapać trochę słońca. Mamy ładny dzień. I domyślam się, że każdy chętnie sprawdzi swoje esemesy. Zwłaszcza dziennikarze.

Politi miał niewzruszoną minę, aż w końcu zrozumiał, że mówię do niego. Patrzyłem mu w oczy, dopóki nie nabrałem pewności, że wreszcie pojął sens moich słów. Wtedy wyprostował plecy i lekko skinął głową.

Podniosłem się z krzesła, a asystentka zawołała:

– Proszę wstać!

Gdy tylko znalazłem się za zamkniętymi drzwiami mojego gabinetu, wyjąłem telefon z kieszeni i napisałem do Politiego:

Zapraszam do mnie. Niezwłocznie. Mam propozycję.

Wiedziałem, że mam sporo do zrobienia przez kwadrans, więc nawet nie zdjąłem togi przed wyjściem na korytarz. Przeciskając się przez tłum, ignorowałem zaciekawione spojrzenia. Zszedłem schodami na parter.

Ben Gardner wrócił na swoje stanowisko przy wejściu dla personelu.

– Jak tam idzie? – zapytał.

– Mamy przerwę. Chciałem zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Całkiem go tam sporo – powiedział i wskazał na drzwi.

Rzuciłem mu wymuszony uśmiech i wyszedłem na zewnątrz budynku.

Natychmiast wybrałem numer Alison.

– Gdzie jesteś? – spytałem, kiedy odebrała. – Właśnie wyszedłem przed sąd.

– Widzę cię. Spójrz w prawo.

Obróciłem głowę o dziewięćdziesiąt stopni i zobaczyłem ją stojącą na rogu ulicy, przy parkingu dla pracowników. Spotkaliśmy się w połowie drogi.

– Co oznaczał twój esemes? Mark jest w to zamieszany? Jesteś pewien?

Powiedziałem jej o nagraniu z kamery i kopercie wsuniętej pod moje drzwi.

– Chryste. Przed chwilą go widziałam – powiedziała.

– Tak? Gdzie?

– Stał przed głównym wejściem, rozmawiał przez telefon. Chciałam do niego podejść, ale nie wiedziałam, co oznaczał twój esemes, więc się powstrzymałam.

– Jeszcze tam jest?

– Nie. Zaparkował na płatnym miejscu przed budynkiem i jak skończył rozmawiać, wrzucił monety do parkometru i wszedł z powrotem do środka.

– Czyli jest teraz w sądzie?

– Tak mi się zdaje – powiedziała Alison. – Ale jeśli faktycznie miał z tym coś wspólnego, to co chcesz zrobić?



– Dlatego prosiłem, żebyś wzięła pistolet. Masz go?

– Tak – odparła i uniosła torebkę. – Ale co nam to da? Przecież nie wniesiemy go do środka.

– Może się uda. Dasz radę rozebrać go na części? Wykrywacze metalu przy wejściu dla personelu mają ustawioną niską czułość. Jeśli ty weźmiesz połowę, a ja drugą, to powinniśmy dać radę.

Nie mogłem uwierzyć, że takie słowa padły z moich ust. Wiecznie ostrożny sędzia z zimną krwią planował popełnienie przestępstwa. Gdybyśmy zostali przyłapani, groziłby nam co najmniej rok w więzieniu. Może nawet więcej, bo nie mógłbym się przecież bronić nieznaną prawą. Tyle że nie miałem teraz czasu martwić się konsekwencjami.

Alison też nie.

– Masz jeszcze ten śrubokręt w samochodzie? – zapytała.

– Tak.

– To chodźmy.

Usiadła na przednim fotelu, a ja przyniosłem narzędzia z bagażnika. Jej ojciec byłby dumny, gdyby mógł zobaczyć, jak szybko i z jaką wprawą rozbiera pistolet na części pierwsze. Wsunęła lufę do kieszeni, a sprężynę i pusty magazynek schowała do torebki. Uznała, że osobno żaden z tych elementów nie będzie wyglądał podejrzanie na ekranie skanera RTG.

Ja wzięłem rękojeść, w większej części plastikową, i naboje. Obie te rzeczy na pewno wyglądałyby podejrzanie na ekranie skanera, dlatego schowałem je do kieszeni spodni, pod togę.

– No dobra – powiedziałem. – Oby się udało.

Weszliśmy ramię w ramię przez drzwi dla personelu. Ot, powszechnie szanowany sędzia federalny ze swoją uroczą żoną. Przepuściłem Alison przodem i przykleiłem do twarzy szeroki uśmiech.

– Cześć, Ben – powiedziałem. – Pamiętasz Alison?

– Pani Sampson, miło znów panią widzieć.

Bez najmniejszych wskazówek z mojej strony Alison odegrała swoją rolę bezbłędnie. Pocałowała Bena w policzek.

– Ben, chciałam ci podziękować za przysługę, którą nam wyświadczyłeś. Jesteśmy ci bardzo wdzięczni.

Ben wymamrotał jakieś „nie ma za co”, a Alison położyła torebkę na gumowym pasie skanera. Przeszła przez wykrywacz metalu, który się nie odezwał. Nie wiem, czy Ben w ogóle spojrzał na ekran prześwietlarki. Był zbyt zajęty uśmiechaniem się do Alison.

Wreszcie przyszła moja kolej. Cieszyłem się, że wykrywacz metalu nie reaguje na wstrzymywany oddech, bo to właśnie robiłem, kiedy do niego podchodziłem. Zachowywałem się, jakby było to dla mnie rutynowe przejście przez punkt kontrolny. W końcu byłem tylko sędzią, który ma po prostu dużo spraw na głowie.

Maszyna nie dała się na to nabrać i głośno zawyła.

Ben odruchowo odwrócił głowę i wykrzywił twarz. Pewnie usłyszał ten dźwięk

pierwszy raz od trzech lat.

Dobrze, że nie zwracał już uwagi na Alison, bo ta stała w całkowitym osłupieniu. Nasz plan zmierzał ku katastrofie.

Ben chwycił już za ręczny wykrywacz metalu, który wyglądał trochę jak żółta pałka policyjna. Wystarczyło, że raz przebiegłby nim wzdłuż mojej kieszeni, a cała nasza misterna intryga ległaby w gruzach. Nikogo nie obchodziłby mój werdykt w sprawie ApotheGenu, jeśli bym go wydał z za krat Więzienia Rejonowego Western Tidewater.

Zatrzymałem się po drugiej stronie bramki i ostentacyjnie się zdziwiłem. Była to gra aktorska na miarę Oscara.

Wywróciłem oczami, uniosłem tokę z jednej strony – tej bez pistoletu – i wyjąłem z kieszeni miedziany breloczek, który cały czas trzymałem w plastikowej torebce.

– Przepraszam – powiedziałem. – Zapomniałem o tym.

Zamachałem torebką przed oczami Bena i głupio się uśmiechnąłem.

Ben uniósł żółty wykrywacz na wysokość kieszeni.

W ostatniej chwili tylko nim machnął, po czym uśmiechnął się i powiedział:

– Dobra, idźcie już.

Kiedy wróciłem do swojego biura, Steve Politi czekał na mnie w recepcji.

– Dzień dobry, panie sędzio – przywitał mnie.

Wyciągnął prawą rękę, a ja ją energicznie uściśnałem.

– Miło pana poznać – odparłem.

Wyglądał na równie zmęczonego co ja.

– Twierdzi, że chciał się sędzia z nim zobaczyć – powiedziała z niedowierzaniem pani Smith.

– Tak, dziękuję. Panie Politi, proszę usiąść w moim gabinecie. Za chwilę przyjdę.

Przyjął moją propozycję bez słowa. Zaprowadziłem Alison do pokoju Jeremy'ego i zapukałem do jego drzwi.

– Czołem – powiedziałem.

– O, Alison, witaj! – zawołał tak, jakby się jej spodziewał.

– Alison potrzebuje posiedzieć chwilę sama w twoim pokoju. Mógłbyś się przejść?

– Właśnie sobie przypomniałem, że mam kilka spraw do załatwienia – odparł.

– Dzięki. Słuchaj, Jeremy. Wiem, że ciągle cię o coś proszę, ale czy mógłbyś pożyczyć jej swoją komórkę? Możliwe, że będę potrzebował się z nią szybko skontaktować.

Pistolet na salę sądową dało się wnieść – telefonu nie. Dziwne, ale prawdziwe.

– Jasne – powiedział, wyjął telefon z kieszeni i położył go na biurku. Potem wstał.

– Tylko nie dajcie się namówić Thurgoodowi na dokarmianie, choćby nie wiem jak jęczał. Zaczyna tyć przy skrzelach.

– Tak jest – powiedziała Alison.

Jeremy nie zdążył jeszcze wyjść za próg, a ona już rzucała swoją torebkę na blat biurka. Zamknąłem drzwi, wyjąłem z kieszeni rękojeść i naboje, i położyłem je przed nią.

– Dzięki.

Pocałowałem ją w policzek i zostawiłem samą. Wróciłem do swojego gabinetu, gdzie Steve Politi siedział na jednym z krzeseł przed moim biurkiem.

- Dziękuję, że pan przyszedł – powiedziałem.
- Uznałem, że poprawi mi to nastrój. Gorszy już być nie mógł.
- Tak? – spytałem, udając, że nie wiem, co ma na myśli.
- Widział pan mojego bloga?

W odpowiedzi otworzyłem jego stronę w swoim komputerze.

Musiałem przyznać, że Politi relacjonował rozprawę rzetelnie i obiektywnie. Wpis z rana trafnie oddawał absolutnie jednostronny przebieg procesu. Zarazem ostrzegał czytelników przed uznawaniem sprawy za zakończoną. Pisał, że sędziowie potrafią wydawać nieoczekiwane wyroki w oparciu o mało znane przepisy prawa.

Ale Wall Street stawiało już na wygraną ApotheGenu. Fala analityków wylewająca się z mojej sali sądowej przed lunchem miała znacznie większy wpływ na rynki niż jeden samotny bloger, choćby z ogromną rzeszą odbiorców. W „Aktualizacji” Politi donosił o wzroście ceny akcji ApotheGenu o dziewięć dolarów i siedemdziesiąt cztery centy przy dużych obrotach. Wyglądało na to, że brokerzy niemalże bili się o te papiery.

Pod aktualizacją widniało tysiąc dwieście siedemdziesiąt komentarzy.

Pierwszy brzmiał: „Politi, ty dupku!!!! Przez ciebie wyląduję na ulicy!!!!”.

Drugi: „Lepiej nie wychodź z domu, bo cię dopadnę i nakopię do ryja”.

I tak dalej. Schowani bezpiecznie za swoimi klawiaturami, czytelnicy PulsMinus wlewali jad na blogera, którego do niedawna wychwalali pod niebiosa.

– Aua – powiedziałem.

– Tylko dlatego nie wyleciałem na bruk, że to moja strona – odparł Politi. – Ale poważnie się zastanawiam, czy nie wyrzucić siebie samego z roboty.

– No tak, nie ma pan dobrego dnia.

– Dziękuję. Wspomniał sędzia o jakiejś umowie? Proszę zacząć mówić, bo spieszę się do najbliższego baru.

Rozsiadłem się w swoim krześle i skrzyżowałem nogi pod togą.

– Ten pański informator trochę pana załatwił, co?

– Ściągnął mnie tu sędzia, żeby mnie dręczyć? Mam tego pod dostatkiem w komentarzach na blogu – powiedział i zaczął wstawać.

– Chwila, niech pan poczeka – rzuciłem. – Proszę mnie wysłuchać. Zmierzałem do tego, że skoro on pana załatwił, to może pora się odegrać?

Politi znów usiadł.

– Jak?

– Niech mi pan powie, kto to jest.

Oparł łokieć o poręcz krzesła i położył podbródek na dłoni. Widziałem, że rozważa moją propozycję i że jest ona dla niego kusząca.

Więc dosypałem cukru.

– Dam panu wyłączny wgląd w werdykt. Pokażę go panu przed wysłaniem do kancelarii.

Obaj wiedzieliśmy, że dla Politego była to równowartość sztabki złota. Jednym wpisem na blogu mógł odbudować swoją wiarygodność. Powoli kiwał głową na boki. Wreszcie przestał.

– Dobra, chwila. Pokażę mi pan werdykt przed formalnym złożeniem do kancelarii,

ale nazwisko mojego informatora chce pan już teraz, tak?

– Zgadza się.

– Nie, to odpada. Wystarczy mi manipulacji jak na jeden dzień. Nie powiem ani słowa, dopóki nie poznam wyroku.

Teraz była moja kolej, żeby posiedzieć chwilę w milczeniu. Gdyby zbyt wcześnie opublikował moją decyzję, Aleksy i Borys mogliby się wystraszyć. Albo, co gorsza, mogliby uznać, że jest już po sprawie i pora się pozbyć jedyne żywego świadka i karty przetargowej.

– Pokażę go panu teraz, ale opublikuje go pan dopiero, jak będę gotowy – powiedziałem. – W przeciwnym razie konsekwencje dla mnie byłyby gorsze, niż mógłbym to wyrazić słowami.

Niczego nie ryzykowałem. W tej chwili jego wiarygodność była tak znikoma, że nikt nie wziąłby na serio jego doniesień, o ile nie byłyby poparte zeskanowanym dokumentem sądowym.

– A już ma sędzia ten wyrok na piśmie? Czyli plotki były prawdziwe: wiedział pan z wyprzedzeniem, co postanowi w tej sprawie.

– Nie, nie wiedziałem. Nie mogę tego na razie wytłumaczyć.

Politi spojrzał na mnie z pytającym wyrazem twarzy.

– To skomplikowane – dodałem. – Wyjaśnię panu wszystko po ogłoszeniu wyroku. Na razie proszę zrozumieć, że jeśli napisze pan o tym za wcześnie, wyrządzi mi pan krzywdę, której nie jest pan w stanie zrozumieć. A wtedy ja wydam inny werdykt tylko po to, żeby zrobić panu na złość. Zrzuńnię pana do końca.

– Wzajemne zagwarantowane zniszczenie – powiedział. – Podoba mi się to.

– Czyli jesteśmy umówieni?

– Tak. Ale chcę mieć ten dokument na wyłączność co najmniej przez godzinę. I koniecznie w porze, kiedy rynki będą otwarte. Inaczej nic mi to nie da.

– Obiecuję – odparłem.

Wyciągnąłem rękę nad stołem i uścisnęliśmy sobie dłonie.

Otworzyłem szufladę biurka i wyjąłem z niej dokument, który Mark wsunął pod moje drzwi. Podałem go Politiemu i chwilę później patrzyłem na czubek jego łysej głowy, bo momentalnie się pochylił, żeby go przeczytać.

– Odrzuca pan pozew Palgraffa? – zapytał. – To teraz już nic nie rozumiem.

– Dlaczego?

– Może na początek powiem, kto jest moim źródłem. To Mark Lowe. Twierdzi, że jest pańskim szwagrem. Pokazywał mi wasze rodzinne zdjęcia. Ale teraz nawet w to wątpię.

– Nie, tu akurat mówił prawdę – powiedziałem.

– W takim razie niech mi pan coś wyjaśni. Lowe twierdził, że cała ta sprawa była dla sędziego okazją do zarobienia na wyszortowaniu akcji ApotheGenu. Powiedział, że kazał pan to zrobić jemu, żeby Komisja Papierów Wartościowych i Giełd nie wpadła na pański trop. Pokazał mi nawet kontrakt na sto tysięcy akcji, który pan podpisał, kiedy notowano je jeszcze za dziewięćdziesiąt kilka dolarów. Ale w takim razie po co miałby pan odrzucać pozew Palgraffa? Powinno panu zależeć na jak najniższym kursie

ApotheGenu. No chyba że... O kurczę. Bystra bestia z sędziego. Już pan te akcje wyszortował, więc teraz werdykt nie ma żadnego znaczenia.

– Przykro mi – odparłem. – Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

– Z szortowaniem chodzi o to, że przy spadku ceny akcji osoba z kontraktem zarabia. Za każdy spadek o dziesięć dolarów pański kontrakt na sto tysięcy akcji zyskuje milion dolarów na wartości. Zatem jeśli pociągnął pan za spust wczoraj przed zamknięciem giełdy, zarobił pan ponad trzy miliony. Zgadza się?

– Rozumiem ogólny mechanizm szortowania akcji – powiedziałem. – Mówię, że nie mam pojęcia, o czym pan mówi, bo nie jestem w żadnej zmowie ze swoim szwagrem. Daję panu słowo. Może i ma kontrakt z moim nazwiskiem, ale ja go na pewno nie podpisywałem. Wszystko, co panu mówił na mój temat, jest kłamstwem.

– W sumie nie powinno mnie to dziwić – odparł Politi. – Ewidentnie od początku mnie okłamywał.

Pokręcił głową, załamany swoją łatwowiernością.

– Czyli jesteśmy umówieni? – zapytał.

Kiwnąłem głową.

– Jak najbardziej.

Mowa tu o sensacyjnej porażce faworyta wyborów prezydenckich w USA w 1948 roku, Thomasa E. Deweya, którego pokonał ubiegający się o reelekcję niepopularny prezydent Harry S. Truman (przyp. red.). [\[wróć\]](#)

## Rozdział 70

Zarządzona przeze mnie piętnastominutowa przerwa trwała już dobrych dwadzieścia pięć minut, więc musiałem wracać na salę.

Nie miałem czasu zastanowić się nad tym, czego się właśnie dowiedziałem, ale przypominały mi się te wszystkie chwile z ostatnich kilku tygodni, kiedy Mark i ja byliśmy sam na sam. Siedzieliśmy razem na werandach – jego i mojej – i najzwyczajniej w świecie sobie rozmawialiśmy. A tymczasem on jedną ręką klepał mnie po ramieniu, a drugą wyrywał mi serce. Nie sądziłem, że potrafi być aż tak bezwzględny.

Ale u samych podstaw cała ta sytuacja jak najbardziej miała sens. Mark Lowe, którego żona nieustannie narzekała na ich niespłacony kredyt hipoteczny, brak gotówki i jego ciepłokluchowatość, obmyślił plan na zarobienie szybkich kilku milionów. I te miliony były dla niego ważniejsze od moich dzieci. Potem wynajął speców – Turków i Justinę – żeby jego plan zrealizowali.

A to oznaczało, że dla mnie i Alison priorytetem było teraz znalezienie mojego szwagra.

Poczekalem, aż Politi wyjdzie, i wyjrzałem przez uchylone drzwi na korytarz. Jeśli Mark nadal był posłańcem Whipple’a, to powinien siedzieć na ławce przed salą sądową.

Nie widziałem go. Można by się spodziewać, że już dawno prysnął i liczył gdzieś pieniądze, gdyby nie to, że Alison zauważyła go przed budynkiem sądu. Gdzieś tu był. Po cichu wyszedłem na korytarz, żeby sprawdzić, czy nie siedzi na innej ławce.

Nie. Korytarz był pusty.

Wróciłem do biura i podeszedłem do wciąż zamkniętych drzwi do pokoju Jeremy’ego. Zapukałem, powiedziałem, że to ja, i wszedłem. Alison siedziała za biurkiem, a przed nią leżał prawie już złożony pistolet.

– Zaraz kończę – powiedziała i nie odrywając wzroku od broni, dodała: – Nie podobało mi się, jak działa, więc musiałam go znowu rozłożyć i złożyć od zera.

– Nie widzę nigdzie Marka.

– Co zrobisz?

– Muszę wznowić rozprawę.

– A nie powinniśmy go teraz znaleźć? Jesteś sędzią, ludzie czekają.

– Tak, ale możliwe, że wyszedł z budynku, a nie chcę się za nim uganiać po ulicy. Jeśli go tam nie znajdziemy, znowu będziemy musieli jakoś tu wnieść broń. Poza tym na dworze on też może być uzbrojony. Tutaj na pewno będziemy mieć nad nim tę przewagę.

– Masz rację. To co zamierzasz?

– Prędzej czy później będzie musiał tu wrócić – powiedziałem. – Jego szef będzie go szukał. Możesz użyć broni, żeby zaprowadzić go do biura. Będzie w potrzasku, nieuzbrojony i bez telefonu. To dla nas optymalne warunki.

Alison zamontowała ostatni element pistoletu, odwróciła się i wycelowała w okno. Dwa razy pociągnęła za spust, który tępo trzasnął.

– Idealnie – oceniła. – Jestem gotowa.

– Okej. Czekaj tutaj. I miej przy sobie telefon Jeremy’ego.

Kiedy wyszedłem z jego pokoju, pani Smith rzuciła mi zdziwione spojrzenie.

Nawet sobie nie wyobrażałem, co musiała myśleć o moim zachowaniu i nietypowych gościach. Ostentacyjnie spojrzałem na zegarek, ale nie zarejestrowałem godziny.

– Wie pani co? – powiedziałem do niej. – Jest piątek po południu. Mamy za sobą długi tydzień. Do końca dnia będę zajęty rozprawą, więc nie będzie mi pani potrzebna. Może wyjdzie pani wcześniej do domu?

– Dziękuję, sędzio, ale mam sporo pracy.

– Joan – zwróciłem się do niej po imieniu, co ją zatkało. – Proszę cię, idź już. I powiedz to samo reszcie. Będę zobowiązany.

Przez chwilę się nad tym zastanawiała i wreszcie powiedziała:

– Jasne, Scott.

Wznawiając obrady, ucieszyłem się na widok Steve’a Politiego. Jego obecność na sali oznaczała, że nie pobiegnął publikować sensacyjnych informacji, które ode mnie uzyskał. Został też Blake Franklin. Prawdopodobnie odwołał już wszystkie zaplanowane na ten dzień spotkania z wyborcami.

Clarence Worth, który powinien być zadowolony z przebiegu rozprawy, wyglądał na umęczonego. Widocznie nie podobała mu się kolejna, półgodzinna przerwa zarządzona przeze mnie niedługo po półtoragodzinnej przerwie na lunch.

Przeprosiłem zebranych za opóźnienie, wymamrotałem coś o innej sprawie, która wymagała niezwłocznego działania z mojej strony, po czym dałem głos Worthowi.

Na swojego pierwszego świadka wezwał on niezwykle schludnego naukowca. Sądziłem, że zacznie swoją obronę ApotheGenu powoli, jak kompozytor symfonii, który zaczyna od solowej partii oboju i powoli dodaje kolejne instrumenty, by stopniowo budować dramatyczne *crescendo*.

Ale nie. Od początku stało się jasne, że Worth chce zacząć uderzeniem sekcji dętej. Tym miał być jego świadek numer jeden. Ten, który odkrył wpadkę Denny’ego Palgraffa. Domyśliłem się tego, widząc ledwo tłumiony tryumf na twarzy Barnaby’ego Robertsa, kiedy tylko naukowiec zaczął cierpliwie tłumaczyć, jak kruche są twierdzenia stanowiące podstawę pozwu. Worth znów użył wskaźnika laserowego. Dowód numer 58, czyli poprawny wzór strukturalny białka PCSK9, stał na widoku przez cały czas. Worth pewnie chciał, żeby jeszcze przez kilka nocy schemat nawiedzał mnie w snach.

Przez następną godzinę obrońca metodycznie prowadził świadka przez zeznania, które naświetlały kolejne aspekty omawianego patentu.

W końcu w komponowanej przez Wortha symfonii nadszedł moment kulminacji, w którym naukowiec wyjawiał dokładnie, gdzie Palgraff popełnił błąd i jak to możliwe, że genialny biochemik tak bardzo się pomylił, nie zdając sobie z tego sprawy. Dla tych, którzy śledzili uważnie przebieg rozprawy, była to porywająca chwila – po tych zeznaniach wszystko stało się jasne.

Niemal jednocześnie nastąpiło coś, na co czekałem tylko ja. Kiedy świadek kończył swoją puentę, Andy Whipple odwrócił się za siebie i ułożył ręce w dziwny znak.

Musiałem się powstrzymać przed wyskoczeniem zza stołu. Skoro Whipple dawał sygnały, to Mark musiał gdzieś tu być, żeby je odebrać.

Nawet nie próbowałem ukryć, że nagle całą uwagę skupiłem na swoich kolanach, gdzie trzymałem telefon komórkowy. Wstukałem szybko wiadomość do Alison: Mark tu

jest.

Potem podniosłem głowę i wróciłem do udawania, że interesuje mnie tocząca się przede mną rozprawa. Musiałem wierzyć, że Alison dostała moją wiadomość, podjęła stosowne działania i że wszystko idzie zgodnie z planem.

Tymczasem Worth skończył przesłuchiwać świadka. Hemans zaczął zadawać mu swoje pytania, a ja zastanawiałem się, czy usłyszymy za chwilę strzał z pistoletu albo jakieś krzyki. A może Alison uda się załatwić wszystko po cichu?

Na pewno miała nad Markiem strategiczną przewagę w postaci dziewięciomilimetrowych kul. Mark musiał wiedzieć, że z Powellami i bronią palną nie ma żartów.

Tyle że już kilka razy nie doceniłem jego sprytu. Możliwe, że czekały nas kolejne niespodzianki.

Zerknąłem na telefon. Od wysłania SMS-a do Alison upłynęły cztery minuty. Na razie nie odpowiedziała.

Świadek podtrzymywał swoje twierdzenia obciążające Denny'ego Palgraffa i tym razem robił to jeszcze bardziej drobiazgowo. Hemans wiedział, że w interesie jego klienta było jak najszybsze zakończenie tej części rozprawy. Każde słowo naukowca było jak gwóźdź do trumny Palgraffa.

Znów spojrzałem na komórkę. Siedem minut. Cisza.

Hemans skończył. Świadek okazał się zbyt pewny siebie, by dało się go wytrącić z równowagi.

Tymczasem Worth już wzywał kolejnego. Następny naukowiec, kobieta. Robiła wrażenie co najmniej tak kompetentnej jak jej poprzednik. Otwierał się nowy rozdział w opowieści o upadku Denny'ego Palgraffa. Świadek przysięgał mówić całą prawdę i tylko prawdę.

Nagle telefon na moim udzie zawibrował. Zerknąłem na ekran.

Mam go. Jest w twoim biurze.

Świadek właśnie mówiła: „Tak mi dopomóż Bóg”, a Worth prosił ją o podanie nazwiska i zawodu, kiedy im przerwałem:

– Wiecie co? Zanim zaczniemy przesłuchiwać nowego świadka, zrobimy krótką przerwę.

Worth rzucił mi spojrzenie, które mówiło: „Chyba sobie żartujesz”. W porę się jednak opanował.

– Oczywiście, wysoki sędzie – powiedział.

– Piętnaście minut – zarządziłem.

Możliwe, że na te słowa Worth zareagował jeszcze większym zniesmaczeniem, ale ja tego już nie zarejestrowałem. Bo jeśli nawet tak było, to jego dezaprobata odbiła się od moich pleców.



## Rozdział 71

Scena rozgrywająca się w moim gabinecie bardziej niż do mojego życia pasowała do filmu o mafii.

Na środku pokoju, na jednym z krzeseł, które zwykle stały przed moim biurkiem, siedział mężczyzna. Znałem go dobrze, przez ostatnie dwadzieścia lat zjedliśmy wspólnie niejedną świąteczny posiłek. Ale nigdy nie widziałem go w takim stanie.

Nadgarstki Marka Lowe'a przywiązane były do krzesła czymś, co wyglądało na jego sznurówki. Nogi miał skrępowane pasami wydartymi z białej koszuli, która też należała do niego, sądząc po tym, że siedział w podkoszulku. Z rozcięcia nad lewym okiem spływała mu po bladym policzku krew. Krwawił też z ust.

Tuż przed nim stała kobieta i mierzyła go nienawistnym spojrzeniem. Wiedziałem, że to Alison, choć tak naprawdę było to jakieś jej nowe wcielenie. Wyrażała się nieznanym mi dotąd językiem, wściekłym i prymitywnym, z gorejącą furią zamiast słów.

Spod bluzki bez rękawów wystawały jej chude, żyłaste ręce. Kolejny raz zdumiało mnie, jak bardzo ostatnio schudła. Bez ochronnej warstwy tłuszczu widać było wyraźnie, jak pręży mięśnie przedramienia, ściskając mocno rękojeść pistoletu. Jej twarz też była czerwona, ale nie od krwi. Zarumieniała się od wysiłku. I złości. Głębokiej, wrzącej nienawiści.

W pokoju był też Jeremy Freeland. Stał za Markiem z poważnym wyrazem twarzy.

Domyśliłem się, że Alison przyprowadziła tu Marka pod lufą, a Jeremy, jedyny z moich podwładnych, który nie wyszedł jeszcze do domu, przywiązał go do krzesła. Alison zabezpieczała go, celując ze swojego smitha & wessona, a potem to nowe wcielenie kobiety, która jeszcze niedawno niańczyła dwoje niemowląt naraz, brutalnie zaatakowało Marka, bijąc go pistoletem w skroń.

Gwoli ścisłości: nie było mi go ani trochę żal. Wręcz żałowałem, że sam nie mogłem wymierzyć mu kilku ciosów.

– Co mnie ominęło? – spytałem.

– Twierdzi, że nie wie, gdzie jest Emma – powiedziała Alison.

– Bo nie wiem. Przysięgam – jęknął Mark.

Siedział skulony i trząsł się jak zbity pies. To był Mark, którego znałem. Posłuszny, uległy. Ciągle nie mogłem w nim dostrzec człowieka, który wywrócił nasze życie do góry nogami.

Ale wiedziałem już, że cała ta jego potulność była tylko grą, i nie dawałem się na nią nabrać. Gdyby faktycznie był niewinny, jak twierdził, już dawno zaczęłyby krzyczeć, bo wiedział, że w pobliżu jest cała masa funkcjonariuszy straży sądowej i agentów US Marshal, którzy mogliby mu pomóc. Tymczasem siedział cicho. Zdawał sobie sprawę, że wymiar sprawiedliwości nie patrzy przychylnym okiem na porywaczy dzieci.

Podszedłem do niego i chwyciłem go za gardło.

– Wszystko już wiemy – powiedziałem. – Widziałem nagranie, na którym wsuwasz wyrok pod moje drzwi. Wiem o Turkach, których wynajęłaś, żeby zastraszyli Karen i porwali nasze dzieci. Wiem, że jesteś informatorem Steve'a Politiego. Wiem o kontrakcie na wyszortowanie stu tysięcy akcji ApotheGenu. Twój plan nie wypalił.

Mów, gdzie trzymasz Sama i Emmę, bo przysięgam, że nie dożyjesz następnej godziny.

Zacisnąłem dłoń mocniej i przyglądałem się, jak jego krew wsiąka w materiał mojej togi. Mark zacharczał i spróbował mi się wyrwać, ale mu nie pozwoliłem. Puściłem dopiero, kiedy uznałem, że zrozumiał.

Zakaszłał, żeby oczyścić krtań.

– Mówię wam, że nie wiem – powiedział chrapliwym głosem.

Tym razem złapałem go za gardło obiema rękami i z całej siły przydusiłem. Wierzął ze wszystkich sił, ale przywiązany do krzesła nie miał szans się wyswobodzić.

Kiedy puściłem, wziął głęboki wdech i wychrypiał:

– Przestań. To nie był mój plan.

Alison, która stała obok mnie, uniosła pistolet i przymierzyła się do kolejnego ciosu w jego skroń.

– To Andy wszystko wymyślił.

Te słowa ją powstrzymały.

– Andy? – zapytała. – Andy Whipple?

– To wszystko jego plan. Jego i Karen. Dowiedział się, że będziesz sędzią w tej sprawie. Chyba ktoś z ApotheGenu mu o tym powiedział. Andy ma wszędzie swoje wtyki. Myślisz, że jak mu się udaje zawsze wszystkich ogrywać? Usłyszał o pozwie, wiedział, że jestem twoim szwagrem. Zgłosił się do mnie i powiedział, że jeśli mu nie pomogę, to nie tylko mnie zwolni, ale dopilnuje, żeby w całym światku finansowym już nikt nigdy mnie nie zatrudnił. Potem wyłożył mi swój plan zarobienia na szortowaniu akcji. Te sto tysięcy to wierzchołek góry lodowej, zapłata dla mnie i Karen za pomoc. Andy wszedł w to dużo głębiej niż my. Z tego, co wiem, to wyszortował w sumie jakieś dziesięć milionów akcji. Chodziło o to, żeby sztucznie zaniżyć ich cenę, wyegzekwować te wszystkie kontrakty, a potem kupić dziesięć milionów akcji i zarobić na ich wzroście.

To oznaczało, że Whipple zarabiał, cokolwiek się działo. Jeśli miał kontrakty na wyszortowanie dziesięciu milionów akcji, to spadek wartości o trzydzieści dolarów dawał mu około trzystu milionów. A potem, gdyby akcje znów poszły w górę do jakichś dziewięćdziesięciu dolarów albo i wyżej, zarobiłby kolejne trzysta milionów. Co najmniej. Whipple Alliance miałoby kolejny rekordowy rok zwrotów dla klientów i gigantycznych prowizji dla prezesa.

– Świetna historia – powiedziałem. – Możesz ją udowodnić?

– Już to zrobiłem. Zastanów się przez chwilę – odparł Mark. – Ten kontrakt na sto tysięcy akcji był na moje nazwisko. Myślisz, że ktoś taki jak ja mógłby wejść z kimkolwiek w taki układ? Czyli co, miałbym wejść do banku i powiedzieć: „Dzień dobry, mam pięć tysięcy na koncie i dom wart mniej niż kredyt, ale dajcie mi forszę na kontrakt, który w razie niepowodzenia będzie mnie kosztował grube miliony”? Tak? Moim zabezpieczeniem był Andy.

Dłonie same zacisnęły mi się w pięści.

– Jeśli dobrze rozumiem, to Andy dowiedział się, że będę rozpatrywał pozew Palgraffa, więc przyszedł do ciebie i powiedział: „Pomóż mi porwać dzieci twojego szwagra, a zrobię z ciebie bogacza”?

– Tak i nie. Andy myślał, że cię przekupi częścią zysków z operacji. Taki jest jego

świat. Wydaje mu się, że za pieniądze można kupić wszystko. Powiedziałem mu, że ty w ten sposób nie działasz i że może mnie wyrzucić, ale na pewno mu nie pomogę. To Karen się wystraszyła, że jak Andy mnie wyrzuci, stracimy wszystko. Mówiła mi: „Pomyśl o naszych dzieciach”. Naprawdę uwierzyła, że z wilczym biletem od Andy’ego nie znajdę już nigdy dobrze płatnej pracy. Już sobie wyliczyła, że zabiorą nam dom i będziemy musieli ogłosić bankructwo. Ale wiedziała też, że na pewno nie weźmiesz łapówki. Więc wymyśliła plan z porwaniem.

– Kłamiesz – warknęła Alison. – Karen nigdy by tego nie zrobiła.

– Nie znasz swojej siostry. – Mark spojrzał Alison w oczy. Krew ciągle spływała mu ze skroni. – Naprawdę nie wiesz, jak bardzo Karen cię nienawidzi? Wszyscy sobie żartujemy, jak opowiada o wycieczce szkolnej do Anglii, ale spójrz głębiej. To tobą zawsze się wszyscy zachwycali. Jenny miała przyjaciół, a ty wszystko inne. Urodę, dobre oceny, osiągnięcia. Wiesz, jak ciężko było jej być twoją starszą siostrą, a mimo to żyć w twoim cieniu? Najlepsze jest to, że w którymś momencie już jej to trochę przeszło, ale wtedy musieliście się tutaj wprowadzić. Codziennie przypominaliście jej wszystko to, co zawsze chciała mieć, a czego nie osiągnęła.

– Gówno prawda – powiedziała Alison.

– Błagam cię. Mieszkamy na jakimś nędznym skrawku ziemi, wy macie ogromną działkę nad wodą. Ona wyszła za komputerowego ciamajdę, ty za sędziego federalnego. Ona jest bezrobotna, ty masz wspaniałą pracę, w której się spełniasz. Jesteś wszystkim tym, czym ona chciała być, ale nie jest. Dobrze wiesz, że mam rację. Wreszcie zaczęło do niej docierać, że w żadnym dziale HR nigdy nie będzie zarabiała sześciu cyfr rocznie. Nagle zrozumiała, że czeka nas zwyczajna przyszłość, życie od pierwszego do pierwszego, modlenie się o to, żeby samochody się nie psuły, bo na nowe nie będzie nas stać, i uznała, że... Czy wy macie pojęcie, jak poniżające było dla niej przyjęcie waszej – w cudzysłowie – pożyczki, jak padła nasza pompa ciepła?

Mark splunął na mój dywan zakrwawioną flegmą.

– Więc najpierw mówiła, że musimy to zrobić, że nie mamy wyboru. Ale z czasem zaczęła jej się podobać wizja zachomikowanych gdzieś sześciu milionów. Jakby uważała, że te pieniądze się jej należą i że nareszcie się o nie upomni. Mieliśmy mówić wszystkim, że dostałem podwyżkę i w końcu mnie doceniają w pracy. Potem mogliśmy zacząć kupować nowe samochody i meble. Nie byłem w stanie wybić jej tego z głowy. Doszło do tego, że Andy uzgadniał szczegóły bezpośrednio z nią. Mówiłem im obojgu, że oszaleli, ale Karen miała klapki na oczach i wierzyła, że z pieniędzmi Andy’ego nie może się nie udać. Nie wiem, o jakich Turkach mówisz. Ludzie, których zatrudnił Andy, są z Macedonii.

Wróciłem myślami do zachowania Karen. Podczas pierwszego spotkania rodzinnego to ona naciskała, żeby „coś zrobić”. W ten sposób gwarantowała sobie, że dowie się jako pierwsza, jeśli podejmiemy aktywne kroki w celu odnalezienia dzieci. Gdy odkryła, że w pierwszą sobotę rano sprawdzam jakiś trop, o czym dowiedziała się pewnie od Alison – kiedy zadzwoniła, żeby ją przeprosić za swoje gburowate zachowanie w muzeum – od razu dała znać porywaczom, a ci wysłali mi SMS-a i kazali wracać do domu. Karen nie chciała, żebym prowadził śledztwo na własną rękę.

Potem zorganizowała nocną straż wokół naszego domu, co było świetnym sposobem na pilnowanie nas przynajmniej w co trzecią noc. Mogła mieć dzięki temu jeszcze lepszy wgląd we wszystko, co robiliśmy albo czego nie robiliśmy w sprawie Sama i Emmy. Zapewniało jej to też dobre alibi na wypadek, gdyby coś poszło nie tak, bo przecież to ona poświęcała swój czas, żeby nas chronić.

Wreszcie to ona, obejrzawszy nagranie, na którym torturowano Emmę, podsunęła mi pomysł pójścia do FBI. Doskonale wiedziała, że tego nie zrobię, bo zdawała sobie sprawę z oporu Alison w kwestii angażowania służb. Ale gdybym jednak postanowił inaczej, ona wiedziałaby o tym jako pierwsza.

Wreszcie przypomniało mi się nagranie, które pokazała nam Karen – to, na którym przekazuje Sama i Emmę porywaczom. W genialny sposób potwierdzało ono jej wersję zdarzeń, równocześnie jednak nie było w nim nic, co zaprzeczałoby temu, co mówił Mark. Na filmie z jej telefonu nie widać, żeby była do czegokolwiek zmuszana. Tamto nagranie dowodziło tylko tego, że kiedy nasze dzieci trafiały w ręce porywaczy, to Karen siedziała za kierownicą. A przecież mogła je tam zawieźć dobrowolnie.

No i oczywiście w nagraniu nie było dźwięku. Borys i Aleksy mogli rzucić na odchodne: „Dobra, dzięki, Karen. Widzimy się później”.

Przebiegła Karen pewnie myślała, że granie bezbronnej kury domowej, podparte opowieścią o strasznych cudzoziemcach i okraszone nagraniem z telefonu, wystarczyłoby, żeby uchronić ją przed zarzutami, gdyby plan się powiódł. Nam dodatkowo zamydliła oczy wątkiem tureckim, bo wiedziała, że w ten sposób zagra na naszych podejrzeniach wobec Justiny.

Justiny, która oczywiście od początku była niewinna.

Alison milczała, ale nie musiała nic mówić – wiedziałem, że wierzy Markowi. A przynajmniej poważnie bierze jego słowa pod uwagę. Zdradzała to jej mowa ciała.

– Alison – powiedziałem. – Zdaje się, że musimy porozmawiać z Andym Whipple'em.

– Zgadzam się – odparła. – Tylko kto go tutaj ściągnie?

Odpowiedziałem tylko jednym słowem:

– Blake.

## Rozdział 72

Blake Franklin zbudował karierę na swoim uroku osobistym, elokwencji i wrodzonym talencie do perswazji. Jeśli ktokolwiek miał namówić Andy'ego Whipple'a do przyścia na zaplecze mojej sali sądowej, i to w taki sposób, żeby Whipple'owi nie przyszło nawet do głowy, że jest do czegoś namawiany, to tylko czcigodny senator z Wirginii.

W końcu to Blake nauczył mnie kiedyś prostej zasady, która pomagała mi zarówno w pracy w Senacie i sądzie federalnym, jak i podczas zakupów w lokalnym sklepie spożywczym. Zasada ta była bardzo prosta:

Jeśli chcesz, żeby ktoś coś dla ciebie zrobił, nakarm jego próżność.

Blake umiał to robić lepiej niż inni. W dodatku mógł zaczepić Whipple'a bez podawania zmyślonego powodu. Potężni ludzie w naturalny sposób ku sobie grawitowali. Senator miał jeszcze jedną przewagę nad innymi: w przeciwieństwie do zwykłych zjadaczy chleba mógł powołać się na kwestie bezpieczeństwa krajowego i wejść do budynku sądu z telefonem komórkowym.

Odebrał po dwóch sygnałach. Po hałasie w tle domyśliłem się, że stoi na korytarzu.

– Czołem – powiedział. – Wznowisz niedługo rozprawę? Nie chcę narzekać, bo przecież nie płaciłem za bilet, ale te wszystkie przerwy są trochę nudne.

– Tak, za chwilę. Ale najpierw muszę cię prosić o przysługę.

– Jasne. Co jest?

– Znasz Andy'ego Whipple'a?

– Tak. Już mnie dzisiaj bajerował. Chyba sądzi, że jeśli dostatecznie długo będzie ze mną rozmawiał, to ostatecznie podkopie moją wiarę w Dodd-Franka<sup>1</sup>.

– Muszę się z nim zobaczyć w moim gabinecie. Jak najszybciej. Możesz mu powiedzieć, że jestem jego wielkim fanem, że podziwiam jego występy w telewizji i bardzo chciałbym go poznać?

– A czy to prawda?

– Nie. Ale w twoich ustach zabrzmia wiarygodnie. To ma związek z tamtą sprawą życia i śmierci, więc musisz być przekonujący.

Blake się zastanowił.

– Dobra. Postaram się.

– Dzięki.

Rozłączyłem się i schowałem telefon do kieszeni.

– Jeremy, staniesz przy drzwiach na korytarz, żeby pokazać Whipple'owi drogę?  
– spytałem.

– Jasne – powiedział i wyszedł do recepcji.

Zostaliśmy we trójkę. Mark siedział z opuszczoną głową. Wciąż ciężko dyszał, a Alison zabijała go wzrokiem.

– Naprawdę nie wiesz, gdzie jest Emma? – zapytała.

– Przysięgam. Karen też nie wie. Andy zatrudnił dwóch twardzieli z Macedonii, są naprawdę straszni. Zdaje się, że szuka ich Interpol i Bóg wie kto jeszcze. Nie mam pojęcia, gdzie ich znalazł. Wiem tylko, że płaci im pięć tysięcy dziennie, więc muszą być

dobrzy w tym, co robią. Cokolwiek miałyby to być.

Alison obrzuciła go stekiem wyzwisk, a na koniec spytała:

– Jak mogłeś to zrobić? Jak mogłeś wydać Emmę w łapy takich zbirów? To twoja siostrzenica. Emma cię kocha, ufa ci. To dla ciebie nic nie znaczy?

Mark wziął głęboki wdech.

– Wiem, że nie ma dla nas żadnej wymówki, ale Emma jest bezpieczna. Ci ludzie dostali wyraźne rozkazy, że nie wolno im robić małym krzywdy. Daliśmy im pieniądze na jedzenie i ustaliliśmy zasady: żadnego krępowania, żadnego bicia...

– Przysłali nam film, na którym torturują Emmę! – krzyknąłem, zapominając na chwilę, gdzie jestem. – Wyglądało to, jakby razili ją prądem. To według ciebie jest nierobienie krzywdy?

Alison nie mogła tego dłużej słuchać. Zamachnęła się i uderzyła Marka pistoletem w twarz, tym razem rozdzierając mu policzek.

Mark zaskamlał. Alison przycisnęła mu lufę do czoła i ściągnęła wargi, spod których wyłoniły się zęby. Palec wskazujący, który wcześniej trzymała bezpiecznie wyciągnięty wzdłuż lufy, teraz opierał się o osłonę spustu.

– Nie tak to miało wyglądać – rzucił szybko Mark, patrząc bardziej na pistolet niż na Alison. – To był błąd i powiedzieliśmy im, że mają tego więcej nie robić. Najważniejsze jest to, że ostatecznie nic jej nie będzie. Nikt nie zamierzał nikomu odcinać palców. Umowa była taka, że jak tylko wprowadzisz swój werdykt do systemu, oni ją wypuszczą pod jakimś centrum handlowym i każą jej znaleźć policjanta albo ochroniarza. Wszystko się dobrze skończy.

Alison przeniosła ciężar ciała do przodu i przycisnęła lufę pistoletu mocniej do głowy Marka. Odruchowo odwrócił ją w bok, ale poskutkowało to tylko tym, że teraz pistolet celował tuż za jego uchem. Jad sączył się z oczu Alison, które zwężyły się do cienkich kresek po obu stronach nosa zmarszczonego gniewem. Przesunęła palec z zewnątrz do wewnątrz osłony spustu i owinęła palec wskazujący wokół języka spustowego. Jedno drgnięcie i pół mózgu Marka Lowe'a wylądowałoby na moim dywanie.

– Jesteś skończonym idiotą, wiesz o tym? – powiedziała. – Naprawdę myślisz, że ci Macedończycy wypuszczą Emmę na wolność, bo takie mają wielkie serca? Zabiją ją, jak tylko Scott wyda werdykt. Jeśli o mnie chodzi, to możesz umrzeć razem z...

– Alison, nie! – zawołałem.

Skoczyłem do niej i chwyciłem ją za przegub. Ściągnąłem jej rękę w dół i teraz lufa pistoletu skierowana była w podłogę.

– Puść mnie – rozkazała mi, próbując wyswobodzić się z mojego uścisku.

– Przestań, Alison. To nic nie da. Jeśli Blake zrobi swoje, to Whipple zaraz tu będzie. Mark nie może tu siedzieć z odstrzeloną głową. W ogóle nie może go tu być. Jeśli Whipple go zobaczy, zanim wejdzie do środka, to od razu zwieje. A tylko on wie, gdzie jest Emma. Przecież nie będziemy go gonić po korytarzu z bronią w rękę.

Alison przestała stawiać opór, ale cały czas miała naprężone ciało. Nie puszczałem jej ręki.

– Chodź – powiedziałem. – Szybko. Musisz mi pomóc. Trzeba zabrać stąd Marka.

Proszę cię.

Zrobiła głęboki wdech i wydech. Zdała sobie sprawę, że ze wszystkich demonów, z jakimi musieliśmy się zmierzyć, Mark był najmniej groźny. Wreszcie poczułem, że zaczyna się rozluźniać.

– Okej – powiedziała.

– Otwórz drzwi łazienki. Tam go schowamy.

Stałem za krzesłem Marka i zaciągnąłem je do mojej prywatnej łazienki. Kiedy już go tam usadowiłem, rzuciłem mu:

– Tylko piśnij, a pozwolę jej cię zastrzelić.

Zanim zostawiłem go tam samego, w ciemności i za zamkniętymi drzwiami, nie mogłem się powstrzymać i dodałem:

– Nikomu ani słowa.

Potoczna nazwa ustawy regulującej działalność rynków finansowych (przyp. tłum.). [wróć]

## Rozdział 73

Nie minęły dwie minuty, a rozległo się ciche pukanie do drzwi. To mógł być tylko Jeremy Freeland.

– Panie sędzio – powiedział. – Pan Whipple do pana.

Nadszedł decydujący moment. Kroczyliśmy teraz nad przepaścią, balansując na ostrzu noża. Było co najmniej kilka fatalnych scenariuszy, które mogły się skończyć śmiercią Emmy, a w efekcie i naszą.

Gdybym choć przez chwilę zastanowił się na tym, jak niewiele dzieli nas od katastrofy, pewnie sparaliżowałyby mnie lęk i nie byłbym w stanie podporządkować sobie swojego ciała. Ale kierowaliśmy się instynktem i żadne z nas nie wybiegało myślami do przodu.

Alison ustawiła się po lewej stronie drzwi i przytuliła się do ściany, żeby Whipple nie zauważył jej, wchodząc do gabinetu.

Wystawiła w górę kciuk, a ja otworzyłem drzwi. Moim oczom ukazały się obydwie podbródki Andy’ego Whipple’a.

– Witam, witam – powiedziałem. – Proszę wejść.

Cofnąłem się nieco, żeby zrobić mu miejsce. Whipple zrobił kilka kroków w przód, prowadzony delikatnie przez Jeremy’ego.

– Senator Franklin mówił, że chce pan ze mną omówić jakąś kwestię finansową – zaczął. – Przyznam, że trochę się...

Alison zatrzasnęła za nim drzwi, wycelowała pistolet i warknęła:

– Zamknij się.

– Słucham... Co to ma znaczyć? – zapytał, szczerze zaskoczony i wręcz oburzony. Widocznie uważał, że nie godzi się celować z broni palnej do władców finansowego wszechświata.

– Doskonale wiesz, co to znaczy – odparła Alison. – Gdzie jest moja córka?

– Pani córka? Przepraszam, ale nie roz...

– Daruj sobie – przerwałem mu. – Mark Lowe wszystko nam powiedział.

– Mark Lowe – powtórzył Whipple, jakby nazwisko mojego szwagra było egzotyczną potrawą w karcie dań, a on nie był pewien, czy poprawnie ją wymawia. – Kto to jest Mark Lowe?

Podszedłem do łazienki i otworzyłem drzwi.

– To jest Mark Lowe – powiedziałem.

Whipple zajrzał do ciemnego wnętrza.

– Możesz przestać udawać, Andy – odezwał się chrapliwie Mark. – Wiedzą o manipulacji akcjami, o szortowaniu. Wiedzą o Macedończykach. Wszystko im powiedziałem.

Whipple przechylił głowę może o trzy stopnie, ale poza tym siedział niewzruszony, czym zmroził mi krew w żyłach. W mojej karierze sędziego widziałem wielu socjopatów, ludzi tak wyzbytych ludzkich emocji, że obcując z nimi, zastanawiałem się, na ile w ogóle należymy do tego samego gatunku. Takie osoby są jak domy, w których poprowadzono w ścianach wszystkie przewody, ale elektryk zapomniał podłączyć instalację do centrali,



która czyni nas ludźmi, a przez to skazał budynek na los pogrążonego w mroku, wiecznego pustostanu.

Ale nawet najgorsi socjopaci okazują uczucia podczas rozpraw, choćby był to tylko żal, że wpadli w ręce policji, strach przed karą, którą mam im zasądzić, albo zdumienie faktem, że nikt ich nie lubi, co dla wielu z nich jest trudne do zaakceptowania, bo najczęściej mają głęboko narcystyczną osobowość. Tak czy inaczej, jakiś płomyk się w nich tli.

O Whipple’u nie dało się tego powiedzieć. Jego współnik w zbrodni obrócił się przeciwko niemu, my poznaliśmy cały jego koszmarny plan i patrzyliśmy na niego z trudną do poskromienia nienawiścią, a w ciele tego potwora drgnął tylko jeden mięsień szyi.

– Możecie mnie zastrzelić – powiedział opanowanym głosem. – Ale musicie wiedzieć, że jakkolwiek krzywdę mi wyrządźcie, dwukrotnie gorszy los spotka waszą córkę. Jeśli mnie zabijecie, ona też zginie. Macie to jak w banku. Ci dwaj panowie z Macedonii bez wahania poderzną jej gardło, jeśli nagle stracą ze mną kontakt.

Alison w furii rozwarła nozdrza. Trzymała palec na spuście, ale wiedziałem, że robiła to na pokaz. Andy Whipple nie blefował. Nie przez przypadek dorobił się takiej fortuny. Był bezwzględny, owszem, ale pomagało mu też planowanie zawsze kilku kroków naprzód i szykowanie się na różne scenariusze.

– Proponuję bardzo prostą transakcję – powiedział. – W gruncie rzeczy tę samą, którą proponowałem od samego początku. Wasza córka za pomyślny werdykt. Zgoda?

Po twarzy Alison spływały łzy, pistolet zaczynał drżeć. Wyrzuciła z siebie pełną przekleństw tyradę, którą kończyły słowa:

– ...ty potworze. Emma nie jest towarem, którym można handlować.

– Wręcz przeciwnie – odparł Whipple. – I dobrze zrobicie, jeśli przez jakiś czas też będziecie tak o niej myśleć. Tak będzie dla wszystkich najlepiej. Odzyskacie swoją córkę, swoje życie. Same korzyści. A ja zarobię trochę pieniędzy. Korzyść dla mnie.

– Nie zarobisz, tylko ukradniesz – dobiegł z łazienki głos Marka. – Na każdy z twoich kontraktów przypada ktoś, kto straci miliony. Jesteś zwykłym oszustem.

– A ty jesteś bezrobotny – odwzajemnił mu się Whipple. – Chociaż niespecjalnie ci to zaszkodzi. Przypominam ci, że sam zarobisz na całej operacji co najmniej sześć milionów. Trzy miliony za wyszortowane akcje i kolejne trzy, jak tylko ApotheGen odbije się od dna. Widzicie? Mówiłem: wszyscy zyskują. Aha – dodał, patrząc na mnie – jeśli myślisz, że jak to wszystko się skończy, to po prostu pójdziesz na policję, radzę się dobrze zastanowić. Przewidziałem tę ewentualność i dobrze się przed nią zabezpieczyłem. Osobny kontrakt na wyszortowanie stu tysięcy akcji został zrealizowany na twoje nazwisko, drogi sędzio. Do tego jest też polecenie przelewu z twojego konta w Whipple Alliance do banku na Karaibach.

– Ja nie mam konta w Whipple Alliance – powiedziałem.

– Owszem, masz. Założyłem je na samym początku. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, zamierzałem sam wyciągnąć z niego pieniądze w dowolnym momencie. Mam wszystkie kody dostępu. Z kolei, gdyby było trzeba, mogłem zamachać ci tymi pieniędzmi przed nosem i zachęcić cię do współpracy. A gdybyś odrzucił tę

marchewkę, zawsze pozostawał kij, czyli ujawnienie, że brałeś udział w spisku. Poszedłbyś na dno razem ze mną. W dodatku uderzyłbyś w nie z większą siłą, bo kary dla urzędników państwowych są w takich przypadkach sroższe.

– Żaden sąd by w to nie uwierzył.

Whipple się zaśmiał.

– Mylisz się. Nie masz pojęcia, drogi sędzio, jak kiepsko to dla ciebie wygląda. Karen Lowe ma klucze od waszego domu. Zgarnęła z niego twój paszport, numer ubezpieczenia społecznego, wszystko, czego potrzebowaliśmy. Zapewniam cię, że podpis złożony na dokumentach jest identyczny z prawdziwym. Zatrudniłem najlepszego fałszerza w Nowym Jorku i spisał się na medal. Nic dziwnego, bo miał sporo materiałów źródłowych. Masz pojęcie, ile czeków urodzinowych wystawiłeś małym Lowe'om przez te wszystkie lata? Myślisz, że zgrywanie niewinnego sędziego przekona prokuratora, ale to będzie twoje słowo przeciwko dokumentom, a tych mam gruby stos. Jeśli zechcę, wszystkie one trafią bezpośrednio na biurko prokuratora stanowego, z osobistą dedykacją.

Możliwe, że Whipple zmyślał na bieżąco, ale jakoś nie chciało mi się w to wierzyć.

Wszystko to wpisywało się doskonale w samą ideę funduszu hedgingowego, która polegała na tym, że pieniądze zarabiano się nawet w trudnych czasach, a to dzięki szortowaniu, derywatom i innym instrumentom finansowym odpornym na wahania rynku. Wystarczyło odpowiednio szacować ryzyko.

I właśnie to zrobił Andy Whipple.

– No to jak? – zapytał. – Jesteśmy umówieni czy nie? Powiedzcie „tak”, a za godzinę przytulicie swoją córkę.

– Tak – powiedziałem. – Jesteśmy umówieni.

Nie widziałem innej możliwości.

## Rozdział 74

Bracia myśleli, że pójdzie jak z płatka. Dostaną telefon, zabiją małą, wrzucą zwłoki do dołu i odjadą.

Wenezuela. Tam mogli się przyczyścić, czas ich nie gonił. Dużo plaż, mnóstwo rumu i żadnej umowy ekstradycyjnej ze Stanami.

Wszystko było przygotowane.

Dlatego kiedy zadzwonił telefon satelitarny i starszy z braci odebrał, młodszy już sięgał do torby, w której trzymał nóż myśliwski. Zamierzał poderżnąć dziewczynce gardło dopiero nad grobem. Mniej sprzątanania.

– Tak? – powiedział starszy brat.

– Zmiana planów. – Z zestawu głośnomówiącego popłynął głos Andy’ego Whipple’a. – Masz coś do pisania?

– Mam.

– Świetnie. Przywieźcie dziewczynkę pod ten adres. – Whipple podał mu nazwę i numer ulicy w hrabstwie Gloucester.

– Dobra. Kiedy?

– Teraz.

– I co potem?

– Potem ją wypuścić.

Starszy brat na chwilę zamilkł.

– Nie tak się umawialiśmy.

– Wiem. Powiedziałem: zmiana planów.

– Nie skończyliśmy sprzątać. Nie chcę zostawiać śladów.

– Dostaniecie dodatkowe sto tysięcy – powiedział Whipple.

Starszy brat spojrział na młodszego, a ten tylko wzruszył ramionami.

– Dwieście. Mała widziała nasze twarze. Wiele razy. Bez problemu nas zidentyfikuje. Nie przewidywałem takiego ryzyka.

– Okej. – Whipple zgodził się bez chwili wahania i starszy brat od razu pożałował, że nie zażądał pięciuset tysięcy. – Ale macie wyjechać natychmiast.

– Dobra.

Obaj się rozłączyli.

– Kopałem dół na nic? – wkurzył się młodszy brat.

– Może nie. Zobaczymy.

## Rozdział 75

Dziecko za werdykt.

Od początku tego właśnie chciał Andy Whipple i choć ogarniała mnie złość na myśl o tym, że miałbym pójść mu na rękę, to powrót Emmy do domu był dla mnie najważniejszy. Do tego czasu Whipple musiał siedzieć z lufą pistoletu przyłożoną do ucha.

On miał swoje zabezpieczenia. Naszym był smith & wesson.

Uzgodniliśmy, że Emma zostanie przywieziona do naszego domu. Whipple zadzwonił do Macedończyków, a potem wszyscy wyszliśmy z sądu, żeby zorganizować wymianę. Whipple miał siedzieć w moim buicku tak długo, aż porywacze nie zjawią się z Emmą. Umowa była taka, że gdy oni wypuszczą naszą córkę, my pozwolimy odejść Whipple'owi.

A w poniedziałek, po mowach końcowych obu stron, miałem wydać wyrok, który został dla mnie wcześniej sporządzony. Whipple zagwarantował sobie moją współpracę groźbą, że ujawni toksyczne dokumenty na mój temat.

Fakt, że był to sprawiedliwy werdykt, ułatwił mi pójście na układ i uspokojenie własnego sumienia.

Kazaliśmy Markowi zostać w gabinecie, bo nie chcieliśmy wzbudzać podejrzeń, idąc korytarzem sądu w towarzystwie mężczyzny z obitą twarzą. Jeremy zgodził się go przypilnować. Miał też wydać Jean Ann polecenie, aby ogłosiła koniec rozprawy na ten dzień i wytłumaczyła to nagłym zasłabnięciem sędziego.

Zatem jechaliśmy samochodem we trójkę. Alison usiadła z tyłu z Whipple'em, ja kierowałem. Czuję się jak osobisty szofer diabła.

Co jakiś czas zerkałem na niego w lusterku. Bił od niego absolutny spokój. Nigdy w życiu nikogo nie nienawidziłem bardziej niż jego. Brzydziło mnie już samo to, że ten człowiek – nie, on nie był człowiekiem; to coś dotykało tapicerki w moim buicku. W pewnym momencie Whipple ciężko westchnął i momentalnie zrobiło mi się niedobrze, że oddychamy tym samym powietrzem. Tylko miłość do córki powstrzymywała mnie przed zrealizowaniem dręczących mnie fantazji, w których zadawałem mu ból.

Nieświadom mojej nienawiści, a raczej kompletnie na nią obojętny, Whipple patrzył cały czas przez okno. Zupełnie nie potrafiłem zrozumieć, jak mógł dziś rano spojrzeć na swoje odbicie w lustrze.

Moim jedynym pocieszeniem była myśl, że choć teraz Whipple wygrywał, to na dalszą metę był w tej sytuacji przegrany. Miał tylko pieniądze i wszystko, co dało się za nie kupić, a tego typu życie niosło ze sobą pogłębiającą się nędzę. Whipple myślał, że gromadząc bogactwa, zapewni sobie szczęście, a tymczasem ten rzekomy geniusz rynków finansowych zapominał o jednej z najprostszych zasad ekonomii – prawie malejących przychodów. Ono przez cały czas działało przeciwko niemu. Każdy zarobiony lub ukradziony dolar dawał mu odrobinę mniej satysfakcji od poprzedniego i trend ten prowadził nieuchronnie aż do zera.

Na nic więcej nie zasługiwał.

Mnie cały koszmar ostatnich tygodni tylko utwierdził w przekonaniu, że

najważniejsze w życiu są proste przyjemności płynące z udanego życia rodzinnego. Miłość wspaniałej kobiety. Radość dzieci. Dobre zdrowie. Zwłaszcza dobre zdrowie.

Nigdy nie uważałem tych wszystkich rzeczy za oczywiste, nawet przed pojawieniem się Whipple'a w naszym życiu. Teraz wiedziałem, że nigdy nie przestanę ich doceniać. Dzień Naleśnika i Basen z Tatą nigdy nie wydawały mi się tak cudowne jak teraz.

Drogę numer 17 przecinającą Gloucester charakteryzowała niekończąca się seria skrzyżowań ze światłami. Jeśli Whipple chciał pokusić się o ucieczkę, to jedno z takich skrzyżowań było ku temu najlepszą okazją. Ale on wyglądał na zadowolonego z przejażdżki, przekonanego, że ma wszystko pod kontrolą.

Wreszcie, po długiej i nerwowej podróży, skręciłem w naszą wąską dróżkę. Mijając granicę naszej działki, zauważyłem, że stado sępów odleciało.

Zwolniłem po zjechaniu z asfaltowej drogi w leśną, bitą ścieżkę, której półkilometrowy odcinek dawał mi niegdyś bezpieczne poczucie odcięcia od świata zewnętrznego. Teraz wiedziałem, że już nigdy nie popełnię tego błędu, ale miałem nadzieję, że w końcu uwolnimy się od uczucia pozostawania pod ciągłym ostrzałem.

Ta kojąca myśl towarzyszyła mi w chwili, kiedy wjeżdżałem na polankę, za którą stał nasz dom. Tam rzeczywistość natychmiast wytrąciła mnie z zamyślenia.

Na końcu naszego podjazdu czekały na nas cztery pojazdy: nieoznakowany ford crown taurus, sedan z wydziału medycyny sądowej i dwa radiowozy biura szeryfa. Whipple momentalnie się ożywił.

– Co się dzieje, do cholery? Co to ma być? Czy wy...

– Zamknij się – syknąłem. – Stul pysk. Nie mam pojęcia. Myślisz, że chcę tu teraz tych ludzi?

– To co tu robią?

– Nie wiem.

Alison zaklęła pod nosem.

– Nigdzie się nie ruszaj – powiedziałem. – Ja się tym zajmę. Nasza umowa nadal obowiązuje. Spróbuję się ich pozbyć.

Przejechałem jeszcze pół dystansu dzielącego polankę od zaparkowanych wozów policyjnych i zjechałem na bok. Bliżej nie odważyłem się podjeżdżać, bo wtedy nieproszeni goście mogliby zobaczyć, że Alison trzyma Andy'ego Whipple'a na muszce. Wyłączyłem silnik, wysiadłem z samochodu i ostatnie pięćdziesiąt metrów pokonałem biegiem.

Powiedziałem Whipple'owi prawdę. Nie miałem pojęcia, co robią tu ludzie szeryfa. Obecność koronera była jeszcze bardziej tajemnicza.

Z odległości jakichś dwudziestu pięciu metrów zobaczyłem łysą głowę sierżanta Harolda Curry'ego, który właśnie wychodził z mojego domu na werandę. Za nim szedł napakowany funkcjonariusz z twarzą dziecka, który był u mnie już wcześniej; grupę zamykał jeszcze jeden policjant.

Curry zszedł po schodach i spotkaliśmy się na trawniku przed domem.

– Lepiej miejcie przy sobie nakaz – powiedziałem.

– Mamy.

– Pokaż.

Z kieszeni marynarki wyjął dwie kartki papieru złożone na trzy. Podał mi jedną z nich. Zacząłem czytać. Nakaz wyglądał prawidłowo i dawał im prawo do przeszukania zarówno głównego budynku, jak i innych zabudowań. Tak samo jak ostatnim razem.

Ale ten zawierał jeszcze kilka słów, których w poprzednim brakowało.

– Narzędzie zbrodni? Zabójstwo Herberta Thrifta? – powiedziałem zdumiony.

– Myślicie, że zabiłem Herba Thrifta? Niby dlaczego miałbym go zamordować?

– Był jednym z nas. Na emeryturze, to fakt. Ale do dziś miał znajomych w aktywnej służbie i wszyscy oni są teraz bardzo rozżaleni.

– Ale ja nie mam z tym nic wspólnego. Popełniacie gigantyczny błąd.

– Tak? – powiedział Curry. – Niech mi pan powie, panie sędzio, czy zatrudniał pan Herberta Thrifta?

Powinienem był trzymać język za zębami. Przez moją salę sądową przewinęło się wielu oskarżonych, którzy trafili za kratki przez własną głupotę, bo myśleli, że sprytną gadką wyplącają się z tarapatów. Wiedziałem o tym.

Ale w tym momencie chciałem tylko, żeby ci ludzie zniknęli z mojej posesji, więc bezmyślnie zamieniłem się w idiotę, który sądzi, że jeśli tylko powie prawdę, to problem zniknie.

– Tak, wynająłem go.

– Jako prywatnego detektywa?

– Zgadza się.

Curry wyjął z wewnętrznej kieszeni mały notes.

– Co miał dla pana robić?

– Właśnie dlatego mówi się na nich „prywatni”. Bo to nie pański interes.

– Rozumiem. Kiedy ostatni raz widział go pan żywego?

Uruchomiłem pamięć.

– To musiał być... czwartek. Dwa tygodnie temu, w czwartek. Czyli dwa tygodnie i jeden dzień temu.

– Gdzie?

– W jego biurze. Byliśmy umówieni. Na pewno ma kalendarz, możecie to sprawdzić.

– I potem już się z nim pan nie widział?

– Nie.

Próbowałem odepchnąć od siebie obraz jego zwłok, który już na zawsze wyrzył się w moim mózgu.

– A rozmawialiście?

– Tak. Kilka razy, przez telefon. Omawialiśmy zlecenie.

– Kiedy była ostatnia z tych rozmów?

– Nie wiem... Chyba w poniedziałek. Nie, zaraz. W sobotę. Tak, to była pierwsza sobota po tym, jak go zatrudniłem. Czyli znowu około dwóch tygodni temu. Na pewno zobaczycie to w jego billingach.

Curry notował to wszystko w swoim kajeciku. Osilek z twarzą dziecka też uważnie mnie słuchał.

Następne pytanie detektyw rzucił jakby mimochodem:

– Czy po tej rozmowie odwiedzał pan jego biuro?

Serce przygniółł mi nagle ciężki głaz. Liścik. Znaleźli mój liścik w jego drzwiach.

– Tak. Nie odzywał się, więc pojechałem do jego biura. – Nie było sensu tego dłużej ukrywać. – I zostawiłem mu wiadomość.

– Gdzie ją pan zostawił?

– Zatknałem za tylne drzwi. Nad klamką.

– Tylne drzwi. Ma pan na myśli wejście do jego prywatnego mieszkania?

– Tak.

– Co pan mu napisał?

– Prosiłem go, żeby do mnie zadzwonił.

– Był pan na niego zły?

– Nie. Nie byłem... Może trochę sfrustrowany. Nie odbierał moich telefonów i nie oddzwaniał.

– Sfrustrowany.

– Tak.

– Ale nie zły?

– To za mocne słowo.

– Pukał pan do drzwi?

– Tak.

– Ile razy?

– Kilka, co najmniej. Jakie to ma znaczenie?

– Przeklinał pan przy tym?

O Chryste. Pewnie rozmawiali z sąsiadką, na którą warknąłem.

Już słyszałem w myślach jej zeznania: „Krzyczał wściekle i klął jak szewc. Tak się przestraszyłam, że uciekłam do domu”.

– Nie pamiętam – powiedziałem.

– Zapłacił mu pan gotówką?

– Yyy... Tak.

– I czy zrobił wszystko, co mu pan zlecił?

– Nie. Właśnie dlatego chciałem z nim porozmawiać.

– I nie rozzłościło to pana? Zapłacił pan za usługę, która nie została wykonana.

– Nie. Tylko trochę zniecierpliwiło, jak powiedziałem.

– Czy potem miał pan jakikolwiek kontakt z Thriftem?

– Nie.

– Nie dzwonił pan do niego?

– Możliwe. Na pewno mu się nagrywałem. To też możecie sprawdzić.

– Już to zrobiliśmy. Wygląda na to, że przestał pan zostawiać mu wiadomości w minioną sobotę. Przestał pan też dzwonić. Skoro tak bardzo chciał pan z nim porozmawiać, to czemu nagle zrezygnował pan z dzwonienia i nie zostawiał pan już kolejnych wiadomości?

Wiedziałem, że moja twarz się czerwieni, mimo że próbowałem zachować zimną krew. Właśnie takimi detalami karmią się przysięgli szukający dowodu na to, że

podejrzany jest kłamcą i ma związek ze zbrodnią. Na razie Curry dysponował wyłącznie poszlakami i tylko znalezienie zwłok mogło to zmienić, ale moja sytuacja i tak nie wyglądała zbyt dobrze.

– Pewnie uznałem, że nie warto tracić czasu i że pewnie już się do mnie nie odezwie – rzuciłem wymyśloną na poczekaniu marną wymówkę.

– Wracał pan jeszcze do jego domu?

– To znaczy do firmy?

– To jedno i to samo.

– Nie – powiedziałem. – Nie wracałem.

– Bo stracił pan nadzieję na kontakt.

– Można tak powiedzieć.

Curry zanotował moją odpowiedź. Nie spieszył się i cholernie mnie tym drażnił. Musiałem się go pozbyć. Korzystając z okazji, że patrzy w notes, zerknąłem w stronę buicka. Whipple dalej siedział na swoim miejscu, Alison też. Na pewno wciąż do niego mierzyła, tyle że teraz trzymała broń niżej.

Wreszcie detektyw Curry, który pozwolił mi już własnymi zeznaniami zbudować dla siebie szubienicę, zaprosił mnie do założenia sobie pętli na szyję.

– No dobrze – odezwał się. – To jak pan wytłumaczy obecność zwłok Herberta Thrifta na pańskiej posesji?

To było jak cios w brzuch. Swymi pytaniami Curry przedstawił mi cały swój tok rozumowania. Zatrudniłem Herberta Thrifta, wkurzyłem się na niego za niedotrzymanie słowa, zostawiłem mu liczne wiadomości, nawiedziłem w jego własnym domu, znowu mu się nagrałem, ale w końcu przestałem się do niego dobijać, a to dlatego, że postanowiłem go zabić i zakopać w lesie niedaleko mojego domu. Więzienia są pełne ludzi odsiadujących wyroki za morderstwo orzeczone na podstawie dużo słabszych dowodów.

Nareszcie zrozumiałem, co przed moim domem robili ludzie z biura koronera. Badali to, co zostało z biednego Herba Thrifta.

– Wykopało go stado dzikich psów – powiedział Curry, kręcąc głową. – Jakaś kobieta tędy przejeżdżała i zobaczyła kundla wlokącego ludzką głowę przez jezdnię.

Curry nie pisał już w notesie. Próbował spojrzeć mi prosto w oczy, ale ja nie byłem w stanie utrzymać wzroku w jednym miejscu.

Byłem tak pochłonięty rozgrywającym się dramatem, że nawet nie usłyszałem samochodu zbliżającego się naszym podjazdem. W końcu jednak szybko poruszający się pojazd przykuł moją uwagę.

Biała furgonetka bez szyb, dokładnie taka, jaką opisywał Sam, ta, którą widzieliśmy na nagraniu Karen, wjechała z impetem na polanę.

Macedończycy.



## Rozdział 76

To, co stało się potem, nie trwało nawet minuty. Myślę, że najwyżej trzydzieści sekund.

Pamiętam to tak dobrze i z tak wyraźnymi detalami, bo od tamtej pory odtwarzałem sobie wszystko w głowie co najmniej tysiąc razy.

Macedończycy pruli po bitej ścieżce jeszcze jakieś dziesięć metrów. Tyle zajęło im zorientowanie się, że wjeżdżają w coś, co wygląda na policyjną zasadzkę.

Kierowca wreszcie nadepnął na pedał hamulca i furgonetkę zniosło na trawnik. Zwalniając ze stu kilometrów na godzinę do zera, samochód wzniesił wokół siebie ogromną chmurę kurzu.

Wóz stał bez ruchu niecałą sekundę, a potem ruszył do tyłu.

Dwaj ścigani przez Interpol przestępcy z porwanym dzieckiem na pace nie mieli najmniejszej ochoty tłumaczyć się przed ludźmi szeryfa.

Mniej więcej w tej samej chwili otworzyły się drzwi buicka. Alison rzuciła się do biegu i nigdy w życiu nie widziałem, żeby poruszała się w takim tempie. Pędziła sprintem w kierunku furgonetki. W prawej ręce trzymała smitha & wessona, który z daleka był ledwie metaliczną smugą światła.

Szybko skracala dystans. Z trzydziestu metrów zrobiło się dwadzieścia. Niestety, furgonetka w końcu złapała kołami podłoże i jechała na wstecznym szybciej, niż Alison była w stanie biec.

Nie było mowy, żeby ją dogoniła. Macedończycy odjeżdżali z Emmą, a ja przestałem wierzyć, że jeszcze zobaczę ją żywą. Porywacze byli teraz ściganą zwierzyną. Oczywiście było, że wolność będzie dla nich ważniejsza niż jakiegokolwiek uzgodnienia z Whipple'em. Musieli pozbyć się Emmy i schować do nory, z której wypęzli.

Alison na pewno doszła do tego samego wniosku, bo w pełnym biegu wycelowała pistolet i zaczęła strzelać.

Celowwała nisko, w koła furgonetki. Pewnie bała się, że pociski mogą przebić karoserię i trafić Emmę.

Pierwsze kule chybiły i przed kołami samochodu wyprysły obłoki sosnowych igieł i piachu. Nieraz widziałem swoją żonę na strzelnicy. Nawet w nie najlepszej formie, jak teraz, trafienie w oponę z odległości mniejszej niż trzydzieści metrów nie powinno być dla niej problemem. Przeszkadzał jej albo bieg, albo zbyt ostrożność. Podejrzywałem, że to drugie.

Nagle rozległy się inne strzały. Padły od strony drzwi pasażera.

Jeden z Macedończyków odpowiedział ogniem.

Lufa jego broni wystawała z okna. Był to zabójczy karabin AR-15 z długim, zakrzywionym magazynkiem. Samopowtarzalny, ale ten sukinsyn pociągał za spust tak szybko, jak tylko jego kciuk mu na to pozwalał. I najwyraźniej nie martwił się, że zabraknie mu naboju. Płomienie wylotowe wyskakiwały z lufy w szybkich seriach.

Nie była to wyrównana walka. Macedończyk miał lepszą broń i więcej amunicji, a do tego tarczę w postaci kilku ton szkła i metalu. Alison nie miała nawet żdźbła trawy, za którym mogłaby się skryć.

Moją pierwszą reakcją opóźnił szok wywołany strzałami i instykt – wzmocniony u mnie wydarzeniami z przeszłości – by po pierwszych salwach przypaść do ziemi. W końcu jednak górę wziął we mnie odruch ratowania żony i rzuciłem się w jej stronę.

– Nie! – krzyknąłem. – Alison! Nie!

Nie odbiegłem daleko. Policjanci nie mogli pozwolić, żeby cywil – nawet taki, którego podejrzewali o zabicie ich kolegi – znalazł się na linii ognia. Harold Curry chwycił mnie za kurtkę i spowolnił na tyle, że osiłek z twarzą dziecka zdołał złapać mnie za obie ręce.

Tymczasem Alison najwyraźniej nie przejmowała się niebezpieczeństwem, bo zatrzymała się i przyjęła klasyczną pozycję strzelecką: nogi rozstawione, jedna nieco z przodu, barki prostopadłe do celu, dłonie przed sobą. Oddała dwa strzały. Lewa przednia opona furgonetki eksplodowała. Alison przesunęła lekko pistolet i wystrzeliła jeszcze trzy pociski. Z prawej przedniej opony zostały tylko strzępy.

Wiedziałem, że magazynek smitha & wessona mieścił piętnaście naboji i że Alison zaczynała z kompletem kul. Jeśli dobrze liczyłem, zostało jej jeszcze siedem.

Furgonetka jechała już teraz na felgach. Opony nie pomagały, a wręcz utrudniały jazdę. Samochód nie był w stanie złapać przyczepności i niezdarnie się zataczał.

Zatrzymując się, Alison zwiększyła swoją celność, ale zarazem sama stała się łatwym celem.

Znów do niej krzyknąłem, choć pewnie krzyczałem przez cały czas. Niestety, nie miało to większego sensu ani znaczenia. W którymś momencie Harold Curry chwycił za radio zastępcy szeryfa i zaczął gorączkowo apelować do centrali o przysłanie posiłków na mój adres.

Zbliżała się odsiecz. Alison musiała tylko wytrzymać.

Skupiła się teraz na tylnym kole po stronie pasażera. Trafiała w oponę za drugim razem. Furgonetka przechyliła się w prawo i była już praktycznie unieruchomiona.

I wtedy Macedończyk, który siedział za kierownicą, rzucił się do ucieczki. Poważny błąd. Gdy tylko znalazł się poza samochodem, a tym samym przestał nieświadomie używać mojej córki jako żywej tarczy, Alison powaliła go na ziemię dwoma strzałami. Wyrzucił obie ręce na boki i upadł na twarz.

Drugi porywacz – albo mądrzejszy od swojego towarzysza, albo odważniejszy dzięki karabinowi – dalej strzelał niemal na oślep. Modliłem się, żeby on też wyskoczył z furgonetki. Albo żeby skończyła mu się amunicja.

Wtem stało się coś prawie tak samo dobrego. Alison ruszyła się z miejsca.

Pognała w stronę lasu, żeby się w nim skryć. I wyglądało na to, że zdąży. Naprawdę miała szansę tam dobiec. Wiedziała, że wygrała bitwę, i postanowiła wygranie wojny zostawić policjantom z Biura Szeryfa Hrabstwa Gloucester. Niech samotny Macedończyk zmierzy się z tymi wszystkimi uzbrojonymi po zęby zastępcami szeryfa. Miał do wyboru poddanie się albo śmierć.

Od bezpiecznego azylu dzieliło ją tylko kilka sekund. Pierwszy rząd drzew rósł jakieś dziesięć metrów od niej. Grube pnie, wystarczająco mocne, by ochronić ją przed gradem kul.

Nagle, ku mojemu przerażeniu, Alison się potknęła.

Dziwny sposób, w jaki upadła, zdradził mi, że dostała postrzał w nogę. Spróbowała się podnieść, ale jej ciało odmówiło posłuszeństwa.

Przeturlała się akurat w momencie, w którym Macedończyk wypuścił kolejną serię. Obłok igieł wzbił się w powietrze w miejscu, gdzie Alison leżała ułamek sekundy wcześniej.

Udało jej się przyjąć pozycję siedzącą. Zranioną nogę wyciągnęła przed siebie i uniosła pistolet. Mogła teraz oddać doskonały strzał, ale jednocześnie sama była wystawiona na kule przeciwnika.

Potem już nie wiem, co było pierwsze. Możliwe, że obydwie rzeczy wydarzyły się jednocześnie.

Jedną z trzech ostatnich kul Alison wpakowała w czoło Macedończyka, którego głowa gwałtownie odskoczyła do tyłu. Szybę w kabinie furgonetki pokrył czerwony bryzg.

W tym samym momencie jego strzały wreszcie dały efekt, bo dwie kule rozerwały klatkę piersiową Alison.

Wyrzuciła obie ręce na boki i upadła na plecy.

Nie jestem pewien, czy udało mi się wyrwać z rąk policjantów, czy po prostu mnie puścili. Pobiegłem sprintem w kierunku Alison, która leżała na ziemi i wołała o pomoc. Krzyczałem i biegłem. Biegłem i krzyczałem. Ale poruszałem się w żółtym tempie, jak w koszmarze sennym, w którym goni cię coś strasznego, ale nie jesteś w stanie oderwać stóp od ziemi, twoje uda są za słabe i im bardziej się starasz, tym wolniej uciekasz.

Wreszcie upadłem na kolana przy Alison. Byłem gotowy uciskać jej klatkę piersiową albo wdmuchiwać powietrze w jej płuca.

Ale nic by to nie dało.

Kule wbiły się w jej ciało z zabójczą siłą, robiąc przy splocie słonecznym dwa otwory wielkości śliwki. Dokonały totalnego spustoszenia.

Jej klatka piersiowa była nieruchoma, a źrenice rozszerzone i wpatrzone w jeden punkt. W bezruchu Alison było coś absolutnego. W jednej chwili była w pełni sprawną kobietą panującą nad swoim ciałem, a zaraz potem ktoś jakby odciął zasilanie.

Odeszła.

Od tamtej pory wmawiam sobie, że umarła błyskawicznie, bez bólu i cierpienia. Może dlatego, że tę wersję łatwiej mi zaakceptować.

A skoro już i tak dopuszczam do siebie takie urojenia, to mówię też sobie, że konając, wiedziała dokładnie, co osiągnęła. Obydwaj Macedończycy zginęli. Andy Whipple, który przez cały czas trząsł się ze strachu na podłodze buicka, oddał się w ręce policjantów bez oporów. I, co najważniejsze, Emma była w moich ramionach trzy minuty po ostatnich strzałach.

Może Alison rozumiała to wszystko w swoich ostatnich sekundach życia. A może nie.

Ale jedno wiem na pewno: umarła, żeby nasza córka mogła żyć.

## Rozdział 77

Przez następne minuty, godziny i dni wydarzyło się tyle, że nie wiem, czy potrafię wszystko zrelacjonować we właściwej kolejności.

Dzięki danym zapisanym w telefonach martwych mężczyzn policja namierzyła ich kryjówkę w leśnej chacie w sąsiadującym z Gloucester hrabstwie Mathews. Okolica była tak odludna, że nie było w niej nawet jednego skrzyżowania ze świątlami.

Na miejscu znaleziono dowody dwudziestotrydniowego więzienia Emmy, a w lodówce plastikowe pojemniki z resztą palców Herberta Thrifta i wszystkimi jego zębami. To znalezisko oczyściło mnie z zarzutów zamordowania prywatnego detektywa.

Za to Andy Whipple dopiero rozpoczynał swój długi marsz szlakiem amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości. Wprawdzie przygotował się na skomplikowaną rozgrywkę przeciwko Komisji Papierów Wartościowych i Giełd, Wydziałowi Oszustw Giełdowych FBI i prokuraturze, ale nie spodziewał się, że jego przestępstwa finansowe zejdą na drugi plan, a pierwszeństwo będzie miało prowadzone przez Biuro Szeryfa Hrabstwa Gloucester i policję stanową Wirginii śledztwo w sprawie zabójstw.

Zlecenie morderstwa jest w Wirginii przestępstwem karanym karą śmierci. To samo dotyczy morderstwa seryjnego, które kodeks karny definiuje jako zabicie co najmniej dwóch osób w ciągu trzech lat. Śmiercią karane jest też zabójstwo dokonane w toku popełniania przestępstwa. Macedończycy zatrudnieni przez Whipple'a zamordowali Herberta Thrifta i Alison Sampson, poza tym brali udział w spisku mającym na celu szantażowanie mnie poprzez porwanie moich dzieci. Zatem Andy'emu Whipple'owi można by było zaaplikować śmiertelny zastrzyk z trzech różnych paragrafów.

Prokurator zapytał mnie, czy moim zdaniem powinien żądać najwyższego wymiaru kary, ale ja nigdy nie byłem zwolennikiem szukania zemsty. Nie przywróciłaby mi mojej żony ani nie cofnęła tragedii Herberta Thrifta. Śmierć Whipple'a nie naprawiłaby też szkód emocjonalnych, jakie jego czyny wyrządziły moim dzieciom.

I tak miał już nigdy nie zaznać życia na wolności. Zeznania Karen i Marka wystarczyły, żeby skazać go na dożywocie. Lowe'ów zresztą też czekały długie lata za kratkami, mimo ich współpracy w budowaniu aktu oskarżenia przeciwko Whipple'owi. Jedyny smutek, jaki to we mnie wywoływało, miał związek z ich dziećmi, ale przynajmniej ciotka Jenny zgodziła się nimi zaopiekować.

Tymczasem ja wytłumaczyłem swój werdykt w sprawie Skavrona Jebowi Byersowi, który okazał mi zrozumienie i dopilnował, by decyzja została cofnięta i zastąpiona nakazem aresztowania. Zgodziliśmy się, że powinienem wziąć urlop, i umówiliśmy, że wrócę do pracy, gdy będę na to gotowy.

Neala Keeseego trudniej było udobruchać, choć dostał to, co mu obiecano, bo Blake Franklin zrezygnował z ubiegania się o reelekcję. Dręczyło mnie w związku z tym niemałe poczucie winy, ale Blake – stary, dobry Blake – zapewnił mnie, że z ulgą wycofuje się ze świata polityki i że tak naprawdę zrobiłem mu przysługę.

Sprawa *Palgraff kontra ApotheGen* ucichła. Roland Hemans, sromotnie pobity

i zdecydowany nie marnować więcej czasu, wycofał pozew. Kiedy tylko się o tym dowiedziałem, zawiadomiłem Steve'a Politiego, po czym odczekałem godzinę przed złożeniem dokumentów do kancelarii. Obietnic należy dotrzymywać.

Ale tak naprawdę wszystko to działo się na marginesie mojego życia, którego centrum, w jeszcze większym stopniu niż dawniej, stanowili Sam i Emma. Odkąd stałem się ich jedynym rodzicem, potrzebowali mnie bardziej niż kiedykolwiek.

Tamtą piątkową noc i dwie następne spaliśmy we troje w łóżku u ich babci. Właśnie zaczynali przeżywać żałobę po mamie, proces, który miał im towarzyszyć już do końca życia. W tym czasie ja musiałem być dla nich niewzruszoną skałą. W przeciwnym razie jestem pewien, że Alison znalazłaby sposób, by zejść z powrotem na ziemię i skopać mi tyłek.

W weekend nie wróciłem do naszego domu i chyba już wtedy podejrzewałem, że nigdy do niego nie wrócę. W niedzielę Jenny i Gina zdobyły się na odwagę i pojechały tam po parę cennych rzeczy, które najbardziej przypominały nam Alison. Resztę zamierzałem porozdawać i zacząć od zera w nowym domu. Gdzieś niedaleko Giny, Jenny i kuzynostwa.

Tylko nie na końcu ślepej ulicy. Wiedziałem, jak bardzo Alison ich nie cierpiała.

Przez pierwszych kilka dni nie opuszczał mnie stan osłupienia i ciągle nie potrafiłem poskładać w całość tego, co się stało. W myślach nieustannie wracały do mnie obrazy z ostatnich chwil życia Alison, cały ich bezinteresowny heroizm i, co tu dużo mówić, szaleństwo.

Bezskutecznie próbowałem znaleźć sens w tym, co zrobiła. Było dla mnie jasne, że gdyby nie interweniowała, Macedończycy uciekliby z Emmą, ale dlaczego nie była ostrożniejsza? Dlaczego tak nisko ceniła własne życie?

Tymczasem w poniedziałek o 8.43 rano zadzwonił jej telefon. Nosilem go przy sobie, tłumacząc to względami praktycznymi. W końcu ludzie musieli się jakoś dowiedzieć o jej śmierci. Podejrzewam, że byle psycholog dopatrzyłby się w tym ukrytych powodów.

W każdym razie kiedy zadzwonił, na wyświetlaczu pojawił się nieznany mi numer. Odebrałem.

– Halo?

– Yyy, halo – odezwał się kobiecy głos należący do osoby, która najwyraźniej spodziewała się usłyszeć inny kobiecy głos. – Mówi Laurie Lyckholm. Czy zastałam Alison?

– Tu jej mąż, Scott – powiedziałem. – Alison odeszła w miniony piątek.

Zapadła cisza. Po chwili kobieta znów się odezwała:

– Bardzo mi przykro. Czy mogę zapytać, co się stało?

Zdałem jej zwięzłą relację, a Laurie Lyckholm nie przerywała. Na koniec sam postanowiłem ją o coś zapytać.

– Przepraszam. Pewnie powinienem był rozpoznać pani nazwisko, ale tyle się ostatnio działo...

– Byłam onkologiem Alison.

– No tak.

– To nie moja sprawa – powiedziała lekarka – więc może pan nie odpowiadać, ale muszę zapytać. Czy Alison mówiła panu o naszej piątkowej rozmowie?

– Nie.

Po chwili zawahania doktor Lyckholm ciągnęła:

– Wiem, że Alison nie chciała nikomu mówić o swojej walce z rakiem, ale teraz nie ma sensu tego przed panem ukrywać. Rozmawialiśmy w piątek rano. Powiedziałam jej, że badanie krwi wykazało podwyższony poziom enzymów wątrobowych, a tomografia potwierdziła, że wątroba jest powiększona. Nastąpił przerzut nowotworu z piersi do wątroby.

– Aha.

– Dzisiaj miałyśmy ustalić plan leczenia, bo Alison poprosiła o weekend na przemyślenie swoich spraw. Mogę panu powtórzyć to, co jej powiedziałam. Rak pierwotny wątroby, czyli taki, który wywodzi się z komórek wątroby, jest bardzo poważny, ale wyleczalny. Wtórny, czyli po przerzucie z innej części ciała, nie da się wyleczyć.

– I jest śmiertelny?

– Tak.

– I Alison to wiedziała?

– Z całą pewnością.

– Ile czasu jej zostało?

– To zawsze trudno przewidzieć. Dużo zależałoby od wyboru metody leczenia. Ale niewiele. Trzy miesiące? Może sześć. Jej nowotwór był już w mocno zaawansowanym stadium, więc z każdym kolejnym miesiącem pańskiej żonie byłoby trudniej. Zresztą mówiłam jej to. Więc to, co się stało... Może nie nazwałabym tego błogosławieństwem, ale w pewnym sensie jej śmierć była mniej bolesna niż ta, która ją czekała.

– Rozumiem – powiedziałem.

I tym razem naprawdę zrozumiałem.

Pogrzeb odbył się trzy dni później, w okrutnie przepiękne, jesienne popołudnie, które Alison z pewnością by doceniła. W drodze do kościoła przyłapałem się na rozmowie z nią o tym, jak jest ładnie. Czułem, że w najbliższym czasie to przyzwyczajenie mnie nie opuści.

Kościół był pełen ludzi, wręcz zatłoczony. Tłum wylewał się na tyły świątyni. Znajomi Alison z pracy, dzieci i rodziny, z którymi pracowała w szkole, nasi przyjaciele i sąsiedzi, ludzie, których życie w ten czy inny sposób zmieniło się dzięki niej – wszyscy oni przybyli, żeby ją pożegnać.

Wcześniej poprosiłem, żeby nie przynosić kwiatów, a zamiast nich wpłacać datki na poczet stypendium, które zostało już uruchomione pod nazwiskiem Alison w jej szkole. Kilka osób i tak kupiło bukiety, które otaczały trumnę na parę metrów po obu jej stronach. Powietrze w kościele przepełniał ich zapach.

Wiek trumny było otwarte. Nie uznawałem tego za dobry pomysł, Alison prawdopodobnie podzielałaby moje zdanie, jednak Gina bardzo na to nalegała. Mówiła, że chce ostatni raz zobaczyć swoją córkę, a ja nie miałem serca jej tego odmawiać.

Początkowo zdziwił mnie widok Alison. Wyglądała tak spokojnie. Nie miała

obrażeń głowy ani twarzy. Wciąż trudno było mi pogodzić się z myślą, że nie przyjdzie wieczorem do domu i nie zaśnie w moich objęciach.

W domu pogrzebowym położono na jej twarzy subtelny makijaż. Miała na sobie swoją ukochaną sukienkę, którą kilka lat temu włożyła z okazji naszej piętnastej rocznicy ślubu. Wyglądała w niej przepięknie.

Zaśpiewaliśmy kilka jej ulubionych psalmów. Pastor zapytał mnie przed uroczystością, czy będę chciał powiedzieć kilka słów, ale zapewniłem go, że nie będę w stanie sklecić nawet zdania, więc mowę żałobną wygłosiła Jenny i była w tym bardzo dzielna. Potem pastor przystąpił do kazania. Oboje chyba mówili ciekawie, ale nie jestem pewien. Szczerze mówiąc, nie bardzo mogłem się skupić.

Nie byłem tam bowiem do końca obecny. Część mnie cofnęła się w czasie do drugiego roku studiów, żeby jeszcze raz przeżyć ten moment, kiedy pierwszy raz zobaczyłem Alison i natychmiast zapragnąłem ją poznać. Widziałem znów jej włosy, ramiona i to, jak promieniała w świetle zachodzącego słońca.

Zadałem sobie pytanie: gdybym wiedział, że tak się to wszystko potoczy... Że spędzimy razem dwadzieścia pięć lat, będziemy mieli dwójkę pięknych dzieci, ale nasze wspólne życie zakończy się najgorszą z możliwych tragedii... Gdybym był już wtedy tego wszystkiego w pełni świadom, to czy i tak przedstawiłbym się tej pięknej dziewczynie przed budynkiem uczelni?

Oczywiście, że tak. Żałowałem tylko, że nie jestem w stanie jeszcze raz przeżyć każdej sekundy.

Pod koniec nabożeństwa udało mi się wyrwać z zamyślenia. Pastor wyjaśnił pokrótce kolejne kroki przed ostatnim psalmem, który będzie sygnałem do błogosławieństwa.

– Ale najpierw – powiedział – coś, o czym nie było mowy w programie, a co dodano na prośbę dzieci Alison.

Nie miałem pojęcia, o czym mówi. Przez całe nabożeństwo Emma i Sam siedzieli obok mnie, mocno we mnie wtuleni. Spojrzałem w ich stronę, ale oboje już się zsuwali z kościelnej ławy. Z pewnością siebie, którą Alison na pewno by doceniła, ruszyli w stronę ołtarza.

Pastor pochylił się nad pulpitem, zza którego wyjął dwa małe przedmioty. Z początku ich nie poznałem, pewnie dlatego, że łzy rozmazywały mi obraz. W końcu jednak skupiłem wzrok.

Ksiądz trzymał w rękach dwa małe pluszaki. Misia Emmę i Misia Sama.

Wyszedł zza pulpitu i dołączył do dzieci przy ołtarzu. Sam oczywiście dotarł tam pierwszy. Pastor podał mu Misia Emmę, a Emma dostała Misia Sama.

Dzieci podeszły do trumny, w której spoczywała ich matka, i weszły razem na taboret, który im podstawiono. Sam wyciągnął rękę i pogłaskał mamę po ramieniu. Emma chwyciła ją za dłoń.

W kościele zapadła pełna skupienia cisza, tylko kilka osób pociągało nosami w chusteczki. Po chwili Emma powiedziała swoim dźwięcznym, wysokim tonem:

– Pa, mamusiu. Będę za tobą tęsknić.

Sam dodał:

– Kocham cię, mamo.

Wszystkie trzysta serc obecnych w kościele pękło w tej samej chwili.

Emma i Sam położyli misie po obu stronach Alison, która była ich Misiem Mamą, która dbała o ich bezpieczeństwo i kochała, nie bacząc na koszty.

I teraz, na swój drobny, sześćoletni sposób odwdzięczały się jej tym samym.

W końcu zeskoczyły z taboretu, a zebrani zaczęli śpiewać ostatni psalm. Kiedy ksiądz zamykał wieko trumny, wypowiedziałem bezgłośnie swoje pożegnanie.



## Podziękowania

Jako ojciec, który był obecny przy narodzinach obojga swoich dzieci, pewnie powinienem się wystrzegać porównywania pracy pisarza do porodu.

Ale mógłbym przysiąc, że proces tworzenia niniejszej powieści był bliższy porodowi niż cokolwiek innego w moim męskim życiu. Dlatego chcę podziękować wszystkim literackim lekarzom, pielęgniarkom i położnym, które pomogły mi urodzić to zapłakane i rozwrzeszczane niemowlę.

Alice Martell, moja agentka, była nieocenionym głosem na ostatnim etapie procesu wydawniczego.

Jessica Renheim i Ben Sevier byli wspaniałymi kuratorami, którzy od początku wierzyli w to przedsięwzięcie. Prawdziwy ze mnie szczęściarz, że mogłem pracować z nimi i całą ekipą w Dutton. Mam tu też na myśli guru marketingu, Carrie Swetonic, mistrzynię kontaktów z prasą, Amandę Walker, redaktorkę Eileen Chetti, projektanta okładki, Christophera Lina, i całą masę utalentowanych ludzi pracujących w budynku przy Hudson Street 375. Jestem dumny, że mogę w takim gronie służyć za pisarza.

Polskie wydanie możliwe było dzięki agencji Jill Hughs Foreign Rights, która pośredniczyła w umowie. Dziękuję też pełnej profesjonalizmu ekipie Czarnej Owcy i autorowi przekładu, Piotrowi Kalińskiemu.

Na różnych etapach powstawania rękopisu korzystałem z pomocy licznych profesjonalistów z dziedziny prawa i medycyny. Należą do nich dwie osoby, których nie mogę wymienić z nazwiska, a które hojnie obdarowały mnie swoim czasem i wiedzą o tym, jak to jest być sędzią. Bez nich nie byłbym w stanie stworzyć wiarygodnego Scotta Sampsona.

Shevron Scarafile i Greg Parks byli moimi nadwornymi adwokatami. Arthur Hellman z Wydziału Prawa Uniwersytetu w Pittsburghu wytłumaczył mi, na czym polega przekroczenie obowiązków przez sędziego i jakie są tego konsekwencje. Doktorzy Laurie Lyckholm i Randy Ferrance służyli mi pomocą jako doradcy od spraw medycznych.

Wszelkie rozbieżności między tym, co dzieje się w mojej książce, a tym, jak mają się sprawy w rzeczywistości, wynikają z mojej decyzji, by puścić ich cenne rady mimo uszu.

Moja rodzina w restauracji Hardee's, zwłaszcza poranna ekipa – Anne, Monica, Kenny, Dina, Trudy, Angela, Wirginia, Matthew, Ashley i Justin – napełniali mnie pozytywną energią (i colą zero) przez cały okres pisania i redagowania tej powieści. Żałuję tylko, że matka rodu, Panna Teresa, nie jest już częścią naszej wesołej gromadki. Bardzo za nią tęsknię.

A co do mojej prawdziwej rodziny, kieruję wyrazy miłości i podziękowania do Joan i Allana Blakelych za bycie wspaniałymi teściami i dziadkami oraz dla Marilyn i Boba Parksów, którzy wydali mnie na ten świat i wciąż pomagają mi się w nim rozwijać.

Wreszcie dziękuję mojej żonie i dzieciom za ich niesłabnącą miłość, zrozumienie, radość, inspirację i wsparcie. I za to, że każdego dnia są najlepszą częścią mojego życia.

Jestem niewiarygodnie szczęśliwym człowiekiem. Dzięki nim.